

Kim Holden

**PRO
MY
CZEK**

Każdy ma jakieś tajemnice...

FILIA

Kim Holden

**PRO
MY
CZEK**

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

Dla B., Debbie i Robin.
Dziękuję, że pokochałyście te postacie równie mocno jak ja.

22 SIERPANIA, PONIEDZIAŁEK KATE

– Co u ciebie, łobuzie?

– Och, no wiesz, prowadziłam non stop ze trzydzieści godzin, chociaż nie jestem pewna, ile dokładnie. Nie spałam ze dwa, może trzy dni. Wypiłam wiadro red bulla i beczkę kawy, więc u mnie chyba bez zmian.

Śmieje się.

– Młoda, płynie w tobie krew kierowcy tira.

– Dla ciebie Matki Ciężarówka.

Ponownie się śmieje.

– Wypas! Zrezygnuję z nazywania cię Promyczkiem i zacznę na ciebie wołać Matka Ciężarówka.

Rozmawiamy lekko, naturalnie, właśnie tak, jak na to liczyłam. Po naszym rozstaniu w San Diego kilka dni temu nie wiedziałam, czego się spodziewać po tym telefonie.

Zapada niezręczna cisza.

W ciągu dziewiętnastu lat naszej znajomości to się nigdy nie zdarzyło.

– To co, Minnesota?

– Tak.

– Jesteś u Maddie?

– Tak.

– A tak w ogóle co słyhać? – pyta Gus.

– Jakoś leci. – Rany, jest coraz gorzej. Gus brzmi na znudzonego, jednak słyszę jego silne zdenerwowanie. Zastanawiam się, dlaczego nie usłyszałam jeszcze, że odpalił papierosa. Jak na zawołanie dobiega mnie kliknięcie zapalniczki i znajomy dźwięk pierwszego głębokiego wdechu. – Powinieneś...

Przerywa mi:

– Lepiej się rozłączę. Właśnie podjechałem pod dom Robbiego i wygląda na to, że wszyscy już są, a ja jak zwykle jestem spóźniony. Czekają na mnie.

Jestem rozczarowana, ale doskonale wiem, że inni ludzie nie rzucają wszystkiego tylko dlatego, że Kate tego chce. Przywołuję więc na twarz swój najlepszy uśmiech i odpowiadam:

– Tak. Jasne. Będiesz zajęty jutro wieczorem? Mogłabym zadzwonić.

– Po pracy planuję posurfować, ale ogólnie będę wolny. – Jego oddech się wyrównuje, ale wiem, że tylko dlatego, iż jest skoncentrowany na tym cholernym papierosie, wciągając do płuc spokój wraz z dymem i nikotyną.

– Dobra. Kocham cię, Gus. – Zawsze to sobie mówimy. Zawsze będziemy tak robić. Dorastał, co pięć minut słysząc te słowa od matki, a mówiła szczerze. Było to dla niej naturalne. Ja natomiast nigdy czegoś takiego od swojej nie słyszałam, jakby nie mówiła tego celowo, jakby taka była jej natura. Była wobec mnie obojętna. Odczuwałam to każdego dnia. Głęboko w kościach. Myślę, że właśnie dlatego zawsze uwielbiałam słyszeć te słowa od Gusa i jego mamy, Audrey. Ciężko było im nie zakończyć w ten sposób

rozmowy.

– Też cię kocham, Promyczku.

– Pa.

– Pa.

Zatrzymałam się u Maddie, która jest moją ciotką – dużo młodszą, przyrodnią siostrą mojej matki. Młodszą przyrodnią siostrą, o której istnieniu nie wiedziała aż do pogrzebu dziadka (ich wspólnego ojca) trzy lata temu. Przez większość życia dziadek nie utrzymywał kontaktu z moją matką. Zostawił żonę i córkę, gdy mama miała może z dziesięć lat. Pewnego dnia zniknął i najwyraźniej założył drugą rodzinę, po czym wrócił zaledwie kilka lat przed swoją śmiercią. Polubiłam go, choć widziałam się z nim tylko kilka razy. Nie mogłam go winić za to, co zrobił. Nic nie wiedziałam o jego życiu.

Tak czy inaczej, Maddie przyjechała na pogrzeb, a mojej matce na wieść, że ma przyrodnią siostrę, opadła szczeka. Mama długo czekała, by urodzić córki, czyli Grace i mnie. Być może „czekała” nie jest właściwym określeniem. Grace pojawiła się na świecie w wyniku wpadki, ja byłam nieudolną próbą zatrzymania mężczyzny, który nie chciał tej rodziny. Matka miała trzydzieści dziewięć lat, gdy urodziła Grace i czterdzieści, kiedy pojawiłam się ja. Maddie ma w tej chwili jedynie dwadzieścia siedem lat i jest starsza ode mnie tylko o osiem, co oznacza, że przyrodnie siostry dzieli niemal trzydzieści dwa długie lata różnicy. Dokładnie tak, jak wskazuje na to matematyka. Mój dziadek był żywotnym starszym panem. No, ale jak już mówiłam, nie mnie to oceniać.

W każdym razie mam ciotkę, o której istnieniu nie wiedziałam, więc jej nie poznałam. Wyjątkiem była jedna wizyta, kiedy przez tydzień mieszkała w domu mojej matki w San Diego. Było to dwa lata temu. Zatem gdy dowiedziałam się, że zostałam przyjęta (i dostałam stypendium) w Grant, małej uczelni w jeszcze mniejszym mieście o tej samej nazwie, na obrzeżach Minneapolis, zadzwoniłam do Maddie. Zadałam jej pytanie, czy mogę zatrzymać się u niej na jakiś tydzień, nim wraz z początkiem nowego roku na uczelni będę się mogła przeprowadzić do akademika. Maddie wahała się, jakbym poprosiła ją o przekłętą nerkę, w końcu się jednak zgodziła. Tak więc od godziny siedzę w jej pokoju gościnnym i już zdążyłam poczuć się jak nieproszony gość.

Rozpakowuję walizkę, układam szczoteczkę, pastę, szampon, odżywkę i maszynkę do golenia w wielkiej, przylegającej do pokoju gościnnego łazience. Maddie ma naprawdę ładne mieszkanie. Nie mam pojęcia o kosztach życia w Minneapolis, ale wygląda na dość drogie. Luksusowe. Wiem, że niektórzy lubią przepych, co kto woli, jednak dla mnie to nieco przereklamowane. Wolę prostotę. Taka fantazyjność wiele ukrywa, podczas gdy prostolinijność sprawia, że wszystko widać jak na dłoni. Przypominam sobie o mieszkaniu w San Diego, za którym tęsknię. Był to przerobiony na lokum garaż, który wynajmowałam od ogrodnika mojej mamy, starego pana Yamashity. Pan Yamashita zrobił w środku niewielką łazienkę, w której myłam naczynia. Mieszkanie było ciasne i ciemne, no, chyba że otworzyłam drzwi garażowe, jednak je uwielbiałam. Było proste. Było moim domem. Wprowadziłyśmy się tam z siostrą jakiś rok temu. Szukałyśmy czegoś dla siebie, a pan Yamashita był miłym staruszkim, który żądał śmiesznie małego czynszu, więc nie mogłam odmówić. Spałyśmy z Grace na podwójnym łóżku, a mały stolik i dwa krzesła służyły nam za jadalnię, biurko i przestrzeń do gier. Nie miałyśmy dużo miejsca, ale było przytulnie. Mieszkanie znajdowało się przecnicę od oceanu, na rogu posesji, z której rozpościerał się idealny widok na wodę. Każdej nocy po kolacji i kąpieli Grace otwierałyśmy drzwi garażowe, siadałyśmy na skraju łóżka i przyglądałyśmy się

zachodzącemu nad oceanem słońcu. Kiedy zaczynało się zanurzać, a fale na horyzoncie przybierały pomarańczową barwę, Grace brała mnie za rękę, unosiła nasze złączone palce i krzyczała: „Czas na show!”. Powtarzałam: „Czas na show!”. Opierała sobie nasze dłonie na kolanach, dopóki nie zrobiło się zupełnie ciemno. Zaczynała wtedy klaskać. Robiłam to wraz z nią. Mówiła: „Ten był najlepszy, prawda?”. Zgadzałam się z nią i jakimś cudem zawsze w to wierzyłam. Zamykałam bramę, układałam nogi Grace w łóżku i kładłam się obok. Przykrywałam ją, całowałam w czoło i mówiłam: „Kocham cię, Grace. Dobranoc, pchły na noc”, na co zawsze odpowiadała: „Karaluchy pod poduchy. Też cię kocham, Kate” i całowała mnie w czoło. Bardzo za tym tęsknię.

Po ułożeniu rzeczy wychodzę z łazienki i próbuję zagadnąć Maddie, ale rozmawia przez telefon, więc wskazuję kuchnię, jakbym prosiła o pozwolenie, czy mogę coś zjeść. Maddie z roztargnieniem kiwa głową, przy czym chichocze zalotnie do telefonu. Musi rozmawiać z jakimś facetem. Kobiety chichoczą w ten sposób jedynie, gdy rozmawiają z kimś, z kim sypiają. Lub chcą sypiać.

Jej mała suczka, Księżniczka, chodzi za mną krok w krok. Nie wiem, jakiej jest rasy, ale łatwo można ją nadepnąć, taka jest malutka. Jest przyjazna, nawet ją lubię, ale muszę patrzeć pod nogi, żeby nie zdeptać jej jak mrówki.

Docieram do kuchni, przesuwam stopami po płytkach, bo unoszenie ich wymagałoby ode mnie zbyt wiele wysiłku. Otwieram spiżarnię, biorę pudełko makaronu z serem stojące obok zupy wołowo-jarzynowej i batonika proteinowego, który jest tak twardy, że jego termin ważności upłynął zapewne w ubiegłym stuleciu.

Znajduję garnek, nastawiam w nim wodę, by ugotować makaron, starając się nie podsłuchiwać rozmowy Maddie, którą prowadzi w sąsiednim pokoju. Nucę pod nosem, żałując, że nie wzięłam iPoda, który leży w sypialni, oddalonej o jakieś dwadzieścia kroków. Obawiam się jednak, że jeśli podejmę ten niebotyczny wysiłek, skusi mnie wspaniały widok wygodnego łóżka. A naprawdę muszę coś zjeść. Ostatni raz jadłam kilka stanów temu, chyba w Nebrasce.

Maddie kończy gadać i gdy wrzucam makaron do wody oraz otwieram paczkę sera, wchodzi do kuchni.

– Jesteś głodna? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Chyba tak.

Jemy w ciszy, wyjątek stanowi utyskiwanie Maddie na zawartość tłuszczu w serze oraz na jego okropny smak. Jednak gdy widzę, jak znika cała jej porcja, wydaje mi się, że ma ochotę wylizać talerz. Ja tam myślę, że posiłek był całkiem dobry. Nie można przecież zepsuć makaronu z serem.

Czekam, aż skończy, by jako gospodyni zaczęła jakąś prawdziwą rozmowę, choćby niewielką, ale kiedy tego nie robi, przejmuję inicjatywę.

– Długo tu mieszkasz, Maddie? To świetne mieszkanie.

– Jakoś ponad rok. Może być. – Brzmi na znudzoną, jakby mówienie wymagało od niej zbyt wiele wysiłku.

– Może być? Jezu, jest świetne. To apartamentowiec na obrzeżach miasta. Okolica wygląda na całkiem przyjazną, wszystkie sklepy i restauracje są pod ręką. W budynku jest podziemny parking, masz tu ochronę, siłownię i basen. To wspaniałe mieszkanie, Maddie.

Wzrusza ramionami.

– Na razie wystarczy. Szukam innego. W lepszej dzielnicy. Z ładniejszym otoczeniem. Z większą ilością udogodnień. Ale podpisałam właśnie półroczną umowę najmu, więc chyba nie będę mogła jej wcześniej rozwiązać – narzeka.

Kiwam głową. „Na razie wystarczy”? Rany, próbuję jej nie oceniać, ale im dłużej przebywam w towarzystwie Maddie, tym większe mam wrażenie, że coś jest nie tak. To znaczy, w naturze człowieka leży zapełnianie pustej przestrzeni, a lista tego, czym można ją wypełnić jest długa, czasem to coś dobrego, czasem złego. Mam przeczucie, że ona poświęca czas rzeczom, pieniądзом, dobrom materialnym. Znajduje się w punkcie, w którym pragnie się więcej i zapomina się o tym, by być wdzięcznym za już posiadane dobra. To smutne. Chciwość jak z bajki dla dzieci o muszce i pająku. Chęć zdobycia pieniędzy i luksusowych rzeczy – to pajak, a Maddie wydaje się być wielką muchą. Próbuję nie myśleć o niej negatywnie.

– Jak tam w pracy? Jesteś prawniczką, tak? – Minęło tyle czasu od jej wizyty u nas, więc przekopuję się przez wspomnienia, by wyciągnąć coś interesującego.

– Tak. W Rosenstein&Barclay, w centrum Minneapolis.

– Fajnie. – Zdaje się, że to ja muszę poprowadzić tę rozmowę. – Pewnie jesteś bardzo zajęta, ale może masz czas na jakieś hobby? Co lubisz robić w wolnym czasie?

Rozpogadza się na to pytanie, jakbym w końcu trafiła w interesującą nutę.

– Lubię robić zakupy, chodzić do kosmetyczki, fryzjera, kilka razy w tygodniu do solarium. – Mierzy mnie wzrokiem i kończy wymieniać. Najwyraźniej uznaje, że nie mamy wiele wspólnego, ponieważ moje włosy związane są w luźny kok na czubku głowy, paznokcie mam obgryzione do krwi, a spodnie od dresu oraz koszulka z logo zespołu Manchester Orchestra są cienkie i rozciągnięte od częstego noszenia i prania. Jestem opalona, jednak nie pod sztucznym światłem lamp, ale dzięki przebywaniu na zewnątrz, i jestem pewna, że Maddie o tym wie. – Och, i co rano muszę ćwiczyć. – Nacisk, z jakim to mówi, jest odrobinę niepokojący.

– Ćwiczysz w siłowni na dole? Zajrzałam tam, gdy wchodziłam. Wygląda sympatycznie. Może jutro sama pójde pobeć na bieżni.

Gwałtownie wciąga powietrze, jakbym kazała jej zjeść jakąś starą kanapkę.

– O Jezus, nie rób tego. To ohydne miejsce. Trenuję na prywatnej siłowni, blisko budynku, w którym pracuję. Nazywa się Minneapolis Club.

Mam ochotę powiedzieć: „Oczywiście, że tam trenujesz”, ale tylko kiwam głową i czekam, aż mi przejdzie.

– Brzmi nieźle, Maddie. – Wstaję i zbieram naczynia. – Chyba czas, bym się położyła. Dzięki za makaron z serem. Jutro zrobię jakieś zakupy. Teraz jestem już padnięta.

– Mogłabyś mi kupić niskotłuszczowy jogurt jagodowy? – pyta, gdy wkładam talerze i garnek do zmywarki. Prawdziwej zmywarki. Jestem tak zauroczona tą maszyną, że niemal nie słyszę pytania. Mam ochotę uklęknąć, wyciągnąć i wielbić ten sprzęt.

– Jasne. Hej, masz zaparacz do kawy? Mój nie przetrwał przeprowadzki, a tak jakby jestem uzależniona od kofeiny.

Słyszę prychnięcie Maddie, więc mam wrażenie, że czymś ją obraziłam. Kiedy mijam ją w drodze do sypialni, gdzie mam zamiar zahibernować się na jakieś siedemnaście lub osiemnaście godzin, Maddie kręci głową i przygląda mi się, jakby wyrosło mi trzecie oko.

– Dlaczego miałabym mieć zaparacz? Tuż obok jest Starbucks.

– Ach tak, oczywiście. – Chyba właśnie w taki sposób żyją prawnicy. Przytakuję i robię

mentalną notkę, by kupić jutro nowy sprzęt do parzenia kawy. – Dobranoc, Maddie.

– Dobranoc? Chyba nie idziesz jeszcze spać? Jest piąta po południu – mówi, opierając ręce na biodrach. – Myślałam, że wieczorem wyskoczymy na drinka.

– Kiedy indziej z wielką ochotą, może nawet jutro, ale dzisiaj „dobranoc” oznacza, że padam na twarz, bo nakręcona kofeiną w ogóle nie spałam, więc muszę to nadrobić. Natychmiast. Do jutra.

23 SIERPANIA, WTOREK

KATE

Otwieram oczy o dziesiątej trzydzięci siedem i czuję się znacznie lepiej. Dopiero ostatnio mogę cieszyć się snem. W przeszłości nie miałam tego luksusu od... och, chyba przez całe moje życie.

Maddie musi być w pracy, więc przy pomocy laptopa szukam najbliższego sklepu spożywczego. Jeden jest w pobliżu, więc mogę się przejść. Na dole w siłowni przez pół godziny biegam na bieżni, po czym idę pod prysznic, a następnie biorę portfel oraz telefon i wychodzę na zakupy. Kiedy wychodzę z budynku, kolejne drzwi prowadzące do Starbucksa przyciągają mnie jak świeca ćmę. Nie lubię drogich, modnych kawiarni. Wolę kameralne, urokliwe lokale. Mimowolnie jednak przekraczam próg, a moje żyły praktycznie nucą ze szczęścia. Zamawiam dużą, czarną kawę, co pewnie wkurza obsługę, bo powinnam zamówić coś wyszukanego i pretensjonalnego, jednak minęły wieki, odkąd byłam w popularnej kawiarni i desperacko łaknę kofeiny. Nie mam czasu studiować gigantycznego menu wyrobów kawopodobnych opisanych według fantazji kierownictwa.

Dostaję standardową listę pytań:

– Mleko, mleko sojowe, śmietanka?

– Nie, dzięki.

– Jakiś smak?

– Nie, czarna wystarczy. – Zniecierpliwiona kołyszę się na piętach.

Kiedy kasjerka trzyma mój napój bogów, mam ochotę krzyknąć: „Chodź do mamusi!”, zamiast tego mówię rozradowana:

– Bardzo pani dziękuję.

Odnajduję sklep spożywczy i wybieram tylko to, co dam radę zanieść do mieszkania. Los jest łaskawy i mają aż dwa zaparzacze do kawy, piętnaście dolarów za sztukę. W drodze powrotnej w jednej ręce niosę siatkę z zakupami, w drugiej, niczym świętego Graala, ściskam nowy zaparzacze.

Po powrocie do mieszkania Maddie postanawiam trochę posprzątać. Zakładam, że pewnie dużo pracuje i nie ma na to czasu, bo brudno tu jak diabli. Nie żebym była jakąś perfekcyjną panią domu, ale myślę, że przynajmniej w ten sposób mogę pomóc. Odkurzam, czyszczę kuchnię i łazienki aż do piątej po południu, kiedy to Maddie wraca do domu.

Już piętnaście minut później ogłasza, że umiera z głodu, bo nic nie jadła przez cały dzień, i że muszę spróbować sushi z tej małej restauracyjki na końcu ulicy. Tak naprawdę nie jestem fanką sushi – co jest grzechem w niektórych kręgach społecznych – no i jestem wegetarianką. To ogranicza moje możliwości, a jeśli dodać do tego moją niechęć do ryżu, wybór jest naprawdę niewielki. Oczywiście nie chcę być niegrzeczna, bo jestem gościem, mówię więc:

– Fajnie, chodźmy.

Restauracja jest pełna, ale Maddie zna kelnera po imieniu, więc natychmiast dostajemy stół.

– Często tu przychodzisz? – pytam, zaskoczona szybkością obsługi.

– Nie, tylko jakieś dwa razy w tygodniu.

Przytakuje. Przyzwyczajam się do kiwania głową, by nie okazywać szoku związanego ze stylem życia Maddie. Może nie powinnam aż tak się dziwić, ponieważ moja matka całe życie pragnęła luksusu, a w końcu to jej siostra. Być może chęć życia na wysokiej stopie ma się w genach. Jeśli tak, na pewno nie odziedziczyliśmy tego z Grace.

Przeglądając menu w poszukiwaniu czegoś jadalnego, uświadamiam sobie, że Maddie zamawia dwa martini. Wytrzeszczam oczy, ale ona zasłania się menu.

– Co byś chciała?

Pochyliam się nad stołem i szepczę:

– Maddie, mam dopiero dziewiętnaście lat. Kobieto, nie mogę pić alkoholu. – To nie tak, że nigdy nie piję, ale nie mam dziś na to ochoty. No i nie mam fałszywych dokumentów, jeśli kelner postanowi mnie wylegitymować, gdy wróci do stolika.

Maddie macha lekceważąco ręką.

– Przychodzę tu cały czas.

To ma być wyjaśnienie? Wzruszam ramionami i unoszę brwi.

– Dobra. – Postanawiam, że kiedy zostaną podane drinki, oddam jej swój kieliszek. Coś mi mówi, że nie odrzuci tej propozycji.

– Wracając do tematu jedzenia, coś wpadło ci w oko? – Przeglądając menu, wygląda jak ćpun na głodzie. Jakby sam widok karty dań dawał jej kopa.

– Tak, ale... jestem wegetarianką. Mogę zjeść tu coś bezmięsnego? – Szukam na liście potraw z warzywami.

Maddie ponownie lekceważąco macha ręką, w tym samym czasie wraca kelner z naszymi napojami.

– Zamówię dla nas obu.

Niedługo później, gdy kelner układa nam na stoliku tacki z jedzeniem, jestem totalnie oszołomiona. Kilka talerzy kolorowych rolek, jasnoróżowa i biała ryba, obok kupki zielonego wasabi.

– Maddie, to chyba pomyłka. To bardzo dużo jedzenia.

– Nie, to wszystko dla nas.

Marszczę czoło.

– Ale tu jest sześć talerzy, a my tylko dwie.

Wzrusza ramionami i przygląda mi się, jakbym mówiła po chińsku.

– Nie można się przejeść sushi. Poza tym masz urozmaicenie. Spróbuj wszystkiego po trochu.

Chyba po raz setny kiwam głową.

– No dobra. Pokaż mi tylko te rolki bez mięsa, bo dla mnie one wszystkie wyglądają tak samo.

Maddie śmieje się, jakbym powiedziała coś głupiego.

– Myślę, że bezpiecznie będzie, jeśli zjesz z tych dwóch tacek.

– Myślisz? Chodzi o moje wnętrze. – Mam wrażenie, że muszę wyłożyć jej to wielkimi literami, by zrozumiała.

Marszczy nos.

– Kate, to ohydne.

– Przepraszam. Mówię tylko, jak jest. Moje ciało nie tak łatwo oszukać i kiedy do żołądka wpadnie coś nieodpowiedniego, natychmiast zacznie się rewolucja.

Maddie wciąż marszczy nos.

– Zjedz to, co jest na tych dwóch talerzach, nic ci nie będzie.

W jej głosie brzmi jakieś trzydzieści procent pewności, a wszystko na stole pachnie rybą, mimo to postanawiam jej zaufać. Biorę kawałek, smakuje dziwnie, jednak nie potrafię stwierdzić, czy to ryż czy ryba. Tak czy inaczej, każdy kęs rośnie mi w ustach. Wmuszam w siebie trzy rolki, każdą popijając dużą ilością wody.

Maddie wypija oba martini i zjada niesamowitą ilość rolek, po czym prosi o pudełko, by zapakować to, co zostało. Nie żartuję, gdyby to nie smakowało jak szmata do podłogi, porcję, którą wepchnęła w siebie Maddie, jadłabym przez kilka dni.

Otrzymujemy rachunek, po czym ciotka grzebie w torebce, a następnie teatralnie uderza się dłonią w czoło. Ma wielki talent aktorski.

– O rany, musiałam zostawić portfel w mieszkaniu. – Patrzy na mnie błagalnie, więc już wiem, że nie ma szans, by zapłaciła rachunek.

– Żaden problem, ja zapłacę – mówię. To znaczy, jestem jej gościem i przynajmniej tyle mogę zrobić po tym, jak pozwoliła mi u siebie zamieszkać.

Przesuwa rachunek w moją stronę. Wściekam się niemal na siebie, kiedy zauważam, że opiewa na kwotę stu siedemdziesięciu trzech dolarów! W portfelu mam jedynie pięćdziesiątkę, więc wyjmuję kartę kredytową. Mam na niej rezerwy na czarną godzinę, więc staram się z niej nigdy nie korzystać. Podając kartę kelnerowi, czuję się, jakbym oddawała pierworodne dziecko. Jestem dość oszczędna i to nie dlatego, że jestem skąpa. Co miesiąc muszę po prostu płacić rachunki. Jestem odpowiedzialna. Trzymam niewielką sumkę przeznaczoną na rozrywkę albo by komuś pomóc, ale taka cena za jeden posiłek to po prostu przegiecie. *W porządku*, wmawiam sobie, więc do czasu aż kelner oddaje mi kartę, jestem pogodzona z faktem, że to nowe pouczające doświadczenie i że prawdopodobnie później będę się z tego śmiała.

Podpisuję rachunek z karty kredytowej, a Maddie przeprosza, informując, że idzie do łazienki. Do czasu jej powrotu czuję w brzuchu rozpoczynający się przewrót. To głuche burczenie, podpowiadające, że wkrótce pożałuję tego, co zjadłam.

Pospiesznie wracamy do mieszkania, w którym w ciągu ułamka sekundy zamykam się w łazience, by nie zabrudzić gaci. Zwieńczenie mojej przygody z sushi jest gwałtowne i wybuchowe.

Po oczyszczeniu układu pokarmowego postanawiam odpocząć w pokoju i poczytać. Około dziewiątej trzydzieści zaczynam nerwowo zerkać na zegarek. O dziesiątej chodzę już w kółko. Pół godziny później w dywanie niemal widać wydeptaną dziurę, moje ręce są całe spocone od kurczowego ściskania komórki. Gapię się na jej wyświetlacz od dobrych piętnastu minut. W Kalifornii nadal jest wczesnie. Wmawiam sobie, że Gus prawdopodobnie siedzi na plaży. A jeśli jest w domu i po prostu mnie unika, bo wczorajsza rozmowa była niezręczna? *Do cholery, po prostu do niego zadzwoń i miej to z głowy albo zeżre cię to żywcem.* Przewijam listę kontaktów i dotykam paska z jego imieniem. Na ekranie pojawia się jego twarz z długimi, jasnymi, z milionem słonecznych odcieni, włosami opadającymi na jedno oko. Uśmiecha się, w odsłoniętym oku widać błysk. Przed wybraniem jego numeru zawsze przyglądam się tej fotce, ponieważ czuję, jakby witał mnie w tym swoim żartobliwym stylu, jeszcze zanim usłyszę jego głos. Uśmiecham się i odprężam. Wybieram numer i czekam cztery dzwonki, aż po piątym włączy się poczta, Gus jednak odbiera.

Dyszy, jakby brakowało mu tchu.

– Straż pożarna Gusa, ugaszę cokolwiek podpalisz.

– Hej, gdzie się pali, młody?

Bierze kilka wdechów.

– Sorry, właśnie pakowałem deskę i słyszałem, że dzwonisz, ale cholerne drzwi od furgonetki były zamknięte i...

– Myślałam, że zamki się nie zamykają.

– Bo się nie zamykały, a teraz się nie otwierają. Nie mam pojęcia, jak działa ten złom. Elektryka robi, co chce.

– Może powinieneś zmienić samochód? – podsuwam, ale tylko dlatego, że wiem, iż wywołam tym dyskusję.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – udaje, że jest obrażony. Przerabialiśmy tę rozmowę przynajmniej raz w tygodniu.

– Och, no nie wiem, może dlatego, że twoja furgonetka pochodzi z osiemdziesiątego dziewiątego. A może dlatego, że na liczniku ma prawie pół miliona kilometrów. A może dlatego, że zawsze coś w niej nie działa. – Byłabym załamana, gdyby się jej pozbył. Uwielbiam tę furgonetkę, głównie dlatego, że to wielki gruchot. Gus jest bardzo troskliwy w stosunku do niej, więc fajnie się z niego ponabijać.

– Młoda, nie chodzi o jej stan, chodzi o jej charakter – broni jej zaciekle.

Śmieję się.

– Wiem. Kocham ją i jej strzaskaną duszę. – Porzucam wygłupy. – Jak tam dzisiaj fale?

– Kijowe. Dużo ludzi, miałem wrażenie, że każdy turysta wraz z bratem wypożyczył po desce i próbował się poślizgać. Pełnowymiarowy chaos. Dlaczego ludzie uważają, że po obejrzeniu jakiegoś filmu o surferach mają prawo wypożyczyć deskę i pozabijać wszystkich, którzy są już na wodzie? Kiedy miałem sześć lat, widziałem na rodeo, jak facet ujeżdża byka, ale sam bym na niego nie wskoczył. W tym sporcie też jest etykieta, wiesz? Istnieją zasady.

– No tak.

– Nieważne. A jak drugi dzień w Minnesocie?

– Byliśmy z Maddie na sushi.

– Sushi? Ty nie znosisz sushi – mówi, doskonale o tym wiedząc. Bardzo mi się podoba fakt, że jest na świecie człowiek, który tyle o mnie wie.

– Tak, a sushi nie znosi mnie. Maddie chyba pomyliła rolki z mięsem i rybą.

– Chyba nie jadłaś mięsa? – Brzmi na zmartwionego, jednak słyszę też nutę rozbawienia. Gus również od lat nie je mięsa, doskonale wie, jak choćby jeden kawałek jest w stanie brutalnie namieszać w przewodzie pokarmowym.

– Niestety. I skończyło się źle.

– O, to okropne. Przykro mi. – Jednak śmieje się z głębi piersi śmiechem, który tak kocham.

– Łatwo ci rechotać, bo to nie ty niemal narobiłeś w gacie na oczach ledwo poznanej ciotki. – Też się śmieję, ponieważ odczuwam ulgę z powodu normalnie prowadzonej rozmowy.

Gus śmieje się jeszcze głośniejszym głosem, po czym bierze kilka wdechów, próbując się uspokoić.

– Przepraszam, Promyczku. Och, potrzebowałam tego dzisiaj.

Milknie po chwili chichotu, a mnie ponownie dopada zdenerwowanie.

– Gus? – Próbuje je ukryć, ale zdradza mnie głos.

– Tak? – Przeciąga ten wyraz, jakby wiedział, co nadchodzi.

– Możemy przez chwilę szczerze porozmawiać? O... tym, co zaszło. Nie możemy dłużej omijać tego tematu. Musimy to sobie wyjaśnić.

Wzdycha przeciągle.

– Masz rację.

Zapada cisza, której najwyraźniej żadne z nas nie chce zmać, aż wreszcie odzywa się Gus:

– Słuchaj, wiem, że byliśmy pijani i pewnie zabrzmiało to jak wielki banał, ale wyszło jak wyszło. To znaczy, nie planowałem cię upić i rzucić się na ciebie.

Musi to tak spłycać? Naprawdę potrzebujemy przedyskutować ten temat.

– Nie byłam pijana. W ciągu czterech godzin wypłam zaledwie dwa kieliszki wina. Wiem też, że ty nie wypiles więcej ode mnie. Jesteś na mnie zły? Nie chcę, by między nami było dziwnie. Wiesz, ja też tego nie planowałam.

– Tak, wiem przecież. – Ponownie brzmi, jakby mówił szczerze.

Milczymy przez chwilę.

– Jesteś tam jeszcze? – pytam.

– Tak.

– No to co będzie dalej? Nie sądzę, by ktoś podał nam rozwiązanie na tacy. – Mój głos jest opanowany, ale w moim wnętrzu panuje tornado, czego nie znoszę. Zazwyczaj nie pozwalam, by coś tak mnie niepokoiło. Nie mogę. Nie czułam się w ten sposób od kilku miesięcy.

Gus pyta cicho, niemal z obawą:

– Żałujesz tego?

Wypuszczam wstrzymywane w płucach powietrze, a wraz z nim odrobinę zdenerwowania.

– Pytasz poważnie? Gus, przecież mnie znasz. Mam nawet motto: żadnych wyrzutów sumienia. Wyrzuty sumienia prowadzą do rozmyślań, gniewu i smutku, a ja nie mogę sobie na to pozwolić.

– Wiem.

Znów na chwilę zapada cisza, więc czekam, aż Gus powie coś więcej, ale on zawsze milczy, gdy się nad czymś zastanawia, więc daję mu czas.

Jednak gdy nie potrafię dłużej tego znieść, pytam:

– Ty tego żałujesz?

Prycha, ale nie umiem stwierdzić, czy to irytacja, czy może coś innego. Kiedy się odzywa, słyszę u niego rozbawienie.

– Promyczku, mam dwadzieścia jeden lat i jestem facetem. Uprawiałem seks. Jak ci się wydaje?

Ma rację, ale chcę usłyszeć jego odpowiedź. Nie tylko kolejne pytanie.

– Ale uprawiałeś seks ze mną.

– Czeka. – Słyszę kliknięcie zapalniczki i głęboki wdech, gdy zaciąga się dymem z papierosa.

– Powinieneś rzucić – wypominam mu cicho. Zazwyczaj karzę go za palenie. Muszę mu to powiedzieć, nawet jeśli tego nie widzę i nie czuję smrodu.

Ponownie głęboko się zaciąga i wydmuchuje dym.

– Wiem, ale nie zaczynaj tego teraz. – Nagle w jego głosie pojawia się smutek. Milknę,

pozwalając mu dopalić papierosa, ponieważ zawsze go to uspokaja, podobnie jak mnie gra na skrzypcach. Czekam cierpliwie.

– Przepraszam – mówi. – Nie wiem, czy to przez ciebie, ale to było... To znaczy, to, co stało się dwa dni temu było... Nie wiem...

Nie odzywam się, ponieważ wiem, że sam musi uporać się ze swoimi myślami. Dla niego ważny jest odpowiedni dobór słów. Pisze piosenki i jest pełen uczuć, więc chce zrobić wszystko, jak należy. Gus zawsze taki był. Lubi komunikację, nie gada dla samego gadania. Zatem czekam. Zawsze byłam cierpliwa.

– Mogę przez chwilę porozmawiać z tobą jak facet? To znaczy, jakbyś nie była w to zamieszana, no wiesz, jakbyś w tym nie uczestniczyła? – Jest spokojny, racjonalny, szczery. To mój Gus.

– Zawsze możesz ze mną rozmawiać, ale jeśli to ma pomóc, proszę bardzo.

– Tamta noc była, no nie wiem, zajebiście niesamowita. – Moduluje głos, jak wtedy, kiedy gra mi po raz pierwszy piosenkę, którą napisał albo gdy ślizga się na wielkiej fali niosącej go na sam brzeg. – Wiem, że to brzmi cholernie tandetnie, ale wstrząsnęłaś moim światem. – Ma rację, to strasznie tandetne, ale to Gus i wiem, że mówi prosto z serca i nie wstydzi się tak przy mnie formułować myśli. Ścisza nieco głos i kontynuuje: – Byłem z wieloma dziewczynami, naprawdę wieloma, ale ta noc była inna. Nie była przypadkowa. Było między nami... Nie wiem... połączenie. Nigdy czegoś takiego nie czułem. Nie miałem dość. – Wzdycha i mówi: – Po czym wszystko się skończyło i wyjechałaś.

– Gus – mówię, próbując go pocieszyć. Pocieszyć nas oboje. Czułam wszystko, o czym mówił, odczuwałam to wraz z nim.

Słyszę, że odpala kolejnego papierosa.

– Wiem, wiem – mówi. Czekam, ponieważ nie jestem w tej chwili pewna, dokąd zmierza ta rozmowa. Wszystko, czego jestem świadoma, to chłopak po drugiej stronie linii i przyjaźń z nim, która jest dla mnie najważniejsza na świecie. Jest moim najlepszym przyjacielem. Zawsze nim będzie. Mam tylko jego.

– Promyczku, nie będę kłamał, ale to napięrzyło mi w głowie. To znaczy wiem, że nie możemy być razem. Do diabła, nie wiem nawet, czy bym tego chciał. Wiesz przecież, że nie lubię związków. Bez obrazy. Nie chciałem cię urazić. Wcale. Po prostu... Byłaś moją przyjaciółką odkąd... od zawsze. Wszystko robiliśmy razem. Razem zmagaliśmy się z naprawdę poważnym gównem. Aż nagle: bam! Mówisz, że wyjeżdżasz na drugi koniec kraju, a ja mam na głowie wszystkie te nagrania, po czym uprawiamy seks... I to najlepszy seks w moim życiu. Z tobą, moją najlepszą przyjaciółką. Czuję teraz, że to... Nie wiem, ale wydaje mi się, że to... jakby koniec. Niemal pożegnanie. Ale nie mogę cię stracić. Potrzebuję swojej przyjaciółki.

Nawet nie wie, ile ma racji. Czasami wydaje mi się, że czyta mi w myślach.

– Cholera, Gus, kiedy stałeś się takim filozofem?

Miałam na myśli coś pozytywnego, komplement, ale Gus rozumie mnie źle. Nienawidzę telefonów. Kiedy rozmawiam, potrzebuję fizycznego kontaktu. Wolę widzieć rozmówcę i by on widział mnie. Chcę móc odczytywać mowę jego ciała i wszystkie niewerbalne wskazówki.

Najwyraźniej Gus również tego potrzebuje. Brzmi, jakby był rozdrażniony, mimo że właśnie otworzył przede mną serce.

– Promyczku, nie nabijaj się ze mnie. Kurwa, próbuję mówić szczerze.

– Nie nabijam się, jestem całkowicie poważna. – Muszę brzmieć jak desperatka. Nienawidzę, gdy ktoś mnie nie rozumie. – Cholera, żałuję, że nie mogę cię widzieć. Naprawdę musimy zainstalować Skype, czy coś w tym stylu, ponieważ te telefony mnie wykończą. – Teraz ja prychem, co jest w porządku, bo znamy się na tyle dobrze, że możemy komunikować się prychnięciami, westchnieniami, jękami, przekazując sobie informacje i emocje, których większość ludzi nie potrafi wyrazić słowami. Uwielbiam to w naszej przyjaźni. – Wszystko, co powiedziałaś, odzwierciedla to, co ja czuję. Wcześniej mówiłam poważnie. Nie chcę, by było między nami dziwnie. Kocham cię. Wiesz o tym. Zawsze będę cię kochać. I również nie mogę cię stracić. W tej chwili potrzebuję przyjaciela bardziej niż ktokolwiek na tej planecie, więc nie jesteś sam. W końcu rozmawiasz z Kate Sedgwick, wybraną przez Boga samotniczką.

– Nie mów tak – przerywa mi.

Ma rację.

– No wiem, przepraszam... Chodzi mi o to, że nawet jeśli nasze życia zmierzają w tej chwili w przeciwnych kierunkach... chcę, byś wiedział, musisz wiedzieć, że wystarczy sięgnąć po telefon. Jeśli będę musiała pomarudzić z powodu jakiegoś testu...

Znów mi przerywa:

– Ty nigdy nie marudzisz, Promyczku. A nawet gdybyś marudziła, to nigdy z powodu testu, bo zawsze dostajesz najlepsze oceny, wariatko.

Śmieję się, bo ciągle wypomina mi moje stopnie, zwłaszcza że ukończyłam szkołę średnią z wyróżnieniem. Zawsze był jednak ze mnie dumny, ponieważ od tego są najlepsi przyjaciele. Nie wie, że nie miałam na myśli testów na studiach. Jednak odpuszczam temat i mówię:

– Albo jeśli będę chciała, byś poszukał mi wegetariańskich restauracji, ponieważ mój średniowieczny telefon nie ma Internetu, a ja nie mam pojęcia, jak poruszać się po Minnesocie... A nie chcę ponownie trafić na mięso...

Znów się wcina:

– Jezu, a nie przyszło ci do głowy, by wcześniej to sprawdzić? Mają tam w ogóle jakiegokolwiek wegetariańskie restauracje? Nie ma tam jakiejś ustawy czy prawa zakazującego ich otwierania? No przecież to środkowy zachód. Podejrzewam, że jedzą mięso na śniadanie, obiad i kolację, nie?

– Albo żeby usłyszeć twój głos, ponieważ jesteś moim przyjacielem, moją rodziną, moją przeszłością... i jesteś mój.

Gus odzyskuje spokój.

– Zawsze będę przy tobie. Dokonasz wielkich rzeczy, Promyczku. Będziesz najlepszą nauczycielką, jaką widział świat.

Nie oczekuję komplementów, nie domagam się pochwał, ale serce mi rośnie, kiedy tak mówi. Zawsze chciałam zostać nauczycielem pedagogiki specjalnej.

– Wiesz, wystarczy mi, jeśli zostanę po prostu nauczycielem. Ty za to zostaniesz największą gwiazdą rocka na świecie.

Gus również nie jest łasy na komplementy.

– Mnie wystarczy, jeśli z koncertów zdołam opłacić rachunki. Nie sądzę, bym wytrzymał, pracując kolejne pół roku przy pieprzonej obsłudze korespondencji.

Choć uwielbiam zasypywać ludzi komplementami, nie robię tego, by się podlizać, ale by sprawić komuś przyjemność.

– Jesteś bardzo utalentowany, będziesz wielki, Gustovie Hawthornie. Tylko nie pozwól, by twoje ego przejęło kontrolę, dobrze?

Żartowałam odnośnie jego ego, ale Gus i tak odpowiada z powagą:

– Właśnie po to mam ciebie, Promyczku. Abyś przypominała mi, że jestem zwyczajnym Gusem... a nie kimś wielkim, jak wmawiają mi ciągle te nieszczerze gnojki.

– Dobra. – Jednak mimowolnie dodaje: – Ale jesteś wielki. – Musi o tym wiedzieć. Jest najbardziej utalentowanym muzykiem, jakiego w życiu widziałam, a widziałam ich całkiem sporo. Wcześniej muzyka była całym moim życiem. Razem z Gusem uczęszczaliśmy na prywatne zajęcia do skupiającej gimnazjum i liceum szkoły w San Diego zwanej Akademią. Znajdowała się na tej samej ulicy, na której oboje mieszkaliśmy, więc oprócz niewielkiego talentu miałam również szkołę w sąsiedztwie. Gusowi ta bliskość nie była potrzebna. On grał na gitarze, pianinie i śpiewał. Ja grałam na skrzypcach. Do naszej Akademii uczęszczali ludzie z całego kraju. Zdarzali się utalentowani uczniowie, ale Gus zawsze miał własną ligę. Pobił mnie o głowę. Od dwóch lat koncertuje ze swoim rockowym zespołem. Píše teksty, komponuje muzykę. Niemal w każdy weekend występują w lokalnych barach w Kalifornii, jednak kilka miesięcy temu przedstawiciel pewnej niezależnej wytwórni był obecny na jednym z ich koncertów w Los Angeles i podpisał z nimi umowę. Dwa tygodnie temu ukończyli nagrania do pierwszej płyty. Gus nie lubi szufladkowania do jakiegoś gatunku, jednak powiedziałabym, że grają gitarowego alternatywnego rocka. Są niesamowici, a Gus jest ich filarem, liderem. Będzie wielki.

W tej chwili porzuca powagę i znów staje się wesołym, sarkastycznym Gusem.

– Młoda, miałaś być antidotum na moje wymykające się spod kontroli ego. Przestań mnie głaskać.

Śmieję się. Przeczuję, że ta rozmowa zmierza ku końcowi i cieszę się, że kończy się w dobrym nastroju. Ponownie czuję się sobą, jakbyśmy byli przyjaciółmi, Kate i Gusem.

Jednak Gus znów staje się poważny, niemal zdenerwowany.

– Promyczku?

Teraz i ja się denerwuję.

– Tak?

– Mogę cię o coś zapytać? Obiecuję, że potem nie będę do tego wracał.

– Jasne – mówię, ale nie wiem, czy to stwierdzenie czy pytanie. *Jasne? Jasne.* Waham się.

Wymyka mu się nerwowy chichot.

– Nie proszę, byś ponownie dopieściła moje ego – mówi ze spokojem – ale muszę wiedzieć, by zamknąć całą tę sprawę, no wiesz, wyjaśnić sytuację. – Krzywię się, bo myślałam, że mamy to już za sobą. – Ale chciałem zapytać, jak było? Wiem, że byłaś z innymi chłopakami i w ogóle... ale czy, no wiesz, czy ze mną było inaczej?

Uśmiecham się, ponieważ nie zadał pytania, którego się spodziewałam. Gus jest facetem, potrzebuje podbudowania ego. I, jak już mówiłam, nie rzucam komplementów na prawo i lewo. Zawsze mówię szczerze, więc odpowiadam:

– Wstrząsałaś moim światem.

– Nie przedrzeźniaj mnie. – Uważa, że drwię, kopiując jego tandetny tekst.

– Wcale tego nie robię! Dość tego – ściagam Skype'a, jak tylko skończę tę rozmowę. Posłuchaj mnie, Gus: to była najprawdopodobniej najlepsza noc mojego życia.

– Hmm... – Słyszę uśmiech w tym mruknięciu, więc wiem, że dostatecznie

napompowałam jego ego.

- Niech ci to nie uderzy do głowy.
- Za późno. Kocham cię, Promyczku.
- Też cię kocham, Gus.
- Dobranoc.
- Dobranoc.

Odnajdując spokój, otwieram laptopa i szukam w Googlach Skype'a. Mam zamiar dowiedzieć się, jak działa, przebadać go szczegółowo, a następnie położyć się spać.

24 SIERPŃNIA, ŚRODA KATE

Śpię do dziewiątej. Maddie jest już w pracy, gdy wychodzę ze swojej komory hibernacyjnej. Cholera, czy do mieszkań prawników wentylacja wtlacza czysty tlen? Śpię tutaj jak zabita. Czuję się jak największy na świecie leń. Pamiętam, jak doktor Ridley mówił, że muszę więcej sypiać, jednak w ciągu dwóch nocy przespałam tutaj więcej czasu niż wcześniej przez tydzień. Postanawiam wziąć Księżniczkę na spacer, a później pobiegać na bieżni w siłowni na dole. Nie mogę surfować, więc biegam. Przypominam sobie, że zakwasy nie oznaczają bólu, tylko życie. A życie jest boskie. Każdy jego dzień, minuta, sekunda.

Po kąpieli czeszę włosy i myję zęby. W dziesięć minut jestem ubrana i gotowa do wyjścia. Gus zawsze się dziwił, jak dziewczyna może się wyszykować w tak krótkim czasie. On nie był w stanie ruszyć leniwego tyłka, a przygotowanie się do wyjścia zabierało mu jakieś czterdzieści pięć minut. Myślę, że społeczeństwo narzuca kobietom pewne stereotypy, którymi ja nigdy się nie przejmuję. Czas jest cenny. Nie chcę go trwonić. W dzieciństwie zawsze się rano spieszyłam, musiałam wypracować pewną rutynę. Jako nastolatka nigdy się nie malowałam, nie suszyłam włosów, nie używałam prostownicy. Prawdę mówiąc, nawet gdybym mogła jej użyć, nie wiedziałabym, co z nią zrobić. W trzeciej klasie szkoły średniej koleżanka postanowiła zrobić mi makijaż i wyprostować włosy. Z tym całym gównem na twarzy czułam się jak w masce. Nie lubię spoglądać w lustro i widzieć tam kogoś innego. Wolę w odbiciu dostrzegać starą, zwyczajną Kate. Wybrzydzam jedynie w kwestii ubrania. To znaczy przeważnie noszę jeansy, ale jeśli chodzi o górę, nie noszę rzeczy prosto z wieszaka. Przeszukuję sklepy z używaną odzieżą, zawsze wybierając bluzki z ciekawym wzorem. Wycinam z nich najlepsze części i łączę z koszulkami, które kupuje mi Gus. Gus nazywa to stylem rockowo-artystycznym. Zwał jak zwał. Mnie się podoba. Rozpinam torbę i rozkładam koszulkę z napisem: „I ♥ San Diego”, którą dał mi Gus przed wyjazdem. Palce mnie świerzbią, by zrobić z niej coś unikalnego.

Zakładam okulary przeciwsłoneczne i idę do samochodu ubrana w bluzkę własnej roboty z napisem „Surfuj lub Umieraj”. Dzisiaj jest ciepło, choć wilgotno. To przypomina mi o domu, więc podobnie się ubrałam. Jestem szczęśliwa. Muszę sprawdzić moje nowe lokum, więc jestem gotowa przejechać te dwadzieścia pięć kilometrów do Grant, do uczelnianego kampusu. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać. Kampus widziałam jedynie w broszurach informacyjnych i w Internecie.

Mieszkanie Maddie znajduje się na zachodnim krańcu miasta, tuż przy autostradzie. Grant jest położone jeszcze bardziej na zachód od tego miejsca. Znajduję odpowiedni wjazd na obwodnicę, po czym w ciągu kilku sekund mijam każdy samochód w zasięgu wzroku. Dziesięć. Liczyłam. Na autostradzie panuje mały ruch, więc czuję się niesamowicie. Czy nadchodzi apokalipsa, o której nikt mnie nie poinformował? Gdzie się wszyscy podziali? Przywykłam do korków, trąbienia i ludzi jeżdżących na autostradzie ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Co u licha? Tutaj ludzie przestrzegają przepisów? Mijając te wszystkie auta, czuję się jak kryminalistka. Przyjeżdżam do Grant zaledwie dziesięć minut później. Zwalniam na lokalnych drogach i wkrótce moim oczom ukazuje się

Grant College.

Miasteczko jest ładne, nawet malownicze. Kampus jest niewielki, budynki są stare, ale nie zrujnowane. Wyglądają na wielkie i zadbane. Akademiki również nie są nowe. Posiadają trzy piętra, ich ściany zbudowane są z cegły, po której pnie się bluszcz. Mają charakter i wyglądają zachęcająco. Wzdycham z ulgą. Za kilka dni jeden z tych budynków będzie moim domem. Już czuję się tu dobrze. Uderza mnie fakt, że to dzieje się naprawdę. Jestem studentką w Minnesocie. Po raz pierwszy w życiu jestem również sama. I nawet jeśli będę musiała przywyknąć do samotności, ta chwila wcale nie jest tak straszna, jak sądziłam.

Tuż za akademikami ciągnie się Main Street, prowadząca do centrum Grant. Rozglądam się, stojąc na świątlach. Wygląda przyjemnie z kwaciarnią, sklepem monopolowym, delikatesami, małym sklepem spożywczo-chemicznym i zakładem fryzjerskim. I wtedy to dostrzegam – kawiarnia! Nie jakaś tam nowoczesna i sztuczna, tylko prawdziwa, żywa, urokliwa kawiarenka położona przeczną od ceglanych budynków, z wielką witryną wychodzącą na ulicę. I nawet jeśli wypilałam rano już trzy kubki kawy przygotowanej w świętym Graalu u Maddie, nie mogę się oprzeć, by nie wejść do tego lokalu. Myślę, by po prostu wejść i się przedstawić, ale kiedy parkuję, już rozmyślam, jaką kawę wezmę, małą czy jak zwykle dużą. Przysięgam, to mój nałóg. Nie mogę się oprzeć kofeinie. Nie potrafię jej odmówić. Próbuję usprawiedliwić moją wizytę, wmawiając sobie, że być może potrzebują kogoś zatrudnić. A ja potrzebuję pracy. Na wczoraj.

Drzwi są wielkie i misternie rzeźbione, wyglądają, jakby ważyły z tonę, więc chwytam za klamkę i pcham z całej siły. Praktycznie upadam na tyłek, gdy to cholerstwo, nie stawiając oporu przesuwa się lekko niczym piórko. Nad nimi huczy dzwonek. Ogluszająco. Rozglądam się szeroko otwartymi oczyma. Po jednej stronie lokalu na sofie siedzi chłopak z nosem w książce, przy niewielkim stoliku koło okna jakaś para, za ladą zaś stoi facet, wszyscy unoszą wzrok, przyglądając się mojemu wielkiemu wejściu. Instynktownie staram się uciszyć dzwonek, by już nikt nie zwracał na mnie uwagi, ale gdy wyciągam rękę, nie mogę go dosięgnąć. Mam metr pięćdziesiąt dwa, a dzwonek zawieszony jest kilka centymetrów ponad zasięgiem mojej ręki. Uśmiecham się zawstydzona, a kiedy dzwonek wreszcie milknie, rzucam szeptem:

– Jestem.

Potwierdza to uśmiechający się zza lady brunet:

– Tak, zdecydowanie jesteś. – Mówi z akcentem, ale nie wiem jakim. Ma około czterdziestki, kruczoczarne włosy, cerę koloru toffi i wielkie, ciemne, promienne oczy. I wcale nie drwi, raczej jest przyjazny. Już go lubię.

– Jesteś tu nowa, prawda? – Gestem zaprasza, bym podeszła. – Jestem Romero. Witamy w Grounds na Main Street, moja droga. – Salutuje mi i zamiast czuć się głupio, jestem mile zaskoczona.

Niezdarnie salutuję w odpowiedzi.

– Tak, emm... super, a ja jestem Kate. – Kiedy to zmieniałam się w bełkoczącego, nieudolnego ciołka? Odchrząkuję i podaję rękę Romero. – Jestem Kate Sedgwick i masz rację, jestem tu nowa. – Śmieje się. – To aż tak oczywiste? Cóż, całkowicie rozwalłam swój kamuflaż. Właściwie nie chciałam zwracać na siebie uwagi, ale wchodząc, rozhuśtałam dzwonek tak, że obudziłby umarłego.

Mężczyzna śmieje się ciepło.

– Bez obaw. To niewielka społeczność. Znam tu wszystkich. Jednak ciebie, Kate Sedgwick, nigdy wcześniej nie widziałem. Pochodzisz z Kalifornii? – Kiedy wymawia tę nazwę, dzieli ją na cztery odrębne sylaby.

Ściągam brwi, zastanawiam się, skąd, u licha, to wie.

– Tak, masz rację.

Widząc moje zmieszanie, wskazuje przez witrynę na mój samochód.

– Rejestracja. Gdzie mieszkasz w Kalifornii?

Zmarszczki znikają z mojego czoła.

– A tak, no przecież. Jestem z San Diego, mieszkałam tam od urodzenia.

Na jego twarzy maluje się autentyczny ból.

– Och, Kate, biedactwo, życzę powodzenia w zimie. Ja jestem z Salwadoru, więc mogę cię zapewnić, że zimy w Minnesocie nie są dla osób o słabym sercu. – W nazwie tego stanu znów wymawia każdą sylabę oddzielnie.

Prycham, ponieważ przywołał jedyny lęk, który odczuwam w związku z przeprowadzką – zimno.

– Tak, słyszałam, że są do dupy.

Śmieje się, a jego oczy błyszczą.

Chłopak czytający książkę na kanapie potwierdza:

– Naprawdę są do dupy. – Kiedy się obracam, zauważam, że nadal patrzy w strony książki, ale się uśmiecha. Jest rudy, ma gęstą brodę. Bezwiednie zastanawiam się, czy nie dusi się na tym upale. Jego uśmiech jest niewinny, wręcz młodzieńczy. Cała jego postawa mówi, że jest hipsterem. Nie odzywa się już, więc wracam uwagą do Romero, który pyta:

– Czym mogę ci służyć, Kate?

Spoglądam na menu na tablicy zawieszanej na ścianie za nim. Wiem, że będę tu stałym klientem i nie chcę obrazić go już na wstępie, nie przestrzegając etykiety. Czuję ulgę, widząc, że wszystkie pozycje ułożone są według ceny i posortowane na małe, średnie oraz duże porcje.

– Może mógłbym ci coś polecić? Lubisz jasną, średnią czy ciemną? Espresso? Cappuccino? A może coś zimnego, by się schłodzić?

Nigdy nie byłam kawowym snobem. Kawa to kawa. Nie zaprzętałam sobie głowy jakimiś fantazyjnymi wynalazkami.

– Tak naprawdę chciałabym prosić wielki kubek mocnej kawy.

Najwyraźniej była to właściwa odpowiedź, ponieważ dwukrotnie stuka w ladę palcami. To gest zadowolenia, mówiący, że Romero zgadza się ze mną całkowicie i dokładnie wie, czego mi trzeba.

– W takim razie musisz spróbować lokalnej mieszanki.

Tak, muszę. Natychmiast.

– Brzmi idealnie.

Romero przechyla głowę zaciekawiony.

– Czy dodać do kawy coś jeszcze?

– Nie, dziękuję, piję czarną.

Jego uśmiech się poszerza, gdy spogląda na brodatego chłopaka siedzącego na kanapie, jednocześnie wskazując na mnie dłonią.

– Słyszałeś, Duncan? Pije czarną.

Duncan uśmiecha się i unosi w toaście ceramiczny kubek.

– Słyszałem, Rome. Witaj w klubie, nowa dziewczyno.

Romero wciąż szeroko się uśmiecha, ale mówi ciszej:

– Nikt nigdy nie chce zwykłej, czarnej kawy. – Wyraźnie słyhać jego akcent, więc muszę się koncentrować na każdym słowie, by wszystko dobrze zrozumieć. – Niszczą ją dodatkami. – Puszczą do mnie oko. – Tylko nieliczni z nas doceniają smak prawdziwej, czarnej kawy.

Gdy Romero przygotowuje mój napój, czuję, jakbym przełamała lody i jakbyśmy się zaprzyjaźnili, mimo wszystko jesteśmy w jednym klubie, więc zbieram się na odwagę i pytam:

– Nie chcesz przypadkiem kogoś zatrudnić, co? Właśnie przyjechałam i w poniedziałek zaczynam zajęcia, więc muszę znaleźć robotę, która szybko zapewni mi dopływ gotówki.

Romero wzdycha, podając mi wielki, kartonowy kubek.

– Och, Kate, niestety nie. Prowadzę tę kawiarnię razem z moim partnerem, Danem. Mamy tylko jednego pracownika, który pomaga nam przeważnie rano. – Stuka się palcem w podbródek i ponownie uśmiecha. – Ale możesz zapytać na rogu, w kwaciarni „Trzy Petunie”. Mary mówiła wczoraj, że przydałaby się jej pomoc.

Kładę na ladzie dwa banknoty, by zapłacić za kawę i zostawić napiwek.

– Super, miło z twojej strony. Dzięki. – Dmucham na kawę, biorę łyżeczek, po czym obracam się i idę do drzwi. Napój ma bogaty i głęboki smak, właśnie taki, jak lubię. Trzymając za klamkę, unoszę kubek w kierunku Romero. – Kawa jest wspaniała, Romero. Miłego dnia.

Salutuje mi.

– Wzajemnie, Kate Sedgwick.

Żar leje się z nieba, gdy przechodzę przez ulicę, zmierzając w stronę „Trzech Petunii”. Uświadamiam sobie, że temperatura sięga jakichś trzydziestu pięciu stopni i wilgotność stu dziesięciu procent, a ja, jak ta kretynka, idę w słońcu z wielkim kubkiem parującej kawy. Zaraz jednak uśmiecham się do trzymanego w dłoni naczynia, ponieważ czuję, że kofeina zaczyna działać, a dwie przecznice dalej być może czeka na mnie praca.

Ostrożnie otwieram drzwi kwaciarni, ponieważ i tutaj rozlega się dźwięk dzwonka. Mimowolnie wzdycham z irytacją i niedowierzaniem.

– Rany boskie! – *Co jest z tymi małymi miasteczkami w Minnesocie i obsesją ich mieszkańców na punkcie dzwonek?* Chociaż ten to delikatny dzwoneczek. Mam wrażenie, że mieszkając tutaj, stanę się dzwonekowym ekspertem.

Kobieta za ladą ma dominującą aparycję. Wygląda na niewiele starszą ode mnie, jest wysoka i ma krągłości we wszystkich właściwych miejscach. Niektóre dziewczyny są urocze, niektóre piękne, niektóre seksowne. Ta zdecydowanie jest seksowna. Ma czarne włosy obcięte na sięgającego ramion boba, grzywkę, ciemną oprawę oczu podkreśloną czarną kredką. Jej wizerunek jest mroczny, jednak nie w gotycki, depresyjny sposób. Bardziej jakby chciała wyeksponować drapieżność. Niełatwo mnie onieśmielić, ale ta dziewczyna właśnie mnie... onieśmiela.

– Tobie również dzień dobry – mówi, odpowiadając na to, co mi się wyrwało. Ma ochrypy głos, jakby od urodzenia wypalała dziesięć paczek papierosów dziennie, a do tego przez ostatni rok była przeziębiona. Mam przeczucie, że sam jej głos mógłby skopać mi tyłek. To jakby jej supermoc.

Nie daj jej wyczuć strachu, mówię sobie.

– Och, cześć – rzucam z nonszalancją. – Przepraszam, zachowałam się niegrzecznie, ale o co chodzi z tymi dzwonekami w całym mieście?

Przeogląda mi się, ale nie opuszcza przy tym głowy, jak zrobiła to Maddie. Nie wiem, czy jest ciekawa czy rozbawiona.

– Dzwonekami?

– Tak, nad drzwiami. – Wskazuję w górę.

Nadal ma tę minę, ale odpowiada rzeczowo:

– Dają znać, że ktoś wchodzi.

– Bez jaj, Sherlocku. – Zbyt późno orientuję się, że mój komentarz był niestosowny. Nie mogę się odnosić do ludzi tak, jak to robię w domu, przecież pierwszy raz widzę na oczy tę kobietę... Tę intensywną, onieśmielającą kobietę.

Prycha oszołomiona. Nie wiem, czy ją rozśmieszyłam czy obraziłam.

– Bez jaj – potwierdza. – I jestem Shelly, nie Sherlock.

Chyba ją lubię, nawet jeśli trochę mnie przeraża. Jest bezpośrednia, a ja lubię bezpośredniość. Nie trzeba zgadywać. Podchodzę i wyciągam ku niej rękę, ale widzę, że jej dłonie tkwią w kwiatkach w wazonie. Cofam więc rękę i mówię:

– Kate.

– Kate, a cóż cię do nas sprowadza? – Znow taksuje mnie wzrokiem, choć wygląda, jakby straciła zainteresowanie.

– Byłam właśnie w Grounds. – Na dowód unoszę kubek. – Romero mówił, że Mary szuka pracownika.

Shelly dmucha w górę, by pozbyć się z oczu grzywki i znow mi się przygląda, jakby starając się zdecydować, czy jestem godna informacji.

– Mary to moja mama, jest właścicielką kwiaciarni.

– Zatem ty masz kogoś zatrudnić? – pytam z nadzieją, nagle czując, że się rumienię.

– Pracowałaś kiedykolwiek w kwiaciarni?

Kręcę głową.

– Nie. – To zapewne mnie eliminuje, ale na pewno nie mam zamiaru kłamać.

– Masz jakieś doświadczenie w ogrodnictwie? – Czuję się, jakbym była przesłuchiwana w jakimś serialu detektywistycznym i jakby jej partner przyglądał mi się zza weneckiego lustra.

Wzruszam ramionami.

– Człowiek, od którego wynajmowałam ostatnio mieszkanie, pan Yamashita, był ogrodnikiem. Zgaduję, że to się nie liczy? Nie ma to ze mną zbyt wiele wspólnego?

Prycha. Tak, jest prychaczką. Uwielbiam ją.

– Potrafisz odróżnić goździk od róży?

– Jasne.

Jej ostra prezencja nie znika, jednak ku mojemu zaskoczeniu dziewczyna mówi:

– Zabieraj tyłek za ladę i chodź mi pomóż. I tak jestem tu uziemiona na całe popołudnie. Zobaczmy, jak sobie poradzisz.

Wkładam fartuch, który mi podaje.

– Młoda, to dopiero była kosmiczna rozmowa wstępna. Spociłam się jak mysz.

Na mój sarkazm przewraca oczami.

– Skoro tak mówisz. Młoda.

Kwaciarnia jest mała i staromodna. Mówiąc staromodna, nie mam na myśli

przestarzałej rudery, lecz uroczy lokal. Jest w nim kilka antycznych stolików, na których wyeksponowane są rośliny doniczkowe i przygotowane bukiety. To słodkie. I ta woń... Och, pachnie tu jak w niebie.

Za ladą zauważam, że wszystko ma swoje miejsce. Rzeczy są poukładane niemal w obsesyjnym porządku. Shelly pracuje jak tornado. Biega po pomieszczeniu, przygotowując cztery bukiety jednocześnie. Obserwuję i słucham, starając się pomagać, kiedy tylko mogę. Najczęściej ściemniam.

Przez godzinę pracujemy w ciszy, która rani moje uszy.

– Macie tu jakieś radio czy coś takiego? – pytam.

Nie patrząc na mnie, wskazuje półkę po drugiej stronie kwaciarni.

Czuję, że powinnam spytać, ponieważ nadal nie wiem, czy mogę z niego skorzystać.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli je włączę? Przydałaby się jakaś muzyka. Cisza jest ogłuszająca.

Kręci głową.

Podchodzę do radia, przy pracy potrzebuję muzyki. Do diabła, potrzebuję jej nieustannie, zwłaszcza gdy coś robię. Muzyka stanowi moje sedno. Jest czystą emocją, a ja potrzebuję takiego dopalacza.

Przez chwilę przeszukuję częstotliwości, aż znajduję jakąś stację. Shelly ożywia się, słysząc dźwięki.

– Zostaw, to dobra piosenka. Zaczęli ją grać w zeszłym tygodniu. Ostra gitara. Słyszałaś ją już?

Przytakuję i wracam za ladę. Znam tę piosenkę, Shelly ma rację co do gitary. Słyszałam ją po raz pierwszy już jakieś cztery czy pięć miesięcy temu, kiedy ukazała się płyta, jednak nie chcę tego przyznawać jak jakaś wszytkowiedząca mądryla, więc odpuszczam.

– Tak. Jest dobra. To jakaś lokalna stacja?

W odpowiedzi Shelly mruczy oschle:

– Noo, to uczelniana stacja. Tylko ona jest coś warta. Reszta jest gówniana.

Szturcham ją łokciem.

– Nie mów, że jesteś muzyczną snobką, Shelly.

Unosi brew, jakby wiedziała, że została przyłapana.

– *Mea culpa*. Uwielbiam muzykę, a ciężko znaleźć coś dobrego. – Jej twarz nieco się rozpogadza. – To zabrzmiało, jakbym była jakimś pieprzonym ćpunem, co?

Znam to uczucie. Razem z Gusem nieustannie przeczesywaliśmy sieć w poszukiwaniu najnowszych muzycznych trendów, niczym para narkomanów szukająca dobrej działki. Od lat tworzyliśmy naszą kolekcję, która teraz jest ogromna. Na moim iPodzie już chyba nic się nie zmieści, resztę mam na dysku laptopa.

– Może po prostu nie znalazłaś właściwego dilerka. Kiedyś przyniosę swojego iPoda. Masz tu stację dokującą lub głośniki, do których mogłabym go podłączyć? – Uwielbiam ludzi, z którymi można porozmawiać o muzyce, zwłaszcza jeśli mogę puścić im kawałek, którego jeszcze nie słyszeli. Odkrywanie nowych rzeczy jest jak magia. Muzyka istnieje po to, by jej słuchać, więc według mnie każdy powinien z niej czerpać. Garściami. Muzyka ma moc. Łączy ludzi.

Shelly waha się, po czym kiwa głową.

– Dobra, mam stację, którą mogę przynieść. Czego słuchasz?

– Och, wszystkiego. Każdego gatunku, oprócz country, nie potrafię tego słuchać. Brzmi

sztucznie. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale ta muzyka jest tak słodka, że dostaję cukrzycy. Nawet wesołe piosenki wywołują u mnie depresję. – Zgadza się ze mną. – Generalnie ciągnie mnie do niszowych zespołów. Wiesz, lubię poznawać, do czego są zdolne. No i wspieram zespoły z Kalifornii. Taki lokalny patriotyzm. Zapewniam, że potrafią stworzyć dobre kawałki.

Shelly wytrzeszcza oczy do granic możliwości, jakby udało jej się właśnie dopasować kawałek układanki.

– Oczywiście. Jesteś z Kalifornii. Zastanawiałam się nad tym od rana. Po opaleniu domyśliłam się, że musisz być z południa, ale pomyślałam, że koszulka z napisem „Surfuj lub Umieraj” jest zbyt oczywistą wskazówką. Naprawdę surfujesz, czy to tylko na pokaz?

Śmieję się z jej dosadnego wniosku.

– Surfuję, oczywiście.

– Serio? – Mówi z powątpiewaniem.

– Tak.

Kiwa głową.

– A tak przy okazji, ta koszulka jest świetna. Gdzie ją kupiłaś?

Wzruszam ramionami.

– Sama zrobiłam.

Znów we mnie wątpi.

– Serio?

Jej przesłuchanie mi nie przeszkadza.

– Tak. Wszystkie moje koszulki są mojej własnej roboty.

– Aha – mówi tylko tyle i choć wygląda, jakby była pod wrażeniem, wydaje mi się, że przyznanie tego zabiłoby ją. Niezbyt dobrze ukrywa emocje. Jeśli uważnie się przyjrzeć, przebijają przez jej zewnętrzną maskę.

Uczelniana stacja okazuje się całkiem dobra. Prawie wszystkie piosenki są w stylu niezależnego lub alternatywnego rocka i sprawiają, że myślę o Gusie. Spodobałaby mu się ta stacja. Niemal spodziewam się, że z głośników popłyną dźwięki piosenek zespołu Rook.

Po skończonej pracy Shelly klepie mnie w plecy.

– Świetnie sobie poradziłaś jak na kogoś, kto nie ma pojęcia o tym, co robi.

Marszczę brwi.

– Dzięki... Chyba. – Uśmiecham się, by wiedziała, że się drocę.

W kącikach jej oczu widzę formujący się uśmiech, jednak nie ukazuje się w pełni na jej ustach.

– Nieważne. Będiesz mogła pracować w poniedziałki, wtorki, środy i okazjonalnie w soboty?

– Tak.

– Jesteś przyjęta.

W duchu skaczę jak sprężynka, choć na zewnątrz jestem spokojna.

– Dzięki.

– Nie zapytałam cię o to, ale zakładałam, że jesteś studentką. Ja w tym roku kończę Grant. Na kierunku muzycznym, klasa fortepianu klasycznego.

– Bez jaj. Grasz na fortepianie? Zarąbiście, Shelly. – Wiem, że słyhać w moim głosie zaskoczenie, ale tak właśnie się czuję. Dziewczyna jest twarda, więc nigdy bym nie pomyślała, że może grać na fortepianie klasycznym. – Do drugiego roku pozostało mi kilka

egzaminów, więc praktycznie jestem pierwszakiem. – Krzywię się na myśl o mojej niecodziennej edukacyjnej ścieżce.

Półtora roku temu ukończyłam szkołę średnią i dostałam tutaj pełne stypendium na kierunku muzycznym w klasie skrzypiec, jednak życie miało inne plany... więc zostałam w San Diego. Pracowałam z Gusem przy obsłudze poczty w agencji reklamowej jego matki, jednocześnie uczęszczając na miejscową uczelnię. Byłam szczęśliwa. Wszystko wydawało się świetne. Lecz trzy miesiące temu, w czerwcu, wszystko szlag trafił. Mój świat został wywrócony do góry nogami. Musiałam wyjechać z San Diego. Mimo że zbliżał się semestr zimowy, ponownie złożyłam dokumenty do Grant, choć już nie na kierunek muzyczny. Stwierdziłam, że nie mam nic do stracenia. Czekałam niecierpliwie na list, który przyszedł w połowie lipca, pisano w nim, że nie tylko mnie przyjęto, ale także przyznano stypendium, dzięki któremu będę mogła opłacić chesne, mieszkanie i wyżywienie. Byłam ogromnie zaskoczona. Dałam znać panu Yamashito i z końcem lipca przeprowadziłam się do pokoju gościnnego Audrey Hawthorne, gdzie mieszkałam do czasu, aż kilka dni temu przyjechałam tutaj.

Mama Gusa jest jednym z moich ulubionych ludzi na tym świecie. Znam ją całe swoje życie. Gdy myślę o „matce”, widzę Janice Sedgwick, ale kiedy myślę o „mamie”, widzę Audrey. Gus wciąż z nią mieszka. Jest maminsynkiem.

Shelly patrzy na mnie ze smutkiem.

– Będiesz mieszkała w akademiku?

– Tak, wszystkie pierwszaki muszą tam mieszkać, prawda?

Jej smutna mina pozostaje bez zmian.

– Tak.

– Oglądałam je dzisiaj. Wyglądają świetnie. Jestem podekscytowana faktem, że tam zamieszkać. – Naprawdę się cieszę.

Klepie mnie w ramię.

– Nie trać tej ekscytacji – przedrzeźnia mnie. – Ale muszę cię ostrzec, to mała uczelnia, tworzą się tutaj zamknięte grupy. Jest tu sporo rozpieszczonych, bogatych dzieciaków. Nie pozwól, by złapali cię za jaja, jeśli wiesz, o co chodzi.

Kiwam głową, dziękując za troskę.

– Zapamiętam. Dzięki Bogu, moje jaja są odporne na łapanie.

Przysięgam, że niemal się uśmiecha.

Żegnamy się, po czym idę do kawiarni, by podziękować Romero za wskazanie miejsca pracy, a następnie wracam do Maddie. Tym razem podróż zajmuje mi dziewięć minut, cały ten czas cieszę się z udanego dnia, jaki miałam w Grant. Wiem, że dokonałam właściwego wyboru.

W Kalifornii nadal jest wcześnie i zapewne Gus jest w pracy, więc zamiast dzwonić, piszę SMS-a.

Ja: DOSTAŁAM DZISIAJ PRACĘ W KWIACIARNI.

Gus: SUPER! MAM WIECZOREM SPOTKANIE ZESPOŁU. POGADAMY JUTRO? KOCHAM CIĘ.

Ja: OK. POWODZENIA. POZDRÓW CHŁOPAKÓW. KOCHAM CIĘ.

25 SIERPANIA, CZWARTEK KATE

Najlepsze wydarzenie dnia: spróbowaliśmy z Gusem rozmawiać przez Skype'a, po czym zdecydowaliśmy, że jego twórcy należy się Nagroda Nobla i/albo państwowy order za zasługi, i/albo skandalicznie wysoka nagroda, nawet jeśli nie są takowe przyznawane w dziedzinie technologii, ponieważ Skype jest genialny.

Najgorsze wydarzenie dnia: miałam pierwszą wizytę u doktora Connella w szpitalu Metodystów w Minneapolis. Było mniej więcej tak, jak się spodziewałam. Podobnie jak doktor Ridley z San Diego, doktor Connell realnie przedstawił moją sytuację, co doceniam i szanuję. Zlecił serię badań i ustalił przebieg leczenia. Jest lekarzem z misją, chce iść na całość. Ja nie jestem taka odważna. Nie zgodziłam się. To mu się nie spodobało. Wysłałam z jego wizytówką, umówioną kolejną wizytą za miesiąc oraz wspomnieniem jego zmartwionej miny.

Lekarze zazwyczaj potrafią zachować pokerową twarz. Jednego jestem pewna. Jeśli kiedykolwiek pojedę do Vegas, nie zaproszę do pomocy przy stoliku doktora Connella.

26 SIERPANIA, PIĄTEK

KATE

Jak zwykle jestem spóźniona, więc kiedy wpadam na stołówkę, muszę poszukać jakiegoś wolnego miejsca. Przy zatłoczonych stolikach stoi kilka pustych krzeseł, ale mój wzrok zatrzymuje się na niewysokim, siedzącym samotnie chłopaku. Ma na sobie staromodną koszulę w prążki, jaką zakładali do pracy listonosze, kraciastą muszkę i trochę za krótkie, czerwone, eleganckie spodnie, ujawniające niebieskie skarpety w romby, do tego białoczarne mokasyny. Nagle już wiem, gdzie powinnam usiąść. Ma świetny styl i aby założyć coś tak śmiałego, trzeba mieć również charakter i odwagę. Jestem zdecydowana, że muszę go poznać. Podchodząc, zauważam, że stara się być opanowany, ale lekko się garbi, musi być więc mocno zdenerwowany. Mam ochotę poklepać go po plecach, by trochę się rozluźnił. Lubię dotyk, choć zdażyłam się już nauczyć na błędach, że nie wszyscy dzielają mój punkt widzenia. Najpierw powinnam się przedstawić.

– Zajęte? – pytam grzecznie.

Wzdryga się na dźwięk mojego głosu, ale obraca twarzą do mnie.

Uśmiecham się. Jego muszka jest tak cholernie słodka. Ponawiam pytanie:

– Zajęte? – Wskazuję na krzesło stojące obok niego, choć wszystkie miejsca przy tym wielkim stole są wolne.

Jego uśmiech poszerza się, a ciało nieco odpręża.

– Nie. Nikt tu nie siedzi. Proszę. – Wiem, że słowo „nimfa” nie pasuje do męskiego opisu, ale to właśnie jako pierwsze przychodzi mi do głowy, kiedy widzę jego uśmiech. Chłopak jest zadbany i ubrany szykownie niczym nimfa.

– Młody, ta koszula jest wypasiona – mówię i wskazuję na nią, zajmując miejsce. Ma etykietkę z imieniem „Frank”. Nie przegapił nawet tego szczegółu. – Jestem Kate. – Podaję mu rękę, którą lekko ściska. Ma miękkie dłonie.

– Dziękuję... Chyba. Czy Kate to zdrobnienie od Katherine? Jestem Clayton. – Jest formalny, ale nie w snobistyczny sposób. Mimo to temu chłopakowi przydałaby się odrobina luzu. – Twoja koszulka też jest niczego sobie – dodaje. Mam na sobie bokserkę z napisem „Tijuana jest muy bueno”. Tekst wycięty jest z trzech różnych koszulek i oprawiony czarną wstążką.

– Dzięki, Clay. – Wydaje się, że mówi szczerze. – I po prostu Kate. Katherine jest imieniem, którym nawet matka by mnie nie nazwała.

– Proszę, Katherine. – Uśmiecha się nieśmiało. – A ja jestem po prostu Clayton. Nawet matka nie nazwałaby mnie Clay.

Śmieję się.

– No to jak będzie? – Lubię tego chłopaka. Jest dowcipny. Nie jest zamknięty w sobie, nawet jeśli wygląda, jakby się cholernie denerwował samym przebywaniem w tym miejscu.

Właśnie w tej chwili na stołówkę wchodzi jacyś oficjele kampusu i rozpoczynają godziną gadkę na temat życia i nauki w Grant College. Wymyka mi się cichy chichot, gdy dziekan, witając nas, używa słów: „Doświadczajcie studiowania na uczelni, jaką jest Grant College”. Clayton również tłumnie śmieje i przykładając sobie palec do ust, nakazuje mi

ciszę. Milknę, gdy uświadamiam sobie, że śmiejemy się jako jedyni. Dziekan nie wypowiada się z humorem czy ironią, naprawdę tak sądzi. I wszyscy są zachwyceni. „Doświadczajcie studiowania”. Po chwili uświadamiam sobie również, że ten facet nie tylko mówi poważnie, ale zamierza nam o tym opowiedzieć. Żyje tym „doświadczeniem”. Teraz, kiedy już wiem, o co chodzi, czuję się, jakbym weszła do namiotu jakiejś sekty lub na motywacyjne seminarium. Ogromny entuzjazm bijący z tego gościa jest wręcz niewiarygodny, więc dla czystej rozrywki się poddaję i nawet jeśli nie kupuję tego, co mówi, w przeciwieństwie do reszty zgromadzonych tu ludzi, dobrze się bawię, mogąc się przyglądać i słuchać. Część zasad, które nam objaśnia ze śmiertelną powagą, są najśmieszniejszymi rzeczami, jakie kiedykolwiek słyszałam. Poza zduszonym chichotem na początku i okazjonalnym rzutem oka w moją stronę, kiedy dziekan mówił coś przezabawnego (przynajmniej dla nas dwojga), Clayton jest mocno skoncentrowany, jakby przygotowywał się do operacji mózgu, którą niedługo będzie musiał przeprowadzić. Robi rozległe notatki, przez co przypominam sobie, że nawet nie wyciągnęłam długopisu. Teraz żałuję, że nie zapisałam kilku zasad, ponieważ Gus miałby się z czego śmiać. Wszystko, co zapamiętałam, to stereotypowe banały. Dziekan jest ich wielkim fanem.

Po gromkim pożegnaniu:

– Doświadczajcie studiowania na Grant College!

Rzucam z nieokiełznaną radością:

– Jii-haa! – Co na szczęście zagłuszają oklaski i wivaty innych studentów pierwszego rocznika. Clayton przewraca oczami, jakby zawstydział go mój entuzjazm. – No co? – pytam. – Po prostu się cieszę, młody. To była naprawdę inspirująca gadka. – Odwracam się do niego i udając głos dziekana, mówię: – Wasz los jest w waszych rękach. Macie świetlaną przyszłość. Jesteśmy w Grant jedną wielką szczęśliwą rodziną. Wasze życie zaczyna się właśnie teraz.

Clayton kręci z powagą głową, jednak na jego twarzy maluje się cień uśmiechu.

– Katherine, to była godzina z mojego życia, której już nigdy nie odzyskam – komentuje oschle. Parskam śmiechem.

– Och, Clayton, nie oddałabym tej godziny za całą kawę Kolumbii.

– Chyba powinnaś powiedzieć: za całą herbatę Chin.

Kręcę głową.

– Nie znoszę herbaty.

Clayton kręci głową, jakby nie wiedział, co ze mną zrobić.

Tłumię śmiech i mówię:

– Moje oczy otworzyły się jak u nowo narodzonego dziecka na doświadczanie studiowania na Grant College. To będzie cholernie niesamowite.

W końcu się uśmiecha i rzuca we mnie ołówkiem.

– Katherine, ciszej!

Wskazuję na notatnik nadal leżący przed nim na blacie.

– Zapisałeś mądrości dziekana? Jezu, spisałeś słowo w słowo. To bardzo obszerne notatki, Clayton.

Rumieni się.

– Jestem skrupulatny.

Głupio mi teraz, że go zawstydziałam. Wstając, klepię go w ramię.

– Oj, żartuję, Clayton. Jestem leniwa, a ty jesteś nadgorliwy. Jakoś to pogodzimy.

Chodźmy znaleźć nasze pokoje w akademikach.

Jestem zaskoczona, kiedy wstaje, zakłada skórzaną torbę na ramię i bierze mnie pod rękę. Lubię dotyk, ale on wyraźnie nie prowadzi mnie, tylko chce być prowadzony. Zastanawiam się, czy wydzielam jakiś specyficzny zapach, jak na przykład karmiąca matka, ponieważ niektórzy ludzie lgną do mnie z jednego powodu, a jest nim fakt, że potrzebują opieki. Moją nową misją jest: „osłonić Clayтона przed burzą, a przynajmniej łagodnie go przez nią przeprowadzić”. Mam przeczucie, że jego życie nie zawsze było usłane różami. Wybrał właściwą przyjaciółkę. Potrafię być wspaniałym parasolem, możecie mi wierzyć.

Nakrywam dłoń, którą oparł na moim przedramieniu, swoją.

– Rozpocznijmy więc to cholerne doświadczenie studiowania na Grant College.

Okazuje się, że nasze pokoje znajdują się po dwóch stronach tego samego korytarza. Przekłęte przeznaczenie. Nasze nazwiska oraz nazwiska naszych współlokatorów umieszczone są na drzwiach. Obok nazwiska Clayтона widnieje: Peter Samuel Longstreet III. Modłę się w duchu: *Proszę, Boże, błagam, niech Pete nie będzie homofobicznym gnojkiem*, ponieważ przez godzinę, którą spędziłam z Claytonem, zaczęłam mieć pewność, że słodki, uroczy Clayton na dziewięćdziesiąt dziewięć procent lubi chłopców tak bardzo, jak ja.

Moja współlokatorka została skrzywdzona już przy urodzeniu i nazwana – nie żartuję – Sugar Starr LaRue. Czy jej rodzice w ogóle przemyśleli swoją decyzję? Bardzo się staram trzymać fantazję na wodzy, ale pierwsza myśl, jaka wpada mi do głowy to: *striptizerka*. No wiem, wiem. Równie dobrze może być czystą, piękną, pruderyjną panią, ale ciężko takich personaliów nie powiązać ze scenicznym pseudonimem, nie sądzicie? Kiedy myśl o striptizerce zagnieżdża się w mojej głowie, czuję, że będę rozczarowana, gdy ta dziewczyna okaże się całkiem zwyczajną.

Pomagam Claytonowi przenieść rzeczy z samochodu do nowego pokoju, po czym on pomaga mnie. Peter Samuel Longstreet III pojawia się gdzieś w trakcie, więc pomagamy i jemu. Jest wysoki, ma niewielki brzusek, jasnobrązowe włosy przystrzyżone na jeża i lekki trądzik. Ubrany jest w spodnie koloru khaki, zieloną koszulkę polo oraz brązowe mokasyny. Gościu przypomina agenta ubezpieczeniowego w średnim wieku w ciele nastolatka. Wygląda dość przeciętnie, choć niewinnie. To znaczy bardzo niewinnie. Już po pięciu minutach rozmowy z nim uświadamiam sobie, że mam wiele racji. Jest bardzo nieśmiały i mocno spięty. Przez chwilę odmawiam w duchu modlitwę dziękczynną: *Dziękuję Ci, Boże. Pete wydaje się sztywny, ale nie sądzę, by był złośliwy i nienawistny. Wielkie, naprawdę wielkie dzięki*.

Wiem, że to może wydawać się dziwne, ale myślę o Bogu jak o kumplu. Nie jestem religijna. Po prostu często z Nim rozmawiam. Proszę o wiele przysług. Czasami je spełnia, czasami nie. Tak to już jest. Trzeba być wdzięcznym za to, co się ma.

Oczywiście jestem coraz bardziej ciekawa swojej współlokatorki. Zastanawiam się, czy Sugar wstawi rurę do tańca w rogu naszego pokoju czy może centralnie w środku. Niestety z rozwiązaniem tajemnicy będę musiała poczekać jeszcze jeden dzień. Przy akompaniamencie muzyki z iPoda rozpakowuję swoje rzeczy. Zajmuję łóżko z dala od drzwi, za to pod oknem.

Przychodzi Clayton pożyczyć pastę do zębów, więc idę za nim do jego pokoju. Jezusie

Chrystusie. To najbardziej schludny i najlepiej zorganizowany pokój, jaki w życiu widziałam. Obaj chłopcy już się rozpakowali i poukładali wszystko na swoich miejscach. Cholera, to przeznaczenie. Clay i Pete są stworzeni, by być współlokatorami. Jakie są szanse, że dwaj cierpiący na obsesję czystości faceci wylądują w tym samym pokoju? No chyba jak milion do jednego, nie? Mam nadzieję, że Sugar nie ma takiej nerwicy natręctw, inaczej będzie bardzo rozczarowana. Nigdy nie ścielę łóżka. Nigdy nie wkładam brudnych ciuchów do kosza. Nie to, że lubię żyć w brudzie, po prostu z natury jestem bałaganiarą.

Jest późny wieczór, gdy kończę urządzać się w nowym domu. Jako ostatnie, na biurku tuż przy łóżku, ustawiam dwa oprawione zdjęcia. Nim gaszę światło, przyglądam się fotografiom.

– Dobranoc, Grace. Dobranoc, Gus. Kocham was oboje.

27 SIERPANIA, SOBOTA KATE

Budzę się, ponieważ na biurku brzęczy mi komórka, a o tak wczesnej porze to dość denerwujące. Mrużę zaspane oczy, po czym odczytuję na zegarku, że jest szósta czterdzieści siedem. Moja pierwsza myśl to: Gus. To zawsze Gus. Ale w Kalifornii nie ma nawet piątej. To nie może być on... no, chyba że nie położył się spać, co też jest możliwe. Zdejmuję z siebie kołdrę i idę sprawdzić, co jest aż tak ważne.

To SMS od Maddie: ZOSTAWIŁAŚ TU SWOJE RZECZY. PRZYJEDŹ PO NIE DZIŚ PRZED POŁUDNIEM.

– Tobie również dzień dobry. – Ziewam, patrząc na ekran. Jest zbyt wcześnie na takie akcje.

Przeciągam się i postanawiam sprawdzić prysznicze znajdujące się na końcu korytarza. Zakładam klapki plażowe. Gus mówił, że jeśli tego nie zrobię, mogę dorobić się paskudnego grzyba.

Wychodzę o siódmej dziesiątej, by pojechać do Maddie. Jeśli postanowiła zbudzić mnie bladym świtem, niech lepiej będzie gotowa na mój przyjazd.

Otwiera dopiero po trzeciej serii łomotania do drzwi, ubrana w biały szlafrok i tę dziwną przepaskę na oczy odsuniętą na czoło.

– Kate? Jest siódma dwadzieścia pięć.

– Tak? – *Heloł?* – Spałaś?

– Tak – odpowiada wkurzona.

– Przepraszam. Myślałam, że twoja uprzejma pobudka SMS-em była zaproszeniem na przyjazd o tej porze. – Jestem w świetnym humorze i próbuję z tego zażartować. Tylko w ten sposób mogę się z nią uporać o tak wczesnej porze.

– Obudziłam się wcześniej, bo Księżniczka musiała wyjść, napisałam do ciebie i wróciłam do łóżka. – Śmieje się protekcyjnie. – Naprawdę nie wiesz nic o życiu w akademiku, co? – Widzę, że cieszy się, mogąc się ze mnie ponabijać, choć szczerze mówiąc, mnie również to śmieszy, wręcz bawi. – Naucz się wyciszać na noc komórki, inaczej współlokatorka cię znienawidzi. To podstawowa zasada wspólnego mieszkania. Gdybyś ją wyciszyła, moja wiadomość by cię nie obudziła.

Maddie jest jedną z tych osób, które uważają, że każdy tylko czeka na ich cenną radę, mówię więc:

– Dziękuję, Maddie, postaram się zapamiętać. – *Na miłość boską, przecież przez niemal dziewiętnaście lat spałam z Grace w tym samym pokoju, więc prawdopodobnie coś tam wiem o wspólnym mieszkaniu, mam ochotę dodać, ale gryzę się w język.*

A ponieważ Maddie jest również jedną z tych osób, które nie rozumieją sarkazmu, uśmiecha się i mówi:

– Proszę. – Kręci głową i patrzy na mnie z politowaniem. – Co ja mam z tobą zrobić?

Mogłabyś wyrzucić moje rzeczy za drzwi, by się mnie pozbyć, bo ciągle nie masz na tyle przyzwoitości, by zaprosić mnie do środka, przemyka mi przez głowę, przypominam sobie jednak, jak ta sytuacja musi wyglądać z jej punktu widzenia. Co mogła o mnie pomyśleć? Tak naprawdę mnie nie zna. Wie tylko, co mi się przytrafiło. Może uważa, że trzeba mnie

pilnować i to jej wersja dobrych intencji? Nieważne.

– Pozbieram swoje rzeczy i będziesz miała mnie z głowy. – Mam dość gadania. Nie jest już zabawna.

– W porządku. – Odsuwa się na bok i wskazuje kupkę ubrań leżących na kanapie.

– Super – mówię, zgarniając je. – Dzięki, że ich nie wywalilaś albo, no wiesz, nie spaliłaś.

Krzywi się zmieszana.

– Nie zrobiłabym czegoś takiego.

Jeszcze nie zna mojego poczucia humoru.

– Żartuję. Wyglupiam się, Maddie. Rozchmurz się.

Jej kwaśna mina znika, ale Maddie nadal wygląda, jakby cierpiała. Trochę mi głupio.

– Skoro już nie śpisz, może chciałabyś coś zjeść? – Wyrzuty sumienia kłują mnie w zębra.

Maddie chętnie się zgadza, co mnie zaskakuje.

– Jasne, daj mi kilka minut.

– Żaden problem, nie spiesz się.

Gdybym wiedziała, że weźmie to dosłownie, powiedziałabym: „streszczaj się, masz piętnaście minut”. Półtorej godziny później wychodzi z łazienki ubrana, jakby szła do klubu nocnego. To kolejna przypadłość Maddie. Nie wie, jak się normalnie ubrać. Ja mam na sobie spodnie od dresu, koszulkę z logo zespołu Sleigh Bells i trampki, ona natomiast sukienkę bez ramiączek i sandały na koturnie.

– Wow, niezła kiecka, ale laska, idziemy tylko na śniadanie.

– Och, Kate. – Kręci głową, jakby mówiła: „Och, głupiutka, naiwna dziewczuszko”. – Nigdy nie wiesz, kiedy spotkasz księcia z bajki. Zawsze powinnaś dobrze wyglądać. – Przygląda mi się. – Kiedyś się tego nauczysz.

Zapewne się nie nauczę. Myślę, że każdy ma inne wyobrażenie księcia z bajki. Moja definicja opiera się bardziej na osobowości i charakterze – nazwijcie mnie szaloną.

Sukienka, którą ma na sobie Maddie wiele odsłania, to pierwszy raz, gdy orientuję się, jak jest szczupła. Sama skóra i kości. Mimowolnie mrugam i odwracam wzrok. To jakby instynktowna reakcja mojego ciała, by chronić mnie przed czymś przerażającym.

Nagle Maddie znów jest szczęśliwa. Po drodze do kawiarni usta jej się nie zamykają, kiedy opowiada o wczorajszej wizycie na siłowni i bogatym, seksownym facecie, który poprosił ją o numer telefonu.

Przytakuje we wszystkich właściwych momentach. Najwyraźniej ktoś tu poluje na mężczyznę. Oczekuje od kandydatów grubego portfela, penisa i bijącego serca. Powodzenia.

Akcja w restauracji rozgrywa się podobnie jak w barze sushi: Maddie zamawia dla nas jedzenie, znów całą jego górę. Zaciąga się zapachem nad talerzem z jajkami, cebulą, kielbaskami, bekonem i szynką, a także trzema naleśnikami wielkości dużego talerza, ociekającymi syropem. Kiedy nie tykam swoich kielbasek, Maddie pochłania również je. Ta dziewczyna mogłaby startować w konkursach jedzenia. Musi mieć piekielnie szybki metabolizm.

Po powrocie do jej mieszkania zabieram swoje rzeczy.

– Jeszcze raz dziękuję za tę kilkudniową gościnę, Maddie.

Unosi w górę palec i się obraca.

– Poczekaj chwilkę, zaraz wrócę.

Czekam dobre trzy minuty, przypominam sobie, że nie miałam dzisiaj rano pod prysznicem maszynki do golenia. Musiałam zostawić ją tutaj. Postanawiam w międzyczasie ją zabrać. Drzwi łazienki dla gości są zamknięte, Maddie trzyma tam Księżniczkę, gdy wychodzi z domu. Powoli je otwieram, ale słyszę, jak z ohydny dźwiękiem Maddie opróżnia zawartość żołądka. Zapach jest obezwładniający. Czuję mdłości.

– Maddie, dobrze się czujesz?

Oczekuję, że będzie spocona i roztrzęsiona niczym ofiara ostrego zatrucia pokarmowego. Siedzi jednak na krawędzi wanny, przytrzymując swoje długie, jasne loki, by przypadkiem nie dotknęły muszli. To dziwny widok. Maddie wygląda, jakby była przygotowana i robiła to celowo. Nie wiem, jak robią to inni, ale gdy ja rozmawiam z porcelanowym bogiem, klękę przed nim i pochylam się uniesieniem. No i cała się trzęsę.

– Co tu, u diabła, robisz, Kate? – Wierzchem dłoni ociera usta, po czym pospiesznie spuszcza wodę. Widzę, że Maddie jest cała czerwona na twarzy, ale nie wiem, czy to zażenowanie, czy po prostu jest wkurzona.

– Przepraszam, Maddie. Nie wiedziałam, że tu jesteś. Zapomniałam maszynki i chciałam...

– Mogłaś zapukać!

W oszołomieniu przyglądam się, jak myje ręce i płucze usta płynem, po czym poprawia w lustrze fryzurę. Gdybym właśnie nie była świadkiem zwrócenia przez nią piętnastodolarowego śniadania do kibelka, sądząc po jej terazniejszym wyglądzie, nie powiedziałabym, że coś takiego miało miejsce. Jest kompletnie nieporuszona czymś, co mnie całkowicie by wyczerpało. Alarm w mojej głowie rozbrzmiewa niczym syrena strażacka. Kawałki układanki wskakują na swoje miejsce: żarłoczność, obsesja na punkcie ćwiczeń, natychmiastowe wyjścia do łazienki po skończonym posiłku, jej przeraźliwie szczupła sylwetka. Maddie jest bulimiczką.

– Maddie, musimy o tym porozmawiać. – Wskazuję na toaletę, ponieważ nie chcę jej denerwować, nazywając problem poimieniu.

Wzrusza ramionami, co podpowiada mi, że w ogóle nie ma ochoty na tę rozmowę.

– Nie ma o czym. – Rozdrażnienie zniknęło z jej głosu. I myślę, że wolałabym, by się wściekała, bo teraz jest obojętna. Nie można rozmawiać z kimś, kto zamyka się w sobie. Ktoś taki, by się bronić, stawia wokół siebie mur.

Idę za nią do salonu.

– Maddie, posłuchaj, nie chcę cię krytykować... Serio. Proszę, pozwól mi sobie pomóc.

Wydaje z siebie najbardziej pozbawiony emocji śmiech, jaki w życiu słyszałam.

– Chcesz mi pomóc? Miło. Ale ile ty masz lat, osiemnaście?

– Maddie, jesteś moją ciocią, moją rodziną. Troszczę się o ciebie, naprawdę. Ile to już trwa?

– Mała Kate, jesteś taka naiwna. – Znów jest protekcyjna, jakby mówiła do pięciolatki, ale mam to gdzieś, bo w tej chwili jedyne, czego chcę, to dotrzeć do niej.

– Naiwna? Maddie, właśnie zwróciłaś całe śniadanie... celowo.

– Kate, to nic takiego. – Jej wyraz twarzy jest opanowany i nonszalancki.

Kręcę głową, nie spuszczając jej z oka. To nie może być prawda.

– Maddie – błagam smutnym tonem.

Znów kręci głową.

– Kate, przejadłam się, więc musiałam się trochę tego pozbyć. To nie tak, że mam to w nawyku. Czasami jestem po prostu bardzo głodna. W ten sposób mogę dużo zjeść, ale nie przytyć. Wszystko jest w porządku. – Próbuje mnie przekonać swoim olśniewającym uśmiechem.

– Nic nie jest w porządku. Krzywdzisz swoje ciało. Ciało nie lubi takiej krzywdy. W pewnej chwili się zbuntuje. – Osoba, która świadomie robi sobie krzywdę, cholernie mnie irytuje. Wiele osób oddałoby cały świat, by mieć zdrowe ciało. Ciało to świątynia. Nie niszczy się świątyni.

Lekceważąco macha ręką, jak robiła to już wiele razy w tym tygodniu. Tracę ją. Już mnie nie słucha. Nie mam żadnego punktu zaczepienia, żadnej głębszej wiedzy w tym temacie. Nie wiem, co powiedzieć, więc bez zastanowienia mówię to samo, co mówię Gusowi na temat palenia.

– Powinnaś to rzucić. – Czuję się głupio, wypowiadając te słowa.

W jej oczach pojawia się gniew. Przegięłam. Bierze głęboki wdech i mówi:

– Kate, myślę, że powinnaś już wyjść.

Tak, z pewnością przekroczyłam granicę. Ujawniłam jej sekret, przez co jest wściekła, i słusznie. Muszę jej dać trochę czasu. Zbieram swoje rzeczy i idę do drzwi.

– Jeszcze raz dziękuję, że nie spaliłaś moich ubrań.

Czekam na odpowiedź, ale żadna nie nadchodzi. Nawet „nie ma sprawy” ani „pocałuj mnie w tyłek”. Tylko uciążliwe milczenie. Drzę. Odwracam się i nagle w pokoju nie jestem z Maddie, tylko z Janice Sedgwick. Maddie wygląda dokładnie tak, jak moja matka. Nawet sposób, w jaki stoi, opierając ciężar ciała na lewej nodze i krzyżując ręce na piersiach, jest podobny. Mogłyby być tą samą osobą. Moja matka nie była potworem. Po prostu nie zawsze sobie radziła. Kiedy nie brała leków, nie była sobą, a kiedy je brała wcale nie było lepiej. Z chorobą psychiczną nie ma żartów. Matka czasami była ciepła i troskliwa. Przeważnie jednak była wściekła lub obojętna. Gniew i obojętność to dwie różne sprawy, ale kiedy jesteś dzieckiem mającym z tym do czynienia, i tak złamie ci to serce. Wcześniej nauczyłam się nie brać tego do siebie, jednak gdy była taka w stosunku do Grace, rozrywała mnie tym na strzępy. Staralam się temu zapobiegać. W rzadkich okazjach, gdy zawodziłam, nienawidziłam się za to.

Muszę się stąd wydostać.

Wychodzę, ale tuż przed zamknięciem drzwi, mówię:

– Proszę, poszukaj pomocy. – Nie sądzę, by mnie usłyszała, choć przez szczelinę w drzwiach zauważam, że jej ramiona nieco opadają.

Będąc już w akademiku, przez godzinę czytam w sieci o bulimii, szybko się jednak poddaję, bo to dość przygnębiające. Mam głowę pełną pytań.

Choć jedzenie jest ostatnią rzeczą, na którą mam ochotę po przeczytaniu tych wszystkich artykułów, w porze lunchu idę na stołówkę, bo muszę wyjść z tego pokoju. Muszę pomyśleć o czymś innym. Jestem dobra w zaprzeczaniu. Jeśli w moim życiu dzieje się coś złego, potrafię skupiać się na tym jedynie przez chwilę, po czym odsuwam to od siebie. Dzieciństwo dobrze mnie tego nauczyło. Nie mogę pozwolić, by złe rzeczy miały na mnie wpływ, ponieważ pożądam żywcem. Złe myśli powinny pozostawać we właściwym miejscu mojego umysłu i nie mieszać się z tymi dobrymi, ponieważ wtedy nic już nie będzie właściwe.

Przechodzę przez korytarz i pukam do drzwi Claya. Otwiera Peter.

– Co tam, Pete?

Kiwa sztywno głową.

– Kate.

Chwytam Pete'a za ramiona i dobrodusznie nim potrząsam.

– Odpręż się, Pete. Hej, jest tu gdzieś Clayton?

Peter szerzej otwiera drzwi, więc zauważam, że Clayton leży na łóżku i czyta gazetę.

– Cześć, Clayton. Co tam? Wybieram się na stołówkę, idziesz ze mną?

– Dzień dobry, Katherine. Jasne. Ten artykuł jest obmierzły. Zасыpiam nad nim. –

Przeciąga się i odkłada gazetę na biurko. Czasami wydaje mi się, że w poprzednim życiu Clayton był Brytyjczykiem. Kto inny jak nie Brytyjczyk powiedziałby „obmierzły”?

Spoglądam na Petera, który nadal trzyma drzwi.

– Też chcesz iść, Pete?

– Nie chcę się narzucać – odpowiada formalnie.

– Młody, to tylko lunch. Poza tym jeszcze się nie umawiamy z Claytonem. Całkowicie ignoruje moje starania. – Posyłam mu swój najlepszy, zalotny uśmiech i puszczam oko do Claytona.

Kręci głową.

– Och, Katherine – mówi. Uwielbiam fakt, że rozumie moje poczucie humoru.

– Widzisz, Pete, będę potrzebowała uknuć naprawdę wiele intryg i wcielić w życie zasady starej szkoły uwodzenia. Clayton to twardy orzech do zgryzienia, więc nie, nie będziesz nam przeszkadzał.

Pete wie, że się wygłupiamy, ponieważ już wczoraj Clayton wyznał mi, że jest gejem. Chciał od razu wszystko wyjaśnić, uniknąć niezręczności i oszczędzić Peterowi domysłów. Pete dobrze to przyjął. Wiedziałałam, że tak będzie.

Lunch z Claytonem i Peterem jest świetny. Siedzimy razem, żartujemy i opowiadamy anegdoty. Okazuje się, że wyluzowany Pete jest całkiem zabawny. A Clayton... Cóż, Clayton pozostaje oschły i sarkastyczny. Nabijamy się z siebie nawzajem. Śmiech jest dla mnie jak powietrze i naprawdę go dzisiaj potrzebowałam. Jest moim lekarstwem. Odnalazłam dwoje ludzi, którzy są w stanie mnie rozśmieszyć do łez i prawie do posikania się w majtki. Właśnie w takim towarzystwie lubię spędzać czas. A teraz mam tych dwóch. Naprawdę szczęściara ze mnie.

Po powrocie do pokoju zauważam, że miejsce to zostało zaanektowane niczym Francja podczas drugiej wojny światowej. Rzeczy walają się dosłownie wszędzie, moje i... nie moje.

Macham do dziewczyny, która stoi na środku pokoju z ręką opartą na biodrze.

– Hej, jestem Kate.

Spogląda na mnie, zdmuchuje sobie z twarzy kosmyk włosów i ściąga gumkę z kucyka. Patrzy na mnie z chłodnym wyrazem twarzy, wygładzając pasma włosów i znów wiążąc je w koński ogon.

– Sugar.

Jest ładna, jak modelka. Długie blond włosy, duże, ciemne oczy, pełne, kuszące usta. I na dodatek jest wysoka. Jej nogi sięgają prawie do szyi. Jest szczupła, ale umięśniona. Ma fantastyczne cycki. Mogę z łatwością ocenić szczegóły jej ciała, bo cóż, jakoś specjalnie ich nie zakrywa. Ma na sobie stanik od bikini i najmniejsze jeansowe spodenki, jakie w życiu widziałam. Kiedy zaczęli produkować jeansową bieliznę? Tak, to wcale nie pomaga z moim

wyobrażeniem striptizerki.

– Musiałam przenieść parę rzeczy. Po prostu mi się nie podobało – mówi Sugar, kręcąc głową i rozglądając się po bałaganie. – Ale dalej mi się nie podoba.

– Spoko, jakoś sobie z tym poradzimy.

Sugar zaczyna wydawać komendy niczym kapral w wojsku. Po trzykrotnym przeorganizowaniu wszystkiego w końcu jest zadowolona. Ja jestem spocona jak świnia. To podejrzane, że nawet jeśli mamy taki sam zestaw mebli, jej rzeczy zajmują dwie trzecie pomieszczenia. To mi jednak nie przeszkadza. I tak mam wystarczająco dużo miejsca dla siebie, więc nie mam zamiaru narzekać. Jest oczywistym, że Sugar zawsze dostaje to, czego chce. Ja? Wybieram, w których wojnach chcę brać udział.

Przesuwając meble, nie rozmawiamy wiele, choć nie mogę się powstrzymać, by nie zadawać pytań. Dowiaduję się, że Sugar ma osiemnaście lat i pochodzi z Minneapolis. Jej rodzice są rozwiedzeni, ma trzyletniego przyrodniego braciszka i cocker spanielkę o imieniu Mercedes. Zna „wielu” ludzi, którzy studiują w Grant. Ona niczego się o mnie nie dowiaduje. Kiedy ktoś jest zainteresowany, zadaje pytania. Ja pytałam. Ona nie.

Och, i nic nie wspomina o striptizie. Nie ma też rury.

Cholera. Czuję się oszukana.

28 SIERPANIA, NIEDZIELA

KATE

– Co to za gość? Twój chłopak? – pyta Sugar, kiedy tylko przestępuję próg naszego pokoju, wracając spod prysznic. Wskazuje na jedną z oprawionych fotografii stojących na moim biurku. Najwyraźniej ma zamiar nadrobić wczorajszy brak zainteresowania.

– Nie. Najlepszy przyjaciel.

Żując gumę, mówi:

– Hmm. Przystojniak. Ma ładne oczy.

To ta sama fotografia, którą mam w telefonie, wykadrowaną, by zmieściła się jego twarz. Widzę ją za każdym razem, kiedy Gus do mnie dzwoni. Ta w ramce przedstawia nas oboje. Roześmianych. Stoję prosto, odrzucając w tył głowę, on się pochyla, jego długie włosy opadają mu na jedno oko. Tym odsłoniętym spogląda w obiektyw z wyrazem radości, psoty, szczęścia i dzikości. To klasyczny Gus. Nasz przyjaciel Franco zrobił to zdjęcie jakiś rok temu, gdy byliśmy na plaży.

– Tak, ma wspaniałe oczy. – Są ciemnobrazowe, niemal czarne. I błyszczą.

Sugar zerka na zdjęcie Grace.

– A ona?

– To moja siostra. – Spoglądam na twarz Grace. Zrobiłam to zdjęcie pewnego kwietniowego wieczora, gdy byliśmy na plaży, oglądając zachód słońca. Uchwyciłam Grace na tle płonącej, pomarańczowej kuli, która znika na horyzoncie i tańczy na wodzie niczym ogień, jednak błednie w porównaniu z uśmiechem na twarzy Grace. To zdjęcie promienieje. Ten sam uśmiech miała na twarzy każdego dnia. Ten sam uśmiech sprawiał, że wszystko wokół było lepsze. Ten sam uśmiech był namacalnym dowodem tego, że byłam otoczona dobrocią. Ten sam uśmiech sprawiał, że będąc jej siostrą, byłam najszczęśliwszą osobą na ziemi. Ten uśmiech i to zdjęcie jest wszystkim, co czyste i szczerze na świecie.

– Wychodzę. Muszę gdzieś pójść i z kimś się spotkać. – Sugar chwyta torebkę.

Ma na sobie mikroskopijne spodenki i koszulkę na ramiączkach, bez biustonosza pod spodem. Nie mam nic przeciwko takiej wolności, ale w tej chwili przez cienki, biały materiał wyraźnie prześwitują jej ciemne sutki. Może zapomniała założyć bieliznę? Nie mogę pozwolić jej wyjść, nic nie mówiąc.

– Eee, Sugar? – Subtelnie wskazuję na jej klatkę piersiową.

Spogląda w dół na spore, jędrne piersi. Przecież one nie mogą być prawdziwe.

– Co?

– Nie wiem, gdzie się wybierasz, ale wiesz, że twoje dziewczynki są dość wyeksponowane, prawda?

Wzrusza ramionami.

– No tak.

Pokazuję jej uniesione kciuki.

– W takim razie wszystko spoko, siostró. Narazie.

Postanowiłam, że dzisiaj jest dzień, w którym zapoznam Clayтона z Grounds. Tym razem ostrożnie otwieram drzwi, by dzwonek nie zaczął grzmieć nad moją głową, jednak prawa fizyki w jego przypadku zawodzą. Siła, z jaką pcha się skrzydło nie wpływa na

głośność tego pieprzonego dzwonka. Tej bestii nie można oswoić.

Romero znów dziś obsługuje i pamięta, jak mam na imię. Przedstawiam mu Claytona, który zamawia mokkę macchiato z mlekiem sojowym. Gdy ją pije, jego twarz wyraża ekstazę. Czy można mieć orgazm, pijąc kawę? Chyba powinnam znać odpowiedź. Claytonowi odebrało mowę. Moja czarna kawa znów jest nieziemską, najwyraźniej jednak nie wywołuje uniesienia. Może właśnie o to chodzi w dodawaniu do niej tych wszystkich ekstra składników.

Resztę popołudnia spędzamy z Claytonem w jego pokoju, słuchając muzyki. Jest fanem dance'u, dubstepu i house'u, co i mi pasuje. Tańczymy na środku pokoju jak dwie trzynastolatki. Uwielbiam tańczyć. Często z Gusem chodziliśmy to robić. Na plaży zawsze organizowanych było wiele ognisk, które przeradzały się w potańcówki. Grace też uwielbiała muzykę, więc ją ze sobą zabierałam. Czasami Audrey brała Grace do siebie na noc, byśmy z Gusem mogli iść do klubu, do którego znajomy ochroniarz wpuszczał nas, pomimo że nie byliśmy pełnoletni. Gus wymiata na parkiecie. Po seksie z nim wiem, że jest dobry w jednym i w drugim. Powiedzmy, że jest świadomy swojego ciała i dobrze wie, co z nim robić.

Pete wszedł w połowie naszej dyskoteki, zaczerwienił się jak burak, obrócił na pięcie i wyszedł. Najwyraźniej nie chciał się powyginać. Będziemy musieli nad nim popracować. Clay jest dobry. No wiecie, kiedy idziecie do klubu i jest tam osoba, której wszyscy się przyglądają? Której taniec przychodzi z łatwością? To właśnie Clayton. Jestem pod wrażeniem.

Kiedy około osiemnastej postanawiam wrócić do siebie, jestem cała spocona.

– Clayton, przyjacielu, jesteś niekwestionowanym królem parkietu. Musimy kiedyś wyjść do jakiegoś klubu, gdzie wpuszczają poniżej dwudziestego pierwszego roku życia.

Śmieje się z czystą euforią i klaszcze tak szybko, że jego dłonie wyglądają jak skrzydła kolibra.

– Och, Katherine, byłoby cudownie. Nigdy wcześniej nie byłem w klubie.

To mnie zaskakuje.

– Serio? To gdzie, mój drogi, nauczyłeś się tak ruszać?

Ponownie się rumieni.

– Myślisz, że w Minneapolis są jakieś kluby gejowskie?

Wzruszam ramionami.

– Pewnie są.

Czerwieni się jeszcze bardziej.

– Katherine, mogłabyś, to znaczy, gdyby udało mi się znaleźć jakiś klub, do którego moglibyśmy wejść, czy mogłabyś ze mną pójść? Nie wiem, kogo innego mógłbym o to poprosić.

Ściskam ramię Claytona.

– Oczywiście. Daj tylko znać kiedy.

Uśmiecha się prawie od ucha do ucha i rzuca mi się na szyję.

– Dziękuję.

Klepię go po plecach, delikatnie dając znać, by rozluźnił nieco śmiercionośny uścisk.

– Żaden problem.

Po prysznicu wracam do pustego pokoju i decyduję, że czas na Skype'a. Piszę SMS-a do

Gusa, który jakimś kosmicznym zrządzeniem losu jest dostępny. Rook wraca do Los Angeles. Nagrywali cały lipiec, ale zostali wezwani, by zatwierdzić piosenki na płytę i ustalić trasę koncertową, której rozpoczęcie przewidziano na koniec września. Po wydaniu albumu wytwórnia fonograficzna ma nadzieję, że stacje radiowe zaczną grać ich kawałki, co zagwarantuje udaną trasę koncertową. Brzmi łatwo, co? To będzie miesiąc pełen stresu, a jeśli jest coś, z czym Gus sobie nie radzi, to właśnie stres. Już się o niego martwię.

Ciepła fala szczęścia zalewa moje żyły, gdy widzę na ekranie laptopa jego radosny uśmiech.

– Długo nie gadaliśmy, Promyczku. Cotam?

– Cześć, Gus. Najpierw ty. Jak ci tam w Los Angeles? – Nawet jeśli kilka razy dziennie piszemy do siebie SMS-y, zawsze jestem spragniona szczegółów.

– Młoda, to cholernie wyczerpujące. – Kiedy przyglądam mu się uważniej, widzę worki, jakie ma pod oczami.

– Tak, nie wyglądasz najlepiej. Kiedy ostatnio spałeś?

Ziewa i zastanawia się przez chwilę.

– Ostatnią nocą, którą całą przespałem, była ta z czwartku na piątek. – W piątkowy poranek zespół dostał telefon, że do północy musi pojawić się w L.A. Wskoczyli więc do samochodów, Gus do swojej furgonetki, i pojechali. Od piątku pracują w studiu z producentem, dopieszczając finalnie piosenki (cóż, przynajmniej w teorii). Dziś jest pierwszy raz, kiedy mają wolne.

– Młody, musisz odpocząć i to natychmiast.

– Powiedziała Matka Ciężarówka, która przejechała całe Stany bez zatrzymywania się na noc? – Unosi brew. – Jestem już duży, Promyczku, dam radę. Chociaż czuję się wypompowany.

– No myślę. Wszystko w porządku z ZGKB? – Kiedy w lipcu poznali producenta, gość przedstawił się im jako Kreator Brzmienia. Gus skrócił to do KB, ale po tygodniu przechrzczył go na: „Zajebicie Genialny Kreatora Brzmienia”. Facetowi, o dziwo, się to spodobało. Gus owinał go sobie wokół małego palca.

– Tak. Jakieś pół godziny temu dopięliśmy wszystko na ostatni guzik. To znaczy, jestem z tego dumny, ale, cholera, ostatnie dni były ciężkie. Wybieranie piosenek na płytę jest jak ustawianie dzieci przed plutonem egzekucyjnym. Wszyscy mieliśmy coś do powiedzenia, jednak to ZGKB miał decydujący głos. – Przeczesuje palcami długie włosy, po czym spina je w kucyk. Jest sfrustrowany. *Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.* – Muszę zapalić. Poczekaj. – Bierze laptop i odchodzi, przez co obraz skacze jak na kiepskim domowym filmiku.

– Młody, mam przez ciebie chorobę morską.

– Sorry, Promyczku, musiałem wyjść na balkon.

Laptop zostaje odstawiony na jakąś stałą powierzchnię, a Gus przetrząsa kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki, ponieważ papierosa trzyma już w zębach.

– Powinieneś rzucić.

Uśmiecha się, przygryzając filtr.

– To nie jest dobry tydzień na rzucanie. Być może nawet nie miesiąc, a jeśli dalej tak będzie, to i nie rok, więc nie zaczynaj. – Lewą dłonią zbliża ogień do papierosa i go odpala. Końcówka rozżarza się, a Gus zaciąga się, jakby to był jego ostatni oddech. Kiedy już dym wypełnia mu płuca, zamyka oczy i opada na krzesło.

– Lepiej?

Kiwa głową. Wciąż z zamkniętymi oczami ponownie się zaciąga.

– Jesteś zadowolony z wyboru piosenek na płytę? – dopytuje.

Uśmiecha się sennie, oczy nadal ma zamknięte.

– Jestem zadowolony. – Naprawdę tak uważa.

Dalej nie wiem, które piosenki wybrali do albumu. Nagrali ich piętnaście, ale tylko jedna ma szansę znaleźć się na płycie. Gus naciskał, by pozostało to tajemnicą. Chyba się boi, iż zapeszy, jeśli będzie o tym mówił. Jakby pewnego dnia miał się obudzić i stwierdzić, że wszystko było snem.

– No to co wybraliście? Możesz mi już powiedzieć?

Otwiera oczy i śmieje się, co oznacza, że jest szczęśliwy, naprawdę bardzo szczęśliwy.

– *Missing You*.

Jestem oszołomiona.

– Nie chrzaniisz?

Wciąż się uśmiecha.

– Nie chrzanię. Nie chciałem wcześniej nic mówić, w razie gdyby się nie udało, ale kiedy byłeś z nami w lipcu w studiu, ZGKB rozplywał się nad tobą. Mówił, że genialnie radzisz sobie ze skrzypcami.

– Wow, to... Nie wiem, co powiedzieć... To... niesamowite. – Wracam pamięcią do lipca i do mojej wizyty w studiu. – Kiedy graliśmy, ZGKB nie sprawiał wrażenia, jakby mu się podobało. Myślałam tylko, że chciał być miły, mówiąc, że jest dobrze. – Jestem zszokowana. Gus napisał piosenkę i powiedział, że to prezent ode mnie dla Grace. To jedyna ballada, jaką kiedykolwiek stworzył. Zawarł w niej partię skrzypiec, bym mogła zagrać. Zgodziłam się wyłącznie ze względu na Grace. Pojechałam z zespołem do studia i grałam z nimi, spodziewając się, że materiał wyląduje w śmietniku. Nie przeszkadzałoby mi to, ponieważ już sam fakt grania w studiu był niezapomnianym przeżyciem. Kolejnego wieczora, gdy wszyscy już poszli do domu, Gus zaproponował, bym dla zabawy zaśpiewała z nim inną piosenkę pod tytułem *Killing the Sun*. Ta piosenka jest ich sztandarowym utworem. Każdy śpiewa ją z nimi na koncertach. Za każdym razem mam ciarki, gdy grają ją na żywo. Zaśpiewaliśmy ją wspólnie, po czym kazał mi śpiewać solo. Nie mam takiego treningu jak Gus, ale lubię śpiewać i potrafię wydobyć z siebie melodię. Partie na dwa głosy szły nam całkiem nieźle. Było fajnie. Nagrał dla mnie obie wersje, więc mogę powiedzieć, że miałam swoją chwilę sławy.

– Tak, przed tobą starał się nie okazywać emocji, ale następnego dnia, gdy wspólnie posłuchaliśmy materiału, rozpętało się piekło. Zatem dzięki za twoją wirtuozerię. – Puszczą do mnie oko i gasi papierosa w popielniczce, która jest już przepelniona. – Ale dosyć o albumie, nie chcę już o nim gadać. Chcę posłuchać, co dzieje się w wielkiej metropolii, jaką jest Grant. Nawijaj. – Przysuwa krzesło do stołu.

– Okej, zobaczmy, czy uda mi się to streścić. Zawarłam dwie przyjaźnie, poznałam Claya i Pete'a. Mieszkają w pokoju po drugiej stronie korytarza. Moja współlokatorka Sugar...

Gus mi przerywa:

– Czekał, twoja współlokatorka ma na imię Sugar? Jak naturalny, słodki cukier?

Przytakuję.

– Sugar Starr LaRue.

Odrzuca głowę w tył, wybuchając śmiechem.

– O rany, ale jazda... Co u diabła palili jej rodzice? – Pochyliła się w kierunku ekranu. – Promyczku, powiedz, że jest striptizerką albo... przynajmniej hostessą. – Jego oczy błyszczą ciekawością.

Klaszczę i się śmieję.

– To samo pomyślałam! – Kręcę głową z powagą. – Ale nie jest.

– Młoda, to by było genialne. Wiesz, że tracisz przez to kilka zabójczych historyjek?

– Wiem. I to trochę smutne. Chociaż nadal mogę mieć ich kilka, bo z wyglądu idealnie pasuje do tej profesji, a dziś rano wyszła z pokoju w prześwitującej koszulce, bez biustonosza.

Unosi brwi.

– Rany, mogłabyś powtórzyć, gdzie mieszkasz? Być może niedługo cię odwiedzę.

– Zbok.

Wzrusza ramionami.

– Przyznaję. Jestem facetem, to mówi samo za siebie. No i co dalej? Co z tymi chłopakami z drugiej strony korytarza?

– Claytonem i Peterem?

– Tak. Jacy są? Muszę się martwić o twoją cnotę?

Przewracam oczami.

– Młody, przecież wiesz, że ten statek odplynął wiele lat temu. Jednak nie, nie musisz się martwić, bo szybciej piekło zamarznie, niż bzyknę się z którymś z nich.

– Dlaczego tak uważasz? – pyta prawie z nadzieją.

– Cóż, Clay i ja tak samo lubimy chłopców, a Pete albo skończy jako czterdziestoletni prawiczek, albo kręca go jakieś cholernie perwersyjne rzeczy, ale używa swojej spiętej na maksa postawy, by nikt go o nic nie podejrzewał. Tak czy siak, nie mam u niego szans.

Gus kiwa głową i się uśmiecha.

– Gdybym miał się zakładać, a wiesz, że zrobię to z wielką ochotą, powiedziałbym, że Pete lubi odgrywać w łóżku role i kręci go sado-maso. Prawdopodobnie też bondage. Myślisz, że woli dominować, czy być uległy?

Zakrywam sobie uszy i kręcę głową.

– Fuj, wiesz, że teraz będę wyobrażała sobie Pete'a w skórzanych kowbojskich ochraniaczach na uda i ze szpicrutą za każdym razem, gdy będę jadła z nim lunch, prawda?

Uśmiech Gusa się poszerza.

– Proszę bardzo.

Pokazuję mu język.

– Łobuz.

– Tak. Zatem twoja współlokatorka jest zakamuflowaną striptizerką, do tego spotykasz się z gejem i zbokiem. Nie wiedziałem, że Minnesota jest tak postępową. To imponująca mieszanka. Może powinienem iść na studia. Coś jeszcze? Mów. Opowiadaj. – Gestem zachęca mnie do rozmowy.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Wczoraj widziałam się z Maddie.

– Młoda, nie gadaj, że znów coś namieszała i znalazłaś się po niewłaściwej stronie piramidy żywieniowej. Druga runda walki z mięsem?

– Nie, ale też chodzi o jedzenie. Prawdę mówiąc, trochę mnie to wystraszyło.

– Wystraszyło? A co się stało?

– Młody, ona jest bulimiczką.

Gus pyta ciszej:

– Co?

– No tak. Poszłyśmy na śniadanie. Jadła jak opętana, a po dziesięciu minutach wszystko zwróciła.

– Rany.

– No wiem. Weszłam do łazienki, gdy wisiała nad kibelem. Zapytałam ją o to. Kazała mi spadać. Nie dałam się splawić. Wkurzyła się. Było okropnie. Nie wiem, co z tym zrobić.

– Wow. Wkurzyła się, co?

– Noo, całkiem jej odbiło i kazała mi wyjść.

– Cholera.

– Dokładnie.

– No i co zrobisz?

– Jest wkurzona. Dam jej ochłonać, po czym znów spróbuję z nią porozmawiać.

– Powodzenia.

– Dzięki, przyda się.

Po chwili milczenia, Gus zmienia temat.

– Promyczku, wystarczy ci pieniędzy na, no wiesz, na wszystkie potrzebne wydatki na studia, na jedzenie i...

Przerywam mu:

– Mam pracę.

– Nie o to pytałem.

– Dam radę. Nie musisz się martwić – nalegam, chociaż nie jestem pewna, czy to prawda. Nie wiem, jak będzie przez najbliższe kilka miesięcy. Moje niewielkie oszczędności mogą nie wystarczyć, ale będę się tym martwić, dopiero kiedy przyjdzie na to czas.

Gus prycha.

– Moim zadaniem jest troska o ciebie. Potrzebujesz kasy? Dostaliśmy zaliczkę za płytę.

Mogę ci trochę wysłać.

Uśmiecham się.

– Cholera, w jaki sposób na ciebie zasłużyłam? Dzięki, ale nie potrzebuję twoich pieniędzy.

– Ale powiesz mi, jeśli będziesz potrzebowała?

Wzruszam ramionami.

– Pewnie nie. Poradzę sobie.

– Do diabła, Promyczku. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń do mnie, dobrze? Stać mnie. Wiem, że miałyście z Grace ciężko... Boże, żałuję, że wtedy o tym nie wiedziałem. Zawsze myślałem, że matka was wspiera. Ciągłe jest mi z tym źle, więc przynajmniej teraz pozwól mi coś zrobić. Daj sobie pomóc.

– Wiesz, jak możesz mi pomóc?

Odrobina bólu znika z jego twarzy.

– Jak?

– Możesz jutro rano, pojutrze i popojutrze pracować na maksa, by wasza płyta i trasa

koncertowa były legendarne.

Uśmiecha się.

– Twoje nowe motto brzmi: „Stwórz legendę”.

Śmieje się.

– Nie można stworzyć legendy, można najwyżej stać się legendą.

– Popatrz na siebie, panie mądralo. Ty, mój przyjacielu, możesz zarówno stać się legendą, jak i stworzyć swoją własną.

Uśmiecha się i patrzy na mnie lekkozażenowany.

– Skoro tak twierdzisz. To ogromna presja.

– Mówię poważnie, lepiej żebyś pokazał, na co cię stać.

– Ależ masz dzisiaj wymagania. – Unosi brew. – Podoba mi się. To seksowne.

Przewracam oczami.

– Nieważne. To pewnie wieczorna głupawka. Idź się przespać, gwiazdo rocka.

– Tak, pewnie powinienem to zrobić. – Ziewa. – Powodzenia pierwszego dnia na studiach.

Wyrzucam rękę w górę.

– Mam zamiar żyć, doświadczając studiowania na pieprzonym Grant College!

– O to właśnie chodzi. – Śmieje się, ale wygląda na zagubionego, jakby coś mu umknęło.

Wzruszam ramionami.

– Powinieneś tu być, by to zrozumieć.

– Najwyraźniej. – Chichocze sennie.

– Stwórz legendę.

– Stwórz legendę – powtarza.

– Kocham cię, Gus.

– Też cię kocham, Promyczku.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

29 SIERPANIA, PONIEDZIAŁEK

KATE

Pierwszy dzień zajęć jest zarabisty. Wiem, że nabijałam się z tego całego doświadczania studiowania na Grant College, ale na serio, cały dzień mam gęsią skórę. Naprawdę tym żyję. Chodzę po kampusie z szerokim uśmiechem. Tak długo marzyłam, by pójść na studia, na prawdziwą uczelnię. Nigdy nie sądziłam, że do tego dojdzie, ale oto jestem. Wreszcie udało mi się wykreślić to z listy rzeczy do zrobienia. Moja lista nie jest jakaś imponująca, ale studiowanie było na piątej pozycji. Myślę, że to dobry czas, by powiedzieć Bogu, że jestem szczęśliwa: *Miłego poniedziałku, Boże. Chciałam tylko podziękować, no wiesz, za Grant. To genialny dar. Trzymaj się ciepło.*

Gdy pojawiając się o wpół do trzeciej w „Trzech Petuniach”, Shelly pracuje jak nakręcona, przystaje jednak na chwilę i pyta:

– Gdzie twój iPod? Przyniosłam stację dokującą. Zobaczmy, czy masz coś dobrego.

– To wyzwanie?

– Jak wolisz. – Oczywiście, że to wyzwanie. Nagle czuję potrzebę obrony honoru.

Wyciągam iPoda z plecaka, podłączam i przerzucam listę piosenek.

Pierwszym kawałkiem, który puszcza, jest Mozart. Shelly zmienia na kolejny i patrzy na mnie niemal przepaszająco.

– Cały długi dzień go grałam. Uwielbiam go, ale w pracy chciałabym posłuchać czegoś innego.

– Spoko.

Dźwięki kolejnej piosenki płyną z głośników. Zaczynam tańczyć za ladą, zakłopotana Shelly tylko mi się przygląda.

– No dawaj, Shelly. Pokręć tym, co ci mama w genach dała.

Zamiast tego kręci głową. Jest nieugięta.

Przestaję ruszać nogami, ale reszta mojego ciała nadal się kołysze.

– No co? Nie mów, że nie tańczysz.

Ponownie kręci głową i chyba lekko się rumieni. Cholera, nie sądziłam, że kiedykolwiek to zobaczę.

– Cóż, musimy coś z tym zrobić. – Uśmiecham się radośnie. – Wiesz, że przed końcem semestru cię rozruszam, prawda? – Ta dziewczyna musi zrobić coś, czego jeszcze nigdy nie próbowała, coś zupełnie nowego. Nagle to staje się moim nowym celem.

Shelly przestaje się rumienić i znów kręci głową, po czym dodaje dobitnie:

– Nie tańczę, Kate.

– A ja myślę, że królowa tańca, którą masz w sobie, chce się wydostać. Krzyczy, Shelly. Słyszę ją i jest wkurzona. Następnym razem, gdy Clayton urządzi u siebie balangę, zaproszę cię na nią.

– Balangę?

– No może z wyłączeniem tłumu ludzi, prochów i chemicznych światełek, ale to i tak zarabiste.

– A kim jest Clayton?

– Moim sąsiadem. Mieszka po drugiej stronie korytarza.

Kiwa głową, kiedy wciąż wywijam biodrami. Wykazuje ogromną powściągliwość, jakby była rozrywkową dziewczyną, ale nie mogła tego okazać.

– Mówisz więc, że ta „balanga” polega na tym, że w pokoju twojego kumpla Clayтона jesteś tylko ty, on i twój iPod?

Poprawiam:

– Jego iPod. On również ma niezłe kawałki, tak to, mniej więcej, wygląda.

Kręci głową, ale na jej twarzy pojawia się niewielki, choć szczerzy uśmiech. Taki, który posyłacie komuś, kogo lubicie, komuś, przy kim jesteście szczęśliwi. Mam przeczucie, że Shelly nie rozdaje ich na prawo i lewo. Czuję się zaszczycona.

– Kate, jesteś zbyt intensywna.

Uśmiechając się, tańczę przy moim stanowisku pracy, jednocześnie biorąc się do roboty, przy czym mój taniec ogranicza się raczej do kołysania głową. Nie potrafię się nie ruszać, słuchając dobrej muzyki. Czuję się, jakby płynęła moimi żyłami, więc fizycznie jest ze mną nierozzerwalna.

Co kilka piosenek, gdy myśli, że nie widzę, Shelly pochyla się i zerka na wyświetlacz mojego iPoda. Uśmiecham się pod nosem. Mam sporą kolekcję europejskiej muzyki, część tekstów nie jest po angielsku. Nie mówię w tych językach: francuskim, niemieckim, holenderskim, więc nie mam pojęcia, o czym śpiewają wokaliści, ale to nieistotne, kawałki są fenomenalne, nawet jeśli nie wiadomo, o czym jest tekst danej piosenki. Jedna z nich właśnie się zaczyna.

Shelly tym razem całkiem otwarcie spogląda na ekran, po czym patrzy na mnie.

– Co to, u diabła, jest?

– Francuski hip-hop. Podoba ci się? – Wiem, że tak, inaczej nie byłaby zainteresowana.

– Może być. – Bierze kartkę i zapisuje wykonawcę i tytuł. Widzę też, że z pamięci zapisuje sześć czy siedem kolejnych piosenek. – Gdzie to wszystko znalazłaś?

– Już od dłuższego czasu uzupełniamy z przyjacielem naszą kolekcję. To takie nasze hobby. – Nie mogłabym bez tego żyć.

Kiedy zaczyna się nowy kawałek, pytam:

– A ty, Shelly, masz chłopaka?

Kiwa głową i uśmiecha się słodko. Chyba właśnie odkryłam szczelinę w jej zbroi. Jest zakochana.

– Tak.

– Tak? Zapisz sobie i tę piosenkę. Jeśli jakikolwiek album został stworzony do łózkowych zabaw, to właśnie ten. – Naprawdę. Ten zespół ma gitarowe brzmienie jak z lat osiemdziesiątych, a głos ich liderki jest bardzo seksowny.

Zapisuje nazwę zespołu.

– Dziękuję w imieniu mojego chłopaka.

Uśmiecham się szeroko.

– Domyślałam się.

Do południa Shelly podczas pracy zarzuca mnie losowymi pytaniami. Najwyraźniej stwierdziła, że mój muzyczny gust nie jest do bani. To musi być runda druga muzycznego wyzwania.

– Wymień trzy najlepsze wokalistki. – Mruży oczy. – I, Boże dopomóż, jeśli twoją odpowiedzią będą popowe księżniczki, zostaniesz zwolniona.

Śmieję się z tej groźby. Odpowiedziałabym na to pytanie przez sen.

– Trzy najlepsze? Romy Madley Croft z The xx, Alison Moyet z Yazoo i Johnette Napolitano z Concrete Blonde. Wyróżniłabym jeszcze laskę z Royal Thunder, bo słuchałam ich w tym tygodniu i wiem, że potrafi wyciągać wysokie tony.

– Najlepszy gitarzysta?

– Mój przyjaciel.

Patrzy z powątpiewaniem.

– Jest tylu świetnych gitarzystów, a ty mówisz: „mój przyjaciel”?

Uśmiecham się.

– Oczywiście.

– Dobra. Najlepszy basista?

– To proste. Nikki Monninger z Silversun Pickups. Gra jak zaczarowana. Do tego świetnie się ubiera na scenę, więc jednocześnie wymiata i ma klasę. Podoba mi się to.

– Najlepszy zespół punkowy?

– Teenage Bottlerocket. Ich koncerty są wypasione. Zabawnie jest ich oglądać, tłum dosłownie szaleje.

– Najbardziej niedoceniany zespół?

– Dredg.

– Kto?

– No właśnie. To śmieszne. Dredg powinno być znaną nazwą.

– Gdybyś mogła spotkać się z dowolnym artystą czy zespołem, kto by to był?

– Myślę, że cholernie fajnie byłoby pogadać z Davem Grohlem. Wydaje się miły i skromny. No wiesz, taki normalny. Oprócz tego, że jest szalenie utalentowany.

Shelly uśmiecha się, słysząc te słowa, więc robię to samo.

Jest dziewiętnasta, kiedy odpina stację dokującą i podaje mi iPoda.

– Cóż, Kate, wydaje mi się, że znalazłam właściwego muzycznego dilera. – Trzyma w ręce kartkę z notatkami. – Muszę poszukać tych kawałków.

Doceniam komplement.

– Cieszę się, że ci się podobały. – Kłaniam się. – Zadanie wykonane.

Przewraca oczami.

– Chcesz iść dzisiaj na pizzę? Mój chłopak i jego współlokator idą później do Red Lion Road, by coś zjeść i wypić. Możemy wpaść po ciebie. – I tak po prostu Shelly już dłużej mnie nie onieśmiela. Nie daje sobie w kaszę dmuchać nikomu, ale z jakiegoś powodu otwiera się przede mną. I prawda jest taka, że też ją lubię.

– Młoda, przykro mi, ale nie mogę. Mam zadanie domowe i obiecałam Claytonowi, że zjem z nim dzisiaj kolację.

Uśmiecha się.

– Randka z balangowiczem?

– Nie. To tylko przyjacielski wypad na wyśmienite jedzenie do uczelnianej stołówki.

Zdejmuje fartuch przez głowę.

– Nie umiesz się bawić.

– Naprawdę mi przykro, ale dzięki za zaproszenie. Innym razem, okej? – Prawda jest taka, że nie mam pieniędzy. Mam pięć dolarów, które muszą mi wystarczyć do piątku, kiedy dostanę wypłatę. Pewnie i tak zabrakłoby mi na kawałek pizzy i piwo, którego nie mogę pić, bo jestem za młoda. Jednak nie mogę jej tego powiedzieć. Nie chcę, by ktokolwiek się nade mną litował. A jedzenie na stołówce jest darmowe. Poza tym już czuję

smak jutrzejszej kawy z Grounds za dolara i pięćdziesiąt siedem centów, tej, którą kupię, idąc na zajęcia z literatury. Ponieważ w akademiku nie wolno używać zaparzaczy do kawy (nawet świętego Graala), a kawa ze stołówki smakuje jak błoto, moje serce jest otwarte na kubek od Romera. Potrzebuję tych pięciu dolarów.

30 SIERPANIA, WTOREK KELLER

Słyszę dzwonek od drzwi, więc odruchowo podnoszę głowę. To nie tyle wytrenowana reakcja, co ciekawość. Ponieważ Romero miał dziś rano spotkanie, do jego powrotu stoję za ladą w pojedynkę.

Pierwsze, co w niej zauważam, to jej drobną postać. Potem dostrzegam, w co jest ubrana i w ogóle jak wygląda. Z pewnością nie pochodzi stąd. Widzę też grymas na jej twarzy, wywołany dźwiękiem dzwonka zawieszzonego nad drzwiami. Mam wrażenie, że łączy ją z nim jakaś historia. Jest najbardziej uroczym stworzeniem, jakie od dłuższego czasu widziałem. Jest tak słodka, że człowiek uśmiecha się, nawet jeśli nie chce tego robić. Kiedy podchodzi do lady, jej grymas znika, zastąpiony szczerym, prawdziwym uśmiechem. Wygląda przyjaźnie w bardzo dosłownym tego słowa znaczeniu. Mam wrażenie, jakbym znał ją od lat i wiedział o wszystkich jej tajemnicach. I jakbym, pomimo tych sekretów, wciąż ją lubił.

Orientuję się, że powinienem się odezwać, więc uśmiecham się i rzucam standardowe:

– Witamy w Grounds. Czym mogę służyć? – Uświadamiam sobie, że zrobiłem to z większą niż zwykle ekscytacją, więc odchrząkuję.

Jakby wiedziała, że to do mnie niepodobne, jej uśmiech pogłębia się, aż sięga oczu. Są w kolorze jasnego jadeitu i opowiadają własną historię.

I wtedy poraża mnie to, jaka jest piękna. Uderza to we mnie z siłą rozpędzonego pociągu. Od jej oczu, poprzez uśmiech, falujące, rozświetlone słońcem blond włosy do drobnego, acz podkreślającego proporcjonalne ciało, tyłeczka. Wszystko w tej kobiecie jest piękne.

Jej magiczne oczy i usta nadal się do mnie uśmiechają.

– Dzień dobry.

Ma seksowny głos. Nie potrafię opisać tego dźwięku, ale dociera on do mojego wnętrza i tam się zakorzenia. To głos, który nie tyle się słyszy, co czuje. I kiedy już raz go poczułem, chciałbym go poczuć ponownie... i ponownie. Próbuję odpowiedzieć uśmiechem. Unoszę prawy kącik ust.

– Dzień dobry. – Być może tracę rozum, ale nie chcę, by czas z nią szybko minął. Zatem flirtuję, czego nie robiłem od bardzo dawna. – Niech zgadnę, karmelowe cappuccino z mlekiem sojowym, bez cukru.

Unosi lekko brwi i przechyla głowę nieco na bok, jednak jej uśmiech nie gaśnie.

– Jesteś w tym dobry? W odgadywaniu zamówień?

Nie mogę otrząsnąć się z tego uczucia. Chcę być bliżej kobiety oddalonej ode mnie o jakieś półtora metra, po drugiej stronie lady. Pochylam się więc do przodu, łączę palce i opieram łokcie na blacie. Misja zakończona powodzeniem: jestem o trzydzieści centymetrów bliżej.

Ma piegi na nosie. Również są piękne.

– Zazwyczaj. – To kłamstwo. Nigdy wcześniej tego nie robiłem.

Drapie się po głowie, jakby zastanawiała się nad moimi słowami. Kiedy opuszcza dłoń, jej fryzura jest jeszcze bardziej potargana niż wcześniej. Chociaż to nic złego. Wręcz przeciwnie. Odpowiada wyzywająco:

– Więc jestem karmelową dziewczyną? Cholera, nie mam pojęcia, jak na to odpowiedzieć.

Trzymam ręce oparte na ladzie. Bałbym się, że właśnie ją obraziłem, gdyby nie uśmiech powracający na jej usta. Wygląda na zadziorną.

– Tak mi się wydaje.

– Wow – odpowiada. – Prawdę mówiąc, czuję się trochę zlekceważona twoją zuchwałą oceną, jednak mam zamiar ci odpuścić. Zawsze myślałam, że moje uwielbienie do kawy widać jak na dłoni, niczym jakaś odznakę honorową. Wielki kubek miejscowej mieszanki... bez dodatków, poproszę.

Czarna? Chyba nie mówi poważnie... Nikt nie pije czarnej, wszyscy używają dodatków. Mrużę oczy.

– Smakowa?

Unosi brwi.

– Nie.

Nie odpuszczam.

– Śmietanka, mleko zwykłe lub sojowe?

Kręci głową.

– Nie, dzięki.

– Cukier?

– Nie. Jestem wystarczająco słodka.

Z ust kogoś innego brzmiałoby to tandetnie i flirciarsko, ale ona mówi to tak rzeczowo, że wydaje mi się, iż w ogóle nie chce niczego sugerować. Cholera, robię z siebie idiotę. Śmieję się i kręcę głową.

– Założę się. – Nalewam napój i podaję jej ciepły kubek. Niemal podskakuję, kiedy odbierając go, muska palcem moją dłoń. Z jej strony było to wyraźnie niezamierzone, ale ja muszę się opanować, by nie jęknąć. Odchrząkuję więc i próbuję brzmieć normalnie: – Chyba się jednak pomyliłem. Witaj w klubie.

Podaje mi dwa banknoty jednodolarowe i puszcza do mnie oko.

– Często to słyszę.

Puściła do mnie oko. Cieszę się, że od pasa w dół zasłania mnie lada, bo zbłąźniłbym się jak jakiś uczeń. Wrzucam resztę do jej drobnej dłoni, ponieważ nie mogę ryzykować ponownego kontaktu.

Natychmiast wsypuje resztę do słoiczka na napiwki i w toaście unosi kubek.

– Dzięki. Zdumiewającego dzionka życzę.

Kto mówi „zdumiewającego”? Chyba tylko ona. To może być moje nowe ulubione słowo.

– Zdumiewającego – powtarzam. Nie mogę przestać się do niej uśmiechać. Czuję, jakby włączyła we mnie jakiś przycisk. – Tobie również zdumiewającego – mówię, leniwie salutując. To zwyczaj, który przejąłem po długiej pracy z Romero.

Zerkam na zegarek. Jest dopiero za pięć siódma, a to już był zdumiewający dzień.

Co się, u licha, właśnie stało? Czuję się, jakbym spał przez kilka lat i ktoś mnie właśnie obudził.

31 SIERPANIA, ŚRODA

KATE

Siedzę w pokoju Claytona i Pete'a już od dwóch godzin. Pierwszą godzinę przegadaliśmy, po czym Clayton sugeruje:

– Zagrajmy w „Wyrządź krzywdę, Zaspokój seksualnie, Zawrzyj związek”.

Zerkam na Pete'a, by sprawdzić, czy ma pojęcie, o czym mówi Clayton, ale wygląda na równie zdezorientowanego jak ja, jednak wtedy doznaję olśnienia.

– Młody, nie gram w „Zabij, Przeleć, Poślub”.

Clayton wydaje się zdziwiony moją odmową.

– To przykre, że tak mówisz. Dlaczego nie?

Przewracam oczami.

– Nie grałam w to, odkąd miałam jakieś piętnaście lat.

Pete nadal nie rozumie.

– Co to jest „Zabij, Prze...” – Nawet nie potrafi wypowiedzieć tego słowa. Zdecydowanie nigdy w to nie grał.

Śmieję się, bo niewinność Pete'a jest taka urocza.

– Clayton. – Spoglądam mu w oczy. – John, opiekun naszego piętra, Hector, gościu ze stołówki i Sugar, moja współlokatorka.

Jego uśmiech blednie.

– Na miłość boską, Katherine, to okropny wybór.

Wyrzucam mu z uśmiechem:

– To ty chciałeś w to grać. A Hector nie jest okropny. Jest bardzo miły.

– Skąd wiesz, że jest miły?

– Rozmawiam z nim co wieczór, kiedy podrzucam brudne naczynia do stołówki.

– To, co robicie, to nawet nie jest rozmowa. To smutne łamanie angielskiego i hiszpańskiego w połączeniu z kalamburami.

– Uczy mnie hiszpańskiego. Ja uczę go angielskiego – bronię się.

Uśmiecha się.

– A czego cię nauczył?

Śmieję się, bo wiem, że zostałam przyłapana. Angielski Hectora jest mocno ograniczony, więc to, co robimy, bardziej przypomina szarady niż zwykłą rozmowę, ale dokładamy wszelkich starań. Biorę głęboki wdech.

– Umieć powiedzieć: *Mi nombre es Kate* i *Como estas*, wiem, co to *gato*. Potrafię też: *Ami no me gustan las zanahorias*, co oznacza: „marchewka smakuje jak gówno”.

Pete wygląda na nieprzekonanego.

– Nauczył cię, jak powiedzieć, że marchewka smakuje jak... kupa?

Macham lekceważąco ręką.

– To zapewne znaczy: „nie lubię marchewki”, ale wolę wersję: „marchewka smakuje jak gówno”, ponieważ naprawdę tak smakuje. – Zerkam na Claytona, który się krzywi. – Wracając do gry, Clay: John, *mi amigo* Hector i Sugar. Dawaj.

Pete wciąż nie załapał, o co chodzi.

Clayton wzdycha.

– Mam ochotę wyrzucić krzywdę Sugar, ponieważ nie potrafię się z nią w żaden sposób dogadać. – Milknie na chwilę. – Pozostali dwaj sprawiają, że się denerwuję.

– Wyłóż karty na stół, młody.

Clayton nakrywa twarz dłońmi, po czym wreszcie dostrzegam zrozumienie na twarzy Pete'a. Jego policzki natychmiast robią się czerwone z zażenowania. Clayton wyrzuca z siebie:

– Przeleciałbym Johna, ponieważ jest zbyt złośliwy, by spędzić z nim resztę życia, a związek zawarłbym z Hectorem, nawet jeśli nie znam ani słowa po hiszpańsku, a on nosi siatkę na włosach, workowate jeansy prane w wybielaczu i białe, staromodne trampki, które są paskudne – wypowiada te słowa z prędkością karabinu maszynowego, po czym krzyżuje ręce na piersi, jakby się boczył. – Nie gram już.

Klaszczę i śmieję się z obrzydzenia malującego się na jego twarzy.

– Klasyka, Clayton. – Pete wygląda, jakby był mocno zakłopotany, obawiając się, że będzie następny w kolejce, zmieniam więc temat. – Dobra, nowa gra.

Proponuję zabawę, w ramach której jedna osoba wymyśla pytanie, na które wszyscy musimy odpowiedzieć. Dowiaduję się, że Pete urodził się w Teksasie, ale dorastał w Omaha i Nebrasce. Jego przysmakiem jest stek ze smażonym czosnkiem i grzybami, w dzieciństwie najbardziej lubił bawić się mikroskopem (czy to w ogóle jest zabawka?) i wolałby obciąć sobie kosiarką żyłkową mały palec u stopy, niż przejść nago po kampusie.

Clayton za to uwielbia *Władcę Pierścieni* i nie lubi psów, zwłaszcza małych. Jako dziecko brał udział w zawodach jazdy figurowej na lodzie (dużo bym dała, by to zobaczyć) i, w przeciwieństwie do utraty palca, nie miałby problemu z przejściem nago przez kampus, przynajmniej dopóki mógłby mieć na sobie wysokie czerwone skarpetki i czarne trapery (muszę przyznać, że to też chciałabym zobaczyć).

Pete godzinę później idzie spać, a my z Claytonem bierzemy się za odrabianie zadania domowego, ale oczy same zaczynają mi się zamykać.

Zamykam książkę o historii Europy i szepczę:

– Clayton, naprawdę potrafisz zapewnić dziewczynie dobrą zabawę, ale chyba już pójde do siebie. Jestem padnięta.

– Dobrze, kochana. Ja też lepiej zaznam nieco upiększającego snu.

Zarzucam plecak na ramię.

– Dobranoc, Clayton.

– Dobranoc, Katherine. – Siedząc po turecku na podłodze, posyła mi w powietrzu buziaka.

Odwzajemniam gest i idę na drugą stronę korytarza. Dostrzegam, że klamka okręcona jest czerwoną tasiemką, jednak mój zaspany umysł nie odnotowuje tego jak ostrzeżenia, aż jest za późno. Wszystko dzieje się tak szybko. Widzę jedynie splecione nogi i gołe pośladki, po czym jęki przerywa ostra wiązanka przekleństw.

– Co jest, kurwa?! – wrzeszczy Sugar. Próbuje krzyczeć, ale jest zdyszana, najwyraźniej przerwałam im „aerobik”. – Wypieprzaj stąd, zdziro!

W końcu dociera do mnie znaczenie czerwonej wstążki.

– O cholera. Przepraszam. – Natychmiast zamykam za sobą drzwi. Moje serce bije jak szalone. Od razu przytomnieję. Biegnę korytarzem do łazienki, gdzie myję twarz i rozmyślam, co zrobić. Powinnam poczekać, aż skończy, czy poszukać miejsca na nocleg?

Idę do pokoju Clayтона i lekko pukam do jego drzwi. Chłopak otwiera ubrany w piżamę z bordowego jedwabiu.

– Zapomniałaś czegoś, Katherine?

– Nie. Młody, po pierwsze kiedy zmieniłeś się w Hugh Hefnera? Piżamkę masz w dechę. Śmieje się i dyga.

– Dziękuję.

Wskazuję ręką przez ramię na drzwi mojego pokoju.

– Ee, tak, właśnie... weszłam do pokoju i widziałam, jak Sugar dosiada kucyka. Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zostanę u was na noc?

Otwiera szerzej drzwi.

– Oczywiście, że nie, Katherine. – Zerka na moje drzwi. – A nie zauważyłaś wstążki na klamce?

Kręcę głową i szepczę, ponieważ nie chcę obudzić Pete'a:

– Wiem, wiem. Najwyraźniej jestem zmęczona. Nie myślałam. Poza tym nigdy nie omawiałyśmy znaków na wypadek sytuacji: „nie przeszkadzać, uprawiam dziki seks”.

Clayton wchodzi do łóżka i odchyła kołdrę.

– Chodź, Katherine. Oboje jesteśmy szczupli, zmieścimy się.

– O nie, Clayton, prześpię się na podłodze.

Wskazuje na mnie.

– Głupoty gadasz, chodź. – Puszczą do mnie oko. – Jesteś urocza, ale nie w moim typie.

Z uśmiechem kładę się obok niego.

– Dzięki, Clayton. Jesteś najlepszy. Dobranoc.

Całuje mnie w policzek.

– Dobranoc, Katherine.

Spałam w jednym łóżku z inną osobą niemal przez całe moje życie. Do teraz jednak nie zdawałam sobie sprawy, że mi tego brakuje. To miłe.

1 WRZEŚNIA, CZWARTEK

KATE

Co takiego jest w kawie? To perfekcyjny napój. Rozgrzewa mnie, zarówno ciało, jak i duszę. I natychmiast sprawia, że jestem szczęśliwa. Tym razem nie wkurza mnie nawet głośny dzwonek. Postanawiam zawrzeć z nim pokój, ponieważ nie potrafię go ani przechytryć, ani pokonać. Próbowałam popchnąć drzwi z umiarkowaną siłą, ale nadal był cholernie głośny.

Jest wcześniej, Romero jak zwykle mi salutuje.

– Dzień dobry, Kate – mówi, gdy stoję na końcu krótkiej kolejki.

Czekając, zauważam, że z zaplecza wychodzi chłopak, który obsługiwał we wtorek. I tak, wciąż jest porażający. Nie zauważył mnie jeszcze, ale ja obserwuję, jak zakłada przez głowę fartuch i niezdarnie wiąże go za plecami.

Wygląda na starszego ode mnie, ale domyślam się, że również jest studentem. Średniego wzrostu, szczupły, wygląda, jakby był silny jak diabli – widzę pracujące na jego ramionach mięśnie – i dość pewny siebie. Zgaduję, że jego pewność siebie jest mocno zakorzeniona, choć dość często go zawodzi. Założę się też, że nikt nie zauważa, kiedy zaczyna się wahać, ponieważ nadrabia to sympatyczną osobowością. Nie ma dominującego charakteru. Jest raczej subtelny. To taki rodzaj sympatii, której działania nie zauważycie, póki nie kupicie biletu, nie wsiądziecie do autobusu i nie przejedziecie kilku kilometrów, nim zadacie sobie pytanie: „o co tu właściwie chodzi”.

Na szczęście ta podróż przebiega w pięknej scenerii. Chłopak ma zmierzwiłone włosy, jakby niedawno wstał z łóżka. Są tak ciemne, że niemal czarne – podobnie jak niewielki zarost na jego twarzy. I, o Boże, ta twarz. Ma chłopięce rysy, dzięki którym uszłoby mu płazem nawet morderstwo. Jego twarz nie jest niewinna, tylko taka, której nie można odmówić. Jednak odsuwając to wszystko na bok, najbardziej oszałamiające są jego oczy. Są jasnoniebieskie, wręcz akwamarynowe. Oprawa gęstych, długich, czarnych rzęs dodaje im intensywności i głębokości, przez co ma się wrażenie, że można w nich zatonać. Ogólnie rzecz biorąc, gość jest niesamowicie przystojny.

Wita się z Romero głębokim, przyjaznym głosem:

– Dobry, Rome. – Odwraca się, by obsłużyć następną osobę w kolejce, którą, oczywiście, na moje szczęście, jestem ja.

Nim spoglądam w te urzekające, intensywnie niebieskie oczy w duchu odmawiam modlitwę: *Dziękuję, Boże. Facet przede mną to naprawdę dzieło sztuki. Niezła robota. Na razie.*

Chłopak uśmiecha się do mnie półgębkiem.

– Ach, powraca nieznajoma. – Te jego oczy są jeszcze jaśniejsze, niż zapamiętałam, do tego błyszczą. Ten chłopak może mi wróżyć same kłopoty. Dobrze, że tylko patrzę.

Odpowiadam uśmiechem, na który nie mam wpływu.

– Nieznajoma?

– Tak, z pewnością nie jesteś stąd.

Romero zerka na nas, nalewając mleko do ekspresu.

– Kate pochodzi z Kalifornii. – Znów każdą z czterech sylab wymawia oddzielnie.

– Ach, Kalifornia. Miałem rację. Nie jesteś stąd. – Spogląda na mnie, na Romero, znów na mnie i ponownie na Romero. – Kate? Jesteście już po imieniu? Rome, człowieku, może byś coś dla mnie zrobił? Na przykład mnie przedstawił?

Romero śmieje się głośno, aż trzęsą mu się ramiona.

– Keller Banks, to Kate Sedgwick. Kate Sedgwick, to Keller Banks. – Romero patrzy na Kellera. – I lubi czarną kawę.

Keller się uśmiecha.

– Wiem, Rome. Należy do klubu. – Zwraca się do mnie i wyciąga rękę. – Miło mi cię oficjalnie poznać, Katie.

Ściskam jego dłoń. Jest ciepła, a jego palce szorstkie. Ma mocny uścisk, choć dziwnie łagodny, nawet zapraszający. Nie chcę jej puścić, ale muszę to zrobić.

– Wzajemnie, Keller. I jestem po prostu Kate.

Uśmiecha się swoim krzywym uśmieszkiem i kiwa głową.

– Wielka, czarna, lokalna?

– Tak. Dziś nie jest dobry dzień na zmianę przyzwyczajień... – Moje myśli wędrują do ekstazy wywołanej u Clayтона przez mokkę macchiato. – ...lub na testowanie teorii. – Wystarczy mi samo patrzenie na Kellera Banksa, bym była pobudzona.

Unosi pytająco brwi, jednocześnie wciskając wieczko na mój kubek i podając mi go.

– Testowanie teorii?

Kręcę głową i podaję mu pieniądze.

– Nic takiego. – Przygryzam dolną wargę, próbując powstrzymać uśmiech.

Keller uśmiecha się krzywo, jakby potrafił czytać mi w myślach.

– Daj znać, jeśli zdecydujesz się przetestować teorie. – Opiera ręce na ladzie i pochyla się, byśmy byli na tym samym poziomie, po czym ścisza głos. – Mogę być bardzo pomocny.

– Przesuwa resztę po blacie.

Serce wali mi w piersi jak młotem. Mam nadzieję, że tego nie widać, gdy wrzucam drobne do słoika na napiwki. Boże, zupełnie jakby wiedział, że wywołuje we mnie pobudzenie, a może flirtuje tak ze wszystkimi dziewczynami. Unoszę kubek i się uśmiecham.

– Założę się, że tak jest, Kellerze Banksie. Założę się. Wyjątkowego dzionka.

Nie odrywa ode mnie wzroku. Nawet nie mruga.

– Również wyjątkowego, Katie.

Czuję to podniecenie nawet po wyjściu z kawiarni. Do licha, czy to źle, pójść jak gdyby nigdy nic po kubek kawy, a wrócić, fantazjując o tym, jak sprzedawca wygląda nago? I jaki jest w łóżku? Biorę głęboki wdech. Pozwoliłam, by nazwał mnie Katie.

Cholera.

2 WRZEŚNIA, PIĄTEK KATE

Przez kilka dni porozumiewaliśmy się z Gusem jedynie wymieniając SMS-y lub dzwoniąc do siebie w ciągu dwóch minut, kiedy wychodził na papierosa. Jego grafik jest napięty. Wraca do mieszkania nocą, śpi kilka godzin, po czym wszystko zaczyna się od nowa. Jestem więc zdziwiona, kiedy siedząc na stołówce z Claytonem i Petem, dostaję od niego wiadomość o treści: POGADAMY NA SKYPYPIE?

Odpisuję: TAK! DAJ MI 15 MINUT.

Przepraszam chłopaków i biegnę do pokoju, by włączyć komputer.

Czuję znajomą falę szczęścia, kiedy twarz Gusa pojawia się na ekranie. Wygląda, jakby był wyczerpany, ale zadowolony.

– *Hola señorita bonita.*

– *Como es ta, młody?*

– U mnie dobrze, Promyczku, a u ciebie?

– Fantastycznie. Co się działo w świecie rocka przez ostatnie kilka dni? Powiesz mi w końcu, które piosenki załapały się na płytę, czy nie? No ile mam jeszcze czekać? Moja cierpliwość naprawdę ma swoje granice.

Gus jest na balkonie, w palcach już trzyma papierosa. Nic dziwnego, że jest tak spokojny. Uśmiecha się.

– Gotowa?

Podskakuję na krześle.

– Tak, gotowa! Zabijasz mnie, młody. Czekam już, cóż, całe życie, całą wieczność, by usłyszeć te wieści. Nawijaj. – A ponieważ nie mówiłam tego jeszcze, wskazuję w stronę ekranu i dodaję: – Och, i powinieneś rzucić. – Chociaż jestem tak bardzo podekscytowana, że nie brzmię przekonująco.

Gus tylko się uśmiecha, po czym wymienia całą listę utworów.

Przypominam sobie melodię każdego z nich, kiedy Gus wymienia tytuły. Jestem nakręcona.

– Młody, muszę ci coś powiedzieć.

Wygląda, jakby był zmartwiony.

– Co?

– To będzie najlepszy album wszechczasów. Mam nadzieję, że jesteś gotowy na sławę i pieniądze, na przeprowadzkę na własną wyspę, co kilka lat małżeństwo z nową supermodelką, maskotkę w postaci małego lwiątko i życie wyłącznie dzięki whisky i heroinie.

Śmieje się.

– Promyczku, w twoich ustach to takie wystrzałowe. Obiecujesz, że tak właśnie będzie? – Uwielbiam jego sarkazm.

– Zdecydowanie, chociaż wiem, że wolałbyś małpę zamiast lwa i wódkę zamiast whisky. Jesteś panem swojego rockandrollowego świata.

Śmieje się jeszcze bardziej.

– Młoda, przecież nie robię tego wszystkiego dla muzyki, zwłaszcza gdy wiąże się z tym

całe to zepsucie.

– Myślę, że w świecie gwiazdy rocka zepsucie i życie z dnia na dzień to synonimy.
Semantyka.

– Och, znasz mnie, Promyczku, nawet jeśli jakimś dziwnym zrządzeniem losu odniesiemy sukces, ciągle będę mieszkał z mamą, surfował w każdej wolnej chwili i żył, jedząc wegetariańskie tacos i paląc papierosy.

Uśmiecham się, ponieważ ma rację. Nawet jeśli byłby milionerem, żyłby właśnie w taki sposób. Twardo stąpa po ziemi. Pieniądze nie są dla niego ważne. Pewnie dlatego tak dobrze się dogadujemy. Naszym priorytetem są ludzie. Uwielbiam go za to.

– Poważnie, młody, jestem z ciebie taka dumna. Kiedy posłucham płyty?
– Mam nadzieję, że będę miał ją w rękach w przyszłym tygodniu, by ci ją wysłać, ale będziesz musiała obiecać, że bez ściemy powiesz, co myślisz. Potrzebuję konstruktywnej krytyki.

Unoszę prawą rękę.

– Uroczyście przyrzekam nie ściemniać.

Uśmiecha się.

– Moja dziewczynka. – Milknie na chwilę, po czym mówi: – Słuchałem dzisiaj *Missing You* i zastanawiałem się, no wiesz, czy myślałaś, by znowu grać na skrzypcach?

Kręcę głową.

– Nie. Szczerze, nie brakuje mi tego. To trochę smutne, co? Może kiedyś zatęsknię za tym. Kto wie? Po prostu w tej chwili nie mogę grać. – Za bardzo przypomina mi to o Grace. Za mocno boli.

– Okej. – Jest smutny. – Chodzi tylko o to, że kiedy grasz, świat staje się piękniejszy. Tylko o tym mówię. – Urywa, ale kiedy się nie odzywam, kontynuuje: – A co tam u ciebie słychać? Jak na uczelni, w pracy, ze striptizerką, ze zbokiem?

Czuję ulgę z powodu zmiany tematu, więc się uśmiecham.

– Studia są świetne, nadal nie wierzę, że tu jestem. W robocie w porządku. Polubiłbyś Shelly, dziewczynę, z którą pracuję. Jest zbuntowana na zewnątrz, za to w głębi bardzo słodka.

– Spoko. Brzmi, jakby była w moim typie.

– Striptizerka jest... cóż, striptizerka jest, jak mam to ująć, by jej nie obrazić?

– Nie obrazić? Cholera, to cię nigdy nie powstrzymywało. Dawaj.

– Striptizerka prowadzi aktywne życie seksualne. W naszym pokoju. Raz nawet udało mi się być tego świadkiem.

– Świadkiem? Minnesota zmienia cię w jakąś seksualną dewiantkę. Przyglądałaś się? Niedługo powiesz, że kręcisz pornosa ze zbokiem z przeciwnej strony korytarza.

– Młody, weszłam tylko i ich zobaczyłam. To było żenujące. Sugar przeklina jak marynarz.

Odrzuca głowę w tył i głośno się śmieje.

– Nie gadaj! To zabawne.

– Tak, chociaż wcale nie takie zabawne, kiedy jest w niej jakiś gość. I jeszcze jedno, popraw mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że kiedy idziesz do laski na fikołki, nie zostajesz na całą noc, by się wyspać, prawda?

Wciąż się śmieje.

– Młoda, to główna zasada jednorazowych numerków. Zbierasz dupę, jak tylko kończy

się akcja. – Przestaje się śmiać. – Czekaj, to gdzie się podziewałaś, kiedy ten kochaś wylegiwał się w twoim pokoju?

– Och, Clayton przygarnął mnie do siebie.

Jego twarz nagle staje się śmiertelnie poważna.

– Wow, czy Clayton to ten gej czy ten zbok w skórzanych ochraniaczach?

– Clayton zdecydowanie i stuprocentowo jest homoseksualistą.

Odzywa się ojcowskim tonem:

– Promyczku, nie możesz spać w pokoju gości, których ledwie znasz.

– Gus, oni są całkowicie nieszkodliwi. Kocięta są bardziej przerażające niż tych dwóch.

Przezesuje palcami długie włosy i ściąga je w kucyk. Widać, że jest sfrustrowany.

Zawsze bawi się włosami, gdy jest w takim stanie.

– Promyczku, posłuchaj, nie masz pojęcia, jaka jesteś piękna ani jak mocno działasz na facetów. Chcą ci się dobrać do majtek już w chwili, w której cię widzą. A kiedy spędzają z tobą pięć minut, natychmiast się w tobie zakochują. – Prycha. Wiem, że zaraz odpali kolejnego papierosa. – Mówię tylko, że musisz być ostrożna, dobrze?

Przewracam oczami.

– Nie przesadzasz trochę? Gus, mówisz do Kate Sedgwick, pamiętasz? Ja nie chodzę na randki. I wiem, jak odrzucać natarczywe umizgi.

Kręci głową.

– Nie można odrzucić gwałtu, Promyczku. W mokrych ciuchach ważysz ze czterdzieści pięć kilo. Proszę, obiecaj, że będziesz uważać i dbać o swoje bezpieczeństwo. Jeśli jakiś sukinsyn chciałby wziąć cię siłą... Kurwa. Musiałbym przyjechać do Minnesoty i go zabić, a jestem pewien, że pójście do więzienia pokrzyżowałyby plany, jakie ma ZGKB.

– Gus...

Przerywa mi:

– Bądź wybredna... ponieważ zasługujesz na coś więcej niż jakiegoś gościa posuwającego cię na tylnej kanapie samochodu albo przyjaciela robiącego to w pokoju gościnnym domu swojej matki.

To idealnie podsumowuje moją seksualną przeszłość. Byłam tylko z kilkoma chłopakami i byłam przy tym wybredna. Nie jestem puszczalska, ale nie chciałam się wiązać. Kiedy już się zabawiłam, nie składałam obietnic i nie przepraszałam. Cieszyłam się tym, co robiłam. Jednak w przypadku Gusa było inaczej. Nie planowałam tego, ale nie był dla mnie jakimś przypadkowym facetem. A ta sytuacja w jakiś sposób jest nowa.

– Gus. – Chciałbym, by tego nie robił. On się obwinia.

– Nie, Promyczku, posłuchaj, jesteś wyjątkowa. Zasługujesz na kogoś, kto będzie cię zabierał na prawdziwe randki. Kogoś, kto będzie kupował ci kwiaty i inne pierdoły. Ponieważ jeśli jest na świecie ktoś, kto ma w sobie niewyczerpane pokłady miłości i kto zasługuje, by być w zamian kochanym, to tą osobą jesteś ty.

Kręcę głową.

– Nie kręcaj mnie serduszka i kwiatuszki, Gus.

– Kiedy znajdziesz właściwego faceta, zaczną cię kręcić. Po prostu jeszcze go nie znalazłaś. – W jego głosie słychać smutek.

Życie nigdy nie dawało mi czasu czy możliwości na randkowanie. Moimi priorytetami zawsze była rodzina i przyjaciele, których kochałam całym sercem. Chłopaki i seks to tylko chemia, fizyczny akt. Z Gusem chodziło o coś więcej, to miłość, ale nie taka miłość.

Miłość jest nieuchwytnym, nierealnym, niedefiniowalnym uczuciem. Wiem, że niektórzy ją czują, dla mnie też nie jest całkowicie obca, jednak mimo że jestem optymistką, przede wszystkim jestem też realistką. Moje życie nie będzie bajką i nie przeszkadza mi to. Żyję teraźniejszością, bo w moim świecie nie ma zakochania, małżeństwa oraz szczęśliwego zakończenia, ponieważ życie jest zbyt skomplikowane. I pogmatwane. Jestem szczęśliwa, wiedząc, że bajki istnieją w życiu innych, na przykład u Shelly (najpewniej nakopałyby mi do tyłka, gdyby wiedziała, że użyłam jej imienia i słowa „bajka” w tym samym zdaniu).

Tym razem to ja unoszę palec, by mu przerwać.

– Czekaj chwilkę. – Wstaję, wychodzę na korytarz i pukam do drzwi Claytona i Pete’a, bo chcę poprawić Gusowi nastrój.

Drzwi otwiera Pete.

– Hej, Kate.

– Cześć, Pete. Możecie z Clayem przyjść do mojego pokoju? Tylko na sekundkę.

Pete zerka na Claytona, który stoi przy drzwiach i mówi śpiewnym tonem:

– Jasne, kochana.

Idą za mną do mojego pokoju, gdzie na ekranie monitora widzę, że Gus czeka, siedząc z zamkniętymi oczami i opartą głową. Wypalił już połowę papierosa. Tak mocno koncentruje się, by odzyskać spokój, że nie słyszy, kiedy wracam.

– Pobudka, śpiąca królewno.

Uśmiecha się, nim otwiera oczy.

– Chciałam ci przedstawić moich serdecznych przyjaciół. – Odsuwam się, by Gus mógł zobaczyć Claytona i Petera.

Gus przygląda się im z uśmiechem. Najwyraźniej już nie martwi się tak bardzo o moje bezpieczeństwo. Ci chłopcy są tak niegroźni, że bardziej się nie da, mam przekonanie, że wyraźnie to widać, nawet na ekranie jego komputera.

– Co tam, chłopaki?

Clayton macha i się rumieni.

– Witam. – Cholera, być może właśnie byłam świadkiem miłości od pierwszego wejrzenia. Gus nie ma na sobie koszulki i wygląda naprawdę dobrze. Clayton praktycznie dyszy. Wydaje mi się, że powinnam mu podać papierową torebkę do oddychania, by nie zemdłał. Czy w naszym akademiku mają defibrylator?

Peter unosi tylko lewą rękę, jednocześnie wygląda, jakby był zdezorientowany i przerażony.

– Hej.

Przesuwam się i wskazuję na ekran.

– To mój najlepszy przyjaciel, Gus Hawthorne. Gus, to moi przyjaciele z Minnesoty, Clayton i Peter.

Clayton i Peter wyglądają na spanikowanych. Najwyraźniej Gus ich zawstydzą. Jest wysoki i dobrze zbudowany. Jego postać, cóż, powala nawet z ekranu monitora. Kiedy faceci są przystojni tak jak Gus, ludzie albo ich prowokują, albo chcą z nimi flirtować, albo też się ich boją. Clay i Pete z pewnością zdradzają tę trzecią postawę, chociaż Clay nadal wygląda, jakby był porażony. Cóż, chłopaki jeszcze nie wiedzą, że Gus tak naprawdę jest słodkim misiem.

Clayton i Peter nagle zaczynają mówić, przekrzykując się nawzajem:

– Fajnie cię poznać.

– Miło mi cię poznać.

Obaj są wyraźnie spięci.

Gus uśmiecha się, choć wiem, że chciałby roześmiać się w głos, jednak bardzo się stara być kulturalny.

– Również miło mi was widzieć.

Klaszczę.

– Dobra, super, no to się znacie. Jesteśmy teraz jedną, wielką, szczęśliwą rodziną. – Zerkam na Gusa. – Zadowolony?

Ma na twarzy szeroki uśmiech.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Spoglądam z powrotem na Clayтона i Pete'a.

– Dzięki, że wpadliście, chłopaki. Przyjdę do was, kiedy tylko skończę gadać.

Obaj stoją bez słowa.

Gusowi bardzo podoba się ta sytuacja.

– Życzę wam wspaniałego wieczoru i opiekujcie się moją dziewczyną, dobrze?

Jednocześnie kiwają głowami, po czym wracają do siebie, wymieniając przy tym zmieszane spojrzenia. Pete jest zachwycony, Clayton prawdopodobnie walczy z erekcją. Właśnie tak Gus działa na ludzi.

Kiedy słyszymy trzask zamykających się drzwi, Gus klaszcze i wybucha gromkim śmiechem.

– O Jezu, Promyczku, nie to, że nie musisz mieć się na baczności, ale z tymi dwoma jesteś całkowicie bezpieczna. Mówię ci, Pete'a absolutnie nie kręci odgrywanie ról ani sado-maso, ale, cholera, nie mogłem przestać wyobrażać sobie tego kolesia w skórzanych kowbojskich ochraniaczach, jak wcześniej sugerowałaś. To śmieszne jak cholera.

Próbuję nie parsknąć, ale mi się nie udaje. Śmiech Gusa jest zaraźliwy.

– Mówiłam.

– Ale tak poważnie, to wydają się przyzwoici.

– Bo tacy są. Dobre z nich chłopaki.

Kiwa z uśmiechem głową. Przez kilka chwil się nie odzywamy.

– Dziękuję, że się o mnie martwisz – mówię. – Miło wiedzieć, że jest ktoś, kto się o mnie troszczy, także dzięki.

– Proszę. Moją misją życiową jest troska o ciebie.

Uśmiecham się.

Gus to odwzajemnia.

– Cóż, Promyczku, dam ci już spokój. Było zarąbiście.

– Jak zawsze. Mnie też było miło.

– Kocham cię, Promyczku.

– Też cię kocham, Gus.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

Zamykam laptopa i wędruję na drugą stronę korytarza. Drzwi pozostały dla mnie otwarte, więc nie pukam.

– Przepraszam, to było dziwne, ale dzięki. Gus nieco ześwirował, kiedy mu powiedziałam, że u was spałam, więc chciałam mu was przedstawić, żeby się nie martwił.

Clayton leży na łóżku, wachlując się czasopismem. Jego policzki nadal są czerwone.

– Katherine, dlaczego nie powiedziałaś, że spotykasz się z Adonisem?

– Fajny jest, nie, Clayton?

– Fajny? Jest wspaniały.

– Nie jest moim chłopakiem. Jest najlepszym przyjacielem.

Wcina się Pete:

– W takim razie dlaczego powiedział: „zaopiekujcie się moją dziewczyną”?

Kręce głowę.

– Nie wiem, Pete. Zawsze tak o mnie mówi. To jakby pieszczotliwe określenie.

Clayton unosi brwi i porusza nimi w zabawny sposób.

– Na pewno. Słuchaj, nie wiem, co jest między wami, ale byłabyś nienormalna, gdybyś przepuściła taką okazję.

– Nienormalna?

Przytakuje.

– Nie-nor-mal-na.

4 WRZEŚNIA, NIEDZIELA KATE

Piszę SMS-a do Maddie, licząc na to, że nie jest już na mnie wkurzona. Martwię się o nią i chcę, by o tym wiedziała.

Nie odpisuje.

Pewnie wciąż się wścieka.

Dam jej trochę więcej czasu i spróbuję ponownie później.

5 WRZEŚNIA, PONIEDZIAŁEK KATE

Clayton, zgodnie z planem, czeka na mnie przed stołówką o wpół do ósmej wieczorem. Właśnie wyszłam z pracy, więc jak zwykle jestem spóźniona. Chłopak bierze mnie pod rękę i wchodzimy do środka.

– Katherine, mówiłem ci ostatnio, jak bardzo cię kocham?

Zerkam na niego podejrzliwie.

– Nie... Czego chcesz?

Ścisza głos do szeptu:

– Znalazłem w Minneapolis klub, gdzie nie trzeba mieć dwudziestu jeden lat.

Zacieram ręce.

– Cudnie! Kiedy idziemy?

Na jego twarzy pojawia się grymas, ale patrzy na mnie z nadzieją.

– Dzisiaj?

Wzruszam ramionami.

– Dobra. Októrej?

Zatrzymuje się i obraca twarzą do mnie.

– Serio?

– No tak. Mówiłam ci przecież, że z tobą pójdę, prawda?

Clay porywa mnie w ramiona, mocno ściskając, aż odrywa moje stopy od podłogi. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak silny. Nie sądzę, by ważył więcej niż ja.

– Katherine, naprawdę cię kocham. Jesteś po prostu najlepsza.

– Och, Clay. A nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zaproszę Shelly?

Klaszcze w dłonie.

– Im nas więcej, tym lepiej.

W trakcie posiłku dzwonię do Shelly.

– Cześć, młoda – mówi z sarkazmem, ale wydaje mi się, że w duchu uwielbia to słowo.

Nie będę jej jeszcze skreślać.

– Jesteś dzisiaj zajęta?

– Nie, dlaczego pytasz?

– Świetnie. Idziemy z Claytonem potańczyć, a ty idziesz z nami.

– Chcesz, żebym poszła potańczyć?

– Tak.

– Nie jestem w nastroju na symulowaną balangę w pokoju Claytona.

– Nie, idziemy na miasto, do prawdziwego klubu.

– Gdzie?

– Do Spectacle, w Minneapolis.

– Kate, to klub gejowski.

– Tak, wiem. – Przez chwilę panuje cisza, więc zastanawiam się, czy nie zasnęła albo nie odłożyła telefonu. – Shelly?

– To gejowski klub – powtarza.

– No tak. I?

– Jesteśmy hetero, Kate.

– Wiem.

Cisza.

– Nie zabraniają wstępu osobom z waginami, Shelly. Będzie fajnie. No zgódź się. Proszę?

– No nie wiem. – Słyszę, że się łamie.

– Shelly, jeśli odmówisz, królowa tańca, która w tobie mieszka, z pewnością się zbuntuje.

Nie chcę być świadkiem takiego dramatu. Przyjedziemy po ciebie o wpół do dziesiątej.

– Do diabła. – Niemal słyszę, jak przewraca oczami, zaraz jednak prychnie i rzuca: – No dobra.

Po powrocie do akademika co najmniej przez godzinę leżę na łóżku Claya, obserwując, jak się stroi. Jeszcze nie widziałam go tak zdenerwowanego.

– Przymierz jeszcze raz te szare spodnie. – Muszę mu pomóc, bo inaczej nigdy stąd nie wyjdziemy. Jest gorszy niż Gus.

Po ich założeniu obraca się w moim kierunku.

– Zostań w nich, świetnie eksponują twój tyłek.

Uśmiecha się i przytakuje.

– Myślisz, że mam fajny tyłek?

– Pewnie, że masz – mówię. Wstaję z jego łóżka i idę do swojego pokoju. – A mówiąc o seksownych ciuszkach, też muszę się przebrać.

– W co zamierzasz się ubrać? – pyta, zakładając przez głowę nową koszulę.

– Och, nie wiem, pewnie moje czarne jeansy.

Clay zaczyna dyszeć.

– Jeansy? Chcesz założyć jeansy? Nie masz jakiejś krótkiej sukienki?

Śmieję się.

– Kochany, po pierwsze, idę z tobą do gejowskiego klubu, więc z góry wiem, że nikt nie będzie na mnie zwracał uwagi, poza tym wszyscy i tak będą zerkać na twoją seksowną pupkę. No i nie mogę konkurować z drag queens. Są wspaniałe. Zamierzam iść z Shelly jako heteroseksualną koleżanką, więc w tym lokalu będziemy jedynymi kobietami bez penisów. Planuję tańczyć do upadłego i przeżyć najlepszą noc, jaką Minneapolis ma do zaoferowania.

– Założysz przynajmniej buty na obcasie? Och, i coś błyszczącego na górę. Masz jakąkolwiek koszulkę z cekinami? Jeśli nie, mogę ci coś pożyczyć.

Uwielbiam jego entuzjazm.

– Mam coś takiego. – Uśmiecham się i idę do swojego pokoju.

Kilka minut później wracam ubrana w czarne rurki, czarne szpilki i czarną, połyskującą koszulkę na ramiączkach z głębokim dekoltem. Gus nazywa ten styl „laska Johnny’ego Casha”, bo cała jestem na czarno. Clay dosłownie piszczy na mój widok.

– Och, moja gwiazdeczka. Twoje piersi wyglądają fantastycznie.

Mimowolnie śmieję się, patrząc w swój dekolt. To pierwszy raz, kiedy słyszę prawdziwy komplement, całkowicie pozbawiony podtekstu seksualnego lub insynuacji.

– Nigdy nie lekceważ potęgi dobrego biustonosza typu push-up, mój drogi.

Jedziemy po Shelly, po czym obieramy kierunek na Minneapolis. Nim znajdujemy miejsce parkingowe przed Spectacle, jest niemal dziesiąta wieczór.

Clay opiera palce na desce rozdzielczej i odchrząkuje.

– Katherine, wiedz, że cię uwielbiam. – Ponownie chrząka. – Jednak to była najbardziej przerażająca jazda samochodem, jakiej w życiu doświadczyłem.

Zerkam na siedzącą z tyłu Shelly, która tylko kiwa głową. Patrzy na mnie wielkimi, ciemnymi oczami, nie mrugając, w dodatku ma przyspieszony oddech.

– Kate, niełatwo mnie wystraszyć, ale to było cholernie przerażające. Chyba się posikałam.

Wzruszam ramionami, bo przesadza z reakcją.

– O co wamchodzi?

– Nie wiem, jakie macie ograniczenie prędkości w Kalifornii, bo tam wszystko jest trochę inne, ale tutaj na drodze wolno jechać do stu kilometrów na godzinę, a ty do tej prędkości zwalniałaś tylko na zakrętach.

Spoglądam na Claya, to znów na Shelly. Oboje kiwają głowami, są bladzi i mają wytrzeszczone oczy. Podnoszę prawą rękę i zaciskam powieki.

– Przrzekam, że w drodze powrotnej trochę zwolnię.

– I będę używała kierunkowskazów – dodaje Clay.

– I będę używała kierunkowskazów – obiecuję, jednocześnie w duchu pytając Boga: *Dlaczego nie mówiłeś, że beznadziejny ze mnie kierowca? Cała Kalifornia pełna jest gównianych kierowców? Nie sądzę, by było aż tak źle. Nigdy nie spowodowałam wypadku. Tak czy inaczej, dzięki, że nie dałeś mi nikogo zabić. Narazie.*

Stoimy w kolejce. Przy drzwiach sprawdzają nam dokumenty, Shelly dostaje opaskę, ponieważ ma dwadzieścia dwa lata. Na wierzchu mojej dłoni ląduje wielki, czarny „X”. Muzyka jest głośna. Bas dudni głęboko w mojej piersi. Światła migają, parkiet jest już pełen. Będę musiała się przeciskać, by dostać się na środek.

– Chodź, Shelly, zatańczymy!

Spogląda na mnie znacząco, po czym wskazuje na bar za nami.

– O, nie, najpierw muszę się napić. Nie ma takiej opcji, bym poszła tam trzeźwa. Ale wy idźcie.

Clayton bierze mnie za rękę i ciągnie na parkiet, ale zajmujemy miejsce na jego skraju, byśmy mogli widzieć Shelly. Muzyka wibruje we mnie. Uwielbiam to uczucie. Pojawia się coraz więcej ludzi, więc wkrótce poruszamy się w takt muzyki przyciśnięci do siebie. Oboje znamy tę piosenkę, więc śpiewamy każdy wers. Clayton pośród morza przystojnych mężczyzn wygląda na szczęśliwego.

Tańczymy jeszcze przez kilka piosenek, aż dostrzegam, że stojący za nami gość przygląda się Claytonowi od tyłu. Jest przystojny: średniego wzrostu, ma skórę koloru ciemnej czekolady. Ogolony jest na łyso, co tylko podkreśla jego wspaniałą, rzeźbioną twarz. Uśmiecham się i kiwam mu głową. Chłopak klepie Clayтона w ramię. Clayton obraca się i nim się orientuję, zostaje porzucona dla Pana Wspaniałe Policzki. Wzruszam ramionami. Właśnie po to tu przyjechaliśmy. Poza tym widziałam, że Shelly wychyliła dwa kieliszki wódki, a teraz popija piwo. Czas na jej taniec.

Przepycham się z powrotem na skraj parkietu i wskazuję na nią palcem, by dołączyła. Wygląda na bardziej zrelaksowaną, niż kiedy wchodziliśmy do lokalu, ale dopija piwo, zanim do mnie dołączy.

– Nie wierzę, że to robię – mówi jakby z urazą.

Uśmiecham się, bo nawet jeśli jest nachmurzona, ma spokojne spojrzenie. Czuję, że zaraz będę świadkiem dokonującej się przemiany.

– Shelly, wyluzuj. Wsłuchaj się w muzykę. Wczuj się w nią. Dasz radę. – Biorę ją za rękę i trzymam, wsłuchując się w rytm.

Mocno ściska moje palce, próbując odwzorować moje ruchy. Jest spięta i niepewna, jednak przy następnej piosence nieco się rozluźnia i puszcza moje dłonie.

– Twoja wewnętrzna królowa parkietu jest teraz szczęśliwa! Rewolucja została rozpoczęta! – krzyczę jej do ucha.

Pokazuje mi język, ale uśmiecha się i widzę w niej pewnego rodzaju szczęście. Nie wiem, czy to sprawa alkoholu, czy po prostu stwierdziła, że ma gdzieś wszystko inne.

W którejś chwili zostaję zaskoczona przez obejmujące mnie w talii rękę. Są delikatne i należą do osoby, która przyciska się do moich pleców. Nie odwracam się, tylko zastanawiam, czy ten ktoś nadaży za moimi ruchami. Uwielbiam tańczyć z ludźmi, którzy w podobny sposób odczuwają muzykę. Ten gość z pewnością do nich należy. Tańczymy jeszcze dwie piosenki, po czym on krzyczy mi do ucha:

– Cholera, dziewczyno, ale się ruszasz! Zazwyczaj nie tańczę z kobietami, ale w tym przypadku nie mogłem się oprzeć. Dzięki. – Całuje mnie w policzek. Obracam głowę i się uśmiecham. Chłopak puszcza do mnie oko, po czym odchodzi, przeciskając się przez tłum w kierunku środka parkietu. Jest bardzo przystojny. No cóż, trudno, nie można mieć wszystkiego.

Shelly patrzy na mnie z rozdziawionymi ustami. Biorę ją za rękę i ciągnę do baru.

– Chodź, napijemy się czegoś. Spociłam się.

Nadal jest zdziwiona, ale kąciki jej ust nieco się unoszą.

– Do licha, to było jak seks w pełnym ubraniu.

Parskam śmiechem.

– Co? Tylko tańczyliśmy.

– To nie był taniec. To było seksowne jak cholera. Musisz mnie tego nauczyć.

Zatem to robię, a Shelly szybko się uczy. Jakaś godzinę później zastanawiam się, dlaczego twierdziła, że nie tańczy. Wystarczy dać jej odrobinę alkoholu i wszelkie zahamowania odchodzą w siną dal.

O pierwszej w nocy jesteśmy z Shelly wyczerpane, postanawiamy więc wracać do domu. Znalezienie Clayтона na zatłoczonym parkiecie zajmuje nam dłuższą chwilę. Zauważamy go w końcu tańczącego z tym samym chłopakiem, który odciągnął go ode mnie jakieś trzy godziny wcześniej.

Koszula Clayтона jest przepocona. Czuję się okropnie, informując go, że chcemy wracać, a jeszcze gorzej, kiedy na pożegnanie Pan Wspaniałe Policzki obejmuje jego twarz i całuje go z pasją. Czuję się jednak lepiej, gdy chłopak zapisuje swój numer telefonu na rękę Clayтона i ponownie go całuje, nim Clay bierze mnie za rękę i wychodzimy.

Na chodniku przed lokalem gratuluję Clayowi, przybijając piątkę i ściskając go mocno.

– Młody, to dopiero był ostry pocałunek. Jestem zazdrosna, mój drogi. – Tak naprawdę to cieszę się szczęściem Clayтона, który dosłownie frunie nad ulicą w kierunku samochodu, promieniejąc czystą rozkoszą.

– To była najlepsza noc mojego życia – szczebiocze.

Shelly energicznie przytakuje.

– Nie wiedziałam, że taniec może być taki fajny. – Jednak jej oczy szybko ciemnieją i wraca ostry ton głosu: – Tylko nie waż się komukolwiek zdradzić, że to powiedziałam, Kate. Muszę utrzymać reputację.

Kreślę na piersi krzyżyk.

– Przysięgam. Co dzieje się w Spectacle, zostaje w Spectacle. – Zerkając na Claytona, wskazuję na Shelly. – Widziałeś, co wyprawiała tam moja dziewczyna?

Kręci głową i zamyka oczy.

– Niestety nie, byłem trochę zajęty.

– Jest piekielną królową parkietu.

Clayton uśmiecha się uroczo.

– Myślałem, że ja nią byłem.

Shelly się śmieje. Robi to genialnie.

– Tytuł jest twój, Clayton.

Nawet jeśli jestem diabelnie zmęczona, ta noc była tego warta.

6 WRZEŚNIA, WTOREK

KATE

Po niemal całym tygodniu monotonnego, szczęśliwego, akademickiego życia, wracając z treningu na bieżni w uczelnianej siłowni, ponownie znajduję na kłamce czerwoną wstążkę.

Clayton znów jest na tyle uprzejmy, by mnie do siebie zaprosić. Po prysznicu nalega, bym przebrała się w jego piżamę, która nawet nie jest na mnie za duża.

Teraz ja czuję się jak Hugh Hefner.

Nawet przygotował dla mnie osobną szczoteczkę, gdyby sytuacja się powtórzyła. Normalnie trzyma ją w zamkniętej foliowej torebce w szufladzie biurka, bym w razie czego mogła z niej skorzystać.

Clayton jest cudowny.

7 WRZEŚNIA, ŚRODA KATE

Wcześniej niż zwykle wpadam do Grounds. Byłam niespokojna i nie mogłam dłużej wytrzymać w akademiku, postanowiłam więc wybrać się na krótką przebieżkę. Jak się można było domyślać, doprowadziła mnie ona do źródła mojego porannego uzależnienia. Dzisiejszy poranek jest chłodny, a ja trochę się spociłam, siadam więc na ławce przed Grounds i obejmuję się ramionami. Słucham muzyki klasycznej z iPod'a, czytając gazetę, którą znalazłam na progu kawiarni. Opieram ją na kolanach, bym nie musiała jej trzymać, a dłonie wsuwam w rękawy. Zimno mi, nawet jeśli mam na sobie podkoszulek i bluzę. Jest piąta czterdzieści pięć, otwierają o szóstej, a siedzę tu już od piątej trzydzieści.

Słyszę stukanie w szybę znajdującą się tuż za moimi plecami. Keller wskazuje na drzwi. Kiedy je otwiera, ledwie odnotowuję huk dzwonka – to już postęp.

– Dobry, Katie. – Wygląda, jakby był zmęczony. Jest nieogolony, ciemne włosy sterczą mu we wszystkich kierunkach, jakby dopiero co wstał. Z jednej strony wydają się nieco dłuższe, jakby już dawno ich nie strzygł. Jego oczy są wciąż sennie zmrużone, lecz ich kolor nadal jest porażający. I niemal dokładnie pasuje do koszulki, którą dziś założył. Pomimo tego wszystkiego, a może właśnie dzięki temu, wygląda naprawdę dobrze.

Uśmiecham się. Pamiętał moje imię.

– Dzień dobry, Keller. – Podaję mu gazetę. – To twoja prasa. Tylko na nią zerknęłam. Nie wybuchł żaden większy skandal w Grant, ale w Mięsnym Pałacu Sama mają wyprzedaż, jeśli cię to interesuje. Och, i w sobotę kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Wiekuistej Światłości zaprasza między siedemnastą a dziewiętnastą na spaghetti, przy okazji zbierając datki na renowację piwnicznej świetlicy.

Keller obdarowuje mnie krzywym uśmiechem, który przechodzi w lekki grymas. Delikatnie kręci głową, jakby ten niewielki ruch sprawiał mu ból.

– To zbyt wiele informacji do przyswojenia o piątej czterdzieści pięć, Katie.

– Świat nie zatrzyma się tylko dlatego, że się nie wyspałeś... albo masz kaca.

Keller za ladą zakłada fartuch przez głowę, a jego uśmiech się poszerza.

– *Touché*. Jestem po prostu zmęczony. Uczyłem się całą noc. – Przygląda mi się przez chwilę. Uświadamiam sobie, że szczerzę zęby jak idiotka. Nic nie mogę na to poradzić. – Zawsze rano jesteś taka wesoła?

Wzruszam ramionami.

– To chyba wada genetyczna, ale jestem na nogach już od kilku godzin. Nie mogłam spać. – Próbowałam zasnąć, ale czasami nie potrafię znaleźć wygodnej pozycji i sen nie przychodzi. Jestem bardziej zmęczona niż kiedykolwiek wcześniej.

– Domyślałam się, że potrzebujesz dziś swojego wielkiego kubka kawy.

Ponownie obejmuję się ramionami, gdy przeszywa mnie dreszcz.

– Tak, proszę.

Wskazuje na moje zaciśnięte na ramionach palce.

– Zimno ci?

Podskakuję nawet w miejscu, by nieco się rozgrzać.

– Na zewnątrz jest lodowato.

Unosi brwi.

– Katie, jest ponad dziesięć stopni. Uważasz, że to zimno? Jest ciepłutko. Poczekaj do zimy, kiedy będzie minus dziesięć.

Zatykam uszy.

– Natychmiast przestań. Udam, że tego nie słyszałam.

Wskazuje na słuchawki zwisające z mojej bluzy.

– Czego słuchasz?

Opuszczam dłonie.

– Mozarta.

– Klasyka? Serio? Muzyka klasyczna jest nudna. – Próbuje skrzywić usta w grymasie, ale opada tylko jeden ich kącik. Drwi ze mnie, ale nie jest to nieprzyjemne.

– Nudna, co? – Nie czuję się obrażona. Większość ludzi w moim wieku podziela jego zdanie. Czasami czuję się jak ambasadorka muzyki klasycznej.

– Wszystko brzmi tak samo.

W ten oto sposób zaczynamy wczesnoranną debatę o muzyce. Daję się wciągnąć.

– Ale to podłe uogólnienie. To jakby powiedzieć, że klasyczny rock jest do bani tylko dlatego, że nie lubisz Led Zeppelin; albo że nowa muzyczna fala lat osiemdziesiątych jest fenomenalna, bo podoba ci się The Cure, nawet jeśli nie słyszałeś nic innego z tego gatunku.

Podaje mi kawę, którą z wdzięcznością biorę w obie ręce.

Opierając łokcie na ladzie i splatając długie, smukłe palce, Keller mówi:

– Po pierwsze, nikt nie powiedziałby, że Led Zeppelin jest do bani.

Zgadzam się, kiwając głową.

– No tak. To akurat był zły przykład. – Kładę dwa dolary na ladzie.

– A The Cure jest raczej przeciętne – kontynuuje.

Nie potrafię ukryć zdziwienia.

– Co ty gadasz, młody?! Gówna prawda. To jawne bluźnierstwo. The Cure jest legendarne. Ponadczasowe. Jest jednym z najwspanialszych zespołów. W całej historii. Nieodwołalnie.

Kręci głową.

– W żadnym wypadku. – Uśmiecha się. – The Smiths byli lepsi.

Również się uśmiecham.

– Z całym szacunkiem dla Morrissey'a, ale Robert Smith jest... jest bogiem! – wyznaję.

Unosi ręce w geście poddania, ale nieustannie się śmieje. Wkłada pieniądze do kasy i wydaje mi resztę, którą jak zwykle wrzucam do słoika na napiwki.

– Mówię tylko, że powinieneś dać szansę muzyce klasycznej. Ma po prostu złą reputację. Jasne, część jest nudna, ale może być też piękna i seksowna. Sprawdź Debussy'ego.

– Seksowna, co? – Znow pojawia się jego krzywy uśmieszek. Wyobrażam sobie, jak ćwiczy go przed lustrem, w pełni świadomy, jaki wpływ wywiera on na pleć przeciwną.

Puszczam do niego oko.

– Mógłbyś się zdziwić. – Unoszę kubek w toaście. – Dzięki za poranną pogawędkę. Magicznego dzionka, Keller.

Odpowiada, salutując.

– Do zobaczenia, Katie. I dzięki za informację o wyprzedazy u Sama.

– Nie zapomnij o pieczeni w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej Wiekuistej Chwały –
wołam, nie odwracając się. Czasami testuję ludzi, sprawdzając, czy mnie słuchali.

– Wiekuistej Światłości – poprawia mnie ze śmiechem. – I to było spaghetti – dodaje,
nim drzwi się za mną zamykają.

Również się uśmiecham, ponieważ w stu procentach zdał mój test.

8 WRZEŚNIA, CZWARTEK KATE

Jest wpół do czwartej, jadę do Minneapolis. Jestem umówiona dopiero na szesnastą, ale biorąc pod uwagę fakt, że gdy poprzednio przemierzałam tę trasę, Clay i Shelly modlili się o życie, postanowiłam wyjechać wcześniej i jechać z przepisową prędkością. Czuję się za kierownicą jak babcia.

Szkoła podstawowa, do której jadę, okazuje się mieścić zaledwie kilka przecznic od budynku, w którym mieszka Maddie, z łatwością więc trafiam do celu.

W zeszłym tygodniu poczułam, że chcę być potrzebna. Rozmawiałam z doradcą zawodowym o możliwym wolontariacie. Nie sprecyzowałam dokładnie, o co chodzi, ponieważ nie potrzebuję psychoanalizy. Poza tym nie chcę, by ktoś mówił mi, co jest nie tak. Już o tym wiem. To proste. Tęsknię za Grace.

Tak czy inaczej, doradca zawodowy dał mi namiary na podstawówkę w Minneapolis, która współpracuje z Grant. Okazało się, że potrzebują korepetytora dla piątoklasisty Gabriela, ponieważ pracujący z nim student musiał przez operację wziąć dwa tygodnie wolnego. Wskoczyłam więc na jego miejsce. Jestem bardzo podekscytowana, ponieważ, szczerze mówiąc, mam zbyt wiele wolnego czasu. Nie mam problemu z nauką i pracą, ale potrzebuję jakiegoś dodatkowego zajęcia. Czegoś, co sprawi, że poczuję się dobrze. Chodzi o to, by komuś pomóc. Jestem w tym też odrobinę egoistyczna, ponieważ wspieranie innych pomaga mnie samej w sposób, którego nikt nigdy nie pojmie.

Melduję się w sekretariacie, a ponieważ kilka dni temu przesłałam im wszystkie dokumenty, kierują mnie prosto do stołówki, gdzie prowadzone są zajęcia pozalekcyjne. Sekretarka przedstawia mnie dyrektorce programu zajęć pozalekcyjnych. Ma na imię Helen. Jest sympatyczna, choć przygląda mi się przy rozmowie jak mama niedźwiedzica chroniąca swoje młode.

– Gabriel ma zespół Downa. Jest słodkim chłopcem... przez większość czasu, chociaż zdarzają mu się wybryki.

– Jak u większości dzieci. Wiem coś o tym.

– Wiesz coś o dzieciach z zespołem Downa? – pyta, jakby wątpiła.

– Tak, proszę pani, opiekowałam się siostrą – odpowiadam. *Wiem o tym więcej, niż ty kiedykolwiek będziesz wiedziała*, myślę.

– Och, rozumiem. Oczywiście. Spodziewam się, że okażesz mu uwagę i cierpliwość, której wymaga i na którą zasługuje.

– Właśnie po to tu jestem.

Kiwa głową.

– Przed twoim wyjściem oczekuję szczegółowej notatki z przebiegu zajęć, bym mogła przekazać informacje jego matce. Dasz mi znać, jeśli będzie miała miejsce jakaś niepokojąca sytuacja?

– Z pewnością. Gdzie jest Gabriel? Chciałabym go poznać.

Kobieta wzdycha głęboko, po czym obraca się i woła:

– Gabriel!

Prze sąsiednim stole obraca się drobna, czarnowłosa głowa. Helen macha do chłopca,

który podnosi się niepewnie i staje obok stolika, czekając na pozwolenie.

Kobieta uśmiecha się pogodnie.

– Gabrielu, proszę, chodź do nas. Jest tu ktoś, kto chciałby cię poznać. – Mówi do niego powoli i łagodnie, jakby był wystraszonym zwierzątkiem.

Gabriel podchodzi do nas, patrząc pod nogi. Nim Helen ma szansę cokolwiek dodać, pochylam się, po czym klękam przed chłopcem, który jest teraz wyższy ode mnie. Podaję mu dłoń.

– Jestem Kate, Gabrielu. Chciałabym się z tobą zaprzyjaźnić. Chcesz zostać moim przyjacielem?

Nie podaje mi ręki, ale kiedy unosi głowę, by na mnie spojrzeć, uśmiecha się. Jego uśmiech jest piękny.

– Cześć, Śmieszku. Chodźmy do biblioteki, żebyś mógł mi pokazać, jakie książki masz w swoim fajnym plecaku. – Wskazuję na tornister leżący na podłodze obok stolika, przy którym siedział chłopiec. Jest czarny w kolorowe gitary.

Uśmiech chłopca rośnie, kiedy biegnie po swój plecak.

– Nie biegaj, Gabrielu – surowo karci go Helen.

Chłopczyk wraca, ciągle się do mnie uśmiechając. Wciąż klęcząc, szepczę mu do ucha:

– Chodźmy, Śmieszku.

Bierze mnie za rękę, pochyla się i również szeptem mówi:

– Bardzo chciałbym być twoim przyjacielem.

Przelykam z trudem ślinę i wstaję. Uśmiecham się tylko, bo przez chwilę nie potrafię wydobyć z siebie głosu. W jego oczach widzę Grace.

Idziemy korytarzem, kołysząc przy tym złączonymi dłońmi. Nie odzywamy się, aż docieramy do biblioteki, gdzie mam mu pomagać odrabiać lekcje.

– Śmieszku, to twoja szkoła, a ja jestem tu nowa, więc musisz mi powiedzieć, gdzie możemy usiąść.

Rozgląda się, po czym z poważną miną prowadzi mnie do niewielkiego stolika z dwoma krzesłami, znajdującego się przy oknie.

– Cieszę się, że wybrałeś ten, bo jest idealny. Ja pewnie wybrałabym tamten – mówię, wskazując w kąt pomieszczenia. – Ale nie mielibyśmy takiego pięknego widoku. – Pod oknem znajduje się grządka z wciąż kwitnącymi kwiatami.

Jego uśmiech znów się rozszerza. Chłopiec jest z siebie dumny. Mam wrażenie, że nieczęsto słyszy komplementy.

Wskazuję na jego plecak.

– Możesz mi, Śmieszku, pokazać, nad czym pracowaliście dzisiaj na matematyce?

Rozpina plecak z nieco zdezorientowaną miną.

– Dlaczego mówisz na mnie Śmieszek?

– Ponieważ masz najpiękniejszy na świecie uśmiech. – Naprawdę tak jest. Rozświetla całe pomieszczenie.

Nadal nie rozumie, jednak nie potrafi przestać się śmiać.

– Ale mam na imię Gabriel. Wszyscy mówią do mnie Gabriel.

Biorę książkę do matematyki, którą mi podaje i odkładam ją na stolik.

– To ksywka. Specjalne imię, którym mogą nazywać cię tylko przyjaciele. – Podoba mi się ten pomysł, widzę to w jego oczach. – Ale jeśli nie chcesz, żebym nazywała cię Śmieszkiem, mogę mówić do ciebie Gabriel. Gabriel to fantastyczne imię.

Zastanawia się przez chwilę.

– Wolę Śmieszek.

– Ja też.

– Ty też potrzebujesz ksywki.

Kiwam z entuzjazmem głową.

– Z pewnością potrzebuję ksywki. Jak chcesz mnie nazwać?

Kręci głową, zastanawiając się nad tym, po chwili mruży oczy. Skupia się na mojej twarzy, następnie wypala:

– Kropka.

– Kropka?

Wskazuje na mój nos.

– Bo tu masz kropki.

Chwilę zastanawiam się, nim dociera do mnie, że mówi o moich piegach.

– Oczywiście, mam kropki na nosie, prawda?

Przytakuje żywiołowo.

– Cóż, ze wszystkich ksywek, jakie miałam, Kropka podoba mi się najbardziej. – Jestem w tej chwili bardzo szczęśliwa.

Śmieszek zdecydowanie jest tym, czego potrzebowałam.

9 WRZEŚNIA, PIĄTEK

KATE

Shelly pracuje ze mną cały tydzień. Właśnie skończyła rozmawiać przez telefon, a teraz jęczy mi za uchem, choć to raczej nakaz niż prośba:

– Kate, musisz iść, przecież to impreza „Powrót do Grant”. Głupia tradycja, ale wszyscy idą.

– Shelly, dlaczego muszę iść? Jestem pewna, że wszyscy twoi przyjaciele już tam są. – Prawda jest taka, że jestem dziś bardzo zmęczona.

Widzę, jak zaciska usta.

– Bo jesteś dużo zabawniejsza, młoda. – Wie, jak uwielbiam mówić do wszystkich „młody” czy „młoda”. Stara się mnie urobić z każdej strony. I to działa. – Bez jaj, Kate, naprawdę dobrze się z tobą bawię. Zmuszasz mnie, bym wyszła ze swojej wygodnej skorupy.

– Ale tego nie znosisz. – Naprawdę tego nie lubi.

– No wiem... ale to jednocześnie fajne.

To wyznanie sprawia, że czuję się mniej zmęczona.

– Będą tańce? Jeśli przyrzekniesz, że zatańczysz dziś ze mną, to pójdę.

Shelly wzdycha i odzywa się z bólem:

– Zatańczę – syczy przez zaciśnięte zęby.

– Co? Musisz to powiedzieć. Nie słyszałam – mówię, niemal wyśpiewując końcówkę.

– Niech cię szlag trafi, Kate. Tak. Zatańczę. Chcesz, żebym wyszła na ulicę i wykrzyczała to światu? Będiesz wtedy zadowolona? – W jej głosie słychać wesołość, przyćmioną przez irytację.

– Tak, rzeczywiście byłabym dzięki temu najszczęśliwszą dziewczyną w Grant. Krzycząc, możesz pokręcić trochę dupcią? Wtedy byłoby idealnie.

– Nie przeginaj, Sedgwick.

– Ale ja nawet nie jestem ubrana. Słyszałam, że trzeba się przebrać, a nie mam żadnego kostiumu.

– Ja też nie – mówi.

Shelly przyjeżdża po mnie równo o dziesiątej, dokładnie dwie minuty później parkujemy przed domem bractwa, który wydaje się pusty.

– Co, u diabła? Gdzie się wszyscy podziali? – Wygląda na wkurzoną. Pamiętam, że mówiła, iż impreza jest głupia, ale wydaje mi się, że jednocześnie się na nią cieszyła. Dostrzega kogoś wychodzącego z budynku i cała sztywnieje. Jest niczym lew gotowy do skoku. – Zostań tutaj. Pójdę sprawdzić, o co chodzi.

Podbiega do swojej ofiary i zaczyna przesłuchiwać biedaka, tak jak mnie, kiedy się poznałyśmy. Wiem, jak onieśmielająca potrafi być, jeśli się jej nie zna (i czasami też wtedy, kiedy się ją zna). Chłopak garbi się, jakby chciał chronić miękkie podbrzusze przed atakiem. Shelly wyciąga komórkę z kieszeni i dzwoni do kogoś. Rozmawia krótko, energicznie przy tym gestykuje, po czym wraca do mnie do samochodu.

– Dwadzieścia minut temu policja zakończyła imprezę. Jakiś idiota w przebraniu

Supermana wyskoczył za czyjaś namową z piętra. Złamał nogę, było źle, więc musieli wezwać karetkę. Wtedy pojawili się gliniarze. Reszta, jak widać. – Wkurzona przewraca oczami. Shelly nie toleruje głupoty. – Kretyn.

Wyrażam swój żal:

– Przykro mi, młoda. Chociaż szczerze mówiąc, żałuję, że nie widziałam dorosłego faceta w gaciach Supermana skaczącego przez okno. To znaczy, przykro mi, że impreza nie wypaliła i żal mi chłopaka, który się połamał, ale to musiało być przekomiczne.

– To żenujące – poprawia.

– Komiczne, żenujące, granica jest płynna. – Mam zamiar tak paplać, aż się uśmiechnie.

– Oba pojęcia dotyczą podobnych sytuacji, jakby były z tej samej ligi, ale...

W końcu jej oczy zaczynają błyszczeć.

– Zamknij się, Kate. – Chichocze.

– Serio? Dwudziestolatek w rajstopach, któremu wydaje się, że potrafi latać? W ogóle cię to nie śmieszy? Wiem, że to pospolity humor, ale mnie to bawi do łez.

Shelly się śmieje, czasem nawet lekko prychnie. Słyszałam to tylko raz, gdy naprawdę mocno się śmiała w klubie w Minneapolis. To szczyt jej możliwości. Jednak za każdym razem, gdy słyszę jej śmiech, cieszę się z faktu, że wywołałam u tej poważnej dziewczyny chwilę nieskrępowanego szczęścia. Pozwoliła mi zbliżyć się do siebie, a to naprawdę wspaniałe uczucie.

Shelly uderza dłońmi w kierownicę.

– Dzięki, młoda. Potrzebowałam tego. – Patrzy zrezygnowana. – Jedźmy na drinka.

– Okej, ale obiecaj mi, że przestaniesz pić, nim spróbujesz namówić jakiegoś superbohatera na skok przez okno.

Kiedy parkujemy pod „Trzema Petuniami”, zakładam, że idziemy do jej mieszkania. Żaden problem, będę mogła wrócić stąd na piechotę do akademika. Jednak gdy przechodzi na drugą stronę ulicy, jestem zdezorientowana.

– Gdzie idziemy?

– Do mojego chłopaka. – Zawsze tak o nim mówi, chyba w ogóle nie słyszałam jego imienia. Zawsze mówi o nim „mój chłopak”. – Zobaczymy, czy razem ze współlokatorem przytaszczyli już swoje pijane tyłki do pokoju. Kilka minut temu, gdy z nim rozmawiałam, mówił, że są prawie na miejscu.

– Daleko stąd mieszkają? – Pocieram ramiona, bo mam na sobie jedynie koszulkę i bluzę, a jest dość chłodno. Nie liczyłam na dłuższy spacer.

– Na końcu ulicy. Wynajmują pokój za Grounds.

Wycieczka nie jest długa. Skręcamy przy kawiarni i obchodzimy budynek. W uliczce stoi zaparkowany gigantyczny suburban. Jest jasnozielony i zardzewiały, z czerwonymi drzwiami po stronie kierowcy. Tuż obok znajdują się drzwi budynku, które, jak zakładam, muszą prowadzić do mieszkania czy też – jak to nazwała Shelly – „pokoju” jej chłopaka.

Shelly szarpie za klamkę, ale drzwi są zamknięte, więc wali w skrzydło pięścią.

Otwiera je wysoki, brodaty rudzielec, wisi na nich, jakby musiał się ich przytrzymać, by stać prosto. Uśmiecha się do Shelly – w ten sam czuły sposób, w który ona to robi, gdy o nim opowiada, jednak podczas gdy jej uśmiech jest niewielki i zachowawczy, jego jest szeroki i promienny.

– Kochanie, przysłaś! – Nigdy nie słyszałam, by ktoś bełkotał z takim entuzjazmem.

Shelly całuje go w policzek i wchodzi.

– O której zaczęliście pić?

Znów bełkocze:

– Nie pamiętam. Może o trzeciej? To czas „Powrotu do Grant”! – Chłopak jest zalany, ale wesoły. Podoba mi się. Nie potrafię znieść agresji pijanych ludzi. Przypominają mi o matce.

Jest zaskoczony, gdy mnie dostrzega. Nie chcę być niegrzeczna i wchodzić bez zaproszenia ani wykonywać jakichś gwałtownych ruchów, ponieważ gościu wygląda, jakby widział podwójnie, a może nawet potrójnie. Usilnie próbuje się skoncentrować, by mnie wyraźnie zobaczyć.

Unoszę dłoń i powoli macham.

– Cześć, co tam? Musisz być chłopakiem Shelly.

Mruży oczy, jakby mój obraz mu się rozjeżdżał.

– Kate? – Powoli obraca głowę i patrzy na Shelly. – Skarbie, to ta Kate? Ta, o której nie potrafisz przestać gadać? W końcu mam ją poznać osobiście?

Shelly przewraca oczami.

– Zamknij się, Duncan i wpuść tę biedaczkę, zanim nam zamarznie.

Duncan odsuwa się i przesadnym, teatralnym gestem zaprasza mnie do środka.

Kiwam głową.

– Dzięki, młody.

Chichocze, co jest bezcenne, bo tak wielki i owłosiony facet nie powinien śmiać się w ten sposób, jednak nie ma innego sposobu, by to opisać.

– Czekaj, ja cię znam. Prawda, że cię znam? Skąd cię znam?

Shelly podaje mi piwo, nim mam szansę się odwrócić czy zdjąć kaptur bluzy.

– Duncan, nie znasz jej. Skąd miałbyś znać Kate?

Przyglądam mu się i nagle też wydaje mi się znajomy. Już gdzieś widziałam tę brodę, tylko gdzie? Wtedy doznaję olśnienia.

– Grounds. Poznaliśmy się w kawiarni, jeszcze zanim rozpoczęły się zajęcia. Cóż, tak jakby się poznaliśmy. Chyba rozmawialiśmy wtedy o pogodzie.

Próbuje pstryknąć palcami, nie wychodzi mu to, jednak tego nie zauważa.

– Tak. Tak! Wiedziałem. – Wskazuje na mnie. – Jesteś w klubie. – Obraca się do Shelly.

– Kochanie, ona jest w klubie.

Uśmiecham się i przytakuję.

– Tak, jestem w klubie.

Shelly kręci głową, ale nie może przestać się uśmiechać, patrząc na niego niczym zakochany szczeniak.

– Duncan, proszę, usiądź, zanim się przewrócisz. I nie pij już. Masz zakaz.

Chłopak człapie do niewielkiej kanapy i opada tuż obok swojej dziewczyny.

Rozglądam się po pomieszczeniu i już wiem, dlaczego Shelly nazwała to „pokojem”, a nie mieszkaniem. Ponieważ to jest tylko pokój, choć z wysokim sufitem. Wszystko tu jest małe, jednak przytulne i wygodne. Przy ceglanej ścianie znajduje się aneks kuchenny, na środku stoją nieduża kanapa i fotel, a naprzeciwko drzwi ustawione są dwa parawany. Domyślałam się, że za jednym z nich mieści się łóżko Duncana, a za drugim jego współlokatora. Praktycznie nie ma tu prywatności. Wiem, jak to jest mieszkać z kimś na tak małej przestrzeni, ja jednak mieszkałam z siostrą, więc prywatność nie była istotna. Są tu jeszcze trzy pary drzwi, ale wszystkie zamknięte. Jedne muszą prowadzić do

łazienki. Drugie prawdopodobnie do garderoby. Wygląda na to, że trzecie mogą prowadzić na zaplecze Grounds.

Duncan wyciąga rękę i niezgrabnie klepie fotel.

– Siadaj, Kate. Nie gryziemy. Lepiej zajmij ostatnie wolne miejsce, nim mój współlokator wróci spod prysznic. Jakaś laska próbowała go uwieść na imprezie w domu bractwa, ale kiedy jej się nie udało, wylała na niego cały kufel piwa. Porąbana. No kto tak robi? Śmierdział okrutnie. Musiał się wykapać. – Ma talent do dramatycznego opowiadania i jest znacznie bardziej gadatliwy niż Shelly.

Shelly się śmieje.

– Jestem pewna, że sobie zasłużył. Wiesz, jaki jest złośliwy, kiedy wypije.

– Kochanie, to mój chłopak. Dlaczego tak mówisz? – Pochyliła się ku niej, praktycznie na nią opada. Jest zalany w trupa.

– No wiesz, jaki on jest. Kiedy jest trzeźwy, nie zwraca na żadną uwagę, ale kiedy wypije, flirtuje jak diabli. – Spogląda na mnie. – Uważa, że to fajne rozbudzić ich nadzieje, ale kiedy je w końcu odrzuca, tylko je wkurza. Uwielbia to robić. To okrutna zabawa. Jest taki nieznośny... – Shelly urywa w pół zdania, ponieważ otwierają się drzwi do łazienki. Po chwili dziewczyna uśmiecha się łobuzersko, jakby wiedziała, że mu dopiekła.

Najpierw dociera do mnie jego głos, nim mam szansę go zobaczyć.

– Shelly, te drzwi są z papieru. Myślisz, że cię nie słyszałem? I to zdarzyło się tylko raz. Poza tym twój chłopak mnie zmusił. Nie musisz przesadzać. – Nie jest obrażony. Właściwie brzmi, jakby bawiła go ta rozmowa. – Dzięki, że stanąłeś po mojej stronie, Dunc.

Shelly się śmieje. Przy chłopaku jest bardziej wyluzowana. Podoba mi się to.

Kiedy dostrzegam w końcu współlokatora Duncana, zamieram na moment, butelka piwa niemal wypada mi z ręki. Z łazienki, odziany jedynie w zwisający nisko na biodrach ręcznik, wychodzi Keller Banks. Mój kawowy bożek. Cholera. Jest diabelnie przystojny. Muszę mrugać. I oddychać. *Oddychaj*. Jeszcze mnie nie zauważył.

Duncan wskazuje gdzieś jakby w moim kierunku.

– Banks, mamy gościa.

– Cześć, Keller – mówię normalnym tonem, choć serce pędzi mi jak szalone.

Chłopak natychmiast się spina i wytrzeszcza zaspane oczy.

– Katie? Co...? Jak...? – jąka się. – Co... co tu robisz? – Nie jest niegrzeczny. Po prostu brakuje mu słów.

To jakiś rodzaj pochlebstwa, bo Keller nie wydaje się być wstydlivym, zwłaszcza w stosunku do płci przeciwnej. Nie żeby był zbyt pewny siebie. Po prostu wydaje się, że przystojni faceci instynktownie wiedzą, jak rozmawiać z kobietami. Jednak tutaj to ja mogę mieć przewagę.

– Miałyśmy iść dzisiaj z Shelly na imprezę, ale przedwcześnie się skończyła. Myślę, że lot Supermana był niewypałem. Dosłownie. Zatem wylądowałyśmy tutaj.

Shelly i Keller spoglądają na siebie, przy czym odzywają się jednocześnie.

– Skąd znasz Kate?

– Przyjaźnisz się z Katie?

Oboje są zdezorientowani.

Najpierw zwracam się do Kellera:

– Pracuję z Shelly w „Trzech Petuniach”. Och, i jest moją taneczną partnerką, gdy

idziemy do klubu. – Nie potrafię zachować powagi, śmieję się więc, patrząc na Shelly, podczas gdy ona jednocześnie przewraca oczami i piorunuje mnie wzrokiem. To niesłychane połączenie. – A Kellera znam z Grounds. Rozmawialiśmy o muzyce i informowałam go o lokalnych wydarzeniach.

Keller kręci nieznacznie głową. Wydaje mi się, że ciężko mu się myśli przez krążący w żyłach alkohol. Nie jest tak pijany, jak Duncan, ale widać, że miał w tym swój udział. Unosi obydwie ręce, wyciąga je przed siebie, jakby chciał nam pokazać, byśmy przestały, przy czym kołysze się lekko na piętach. Mam ochotę podejść o krok, by upewnić się, że się nie przewróci.

– Czekaście. Sorry. To po prostu...

– Świruje, bo w mieszkaniu jest kobieta – mówi Duncan do Shelly tak głośnym szeptem, że nawet ja to słyszę. – Kiedy on ją przyprowadził?

Shelly przerywa ten pijacki wywód, nim zabrnę za daleko.

– Duncan, Keller jej nie przyprowadził. Przyszła... ze mną. Pamiętasz?

Duncan tylko wzrusza ramionami, po czym kładzie głowę na kolanach Shelly.

Podchodzę o jakieś trzy kroki do Kellera, który nadal wygląda na oszołomionego. Podaję mu rękę.

– Potrzebujesz pomocy?

Wygląda, jakby próbował skupić wzrok na mojej nagle pojawiającej się przed nim sylwetce.

– Katie. – To bardziej tchnienie niż prawdziwe słowo. Poszukuje czegoś w moich oczach. Tylko czego? Działałoby to na mnie, gdyby potrafił patrzeć prosto. Może jednak jest tak samo pijany jak Duncan.

Ponownie podsuwam mu dłoń.

– Chodź, młody.

Powoli unosi swoją, ale się waha.

– Naprawdę tu jesteś?

– Tak. Wypiłeś dzisiaj kilka drinków, co, Keller?

Przytakuje z lekko rozchylonymi ustami, w końcu bierze mnie za rękę. Jego uścisk jest łagodny, jakby w pełni kontrolował swoją motorykę. Wiem jednak, że tak nie jest. Pochyla się w moją stronę, ale jego uścisk nadal jest delikatny.

– Trzymaj ręcznik, szefie. Nie chcemy, by niechcący przegrał z grawitacją. Lepiej, żeby klejnoty pozostały zakryte. – *Choć nie miałabym nic przeciwko, gdyby... Jednak może nie...*

Słyszę śmiech Duncana dobiegający z kanapy.

– A to nowość, Banks.

Muszę położyć go spać, choć myśl o nim budzi coś we mnie... jakąś głęboką potrzebę... ale nie, to egoistyczne. Nie! Żadnego seksu.

Chciałabym.

Naprawdę bym chciała.

Ale tego nie zrobię.

Nie mogę.

Jest fajnym facetem. Nie mogłabym mu zrobić czegoś takiego. Bez wątpienia.

Pełna pasji, niewinna, jednonocna przygoda? Tak, proszę.

Muszę zaciągnąć tego faceta do łóżka, by odespał to swoje pijaństwo. Zataczamy się

razem w kierunku parawanów.

Shelly woła:

– Łóżko Kellera jest po prawej.

– Dzięki – mruczę, ponieważ w tej chwili chłopak obejmuje mnie dwoma rękami i opiera się na mnie bezwładnie. Boże, ależ jest ciężki.

Za parawanem znajduję wersalkę i komodę. W rogu oparta jest gitara akustyczna, obok niej stoi rower. Mało tu miejsca.

– Grasz na gitarze, Keller?

– Tak. – Tylko tyle udaje mu się wydusić.

Mam przechlapane. Faceci z gitarą są moją zgubą.

Pochylam się nad łóżkiem. Keller opada na nie i w efekcie domina ciągnie mnie za sobą.

Leżymy płasko na materacu, pierś przy piersi. Jestem pewna, że już śpi i choć mogłabym przeleżeć w jego ciepłych ramionach całą noc, wiem, że to z wielu powodów złe. Zamykam oczy na pięć sekund i pozwalam sobie na niebiańską rozkosz. Wdycham jego świeży, mydlany, miętowy zapach. Opieram ręce na mięśniach jego piersi, które, mimo że wydaje się być zrelaksowany, są wyraźnie napięte. Mmm...

Mija moje pięć sekund. Otwieram oczy, przenoszę ręce na łóżko tuż przy jego ramionach i odpycham się, starając się wyplątać z jego objęć. Ani drgnie. Już mam zamiar zawołać na pomoc Shelly, gdy tuż przy uchu słyszę jego zaspany głos:

– Zostań, Katie.

Moje serce znów przyspiesza. Unoszę głowę i patrzę mu w oczy. Jego twarz jest tak blisko. Jego usta są takie różowe. I wyglądają na cholernie miękkie. Wydaje się, że zasypia, więc odpowiadam szeptem:

– Musisz się przespać, Keller. Zamknij oczy.

Opuszcza powieki. Odpływa w sen.

– Słuchałem Debussy'ego. Nie był nudny. Był piękny... i seksowny. – I już go nie ma, pokonał go alkohol i zmęczenie.

Uśmiecham się, odchylam i całuję go delikatnie w czoło, ponieważ muszę unikać jego ust.

– Dobranoc, słodziaku. – Tym razem, gdy się podnoszę, jego ręce opadają luźno. Nogi zwisają mu z łóżka, na szczęście ręcznik pozostał na miejscu. Wkładam poduszkę pod jego głowę i szczelnie owijam go kołdrą, by nie zmarzł. Jego chłopięca twarz wygląda tak niewinnie. Coś kłuje mnie w środku. Nie ta seksualna potrzeba, którą odczuwałam wcześniej, lecz pewnego rodzaju tęsknota. To zupełnie inna pokusa. Kłuje mnie w piersi, gdy mu się przyglądam. Chciałabym tu siedzieć całą noc, patrzeć jak śpi, głaskać go po głowie, dotykać jego twarzy, po prostu być blisko niego. Nigdy wcześniej tak się nie czułam. Jednak zamiast przerażać, uspokaja mnie to.

Muszę stąd odejść. Natychmiast.

Gdy wracam zza parawanu, Shelly nadal siedzi na kanapie. Duncan chrapie, a jego głowa wciąż spoczywa na jej kolanach.

– Przykro mi, że ten wieczór wyszedł tak kiepsko, Kate. Pewnie już nigdy nigdzie ze mną nie pójdziesz – mówi załamana.

Uśmiecham się.

– Wieczór wcale nie był kiepski, tylko nie wyszedł tak, jakbyś tego chciała. To nie to samo. I oczywiście, że będę z tobą wychodzić. – Zerkam na śpiącego Duncana. – Twój chłopak wydaje się być bardzo fajny.

Uśmiecha się ze smutkiem.

– Bo taki jest, zwłaszcza gdy jest trzeźwy. Przepraszam, że poznałaś go w takim stanie. Cały czas spędza na zajęciach albo w pracy. Biedak rzadko gdzieś wychodzi. A nawet jeśli to robi, jeszcze rzadziej pije. – Spogląda na niego. – Na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy upił się w ciągu roku, kiedy się spotykamy.

W jej głosie słyszę miłość. Jestem szczęśliwa, widząc coś takiego. To rzadkie. Ludzie zazwyczaj nie mają czasu, by tego szukać. Albo zbyt łatwo rezygnują. Albo gdy to posiadają, nie wiedzą, jakie jest cenne.

Shelly wie.

Myślę, że Duncan również.

Dziewczyna wysuwa się spod chłopaka, po czym okrywa go kocem i całuje w policzek.

– No to, młoda, chodźmy do mnie. Zrobię ci jajecznicę, a później odwiezę do akademika. Nie chcę, byś sama wracała w środku nocy.

Wie, jak bardzo uwielbiam jajecznicę. Rozmawialiśmy o tym w pracy w zeszłym tygodniu. To jedna z moich ulubionych potraw.

– Świetna propozycja.

Shelly gasi światło i zamyka drzwi, po czym spogląda na mnie surowym, zatroskanym wzrokiem.

– Proszę, nie zakochaj się w Kellerze. Widziałam, jak na niego patrzysz. Nie zrozum mnie źle, to porządny chłopak. Właściwie chyba jeden z moich nielicznych przyjaciół. Jest typem człowieka, który chce wiedzieć o tobie wszystko, a ty z łatwością mu to wyznajesz. Tak naprawdę chcesz z nim rozmawiać, bo potrafi słuchać i zawsze jest, gdy go potrzebujesz. – Wzdycha. – Z drugiej strony jest bardzo skryty, jeśli chodzi o jego życie. Nie opowiada o sobie nikomu, może z wyjątkiem Duncana i Romero. Przyjaźnią się z Duncanem od lat. Duncan mieszkał z nim i jego rodziną w Chicago, zanim przyjechali do Grant. Są jak bracia i uwielbiam go za to, ale jest... tajemniczy. Osobiście uważam, że w jego szafie jest wiele trupów. Przepracowuje się na przykład, ale nie wydaje pieniędzy na nic prócz lotów do Chicago w każdy weekend i...

– Co jest w Chicago? – przerywam.

Shelly wzrusza ramionami.

– Tylko Duncan to wie i nie chce powiedzieć. Zawsze zakładałam, że mieszka tam jego dziewczyna, bo Keller nigdy się z nikim nie umawia. Jednak za każdym razem, gdy go o to pytam, zbywa mnie. Z pewnością coś ukrywa. To jakaś jego wielka tajemnica.

– Sekrety nie zawsze są złe, Shelly. Każdy ma swój bagaż. – To jakby spowiedź z mojej strony. Jakbym na końcu tego zdania powinna dodać: „Amen”.

– Tak, wiem, ale Keller to istny magnes na kobiety. Wydaje się niedostępny, więc co robią? Ustawiają się w kolejce po złamane serce. Bo wiesz, każda z nich uważa, że będzie tą jedyną, która go omota i zdobędzie jego uwagę. Choć muszę przyznać, że on ich nie zachęca. Wcześniej tylko się droczyłam. Jeśli nie ma w Chicago dziewczyny, nie zdziwiłabym się, gdyby był gejem albo prawiczkim. Nie żeby życie seksualne Kellera miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Zatem morałem tej historii jest to, że za Kellerem ciągnie się ścieżka zawiedzionych nadziei i złamanych serc. Proszę, błagam, nie ustawiaj na niej swojego.

– Keller i ja jesteśmy po prostu przyjaciółmi. Nie szukam związku. – Uświadamiam sobie, że sformułowane słowa są prawdą, ale kiedy tylko opuszczają moje usta i zawisają

między nami, coś się zmienia. Dlaczego czuję się, jakbym skłamała? To ta cholerna, chłopięca twarzyczka... te przekłete, niebieskie oczy... niesamowite, piękne ciało... piekielny, krzywy uśmiezek i... niezwykle seksowny głos.

Szlag by to trafił.

Dobrze, że nie mogę się angażować. I dobrze, że nie można złamać mi serca. Powtarzam więc sobie nieustannie: *Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.* Do przyjazdu do Shelly niemal w to wierzę.

Niemal.

10 WRZEŚNIA, SOBOTA

KATE

Telefon wibruje mi w kieszeni. To Gus. W Kalifornii jest szósta czterdzieści pięć rano.

– *Bonjour, Gustov* – odbieram z przesadnym, kiepskim francuskim akcentem.

– Cześć, Promyczku. Nie obudziłem cię, co? – Wie, że jestem rannym ptaszkiem.

– Nie, tutaj już prawie południe. Idę właśnie do Grounds na kawę. Co sprawia, że tak radośnie szczebioczysz w ten sobotni poranek?

– Za dobre sprawowanie dostaliśmy dzień wolnego. Jadę do domu, by zjeść lunch z mamą i posurfować z Mags i Stanem.

– Świetnie. Pozdrów ich ode mnie.

– Młoda, szkoda, że cię tu nie ma. To pierwszy od dłuższego czasu normalny dzień i jakoś mi smutno bez ciebie. – W jego głosie pobrzmiwa melancholia.

Wiem, jak to jest.

– Tak, szczęściarzu. Ja będę musiała jakoś przeżyć ten dzień bez ciebie. Pamiętaj o mnie, kiedy będziesz robił wszystko za nas oboje.

– Jeśli chcesz, zrobię zdjęcie zachodu słońca i wyślę ci e-mailem.

Zawsze wie, co powiedzieć.

– Chciałabym. Grace też by chciała.

Słyszę uśmiech w jego głosie.

– Z pewnością. Złożę panią Grace wizytę, zanim pojedę do mamy. Kupiłem wczoraj żółte tulipany. Zatrzymam się na stacji, by kupić batonik. W furgonetce nie mam klimatyzacji, nie chciałem, by się roztopił w podróży, więc kupię na miejscu.

Cholera, myśli o wszystkim.

– Twixa. Lubi Twixy.

– Promyczku, przez lata kupiłem jej ze trzy tysiące batoników. Wiem, co lubi.

Uśmiecham się, ponieważ wcale nie przesadza. Pewnie kupił ich nawet więcej.

– Wiem.

Przez chwilę panuje cisza.

– Tęsknię za nią, Gus – szepczę.

– Wiem, Promyczku.

Znów zapada cisza. Gus pozwala, by wybrzmiała, po czym mnie z niej wyciąga:

– Opowiedz o czymś niezwykłym, co ci się przydarzyło w tym tygodniu, a o czym mi jeszcze nie mówiłaś.

Zastanawiam się przez moment. *Gabriel*, moje myśli się rozjaśniają.

– W czwartek byłem po raz pierwszy na korepetycjach w podstawówce w Minneapolis.

– Tak, właśnie! – Powraca jego zwyczajowy entuzjazm. – Jak było? Uczyłaś chłopca czy dziewczynkę?

Czuję coraz większą ekscytację.

– Było cudownie. Mój uczeń chodzi do piątej klasy. Ma na imię Gabriel, ale nazwałam go Śmieszek. Gus, on ma naprawdę najpiękniejszy uśmiech na świecie.

– Założę się. Jest specjalnej troski? – Gus jest świetnym rozmówcą, bo jako jedna z nielicznych osób słucha, co się do niego mówi. Można to poczuć nawet przez telefon.

– Ma zespół Downa. Jest trochę nieśmiały.

Gus przerywa mi śmiechem.– Cóż, najwyraźniej znalazł właściwą osobę, by go ośmieliła. Jesteś lekarstwem na wszelką nieśmiałość, prawda?

– Właściwie tak, mądrało.

Śmieje się.

– Zuch dziewczyna.

– W każdym razie dyrektorka twierdzi, że sprawia problemy wychowawcze, program zajęć pozalekcyjnych miał to korygować, ale przy mnie Gabriel był aniołkiem. Myślę, że wiele ludzi traktuje te dzieci w szczególny sposób i one to wyczuwają. Ale przecież to dziecko i jak każde potrzebuje uwagi i zabawy, wiesz? Tego chce każdy dzieciak, prawda?

– I właśnie dlatego będziesz najlepszą nauczycielką, jaką widział świat. Zrewolucjonizujesz ten zawód. – Zawsze mnie wspiera.

– Podobały mi się zajęcia z nim.

– Założę się, że jemu też. Przypomina ci Grace? Było ciężko?

– Jego oczy przypominają mi o Grace. Wiesz, jest w nich ta sama niewinność. Skóra wokół ich kącików się marszczy, gdy się uśmiecha, tak samo jak u Grace. To dobre. Fajnie z nim spędzać czas.

– Cieszę się. Zasługujesz na to.

– A co u ciebie, gwiazdo rocka?

– Dobrze, całkiem dobrze. Widzę światełko w tunelu. Album wychodzi we wtorek, ale nie chcę o tym dzisiaj myśleć. Dzisiejszy dzień mam zamiar spędzić z mamą, przyjaciółmi i deską surfingową.

– Też bym chciała.

– Słuchaj, Promyczku, właśnie wjeżdżam na stację, by zatankować i kupić batonik dla Grace. Będziesz wolna wieczorem? Zadzwoń w drodze powrotnej do Los Angeles, jeśli nie planujesz jakiejś gorącej randki. – Być może tylko mi się wydaje, ale droczy się jakby smutnym tonem.

– Żadnych randek. Będę mogła rozmawiać, no, chyba że znów wyląduję w łóżku Clayтона, bo Sugar przyprowadzi kolejnego pana na fikołki. Ale dzwonić, będę czekała.

Przez chwilę jest cicho, po czym Gus pyta:

– Naprawdę śpisz z Claytonem w jednym łóżku?

– Młody, nie zastąpiłam cię nim. Nikt mnie nie przytula tak jak ty. – Przez lata spędziłam wiele nocy u Audrey i zawsze spałam z Gusem. Zwłaszcza w tygodniach poprzedzających mój wyjazd do Minnesoty. Nie było nocy, bym spała sama. Gdziekolwiek byśmy nie leżeli: w jego pokoju, w pokoju gościnnym czy na kanapie w salonie, zawsze spaliśmy razem. Aż do ostatniej nocy było to platoniczne, nawet jeśli ciasno do niego przylegałam. Czułam się wtedy niesamowicie bezpieczna. Nie mogłam bez niego zasnąć, a ponieważ Gus jest dużym facetem, tworzył pewnego rodzaju kokon oddzielający mnie od świata. Byłam mu wtedy ogromnie wdzięczna.

Słyszę kliknięcie zapalniczki i pierwszy głęboki oddech.

– Dobrze wiedzieć.

– Powinieneś rzucić.

– Tak. Rzuć.

– Mówisz poważnie? – pytam z nadzieją.

– Nie. Kocham cię, Promyczku.

– Też cię kocham, Gus.

– Pa.

– Pa.

Grzmiący dzwonek obwieszcza moje pojawienie się w Grounds. Jestem pewna, że Keller nie będzie dzisiaj pracował, zapewne nadal smacznie chrapie. Jednak widzę, że stoi za ladą, ma zamknięte oczy, rękami zasłania uszy, a na jego twarzy maluje się wyraz głębokiego cierpienia.

Powoli unosi powieki, kiedy dźwięk dzwonka cichnie, a ja podchodzę do kasy.

– Przepraszam – mówię cicho. – Wyglądasz fatalnie, młody. – To znaczy nadal jest przystojny, nawet bardzo, ale jest też blady i ma ciemne worki pod oczami. Jedynie Keller potrafi wyglądać seksownie na kacu. I wtedy przypominam sobie, że jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Najwyraźniej go zaskoczyłam, bo się śmieje.

– Chyba zasłużyłem.

Ta wymiana zdań mówi mi, że wszystko jest między nami dobrze. Jesteśmy z Kellerem przyjaciółmi. Właśnie tak zachowują się przyjaciele. I tak jest dobrze. Jest świetnie, ponieważ przyjaciele są darem od życia.

– Nie wiem, czy na to zasłużyłeś, ale z pewnością na to zapracowałeś.

Kręci głową, przeciera oczy i jęczy:

– Już nigdy nie tknę alkoholu.

Przytakuję.

– Aż do następnego razu? – pytam z uśmiechem.

Odpowiada tym swoim krzywym uśmiechem.

– Cholera, jakbyś mnie znała.

Unoszę brwi.

– Cóż, ostatniej nocy znaleźliśmy się w dość intymnej i delikatnej sytuacji. To raczej prowadzi do poznania kogoś lepiej.

Wyraz jego twarzy natychmiast zmienia się w przerażenie.

– Cholera. Wydawało mi się, że wszystko pamiętam. Byłaś w moim łóżku. – Wskazuje palcem przestrzeń pomiędzy nami. – My nie... no wiesz... – Przygryza paznokiec kciuka.

Kręć głową i się śmieję.

– Nie... my nie. – Nie żebym o tym nie myślała. Czy tego nie chciała.

– Na pewno? Bo pamiętam, że na mnie leżałaś i jestem pewny, że nie miałem koszuli, bo czułem na piersi twoje zimne ręce. – Rumieni się na to wspomnienie. Rumieni. To takie słodkie. Choć to mało prawdopodobne, wydaje mi się, że może być prawiczkim.

– Brałaś prysznic, gdy przyszliśmy z Shelly, dlatego nie miałaś na sobie koszuli. Pomogłam ci trafić do łóżka, bo miałaś lekki problem z utrzymaniem równowagi. Upadłaś na łóżko, ciągnąc mnie za sobą. To było kompletnie niewinne. Zasnęłaś, kiedy tylko przyłożyłaś ucho do poduszki.

Keller patrzy pod nogi.

– Elegancko – mamrocze pod nosem. Następnie szybko unosi głowę, ale natychmiast mruży oczy, jakby żałował tego szybkiego ruchu, po czym jego twarz wygładza się nieco. – Dzisiaj ja stawiam ci kawę. – Podchodzi do stojaka, by wziąć kubek.

Kręć głową.

– Nie trzeba, Keller. Słuchaj, naprawdę nic się nie stało. Byłaś w stu procentach

dżentelmenem, co prawda praktycznie nagim, ale jednak dżentelmenem.

Czerwieni się.

– Ale ze mnie osioł. Wybacz.

Ponownie chce mi się śmiać, bo zażenowany Keller jest jeszcze słodszy.

– Młody, nie jesteś żadnym osłem. Drocę się tylko, nie musisz przeproszać –
zapewniam, po czym dodaję z powagą: –Serio.

Otwiera usta, ale natychmiast je zamyka, pewnie nie wie, co powiedzieć. Po chwili
przechyla głowę na bok i uśmiecha się do mnie.

– Katie, możemy zacząć od nowa? Może spędzilibyśmy razem trochę czasu? Jako
przyjaciele.

Zażyłość jest niebezpieczna, ale przyjaźń konieczna.

– Jasne – mówię i podaję mu rękę nad lada. – Cześć, jestem Kate Sedgwick.

Jego czarujący uśmiech powraca, gdy ściska moją dłoń.

– Keller Banks.

Kładę dwa dolary na blacie, po czym zapisuję swój numer telefonu na serwetce, którą
zgarnia do kieszeni, a pieniądze wkłada do kasy.

Wydaje mi resztę, którą jak zwykle wrzucam do słoiczka na napiwki i uśmiecham się na
widok jego zaspanej twarzy.

– Cudownego dzionka, Keller. Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej.

– Już się poczułem. Dzięki, Katie. Miłego.

Puszczam do niego oko, po czym rzucam przez ramię:

– Jak zawsze.

11 WRZEŚNIA, NIEDZIELA

KATE

Próbuję porozmawiać z Maddie.

Nie odbiera ode mnie telefonu.

Zostawiam wiadomość.

Nie odzwania.

Tak, wciąż jest wkurzona.

Nieco później telefon wibruje w mojej kieszeni. To SMS od Gusa: SKYPE O 8:30 CZASU CENTRALNEGO?

Odpisuję: BRZMI BUENO.

Kiedy twarz Gusa pojawia się na ekranie, widzę, że ma towarzystwo. Najwyraźniej zostało to zaplanowane.

Z głośników komputera dochodzi gromkie:

– Cześć, Kate!

Tylko Gus mówi:

– Cześć, Promyczku!

Na ekranie widzę wszystkich czterech członków zespołu Rook.

– Wow. Chłopaki, co słyhać? Przecież nie mam dzisiaj urodzin. Po co te fanfary?

– Promyczku, przedstawiam ci debiutancki album Rooka. – Gus unosi kwadratowe opakowanie, bym mogła zobaczyć okładkę.

Wzruszona, opadam na krzesło. Próbuję coś powiedzieć, ale wychodzi mi jedynie szept:

– O Boże, Gus, macie to. – Następnie niemal krzyczę: – Macie to! – Pochyłam się w stronę komputera. – Otwieraj, chcę zobaczyć płytę.

Pokazuje mi błyszczący krążek, na którym czarną czcionką nadrukowano „Rook” tuż obok gawrona, symbolu ich zespołu.

Chce mi się histerycznie śmiać, muszę się pilnować, by nie parsknąć. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam tak szczęśliwa.

– Boże, chciałabym tam z wami być, wyściskałabym was za wszystkie czasy. Gratulacje!

– Chcieliśmy, byś jako pierwsza ją zobaczyła. I chcieliśmy całym zespołem podziękować ci za twój wkład. Już wiesz, że *Missing You* jest genialne dzięki twojemu ogromnemu talentowi skrzypcowemu. – Mruga jednym okiem. – Stwarzasz legendę jak nikt!

Machnięciem ręki zbywam ten komplement.

– Nie naśmiewaj się ze mnie, Gus. Kiedy posłucham piosenek osobiście?

Gus się śmiecha.

– Już wysłałem ci paczuszkę do akademika. Jutro powinna dotrzeć. Przepraszam, nie mogłem wcześniej dostać płyt. Muzyka nie jest jeszcze dostępna do pobrania z sieci.

– Nie ma problemu. Dzięki. Będę wypatrywać kuriera. Cieszę się z wami, moi panowie.

Gus wygląda, jakby się czymś martwił.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego chcieliśmy z tobą dzisiaj porozmawiać. Mamy dla ciebie niespodziankę. – Zerka przez ramię na kolegów z zespołu.

Mrużę oczy.

– Co to? – Wydaje mi się, że nie ucieszy mnie ta niespodzianka.

Gus się garbi i krzywi. Słyszę, że zza jego pleców odzywa się perkusista Franco:

– Po prostu jej powiedz, złamasie. Jezu.

– Promyczku, obiecaj, że nie będziesz się wściekać.

Moje podejrzenia właśnie się potwierdziły.

– To zależy.

Widzę, jak Franco ponad ramieniem Gusa przewraca oczami.

– Kate, czy ty spakowałaś jaja Gusa do torebki i zabrałaś ze sobą do Minnesoty?

Twarz Franco natychmiast znika z ekranu, na jego miejsce wraca Gus.

– Odwal się, młody.

Moje serce przyspiesza, bo mam jakieś niedobre przeczucie.

– Mów.

Gus bierze głęboki wdech.

– Chcemy, byś posłuchała ostatecznej wersji *Killing the Sun*. – Wcisną „play” w odtwarzaczu CD, który trzyma na kolanach, i przysuwa go blisko mikrofonu laptopa. – Pewnie będzie kiepsko brzmiało w ten sposób, ale zobaczysz, o co chodzi.

– Co jest z tym radiem? Zamieniasz się w hipstera czy co? Nie masz jakiegoś kaseciaka?

– Uwielbiam się z nim droczyć.

On również to kocha. Właśnie dlatego jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi.

– Przymknij się i słuchaj.

Słyszę znajome gitarowe brzmienie, a następnie głos Gusa, miękki i ochrypy jak zawsze.

Po pierwszym wersie dołącza perkusja, bas oraz kolejna gitara i wraz z jego głosem budują crescendo prowadzące do brzmiącego jak hymn refrenu. Uwielbiam tę piosenkę. Słuchając jej, za każdym razem mam ciarki. Jednak kiedy refren się zaczyna, uświadamiam sobie, że to nie jest głos Gusa... tylko mój. Jestem zaskoczona. Zbyt oszołomiona, by się odezwać. Reszta piosenki przepływa przeze mnie niczym sen, kiedy wciąż słyszę swój własny głos.

Kręcę głową, gdy kawałek się kończy.

– Ee, Gus, naprawdę mam nadzieję, że to jakiś dowcip, bo z pewnością nie powinnam śpiewać na waszej płycie refrenu w *Killing the Sun*. To twoja rola.

Gus powoli odstawia odtwarzacz, cofa się, wpychając Jamiego, basistę, tuż przed ekran.

– Promyczku, proszę, nie bij, ale tak właśnie powinna brzmieć ta piosenka. Nie wiedziałem, że może być tak pełna, póki nie usłyszałem, jak śpiewasz ją w studiu. Puściłem to nagranie chłopakom i wszyscy zgodziliśmy się, że tej piosence brakuje twojego głosu.

– Gus, nie jestem wokalistką.

Wcina się Jamie:

– Akurat. Zawsze wiedziałem, że potrafisz śpiewać, ale teraz myślę, że mógłbym się w tobie zakochać. Wyjdiesz za mnie, Kate? Będziemy mieli piękne, utalentowane dzieciaki...

Gus chwytą go za koszulkę, odciąga w tył i zajmuje jego miejsce.

– Wystarczy, kochasiu. Chociaż Jamie ma rację. Masz przepiękny, uduchowiony głos. –

Zerka na pozostałych kolegów.

Wszyscy kiwają głowami, jedynie Franco kręci swoją.

– Osobiście uważam, że stać ją na więcej. – Franco uśmiecha się i ponad ramieniem Gusa puszcza do mnie oko. Zawsze się ze mną droczy, ale teraz wyraźnie rzucił ten

komentarz, by sprawdzić reakcję Gusa.

Gus oczywiście od razu zwraca na to uwagę.

– Zamknij się, głąbie. – Następnie znów skupia się na mnie. – Promyczku, chcieliśmy się podzielić tobą ze światem.

Wpada mi do głowy pewien pomysł.

– A nie musicie mieć na to mojej zgody czy coś?

Uśmiecha się.

– Mamy ją. Pamiętasz dokumenty, które podpisywałaś, wchodząc z nami do studia?

Przypominam sobie tamtą sytuację.

– Tak, pewnie powinnam była je przeczytać, co?

– Proszę, nie wkurzaj się. Nie wymienialiśmy twojego nazwiska w składzie zespołu, bo na to nalegałaś przy *Missing You*, jesteś wymieniona tylko jako „przyjaciółka”, tak jak chciałaś, chociaż nadal uważam, że to... złe. Ale Promyczku, granie i śpiewanie z nami wszystko zmieniło ... być może to największa rzecz, jaką kiedykolwiek dla mnie zrobiłaś. A to wiele mówi, bo przez te wszystkie lata zawsze coś dla mnie robiłaś. Zatem dziękuję ci z głębi serca.

Cholera, jeśli tak to ujmuje, to przecież nie mogę się złościć.

– Proszę. – Wzdycham i się poddaję. – I nie jestem zła.

Gus klaszcze w dłonie.

– Moja dziewczynka.

Grozę im palcem.

– Ale jesteście moimi dłużnikami. Wielkimi.

Słyszę głos Franco dobiegający gdzieś z tyłu:

– Kate, sugerujesz, że mamy ci zapłacić w naturze? Pamiętam twoje zenujące zachowanie, jak się ciągle na mnie rzucałaś. Zwłaszcza że robiłaś to na oczach całego zespołu.

Śmieję się.

– Chciałbyś, Franco. Ale to nie ja jestem dłużniczką. To raczej wy jesteście mi winni bilet w pierwszym rzędzie na któryś z waszych koncertów.

Gus również się śmieje.

– Promyczku, załatwimy ci bilet na każdy z naszych koncertów, a także miejsce w samolocie, gdybyś chciała przylecieć.

Uśmiecham się.

– Jeden koncert wystarczy.

– Musimy uciekać. ZGKB zabiera nas na obiad, by to uczcić. Do jakiejś ekskluzywnej restauracji, do której podobno nie można wchodzić w spodenkach, więc musimy się przebrać. – Gus patrzy prosto w kamerę. – Szkoda, że cię tu nie ma.

Wszyscy członkowie zespołu się ze mną żegnają.

Macham im.

– Bawcie się dobrze. Jeszcze raz moje gratulacje.

Nagle twarz Gusa pojawia się bardzo blisko ekranu, a jego głos jest zaledwie szeptem:

– Naprawdę z głębi serca ci dziękuję. Kocham cię, Promyczku.

– Też cię kocham, Gus.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

12 WRZEŚNIA, PONIEDZIAŁEK

KATE

Kiedy w przerwie między zajęciami wchodzę do pokoju, na moim biurku leży paczka od Gusa. Zgrywam piosenki na iPoda, po czym słucham ich przez całe popołudnie. Znow mam gęsią skórkę. Dźwięki przenoszą mnie do niemal idealnego miejsca. Miejsca, gdzie wszystko jest dobre, nic nie idzie pod górkę i nie ma złych wieści. Właśnie w tym miejscu potrzebowałam się znaleźć, ponieważ, choć bardzo się staram o tym nie myśleć, czasami życie mnie zawodzi. A nie chcę, by tak się działo. Ponieważ życie jest darem. Zatem słuchając dziś tej muzyki, czuję się... jakby Gus rzucił mi koło ratunkowe. To takie cudowne.

13 WRZEŚNIA, WTOREK

KATE

W drodze do Grounds piszę SMS-a do Gusa:

SZCZĘŚLIWEJ PREMIERY!!! JESTEM Z CIEBIE BAAARDZO DUMNA, GWIAZDO ROCKA!!! KOCHAM CIE!!!

Po południu, gdy idę do pracy do „Trzech Petunii”, komórka wibruje mi w kieszeni. To Gus.

– Cholera! Dzwoni do mnie gwiazda rocka!

Śmieje się.

– Jak tam chcesz, Promyczku. Przeszkadzam? Nie jesteś jeszcze w pracy, prawda? – To zabawne, że przy swoim szalonym trybie życia pamięta mój rozkład dnia.

– Nie, właśnie tam idę. Mam jakieś dziesięć minut. Co tam?

– Rano dodaliśmy kilka dat do naszej trasy koncertowej i mam dla ciebie najnowsze wieści. – Brzmi, jakby był podekscytowany, co oznacza, że ja również powinnam się cieszyć. – Dzień po twoich urodzinach zagramy w audytorium w Grant.

Przystaję. Chyba się przesłyszałam.

– Młody... Grant? To Grant? W Minnesocie?

– To samo.

– Niemożliwe! – Podskakuję w miejscu. Ludzie się na mnie gapia. Mam to gdzieś. Za kilka tygodni przyjedzie tu Rook.

– Tak! – krzyczy. Jestem pewna, że również podskakuje. – Daj tylko znać, ile chcesz biletów. Dopilnuję, byś dostała przepustki VIP-owskie dla wszystkich przyjaciół.

– Wow, to... to... cudowne. – Liczę w myślach, ile ma być tych biletów: Keller, Shelly, Duncan, Clayton, Pete i Maddie. Nawet jeśli ze mną nie rozmawia, w razie czego chciałabym mieć bilet i dla niej. I pewnie powinnam dodać jeszcze jeden, w razie gdyby Clayton lub Pete chcieli kogoś zaprosić. – Osiem wejściówek włączając tę dla mnie. Nie za dużo? – Nagle mi głupio. – Za dużo.

Gus śmieje się z mojego problemu.

– Damy radę. Chcę poznać twoich przyjaciół. Właściwie już się czuję, jakbym ich znał.

– Przysięgam, jeśli powiesz coś żenującego przy moich przyjaciółach, zabiję cię.

– Boże, Minnesota wyssała z ciebie cały humor, prawda? Wiesz, młoda, że nie mogę obiecać, że tego nie zrobię?

Ma rację, nie może. Pewnie i tak będzie mnie torturował. Jednak odpuszczę mu, bo przez to pokazuje, jak bardzo mnie kocha. Ściszam głos:

– Nie wierzę, że ponownie cię zobaczę i to nie na ekranie komputera. A ty zobaczysz, gdzie mieszkam i gdzie chodzę do szkoły. – Pograżam się w myślach. Nie wiedziałam, że kiedykolwiek do tego dojdzie.

– Nie mogę się doczekać. – Również ścisza głos. – Promyczku, mam prośbę. Czy myślisz, że... cóż, chodzi o to, czy zagrałabyś z nami *Missing You* na skrzypcach lub zaśpiewała *Killing the Sun*?

Nie chcę go zawieść, ale przegina.

– Młody, nie mogę.

Wypuszcza wstrzymywane w płucach powietrze.

– Rozumiem. Okej. – Brzmi, jakby był rozczarowany.

– Gus, chcę po prostu iść na koncert i popatrzeć na was, jak za starych dobrych czasów.

Będziecie świetni. Poza tym nie chcę odbierać ci splendoru. – Drocę się, ponieważ nikt nie jest w stanie tego dokonać. Kiedy jest na scenie, ledwo zauważa się resztę zespołu. Publika zawsze skupia się tylko na nim. Nie żeby się o to starał. Tak się po prostu dzieje.

Prycha:

– Serce, możesz odbierać mi splendor, kiedy tylko chcesz.

Śmieję się.

– Muszę lecieć.

– Tak, a ja muszę iść do pracy. Lepiej już pójdę. Dzięki za wieści o koncercie i jeszcze raz gratuluję z powodu premiery płyty. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Tak się cieszę. Wiesz o tym, prawda?

– Wiem. Kocham cię, Promyczku.

– Też cię kocham, Gus.

– Pa.

– Pa.

14 WRZEŚNIA, ŚRODA

KATE

Gus pisze: SKYPE? TERAZ?

Właśnie wyszłam spod prysznic, mam jeszcze pół godzinki, nim wyjdę do pracy. Odpisuję i otwieram laptopa: TAK I TAK.

Nawiązuję połączenie, ale na monitorze widzę jedynie puste krzesło.

– Halo? Gus? Jesteś tam?

Słyszę jego głos czysto i wyraźnie:

– Jestem, Promyczku. I dzień dobry. Potrzebuję twojej opinii.

– Dobra. O co chodzi?

– Stoję za komputerem, więc mnie nie widzisz. Młoda, chcę, byś była szczerą, tylko proszę, nie śmieć się, okej?

– Jasne.

Najpierw widzę niebiesko-zielone, ulubione spodenki Gusa, po czym on sam siada na krześle.

Nim potrafię się powstrzymać, wciągam gwałtownie powietrze.

– Jasna cholera, Gustovie Hawthornie! – Jego długie, proste włosy zniknęły. W tej chwili sięgają mu zaledwie do ramion. Skrócone z długości, układają się w lekkie fale, podobnie jak moje włosy, choć są rozczochrane, jak na gwiazdę rocka przystało.

– Wiem, prawda? Producent zatrudnił stylistę. Powiedział, że nie możemy jechać w trasę, wyglądając jak banda surferów. To chyba oznacza zakaz noszenia szortów i kłapek.

Nie wiem, co powiedzieć. Wygląda jak zupełnie inna osoba.

Gus przygryza mocno dolną wargę.

– Bardzo jest źle, Promyczku? Po prostu mi powiedz. Wyglądam głupio?

Kręcę głową.

– Młody, nie wiem, jak ubrać to w słowa, więc po prostu to powiem. Wyglądasz zajebiście seksownie.

Wnioskując po szoku malującym się na jego twarzy, nie to spodziewał się usłyszeć.

– Serio? Wydawało mi się, że podobały ci się moje długie włosy.

– Podobały mi się, ale nie widziałam cię w tak krótkiej fryzurze, odkąd byliśmy dziećmi. Wyglądasz naprawdę apetycznie. Będziesz się musiał oganiać od lasek, wiesz o tym, prawda? – Kobiety w każdym wieku zawsze na niego leciały, ale przez tę fryzurę będzie jeszcze gorzej.

– Myślisz? – Wygląda, jakby nie był przekonany.

Zdecydowanie, przytakuję w duchu.

15 WRZEŚNIA, CZWARTEK

KATE

Po zajęciach dodatkowych z Gabrielem wracam do samochodu i zauważam w telefonie wiadomość od Claya: PRZYJDŹ DO MNIE, GDY WRÓCISZ DO AKADEMII!

Odpisuję, idąc: NIE KRZYCZ! ZOBACZYMY SIĘ ZA 10 MINUT.

Telefon oznajmia nadejście kolejnej wiadomości, gdy odpalam samochód: PRZESTRZEGAJ PRZEPISÓW! ZOBACZYMY SIĘ ZA 20.

Śmieję się, ponieważ wie, że jestem w Minneapolis.

Clay marudzi, bym stosowała się do ograniczeń prędkości, więc nieco zwalnim i parkuję przed akademikiem piętnaście minut później.

Otwiera drzwi, kiedy moja pięść zawisa nad ich skrzydłem.

– Młody, co ci tak pilno? – Chce mi się śmiać, bo wygląda na przerażonego, ale nie jakby stało się coś złego, tylko jakby był spanikowany, nie wiedząc, co zrobić.

Chwyta mnie za rękę i wciąga do pokoju. Puszczą drzwi, które się za mną zatraskują. Pete siedzi na łóżku po drugiej stronie pokoju, pograżony w książce, ale rzuca zwyczajowe:

– Cześć, Kate.

– Co tam, Pete? – Kiwam mu głową, nim ponownie skupiam się na rozdygotanym chłopaku stojącym przede mną.

Clay nadal ściska moją rękę, wpatruje się to w prawe, to w lewe oko, jakby nie mógł zdecydować, któremu poświęcić więcej uwagi.

– Katherine, potrzebuję cię – mówi śmiertelnie poważnym tonem.

Istnieje tylko jeden sposób, by poradzić sobie z tak wielkim dramatem... Spoglądam na Pete'a.

– Hej, Pete, pamiętasz, jak mówiłam, że z Clayem jest ciężko? Cóż, wydaje mi się, że w końcu uległ moim jawnym próbom uwiedzenia. Dałbyś nam kilka minut sam na sam? Maksymalnie pół godzinki?

Pete mocno się rumieni, jednak w ogóle się nie uśmiecha. Boże, deprawuję go.

Clayton potrząsa mną lekko i wzdycha, jakby dawał znać, że nie ma czasu na żarty.

– Katherine, to poważna sprawa.

Unoszę brwi.

– Szlag. Więc wyduś to z siebie.

– Katherine, koniecznie musisz iść dzisiaj ze mną do Spectacle.

– Tylko o to chodzi? Myślałam, że coś się stało. Nie trzeba wpłacać kaucji w areszcie? Nikt nie potrzebuje mojej nerki? – droczę się.

Prycha.

Śmieję się i tonuję sarkazm, ponieważ wiem, że moja decyzja jest dla niego bardzo ważna.

– Ale jest czwartek, młody. Nie wpuszczą nas. Nie mam fałszywego dowodu.

Puszczą mnie i obgryza paznokieć.

– A jeśli ci powiem, że znam kogoś, kto nas wpuści?

– W taki razie jedziemy! – Przyglądam mu się podejrzliwie, bo wydaje mi się, że czegoś

mi nie mówi. – Kogo takiego znasz, Clayton?

Wzrusza ramionami, ale jego twarz promienieje i to go zdradza.

Podchodzę do jego łóżka, po czym siadam na nim po turecku.

– Okej, Clayton. Czego mi nie mówisz? Sądząc po kolorze twojej twarzy, jest to coś cholernie istotnego.

Clay stuka stopą w podłogę.

– Skąd wiesz?

– Młody, pocisz się jak dziwka w kościele. Musi chodzić o jakiegoś chłopaka.

Pete śmieje się w kącie.

– Dobra, dobra, pamiętasz to ciacho, które dało mi numer po tym, jak tańczyłem z nim przez cały wieczór w Spectacle?

– Jak mogłabym zapomnieć Pana Wspaniałe Policzki? Albo ten gorący pocałunek?

Przewraca oczami.

– Ma na imię Morris, a kiedy w końcu odważyłem się do niego zadzwonić...

– Brawo, Clayton! – wtrącam.

Rumieni się jeszcze bardziej, po czym odchrząkuje.

– Morris jest managerem w Spectacle i zadzwonił dzisiaj do mnie, mówiąc, że z chęcią się ze mną spotka.

Zerkam na Pete'a, który usilnie próbuje skupić się na książce i nie uczestniczyć w rozmowie.

– Słyszałeś, Pete? Nasz chłopiec dorasta. Ale chyba nie jestem gotowa puścić go na randkę. Co o tym sądzisz? Rozmawiałeś z nim już o, no wiesz, pszczołkach i motylkach, oraz o chorobach wenerycznych? Być może powinniśmy poćwiczyć wspólnie zakładanie gumki na ogórka. Pisziesz się?

Pete lekko kręci głową, ale w końcu się uśmiecha.

Clayton ponownie tupie. Jest uroczy, kiedy to robi.

– Katherine, musisz ze mną pójść.

Wstaję i ściskam Claytona. Nie mogę się dłużej z nim droczyć.

– Pójdę z tobą, młody. – Całuję go w policzek. – Pójdę. O której?

– Możemy wyjść o ósmej? Musimy tam być przed otwarciem, by Morris mógł nas wprowadzić.

Puszczam go i idę do drzwi.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Clayton staje na moim progu już o siódmej czterdzieści pięć, próbując wyciągnąć mnie z pokoju. Wie, że notorycznie się spóźniam. Dzwonię do Shelly, ale ona planuje spędzić dzisiejszy wieczór ze swoim chłopakiem. Wygląda więc na to, że zostanę sama.

Zgodnie z umową Morris czeka na nas przy tylnym wejściu do klubu. Boże, czuję się jak kryminalistka. Cóż, może dlatego, że robimy coś nielegalnego, ale kiedy chodziłam tańczyć z Gusem, zawsze wchodziliśmy frontowymi drzwiami. Mam wrażenie, że powinnam znać jakiś tajny kod, by zapukać albo podać odpowiednie hasło lub ucisnąć komuś rękę we właściwy sposób, by znaleźć się w środku.

Kości policzkowe Morrisa są tak piękne, jak je zapamiętałam, w dodatku facet pochodzi z Manchesteru w Anglii, więc ma zabójczy akcent. Jest uprzejmy, uczciwy i uroczy. Mogłabym go słuchać przez całą noc: sposobu, w jaki nie wymawia pierwszych lub

ostatnich liter niektórych słów albo kiedy połyka całe sylaby, jakby nie były na tyle ważne, by tracić czas na ich wypowiedzenie. Nagle uświadamiam sobie: po co właściwie skupiamy się na wypowiedzeniu „R” na końcu wyrazu, kiedy bez niego wszystko brzmi bardziej seksownie? Przynajmniej z brytyjskim akcentem. Nic dziwnego, że Clayton jest tak zafascynowany. Po kilku chwilach rozmowy z Morrisem, ponieważ Claytonowi odebrało mowę, uznaję go za prawdziwego dżentelmena – wliczając w to uroczy akcent – który mnie uspokaja. Odrobinę. Mimo to zostaję w klubie, ponieważ chcę wiedzieć, że Morris nie wykorzysta mojego niewinnego Clayтона.

Żeby się upewnić, wysłałam Clayтона do baru po colę. Gdy tylko znajduje się poza zasięgiem słuchu, zwracam się do Morrisa:

– Młody, przejdę od razu do sedna. Wydajesz się fajny i chyba cię lubię, więc nie zrozum mnie źle. – Patrzę mu prosto w oczy. – Ale nie pogrywaj sobie z Claytonem. Jest wyjątkowy, słodki i naprawdę mu się podobasz. Wiem, że to dopiero początek czegoś między wami, ale nie baw się nim, jeśli nie masz na myśli czegoś konkretnego. Clayton nigdy nie miał chłopaka. Miej to na uwadze. Jego serce przez osiemnaście lat pozostawało w ukryciu, więc kiedy wyjmie je z kieszeni i będzie się chciał nim z tobą podzielić, nie traktuj go jak nowej zabawki, która zostanie zapomniana niedługo po tym, gdy ci się znudzi. I nie bierz od niego więcej, niż możesz mu ofiarować. Po prostu... nie wykorzystaj go dla jakiegoś cholernego jednorazowego numerka, okej?

Morris unosi brwi.

– Kurczę, Kate, nie owijasz w bawełnę, co?

Tym razem to ja unoszę brwi. Czekam na jego odpowiedź i on o tym wie.

– Clayton mi się podoba. Chcę go lepiej poznać. Poza tym, że go tu dzisiaj ściągnęłam, nie mam złych intencji. Nie mogę przestać o nim myśleć, odkąd się poznaliśmy. Wydawało mi się... – Urywa zażenowany. – Wydawało mi się, że nigdy nie zadzwoni. Ale to zrobił.

Uśmiecham się. Morris wydaje się naprawdę podekscytowany możliwością poznania Clayтона. Jednak mam jeszcze jedno pytanie.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden.

– I już jesteś managerem w tym klubie? – Mrużę oczy. Nadal wazą się losy serca mojego przyjaciela.

– Właścicielem jest mój wuj. Mieszka w Londynie, ale prosił mnie o pomoc, ponieważ właśnie skończyłem studia. Jestem tutaj dopiero od miesiąca. Długo by gadać. Nie mam nawet mieszkania. – Ścisza głos: – Wraca. Nie skrzywdzę go. Masz moje słowo.

– Dziękuję.

Kiwa mi głową.

Ponieważ tak naprawdę Morris jest w pracy, Clayton większość czasu spędza ze mną na parkiecie. Podczas przerwy Morris porywa go na dwie czy trzy piosenki, ale nie brakuje mi partnerów do tańca. A potrafią tańczyć.

W klubie zostajemy z Claytonem prawie do zamknięcia. Podczas drogi powrotnej twarz chłopaka promienieje. Jest tak rozanielony, że nawet nie narzeka na mój styl jazdy.

Wracamy do akademika, gdzie na klamce drzwi mojego pokoju widzę znajomą czerwoną wstążkę. Clayton jak zwykle jest gościnny.

– Młody, jakoś dziwnie spać z tobą po całej tej nocy.

– Katherine, bądź cicho. Zawsze jesteś mile widziana w moim łóżku. A teraz dobranoc –

mówi ze szczególnym błyskiem w oku.

– Dobranoc.

16 WRZEŚNIA, PIĄTEK

KATE

Przechodząc przez próg „Trzech Petunii”, słyszę dźwięk SMS-a. Nie pracuję dzisiaj, ale Shelly prosiła, bym wpadła. Nagrała mi płytkę i chciała, żebym jej posłuchała.

Czekając, aż Shelly skończy rozmawiać, wyciągam komórkę z kieszeni. Widzę wiadomość od Maddie: POŻYCZYSZ MI 500\$? JUTRO MUSZĘ ZAPŁACIĆ CZYNSZ.

Zdziwienie musi być widoczne na mojej twarzy, ponieważ kiedy Shelly się rozłącza, pyta:

– Kate, co się stało?

Kręcę głową.

– Nic. Dostałam SMS-a od ciotki. Przez dłuższy czas się nie odzywała.

– Tej, która mieszka w Minneapolis?

– Tak, była na mnie zła. Od kilkunastu dni próbowałam z nią porozmawiać.

– Wciąż jest zła?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Pisze, że potrzebuje pieniędzy.

Shelly jest zszokowana.

– I prosi ciebie? Ile ona ma lat?

Nadal odtwarzam w głowie tę wiadomość.

– Dwadzieścia siedem.

– Chyba nie masz zamiaru jej ich dać, co?

Wzdycham, kiedy coś sobie uświadamiam.

– Prawdopodobnie mam zamiar. Przechodzi teraz ciężki okres. Pisze, że ich potrzebuje.

Nie prosiłaby, gdyby nie była zdesperowana, prawda?

Shelly mi się przygląda. W jej twarzy widzę zaniepokojoną Audrey, mamę Gusa.

– Nie wiem, czy powinnaś, Kate. Ciężko pracujesz na te pieniądze. Też ich potrzebujesz.

Wskazuję komputer stojący na ladzie.

– Mogę tylko coś sprawdzić?

– Jasne – odpowiada, wciąż patrząc na mnie z troską.

Sprawdzam stronę Rosenstein&Barclay, kancelarii prawnej, w której pracuje Maddie, po czym notuję ich adres i wskazówki, jak tam dojechać. Mam dzisiaj nieco wolnego czasu, a pisała, że czynsz musi zapłacić do jutra, więc teraz zawiozę jej te pieniądze. Chociaż kto płaci czynsz w połowie miesiąca?

Budynek, w którym pracuje Maddie, znajduje się w ścisłym centrum Minneapolis, więc po zaparkowaniu samochodu i wrzuceniu kilku monet do parkomatu wchodzę do biurowca i jadę windą na trzecie piętro. Znajduję się w holu Rosenstein&Barclay. Podłoga wyłożona jest kamieniem wypolerowanym na wysoki połysk. Na stoliku stoją świeże kwiaty, kawałek dalej znajdują się szklane drzwi, prowadzące do miejsca pracy Maddie. Czuję, że jestem nieodpowiednio ubrana, ponieważ mam na sobie jeansy, klapki i koszulkę z napisem „Virginia jest dla zakochanych”. Nagle żałuję, że nie zadzwoniłam wcześniej. Przecież prawnicy zawsze są zajęci, prawda? Pewnie Maddie ma teraz jakieś ważne spotkanie, a może jest w sądzie. Kto wie? Czuję się jak idiotka. Biorę głęboki wdech i otwieram szklane drzwi, gigantyczny gong ogłasza moje przybycie. Jezu, niedobry kuzyn

dzwonnka.

Kobieta siedząca przy biurku po drugiej stronie recepcji unosi głowę. Jest uprzejma, gdy zwraca się bezpośrednio do mnie:

– Dzień dobry. – Ubrana jest w czarną, obcisłą garsonkę i wygląda zbyt elegancko, by siedzieć za tym biurkiem.

Odchrząkuję.

– Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam, ale szukam Maddie Spiegelman. Czy mogę z nią porozmawiać?

Kobieta się uśmiecha.

– Jasne. Powinna niedługo wrócić. – Przysłania usta i ścisza głos. – Poszła do toalety, chwilowo ją zastępuję.

Dobra, jestem lekko zdezorientowana.

– Zastępuje ją pani? To znaczy Maddie jest recepcjonistką?

Kobieta kiwa głową, ale wydaje się zaskoczona moim pytaniem.

– Przepraszam, Maddie jest moją ciotką. Po prostu... nie wiedziałam, na jakim stanowisku pracuje.

Kobieta przytakuje.

– O, już idzie.

Obracam się i zauważam, że na mój widok Maddie traci rezon. Jej głos jest niski i zjadliwy, kiedy syczy na mnie zdenerwowana:

– Kate, co tu robisz?

Wyciągam czek, który już wypisałam.

– Wiadomość brzmiała, jakby sprawa była pilna. Chciałam, byś zdażyła dziś do banku, skoro jutro masz zapłacić ten czynsz.

– Mogłaś najpierw zadzwonić. Trochę kultury, proszę.

– Przepraszam, ale jeśli nie potrzebujesz już pieniędzy, nie ma powodu do...

Przerywa mi, wrywając czek z dłoni.

– Nie, wezmę go. Miałam w tym miesiącu wiele nieprzewidzianych wydatków... rzeczy, których byś nie zrozumiała.

Mimowolnie przewracam oczami.

– Poważnie? – *No to spróbuj, chcę powiedzieć. Jestem już duża, wiele rozumiem.*

Nie odpowiada.

Jestem trochę poirytowana, ale jednocześnie się o nią martwię.

– Dlaczego nie odpowiadałaś na moje SMS-y? No i co tam u ciebie?

Wzdycha głęboko i ścisza głos.

– Dobrze. Nie ma o czym mówić.

Również ściszam głos:

– Dlaczego okłamałaś mnie na temat pracy? – Nie mówię tego złośliwie. Po prostu chciałabym wiedzieć. Jest na tyle dojrzała, że powinna mi odpowiedzieć.

Albo i nie... Patrzy na mnie, jakbym ją właśnie obraziła.

– Powinnaś już wyjść. Muszę pracować. To coś, o czym prawdopodobnie nic nie wiesz, będąc córką Janice Sedgwick. Założę się, że ciężko ci było żyć na plaży za pieniądze mamusi.

Mrugam przez chwilę, zszokowana jej zachowaniem.

– Wow... Okej... więc tak to jest... – Jąkam się osłupiała, moje policzki czerwienieją ze

złości. Napędzana adrenaliną obracam się w kierunku drzwi i mocno je popycham. Już za progiem odwracam się i patrząc jej w oczy, mówię: – Naprawdę się cieszę, że w tym miesiącu zapłacisz czynsz, Maddie. Proszę bardzo. – Puszczam drzwi, by się za mną zatrzasnęły.

17 WRZEŚNIA, SOBOTA

KATE

Dostaję wiadomość od Maddie: MUSISZ DZWONIĆ PRZED PRZYJŚCIEM. PRZYCHODZENIE BEZ ZAPOWIEDZI JEST NIEGRZECZNE.

Oj tak, Maddie jak cholera potrafi przeproszać. Odpowiadam: JASNE.

Muszę ugryźć się w język. Nie warto toczyć tej wojny.

Nie spodziewam się odpowiedzi, jestem gotowa odpuścić, ale pojawia się kolejny SMS: MOŻEMY POGADAĆ?

Oczywiście, że już się na nią nie złościę, bo nie potrafię chować urazy. A może po prostu jestem beznadziejna. Tak czy siak, łatwo wybaczam.

Odpisuję: ZADZWOŃ.

Maddie odzwania prawie natychmiast i wylewa swoje żale, a ponieważ robi to powierzchownie, nie dotykamy głównego problemu – bulimii. Zamiast tego rozmawiamy o pieniądzach. Nie oszukujmy się, gdyby całe pieniądze tego świata zniknęły, Maddie przeżyje, ale jeśli nie upora się z bulimią, choroba ją zabije. Jednak nie jest jeszcze gotowa o niej rozmawiać, więc nie naciskam. Przynajmniej przez chwilę się komunikujemy.

Twierdzi, że okłamała mnie w sprawie pracy, ponieważ bała się, że nie będę pod wrażeniem, jeśli dowiem się, iż jest tylko recepcjonistką, a nie prawniczką. Jakby to miało dla mnie znaczenie. Mogłaby zbierać śmieci i byłabym pod takim samym wrażeniem, jak gdyby była prawnikiem. Ludzie przywiązują zbyt wielką wagę do etykietek i tytułów. Maddie opowiada mi o swoim zadłużeniu karty kredytowej, o tym, że jej współlokatorka wyprowadziła się w lipcu i od tamtej pory nie może nikogo znaleźć, by podzielić opłaty. Już drugi miesiąc zalega z czynszem i zagrożono jej eksmisją. Właśnie dlatego do mnie napisała. Nie wiedziała, co zrobić. Współczuję jej, ale zastanawiam się, dlaczego niektórzy tak bardzo przyzwyczajają się do życia na pewnym poziomie, że potem każdy inny jest dla nich nie do przyjęcia. Ja przeniosłam się z siostrą z domu przy plaży do mieszkania w garażu. I wiecie co? Wolałam garaż. Najwyraźniej Maddie nie mogłaby mieszkać w garażu. Opowiadałam o tym trochę, ale oszczędzam ciotce szczegółów i smutku. Zawsze była to dla mnie walka i tylko o tym powinna wiedzieć. Nie szukam współczucia, ale czasami, jeśli ludzie wyczują w was pokrewną duszę, możecie udzielić im pewnych rad bez ich udzielania. Z doświadczenia wiem, że nikt nie lubi być pouczany, co ma robić. Większość woli sama dochodzić do pewnych wniosków. A ponieważ odwrotna psychologia się sprawdza, przypomina mi się wczorajsza rozmowa z Morrisem. Mam pewien pomysł.

– A co byś powiedziała na chłopaka jako współlokatora?

Słyszę, że jej głos się rozpogadza.

– Nie mam nic przeciwko temu, zwłaszcza jeśli jest przystojny i wolny.

– Jest przystojny, choć nie za bardzo wolny.

– Wszystkie ciacha są zajęte.

– Jest też gejem. Poprawia ci to w jakiś sposób humor?

– Nie bardzo. – Śmieje się i po raz pierwszy czuję, jakbym rozmawiała z prawdziwą Maddie. Brzmi szczerze, choć wydaje mi się, że jest wyczerpana, jakby życie ją przerosło i nie potrafiła już dłużej martwić się tym, co pomyślą inni.

– Przykro mi. Na pocieszenie powiem, że ma naprawdę ładne kości policzkowe. Nie protestowałabym, gdybym mogła je codziennie oglądać.

– Domyślam się. – Znow się śmieje i to miły dźwięk.

– Skontaktuję się z nim dziś i dam ci znać. Ma na imię Morris.

– Dobrze.

– Super. Mam nadzieję, że się uda.

Piszę do Claya wiadomość, prosząc o numer Morrisa, po czym do niego dzwonię. Jakaś godzinę później Maddie spotyka się z Morrisem, a już o wpół do szóstej wieczorem on pakuje rzeczy w pokoju hotelowym i przenosi się do pokoju gościnnego Maddie.

Uwielbiam, kiedy wszystko idzie jak po maśle.

18 WRZEŚNIA, NIEDZIELA

KATE

– Um, Sugar, mogę ci w czymś pomóc?

Współlokatorka przetrząsa moją szafę, gdy wchodzę do swojego pokoju. Wzdryga się, zaskoczona moim głosem. Na jej twarzy maluje się poczucie winy, które przypomina mi o Grace, gdy szukała ciasteczek przed obiadem. Najwyraźniej Sugar nie słyszała, kiedy weszłam... pewnie nie spodziewała się, że wrócę tak wcześnie.

– Nie... nie... To znaczy, nie mogłam znaleźć bluzki i pomyślałam, że może... może zaplątała się z twoimi i przez przypadek schowałaś ją do swojej szafy.

Kłamie. Jej policzki są mocno czerwone – wie, że jest winna. Nie podoba mi się to, ale nie mam zamiaru robić jej wyrzutów, ponieważ kiedy próbuje się tłumaczyć, słyszę w pamięci głos Grace: „Nie chciałam ich jeść, Kate”. Mijam ją i wieszam plecak na oparciu krzesła przy biurku. Na łóżku Sugar dostrzegam dwie moje koszulki. Jestem stuprocentowo pewna, że ich tam nie kładłam. Udaję, że ich nie widzę.

– Młoda, jak wyglądała ta twoja bluzka? Może pomogę ci szukać.

Dziewczyna zwilża wargi językiem, gdy wzrokiem przemyka po koszulkach leżących na jej łóżku. Wie, że została przyłapana, ale i tak próbuje kłamać.

– Nieważne. Pewnie jest w praniu – rzuca.

Boże. Zastanawiam się, czy wie, że nie potrafi ściemniać.

Podchodzę do drzwi i rzucam:

– Skoro tak mówisz. Natura wzywa, muszę biec do łazienki. – Sięgam do klamki, ale drugą ręką wskazuję na jej łóżko. – Sugar, jeśli chcesz którąś pożyczyć, wystarczy, że zapytasz. Chociaż one są dla mnie jak dzieci. Jestem w stosunku do nich opiekuńcza i nieustannie chcę wiedzieć, gdzie są. – Nie patrzę za siebie, zamykając drzwi.

Wpadam na Petera, który wychodzi ze swojego pokoju.

– Hej, Pete. Przepraszam.

– Cześć, Kate. Nic się nie stało. Nie widziałem cię.

– Gdzie się wybierasz, *mon frère*?

– Na stołówkę. Czekałem na Claytona, ale właśnie napisał, że je dzisiaj obiad z Morrisem w Minneapolis.

Cieszę się. Od naszej wizyty w Spectacle Clayton codziennie rozmawia z Morrisem, umawiają się prawie co wieczór. Clayton jest w siódmym niebie.

– Super. Cóż, wiem, że nie jestem Clayem, Pete, ale jeśli poczekałbyś na mnie dwie sekundy, to skoczę do toalety i dołączę na *entrée du jour*.

Peter uśmiecha się, a jego nerwowy uśmiech podpowiada mi, że albo czuje ulgę, ponieważ będzie miał towarzystwo na stołówce, albo nie musi prosić kogoś, by nie jeść samemu.

– Leć. Poczekam na zewnątrz.

Biegnę korytarzem.

– Wracam za dwie minuty.

Obiad przebiega jak zwykle, coraz bardziej przyzwyczajamy się do jedzenia bez Claytona. Tęsknię za nim, ale nie przeszkadza mi spędzanie czasu z Petem.

Muszę zaczynać rozmowę, ponieważ chłopak jest małomówny i nieśmiały. Nie mam jednak nic przeciwko, bo to nawet zabawne i lubię z nim przebywać. Odkryłam, że Pete ma nienasycony głód wiadomości z kraju i ze świata, lubi słuchać o polityce i tego typu sprawach. Choć czasami różni nas punkt widzenia, ponieważ on skłania się ku prawicy, a ja bardziej ku lewicy, oboje jesteśmy otwarci, by wysłuchać czyichś opinii. Niewielu ludzi to potrafi, a ja cenię otwarte umysły. Dla mnie intelekt Pete'a jest darem. Jeśli mam być szczerą: zszokowało go to, że potrafię rozmawiać z nim o polityce i ekonomicznym kryzysie Europy, ale przywykłam już do ludzi, którzy zakładają, że jestem głupią blondynką. I przyznaję, że czasami nie wyprowadzam ich z błędu, ponieważ w ten sposób jest łatwiej i zabawniej. Jeśli jestem dla kogoś ważna, powinien poświęcić trochę czasu, by dowiedzieć się, co kryje się pod moją blond czupryną. Pete poświęcił ten czas.

Rozmawiamy o aktualnej sytuacji w Kongo, gdy zauważam, że Pete nieustannie zerka ponad moim ramieniem. Obracam się i udaję, że szukam czegoś w kieszeni bluzy, zerkam za siebie. Stołówka jest niemal pusta, z wyjątkiem jednej dziewczyny, siedzącej za moimi plecami. Widuję ją tutaj codziennie. Zawsze siedzi sama i czyta, jest pochłonięta książką. Jest drobna, ma brązowe, mysie włosy wciąż związane w niechlujny kok. Jej okulary zsunięte na koniec nosa nie są przeznaczone do czytania. Są wielkie i okrągłe. Jak zwykle, teraz też jest zaczytana. Cały budynek mógłby wylecieć w powietrze, a ona by tego nie zauważyła. Podziwiam takie skupienie. Czytanie jest ucieczką od prawdziwego świata. Wszyscy go czasem potrzebują, by pozostać przy zdrowych zmysłach.

Obracam się do stołu, by jeść groszek, starannie oddzielony od marchewki, która jest po prostu ohydna. Ugotowana smakuje jak produkt dla niemowląt zmieszany z piaskiem. Tylko na tej stołówce podają groszek razem z tym paskudztwem. Co za odpychająca kombinacja. Zawsze myślałam, że „groszek z marchewką” wymyślili na potrzeby *Forresta Gump*a, ale najwyraźniej jednak nie. Podobało mi się, gdy Forrest był z Jenny, choć teraz, wygrzebując zielone kuleczki z pomarańczowej papki, zastanawiam się, czy naprawdę byli sobie przeznaczeni. Widelcem wskazuję za siebie.

– Hej, Pete, znasz tę dziewczynę?

Chłopak się rumieni i natychmiast zaprzecza.

Uśmiecham się, bo jestem pewna, że ona mu się podoba.

– Zawsze siedzi sama. Może powinieneś ją do nas zaprosić.

Pete rumieni się coraz bardziej, ale się nie rusza. I nie odzywa.

Pochyliłam się nad stołem i szepczę:

– Jest fajna, Pete. Wygląda jak seksowna, choć skromna, bibliotekarka.

Uśmiecha się lekko i kiwa głową, ale tak intensywnie przygląda się swoim ziemniakom, że wydaje mi się, jakby oczekiwał, że do niego przemówią.

Szepczę, mając nadzieję, że go jeszcze bardziej nie zawstydzę.

– Młody, powinieneś się z nią umówić.

Wygląda, jakby był przerażony i kręci głową.

Wzdycham i mówię cicho:

– Pete, zerkasz na nią przez cały czas, odkąd tu siedzimy. Nie mów mi, że nie jesteś zainteresowany.

– Nie wiem, co powiedzieć – mówi, wzdychając. Sprawia wrażenie, jakby potrzebował pomocy albo nadziei, a może jednego i drugiego. Wyciągam rękę przez stół, by pokazać mu, jak się to robi.

– A może tak: „Cześć, jestem Peter Longstreet. Mógłbym się przysiąc?”. Rozmowa sama się ułoży.

– A jeśli nie? A co, jeśli mnie zignoruje albo... albo... albo każe mi się bujać? – Tak, w jego głosie słycać panikę.

Uśmiecham się.

– Nie sądzę, by ludzie używali jeszcze określenia „bujaj się”. Jestem pewna, że nic ci nie grozi.

Lekko się uśmiecha.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Nakrywam dłonią jego palce, którymi nerwowo stuka o blat.

– Pete, jesteś niesamowitym facetem. Ona wygląda, jakby była dla ciebie stworzona. Co masz do stracenia? Powinieneś z nią pogadać. Słuchaj, ja i tak już skończyłam, a mam pracę do napisania, więc wrócę do akademika.

– Nie powinnaś chodzić sama – mówi. Obaj z Claytonem zawsze martwią się, kiedy sama wracam po zmroku. Kupili mi nawet dwie puszki gazu pieprzowego: jedną noszę przy kluczach, drugą w plecaku.

Uśmiecham się i zabieram dłoń.

– Nic mi nie będzie. Wyjdę, ale chcę, byś chwilę później do niej podszedł i zagadał, okej?

Wygląda, jakby zaraz miał zemdleć lub zwymiotować, ale kiwa głową i patrzy na mnie z nowym rodzajem przerażenia.

– Okej.

Zakładam bluzę, biorę brudne naczynia i mówię:

– Jesteś mężczyzną, Pete. To twoja nowa mantra. „Jestem mężczyzną”. – Puszczam do niego oko. – Powodzenia.

Wzdycha.

– Dzięki, Kate.

Oddaję talerz i rzucam Hectorowi:

– *Hola*.

W drodze do wyjścia zauważam, że Pete podnosi się, by również oddać naczynia. Wiem, że mam jakieś czterdzieści pięć sekund, by coś zrobić, więc ruszam w kierunku stolika, przy którym siedzi zaczytana dziewczyna. Uroczą bibliotekarkę nie podnosi spojrzenia znad książki, choć stoję jakieś pół metra od niej. Wtargnęłam w jej przestrzeń osobistą, przez co jest mi trochę głupio, ale nie mogę marnować czasu. Odchrząkuję. Nic. Kucam więc i zaczynam mówić:

– Przepraszam? – W końcu na mnie zerka. – Cześć, jestem Kate. Przepraszam, że przeszkadzam, ale za jakieś pół minuty mój przyjaciel Peter ma zamiar podejść tutaj i z tobą porozmawiać. Bardzo się denerwuje z tego powodu, ale chciałabym, byś wiedziała, że jest naprawdę fajny i sympatyczny. Proszę, wysłuchaj go. – Dziewczyna marszczy brwi, ale kiwa głową. – Dzięki. – Uciekam, nie oglądając się za siebie.

Pete puka do moich drzwi jakieś piętnaście minut później. Uśmiecha się tak szeroko, że po raz pierwszy zauważam dołeczki w jego policzkach. Natychmiast zaczyna opowiadać. Nawija bez opamiętania! Zazwyczaj jest powściągliwy, ostrożny, nawet kiedy jest rozbawiony, więc to naprawdę znaczące.

– Ma na imię Evelyn. Jest na pierwszym roku na kierunku historia amerykańska. Lubi

czytać klasyków, ale nie gardzi również książkami biograficznymi, a także science fiction.

– Wydaje się z siebie zadowolony.

Zerkam na zegarek.

– Wiele się dowiedziałeś.

Jego uśmiech nie zmniejsza się nawet o milimetr.

– Łatwo się z nią rozmawia.

Klepię go w ramię.

– Świetnie. Widzisz? Już cię lubi. Masz jej numer?

Jego uśmiech nieco blednie.

– Myślałem, że głupio będzie tak od razu o niego prosić. Nie byłoby to przesadą?

Kręcę głową.

– Nie. Jeśli ci się spodobała i wydaje ci się, że ty jej też, nie powinieneś czekać. – Jego niewinność mnie zabija.

Spuszcza głowę i sfrustrowany zaciska usta. Jest na siebie wkurzony.

– Szlag by to trafił.

– Spokojnie. Będziesz miał pretekst, by do niej zagadać, kiedy ponownie się zobaczycie.

Na jego twarz wracają dołeczki.

– Jutro mam się z nią spotkać, na stołówce o siódmej, byśmy mogli razem zjeść.

Klaszczę.

– Kurczę, Pete, to prawie jak randka.

– Dzięki, Kate. – Znow patrzy pod nogi, po czym unosi głowę. – No wiesz, za zachętę.

Gdyby nie ty, cały semestr tylko bym się na nią gapił.

Nie oczekuję wdzięczności czy podziękowań, jednak miło je słyszeć, zwłaszcza tak szczerze.

– To by było straszne. – Mrugam jednym okiem. – Proszę.

Kiwa głową i otwiera drzwi.

– Pete?

Obraca się.

– Tak?

– Wcześniej mówiłam poważnie. Jesteś niesamowitym facetem. A Evelyn ma szczęście. –

Uśmiecham się. – Dobranoc.

Odpowiada z zawstydzonym uśmiechem.

– Dobranoc.

Wydaje mi się, że mój przyjaciel po raz pierwszy poczuł się pewny siebie i szczęśliwy. Co za cudowna kombinacja.

19 WRZEŚNIA, PONIEDZIAŁEK

KATE

– Co tam, Promyczku?

– Cześć, Gus. Nic ciekawego. A co u ciebie, *mon ami*? – Miło w końcu usłyszeć jego głos. Przez ostatnie dni porozumiewaliśmy się wyłącznie przez SMS-y, bo ciągle był na jakichś spotkaniach. A to nie to samo. Lubię słuchać jego głosu. Sprowadza mnie na ziemię, gdzie odnajduję prawdziwą siebie.

– Mniej więcej bez zmian. Nie mogę się doczekać, aż ruszymy w tę piekielną trasę.

Gus nie jest osobą, która potrafi docenić każdy proces tworzenia. Zawsze był rozpieszczany przez mamę i jego życie było dość proste. Nie żeby nie pracował ciężko. Ale było mu po prostu łatwiej. Woli więc pomijać to, co mu się nie podoba, nawet jeśli dłuższy proces jest wart osiągnąć. Myślę, że wszyscy chcielibyśmy wszystko od razu. To nie egoizm, taka jest po prostu ludzka natura. Jednak czasami musimy pamiętać o istotnych rzeczach – tych dobrych, ale i tych złych. Mówię więc:

– Wiem, młody, ale przygotowania są kluczem do sukcesu, pamiętasz?

Wzdycha i nie brzmi to jak Gus, którego pamiętam.

– Chodzi o to, że nie czuję tych całych przygotowań i marketingu, wiesz? To chyba robota dla kogoś innego, bo wytwórnia, agent i manager biorą za to kasę, prawda? – Zaczyna być tym zmęczony. – Naszym zadaniem jest muzyka. Nie powinniśmy się martwić o nic innego. Czuję się, jakby chcieli nas zaorać na śmierć, Promyczku. Wszystko nieustannie się zmienia. I tak wiele z tych zmian jest do bani. Dzisiaj musieliśmy przez wiele godzin słuchać jakiegoś typa, który uczył nas, jak udzielać wywiadów. Co mówić, czego nie mówić. Może się nie znam, ale wydawało mi się, że powinienem być uczciwy i szczerze opowiadać o pieprzonej muzyce, jeśli ktoś zadaje o nią pytanie!

– Wow, Gus. Spokojnie. Starają się tylko chronić wasz wizerunek. Jesteś gdzieś, gdzie możesz palić? – Przez ostatni miesiąc poziom wkurzenia Gusa z dnia na dzień nieustannie wzrastał. Nie podoba mi się ten jego stres. Uwielbiam resztę chłopaków z zespołu, jednak wiem, że to on bierze na siebie ciężar wszystkiego, co się dzieje, ponieważ oni tego, cóż... nie chcą.

– Tak – warczy.

– Może...

Słyszę kliknięcie zapalniczki i pierwszy głęboki wdech.

– Za późno, Promyczku i nawet nie waż się tego mówić.

Wiem, że nie powinnam się odzywać, bo jest naprawdę w paskudnym nastroju, ale wiem też, że nie z mojego powodu, więc nie biorę tego do siebie.

– Ale powinieneś, no wiesz... rzucić.

– Nie odzywaj się. – Jego odpowiedź jest ostateczna. Siedzę i czekam, aż skończy palić, po czym mówi: – Przepraszam. Nie chciałem się na tobie wyżywać.

– Mam pytanie: jak czułbyś się, gdyby ZGKB przyszedł do studia z własnymi piosenkami i powiedział, że musicie grać właśnie te zamiast swoich?

– Kazałbym mu spieprzać.

– No właśnie. Najwyraźniej potrzebują cię w całym procesie tworzenia tej muzyki, bo to

ty nią jesteś.

– Masz wileracji.

– Ale to wciąż wymaga współpracy, co? ZGKB ma w tym spory udział, prawda?

– No tak.

– Dobra, więc z każdym kolejnym krokiem zbliżacie się do wielkiej sprzedaży płyty i wsparcia jej sprzedaży trasą koncertową.

– Tak. Ale do czego zmierzasz? – Brzmi, jakby był jednocześnie zainteresowany i niecierpliwy.

– Cóż, musisz zaufać, że są profesjonalistami w wydawaniu płyt i przygotowywaniu trasy koncertowej, co wcale nie wyłącza twojej w tym roli. Jeśli nie będziesz współpracował z nimi na każdym kroku, będziesz później żałował, gdy coś pójdzie nie tak. I nie będziesz mógł nikogo obwinić, jak tylko siebie. KST, młody. Kryj Swój Tyłek.

Prycha, ale i tak wiem, że generalnie się ze mną zgadza.

– Ale to do dupy. Spotkania polegają na bezsensownej gadaninie. Siedzę tam i po pięciu minutach słuchania ich zastanawiam się, kiedy zmieniło się to w koszmar. To tylko „bla, bla, bla” i mam już powyżej uszu robienia zdjęć. Po co im te wszystkie fotki?

Rzucam z humorem:

– Może jesteś tak bardzo przystojny, że nie potrafia się oprzeć? – Czas sprowadzić Gusa do rzeczywistości. – Słuchaj Gus, jestem po twojej stronie, przecież wiesz. Ale poważnie, młody? Robisz teraz coś, za co niektórzy przehandlowaliby duszę. Właśnie nagrałeś swoją pierwszą płytę. Muzykę Gustova Hawthorne’a. I szczerze mówiąc, to najlepszy album, jaki od dłuższego czasu słyszałam. Za kilka tygodni rozpocznie się sprzedaż, a ty będziesz już w trasie. Przynajmniej przez trzy kolejne miesiące codziennie będziesz żył życiem prawdziwej gwiazdy rocka. Proszą cię jedynie, byś brał aktywny udział w promocji zespołu, płyty i trasy koncertowej, by odnieść sukces tak wielki, jak to tylko możliwe. Gus, powinnam ci przypominać, że to twój zespół, twoja płyta i twoje koncerty? Nie musisz się poświęcać lub zatracać siebie w tym procesie, ale to właśnie w twoim interesie leżą jak najlepsze przygotowania. Nie denerwuj się z tego powodu. Po prostu to zrób. Na tym polega twoja praca.

Wzdycha i wiem, że do niego dotarłam.

– Masz rację. Wiem. Jęczę jak baba przed okresem.

Uśmiecham się.

– Będzie dobrze, obiecuję. Nim się zorientujesz, będziesz grał co rusz w innym mieście, a twoim jedynym zmartwieniem będzie to, czy wybrać sobie na noc seksowną brunetkę z pierwszego rzędu, która pomacha ci cyckami, czy jednojajowe blond bliźniaczki, które wpadną po koncercie za kulisy. A może i to, i to. – Na samą myśl kurczy mi się żołądek, ale muszę przemówić w języku Gusa: okobietach.

Gus prycha:

– Dobra, dość mojego skomlenia. Jak udała się twoja kolacja?

Odpowiadam z przesadnym brytyjskim akcentem:

– Urocza, mój drogi. Kiepskie ziemniaczki, zielony groszek i sałata. Stołowałam się w towarzystwie Clayтона, Petera i jego dziewczyny, Evelyn.

– Czekaj, Pete’a? To Pan Skórzane Ochraniacze ma dziewczynę? Kiedy to się stało? Dlaczego nic nie wiem? – Gus śledzi moje życie niczym operę mydlaną. To zabawne, że tak go interesują ci wszyscy ludzie, zwłaszcza kiedy w jego życiu dzieje się tak wiele. A może

właśnie przez ten cały chaos. Może potrzebuje ucieczki. Dosłownie jak przy oglądaniu telewizji.

Odpuszczam sobie akcent, bo jest zbyt absorbujący.

– Wczoraj. Peter spostrzegł ją na drugim końcu stołówki i była to miłość od pierwszego wejrzenia. Jestem z niego dumna. Ten gościu nigdy nie miał dziewczyny. Był na maksa przerażony, ale się przełamał i z nią porozmawiał, po czym się umówili. Dziś zaplanowali wspólny obiad oraz naukę w bibliotece do końca tygodnia. To słodkie, jak się krępują, ale oboje bardzo się starają. Czuję się, jakbym odzyskała wiarę w ludzi.

– Nigdy jej nie straciłaś, Promyczku. Ale się cieszę. Jaka jest? – pyta szczerze zainteresowany.

– Podobna do niego, właściwie...

Przerywa mi:

– Też kręci ją sado-maso i lubi skórzane kowbojskie ochraniacze?

Chichoczę.

– Nie. – Śmieję się mocniej. – Nie... Fuj... Nie chcę sobie tego wyobrażać.

Gus również się śmieje. Po kilku chwilach mówi:

– A co z tobą, Promyczku?

– Mnie nie kręci sado-maso ani skórzane kowbojskie ochraniacze – wyjaśniam. – Mam za płaski tyłek, nie pasowałyby mi. Po ich założeniu byłabym rozczarowana.

Śmieje się, ale jest to nieco wymuszone.

– Nawet tego nie skomentuję – mruczy pod nosem. – Ale w twoim tyłku nie ma nic złego.

Nic a nic.

Wracam do jego pytania:

– Ale co ma być ze mną?

– No bo Clayton ma chłopaka, a teraz Pete ma dziewczynę, więc zastanawiałem się, czy... no wiesz... czy też kogoś poznałaś? – Brzmi, jakby był zdenerwowany, co jest rzadkie w przypadku Gusa, przynajmniej kiedy rozmawia ze mną. Wie przecież, że może mnie pytać o wszystko.

– Nie chcę mieć chłopaka, Gus. Wiesz o tym.

– Boże, dlaczego największa optymistka, jaką znam, nie wierzy w miłość? Jesteś chodzącą sprzecznością. Jestem pewien, że chłopaki non stop się za tobą uganiają, zupełnie jak w domu.

Odchrząkuję.

– Właściwie to nie. Odkąd tu przyjechałam, nikt nie próbował się ze mną umówić.

Śmieje się nerwowo, po czym mówi:

– Wiesz, że nie dlatego, że nie chcą, tylko dlatego, że ich onieśmielasz. Trzeba mieć jaja, by zacząć z tobą flirtować, nie mówiąc już o zaproszeniu cię gdziekolwiek. Odstraszasz chłopaków, bo nim cię zapytają, już wiedzą, że i tak odmówisz. Wiedzą, że nie mają szans.

– Jeden chłopak ze mną flirtował. Ma na imię Keller i pracuje w mojej ulubionej kawiarni. Ale to był tylko niewinny flirt.

– Podoba ci się? – pyta ostrożnie.

– Nie wiem. Tak. To znaczy, jest przystojny, ale nie szukam nikogo, by się zabawić.

– Ale gdybyś szukała? – naciska.

– Ale nie szukam. Poza tym on może być w związku na odległość, więc w ogóle nie wiem, dlaczego o tym rozmawiamy. Nie dam się w to wpuścić. Jesteśmy tylko przyjaciółmi –

stwierdzam ostatecznie.

Wzdycha. Najwyraźniej nie jest usatysfakcjonowany moją odpowiedzią. Siedzimy w ciszy.

– Słuchaj, młody, lepiej odrobnie zadanie. Tylko Gus?

– Tak?

– Wiem, że wiele się dzieje teraz w twoim życiu, tkwisz między nagrywaniem płyty, trasą koncertową i w ogóle... także nie wszystko jest miłe i fajne, ale takie jest przecież życie. Czasami jest do bani, ale wiesz co?

– No co?

– Gus, zawsze może być lepiej. – Wierzę w to całym sercem, jednak często muszę to sobie powtarzać. To trudne, kiedy uczucia, które wcześniej były moją drugą naturą, już nią nie są.

Milczymy przez chwilę, po czym Gus mówi:

– Żyjesz na maksa każdego dnia, wiesz o tym, Promyczku? – Na jego twarzy nie ma już uśmiechu, mimo to słysząc go w głosie.

– Staram się. – Każdego dnia, każdej godziny, każdej minuty staram się. – Stwórz legendę – przypominam mu.

– Stwórz legendę – powtarza. Powtarzanie jest kluczem. Kiedyś w to uwierzy. – Tęsknię za tobą.

– Ja też za tobą tęsknię. Codziennie.

– Kocham cię, Promyczku.

– Też cię kocham, Gus.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

20 WRZEŚNIA, WTOREK KATE

Jadę do Minneapolis odebrać wazony dla Shelly. Jest wkurzona, bo jej dostawca nawalił, a pilnie ich potrzebuje, by przygotować zamówienie na jutrzejszy poranek.

Przejażdżka jest przyjemna: pusta droga, ładna pogoda. W radiu ustawiam uczelnianą stację.

Kiedy po przyjeździe na miejsce parkuję samochód, zaczyna się nowa piosenka. Słyszę trzy pierwsze akordy i dosłownie staje mi serce. To *Killing the Sun!* Grają Rooka... w radiu! O Boże! To się dzieje naprawdę. Piosenka Gusa jest w cholernym radiu! I brzmi znacznie lepiej niż na moim iPodzie, ponieważ wraz ze mną słucha jej kilkaset ludzi.

Szukam w torebce komórki. Muszę zadzwonić do Gusa. Muszę dzielić z nim tę chwilę. Pierwszy raz będzie tylko ten jeden raz. Pierwszy raz, gdy słyszę w radiu ich piosenkę.

Odbiera po drugim sygnale:

– Promyczku...

Przerywam:

– Gus, zamknij się i słuchaj. – Daję głośniej i przykładam telefon do głośnika na desce rozdzielczej. W tej chwili zaczyna się pierwszy refren i mój głos wypełnia samochód. Przykładam telefon ponownie do ucha i krzyczę, ponieważ nie potrafię się powstrzymać: – Twoja piosenka gra w moim pieprzonym samochodzie!

– Okej. – Wydaje się zdezorientowany. – Słuchasz naszej płyty? Piłaś coś? Dlaczego krzyczysz? – Nic nie rozumie.

– Nie z płyty! Uczelniana stacja puszcza ją w radiu! Radio nadaje twoją piosenkę!

– Co?

Ściszam, bym nie musiała wrzeszczeć.

– Gus, siedzę w samochodzie w Minneapolis, w cholernej Minnesocie i słucham radia na FM, które gra Rooka.

– Niemożliwe – rzuca, gdy w końcu dociera do niego, co mówię.

– Możliwe! Musiałam zadzwonić i ci powiedzieć. To cudowne!

– Niemożliwe – powtarza oszołomiony. – To prawda, co, Promyczku?

– A pewnie, że prawda. To twój czas, młody. Twoja piosenka leci w radiu, a wasza trasa koncertowa zaczyna się w ten weekend. Lepiej wyciśnij życie z każdej minuty.

Słyszę kliknięcie zapalniczki i znajomy głęboki wdech.

– Powinieneś rzucić. – Nie czekam na odpowiedź. – Och i młody, jeśli już marudzę, powiem to tylko raz, ponieważ uważam, że jestem ci to winna jako przyjaciółka.

– Dobra, dawaj.

Brzmi, jakby słuchał uważnie, więc rzucam:

– Podczas trasy koncertowej obowiązują trzy zasady: żadnych prochów, nawet się nie wygłupiaj, by ich próbować. Za każdym razem używaj prezerwatyw i nie trać głowy, okej?

– Dużo do zapamiętania – droczy się. – Mogłabyś mi to zapisać albo nagrać, bym odtwarzał to w czasie trasy jako przypomnienie? A może wytatuuję to sobie na tyłku?

– Bardzo śmieszne.

– Wiem, Promyczku. Żadnych prochów, i tak jestem za stary na to gówno. Gumek

zawsze używam, są najlepszymi przyjaciółmi faceta. Nigdy nie wychodzę bez nich z domu, ale żeby nie tracił głowy... – urywa. – Akurat o tym będziesz mi musiała pewnie często przypominać. Zawsze bądź moim głosem rozsądku.

– Rozsądek mam na drugie.

– Myślałem, że mądrała. Promyczek Mądrała Sedgwick.

– Dziękuję za komplement. Cóż, muszę lecieć. Chciałam tylko dać ci znać, że już oficjalnie jesteś gwiazdą rocka.

– Dzięki, Promyczku.

– Proszę. Kocham cię, Gus.

– Też cię kocham. Pa.

– Pa.

21 WRZEŚNIA, ŚRODA KATE

Niespodziewanie rozlega się pukanie do drzwi mojego pokoju. Wróciłam właśnie z zajęć, ale nie mijałam nikogo na korytarzu.

Otwieram i widzę Johna, naszego opiekuna piętra. Lubię go, chociaż ta praca wydaje się go wkurzać.

– Rano kurier zostawił dla ciebie paczkę – mamrocze pod nosem. Cholera, naprawdę jest nie w sosie. Nie czuje ducha Grant College. Zawsze mnie zastanawiało, jak z tym swoim brakiem entuzjazmu załatwił sobie tę robotę. Dostał stypendium, więc może od początku był uprzywilejowany i przez lata ludzie się do niego przyzwyczaili. Mam nową misję: sprawić, by przed końcem semestru ten gość się uśmiechnął.

Biorę od niego kopertę.

– Dzięki, John. Naprawdę miło z twojej strony, że mi to przyniosłeś. – Chwalę go, bo wydaje mi się, że nieczęsto ktoś to robi. A każdy potrzebuje pochlebstw. John nie ma zbyt wielu przyjaciół, a w akademiku każdy ma go za fiuta. Myślę, że jest samotny i trochę wypalony. Pewnie został w tej pracy o rok za długo.

– Robiłem coś naprawdę ważnego, gdy musiałem otworzyć drzwi.

Kiwam głową, naprawdę przejęta jego słowami.

– Och, strasznie mi przykro i bardzo to doceniam.

– No dobra, muszę wracać.

– Jeszcze raz ci dziękuję, John.

Kiwa głową i odchodzi.

Nie mam pojęcia, co jest w kopercie, więc natychmiast ją otwieram. W środku znajduję osiem przepustek VIP-owskich na koncert Rooka w Grant, które obiecał mi Gus. To niewiarygodne. Nie żebym nigdy nie widziała biletów na koncert Rooka, ale te są cholernie fantastyczne. Sprzedaż biletów rozpoczęła się wczoraj, a dziś okazało się, że już się wyprzedały. Zgaduję, że Minnesota uwielbia Rooka. I tak powinno być.

Piszę Gusowi ogromne podziękowanie za bilety, które będę mogła rozdać dziś po południu. Moja przyjaźń z Gusem nie jest tajemnicą, ale to, że on jest gwiazdą rocka, już tak. Większość z moich przyjaciół zna go po prostu jako Gusa, nikt nie wie, że to Gustov Hawthorne, frontman zespołu Rook. Dla mnie nadal jest Gusem. Zawsze będzie. Rook jest niesamowity. Jestem z nich dumna, ale najlepsze jest to, że Gus... to Gus. Jest moim najlepszym przyjacielem, z którym surfowałam, który zawsze kupował Grace Twixy, który pozwalał mi się wyplakać na swoim ramieniu w najgorszy dzień mojego życia, który niemiłosiernie mi dokucza i jednocześnie równie mocno mnie wspiera. To właśnie Gus.

Przypadek nie istnieje. Zawsze w to wierzyłam. Kiedy tego popołudnia wchodzę do kwiaciarni i słyszę *Killing the Sun* dochodzące z radia, uśmiecham się.

Shelly podśpiewuje pod nosem. Spogląda na mnie, po czym wskazuje na radio.

– Słyszałaś tę piosenkę, Kate? To moja nowa ukochana rzecz na świecie.

– Tak? Na całym świecie? – pytam. Jej entuzjazm sprawia, że rośnie mi serce.

– Cały tydzień ją grają. Jakiś nowy zespół, nazywa się Rook. Są zajebiści. Nie wiem, jak

wygląda wokalista, ale ma cholernie seksowny głos.

Uśmiecham się, bo nie mogę się powstrzymać i rzucam:

– Może sprawdź ich w Google.

Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Dlaczego o tym nie pomyślałam, mądralo? – Wyciąga telefon i zaczyna pisać. – O cholera! Jest wspaniały, Kate. Nazywa się Gustov Hawthorne. Spójrz. – Obraca ekran w moją stronę.

Śmieję się, bo na własnym telefonie mogę zobaczyć tę samą twarz, chociaż u niej wygląda inaczej, bo ma krótsze włosy. Ta fotka pochodzi z pierwszej promocyjnej sesji z zeszłego miesiąca, kiedy to zespół wpadł w ręce stylisty. Wzruszam ramionami.

– Jest w porządku, jeśli lubisz wysokich, dobrze zbudowanych blondynów.

– W porządku? W porządku? Kate, każda żywa laska zdjęłaby majtki dla tego faceta.

Krzywię się. Muszę.

– Myślałam, że wolisz rudych. Rudych i brodatych. Broda Duncana z dnia na dzień robi się coraz bardziej krzaczasta.

– Wolę. To znaczy kocham mojego chłopaka z całego serca. Jest prawdziwy. A ten gość nie. Jest fantazją. Do tego śpiewa i gra na gitarze. – Ponownie zerka na ekran. – Cholera – szepcze.

Wyciągam z kieszeni dwa bilety na koncert Rooka i rzucam na ladę.

– Powinnaś zobaczyć go na żywo. Ale nie ściągaj majtek, kiedy Gustov wejdzie na scenę. Będzie tam Duncan, więc byłoby to niezręczne. Drugi bilet jest dla niego.

Shelly z rozdziawioną buzią patrzy to na mnie, to na bilety.

– Jakim cudem je zdobyłaś? Rano słyszałam, że zostały wyprzedane. – Przygląda im się uważniej, a po chwili podnosi je i macha nimi przed moim nosem. – Kate, to VIP-owskie wejściówki.

– Powiedzmy, że przyjaciel był mi winien przysługę. Wielką. Wszyscy idziemy na ten koncert. – Shelly podbiega do mnie i ściska tak mocno, że nie mogę mówić. Gigantyczny uśmiech maluje się na mojej twarzy.

Podczas obiadu daję Claytonowi i Pete'owi po dwa bilety, by mogli zabrać też Morrisa i Evelyn. Clayton już wcześniej słyszał u mnie Rooka i choć nie jest to jego ulubiony rodzaj muzyki, podobało mu się. Pete nigdy o nich nie słyszał, ale jest wdzięczny za prezent.

W drodze powrotnej ze stołówki wstępuję do Kellera. Nikogo nie ma w domu. Właśnie na taką okoliczność mam przy sobie kopertę. Piszę na niej:

Keller,

Mam nadzieję, że dasz radę pójść.

Kate

Wsuwam ją w szczelinę na listy w drzwiach.

Kilka godzin później dostaję SMS-a od Kellera: **DZIĘKI ZA BILET! NIE MOGĘ SIĘ DOCZekać!**

25 WRZEŚNIA, NIEDZIELA

KATE

Z przypominającego śpiączkę snu wrywa mnie telefon. Wyciągam rękę spod poduszki i sięgam na biurko, zrzucając przy tym książkę. Wszystko to robię z zamkniętymi oczyma, więc kiedy odbieram i przykładam telefon do ucha, wciąż nie wiem, z kim rozmawiam.

– Halo? – mówię coś w tym stylu. Chyba.

– Cholera, przepraszam, Promyczku. Spałaś, prawda?

Mrugam kilkakrotnie i kłamię:

– Nie... Nie... Cześć, Gus.

– Przepraszam. Oddzwoń później, kiedy się już na dobre obudzisz, dobrze? – mówi zmartwiony.

Ziewam i zerkam na zegarek. Jest wpół do dziewiątej. Dawno już nie spałam do tej godziny.

– Nie, serio, w porządku. I tak muszę wstawać.

Gus brzmi, jakby się wahał.

– Chciałem tylko zadzwonić i opowiedzieć ci, no wiesz, o wczorajszym koncercie.

Natychmiast otwieram oczy i nagle jestem całkowicie rozbudzona. Cały wczorajszy dzień pomagałam Shelly przygotować kwiaty na dwa śluby. Po powrocie do domu byłam wykończona i na śmierć zapomniałam o koncercie Rooka. Jaka ze mnie beznadziejna przyjaciółka.

– Cholera, Gus, przepraszam, że wczoraj nie zadzwoniłam ani nie napisałam. Wcześniej się położyłam. Jak poszło? Tłum w rodzinnym mieście okazał wam uwielbienie? – Ich pierwszy koncert odbył się w San Diego.

– Było super. Tłum szalał! Chciałbym, byś tam była.

Uśmiecham się, słysząc, jak bardzo jest podekscytowany. Uwielbiam, kiedy się tak z czegoś cieszy.

– Też chciałabym tam być. – Ponownie zerkam na zegarek i dokonuję skomplikowanych dla zaspanego umysłu obliczeń. – Młody, w Kalifornii jest wpół do siódmej. Spałaś choć trochę?

– Nie. Nie mogłem. Ciągłe jestem nakręcony.

– Przypomnij mi... gdzie macie następny koncert. I kiedy.

– W Los Angeles, dzisiaj. I w Phoenix, we wtorek.

– Boże, zdajesz sobie sprawę, jakie to fantastyczne, że właśnie o tym rozmawiamy? Zaczynasz trasę koncertową! – krzyczę, po czym zerkam na łóżko Sugar. Cieszę się, że jej nie ma i że jej nie obudziłam.

– Wiem. To obłąd, prawda?

– Jesteś moim bohaterem, gwiazdo rocka.

– Oj tam, oj tam.

Słyszę, że ktoś go woła, a po chwili jego przytłumioną odpowiedź.

– Zaraz wrócę.

– Przeszkadzam ci w czymś? – mówię.

– To nic. ZGKB wynajął apartament w centrum miasta jako pewnego rodzaju

gratyfikację, więc wszyscy wciąż imprezują. Wyszedłem na balkon.

– Wracaj świętować, zasługujesz na to. I powodzenia na dzisiejszym koncercie. To początek czegoś wielkiego. Czuję to.

– Zobaczymy. Dzięki, Promyczku. Bombastycznej niedzieli.

Nie słyszałam tego określenia od wieków, więc się uśmiecham.

– Dzięki. Wzajemnie. Kocham cię, Gus.

– Też cię kocham.

– Pa.

– Pa.

7 PAŹDZIERNIKA, PIĄTEK

KATE

Po południu na lekcji historii znajduję w kieszeni pięciodolarowy banknot. To znak, że muszę wypić kubek dobrej kawy, nim pojadę do Gabriela do Minneapolis. Dzwonili wczoraj z jego szkoły, bo korepetytor się nie pojawił i zapytali, czy dzisiaj mogłabym się spotkać z chłopcem. Gdyby mój tydzień był tęczą, on byłby garncem złota na jej krańcu. Gabriel jest zdolny, ciekawski, uroczy i jednocześnie szczery. Uwielbiam go, bo jest prawdziwy. Mówi, co myśli i za to nie przeprasza. Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby wszyscy tak robili.

Szczyście mi sprzyja, znajduję miejsce parkingowe pod samymi drzwiami Grounds.

Dzwonek grzmi, ale go ignoruję. Jestem na misji.

Spodziewam się zastać za ladą Romero, ale widzę Kellera.

Uśmiecha się tym swoim krzywym uśmieszkiem, co oznacza, że jest w nastroju do flirtowania. Uczę się jego reakcji.

– Dowiedziałaś się, że jestem w pracy i nie mogłaś się powstrzymać?

Przewracam oczami.

– Nie schlebiaj sobie. Nie śledzę cię. – Wyciągam pognieciony banknot i kładę go na ladzie. – Znalazłam dzisiaj piątaka w kieszeni. Wzięłam to za znak od kawowej bogini.

Keller bierze banknot i przygląda mu się z każdej strony. Jest miękki i pomarszczony, najwyraźniej kilka razy został wyprany.

– Jest strasznie zniszczony, Katie. – Przygląda mu się jeszcze raz, po czym mi oddaje. – Nie mogę go przyjąć.

– Co? – Dotykam banknotu. Co on właśnie powiedział? Miałam wielką nadzieję na tę kawę. Potrzebuję jej. – Olewasz mnie, Kellerze Banksie?

Nalewa duży kubek, stawia na ladzie i przesuwa go w moją stronę.

– Nie ciebie, twoje pieniądze. Tym razem ja stawiam. – Wyciąga z kieszeni dwa dolary i wrzuca je do kasy, po czym resztę do słoika na napiwki.

Unoszę brwi i wskazuję na słoiczek.

– Serio?

Uśmiecha się.

– No co? Zastępuję Romero, więc to jego napiwki, nie moje. Czułbym się winny, gdybym nie dał mu tej reszty. Wprawdzie mam reputację dusigrosza, ale tak nisko to jeszcze nie upadłem.

Jestem pewna, że mówi prawdę, więc podnoszę kubek.

– Dzięki. Jestem ci winna kawę.

– Nie kłopot się. I nie wiem, jak możesz pić tak wielką o wpół do czwartej po południu.

Ja bym po tym nie spał całą noc. A może wychodzisz dzisiaj i nie planujesz spać?

– Kofeina i ja się przyjaźnimy. – Krzyżuję palce. – I tak za wiele nie sypiam, ale skoro już o tym wspomniałaś, to czeka mnie wielka noc. – Do tej pory moje senne cykle wahały się pomiędzy tygodniami bezsenności a tygodniami snu przypominającego śpiączkę. W tym tygodniu insomniia jest moim nowym najlepszym przyjacielem. Mojemu ciału się to nie podoba. Próbuje się z tym pogodzić, ale to trudne. Wcześniej wystarczyły mi cztery czy

pięć godzin snu i rano byłam jak nowo narodzona. W tej chwili śpię maksymalnie trzy godziny, budzę się zmęczona, jakbym potrzebowała przespać jeszcze z piętnaście. Ale najwyraźniej takie jest życie.

Keller patrzy na mnie sceptycznie.

– Wielka noc, co? Nigdy nie widziałem, byś imprezowała.

– Bo nie chodzę na wiele imprez. Uczę się i pracuję, więc nie mam zbyt wiele wolnego czasu. Nocami się uczę, zamiast wychodzić na imprezy. – Otwieram szeroko oczy, by Keller zrozumiał. – Szaleństwo, co?

Śmieje się.

– Chwytam. Sam też nieczęsto wychodzę. Więc jakie masz na dzisiaj plany?

– O czwartej mam zajęcia z uroczym dziesięciolatkiem w Minneapolis. – Zerkam na zegarek. – Na które się spóźnię, jeśli zaraz nie wyjadę.

Uśmiecha się.

– Szczęściarz z tego dzieciaka.

Odpowiadam uśmiechem.

– Nie, to ja mam szczęście. Nie znasz tego chłopca.

Przytakuje.

– A potem? Co zamierzasz robić wieczorem?

Jęczę.

– Muszę na poniedziałek napisać pracę z literatury na temat *Opowieści o dwóch miastach*. A przeczytałam tylko cztery rozdziały. Nie czuję tej książki. To będzie długa noc.

Mruży oczy.

– Nigdy wcześniej nie czytałaś *Opowieści o dwóch miastach*?

Nagle czuję się skrępowana.

– Nie.

Odpycha się od lady i przeciąga dłonią po już i tak zmierzwionych włosach.

– Nie wierzę. Jaką szkołę średnią można ukończyć, nie czytając tej książki?

Unoszę nieśmiało dłoń.

– Ee, moją.

Opiera ręce na blacie i ścisza głos.

– To jedna z moich ulubionych historii. Czytałem ją przynajmniej dziesięć razy. Jeśli chcesz, mógłbym ci jutro pomóc.

Wow, tego się nie spodziewałam. Nie żebym uważała, iż nie jest na tyle mądry. Chodzi mi o to, że jest cichy. Jest obserwatorem. Tacy ludzie zawsze są inteligentni. Nie sądziłam jednak, że chodzi na zajęcia z literatury. Boże, mam przerabane. Keller jest seksowny jak diabli, ale to stawia go jeszcze wyżej. Uwielbiam bystrzaków.

– Myślałam, że w weekendy latasz do Chicago.

– Mogę sobie pozwolić na podróż jedynie dwa razy w miesiącu. W ten weekend zostaję na uczelni.

– Dobra, jasne – mówię, a w głowie kotłują mi się myśli. – Moglibyśmy się jutro spotkać tutaj, mniej więcej o ósmej? A może to za wcześnie? – Przygryzam dolną wargę, licząc na to, że nie przeginam.

Opuszcza głowę.

– Och, Katie, zabijasz mnie.

Czuję się jak kretynka. Który student wstaje tak wcześnie w sobotę, jeśli nie musi iść do pracy lub nie cierpi na bezsenność jak ja? Najwyraźniej nie pracuje, skoro zaoferował mi pomoc.

– Sorry, młody, ale nie było tematu. To bardzo miłe z twojej strony, ale...

Przerywa mi:

– Nie pozwoliłaś mi dokończyć. – Nadal opiera się na łokciach na ladzie, ale kiedy powoli unosi głowę, patrzy na mnie spod niewiarygodnie długich, czarnych rzęs. Na widok tych niesamowitych niebieskich oczu moje serce prawie staje. – Dla ciebie jestem gotów to zrobić. Tylko się nie spóźnij. – Grozi mi palcem. – Znam cię. – Spogląda na zegar wiszący na ścianie. Jest za piętnaście czwarta. – A jeśli już przy tym jesteśmy, słyszałem, że jeździsz jak szalona, ale wydaje mi się, że powinnaś się już zbierać.

Straciłam poczucie czasu... znowu. Jeśli natychmiast nie wyjdę, to się spóźnię.

– Do jutra... i to ja stawiam kawę. – Podnoszę kubek. – Dzięki, młody. Fantastycznego wieczoru.

Uśmiecha się do mnie krzywym uśmiechem i salutuje.

– Proszę bardzo. Tobie również fantastycznego wieczoru, Katie.

8 PAŹDZIERNIKA, SOBOTA KATE

Dziesięć po ósmej dzwonek oznajmia moje przybycie. Keller kręci głową, najwyraźniej rozczarowany moją opieszałością. Równocześnie się jednak uśmiecha, więc nie może być wkurzony.

Siedzi na kanapie, obok której kładę plecak. Jest to najlepsze miejsce w lokalu – na wprost kominka. Podchodzę do niego ogrzać dłonie, biorę wdych i usprawiedliwiam się:

– Przepraszam, młody, obudziłam się dziesięć minut temu w bibliotece i przybiegłam prosto tutaj.

– Dlaczego spałaś w bibliotece?

– Czasami mój pokój jest niedostępny... Ale to historia na kiedy indziej. Poszłam tam wieczorem poczytać i musiałam zasnąć. Ostatni raz, kiedy patrzyłam na zegarek, była piąta rano. – W końcu odzyskuję czucie w palcach. Naprawdę muszę kupić sobie rękawiczki. Rozpinając bluzę, zerkam na ladę, za którą stoi Romero. – Dzień dobry, Romero. Co tam słyhać?

Mężczyzna uśmiecha się do mnie ciepło i przyjaźnie.

– Dzień dobry, Kate. Wszystko dobrze. A u ciebie?

Uśmiecham się mimo zaspania.

– Nie mogę narzekać. – Zerkam na Kellera, zarzucając bluzę na oparcie kanapy. – Potrzebuję kawy. – Wskazuję na niego. – Jaką pijesz? Dużą? Czarną?

Spogląda na koniec stołu.

– Śniadanie podano. – Stoją tam dwa kubki kawy i dwie drożdżówki.

– Z wisienkami? – Praktycznie się ślinię na ich widok. Nie jadłam wczoraj kolacji.

– Jedna z wiśniami, jedna z jabłkiem, nie wiedziałem, co lubisz.

– Kellerze Banksie, chyba się w tobie zakochałam. – Boże, może nawet jest w tym nieco prawdy... co trochę mnie przeraża, jednak jestem na tyle głodna i zmęczona, że mam to gdzieś.

Uśmiecha się, podaje mi drożdżówkę z wiśniami i kawę.

– To najlepszy komplement, jaki dziś usłyszałem. Rome zazwyczaj czeka do lunchu, by wyznać mi miłość.

Dostrzegam, że Romero stoi za mną, sprzątając dwie filiżanki po kawie i wycierając stół.

– Nie słuchaj tego głuptasa, Kate.

Keller z udawaną frustracją wyrzuca ręce w górę.

– No weź, Rome. Zbyt wiele wymagam, byś rzucił jakieś dobre słowo przy Katie?

Romero kręci głową.

– *Aye, niño*. – Zerka na mnie. – Keller jest dla mnie jak syn. Jest dobrym facetem, Kate. Jego szczerość wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

Keller spogląda na Romero.

– I to mi się podoba, Rome. Zaimponowałaś mi. Wiszę ci za to kolację.

Romero klepie Kellera w ramię.

– Zrobisz makaron alfredo z kurczakiem i ziołami, *amigo* i będziemy kwita.

– Wchodzę w to. Powiedz tylko kiedy.

Przyglądam się ich wymianie zdań. To urocze.

Kończę drożdżówkę, kiedy Keller przenosi uwagę z powrotem na mnie, zacierając przy tym rękę.

– Dobra, *Opowieść o dwóch miastach*. Skończyłaś czytać?

– Nie. Prawie mi się udało. – Czuję, że muszę go przeprosić, bo jest tu, by mi pomóc i patrzy na mnie uważnie niczym jeden z profesorów. – Przepraszam.

Zbývá to.

– Nie szkodzi. Damy radę. Tylko obiecaj, że ją dokończysz. Choćby ze względu na jej znaczenie.

– Dokończę. – Nie podobają mi się wyrzuty sumienia związane z myślą o niedokończeniu tej książki. – Uważam, że jeśli dopiero zaczniesz czytać i historia ci się nie podoba, to okej, możesz rzucić czytanie, ale jeśli przekroczysz połowę, to nie ma już odwrotu. Jesteś zobligowany ją dokończyć. – Przygląda się, jak kręcę głową. – To głupota, wiem.

Potrząsa głową niemal niezauważalnie.

– Nie. Wcale nie. Ja czytam do ostatniej strony nawet te książki, które mi się nie podobają. – Mówi poważnie. Jest zawzięty w swoich postanowieniach i to urocze.

Muszę przełamać czar, który na mnie rzucił, więc sięgam po plecak i wyciągam komputer.

– Aby napisać tę pracę, muszę skupić się na jednej z postaci. Wykładowcy chodziło o to, byśmy nauczyli się pisać przekonująco. To jakby przesłuchanie przez dobrego i złego policjanta. W pierwszej części pracy mam sprawić, by czytelnik polubił bohatera, a w drugiej, by go napiętnował z tych samych powodów. Mam się zmienić w adwokata diabła. Chodzi o opinię.

Podoba mi się, że Kellerowi nigdzie się nie spieszy, słucha mnie i nie ignoruje. Jest skupiony. Lubię to za każdym razem, gdy z nim rozmawiam. Ludzie rzadko tak postępują. Pocięra kilkudniowy zarost na policzku.

– Mmm, interesujące. Mamy wiele możliwości. O której z postaci chciałabyś napisać?

– A ty kogo byś wybrał? – To idealna okazja do poznania go z nowej strony. Keller jako mól książkowy jest jeszcze seksowniejszy niż ten zwyczajny Keller. Choć zwyczajny Keller jest bardzo, bardzo seksowny.

Teraz unosibrowi.

– To twoje zadanie, powiedz, kogo wybierasz, a wtedy ja też ci powiem. – Znów odpowiada pytaniem na pytanie.

– Chciałam napisać o Sydneyu Cartonie.

– Dlaczego? – pyta niskim, łagodnym, zachęcającym głosem. Sprawia, że czuję, jakbym była na dobrym tropie. Podoba mi się fakt, że nawet się nie starając, potrafi wyciągać ode mnie informacje.

– Bo myślę, że jest dupkiem.

Śmieje się.

– Spoko.

– No co? Jest dupkiem.

– Nie mówię, że nie. I? – Znów zachęca.

– I... chyba dlatego mi się podoba. Ma wiele wad, ale wiesz, jest przez to najbardziej ludzki. Ludzie są popieprzeni, więc jest dla mnie wiarygodny. Polubiłam go też dlatego, że

jest mądry. Nie wiedziałam, że prawnicy mogą być seksowni, teraz wiem, że się myliłam. Trochę się w nim podkochuję.

Uśmiecha się, słysząc ostatnie zdanie.

– O ironio.

– Co?

Z nadal szatańskim uśmiezkiem, kręci głową.

– Nic. Myślisz, że w efektywny sposób uda ci się przedstawić obie strony Sydneya?

Wzruszam ramionami.

– Jasne. Zawsze byłam dobra w akceptowaniu kogoś całkowicie, jego dobrych, jak i złych cech. Widzę je wszystkie, ale staram się, by nie wpływały na mój osąd. Ludzie są skomplikowani. Życie też takie jest.

– Możesz to powtórzyć? – Przez chwilę w jego oczach pojawia się zaduma, która jednak znika szybciej, niż się pojawiła. – Ważne jest, byś skończyła czytać książkę, nim weźmiesz się do pisania pracy. Nie chcę niczego zdradzać, ale na końcu możesz spojrzeć na niego w trochę inny sposób.

Siedzę na niewielkiej kanapie z jedną nogą podwiniętą pod siebie, kolanem dotykając jego uda.

– Tak zrobię. – Szturcham go w udo. – A co z tobą, profesorze Banksie? Którą postać ty byś wybrał?

– Również Sydneya. Jest fascynujący, choć zapewne ze złych powodów. – Unosi brwi. – Chociaż może się to wydawać dziwne, to, co zrobił na końcu, zawsze mnie intrygowało. Zastanawiałem się, co go do tego skłoniło. To musiało być coś mocnego.

Również unoszę brwi.

– Teraz to mnie zaciekawiłeś, młody.

– Możesz tego żałować – mówi, ostrzegając.

– Muszę zapytać: jesteś na filologii? Z pewnością kochasz książki.

Jego uśmiech jest ni to smutny, ni łobuzerski.

– Tak, kocham literaturę, ale... studiuję prawo.

Zakrywam twarz dłońmi, żałując swojego wcześniejszego komentarza o seksownych prawnikach. Teraz wolałabym nie mówić głośno o moim zauroczeniu Sydneyem Cartonem.

Śmieje się i ratuje mnie tym przed wyjaśnieniem, zmieniając temat.

– A ty co studiujesz?

Odkrywam twarz, wdzięczna za tę łaskawość.

– Pedagogikę specjalną.

Kiwa głową.

– Fajnie. Pewnie musisz uważać na słowa przy swoich uczniach.

Pomimo najlepszych starań i tak się rumienię.

– No wiem. Brzydki nawyk. Mówię tak, bo całe życie przebywałam w towarzystwie chłopaków.

Wzdrygam się, gdy nagle ktoś odzywa się za moimi plecami:

– Keller B. Co słychać?

Keller spogląda na chłopaka stojącego przy kanapie. Obaj kiwają sobie głowami, unosząc podbródki tak, jak robią to faceci, gdy rzucenie „hej” jest zbyt zajmujące.

– Właściwie nic, chłopie. – Keller płynnym ruchem obraca twarz w moją stronę. – Jeremia, poznaj Kate.

Jeremiah podnosi rękę i macha nią leniwie.

– Co tam, Kate? – Uśmiecham się, kiwając mu głową. Jeremiah jest pierwszą osobą w Minnesocie, która już samym wyglądem przypomina mi o domu w Kalifornii. Mogłabym go minąć na ulicy w Los Angeles i nie zwrócić na niego uwagi, jednak tutaj wyraźnie nie pasuje. Jego czarne, postrzępione włosy są pofarbowane, a długa grzywka opada mu na oczy. Nos, usta i uszy Jeremiaha są przebite kolczykami. Nosi czarny, wełniany, staromodny płaszcz, a pod kołnierzykiem dostrzegam wspinające się na jego szyję tatuaże. Knykcie dłoni ozdobione ma wytatuowanymi literami, ale nie potrafię stwierdzić, w jaki układają się napis. Dziurawe nogawki jego czarnych jeansów wsunięte są do wysokich, czarnych, sznurowanych butów.

– Cześć, Jeremiah. – Wskazuję na niego. – Zabójczy płaszcz, młody.

Uśmiecha się lekko, jakby mój komplement go zaskoczył.

– Dzięki. – Zerka na Kellera. – Hej, stary, jedziesz dzisiaj do Milwaukee na koncert Reign?

– Nie. Duncan ma dzisiaj Zieloną Strzałę, poza tym to zbyt daleko. – Rozczarowanie ma wypisane na twarzy.

Jeremiah przytakuje powoli.

– Tak, ja też nie. Nie mam kasy. – Stuka palcami w podłokietnik. – Cóż, będę leciał.

Trzymaj się, facet. – Salutuje mi leniwym gestem. – Miło było cię poznać, Kate.

Kiwam mu głową.

– Wzajemnie, Jeremiah. Uważaj na siebie.

Kiedy Keller znów na mnie patrzy, jego rozczarowanie nie znika. Jakbym patrzyła na dzieciaka, który niczego nie dostał pod choinkę.

– Co to jest Zielona Strzała?

– Mój suburban. Dzielimy się nim z Duncem.

– Ach. A kto gra w Milwaukee?

Wzrusza ramionami.

– Reign to Envy. Mój ulubiony zespół.

Przeoglądam swój mentalny muzyczny katalog i przypominam sobie ich dwie piosenki. Są dobre. Gdyby Deftones i The 69 Eyes miały dziecko, byłoby nim właśnie Reign to Envy. Grają rocka, dość mocnego, nawet mrocznego, choć nie są zbyt rozpoznawalni, bo nie puszczają ich w radiu. Wciąż są undergroundowi, choć ich popularność szybko rośnie. Niedługo będą wielcy.

– Tak, znam ich. Są dobrzy.

– Tak.

– Powinniśmy jechać – proponuję. – Ja prowadzę, ty płacisz za paliwo i bilety. Mam jedynie pięć dolarów, ale obiecuję oddać, kiedy w piątek dostanę wypłatę. – Teraz, kiedy już to powiedziałam, nie wiem, co zrobię, jeśli odmówi. Potrzebuję go przekonać.

Splawia mnie.

– Katie, Milwaukee jest sześć godzin jazdy stąd.

– No i? Jest dopiero dziewiąta rano, Keller. Jeśli wyjedziemy o drugiej, będziemy tam na ósmą.

Keller toczy prawdziwą bitwę we własnych myślach. Widzę to w jego oczach.

– Nie mogę. Zbyt wiele się dzieje i muszę się uczyć. W poniedziałek rano mam test.

– Tak? A ja muszę napisać pracę na podstawie książki, której jeszcze nie skończyłam

czytać. Przyrzekam, że przywiozę cię do domu na jutrzejsze śniadanie.

To nie powinno być aż tak trudne. Przestaje gryźć paznokiec i przeczesuje palcami swoje zmierzwione włosy, odsuwając je zczoła.

– To szaleństwo. – Zaczyna się łamać, czuję to. Patrzy mi prosto w oczy, więc niemal widzę przesuwające się w jego głowie trybiki. – Zawsze jesteś taka impulsywna? – Coś mi mówi, że życie Kellera jest usystematyzowane i zaplanowane. Ten chłopak nie robi nic pod wpływem chwili.

– Musisz chwycić dzień, młody. Widziałeś ich w ogóle na żywo?

Ponownie gryzie paznokiec kciuka, więc zauważam, że ma je wszystkie wygryzione do krwi. Wyglądają jak moje.

– Nie.

To przesadza sprawę. Zamykam laptopa i chowam go do plecaka.

– No to musisz ich zobaczyć. Nie chcę słyszeć odmowy. – Wstaję i zakładam bluzę. – Później byś tylko żałował. – Zarzucam plecak na ramię. – Nikt niczego nie powinien żałować. – Porywam kawę, po czym szturczęm go kolanem i odchodzę. – Dzięki za śniadanie i za pomoc. Jesteś moim bohaterem, Kellerze Banksie. A teraz idź się uczyć. Przyjadę po ciebie o drugiej.

Oczywiście docieram do Kellera o drugiej piętnaście. Czeka na zewnątrz z przewieszoną przez pierś torbą. Cholera, ależ jest przystojny. Wygląda normalnie: czarne trampki, ciemne jeansy, czarna koszulka z długim rękawem i czarna bluza. To prosty, schludny strój. Zawsze wygląda dobrze, choć nie przesadnie. Jakby próbował nie zwracać na siebie uwagi, co ironicznie ściąga jej jeszcze więcej. Tak dobry wygląd musi być przekleństwem.

Kiedy wsiada do samochodu, zauważam, że założył okulary w czarnej oprawie, w których go wcześniej nie widziałam. Mówi, że nosi je na noc, kiedy wyciąga soczewki kontaktowe. Dzięki okularom jego niebieskie oczy są jeszcze bardziej intensywne i żywe. Ciemna oprawa sprawia, że nie mogę oderwać od nich wzroku. Keller jako kujon mnie rozbija. Od bardzo długiego czasu nikt mnie tak mocno nie pociągał.

Zerka na deskę rozdzielczą.

– Fajne auto, Katie. I ma turbinę. Miło. Założę się, że jest szybkie. – Wygląda, jakby był pod wrażeniem.

– Dotrzymuje mi kroku, tylko to się liczy – drocę się.

Nieprzekonany ściąga brwi, zapinając pasy.

– Shel mówiła i pozwól, że zacytuję: „Kate Sedgwick jest najgorszym kierowcą na całej ziemi”, więc... powinienem się bać?

– Przeżyjesz. Trochę wiary. – Puszczam do niego oko. – Przez następne kilka miesięcy wiele się będzie działo, więc nie mogę dzisiaj umrzeć. Gdzie w tym zabawa?

Wjeżdżamy na autostradę, jadę ze swoją normalną prędkością. Moja jazda wydaje się nie denerwować Kellera. I nie udaje. Wiedziałabym, gdyby tak było. Kiedy jest zestresowany, obgryza paznokcie. Znam to aż za dobrze.

– Jak długo masz już to auto? Lubisz je? – Najwyraźniej interesują go samochody.

– Uwielbiam. Mam je od kilku miesięcy. Wcześniej jeździłam minivanem.

Keller prychnął:

– Minivanem?

Uśmiecham się i groźnie mrużę oczy.

– Nie psiocz na minivana. Kochałam Błękitkę. Była moim pierwszym samochodem.

Wszędzie nią jeździliśmy. Była swego rodzaju koniecznością. Długa historia.

Keller unosi ręce w geście poddania.

– Dobra.

– Tak czy inaczej, kiedy tego lata dostałam się do Grant, mój przyjaciel miał wątpliwości, czy Błękitka poradzi sobie ze śniegiem. Wiesz, miała tylny napęd. Sprzedałam ją więc i odkupiłam ten samochód od jego ciotki. Ma napęd na cztery koła, więc powinien sobie poradzić, kiedy spadnie dużo śniegu, prawda?

Keller kręci głową.

– Kiedy tak zmiękłaś, Katie? Myślałem, że jesteś silną, niezależną kobietą. Boisz się śniegu?

Otwieram szeroko oczy.

– Młody, nie jestem miękka, pochodzę z Karoliny Południowej. Wychowywałam się w specyficznych warunkach. Nigdy nie widziałam śniegu na żywo.

Śmieje się i klepie mnie pocieszająco w ramię.

– Zimy nie są złe. To tylko śnieg. Bułka z masłem. Kiedy spadną pierwsze płatki, nauczę cię.

Zapada cisza. Po chwili Keller wyciąga z plecaka grubszy niż cała Biblia podręcznik prawa. Wertuje go przez dalszą drogę. Przerywa tylko wtedy, kiedy wpatruję się w lusterko wsteczne i pyta, na co patrzę.

– Na zachód słońca – odpowiadam. – Czas na show.

Obraca głowę, by wyrzec przez okno, a światło odbija się w szklach jego okularów.

Zachód jest piękny. Pomarańczowy nisko nad horyzontem, różowy u góry, jakby niebo rumieniło się, zmuszając słońce do zniknięcia.

Kiedy robi się ciemno, Keller wraca do książki, a ja skupiam całą uwagę na drodze. Nie mówię tego głośno, ale cieszę się, że dzielił ze mną tę chwilę.

Dzięki długiej autostradzie i nadmiernemu przekroczeniu prędkości wjeżdżamy do Milwaukee o siódmej czterdzieści pięć.

Koncert jest obłędny! Okazuje się, że słyszałam wiele piosenek zespołu, ale nie wiedziałam, że są ich autorstwa. Frontman ma niesamowitą energię. Cały wieczór biega od jednej strony sceny do drugiej i kilka razy wchodzi w tłum. Przypomina mi Gusa. On również jest fenomenalnym liderem.

Nie pijemy z Kellerem alkoholu, ale nie powstrzymuje nas to przed skakaniem i śpiewaniem każdej piosenki. Publiczność dodaje energii, atmosfera jest oszalałająca. Musimy się nawzajem przytrzymać za ramiona czy ręce, by szalejący ludzie przypadkiem nas nie rozdzielili. Przy ostatnim kawałku zostajemy porwani przez tłum i wrzuceni pod scenę. Wokalista zakłada gitarę i gra na niej, jakby kończył się świat. Przy końcu piosenki kłania się, uśmiecha do mnie i podaje mi kostkę. Akurat mnie.

Czekam, dopóki nie wyjdziemy na zewnątrz, a kiedy idziemy do samochodu, daję ją Kellerowi.

– Żebyś nie mówił, że nigdy ci nic nie dałam. – Dzwonienie w uszach sprawia, że dźwięk mojego głosu wydaje się być odległy. W końcu Reign to Envy to ulubiony zespół Kellera. No i on gra na gitarze, a ja nie.

Mój towarzysz wskakuje na siedzenie pasażera, po czym przygląda się kostce. W uszach dzwoni mi tak bardzo, że zastanawiam się, czy usłyszę cokolwiek przez resztę nocy,

tygodnia lub roku.

Keller spogląda na mnie jaśniejącymi oczami i uśmiecha się uśmiechem, którego nie powstydziliby się podekscytowany pięciolatek.

– Dzięki, Katie. Za tę podróż. I za to, że mnie do niej zmusiłaś. To najlepszy koncert, na jakim byłem. Nie bawiłem się tak dobrze – urywa i wzrusza ramionami – chyba nigdy. – Zakładałam, że Keller nieczęsto pozwala sobie na zabawę. Najwyraźniej miałam rację.

– Było super. Chyba stanę się fanką Reign to Envy. Dzięki, młody. – Wyjeżdżając z parkingu, zerkam na zegarek na desce rozdzielczej. Jest trzynaście minut po północy.

– Sam bym się nigdy nie zdecydował. Podziwiam twoją spontaniczność, Katie. Ja tak nie potrafię.

Szturcham go łokciem w ramię.

– Przykro mi to mówić, ale właśnie to zrobiłeś. Nie przeżyłabym najpiękniejszych chwil życia, gdybym nie była spontaniczna. Szczerze mówiąc, staram się nie myśleć zbyt wiele o przyszłości. Jestem wielką fanką chwili obecnej.

– A ja zawsze myślę o przyszłości – mówi, nagle poważniejąc. – Nie mogę sobie pozwolić, by tego nie robić. Mam tylko przyszłość.

– Czasami przyszłość jest przereklamowana. – *I przerażająca.*

– Nie dla mnie.

– Nie mówię, że nie powinieneś realizować celów i spełniać marzeń. Po prostu nie rezygnuj z tego, co dzieje się teraz, dla nieznannej przyszłości. Może ominąć cię wiele szczęścia, kiedy będziesz czekał na lata, które mogą nigdy nie nadejść. Nie trać czasu, bo przegapisz chwilę obecną, a przyszłość wcale nie jest taka pewna.

W tej chwili jesteśmy na autostradzie, wracając do domu. Zapada cisza, cieszymy się nią przez moment. Keller opiera głowę i spogląda na mnie spod ciężkich powiek. Wydaje się zadowolony. Czuję, że jest szczęśliwy.

– Skąd się wzięłaś?

Wzruszam ramionami.

– Z San Diego.

Kręci głową, bo pewnie nie chodziło mu o taką odpowiedź. Jego pytanie było retoryczne. Rozumiem.

– Tęsknisz za nim?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Nie bardzo. To znaczy, brakuje mi mojego przyjaciela Gusa, ale on i tak jest teraz w rozjazdach, więc nie ma go w mieście. Czasami tęsknię za plażą. Surfowaniem.

– Surfujesz?

– Jasne. – Dlaczego ludzi tak to dziwi?

– To fantastyczne, Katie. Jesteś twardzielką.

Przewracam oczami.

– Skoro tak mówisz, młody.

– Gus jest twoim chłopakiem?

– Nie, po prostu przyjaźnimy się całe życie.

– Przez całe życie przyjaźnisz się z chłopakiem? – pyta, jakby to było coś niemożliwego.

– No tak. Co w tym dziwnego?

Uśmiecha się, a w jego oczach widać diabelski błysk.

– Nie zrozum mnie źle, ale gdybym ja miał przyjaciółkę wyglądającą jak ty, ciężko by mi

było utrzymać znajomość w platonicznej formie. Jest gejem?

Uśmiecham się szerzej na tę myśl.

– Nie przeszkadzałoby mi, gdyby nim był, ale nie, Gus z pewnością nie jest gejem.

– I nigdy niczego w stosunku do ciebie nie próbował?

Śmieję się z powodu tego nieoczekiwanego pytania. Nie wiem, czy powinnam na nie odpowiadać.

Krzyżuje nogi, opierając stopę o kolano.

– Próbował, widzę to w twoich oczach.

Przyjaźnimy się z Kellerem, a ta wycieczka sprawia, że czuję się z nim jeszcze bardziej zżyta, więc decyduję się otworzyć. Nie muszę niczego ukrywać i nie mam się czego wstydzić.

– Właściwie to nie wiem, kto czego „próbował” jako pierwszy – mówię, zaznaczając palcami cudzysłów, by go zacytować. Keller śmieje się z doboru swoich własnych słów. – Ale trochę... – Szukam określenia, przez które nie wyjdę na puszczałką. – ...dałam się porwać w ostatnią noc mojego pobytu w San Diego.

Keller natychmiast pyta:

– Nie jesteście razem? Nie chciałaś, by był twoim chłopakiem?

Kręcę głową.

– Nie.

Odwraca się na siedzeniu twarzą do mnie.

– Dobra, żebym dobrze zrozumiał, w ostatnią noc przed wyjazdem z San Diego do Grant uprawiałaś seks ze swoim wieloletnim przyjacielem?

Kulę się.

– Tak. – Nie mam pojęcia, co Keller teraz o mnie myśli.

– I nie jesteście razem, ale nadal się przyjaźnicie? – Brzmi, jakby usilnie próbował to zrozumieć.

– Tak. I to nie jest jakaś pokrecona sytuacja, gdzie wykorzystujemy się nawzajem.

– Nie ma czegoś takiego jak przyjacielski seks, wiesz o tym, prawda? Zawsze któraś z osób czuje coś więcej, tylko nie chce tego szczerze przyznać.

Przytakuję.

– Pewnie masz rację. W moim przypadku to się po prostu stało. Ale była to jednorazowa sytuacja.

– A to nie jest dziwne?

Zerkam na niego, bo zastanawiam się, czy patrzy na mnie teraz, jakby wyrosło mi trzecie oko.

– Nie. Wiem, że ciężko ci to zrozumieć i może to nawet bez sensu, ale nasza przyjaźń ma znacznie mocniejsze filary. Myślę, że jest w stanie przetrwać wszystko, co możliwe, a to ją tylko wzmocni. – Wzruszam ramionami. – Naprawdę nie jestem latawicą, która śpi z każdym napotkanym kolesiem, Keller.

Śmieje się.

– Tego nie mówiłem.

– Wiem, że nie, ale no weź, tak szczerze, właśnie mnie osądziłeś. – Nie robię mu wyrzutów. Po prostu chcę wiedzieć, co o mnie myśli.

Zastanawia się przez chwilę.

– Masz rację, właśnie cię osądziłem, ale nie tak, jak ci się prawdopodobnie wydaje. Nie

znam tego faceta, ale mam nadzieję, że wie, ile ma szczęścia, mogąc nazywać cię przyjaciółką. I nie mam na myśli seksu.

Uśmiecham się.

– Oboje dokładnie wiemy, jak wielkie to szczęście mieć siebie nawzajem.

Kiwa głową.

– Dobrze. Nigdy tego nie odpuszczaj, Katie. Jesteś bystra, zabawna, słodka i piękna. A najlepsze, że masz to wszystko, nawet się nie starając. Mam nadzieję, że drań, który kiedyś podbije twoje serce, szczerze na to zasłuży.

– Dzięki, Keller.

Ziewa.

– Proszę. – Kątem oka zauważam jego krzywy uśmiezek. – Obudź mnie za jakąś godzinę, to poprowadzę. Dobrej nocy, Katie. – Obraca się twarzą do szyby, a już minutę później cicho chrapie.

Uśmiech nie gaśnie na mojej twarzy przez wiele, wiele kilometrów. Komplementy zazwyczaj na mnie nie działają, czasami jednak, kiedy mówi je właściwa osoba, trafiają pod odpowiedni adres. Tym, co powiedział, mogłabym żyć przez tydzień.

9 PAŹDZIERNIKA, NIEDZIELA KATE

Gus z zespołem jadą autobusem do Nowego Jorku, wieczorem grają tam koncert. Wcześniej pisał, że rano autobus złapał gumę, więc są spóźnieni. Łatwiej mu pisać, gdy jest w trasie, bo rozmowa byłaby trudna i mielibyśmy publiczność. Kiedy kończę jeść lunch, odpisuję mu.

Ja: ILE WAM JESZCZE ZOSTAŁO DO CELU?

Gus: TRZY GODZINY.

Ja: DO BANI.

Gus: NOO...

Ja: WCZORAJ BYŁAM W MILWAUKEE NA REIGN TO ENVY.

Gus: I JAK BYŁO?

Ja: NIE SĄ JAK ROOK, ALE ZOSTAŁAM ICH FANKĄ :)

Gus: SŁYSZAŁEM, ŻE ROBIĄ DOBRE SHOW.

Ja: ROBIĄ.

Gus: NASZA KOLEJNA TRASA PO STANACH BĘDZIE PÓŹNĄ WIOSNĄ. NA WIĘKSZYCH OBIEKTACH.

Ja: WYPAS!

Gus: JAK TYLKO WRÓCIMY Z EUROPY.

Ja: CO??!! EUROPA??!!

Gus: RANO ZOSTAŁO TO KLEPNIĘTE. JEDZIEMY W POŁOWIE STYCZNIA. WCIAŻ JESTEM W SZOKU.
CHCESZ DOŁĄCZYĆ?

Ja: HA! OCZYWIŚCIE, ALE BĘDZIESZ MUSIAŁ LECIEĆ BEZE MNIE.

W połowie stycznia – już nie wybiegam tak daleko w przyszłość.

12 PAŹDZIERNIKA, ŚRODA

KATE

W nocy spadł śnieg! Nie mogę w to uwierzyć. Myślałam, że zima zaczyna się w grudniu, a jest październik. Wczesny październik!

Celowo bojkotowałam zimę, myśląc, że opóźnię jej nadejście, jeśli nie kupię grubego płaszcza. Wiem, że głupio to brzmi, ale chodzi o mentalną grę. Moja śnieżna nemezis okazuje się być jednak groźnym przeciwnikiem.

Przyznaję się do porażki i wybieram się do jednego z tanich sklepów odzieżowych w Minneapolis. Ściskając mocno kierownicę, jadę babcinym tempem z nadzieją, że Dziadek Mróz okaże mi łaskę i drogi będą jedynie mokre, a nie oblodzone i zaśnieżone. Jeszcze nie jestem na to gotowa. Muszę powoli przyzwyczajać się do tego białego gówna.

Moje wysiłki zostają nagrodzone wełnianym płaszczem – w niebiesko-zieloną kratę i z futrzanym kołnierzem – kupionym za pięć dolarów w dziale chłopięcym. Pasuje, jest fajny i prawie nowy. Cel osiągnięty. I jest mi ciepło.

Nie mogę się doczekać, by pokazać Claytonowi moją zdobycz, która zapewne bardzo mu się spodoba. Cieszę się, że mam przyjaciela, który podziela mój dziwaczny styl.

Pół godziny przed moim umówionym na stołówce spotkaniem z Petem i Evelyn dostaję SMS-a od Gusa: MOŻESZ ROZMAWIAĆ?

Sugar gdzieś wyszła, więc odpisuję: TAK!!!

Chwilę później widzę uśmiechniętą twarz Gusa wyświetlającą się na moim telefonie.

– *Konnichiwa* – odpowiadam. – Jak tam dzisiaj życie w trasie?

– Cóż, Jamie ogrywa mnie nieustannie w pokera, a Franco cały ranek nie wychodził z kibla w autobusie. Także wiesz, jest fantastycznie, Promyczku. Fantastycznie.

– Pogoda spoko?

– Tak, jak to w Austin. Przyjechaliśmy jakąś godzinę temu. Jest pewnie z dwadzieścia pięć stopni.

– Chciałabym powiedzieć to samo. – Wzdycham. – Słuchaj: wczoraj w nocy spadł tu śnieg. Prawdziwe, pieprzone płatki śniegu. – Próbuję udawać, że jestem wkurzona, ale mi nie wychodzi, bo jestem szczęśliwa, mogąc z nim rozmawiać. Wiem, że nie mam wiele czasu, więc muszę się streszczać.

Śmieje się.

– Niemożliwe.

– No tak, a jest październik. Czy śnieg nie jest wbrew regułom, przynajmniej do grudnia?

– Pytasz nie tego, co trzeba. Zimno tam macie?

– Tak, musiałam kupić płaszcz. Chociaż miejscowi pewnie nadal chodzą w podkoszulkach. Przysięgam, mieszkańcy Minnesoty muszą mieć jakiś zmutowany gen, który sprawia, że są odporni na gorąco i zimno. To nienormalne.

Gus ponownie się śmieje, ale po chwili robi się poważny.

– A co z butami? Masz jakieś wysokie i ciepłe buty? Potrzebujesz traperów. – To śmieszne, kiedy tak mi matkuje.

Cała drzę.

– Przestań. Kupno płaszcza było wystarczająco złe. Nie chcę dać się pokonać zimie i już kupować buty. Muszę mieć czas, by nad tym pomyśleć. Może miesiąc lub dwa. – Prawda jest taka, że muszę kupić nowe buty, bo noszenie używanych mnie przeraża, a na nowe muszę zaoszczędzić. To zajmie trochę czasu.

– Masz rację, lepiej nie szalej – drażni się ze mną.

Odpowiadam w ten sam sposób:

– Czy mam ci przypomnieć, że twoja trasa koncertowa przebiega w zimie po całych Stanach? Wlicza się w to również północ kraju. Też będziesz musiał kupić sobie płaszczyk.

Syczy przez zęby:

– Wiem. Ale nadal jestem w fazie zaprzeczenia.

– Fajne miejsce, to zaprzeczenie, ale nie możesz w nim zostać na zawsze, młody. – Może sama powinnam posłuchać swojej rady.

– Promyczku, cytujesz Konfucjusza czy Kennedy'ego? Jakoś znajomo to brzmi. – Nawet bez patrzenia na niego wiem, że ma głupi, szyderczy wyraz twarzy, który za każdym razem mnie rozśmiesza.

– Myślę, że to Yoda w *Imperium kontratakuję*. Pewnie było to częścią szkolenia Luke'a na Jedi czy coś w tym rodzaju.

Oboje wybuchamy śmiechem. Gus i Grace uwielbiali *Gwiezdne wojny*. Oglądaliśmy te filmy tak wiele razy, że straciłam rachubę.

Gdy odzyskujemy panowanie nad sobą, Gus mówi:

– Cóż, Promyczku, wołają mnie. Chyba są gotowi na próbę. Przykro mi, ale nie mogę dłużej gadać. Chciałem tylko usłyszeć twój głos.

– Spoko. Rozumiem, młody.

– Dzięki.

– Kocham cię, Gus.

– Też cię kocham.

– Na razie.

– Na razie.

13 PAŹDZIERNIKA, CZWARTEK KATE

Wracając z popołudniowych wykładów, na drzwiach pokoju znajduję przyklejoną karteczkę. Jest na niej napisane: *Paczka dla Kate Sedgwick do odbioru w recepcji.* Wygląda jak odręczne pismo Johna.

Dziwne.

Odbieram pakunek, myśląc, że zaszła jakaś pomyłka. Nadawcą jest jakiś internetowy sklep sportowy, o którym nigdy nie słyszałam.

Wracam do pokoju i otwieram paczkę. W środku, pod dwoma arkuszami cienkiego, białego papieru znajduję wysokie, lekkie, szalenie ciepłe śniegowce.

Jest też kartka.

Niech Ci dobrze służą.

Cieszymy się, że to nie my marzniemy!

Kochamy Cię.

Gus i Audrey

Przymierzam buty. Pasują idealnie. Czuję się, jakby moje stopy owinięte były futrem. Tak mi ciepło. Mam wrażenie, że wygrałam los na loterii. Nigdy nie mogłabym sobie pozwolić na ich zakup.

Dzwonię do Gusa i do Audrey. W obu przypadkach zgłasza się poczta głosowa. Obojgu nagrywam gorące podziękowania, ponieważ jestem wdzięczna nie tylko za buty, ale za to, że ich mam.

17 PAŹDZIERNIKA, PONIEDZIAŁEK

KATE

Clayton pisze do mnie, kiedy wracam ze stołówki: POJEDZIESZ DZISIAJ ZE MNĄ DO SPECTACLE? BARDZO ŁADNIE PROSZĘ.

Minęło sporo czasu, odkąd byłam gdzieś z Claytonem. Odpisuję więc: OK :)

Klub jak zwykle jest pełen. Morris pracuje, więc przez większość nocy mam Clayтона tylko dla siebie. Brakowało mi go. Śpiewamy, tańczymy i śmiejemy się przez wiele godzin. Czas szybko płynie, chwilę później jest druga w nocy i trzeba wracać. Czekamy, aż Morris zamknie lokal, byśmy razem przeszli na parking znajdujący się po drugiej stronie ulicy.

Kiedy przechodzimy przez boczną alejkę, Morris przypomina sobie, że zostawił telefon w biurze.

– Zaraz przyjdę. Poczekajcie przed głównym wejściem, nie chcę, byście czekali tutaj.

Alejką jest ciemna, świeci tylko jedna marna żarówka nad tylnymi drzwiami. Jest strasznie. Chwytam Clayтона za rękę, przez co chłopak wyraźnie się odpręża. Nie udaje nam się jednak przejść dziesięciu kroków, gdy spostrzegamy dwóch facetów zmierzających w tę samą stronę, co my. Kiedy nas dostrzegają i zatrzymują się, wstrząsa mną dreszcz. A gdy obracają się i zmierzają w naszą stronę, serce podchodzi mi do gardła. Boję się.

Po tym, jak jeden z nich się odzywa, już wiem, dlaczego:

– A cóż my tu mamy? Mały pedałek.

Zaczynam się modlić: *Boże, nie pozwól im nas skrzywdzić.* Krzyczę i obracam się, by biec, ciągnąc za sobą Clayтона.

Nie udaje nam się uciec, Clay zostaje zatrzymany przez obu mężczyzn.

Panikuję, ale nie mam zamiaru stać w miejscu. Zamiast tego krzyczę jeszcze głośniej:

– Przestańcie! Puszczajcie go, dranie! Przestańcie! – Wskakuję jednemu z nich na plecy. Biorę zamach i uderzam go w ucho, bo wydaje mi się, że to najbardziej czułe miejsce w moim zasięgu. Facet tak bardzo śmierdzi alkoholem, że aż mnie mdli. Zatacza się pod moim ciężarem, lecz po chwili odzyskuje równowagę.

Strąca moje ręce z głowy, po czym rzuca mnie na ziemię.

– Co za suka! – Pluje na mnie.

Łąduję na boku. Siła uderzenia wyciska powietrze z moich płuc. Powoli próbuję odetchnąć. Zaczynam tracić ostrość widzenia. Musiałam uderzyć się w głowę. Szorstki chodnik drapie skórę mojego policzka, a w udzie i na brzuchu czuję przenikliwy ból, zanim uświadomiam sobie, że muszę być bita lub kopana. Gość wraca uwagą do Clayтона, który, jak niejasno zauważam, leży skulony pod kolanami drugiego faceta. Grzebię w torebce zawieszanej na piersi, a kiedy odnajduję gaz pieprzowy, zaciskam na nim palce. Nim mój napastnik ma szansę zrobić coś Claytonowi, podnoszę się i psikam mu sprayem w twarz. Krzyczy, natychmiast pocierającoczy.

Rzucam się na mężczyznę, który w tej chwili siedzi na Claytonie i z całej siły kopię go w żebra.

– Złaż z niego, sukinsynie! – Kopię go kilkakrotnie. Nie mogę psiknąć na niego sprayem, nie ryzykując, że Clayton też oberwie. Przynajmniej przestaje uderzać. Chwyta mnie za nogę i przewraca.

Słyszę głos Morrisa:

– Zabierajcie od nich ręce, skurwysyny! – Leżąc, widzę, jak Morris rozpiną marynarkę i odsłania kaburę przy pasku.

Gość kucający nad Claytonem unosi ręce w geście poddania i powoli zaczyna się podnosić. Drugi już się cofa. Nawet pijane gnoje mają instynkt samozachowawczy.

Morris mówi spokojnie, lecz w jego głosie słychać wściekłość. Opiera prawą rękę na kaburze.

– Spieprzać stąd albo, przysięgam na Boga, odstrzelę wam łby.

Obaj mężczyźni obracają się i biegną uliczką, nie oglądając się za siebie.

Morris klęka i pomaga Claytonowi usiąść. Mój przyjaciel ma rozciętą wargę i trzyma się za bok. Ma zamknięte oczy, na jego czole perli się pot. Morris mówi łagodnie, jednak drżą mu ręce:

– W porządku, kochanie?

Policzki Claytona są mokre od łez.

– Daj mi chwilę. – Clayton sprawdza swoje ciało. – Chyba nic mi nie złamali. Jestem tylko poobijany.

Morrisa to nie przekonuje.

– Powinniśmy cię zawieźć do szpitala, Clayton.

Clayton pociąga nosem. Przystaje płakać.

– Skarbie, dostałem już tak wiele razy, że możesz mi wierzyć, wiem, kiedy powinienem trafić do szpitala. W skali łomotu to była czwórka. Pewnie skończy się sinymi żebrami. Za kilka dni nie będzie śladu.

Czuję się fizycznie chora, w dodatku pęka mi serce. Domyślałam się, że Clay miał ciężkie życie, ale nie wiedziałam, że tak bardzo.

– Powinniśmy zadzwonić na policję. Nie możemy im tego odpuścić.

Clayton patrzy na mnie, jakbym powiedziała coś głupiego.

– Katherine, mój chłopak właśnie groził im śmiercią. To nie jest najlepszy pomysł. Poza tym nie wiemy, kim oni byli. Zrobili to z nienawiści. W tej sytuacji wzywanie policji będzie tylko stratą czasu.

Klękam po drugiej stronie Claytona, brzegiem koszulki chcąc otrzeć jego zakrwawioną wargę.

Clayton chwyta mnie za rękę.

– Katherine, przestań. Zniszczysz ją.

Moja dłoń drży.

– Clay, nie martwię się o koszulkę. – Właśnie byłam świadkiem napaści na mojego przyjaciela tylko z powodu jego orientacji seksualnej. Przeraza mnie ludzka ignorancja i zdolność do przemocy.

– Ale lubię tę koszulkę, pasuje do twojej karnacji.

Przewracam oczami, bo tylko Clayton mógł powiedzieć coś takiego w tej sytuacji.

– Młody, zrobię sobie nową, ale ty nie będziesz miał kolejnej wargi.

Clayton prycha, ale pozwala sobie pomóc.

Morris przygląda się intensywnie Claytonowi. Jest całkowicie zagubiony, gdy ponownie się odzywa:

– Tak bardzo mi przykro. Nie powinienem zostawiać was samych o tej porze w mrocznej alejce. – Spogląda na mnie wielkimi, ciemnymi oczami. – Nic ci się nie stało, Kate?

Wskazuję na jego kaburę i pytam:

– Zawsze nosisz broń?

– Tylko kiedy pracuję do późna. Choć nigdy nie musiałem jej używać. – Zaciska dłonie w pięści, jakby naprawdę chciał kogoś zabić.

Clayton wyraźnie drży. Obejmuję go ostrożnie, uważając, by nie zrobić mu krzywdy.

– Och, Clay. Przepraszam, że nie mogłam ci pomóc.

Odsuwa się i patrzy mi w oczy.

– Katherine, gdyby nie ty, mógłbym już nie oddychać. Jesteś najodważniejszą osobą, jaką w życiu spotkałem. Wystraszyłaś mnie, skacząc na plecy tego wielkoluda. A kiedy tobą rzucił, moje serce zamarło. Jesteś ranna? Uderzyłaś się w głowę? Może to ciebie powinniśmy zawieść do szpitala?

Boli mnie głowa i plecy, ale kłamię:

– Nic mi nie jest, słodziaku. – Całuję go w czoło, wstaję i pomagam mu się podnieść. Szpital jest ostatnim miejscem, gdzie chcę się znaleźć, zwłaszcza kiedy lekarze zaczną zadawać pytania. Clayton spogląda na Morrisa.

– Musimy jechać, za kilka godzin mam test z historii.

Morris przysuwa się do Claytona i głaszcze go po policzku.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – pyta cicho. – Co mogę zrobić?

Clayton uśmiecha się słodko.

– Możesz mnie pocałować, powiedzcie, że mnie kochasz i odprowadzić nas do samochodu.

Morris robi wszystkie te trzy rzeczy po kolei.

Już w akademiku pomagam Claytonowi w łazience umyć twarz. Sprawdzam jego źrenice i swoje, czy nie są rozszerzone i czy nie ma innych objawów wstrząśnienia mózgu. Na szczęście są normalne. Żadnych objawów.

Pomagam mu wrócić do pokoju. Mimo że zachowujemy się cicho, i tak budzimy Pete'a. Denerwuje się na nasz widok. Nie winię go, nie wyglądamy najlepiej. Pomagam Claytonowi przebrać się w piżamę, ponieważ jest tak obolały, że nie może unosić rąk. Peter w tym czasie wyciąga lód z ich minilodówki i zawija go w ręcznik. Podaje mi go, przyglądając się pytająco, ale się nie odzywa. Proszę, by wrócił do łóżka i obiecuję, że rano wszystko mu wyjaśnimy. Pete kiwa głową i idzie do siebie. Nakrywa się kołdrą, ale zmartwienie nie znika z jego oczu. Clayton się krzywi, kiedy delikatnie przykładam lód do jego policzka i ust, ale wzdycha, gdy chłód przynosi mu ulgę.

Pochylam się i całuję go w czoło.

– Dobranoc, Clay. – Jestem fizycznie i psychicznie wyczerpana. Muszę się położyć.

Szept Claytona zatrzymuje mnie w drzwiach.

– Katherine?

Pytam również szeptem:

– Tak?

– Dziękuję. Jeszcze nikt nigdy nie stanął w mojej obronie.

Serce mi się ściska.

– Proszę.

– Kocham cię.

– Też cię kocham. Odpoczywaj.

18 PAŹDZIERNIKA, WTOREK

KATE

Kiedy przekraczam próg kwaciarni, o czym cicho zawiadamia dzwonek, widzę wpatrzoną we mnie ze skrajnym niepokojem parę oczu. Skupione są centralnie na sińcu, który nocą wykwitł z lewej strony mojej twarzy. Teraz już nie boli tak, jak rano, kiedy się obudziłam, ale wygląda okropnie, rozciągając się od skroni aż po szczękę. Tak naprawdę boli mnie reszta ciała... cała. Gdybym tylko dorwała ibuprofen w kroplówce, z chęcią bym z niego skorzystała. Choć organizm pozwolił mi zaznać snu na całe cztery godziny, teraz jego niezadowolenie osiąga zupełnie nowy poziom, ponieważ musiałam zawlec go na wykłady. Co tu dużo mówić, ja i moje ciało nie lubimy się dzisiaj. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się dogadamy.

Clay się krzywi, w jego oczach pojawiają się łzy.

– Och, Katherine, tak bardzo mi przykro. Twoja twarz...

Nie widziałam się dzisiaj z Claytonem. Spał, gdy wychodziłam na zajęcia i nie było go w pokoju, gdy przyszedłam później sprawdzić, co z nim.

– Clay, jak się dzisiaj czujesz? – Nie chcę rozmawiać o sobie.

– Czuję się, jakby przejechał mnie walec, po czym zostawił na drodze na pewną śmierć.

Coś o tym wiem.

– Cóż, bez obrazy, ale wyglądasz, jakbyś wpadł pod ten walec, kochany. – Rozcięcia na jego twarzy nie wyglądają tak źle, jak wczoraj, ale dolna warga i prawy policzek są opuchnięte i maluje się na nich nienaturalna czerwień i fiolet.

Clay uśmiecha się słabo.

– Jeszcze raz chciałem ci podziękować za to, co wczoraj zrobiłaś.

– Nie trzeba, Clay.

Całuje mnie w niezraniony policzek.

– Trzeba. Jesteś moim pierwszym prawdziwym przyjacielem, Katherine. Jestem pewien, że kiedy jako nienagannie ubrany starszy dżentelmen będę siedział w bujanym fotelu i spoglądał wstecz na moje cudowne, wspaniałe życie, bez cienia wątpliwości powiem, że nie mógłbym być pobłogosławiony lepszą przyjaciółką niż ty.

Gdybym otworzyła usta, by coś powiedzieć, wraz ze słowami popłynęłyby łzy, a ja nie płacę, więc zamiast tego kiwam głową.

Clayton obraca się i macha do Shelly.

– Buziaki, królowo parkietu – mówi i wychodzi.

Nawet Shelly nie znajduje ciętej riposty. Po prostu patrzy na mnie ze smutkiem.

Po sposobie, w jaki mi się przygląda, poznaję, że Clay opowiedział, co zaszło. Wszystko wyśpiewał. Wolałabym, by nikt o tym nie wiedział, ale przynajmniej nie muszę przeżywać tego na nowo.

– Shelly, nic mi nie jest. Możemy rozmawiać dziś o czymś innym? – Uśmiecham się, by wiedziała, że nie próbuję być podła. – Bierzmy się do pracy.

Kiwa głową i choć wiem, że dusi się, nie mogąc nic powiedzieć, uwielbiam ją za to, że nie próbuje.

– Po południu muszę zrealizować kilka dostaw. Poradzisz sobie sama?

– Oczywiście. – Podchodzi do drzwi, więc dodaje: – Proszę, nie mów o tym Kellerowi. – Wskazuję na swoją twarz. – Cały dzień patrzono na mnie z politowaniem. – Z wahaniem rzucam: – Tak, jak i ty na mnie teraz patrzysz. – Obraca głowę. – To sprawia, że czuję się niezręcznie. Nienawidzę litości. Odbiera mi energię. – Naprawdę tak jest.

Shelly wzdycha głośno. Brzmi, jakby była bardziej pokonana niż zirytowana. Po chwili kiwa głową i wychodzi.

Biorę się do pracy. Idzie mi wolniej niż zazwyczaj, biorąc pod uwagę, że poruszam się jak dziewięćdziesięcioletnia babcia po operacji stawu biodrowego.

Odzywa się dzwonek: uwaga, klient. Stoję zwrócona plecami do wejścia, ręce mam wplątane we wstążkę, którą próbuję udekorować wazon z różami.

– Sekundkę i zaraz podejść – wołam przez ramię.

– Nie przyszedł do mnie dziś rano. Dlaczego? Muszę się uciekać do szantażu czy przekupstwa? – To Keller. Co on tutaj robi?

Nadal tyłem do niego, odpowiadam:

– Młody, moje uzależnienie jest silne, ale może również zostać zaspokojone darmową, choć nie tak dobrą kawą ze stołówki. Poza tym byłam spóźniona. – Powoli obracam się twarzą w jego stronę, przygotowując się na szok. – Co tam?

Wciąga gwałtownie powietrze.

– Jezu Chryste, Katie, co ci się stało?

Cieszę się, że nie widzi sińców, jakie mam na brzuchu i biodrze, bo dopiero by świrował.

– Uwierzyłybyś, gdybym powiedziała, że spadłam ze schodów?

Zaciska usta tak mocno, że formuje się z nich cienka, prosta linia. W oczach ma zarówno strach, jak i wściekłość. Kręci głową.

– Ujeżdżałaś byka?

– Nie.

– Nielegalne walki w klatkach?

– Coraz cieplej.

– Kim jest gnój, który ci to zrobił?

Dlaczego gdy kobieta jest posiniaczona, zwłaszcza na twarzy, ludzie zakładają, że padła ofiarą przemocy domowej? Sama też dochodzę do takich wniosków. To niestety zbyt częste założenie.

– To nie tak, jak myślisz. – Prycham z irytacją. – To była obrzydliwa mieszanina ignorancji, nienawiści i alkoholu wymierzona tego ranka w mojego przyjaciela Clayтона. – Wskazuję na swoją twarz. – A to jej skutek uboczny. Jest dobrze, Keller.

Strach i gniew znikają z jego oczu, zastępuje je troska. Przynajmniej to nie litość.

– Nie jest dobrze. – Zerkam na dół, widzę, że ściska ladę tak mocno, że bieleją mu knykcie.

Sięgam przez blat i głaszczę zaciśnięte palce.

– Hej, spokojnie. Nic mi nie jest. Naprawdę.

Kręci głową, po czym ściąga wełnianą czapkę, a włosy sterczą mu na wszystkie strony. Natychmiast jestem rozkojarzona. Nawet taka fryzura mu pasuje. Mimowolnie się uśmiecham.

– Z czego się śmiejesz? – pyta, przechylając głowę na bok.

Mój uśmiech się poszerza.

– Z twojej fryzury. Masz świetne włosy.

Przeczesa je palcami, bez powodzenia próbując je poskromić. Mimo to myślę, że te włosy są jedną z jego najatrakcyjniejszych cech. Odchrząkuje i się rumieni.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Keller? – Kiedy już sprawa z siniakami zeszła na dalszy plan, cieszę się, że go widzę.

Przygryza wnętrze policzka, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć, a może nie odpuścił jeszcze poprzedniego tematu.

– Na pewno nic ci nie jest? Cierpię na sam widok twojego sińca.

Zbywam to.

– Wszystko w porządku.

Kiwa głową, choć wciąż widać, że jest rozdarty. W końcu zmienia temat.

– Zostałem wysłany przez Rome'a na romantyczną misję. Prosił, bym kupił dla Dana storczyka. To ich rocznica, więc chce zabrać go po pracy do domu. Miał tu przyjść podczas lunchu, ale nie mógł się wyrwać. Masz coś takiego?

Wychodzę zza lady, razem wybieramy białego storczyka wśród stojących na półce kwiatów. Keller płaci za niego, a ja pakuję roślinę w gruby, ozdobny papier, by uchronić ją przed zimnem.

Keller waha się w drzwiach.

– Katie – odchrząkuje – jutro rano powinnaś wpaść do Grounds. Postawię ci kawę. No wiesz, byś nie musiała dwa dni z rzędu pić tej trucizny ze stołówki.

Śmieję się.

– Staram się tego unikać. Do zobaczenia jutro, ale ja płacę. Poza tym wciąż nie oddałam ci za wycieczkę do Milwaukee...

Przerywa mi:

– Nie, nie musisz oddawać.

Uśmiecham się. W ogóle mnie nie zna. Mimo że nalega, bym zatrzymała pieniądze, i tak znajduję sposób, by mu je oddać.

– Wkrótce będę ci winna tyle kasy, że będę musiała to odpracować jako twoja niewolnica.

– Mmm. – Widzę błysk w jego oku. – Wiąże się z tym wiele możliwości.

Uśmiecham się.

– Nie tak szybko. Wolę oddać w gotówce. Nie mam zbyt wiele wolnego czasu, by ci służyć.

Uśmiecha się krzywo.

– Służyć mi? Coraz lepiej. – Puszczą do mnie oko i otwiera drzwi.

Kręcę głową, ale wewnątrz się rozpląwam. Wiem, że nie może być nic między nami, ale, Boże, uwielbiam flirtować z tym chłopakiem.

– Potrzebuję strzyżenia. Skróć mi włosy i będziemy kwita – rzuca, stojąc na progu.

– Nie mam pojęcia, jak się to robi. Jeśli to spieprzę, z pewnością nie będziemy kwita.

– Ufam ci.

Jestem szczęśliwa, słysząc to. Zaufanie jest dla mnie ważne.

– Serio?

– Całym życiem... i włosami. Jesteś wolna w piątek wieczorem?

Kiwam głową.

– Tak.

– O ósmej?

Przytakuję.

– W porządku.

– U ciebie czy u mnie?

Wiem, że to nie randka, ale bardzo się cieszę, że Keller mnie o to poprosił.

– Piątki w *casa de Kate y Sugar* są nieprzewidywalne, więc u ciebie.

Uśmiecha się.

– Super. Pa, Katie.

– Pa, Keller.

21 PAŹDZIERNIKA, PIĄTEK KATE

Jest ósma dwanaście, gdy pukam do drzwi Kellera, czując w brzuchu podrywające się do lotu motyle. Nigdy nie denerwowałam się przez chłopaka, więc jest to dla mnie dziwne. Jestem zupełnie trzeźwa, mimo to czuję się, jakbym wypila kilka drinków i choć mój umysł nie jest zamroczony, moje ciało wydaje się nadmiernie szczęśliwe. Chyba zaczynam lubić te motyle.

Keller otwiera drzwi, wpuszcza mnie, po czym pomaga zdjąć płaszcz. Nie odzywamy się. Jest trochę niezręcznie. To nie konsternacja, tylko lekka niezręczność. Rzucam więc:

– Nie jest za późno, by się wycofać, młody. Po kilku dniach na przemyślenie nadal mi ufasz? – Jego zaufanie wiele dla mnie znaczy. Są różne stopnie zaufania, moim głównym założeniem jest to, że ludzie są dobrzy i większości z nich można zawierzyć. Przyjaźń jest dla mnie bardzo ważna, a zaufanie jest jej częścią. Jednak najbardziej zależy mi na głębokim zaufaniu. Jest to coś, czego nie traktuję lekko. Niewielu ludzi na nie zapracowało: Grace, Gus i Audrey. Tylko oni. To coś, co buduje się latami. Z jakiegoś powodu czuję, jakby Keller już był w tej „głębokiej” kategorii. Co jest dobre, ale też trochę przerażające, bo stało się tak szybko.

Chłopak uśmiecha się i cała niezręczność sytuacji znika.

– Najwyraźniej.

Zarabista odpowiedź.

– Dobra, to zaczynajmy.

Kiedy się uśmiecha, jego górna warga niemal zakrywa dolną. W jego oczach widać rozbawienie. Chciałby coś powiedzieć, ale myśli, że lepiej tego nie robić. W zamian wyciąga krzesło z garderoby i ustawia je przed kanapą. Przyglądam mu się, choć tak naprawdę go nie widzę. Marzę. Zastanawiam się, jak wygląda jego naga pierś. Jak ciepłą ma skórę i jak twarde są jego mięśnie. Myślę, jak wygląda pod...

– Mokre czy suche? – mówi, a gdy nie odpowiadam, wskazuje na włosy. – Chcesz, żebym je zmoczył?

Ach, tak. Włosy. Właśnie po to tu jestem.

– Ee, chyba mokre. Czy nie tak robią to fryzjerzy? – Mnie zawsze strzygła Audrey. Dwa razy do roku w kuchni Hawthornów, bez względu na to, czy tego potrzebowałam czy nie. Nigdy nie byłam w salonie fryzjerskim.

– Zatem mokre. Zaraz wracam.

Keller znika w łazience, dwie minuty później pojawia się ubrany w same jeansy. Jezusie, Maryjo i wszyscy święci. Wygląda przepysznie. Mój umysł odpływa, ale czuję się, jakby Keller widział każdą moją myśl. I znów te motyle w brzuchu. Co, u licha, jest ze mną nie tak?

Keller siada na krześle, próbuje zachowywać się naturalnie.

– Jak pan sobie życzy, panie Banks? Golimy maszynką, skracamy nożyczkami? Jestem gotowa. – *Jak nigdy.*

– Chciałem, byś tylko lekko przystrzygła, ale jak myślisz? Uważasz, że powinienem zmienić fryzurę?

– Nie. Taka mi się podoba. – Naprawdę. Bardzo.

– Zatem tnij.

Czuję teraz całkiem nowe zdenerwowanie, bo nie chciałabym niczego zepsuć.

– Młody, masz jakiś plan B, jeśli coś pójdzie nie tak?

Śmieje się i wzrusza ramionami.

– To tylko włosy, Katie. Jeśli coś pójdzie nie tak, a jestem pewien, że nie pójdzie, to je ogolimy.

To wcale nie pomaga.

– Ach, bez presji.

Całkowicie się odpręża.

– Bez.

Kiedy już zaczynam, wszystkie myśli, zdenerwowanie i wątpliwości wydają się znikać z każdym skróconym włosem. Ma je naprawdę fantastyczne. Ciemnobrazowe, niemal czarne, lekko falujące, przez co wydaje się, że jest ich więcej. Są gęste, grube, ale jednocześnie miękkie i błyszczące. Nosi je nieco dłuższe z jednej strony. Opadają mu za uszy i z tyłu opierają się o kołnierzyk. I zawsze są zmierzwione, co według mnie jest najfajniejsze. Nie podoba mi się, gdy faceci mocno układają włosy. Naturalnie rozczochrane są bardzo seksowne.

Kończę jakąś godzinę później. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Skupiałam się, by nie ponieść klęski, a Keller pozwalał mi na tę koncentrację, zachowując ciszę. Po przejrzeniu się w łazienkowym lustrze wraca i zamiata obcięte włosy. Uśmiecham się, bo udało mi się nie zepsuć mu fryzury.

– Cóż, może nie było to szybkie, ale byłaś dokładna. Dobra robota.

Śmieję się.

– Precyzja to moje drugie imię. A może chciałam, byś poczuł, że twoje pieniądze są coś warte.

– Każdy cent. Dzięki, Katie. Napijesz się czegoś? Mam w lodówce jakieś piwo. Zasłużyłaś.

Chciałabym zostać, ale sumienie mi na to nie pozwala. On ma dziewczynę. Jestem tego pewna. Nie powinnam być z nim tutaj sam na sam, zwłaszcza kiedy tak sprośne myśli znów kłębią się w mojej głowie.

– Nie, dzięki. Muszę wracać do akademika.

Z rozczarowaniem patrzy pod nogi, po czym unosi głowę i się do mnie uśmiecha.

– Przyjechałaś czy przyszłaś?

– Przyjechałam. Jest cholernie zimno.

Śmieje się.

– Zimno – drwi. Sięga po bluzę leżącą na kanapie i ją zakłada. – Odprowadzę cię do auta. Stoimy przy samochodzie i cieszę się w duchu, ponieważ żaden chłopak mnie wcześniej tak nie odprowadził. Wiem, że to nie jest randka, jednak gest Kellera jest szarmancki. Zazwyczaj nie lecę na takie zachowanie, najwyraźniej dziś jest inaczej.

– Jeszcze raz dziękuję, Katie.

– Proszę. Musi być wygodnie, kiedy nie czuć już na głowie tego ciężaru.

Oboje się śmiejemy, po chwili śmiech milknie. Spoglądamy na siebie, jakbyśmy nie wiedzieli, co zrobić. Moglibyśmy tak trwać całą noc, więc robię to, co zrobiłabym, gdyby na miejscu Kellera stał tutaj któryś z pozostałych moich przyjaciół. Otwieram ramiona.

– Chodź tutaj.

Jego reakcja jest powolna, ale kiedy w końcu mnie obejmuje, czuję się wspaniale. Niektórzy ludzie są dobrzy w sztuce tulenia. Potrafią to robić całą swoją istotą, nie tylko ramionami. Ich ciepło was wówczas otula. Sprawia, że czujecie się cenni i ważni.

Właśnie tak tuli mnie Keller.

Ten wymarzony uścisk trwa dwa razy dłużej niż normalny, choć nie tak długo, jakbym tego chciała. Kiedy się odsuwamy, natychmiast czuję zimno, więc odruchowo sięgam do klamki samochodu.

– Jedź ostrożnie, Katie.

– Jak zawsze. Miłego weekendu, młody.

– Rano lecę do Chicago. Wracam nad ranem w poniedziałek. – Uśmiecha się.

Właśnie dlatego muszę się dobrze zachowywać. Chicago. Jego drugie życie. Jego dziewczyna.

– Baw się dobrze. Do zobaczenia w poniedziałek.

– Poniedziałek – powtarza. – Zobaczymy się w poniedziałek.

– Dobranoc, Keller.

Kiwa głową.

– Tak, dobranoc, Katie.

24 PAŹDZIERNIKA, PONIEDZIAŁEK KATE

Odwołano dziś wykłady. Śnieg wyrwał się spod kontroli. Wszyscy określili to mianem przedsezonowej nawałnicy.

Ja nazwałam to „Matką Naturą na sterydach”. Jest bezkompromisowa, kiedy je bierze.

Teraz już rozumiem, o co to całe zamieszanie. Na szczęście powoli się uspokaja, ale kiedy wcześniej rano ubrałam ciepłe buty i przebrnęłam po świeżym śniegu do Grounds, nie było wesoło. Mimo to warto było przedrzeć się przez zasy, by napić się kawy i poczytać.

Dzwonek grzmi, ale z książką na kolanach postanawiam go olać. Mam dobre miejsce, na kanapie przed kominkiem, więc nic nie jest w stanie zakłócić mojego błogiego poranka.

No może prócz głębokiego, niskiego głosu rozbrzmiewającego tuż przy moim uchu:

– Zajęte?

Powoli obracam głowę w lewo, gdzie widzę twarz Kellera. Znajduje się dosłownie centymetr od mojej. Chłopak kuca za kanapą i opiera podbródek na moim ramieniu. Jest ogolony. Sporo czasu minęło, odkąd go takim widziałam. Kiedy odsłania swoją chłopięcą twarz, wydaje się młodszy.

– Cześć. Oczywiście, że nie. Siadaj. – Zdejmuję plecak i kładę go na podłodze, by zrobić mu miejsce.

Opada na kanapę, wcześniej ściągając płaszcz, czapkę i rękawiczki.

– Cholera, myślę, że cały śnieg świata spadł w Minnesocie.

Przewracam oczami.

– Nawet mi nie mów.

Śmieje się i lekko szturcha mnie łokciem, z szarej, papierowej torby wyciągając owiniętą w papier kanapkę.

– Och, nie jest tak źle. Spójrz. Jest pięknie. – Słyszę, że mówi szczerze, więc powstrzymuję się, by ponownie nie przewrócić oczami i spoglądam na świat przez okno.

Jest ponuro i szaro, mimo późnego poranka wydaje się, że nastał wieczór. Płatki śniegu tańczą leniwie w powietrzu. Ulice są wyludnione. A ponieważ siedzę w środku, jest mi ciepło i sucho, uważam, że krajobraz jest piękny.

– A jak tam poranny lot z Chicago? – pytam, wskazując na zewnątrz. – W tę przepiękną pogodę?

– Załapałem się na nocny lot, by zdążyć przed burzą. Zapowiadali, że będzie źle. Przynajmniej raz się nie pomylili. – Ponownie mnie szturcha. – Chcesz pół kanapki, Katie? Z indykiem.

– Nie, dzięki. – Zawsze staram się unikać odpowiedzi „dziękuję, ale jestem wegetarianką”, ponieważ niektórych odstrasza ten fakt. Nie wiem dlaczego, ale czasami przesadnie się dziwią. I są skrepowani. Zatem wyjaśniam dopiero wtedy, kiedy jestem do tego zmuszona.

Mimo to Keller nalega:

– Serio, weź, jest gigantyczna. Czułbym się źle, jedząc przy tobie. Weź pół.

No i zostałam zmuszona.

– Nie ma potrzeby, byś czuł się źle, młody. Jestem wegetarianką. I naprawdę nie jestem

głodna. Niedawno zjadłam muffinkę.

Mruga kilkakrotnie.

– Ale... mogę ją zjeść przy tobie? To znaczy, nie będziesz czuć obrzydzenia? Bo mogę poczekać... albo zjeść gdzie indziej. – Ruchem głowy wskazuje na pusty stolik po drugiej stronie pomieszczenia.

Przyglądam mu się odrobinę za długo, ponieważ jego propozycja była bardzo taktowna.

– Nie. Śmiało, jedz. Ale dzięki, że zapytałeś. To było... miłe.

Uśmiecha się i gryzie kawałek, majonez i musztarda wypływają z kanapki i zbierają się w kąciakach jego ust. Pomiędzy kolejnymi gryzami mówi:

– Dlaczego jesteś wegetarianką? Ze względów zdrowotnych, religijnych czy walczysz o prawa zwierząt?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Chyba nigdy nie popierałam pomysłu, by hodować zwierzęta tylko na ubój. Jest wiele innych możliwości odżywiania się.

Unosi brwi, jakby nigdy nie myślał o tym w ten sposób. Przytakuje.

– W porządku. – Kończy kanapkę, zgniata papier i wrzuca go do torby, po czym klaszcze w dłonie. – Powinniśmy po południu pojeździć samochodem. Na ulicy leży dobre czterdzieści centymetrów śniegu.

Zerkam przez okno i sądząc po zasypanym aucie stojącym przy chodniku, stwierdzam, że ma rację. To najlepszy czas, by nauczyć się prowadzić w taką pogodę.

– Jasne, może o pierwszej? O trzeciej muszę być w pracy.

– Świetnie.

Przekładam czytaną książkę z kolan na stolik, bym mogła rozpiąć leżący na podłodze plecak.

– Mam po ciebie przyjechać?

Kiwa głową i zerka na okładkę.

– Coś dobrego? – pyta.

– Nie czytałeś jej jeszcze? – Jestem zszokowana.

Kręci głową.

– Nie, ale zawsze chciałem.

Wracam myślami do jego reakcji, kiedy mu powiedziałam, że nie czytałam *Opowieści o dwóch miastach*.

– Którą szkołę średnią kończyłeś, że nie czytałeś *Zabić drozda*?

Uśmiecha się szeroko.

– Zasłużyłem.

– Tak, zasłużyłeś. Czytam ją chyba co rok. To jedna z tych książek, które – mimo że już znasz je i lubisz – i tak za każdym razem okazują się lepsze, więc wciąż się w nich zakochujesz.

Uśmiecha się i wiem, że w ten sam sposób traktuje *Opowieść o dwóch miastach*.

– Poza tym jedna z postaci jest moim bohaterem. Znasz to powiedzenie: „Co zrobiłby Jezus”?

Przytakuje.

– Moja wersja to: „Co zrobiłby Atticus?”. Jest ogarnięty, zawsze wie, co zrobić. – Wstaję, ubieram wełniane płaszcz i wyciągam z jego kieszeni rękawiczki. Zarzucam plecak na ramię i salutuję Kellerowi. – Do zobaczenia o pierwszej.

Odpowiada, salutując.

– Do pierwszej. Odwiózłbym cię do akademika, ale Dunc wziął Zieloną Strzałę.

– Nie przejmuj się. To czarodziejska zima. – Otwieram szeroko oczy dla podkreślenia efektu. – Nie mogę się doczekać, by wyjść.

Śmieje się z mojego sarkazmu.

Odzianą w rękawiczkę ręką sięgam do klamki, kiedy słyszę, jak Keller woła:

– Katie, zapomniałaś książki.

Uśmiecham się, ponieważ celowo ją zostawiłam.

– Jest twoja. Ktoś inny powinien się w niej zakochać. – To moja ulubiona opowieść.

Dobrze się czuję, zostawiając ją komuś, kto ją doceni.

– Ale nie skończyłaś czytać. – Unosi książkę, wskazując na zakładkę.

Stukam się w skroń.

– Wiem, jak się kończy, a ty nie. – Puszczam do niego oko i uśmiecham się, ale uderza mnie szczerłość i prostota moich słów. On nie wie. Nie zna mojej historii. I właśnie tak powinno zostać, ponieważ zawsze wołałam szczęśliwe zakończenia. – Powinieneś poznać Atticusa Fincha. Jest zaręczystym prawnikiem.

Zatrzymuję się pod drzwiami Kellera o pierwszej piętnaście, ale zanim mam szansę zatrzeć, pojawia się przed budynkiem, jakby nasłuchiwał lub mnie wypatrywał. Kręci głową.

– Chryste, kobieto, czy ty kiedykolwiek przychodzisz punktualnie? – droczy się, ale wiem, że jest wyczulony na tym punkcie.

– Nie. To mój kolejny zły nawyk. Chroniczne i nieuleczalne spóźnianie się. – Wzruszam ramionami, bo właśnie taka jestem. Poza tym na świecie istnieją straszniejsze rzeczy. – Na swoje usprawiedliwienie mam tylko tę piękną pogodę. Trochę mnie spowolniła.

Uśmiecha się.

– Ale udało ci się dotrzeć. To dobry początek.

Keller jest urodzonym instruktorem jazdy zimą. Ma świętą cierpliwość. Prowadzi mnie po opustoszałych, choć oblodzonych ulicach aż do parkingu przed audytorium. Cieszę się, że nikogo nie ma na zewnątrz, bo czuję, że mogłabym kogoś niechcący przejechać. W ten sposób, kiedy coś spieprzę, nikomu nie powinna stać się krzywda. Keller ani razu nie podnosi głosu, cały czas jest spokojny i opanowany. To ten jego cichy, głęboki głos prowadzi mnie po zaśnieżonej drodze, pouczając, bym trochę poluzowała śmiercionośny uchwyt na kierownicy, zwolniła, lekko dotykała hamulca i nie wstrzymywała oddechu. Koi mnie. Przynosi stały, nieprzerwany komfort, który zaczynam uwielbiać.

28 PAŹDZIERNIKA, PIĄTEK

KATE

– Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam! Wszystkiego najlepszego, Promyczku!

Nie ma na świecie nic lepszego, niż Gustov Hawthorne śpiewający „Sto lat” przez telefon.

Robi to co roku... na cały głos i z pełnym entuzjazmem.

– Zarąbista pobudka, Gus.

– Cholera. Obudziłem cię, Promyczku? U was jest szósta, prawda? Myślałem, że już nie śpisz – mówi pospiesznie.

– W porządku, młody. Nie śpię. – Obudziłam się o czwartej czterdzieści pięć i poszłam pobiegać na bieżni w uczelnianej siłowni, po drugiej stronie ulicy. Ostatnio przebiegnięcie kilometra to walka. Jednak już zdążyłam się wykapać i przejść do Grounds na poranną kawę.

– Dobrze. – Mówi jakby z ulgą, ale trochę też jakby był podпиты.

– Młody, brzmisz, jakbyś był wstawiony. Gdzie jesteś?

– Ee – mruczy sennie, po czym podnosi głos: – Cześć, Robbie, gdzie jesteśmy? – Słyszę w tle odpowiedź Robbiego, po czym Gus powtarza: – W Indianapolis. Jesteśmy w Indianapolis, Promyczku.

Jest ubzdryngolony. Nie pamiętam, kiedy ostatnio dzwonił w takim stanie. W tle jest dość głośno, więc nie sądzę, by był w autobusie.

– Jak tam wczorajszymi koncert?

– Zajebisty jak cholera! – To zbyt wiele entuzjazmu, nawet jak na Gusa.

– Super. – Czas sprowadzić go na ziemię. – Pytanie: Gus, wiem, że jesteś teraz w Indianapolis, ale gdzie dokładnie?

Milczy przez chwilę, więc wyobrażam sobie, jak rozgląda się wokół w poszukiwaniu wskazówek, które pomogą mu udzielić odpowiedzi.

– Nie wiem. Jestem w pokoju hotelowym. Cały zespół tu jest! – urywa, po czym krzyczy:

– Co tam, Robbie?! – Wrzeszczy, jakby zobaczył go właśnie po raz pierwszy i nie pamiętał, że rozmawiał z nim jakieś dwadzieścia sekund temu.

– Dzięki za życzenia, ale lepiej już idź. Wyświadczy mi przysługę, znajdzie kogoś trzeźwego, kto powie ci, gdzie jesteś. Jestem przekonana, że macie grać dzisiaj w Chicago. – Próbuje nie pogubić się w ich rozkładzie. Pomaga mi to czuć z nim więź, ponieważ nie rozmawiamy już codziennie. – Powinniście być teraz w drodze.

Słyszę, że zaczyna to do niego docierać.

– Cholera – mówi do telefonu, po czym wrzeszczy w kierunku reszty: – Cholera, chłopaki, gramy dzisiaj w Chicago. Musimy stąd spadać.

– Dobrze, Gus. Dasz radę. A teraz idź do recepcji i poproś, by zamówiona taksówka zawiozła was tam, gdzie wczoraj graliście. I zadzwoń do managera. Pewnie wychodzi właśnie ze skóry.

– Tak. Dzięki. – Brzmi teraz na odrobinę bardziej trzeźwego.

– Kocham cię, Gus.

– Też cię kocham, Promyczku. Wszystkiego najlepszego.

– Dzięki, pa.

– Pa.

Mam dziwny stosunek do własnych urodzin. Nie mówię o nich ludziom, bo nigdy nie cieszyło mnie ich celebrowanie. Kiedy byłyśmy małe, mama uwielbiała obsypywać mnie i Grace prezentami. Nie poświęcała nam czasu, więc wynagradzała to podarunkami. To substytut, który nawet pięciolatka potrafiła przejrzeć. Kiedy byłyśmy starsze, a ona stała się bardziej niestabilna, przestała to robić... nie dawała nam już prezentów... i nadal nie miała czasu. Taka już była.

Rozłączając się z Gusem, wiem, że to już koniec życzeń na dzień dzisiejszy, bo nikt więcej nie wie o moim święcie. Przynajmniej tak mi się wydaje, dopóki około wpół do siódmej wieczorem, gdy jestem w bibliotece, nie dostaję wiadomości od Shelly:

Shelly: WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!

Ja: DZIĘKI? SKĄD WIEDZIAŁAŚ???

Shelly: Z TWOJEGO PRAWA JAZDY, Z AKT PRACOWNICZYCH.

Ja: NARUSZASZ ICH POUFNOŚĆ?

Shelly: MOŻE. PIZZA. ZA PÓŁ GODZINY. PRZYJADĘ DO AKADEMIIKA.

Ja: OK

Nie można spierać się z Shelly, więc biegnę do pokoju, zmieniam spodnie od dresu na jeansy i zakładam czystą koszulkę. O szóstej czterdzieści pięć dostaję SMS-a:

Shelly: KTÓRY NUMER POKOJU?

Ja: 210.

Mniej niż minutę później rozlega się pukanie. Otwieram drzwi, za którymi stoi Shelly ubrana w fioletowy płaszcz. Ma czerwone od zimna nos i policzki.

Zerkam na zegarek.

– Co jest? Nadal mam jakieś piętnaście, dwadzieścia minut.

Uśmiecha się, wchodzi, po czym rzuca się na moje łóżko.

– Wiem. Ale Keller prowadzi. A on zawsze jest wcześniej... podobnie jak ty zawsze się spóźniasz. To taki jego nawyk. Przepraszam.

Ściągam gumkę z włosów i przeczesuję je palcami.

– Keller też jedzie?

Shelly przygląda się zdjęciom na moim biurku.

– Tak, już rano mu powiedziałam, że masz dzisiaj urodziny. To był jego pomysł. No wiesz, urodzinowa kolacja.

– Będę miała te urodziny huczniejsze niż wszystkie dziewiętnaście wcześniejszych.

Wskazuje na zdjęcia.

– Co to za ludzie, Kate?

Jestem dość skryta. Nie rozmawiam z nikim o rodzinie czy Gusie. Jedynie Clay i Pete wiedzą o moim przyjacielu, a i tak tylko to, co niezbędne. Sugar zna imiona, ale nic więcej jej nie obchodzi.

– To moja siostra, Grace, a to mój najlepszy przyjaciel, Gus.

Uroczo dotyka twarzy Grace.

– Nie wiedziałam, że masz siostrę.

– Najlepszą – mówię jedynie tyle. Jestem wdzięczna, gdy przenosi wzrok na Gusa.

Chwyta zdjęcie w obie ręce.

– Cholera, Kate, jest szalenie apetyczny.

– To założenie na wyrost, zwłaszcza że połowę jego twarzy skrywają włosy. – Cieszę się, że nie rozpoznała w nim Gusa Hawthorne’a. Z długimi włosami wygląda całkiem inaczej.

Shelly spogląda na mnie dużymi, ciemnymi oczami.

– Ale taki jest, prawda? To znaczy, na żywo ten gość musi być olśniewająco przystojny.

– Jest miły dla oka.

Kręci głową i odstawia ramkę na biurko.

– Cholera – tylko tyle udaje się jej powiedzieć.

Biorę płaszcz, czapkę i o szóstej pięćdziesiąt pięć wychodzimy. To może być mój osobisty rekord – pięć minut przed czasem.

Shelly otwiera przede mną tylne drzwi Zielonej Strzały zaparkowanej przed głównym wejściem do akademika.

– Graliśmy wcześniej w „papier, kamień, nożyce”, więc chłopakom dostał się przód, a my utknęliśmy z tyłu. Serdecznie przepraszam.

– Żaden problem – odpowiadam, ale wtedy zauważam, że jednak jest jeden mały kłopot.

– Jezu Chryste, Keller. Pufy?

Są tu pufy.

Keller sięśmieje.

– Cześć, solenizantko. Przepraszam za brak tradycyjnego siedzenia.

– A co mi tam. – Wsiadam i zapadam się w jedną z puf.

Shelly żartuje i przedstawia mnie Duncanowi. Duncan przeprosza za tamtą noc, gdy widziałam go po raz pierwszy, a kiedy to wybełkotał do mnie kilka słów i pijany zasnął.

– To nie była moja najznamienitsza chwila – mówi.

Pufy są nawet wygodne, do czasu, aż stajemy na parkingu Red Lion Road, udaje mi się je polubić.

– Dlaczego wszystkie samochody nie są wyposażone w takie siedzenia? – pytam Shelly.

Duncan obraca się i zgadza się ze mną:

– Prawda?

Shelly przewraca oczami.

– To znaczy, oprócz tego, że w razie wypadku śmierć w czymś takim jest gwarantowana?

Rany, no nie wiem, Kate.

Przytakuję z uśmiechem.

– Poza tym jednym makabrycznym szczegółem. Będzie mnie to dręczyć w drodze powrotnej do domu. Dzięki za zrujnowanie mi tej błogości, Shelly. – Wysiadamy i razem wchodzimy do restauracji.

Shelly siada w boksie obok Duncana, nie pozostaje mi więc nic innego, niż usiąść z Kellerem. Boks jest ciasny. Staram się zostawić między nami nieco przestrzeni, ale i tak dotykamy się łokciami.

Keller mnie szturcha i mówi cicho:

– Powinienem był spytać wcześniej, ale lubisz pizzę, prawda?

Kiwam głową.

– Jasne.

Shelly patrzy na nas.

– Dwie duże pepperoni?

– Jedna pepperoni, jedna serowa. Katie jest wegetarianką – mówi stanowczo Keller.

Shelly marszczy czoło.

– Jesteś wegetarianką?

Przytakuję.

Nie wygląda na przekonaną, jakbyśmy próbowali z Kellerem ją wkręcić.

– Serio?

Keller odpowiada za mnie:

– Serio, Shel – mówi i rzuca dziesięć dolców na stolik. Zabawne, jak bardzo jest dumny, że to o mnie wie.

Shelly i Duncan również rzucają na stolik po dyszce, po czym Shelly mówi:

– Ha, człowiek codziennie uczy się czegoś nowego.

Grzebię w kieszeniach, udaje mi się znaleźć jedynie piątkę. Keller oddaje mi banknot.

– Twoje pieniądze nie są tu dobre, solenizantko.

Biorę banknot i oglądam z każdej strony.

– Dlaczego zawsze czepiasz się moich pieniędzy? Tego akurat nie wyprałam ani nie w tym rodzaju. Jeśli nie pozwolisz mi zacząć płacić, będę się czuła jak pasożyt.

Keller zaciska moje palce wokół banknotu.

– To twoja urodzinowa kolacja. Nie płacisz. My stawiamy. Poza tym przez kilka wieczorów w tygodniu robię tu za barmana, więc mam zniżkę na pizzę.

– Pracujesz w dwóch miejscach? – Wiedziałam, że jest zajęty, ale nie wiedziałam, że ciągnie dwa etaty.

Wzrusza ramionami.

– Muszę. Napiwki są świetne.

Duncan szczyrzy zęby.

– Napiwki ma świetne, bo trzeźwe kobiety lubią Kellera... ale pijane wręcz go uwielbiają.

– Jestem dobrym barmanem – broni się Keller. To słodkie, jaki jest poważny.

Duncan spogląda na mnie z uśmiechem.

– Kate, Keller myśli, że dostaje wysokie napiwki, bo świetnie radzi sobie za barem. –

Patrzy na Kellera ze szczerością w oczach. – Jesteś cholernie dobrym barmanem.

Keller kiwa głową.

– Dziękuję.

Ale Duncan nie odpuszcza:

– Jednak mój kolega nie rozumie, że połowa kobiet przychodzących tu we wtorki i czwartki robi to wyłącznie z jednego powodu. A tym powodem jest możliwość gapienia się na Kellera Banksa. To właściwie całkiem śmieszne.

Czasami ja też czuję, że idę do Grounds tylko po to, by się na niego pogapić. Jest wspaniały. Wiem o tym.

Jak na zawołanie, przechodzący obok nas ładny rudzielec uśmiecha się do Kellera i mówi kokieteryjnie:

– Cześć, Keller.

Chłopak unosi dłoń. Lekko jej macha. Jest grzeczny, ale wyraźnie zmieszany.

– Znasz ją? – pyta Duncan, znów szczyrzy zęby.

Keller kręci głową.

– Nie.

Duncan śmieje się dobrodusznie.

– Widzicie? To oczywiste. Nie chodzi o twoje umiejętności za barem.

Keller się rumieni, Shelly wybawia go z opresji. Pochyla się nad stołem i wskazuje między nas.

– Nie chcę przerywać tej urzekającej rozmowy, ale chcesz mi powiedzieć, że Keller Banks, ten dusigrosz, kupił ci coś... za własne pieniądze?

Wzruszam ramionami, kiedy Keller wychodzi z boksu z pieniędzmi w garści, by złożyć zamówienie przy barze.

Kiedy odchodzi, Shelly uśmiecha się szeroko.

– A to ciekawe.

Dwadzieścia minut później do naszego stolika zostaje dostarczony dzbanek piwa, pizza pepperoni oraz serowa, w którą wbite jest dwadzieścia płonących świeczek. Shelly, Keller i Duncan natychmiast odśpiewują całkiem przyzwoitą wersję „Sto lat”. Nie lubię być w centrum uwagi, ale to fajnie mieć tak troskliwych przyjaciół.

29 PAŹDZIERNIKA, SOBOTA

KATE

Kawa. Zdecydowanie potrzebuję kawy. Z Kellerem, Shelly i Duncanem siedzieliśmy wczoraj do późna. Nie piłam alkoholu i ciężko mi było później zasnąć. Potrzebuję sporej dawki kofeiny, by zacząć ten dzień. Dziś wieczorem koncert Rooka, ale zjawią się już w południe. Muszę się obudzić.

W Grounds kilkoro ludzi stoi w kolejce do kasy. Romero saltuje mi z uśmiechem, przyjmując pieniądze od gościa w garniturze. Keller również stoi za ladą, tyle że plecami do mnie. Nie wiem, czy mnie już zauważył, bo obsługuje brunetkę stojącą na początku kolejki. Dziewczyna z nim flirtuje, on nie. Śmieję się w duchu. Boże, tak naprawdę nigdy wcześniej tego nie zauważyłam, ale Duncan miał rację. Kobiety usilnie starają się zwrócić uwagę Kellera. Chłopak zerka na mnie i puszcza do mnie oko. To subtelne. Gdybym się tak na niego nie gapiła, pewnie bym to przeoczyła. Ale nie tylko ja to zauważam. Ktoś inny również się gapi. Brunetka odrzuca włosy na ramię i posyła mi wrogie spojrzenie. Przez chwilę czuję rosnącą pierwotną potrzebę, by w jakiś sposób zaznaczyć, że jest mój. Walczę z obezwładniającym pragnieniem, by rzucić się na ladę i pocałować go do utraty przytomności. Jednak nagle przypominam sobie, że nie jesteśmy parą. Impuls mija, a ja zastanawiam się, co się właśnie, do cholery, wydarzyło.

W końcu nadchodzi moja kolej. Keller klepie Romero w ramię.

– Możesz przygotować Katie kawę, Rome? Dużą, czarną, a ja zaraz wracam. – Obraca się w stronę wewnętrznych drzwi prowadzących do jego mieszkania. – I ja płacę, nie bierz od niej pieniędzy – woła przez ramię, otwierając drzwi. Wraca, kiedy Romero nakrywa mój kubek wieczkiem, macha do mnie z końca lady, po czym zza niej wychodzi. Wręcza mi niewielką kopertę. Widzę jego odręczne pismo:

Wszystkiego najlepszego, Katie.

Pismo jest krzywe, chłopięce. Być może powinien zostać lekarzem, a nie prawnikiem.

– Wszystkiego najlepszego, Katie – mówi z uśmiechem.

– Keller. Co to, urodzinowy tydzień? Nie trzeba. Zabrałeś mnie wczoraj na kolację, pamiętasz?

Wzrusza ramionami.

– Była od nas wszystkich. – Uśmiecha się słodko. – To jest ode mnie.

Otwieram. W środku znajduję kartę podarunkową o wartości dwudziestu dolarów do Grounds.

– Dzięki. Jest idealna. – Wracając myślami do naszej rozmowy w kwaciarni, dodaję: – To szantaż czy przekupstwo?

– Nic z tego. To ubezpieczenie.

– Ubezpieczenie?

– Tak. Dwanaście kubków kawy. Dwanaście wizyt w Grounds. Dwanaście szans na spotkanie. – Ma na twarzy ten uroczy, chłopięcy uśmiech. Znów jest gładko ogolony, co nadaje mu młodzieńczy i kuszący wygląd.

Ściskam go, całuję w policzek i szepczę wprost do ucha:

– Ubezpieczenie brzmi trochę jak przekupstwo. – Odsuwam się, bym mogła spojrzeć mu w oczy. – Nie musisz mnie przekupywać, wiesz? Lubię spędzać z tobą czas. Dziękuję.

Spodziewam się zobaczyć ten jego krzywy uśmieszek, jednak wyraz jego twarzy pozostaje wciąż słodki i szczerzy.

– Proszę. Ja również lubię spędzać z tobą czas, Katie. – Wskazuje na ladę. – Słuchaj, muszę wracać do pracy, ale zobaczymy się wieczorem. Nie mogę się doczekać koncertu.
– Rook będzie dzisiaj zabójczy. – Puszczam do niego oko, po czym podchodzę do drzwi. – Przygotuj się.
Śmieje się i salutuje.
– Tak zrobię.

Po drugiej po południu dostaję od Gusa SMS-a.

Gus: JESTEM! PRZYJECHALIŚMY.

Ja: PRZYJDĘ ZA 10 MIN.

Chwytam torebkę leżącą na łóżku i biegnę do samochodu. Zbiegając ze schodów na parking, szukam w kieszeniach kluczyków, gdy nagle widzę go opierającego się o drzwi mojego auta. Przyspieszam więc, ogromny uśmiech na jego twarzy jest zaraźliwy. Porywa mnie w ramiona, podnosi i obraca, moje nogi fruują nad ziemią. Uwielbiam, gdy Gus mnie tuli. Jest taki duży, że gubię się w jego ramionach.

Stawia mnie na ziemi i obejmuje moją twarz.

– Nie wierzę, że to naprawdę ty, Promyczku. Skype to kiepski substytut prawdziwego spotkania.

Zgadzam się. Uśmiecham się i dotykam jego włosów.

– Dobrze wyglądasz.

Kręci głową, a potem kiwa w kierunku budynku za mną.

– To twój akademik?

Przytakuję.

– To mnie oprowadź. Muszę poznać tych, których nazywasz przyjaciółmi. Muszę wrócić dopiero na próbę o piątej.

Najpierw odwiedzamy Claya i Pete'a. Clayton jest w Minneapolis z Morrisem, ale Pete jest na miejscu. Na początku jest uprzejmy i nieśmiały, ale po kilku minutach rozmowy się rozluźnia. Przynajmniej na tyle, na ile potrafi to zrobić. Mówię Peterowi, że Gus przyjechał na koncert (omijając fragment, że to on będzie grał). Gus pyta chłopaka, skąd pochodzi, co studiuje i jak mu się żyje w Minnesocie. Wydaje mi się, że Pete jest zaskoczony tymi wszystkimi pytaniami, a także faktem, że Gus naprawdę z zainteresowaniem słucha jego odpowiedzi. Kiedy mówię Gusowi, że chyba powinniśmy już dać Pete'owi spokój, ten zerka na stojące na biurku, oprawione zdjęcie przedstawiające Pete'a i Evelyn. W jego oczach maluje się łobuzerski błysk. Nie podoba mi się to. Widywałam go już tak wiele razy. Nie wróży to nic dobrego.

Gus chwyta zdjęcie.

– To twoja dziewczyna, Pete?

– Tak, ma na imię Evelyn – potwierdza, uśmiechając się szeroko.

Gus odstawia fotografię.

– Fajna z was para. Powiedz mi, Pete, czy ona lubi kowbojów?

– Kowbojów? – Mocno ściąga brwi, słysząc to dziwne pytanie.

– Może w skórzanych ochraniaczach? – naciska Gus.

O cholera, już wiem, do czego zmierza.

Pete wzrusza ramionami.

– Nie wiem. – Jest zdezorientowany.

Gus pochyla się, jakby chciał się podzielić jakąś supertajną informacją, ale nie ścisza przy tym głosu:

– Młody, mam taką radę, laski uwielbiają skórzane ochraniacze. Trochę zabawy ożywia atmosferę w sypialni. – Unosi brwi i się uśmiecha, jakby właśnie wyświadczył Pete'owi przysługę. – To wszystko, co ci powiem.

Twarcz Pete'a jest krwistoczerwona.

Wypychając szybko Gusa na korytarz, mrużąc do Pete'a cicho:

– Przepraszam.

Gus woła głośno przez ramię:

– Pomyśl o tym, młody. Pomyśl o tym.

Pete uśmiecha się zawstydzony.

– Dzięki.

Klepię Gusa w ramię, gdy już jesteśmy bezpieczni za drzwiami mojego pokoju.

– Nie wierzę, że to zrobiłeś.

– Ale co? – pyta, zgrywając niewiniątko, po czym wybucha śmiechem. – Wyświadczyłem mu przysługę. Widziałas jego twarz, gdy wychodziliśmy? Zastanawiał się nad tym, młoda. Evelyn mi za to podziękuje, Promyczku. Podziękuje i to bardzo.

Kręcę głową. Może ma rację.

W pokoju nie ma Sugar, więc możemy się wyluzować. Gus z ciekawością widywaną jedynie u dzieci, kotów i Gustova Hawthorne'a przygląda się każdemu fragmentowi mojego pokoju. Nie jest wścibski czy natrętny, ale chce znać każdy szczegół... mojej prywatnej przestrzeni. Nieważne, czy chodzi o miejsce, przedmiot czy kobietę, Gus wykazuje ponadprzeciętną ciekawość i nie traci czasu.

Oprowadzam go po kampusie, pokazuję, gdzie mam wykłady. Za każdym razem zadaje milion pytań. Gdyby to był ktoś inny, pomyślałabym, że go nudzę, jednak nie Gusa. On jest zainteresowany każdym aspektem mojego życia tak samo lub nawet bardziej niż swojego. Odwzajemniam to. Zawsze tak było. To jeden z powodów, dla których tak długo się przyjaźnimy.

Nasz czas nieubłaganie się kończy, więc wracamy do mojego samochodu.

– Chcesz napić się kawy, zanim pojedziemy do audytorium?

– W tym sławnym Grounds, o którym tyle słyszałem?

Przytakuję.

– Oczywiście. Tak się cieszyłem, że cię dzisiaj zobaczę, że nie spałem w nocy za wiele.

Przydałaby mi się kawa.

Uśmiecham się.

– Podobnie jak ja.

Dzwonek grzmi, gdy Gus otwiera drzwi kawiarni. Chłopak przygląda mu się z ciekawością, trzymając przede mną otwarte skrzydło. Pochyla się i szepcze mi do ucha:

– Po co im ten cholerny dzwonek?

Uśmiecham się.

– Prawda?

Spoglądam za ladę i wytrzeszczam oczy ze zdziwienia. Nie ma za nią ani Kellera, ani Romero. Pierwszy raz widzę tego mężczyznę. Jest po czterdziestce i jest bardzo przystojny.

Wysoki, elegancki, dystyngowany nawet. Ma ciemne włosy, siwiejące na skroniach i ciemne, poważne oczy. Kłania się z przyjaznym uśmiechem.

– Witamy w Grounds.

Wtedy to do mnie dociera. To musi być Dan, partner Romera.

– Dan?

Uśmiecha się nieśmiało.

– Tak.

Wyciągam rękę, by się przedstawić.

– Wiele o tobie słyszałam. Jestem Kate.

W jego oczach pojawia się blask.

– Katie Kellera?

Gus zerka na mnie, jakby coś mu umknęło, a ja zdezorientowana spoglądam na Dana.

– Tak, jestem przyjaciółką Kellera.

Dan potrząsa kilka razy moją dłoń, co można uznać za normalny gest:

– Miło mi cię w końcu poznać. Również wiele o tobie słyszałem.

Przedstawiam Gusa, mimowolnie zauważam, że Dan wydaje się być chłodny w stosunku do niego.

Zamawiam moją standardową dużą, czarną kawę, Gus zamawia taką samą, lecz później sypie do niej sporo cukru. Za każdym razem, gdy to robi, bolą mnie zęby.

Gus przygląda mi się w samochodzie, gdy zapinam pas.

– Promyczku, spotykasz się z kimś?

– Nie. Keller i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– A on o tym wie? Bo ten gość tam zachowywał się jak ojciec, który poznał przyszłą synową. To było dziwne.

Jadę z Gusem do audytorium. Witam się gorącymi uściskami z pozostałymi trzema członkami zespołu, po czym zostaję na ich próbie. Brak mi słów. Koncerty co wieczór przez ostatni miesiąc zdecydowanie wyszły im na dobre. Brzmia idealnie. Gdy mieszkałam w San Diego, wiele czasu spędzałam na ich próbach. Zawsze pracowali nad nowym materiałem, doskonalili brzmienie, nie powstrzymywało ich to jednak przed graniem coverów. Śpiewałam z nimi wtedy, bo było to niczym karaoke z zespołem na żywo. Jestem więc szczęśliwa, gdy Gus pyta:

– Promyczku, chcesz dołączyć w jakiejś piosence?

Patrzę na chłopaków z zespołu, a oni wszyscy się do mnie uśmiechają. Pomimo pustej przestrzeni na widowni audytorium, w którym się znajdujemy, wydaje się, jakby to była jedna z tych niegdysiejszych wspólnych prób. Z zespołem czuję się bezpiecznie i swojsko. Nie potrafię ukryć uśmiechu.

– Co zagrasz?

Franco obraca w palcach palczkami. Myślę, że nawet nie zdaje sobie z tego sprawy – to taki jego nawyk.

– Głosuję za *Sex* – mówi.

– Za aktem czy za piosenką? – droczę się.

Pociera brodę, jakby się zastanawiał.

– Mogę mieć i to, i to?

W czasie, gdy wchodzę na scenę, Gus ustawia mi mikrofon.

– Nie, nie możesz. I nie zagramy *Sex* – mówi.

– Dlaczego nie? – pytam. – To świetna piosenka. Przecież lubisz *The 1975*.

Gus uśmiecha się i kręci głową, nim zerka przez ramię na Franco.

– Ponieważ, Promyczku, to podstęp. Franco ma ukryte motywy. Jeśli zaśpiewasz tę piosenkę, zaśpiewasz ją dla niego...

Franco przytakuje i uśmiecha się od ucha do ucha, po czym wtrąca:

– Jak zabawa dwóch dziewczyn.

Gus kręci głową.

– Promyczek nie będzie z nami śpiewała tylko po to, by podkreślić twoje fantazje, czubku.

Franco śmieje się dobrodusznie. Wzrusza też ramionami.

– Musiałem spróbować.

Gus włącza gitarę.

– Zagramy *Panic Switch*.

Wie, że uwielbiam tę piosenkę. Cały zespół ją lubi. Podobnie jak większość piosenek *Silversun Pickups*, ta również jest kontrolowanym chaosem. Jeśli wnikliwie przysłuchacie się, co wyczyniają perkusja, bas, gitara i wokół, wszystko to oddzielnie będzie brzmiało jak inne piosenki. Złóżcie to w całość i powstaje genialny kawałek.

– Jestem za, wchodzę.

Gus miesza coś w ustawieniach pedałów od efektów, zaczyna grać, a po chwili dołączają pozostali. Czuję się dobrze, mogąc ponownie śpiewać. Do tego wszyscy się cieszą. Śpiewam i tańczę na scenie, jakbyśmy byli jedynie w piątkę w piwnicy Gusa. Zespół brzmi tak dobrze.

Piszę do Kellera, Claytona, Shelly i Pete'a, że spotkamy się wieczorem na miejscu, po czym wciskam cały zespół do mojego autka i wiozę ich na obiad do Minneapolis. Wybór restauracji w Grant jest ograniczony. Koncert zaczyna się o dziewiątej, więc mamy jeszcze sporo czasu, by zjeść, napić się (prowadzę, więc pozostają przy wodzie) i nadrobić zaległości w plotkowaniu. U nich nic się nie zmieniło. Jamie nadal jest słodziakiem, Franco flirciarzem, a Robbie wciąż jest tym cichym. Przyjaźń z nimi, zwłaszcza z Franco, zawsze przychodziła mi z łatwością. Czuję się przy nich naturalnie i swobodnie. Szanujemy się i wspieramy nawzajem.

W drodze powrotnej poświęcam chwilę, by przedyskutować z nimi drażliwy temat.

– Chłopaki, mam pytanie: czy uważacie, że jestem złym kierowcą?

Gus natychmiast obraca głowę i przygląda mi się z fotela pasażera. W jego oczach odbija się szok. Jednak nim ma szansę otworzyć usta, Franco odzywa się z tylnego siedzenia:

– Zdefiniuj „złego kierowcę”.

– No nie wiem, młody. Niebezpiecznego? Czy czujecie, że wasze życie wisi na włosku, kiedy siedzę za kółkiem?

Odzywa się Gus:

– Nie ma nic złego w twoim sposobie jazdy. Kto ci tak powiedział? To ja uczyłem cię prowadzić, pamiętasz?

Macham ręką, by go splawić.

– I właśnie dlatego nie jesteś obiektywny. Nie możesz odpowiadać na to pytanie. –

Patrzę we wsteczne lustro na pozostałą trójkę ściśniętą na tylnej kanapie. – Chłopaki?

Jamie szczerzy zęby w uśmiechu.

– Dlaczego pytasz?

Spoglądam na drogę, nim znów zerkam na niego w lusterku.

– Ktoś po przejeździe ze mną wyraził swoją głęboką troskę.

Robbie się śmieje i mówi:

– Kate chce powiedzieć, że cholernie wystraszyła swojego pasażera.

Uśmiecham się z wyrzutami sumienia.

– Dwóch pasażerów.

Wcina się Gus:

– Gówno pra... – Przerrywam mu, unosząc palec. Opada na siedzenie.

Franco szturcha moje siedzenie kolanem na tyle mocno, bym to poczuła.

– Nie przejmuj się, Kate. To mięczaki. Jesteś szybkim i agresywnym kierowcą. Nie ma w tym nic złego. Następny temat proszę.

Kątem oka widzę, że Gus się uśmiecha. Czułość w tym uśmiechu sprawia, że od razu mi lepiej.

KELLER

Nie będę kłamał. Byłem rozczarowany, gdy odczytałem SMS-a od Katie, mówiącego, że spotka się z nami na koncercie. Nie rozmawialiśmy o tym, ale miałem nadzieję, że wcześniej spędzimy trochę czasu całą paczką, po czym pojedziemy tam wspólnie. W tej sytuacji straciłem ten czas. Wyczekuję każdej minuty, którą mogę spędzić w jej towarzystwie. Gdyby była przy mnie cały dzień i tak byłoby mi mało.

Poza tym byłem zdruzgotany, gdy około szóstej poszedłem do Grounds na kawę, a Dan oznajmił mi, że Katie była tu wcześniej. I to z jakimś facetem. Nie pamiętał jego imienia, ale powiedział, że był wysoki, dobrze zbudowany i miał jasne włosy. Do nikogo mi ten opis nie pasował. Przycisnąłem go, a on powiedział:

– Przykro mi. – Dobre wieści nigdy nie zaczynają się od „przykro mi”. Dan powiedział, że wyglądali, jakby dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Wychodząc, on ją obejmował, a następnie pocałował w czoło, nim wsiedli do samochodu. Cholera! Dlaczego jej nie wyznałem, co do niej czuję? Teraz jest z kimś innym. A może była z nim cały czas. Wiedziałem, że nie powinienem otwierać dla niej serca. Złamię mi je. Wiem to od chwili, w której ją zobaczyłem. Nigdy nikogo nie skrzywdziłaby celowo, ale... to nieuniknione. To tylko moja wina. Mimo to czuję się paskudnie. I choć wiem, że to irracjonalne, jestem na nią zły. Nie ma mowy, bym poszedł dzisiaj na ten koncert.

Dzwonię jak co wieczór do domu w Chicago, a następnie dobieram się do jedynej butelki alkoholu, jaką mam: tequili. Tequila jest fantastycznym kompanem, upaja jak nic innego. Wiem, bo kiedy Dunc i Shel przychodzą po mnie o ósmej trzydzieści, butelka jest niemal pusta, a ja ochoczo biegnę na koncert, na który jeszcze kilka godzin temu przysięgałem nie iść.

Shel SMS-uje z Katie przez cały czas, kiedy czekamy w kolejce, by dostać się do audytorium. Przekazuje Duncowi, że Katie pojechała na obiad ze starymi przyjaciółmi, którzy przyjechali do miasta na koncert. Tak, wiem, że była z przyjacielem. Właśnie

dlatego tak się upodiliłem.

Do czasu aż udaje nam się wejść, zespół zdążył się rozłożyć na scenie, publika już wiwatuje. Shel krzyczy przez chwilę do telefonu, starając się zlokalizować w tym chaosie przyjaciółkę, po chwili przepychamy się już między setkami studentów, by znaleźć Katie i jej przyjaciół. Wcześniej poznałem już Clayтона, gdy przyszedł z nią na kawę do Grounds, ale reszty nie znam. Choć nikt z nich nie jest wysokim, umięśnionym chłopakiem, którego opisywał Dan. Wypuszczam wstrzymywane w płucach powietrze, bo przynajmniej nie jest z nim. Nie chcę na nią patrzeć, ale nie potrafię się powstrzymać. Jest piękna jak za każdym razem, gdy ją widzę. Jej włosy są rozpuszczone i zmierzwione. Potargane, jakby dopiero co wstała z łóżka... po uprawianiu seksu. Cholera. Ma na sobie jedną z tych własnoręcznie robionych koszulek, która na kimś innym wyglądałaby niedorzecznie, jednak na niej prezentuje się idealnie. Opina ją we wszystkich właściwych miejscach. Dzisiejsza głosi: „I ♥ San Diego”. Chyba nie widziałem jej wcześniej. Katie uśmiecha się do mnie, jakby się cieszyła na mój widok. Boże, jak bardzo bym chciał, by była to prawda.

Drobnymi dłońmi łapie mnie za biceps i choć jestem dość porządnie znieczulony alkoholem, czuję ten kontakt. Jak zawsze ma zimne ręce, jednak ich dotyk rozgrzewa moją skórę.

– Cieszę się, że jesteś! – wrzeszczy mi do ucha, przekrzykując muzykę.

Nie mogę się powstrzymać przed zadaniem tego pytania:

– Gdzie twój przyjaciel? – bełkoczę ze złością. Słowa te brzmią obco, jakby nie były moje.

Oszołomiona, odsuwa się i patrzy mi w twarz.

– Jesteś pijany?

– Dokładnie – odpowiadam. – Dan mówił, że po południu byłaś w Grounds z „przyjacielem”. – Zaznaczam palcami cudzysłów przy ostatnim słowie, czego natychmiast żałuję. Dlaczego zachowuję się jak fiut? Przecież nie jesteśmy parą.

Kiedy odpowiada, również zaznacza palcami cudzysłów.

– Mój „przyjaciel” jest tutaj. Poznacie go po koncercie. – Wygląda, jakbym ją zranił, odwraca głowę w kierunku sceny. Po jakimś czasie przesuwa się, następnie wciska między Shel a Clayтона. Pilnuję, by stać za nią. Nigdy nie stoi nieruchomo, więc to jak mierzenie do ruchomego celu.

Muzyka jest głośna, dźwięczy mi w uszach przez kilka pierwszych piosenek. Pozwalam, by mnie wypełniła. Upaja jak tequila, więc aktualnie tonę. Nie patrzę nawet na scenę. Czuję się jak psychopata, ale nie mogę oderwać spojrzenia od Katie. Jest zwrócona do mnie tyłem, zaledwie kilka centymetrów przede mną, ale sposób, w jaki porusza się do rytmu, wysyła moje fantazje na zupełnie nowy poziom. Wyobrażam sobie, jak zrywam z niej ubranie i biorę na dziesięć różnych sposobów właśnie tutaj, na oczach tych wszystkich ludzi.

W miarę trwania koncertu nieco trzeźwieję, kakofonia dźwięków zmienia się w słowa, melodię perkusji i gitar. Najwyraźniej gniew wietrzeje wraz z alkoholem. Może to te nieprzyzwoite myśli, które o niej miałem, a może fakt, że to Katie i przecież nikt nigdy nie mógłby się na nią złościć, a może to, że stoję tak cholernie blisko niej, ale uświadamiam sobie, że nie powinienem brać spędzonego z nią czasu za pewnik.

Następna piosenka jest powolną balladą. Reszta zespołu zeszła ze sceny, wokalista zamienił gitarę na akustyczną. Muszę przyznać, że gość ma talent. Piosenka jest smutna, nawet jeśli mój upity umysł nie jest w stanie rozróżnić wszystkich słów, wiem, że mówi

o utracie kogoś bliskiego. Oczywiście jest, że piosenka jest osobista. Głos frontmana jest głęboki i przepełniony bólem. Porusza w moim wnętrzu pogrzebaną tęsknotę, nie mogę się przez to opanować, chcę poczuć fizyczny kontakt. Chwytam Katie za biodra, a kiedy się nie wzbrania, powoli przesuwam palce aż na jej brzuch. Opuszkami kciuków leciutko dotykam jej piersi, zaś małymi palcami paska jej dżinsów. Jej koszulka jest cienka. Mogę wyczuć, jak pod nią wygląda. Katie opiera się o mnie i pozwala się tak trzymać. Palcami gładzi mnie po przedramionach, rozpalając ogień w moich żyłach.

Muszę tracić rozum. Zanim ją spotkałem, życie było proste. Robiłem wszystko, co powinienem, kiedy powinienem i jak powinienem. A teraz? Teraz tulę ją w ramionach. A ona ma chłopaka. I jest wspaniała. Nie mogę powstrzymać tej obsesji, jestem dwie sekundy przed zrobieniem czegoś naprawdę głupiego.

Jedną sekundę...

Nie mogę się powstrzymać.

Opieram podbródek na jej głowie i policzkiem dotykam jej miękkich włosów. Zaciągam się głęboko. Pachnie tak dobrze. Jej ciało zamiera, ale ręce pozostają na moich. Biorę to za przyzwolenie. Pochylam się do jej ucha i muskam je nosem, by po chwili zniżyć się do jej szyi. Moje serce bije jak oszalałe, jestem pewien, że ona to czuje. Opuszcza jedną rękę, następnie przenosi ją na moje udo, w bliskiej odległości od tyłka. Przechyla głowę na bok, ułatwiając mi dostęp. Przywieram do niej. Ona odchyła się w moją stronę. Tak silne okazywanie fizycznego pożądania przy tyłu osobach powinno mnie zawstydzić, ale jestem zbyt pijany, by się tym przejmować. Poza tym jesteśmy stłoczeni na tej sali jak sardynki, wszyscy i tak skupiają się na scenie. Nikt nie zauważy. Dotkam ustami jej szyi. Jest ciepła, miękka i lekko zroszona potem. Chciałbym jej posmakować. Wyciągam język i kiedy już mam jej dotknąć, najgorętszy moment mojego życia zostaje brutalnie przerwany.

Piosenka się kończy, publiczność szaleje, wiwatuje i klaszcze, przez co wszyscy zaczynają się ruszać. Zostajemy brutalnie wyrwani z naszej własnej chwili przez fizyczną reakcję łańcuchową poruszających się obok nas ciał.

Dunc szturcha mnie łokciem, a kiedy patrzę mu w twarz, unosi brwi i się uśmiecha. Ten drań wszystko widział.

Katie zerka za siebie. Przygryza dolną wargę. Spojrzeniem szuka czegoś w moich oczach, po czym patrzy na moje usta. Moje serce gubi rytm.

Shel, która całą noc pije piwo i teraz jest pijana jak ja, natychmiast zabija nastrój. Podskakuje nieprzerwanie jak naćpana nastolatka, ściska Katie i bełkocze coś o tym, jak bardzo uwielbia tę piosenkę i jak przystojny jest wokalista.

Gwoździem do trumny jest powrót na scenę reszty członków zespołu, kiedy to wokalista zdejmuje przepoconą koszulkę, ponownie zamieniając gitary. Każda kobieta będąca w sali krzyczy, może prócz Katie, która tylko kręci głową i się uśmiecha. Zwiększona energia tłumu wydaje się ją ode mnie odciągać.

Wokalista ściąga ze stojaka mikrofon i daje publiczności znak, by się uspokoiła. Tłum cichnie. Muszę przyznać, że gość wie, co robi. Cały wieczór ma władzę nad zgromadzoną rzeszą ludzi. Dosłownie jedzą mu z ręki.

– Mamy dla was jeszcze jedną, ostatnią piosenkę. Niestety, gdy wykonujemy ją na żywo, nie brzmi tak dobrze, jak na płycie, ponieważ przy każdym słowie musicie słuchać mojego gównianego głosu. – Publiczność się śmieje, ale gość unosi ręce, by ponownie ją uciszyć. –

Widzicie, mamy bardzo utalentowaną przyjaciółkę, która ma wręcz anielski głos. To właśnie dzięki niej ta piosenka jest tak wyjątkowa, ale, jak widzicie – wskazuje na pozostałych członków – nie ma jej w zespole. – Tłum szaleje, ponieważ wiedzą, o jakiej piosence mowa. Ja też wiem. To *Killing the Sun*. Nieustannie grają ją w uczelnianej stacji radiowej. To dobra piosenka, ale facet ma rację. Jest tak dzięki głosowi tej kobiety. To dźwięk, który odczuwa się w kościach. Seksowny, jednocześnie wrażliwy i silny.

Po kolejnej próbie uciszenia publiki lider mówi:

– Mam dla was dobre wieści, Grant. – Spogląda na perkusistę i mimo że nie mówi do mikrofonu, jest dość dobrze słyszalny: – Młody, ona się cholernie na mnie wkurzy. – Po czym wraca do tłumu przed sobą i ciągnie: – Ta dziewczyna jest na sali i mam wielką nadzieję, że wyjdzie na scenę i zaśpiewa dziś z nami. – Tłum wiwatuje, gwizdże i tupie.

Jesteśmy jakieś niecałe dziesięć metrów od sceny, mimowolnie zauważam, że wokalista patrzy w naszą stronę.

– Chodź, Promyczku, nie każ mi błagać. – Opada na kolana, składa ręce przed swoją szeroką, muskularną, nagą piersią. Gość wygląda jak filmowy bóg Thor. – Proszę... proszę... – Wskazuje na publiczność, by dołączyła do niego w błaganiach, co ta robi z ochotą. Wszyscy na sali zaczynają prosić, łącznie ze mną. Robię to, ponieważ jestem ciekaw i chcę zobaczyć, co to za kobieta.

Wokalista kręci głową i się śmieje.

– Dobra, sama chciałaś. Albo przyjdiesz tu z własnej woli, albo po ciebie pójde. Twój wybór. – Na chwilę krzyżuje masywne ramiona na piersi, po paru sekundach dodaje: – Ostrzegalem. – Bez namysłu upuszcza mikrofon, zeskakuje ze sceny, przechodzi przez barierę odgradzającą publiczność i toruje sobie drogę pośród tłumu. Oczywiście każda dziewczyna chce go dotknąć, więc to go trochę spowalnia, ale kiedy w końcu przystaje, robi to przed Claytonem, który wygląda, jakby miał zemdleć. Wtedy zauważam, że Katie, kucając, kuli się za chłopakiem, jakby próbowała się schować. Wokalista wyciąga rękę i klepie Katie po ramieniu. Kiedy dziewczyna unosi głowę, gość macha na nią palcem.

Katie kręci głową.

– Nie ma mowy, młody – krzyczy.

– Chodź, Promyczku. Naprawdę nie chcę robić sceny.

Katie wstaje i ponownie na niego krzyczy:

– Trochę na to za późno, nie sądzisz?

Facet się rozgląda. Każda para oczy skupiona jest bezpośrednio na nim. Wzrusza ramionami.

– Pewnie tak – mówi, po czym chwyta dziewczynę niczym piórko i przerzuca ją sobie przez ramię. Jej ciało robi się bezwładne, gdy całkowicie się poddaje.

Co, u diabła?

Rozglądam się, wszyscy przyjaciele Katie są oszołomieni. Przynajmniej nie jestem w tym osamotniony. Ona śpiewa? Dlaczego nic o tym nie wiem? Jest w pieprzonym radiu! Dlaczego nikomu nie powiedziała?

Wokalista wnosi ją na scenę. Basista podchodzi do niej i ją obejmuje, podczas gdy lider ustawia dla niej mikrofon. Kiedy wszystko jest gotowe, dziewczyna podchodzi i przygląda się publice. Mikrofon wyłapuje prywatną rozmowę:

– O kurde, widziałeś tych wszystkich ludzi?

Perkusista krzyczy:

– Nie spieprz tego, Kate.

Dziewczyna pokazuje mu wyprostowany środkowy palec, nawet się nie obracając. Chłopak się śmieje. Ona się tym nie przejmuje – uwielbiam to w niej.

Wokalista wiesza na piersi gitarę i zajmuje miejsce przed drugim mikrofonem, niedaleko niej. Śmieje się, jakby dobrze się bawił. Ona krzywi się w odpowiedzi, jednak widać w tym ślad uśmiechu.

– Zabiję cię za to. Wiesz o tym, prawda?

Publika się śmieje i wiwatuje, czekając, co stanie się dalej. Lider wydobywa z gitary pierwsze dźwięki, następnie mówi:

– Poczekaj z tym do końca piosenki, Promyczku, potem cały będę twój.

Może to alkohol w moich żyłach, ale to wszystko wydaje się być surrealistycznym snem. Muzyka narasta, Katie wygląda na scenie na tak małą, a jednocześnie tak potężną. Za każdym razem, gdy otwiera usta, jej oczy się zamykają i powstaje fala niesamowitego dźwięku, która mnie obmywa. Jest to porównywalne ze świetnym seksem. Piosenka mówi o życiu i o kochaniu w niekończącej się chwili. O tym, że ta noc może być ostatnią, więc chcemy, by trwała wiecznie. Opowiada o tym, że możemy opóźnić nadejście poranka, niemożliwić mu to, zabijając słońce. To hymn. Tłum szaleje, kołysze się, śpiewa. Energia tego miejsca jest niewyobrażalna. Tysiąc ludzi przeżywa tę samą piosenkę, oddycha tymi samymi słowami.

Każdy z nich uwielbia Katie za to, że tak im siebie oddaje, tak się w tym zatracza. Kiedy kończy swój ostatni wers, odchodzi od mikrofonu, starając się odsunąć od siebie uwagę. Kołysze się tylko w miejscu do rytmu. Przygląda się reszcie zespołu z szerokim uśmiechem, jakby nie chciała utracić ani sekundy tego, co się wokół niej dzieje. To najlepsza rzecz w Katie. Nigdy niczego nie bierze za pewnik. Docenia każdy pojedynczy moment.

Perkusista i basista dołączają, śpiewając ostatnie wersy piosenki. Grają harmonijnie, uśmiech Katie poszerza się na ich widok.

Kawałek się kończy, wokalista krzyczy do mikrofonu:

– Dajcie czadu dla mojej dziewczyny! – Przerzuca gitarę na plecy, po czym porywa Katie w ramiona i wiruje z nią w koło. Ona trzyma go mocno. Śmieje się. Przyglądanie się im wydaje się być złe, bo to bardzo osobista chwila, wręcz intymna, ale nie potrafię odwrócić wzroku.

Moje serce zamiera. Oczywiście to z nim była w Grounds. Pieprzona gwiazda rocka. Jak niby mam z nim konkurować? Wraca do mnie złość zmieszana z bólem. Nie cierpię tego, ale jestem cholernie zazdrosny.

Zespół dziękuje wszystkim i schodzi ze sceny, publika, przekonana, że nie będzie bisu, zaczyna się rozchodzić. Katie stoi na podłodze przed sceną, ale za barierkami i czeka na nas. Dwaj potężni ochroniarze zasłaniają ją, nie dając nikomu się zbliżyć.

Kiedy pochodzimy na tyle blisko, by się słyszeć, wszyscy zostają sobie przedstawieni. Jestem grzeczny, choć wkurzony, przez co nie pamiętam imion dwóch osób, które dopiero co usłyszałem. Każdy twierdzi, że to Katie skradła show i nikt nie wiedział, że ma ukrytą osobowość, gratulujemy jej całą grupą. Cóż, reszta grupy jej gratuluje. Ja jestem wściekły, napalony, pijany i całkowicie zachwycony – a to kiepska kombinacja. Nie mogę na nią patrzeć.

Pokazujemy VIP-owskie przepustki, więc ochrona pozwala nam wejść za kulisy. Katie

nie ma pojęcia, dokąd iść, ale Shel jest zdeterminowana, by poznać wokalistę, którego z przyjemnością uderzyłbym w twarz.

Wpadamy na perkusistę. Jest ogolony na łyso, jego ramiona pokrywają tatuaże. Gość wyglądałby groźnie, gdyby nie szeroki uśmiech. Ściska Katie.

– Kate, brzmiałaś beznadziejnie. Zrujnowałaś nam cały koncert.

Dziewczyna uśmiecha się szelmowsko.

– A twoje bity są do dupy, młody. Najwyraźniej ten wieczór dla ciebie też nie był najlepszy.

Śmieje się.

– Brakowało mi ciebie, dziewczyno. – Zanim ją puszcza, całuje ją w czoło.

Kate nam go przedstawia. Ma na imię Frank albo Fred, naprawdę nie wiem. Jestem zbyt pijany i wkurzony, by się przejmować.

Kiedy Kate pyta o resztę zespołu, facet wskazuje jej drzwi na końcu korytarza, które prowadzą na zewnątrz audytorium. Zaparkowany tam autobus ma już uruchomiony silnik. Dupek opiera się o niego, paląc papierosa. Na widok Katie jego pieprzona twarz rozświetla się jak bożonarodzeniowa choinka. Rzuca papierosa, przydeptuje go i idzie w naszą stronę.

Dalsze wydarzenia rozmywają mi się w oparach alkoholu, emocji i lekceważenia. W przypadkowej kolejności.

Wszyscy się przedstawiają. Lider jest jej najlepszym przyjacielem, Gusem. Gościem, którego zna całe życie. Facetem, z którym spała, nim przyjechała do Grant. Naprawdę go w tej chwili nienawidzę.

Dupek rozdaje zdjęcia i autografy.

W którejś chwili Shelly wymiotuje za autobusem.

Clayton z partnerem i ten drugi z dziewczyną znikają.

Gus obejmuje Katie (to ja powinienem ją obejmować).

Mówi jej, jaka była dziś wspaniała (to ja powinienem jej to powiedzieć).

Mówi, jak bardzo jest z niej dumny (to ja powinienem być z niej dumny).

Mówi, jak bardzo za nią tęsknił (ja też tęsknię, choć stoi zaledwie dwa metry ode mnie).

Kierowca otwiera drzwi autobusu i woła:

– Gustov, odjeżdżamy za dwie minuty.

Katie uśmiecha się smutno. Nie chce, by wyjeżdżał. Widok tego uśmiechu dosłownie mnie zabija.

Dupek tuli ją mocno i całuje w czoło.

– Dzięki, Promyczku. Porozmawiamy jutro. Kocham cię.

– Też cię kocham, Gus – mówi, a mnie pęka serce i mam tego dosyć.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że z nim jesteś? – Mój głos jest zdławiony i pełen desperacji.

To naprawdę ja?

– Co? – Jest zdezorientowana. – Nie jesteśmy z Gusem parą.

Dupek ją puszcza.

Podchodzę o krok.

– Nie umiesz kłamać – mówię głośno.

Katie zostaje odsunięta na bok i nagle stoję nos w nos z tym gościem.

– Żaden palant nie będzie tak do niej mówił. – To groźba z jego strony.

Chciałbym, by mnie uderzył. Wyciągnął z tego nieszczęścia. Mrużę więc oczy i drwię:

– Nie mówiłem do ciebie, kolego. – Kiedy jestem napruty, potrafię być złośliwy.

Czuję, że jego cierpliwość się kurczy.

– Nie znasz mnie. Nie jestem twoim „kolegą”.

I tyle mi trzeba.

– Ale możesz mi obciągnąć.

Chwyta mnie za koszulę.

– Coś ty, kurwa, powiedział?

Nim mam szansę zareagować, ktoś chwyta mnie od tyłu. Wyrrywam się, ale słyszę donośny głos Dunca:

– Wystarczy, Banks. – Silnym uchwytem na ramieniu zostaję odciągnięty od katastrofy, którą wywołały moje usta. Koszulka rozdziera się na przodzie i po chwili jestem wolny od przytrzymującego mnie za nią Gusa. Wszystko to przy dźwiękach uspokajającej przemowy Dunca:

– Wyluzuj, człowieku. Już wystarczy.

Katie pojawia się przede mną.

– On jest moim przyjacielem, Keller. O co ci chodzi? – Nie jest zła, bardziej wygląda na zranioną.

Parskam dzikim śmiechem.

– O co mi chodzi? – Ściszam głos, by tylko ona mnie słyszała. – O to mi chodzi, że ja nie posuwam swoich przyjaciółek. – Jej twarz markotnieje. Skupiam na sobie całą uwagę Katie, więc wiem, że powinienem się zamknąć, ale słowa same wypływają z moich ust: – Zatarły ci się lekko granice, co? – Dunc wciąż próbuje mnie odciągnąć, więc przestaję z nim walczyć. Wskazuję na Gusa i rzucam: – Wygrałeś, kolego. – Brzmie, jakbym się krztusił. Powtarzam bardziej do siebie: – Wygrałeś. – Złość narasta, gdy przyznaję się do porażki: – Jest twoja.

Chwilę później uświadamiam sobie, że jestem w Zielonej Strzale. Shel śpi z tyłu na pufie. Dunc psioczy na mnie przez całą podróż do domu. Nie jestem w nastroju, by tego wysłuchiwać.

To wszystko, co pamiętam, nim odpływam na łóżku w sen, może z wyjątkiem wymiotowania na nie.

30 PAŹDZIERNIKA, NIEDZIELA KELLER

Jeśli istnieje nagroda dla Największego Kretyna Roku, zasłużyłem na nią wczoraj w przedbiegach. Czuję się paskudnie.

Dunc obudził mnie, wziął do Grounds, wlał we mnie kilka kubków kawy, po czym z powrotem w czterech ścianach naszego mieszkania zaczął umoralniającą gadkę:

– Keller, człowieku, co to wczoraj było? To znaczy wiem, że masz coś do Kate, ale przegiąłeś. To nie byłeś ty. Nigdy wcześniej nie widziałem cię w takim stanie. – Nie karci mnie, po prostu rozmawia.

– No wiem – mówię, gapiąc się tępo w kubek.

– Rozmawiałeś z nią dzisiaj?

Kręcę głową, co wywołuje ostry ból pod czaszką. Sama myśl o konfrontacji mnie przeraża. Powinienem ją przeprosić, ale nie mogę z nią jeszcze rozmawiać. Nie jestem na nią zły. Jestem wściekły na siebie. Nie chcę, by ponownie czuła mój gniew, nawet jeśli nie jest w nią wymierzony.

– Była tu w nocy, wiesz?

A to nowość.

– Co? Katie tu przyszła?

– Tak, pojawiła się jakieś pół godziny po naszym przyjeździe.

Świetnie. Spałem we własnych rzygach. To musiał być piękny widok.

– Martwiła się o ciebie.

– Martwiła się o mnie?

Przytakuje.

– Rozmawialiśmy przez chwilę. Troszczy się o ciebie, Keller. Nie podobała jej się twoja złość.

Opuszczam tętniącą bólem głowę i nakrywam ją rękami.

– Potraktowałem ją jak śmiecia, Dunc. Potraktowałem cholernie źle, a ona nie chce, bym się denerwował. – Śmieję się z tego, jak popieprzona jest cała ta sytuacja.

– Wiem, że sabotowałeś każdy potencjalny związek przez to, co stało się z Lily, ale minęły już prawie cztery lata. Też ją kochałem, ale już czas, aby coś zmienić.

Ocieram dłońmi piekące oczy. Dźwięk jej imienia nie boli już tak, jak kiedyś.

– A co ze Stellą?

Unosi brwi, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Słuchaj, Banks, to twoje życie, ale Kate jest naprawdę wspaniałą dziewczyną. Była dobra dla Shelly, zauważyłeś chyba zmianę, odkąd kumpluje się z Kate, co? Shelly ma świra na jej punkcie, przez co i ja czuję się podobnie. Jednak dopiero po wczorajszej rozmowie mogę przyznać, że Kate jest prawdopodobnie jedną z najbardziej troskliwych i opiekuńczych osób, jakie kiedykolwiek poznałem. Jest cudowna, stary. Zadałem jej wiele pytań i na każde odpowiedziała. Nie musiała tego robić... A jednak to zrobiła. Są z Gusem naprawdę blisko, ale wierzę jej, gdy mówi, że to tylko przyjaźń. Zna tego gościa całe życie...

– Spała z nim – wtrącam.

Ponownie unosi brwi.

– A ty nigdy nie zrobiłeś niczego bez przemyślenia konsekwencji, Banks?

– Tak, ale...

Nie dopuszcza mnie do słowa:

– Ale co, człowieku? Nawet jej wtedy nie znałeś. Nie osądzaj. To nie fair.

Jest cholernie dobry w przedstawianiu obu stron.

– Masz rację. – Wzdycham. Nadal boli mnie głowa, ale unoszę ją, by spojrzeć mu w oczy.

– Naprawdę ją lubię, Dunc. Przeraza mnie to, jak bardzo ją lubię. Sprawia, że mam ochotę pieprzyć tym wszystkim i od nowa napisać swoją przyszłość. – Przez całe życie miałem iść według wytyczonej ścieżki. Nawet jeśli coś zawałałem, były to nieznaczne przeszkody, po których wracałem na właściwy tor. Rodzice zawsze tego pilnowali.

Duncan uśmiecha się i klepie mnie po plecach.

– Mógłbym ci to powiedzieć dwa miesiące temu. Gdybyś mnie zapytał, oszczędziłbym ci masę kłopotów.

– Powinienem do niej zadzwonić? – pytam, bo wydaje się, że on jest w tym lepszy.

– Po kolei. Najpierw odpocznij i zadzwoń do niej jutro, kiedy znów będziesz jasno myślał.

31 ŻDZIERNIKA, PONIEDZIAŁEK

KATE

Budzę się o piątej rano z kosmicznym bólem głowy, ale nie mam w sobie na tyle energii, by zwlec się z łóżka i zażyć ibuprofen. Ból nie ustaje przez wszystkie poranne wykłady, ale wiedziałam, że tak będzie, jakbym tego chciała. Dzisiaj jest dzień, którego bałam się już od dawna. Urodziny Grace.

To pierwszy dzień od przyjazdu do Minnesoty, w którym tak bardzo brakuje mi San Diego. Jestem chora z tęsknoty, jest mi niedobrze i głowa boli mnie tak bardzo, że nie mogę ustać na nogach. Jedyne rozmowa z Gusem może sprawić, by ta sytuacja była bardziej znośna. Gus jest w autobusie, w drodze na dzisiejszy koncert w Denver.

Ponieważ najwięcej zajęć mam w poniedziałki, środy i piątki, dziś między siódmą trzydzieści a czternastą nie mam dla siebie nawet dziesięciu minut. Zatem dopiero kiedy minutę po drugiej wychodzę z sali, wybieram numer Gusa.

– Promyczku, dobrze się czujesz? – To nie jest standardowe powitanie Gusa.

Próbuję być wesoła. Przez bardzo długi czas nie musiałam udawać radości.

– Bywało gorzej.

Rzadko.

– Ciężki dzień, co?

No i tyle z udawania. Przecież to Gus.

– Tak.

– Tak. – W tym jednym krótkim słowie zawiera się zrozumienie i akceptacja.

Pierś mnie boli, czuję ucisk w gardle. Wiem, że kiedy tylko otworzę usta, by coś powiedzieć, rozplacę się. A jestem dumna z tego, że nie płacę. Pamiętam, że płakałam w życiu tylko jeden raz. Czulałam się okropnie, całe moje życie rozpadło się na milion kawałeczków, które już nigdy nie będą do siebie pasować. Nigdy więcej nie chcę się tak czuć.

Gus pozwala na tę ciszę, następnie zaczyna opowiadać. Boże, kocham tego człowieka.

Nawet przez telefon wie, jak bardzo potrzebuję w tej chwili słyszeć jego głos.

– Cały rano myślałam o Grace. Doszedłem do wniosku, że jeśli mógłbym być dzisiaj gdziekolwiek na świecie i robić cokolwiek, chciałbym być w San Diego na molo i łowić ryby z tobą i Grace. Nigdy nie zapomnę, gdy Grace pierwszy raz coś złapała. Cieszyła się jak szalona, aż uzmysłowiła sobie, że na haczyku ma żywą rybę. Jej ekscytacja zniknęła i była załamana. Błagała, bym zdjął rybkę z haczyka i wrzucił do wody, póki jeszcze żyje.

Myślenie o niej w taki sposób sprawia, że ciężar, który czuję dziś w sercu, jest lżejszy.

– Tak, mimo to za tydzień znowu chciała wędkować.

– Po tym dniu nigdy nie zakładaliśmy przynęty na jej haczyk. – W jego głosie też nie ma już tyle smutku. Wydaje mi się nawet, że słyszę w nim radość. – Potrafiła godzinami siedzieć na swoim wózku i wpatrywać się w splawik unoszący się na falach. Co chwilę była przekonana, że złapała dużą sztukę, kręciła szybko kołowrotkiem, by wyciągnąć haczyk z wody, jednak nigdy się nie zniechęcała, widząc, że jest pusty. I zawsze odczuwała wtedy ulgę.

Wyobrażam ją sobie, jakby to było wczoraj. Właśnie tego potrzebowałam.

– Co zwykła mówić, kiedy wracaliśmy do domu? „Wygląda na to, że mam pecha przy łowieniu, Gus”.

Gus się śmieje.

– Za każdym razem.

– A ty jej odpowiadałeś: „Nie chodzi o to, że masz dzisiaj pecha, Grace, tylko o to, że ryby mają szczęście. Poza tym i tak ich nie jemy, a mama zawsze może kupić rybę w sklepie, jeśli będzie ją chciała przyrządzić na obiad”.

– Zawsze szeroko się uśmiechała. Wiesz, tak, że jej oczy niemal się zamykały.

– Po czym wciągałeś policzki, robiłeś rybie usta, a ona chichotała i mówiła ci, jak jesteś głupi.

Gus śmieje się jeszcze bardziej.

– Grace miała najlepszy śmiech. Nieustannie się śmiała. To was łączy. Obydwie kochacie się śmiać.

– Była taka radosna, Gus. Była najszczęśliwszą znaną mi osobą na ziemi. Nawet jeśli miała ciężkie życie, nie przejmowała się tym. Zawsze miała uśmiech na twarzy. Boże, tak bardzo za nią tęsknię.

– Ja też, Promyczku. Ja też.

Zazwyczaj staram się unikać negatywnych słów, ponieważ sprowadzają niepożądane myśli, a co gorsza, złe decyzje. Są jakby katalizatorem nieszczęścia. Nakręcającą je spirala. Ale mimo wszystko o ósmej wieczorem, kiedy wychodzę ze stołówki, sięgam swoich granic i muszę przyznać, że dzisiejszy dzień był *kurewsko popieprzony*.

Cały czas tęsknię za Grace, głowa wciąż mnie boli, a nudności nie ustają. Modłę się przez całą drogę do akademika: *Boże, proszę, niech dzisiaj nie będzie Sugar. Potrzebuję spokoju i ciszy, muszę się wyspać*.

Głos Sugar dobiega zza drzwi, nim mam szansę je otworzyć, więc wiem, że Bóg mnie dziś nie słuchał.

Wchodzę i widzę, że Sugar siedzi na łóżku i rozmawia przez telefon. Spogląda na mnie wymownie, jakby chciała powiedzieć: „Nie widzisz, że przeszkadzasz? Idź sobie”. W sobotę była na koncercie, przez co ewidentnie się teraz na mnie wyżywa.

Uśmiecham się słabo i kiwam jej głową.

– Co tam, Sugar?

Zauważam również, że moja praca, którą dziś skończyłam i wydrukowałam w bibliotece (nie mam w pokoju drukarki), a którą muszę oddać jutro o siódmej trzydzieści rano, ponieważ profesor ma staroświeckie przekonania i nie wierzy w cyfrowe nośniki, więc wymaga papierowej kopii, leży rozrzucona na podłodze z wyraźnymi odciskami zaśnieżonych butów na kartkach.

Natychmiast skupiam wzrok na stopach Sugar. Oczywiście nadal ma te buty na nogach.

To chwila, w której powinnam pójść do biblioteki i wydrukować pracę, bym miała czas na ochłonięcie, zanim z nią o tym porozmawiam; ale, jak mówiłam, pozwoliłam już sobie dziś na negatywne słowa z powodu tego gównianego dnia, więc pytam cicho:

– Co się tu, u diabła, stało?

Naprawdę chciałabym znaleźć się już w łóżku.

Sugar nawet na mnie nie patrzy.

Podchodzę do niej. Krew we mnie buzuje, ale staram się panować nad głosem. Tym

tonem mówiłam do matki, gdy byłam na nią zła i musiałam jej coś wytknąć, jednak Grace była w pokoju i nie chciałam jej denerwować. Przez lata opanowałam tę sztukę.

– Sugar, co do diabła? – Wskazuję na kartki.

Ignoruje mnie, nadal mamrocząc do telefonu. Nie mogę w to uwierzyć. Ma czelność niszczyć moją własność, a teraz mnie olewa.

Podnoszę lekko głos:

– Sugar, co się stało z moją pracą?

Wciąż mnie ignoruje.

Pieprzyć to.

Teraz jestem wkurzona. Zazwyczaj nie krzyczę. Nigdy nie byłam zwolenniczką utraty kontroli, kulminacją której jest dla mnie właśnie krzyk. Więc nie krzyczę. Zamiast tego ściszę głos do poziomu ledwie słyszalnego dla drugiej osoby. Dzięki temu mam pewność, że wsłucha się w każde słowo:

– Sugar, klnę się na Boga, nie lubię przemocy, ale jeśli nie wyłączysz tej pieprzonej komórki i nie powiesz, co tu zaszło, wyrwę ci ten pieprzony telefon z pieprzonej ręki i wepchnę ci go do pieprzonego tyłka.

Zszokowana wytrzeszcza oczy.

– Co? – warczy.

– Młoda? – Wskazuję na podłogę.

Przewraca oczami.

– A, to był wypadek. Musiałam je zrzucić z twojego biurka, gdy przechodziłam.

Kręcę głową.

– A potem co? Przypadkowo odtańczyłaś na nich pieprzonego czardasza?

Wzrusza ramionami.

– Przepraszam. – To najbardziej nieszczerze przeprosiny, jakie w życiu słyszałam. Równie dobrze mogłaby powiedzieć: „Walsię”.

Porywam plecak z podłogi, pendrive’a z biurka i stojąc w drzwiach, wskazuję na nią palcem.

– Wiesz co, Sugar? Naprawdę chciałabym się z tobą zaprzyjaźnić, ale cholernie mi to utrudniasz. Zniszczyłaś lub nie oddałaś już kilku moich koszulek, wyjadasz moje jedzenie z lodówki i przez kilka nocy co tydzień wyrzucasz mnie z mojego własnego pokoju, ale do tej pory jakoś to znosiłam. – Opuszczam oskarżycielski palec. – Jak śmiałaś zniszczyć moją pracę? Nie jestem pewna, w jakim celu tu jesteś, ale ja jestem tu po to, by zdobyć wykształcenie i jest to dla mnie ważne. – Mrużę oczy i syczę przez zęby: – Od tej pory trzymaj łapy z dala od moich rzeczy.

W jej oczach widzę strach, choć próbuje być odważna. To żałosne. Potrafię wyczuć jej strach na kilometr i teraz ewidentnie się mnie boi. Rzuca lakoniczne:

– Jak chcesz.

Mam ochotę ją udusić, ale sięgam po coś dziecinnego, choć skutecznego.

– Mam cię w dupie, Sugar. – Trzaskam za sobą drzwiami.

Idę do biblioteki, na zewnątrz jest zimno i śnieżnie. Kilka minut zajmuje mi wydrukowanie pracy, jednak zostaję na dłużej i przez godzinę czytam, aż uspokajam się na tyle, by wrócić do pokoju. Nienawidzę takiego gniewu. Czuję się teraz jeszcze bardziej zmęczona. Prawdę mówiąc, nie jestem dobra w chowaniu urazy.

Po powrocie nie zastaję Sugar. O dziwo odczuwam niewielkie wyrzuty sumienia, myśląc,

że prawdopodobnie wyszła z mojego powodu, jednak szybko znikają, gdy uświadamiam sobie, że czeka mnie spokojna noc we własnym łóżku.

Najwyraźniej Bóg mnie jednak wysłuchał.

1-2 LISTOPADA, PONIEDZIAŁEK-WTOREK

KATE

Przez trzy dni regularnie łykałam ibuprofen. Kończą mi się tabletki, więc wychodząc z pracy, w drodze do Grounds zatrzymuję się w aptece.

Kiedy go tam widzę, jest tak blady i przygarbiony, że ledwie mogę go rozpoznać. Zatrzymuję się w pół kroku, walcząc ze sobą. Nie widziałam Kellera od sobotniej nocy i nie planowałam się z nim zobaczyć. Nie jestem strategiem, jeśli chodzi o relacje międzyludzkie, ale chciałam dać mu więcej niż kilka dni, by ochłonął. Przez dwie sekundy egoistyczny głos w mojej głowie krzyczy: „Obróć się i zwieź, nim cię zobaczy!”, zagłusza go jednak współczucie, mówiące: „Ale wygląda jak trzy ćwierci do śmierci”, po czym dodaje: „Pomóż mu”.

Współczucie zawsze u mnie wygrywa.

– Keller? Hej, pomóc ci?

Jeśli go zaskoczyłam, nie okazuje tego. Obrócenie głowy w moim kierunku wymaga od niego sporo wysiłku. Jego oczy są przekrwione, a pod nimi wykwitły niepokojące cienie. Ma wilgotne włosy, ich końcówki przyklejone są do czoła. Wygląda, jakby nie kąpał się przez wiele tygodni, ale wiem, że mogą być to tylko dni. Jest chory.

Przygląda mi się bez wyrazu. Nie wiem, czy nie ma dostatecznej energii, by się odezwać, czy nie chce tego zrobić.

Wierzchem dłoni dotykam jego czoła. Opiera się o nią. Jest gorący i spocony. Gorączka zawsze mnie przerażała. Kiedy miała ją Grace, nie mogłam spać. Siedziałam na łóżku obok niej. Zawsze chciała, bym trzymała ją za rękę.

Staram się zamaskować swój niepokój i szepczę:

– Keller, dlaczego nie leżysz w łóżku? Jesteś rozpalony.

Jest wyczerpany. Zastanawiam się, jak znalazł w sobie siłę, by przejść przez ulicę.

Przyglądam się półkom przed nim.

– Czego ci trzeba, skarbie?

Wzrusza ramionami. Gorączka sprawia, że traci kontakt z rzeczywistością.

Biorę go za rękę, ale on obejmuje mnie za ramiona. Jest ciężki, bezradny. Prowadzę go na ławkę na końcu alejki, tuż obok okienka farmaceutki, gdzie go sadzam i opieram o ścianę. Po konsultacji kupuję lekarstwa oraz mój ibuprofen, a ponieważ można nabyć tu również gotowe produkty spożywcze, kupuję dwie puszki rosółu, jedną zupę pomidorową i karton soku pomarańczowego.

Płacę, zbieram Kellera i wlokę się z nim na drugą stronę ulicy do jego mieszkania. Przy drzwiach nie jest w stanie znaleźć kluczy, więc przeszukuję jego kieszenie.

Będąc już w domu, Keller opada na materac niczym worek ziemniaków. Podaję mu lekarstwo, ale muszę go też jakoś schłodzić. Zastanawiam się dziesięć sekund nad potencjalnymi możliwościami. Wybieram to, co zawsze działało w przypadku Grace. Jest prawie nieprzytomny, więc wstyd jest ostatnią rzeczą, którą powinnam się niepokoić. Rozbieram go więc do bokserek.

Boję się o jego stan. Niepokój ten sprawia, że chciałabym odejść, ale nie mogę. Nie potrafię. Nie dlatego, że będę miała wyrzuty sumienia, ale dlatego, że czasami człowiek

potrzebuje drugiej osoby.

Łóżko Kellera jest dość duże, ale wciskam się tuż obok niego. Brakuje zagłówka, więc siedzę, opierając się o ścianę. Trzymam chłopaka za rękę, bo czuję się przez to lepiej, i odsuwam mu mokre włosy z czoła. Nuczę cichutko pod nosem. Mam taki nawyk, kiedy się denerwuję. Robię to, by nie zasnąć. Skóra Kellera wreszcie się ochładza, a ciało rozluźnia. Nawet nie wiem, kiedy odpływam.

Budzę się, ale potrzebuję kilku sekund, by przywyknąć do mroku. Zegarek na komodzie Kellera pokazuje, że jest siedemnaście minut po północy. Boli mnie kark. Zasnąłam na siedząco. Głowa Kellera spoczywa teraz na moim udzie, ramiona w poprzek moich nóg. Skutecznie uwięził mnie w tej pozycji. Wstrzymuję oddech i modłę się do Boga: *Proszę, spraw, by minęła mu gorączka*, następnie delikatnie dotykam jego czoła. Jego skóra jest chłodna i sucha. Wypuszczam powietrze i patrzę w górę. *Dziękuję, Boże.*

Pęcherz wręcz na mnie krzyczy, w brzuchu mi burczy, a całe moje ciało okropnie boli.

Zestawiam to z ulgą z powodu polepszającego się stanu Kellera, który śpi teraz spokojnie tuż obok.

Robię, co muszę. Opieram głowę o ścianę i skupiam się na odczuwaniu jego bliskości. Dotyk jest niedoceniany, a przecież jest podstawową potrzebą człowieka. Dorastając, miałam zapewnioną codzienną dawkę uścisków, trzymania za rękę i całusów w czoło od Grace, Gusa i Audrey. Brakuje mi tego. Teraz więc zamierzam łapczywie wykorzystać każdą chwilę spędzoną w ten sposób z Kellerem. Choć walczę ze snem, przegrywam. Bezsenność znów zastąpiło nieustanne wyczerpanie.

Budzi mnie kaszel, przy czym instynkt bierze górę nad zmysłami.

– Grace? – To zabawne, że mimo obawy i troski można się porządnie wyspać. Przez dziewiętnaście lat z powodu Grace spałam z jednym okiem otwartym. Kiedy ktoś na was polega, trzeba mu pomóc odpędzić złe sny, pomóc skorzystać w nocy z łazienki lub po prostu utulić do snu, wykształca się czujność, której znużenie nigdy nie jest w stanie pokonać.

– Katie? – pyta Keller zdezorientowanym, ochrypłym głosem.

Jeszcze przez sekundę myślę o Grace, po chwili jednak odpuszczam, wzdycham i wyjaśniam:

– Przepraszam, Keller. Tak, to ja, Kate.

Przesuwa się z moich kolan na poduszkę i spogląda na mnie w mroku.

– Co tu robisz?

– Wczorajem spotkaliśmy się w aptece. Szukałeś lekarstwa. Jestem pewna, że tego nie pamiętasz. Byłeś niemal nieprzytomny. Odprowadziłam cię do domu. Nie było Duncana, a bałam się zostawić cię samego. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. – Zerkam na zegarek, jest trzecia pięćdziesiąt trzy nad ranem.

– Nie musiałaś – mówi ze smutkiem.

– Właściwie musiałaś. – Uśmiecham się. – Nie wspominałam ci, że mam alergię na wyrzuty sumienia? Mogłabym cię zostawić, ale dostałabym ataku. – Nie śmieje się, więc przechodzę do ważnych pytań: – Jesteś głodny? Kupiłam ci rosół. Jeśli chcesz, mogę go podgrzać.

– Przepraszam, Katie – szepcze. Wiem, że nie ma na myśli choroby.

Nie robię cyrku z przebaczenia jak niektórzy. Jakby przebaczenie było wielkim, szlachetnym gestem, z którym w parze idzie poczucie wyższości. Nie znoszę tego. Dobrze czy źle, łatwo przebaczam i nie rozdmuchuję sprawy, ponieważ takie właśnie jest moje serce. Odsuwam Kellerowi włosy z czoła i je całuję.

– Dziękuję. – Wstaję z łóżka i się przeciągam. – Zrobię zupę.

Robię długi przystanek w łazience, wrzucam do ust trzy pastylki ibuprofenu i podgrzewam zupę. Keller dołącza do mnie, wcześniej zakładając spodnie od dresu i podkoszulki. Stara się pomóc, ale nalegam, by usiadł w fotelu.

– Kim jest Grace? – pyta o imię, które wypowiedziałam w półśnie.

– Moją siostrą.

Ma zaspane oczy, ale słodki uśmiech.

– Nie wiedziałem, że masz siostrę.

Kiwam głową, mieszając gotującą się zupę.

– Starsza czy młodsza?

– Starsza. – Nalewam zupę do dwóch misek, które stawiam na ławie przed Kellerem.

– Jest w SanDiego?

Normalnie unikam pytań o życie prywatne. Jest moje, osobiste i wyjątkowe. Wspominałam, że jest moje? Jednak z jakiegoś powodu chcę w tej chwili porozmawiać o Grace.

– Wczoraj były jej dwudzieste pierwsze urodziny. Była moją bohaterką. Zawsze ją podziwiałam. Miała najczystsze serce na świecie. – Keller siedzi zatopiony w fotelu i choć wygląda, jakby przeszedł przez piekło, na twarzy ma wypisany spokój. Słucha mnie uważnie, jakby liczyła się dla niego wyłącznie ta rozmowa. To sprawia, że chcę kontynuować, przedstawić Grace komuś, kto jej nie zna. – Poznałeś kiedyś kogoś, kto byłby zadowolony i szczęśliwy po koniuszki palców? W jej towarzystwie to było... zaraźliwe. Chciałam być lepszym człowiekiem, by być godną obecności w jej życiu.

Uśmiecha się i przytakuje, jakby rozumiał, co staram się powiedzieć. Miał w życiu swoją Grace.

Kiwam głową i uśmiecham się, mimo że serce znów pęka mi na milion kawałków, z których każdy odzwierciedla mój smutek.

– Taka właśnie była Grace.

Przygląda mi się, jakby podejrzewał najgorsze, ale bał się zapytać, więc oszczędzam mu tego i odpowiadam na niezadane pytanie.

– Zmarła w maju z powodu komplikacji po zapaleniu płuc i zakażenia krwi. Tamtego tygodnia trzykrotnie zabierałam ją do szpitala, nim w końcu ją przyjęli. Nie mogła oddychać. Miała szarą skórę. Wściekłam się, gdy próbowano odesłać ją do domu, przepisując jedynie lekarstwo na kaszel. Skończyło się tym, że wezwano ochronę, która mnie wyprowadziła. Jednak ją przyjęli. – Biorę głęboki wdech, by móc mówić dalej: – W jej płucach zalegał płyn. Już pierwszej nocy pobytu w szpitalu złapała infekcję krwi. Dwa dni później już nie żyła. – Zamykam oczy, by powstrzymać łzy. Ścisną mi się gardło, więc muszę sobie przypominać, żeby nie płakać. Czuję, że drży mi warga. Płakałam tylko jeden raz, właśnie w noc śmierci Grace.

Nie otwieram oczu, gdy Keller stawia mnie na nogi. Nie otwieram ich, gdy mocno tuli mnie do piersi. Nie otwieram ich, choć moje łzy wsiąkają w jego koszulkę. Nie otwieram ich, gdy cicho mówi:

– Przykro mi, Katie. – Pociera kojąco moje plecy.

Otwieram oczy dopiero wtedy, kiedy czuję, że ciężar ostatnich kilku miesięcy staje się nieco lżejszy. Puszczam tył jego koszulki, który kurczowo zaciskałam w dłoni i próbując uspokoić oddech, patrzę mu w oczy.

– Przepraszam. Nie musiałeś.

Kącik jego ust unosi się, ale nie ma w tym radości.

– Właściwie, musiałem.

Wracam myślami do naszej wcześniejszej rozmowy.

– Też masz alergię na wyrzuty sumienia?

Nawet nie mruga.

– Nie. Zabija mnie twój smutek. To okropnie złe, że świat na to pozwala. Ty i smutek... jakoś do siebie nie pasujecie. – Ponownie mnie tuli. – Mówiłaś, że nie lubisz o tym mówić. To właśnie dlatego nigdy wcześniej o niej nie wspominałaś?

Moje dłonie ponownie odnajdują jego koszulkę. Muszę się trzymać, zanim świat się rozpadnie i wpadnę w mrok zapomnienia. Wzdycham i wzruszam ramionami.

– To boli. – Milknę. – Była całym moim życiem. Wiesz, jak to jest, gdy zostaje się pobłogosławionym kimś wyjątkowym, do kogo miłość aż boli, a potem ten ktoś zostaje ci na zawsze odebrany?

Opiera podbródek na mojej głowie i ściska mnie mocniej.

– Wiem.

Pociagam nosem.

– Przykro mi. Nie chcę marudzić... ale to do bani, prawda?

– Tak – zgadza się.

– Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz, ale kto to był?

– Moja dziewczyna. Właściwie narzeczona. To stało się blisko cztery lata temu. Miała na imię Lily. – Wzdycha, ale słychać, jakby mu ulżyło, gdy wypowiedział jej imię na głos.

– Też o niej nie mówisz. Czy ktoś tutaj wie? – Trzymam policzek przy jego piersi. Nie chcę, by się denerwował lub wstydził, gdy spojrzę mu w twarz. Patrzenie komuś w oczy może spowodować, że ten ktoś zamknie się w sobie.

– Dunc i Rome. Oddzielam życie w Grant od życia w Chicago. – Wzrusza ramionami. – I jak mówiłaś, to boli. Choć już nie tak bardzo, jak kiedyś. To nie tak, że za nią nie tęsknię... ale nauczyłem się, że w życiu chodzi również o kochanie i bycie kochanym. A kochanie kogoś innego nie umniejsza mojej miłości do niej. Wcześniej nigdy nikogo nie kochałem. Moi rodzice są bardzo... – urywa. – ...ukierunkowani. Bardzo precyzyjni, jeśli chodzi o cel. Nie zaznałem od nich miłości... dali mi jedynie... oczekiwania. Oczekiwali ode mnie dobrego zachowania, dobrych manier, dobrych stopni i spełnienia wszelkich swoich prośb, między innymi tej, bym poszedł na prawo lub na medycynę, ponieważ matka jest prawnikiem, a ojciec chirurgiem. Moje życie składało się z samych oczekiwań, które spełniałem co do jednego... aż poznałem Lily. – Bierze głęboki wdech. – Kochała mnie... bezinteresownie. Czuję się wolny. Kiedy ją straciłem, straciłem też tę wolność. Wróciły oczekiwania, jednak z całkiem nowym zestawem zasad.

Teraz muszę na niego spojrzeć, bo to jest coś więcej, niż utrata bliskiej osoby. To zatracenie samego siebie.

– Keller, to twoje życie. To ty siedzisz za kierownicą, młody.

Śmieje się gorzko.

– Och nie, to nie ja prowadzę. Jestem pasażerem. Ale to w porządku. Stella jest dobrym kierowcą.

Uśmiecham się, bo uśmiech malujący się na jego twarzy jest zaraźliwy.

– Stella? – Powinno pękać mi serce, ponieważ czuję, jakbym zakochiwała się w Kellerze, ale nie mogę go mieć (szczególnie słysząc, co stało się z Lily i wiedząc, że jest inna kobieta, dzięki której jest szczęśliwy). To i mnie uszczęśliwia. Świadomość, że jest ktoś, kto go kocha i kogo on kocha. A flirt między nami? Cokolwiek stało się na koncercie było nieporozumieniem lub nadinterpretacją z mojej strony. Jesteśmy przyjaciółmi. Stella jest jego bajką ze szczęśliwym zakończeniem.

Keller przechyla głowę i przygląda mi się, jakby usiłował zdecydować, czy powinien coś powiedzieć.

– Co robisz w weekend?

Wzruszam ramionami.

– Pewnie będę się uczyć, dlaczego pytasz?

– A dałabyś radę uczyć się w Chicago? Chciałbym, byś poznała Stellę. – Uśmiecha się tym swoim krzywym uśmieszkiem, któremu nie potrafiłabym się oprzeć, nawet gdybym chciała.

Wracam myślami do naszej wycieczki do Milwaukee i wszystkich argumentów, których musiałam użyć, by go do niej nakłonić.

– Zawsze jesteś taki impulsywny? – droczę się.

Keller kręci stanowczo głową i jego uśmiech staje się szerszy.

– Nigdy. Masz na mnie zły wpływ.

Uśmiecham się z powodu jego szczerości.

– Muszę przyznać, że jestem ciekawa. Z przyjemnością pojechałabym do Chicago i poznała tajemniczą Stellę.

Ponownie mnie tuli, tym razem inaczej. Po przyjacielsku. *Jasne, myślę, potrafię ograniczyć swoje uczucia do tych przyjacielskich.* Całuje mnie w czubek głowy, co przypomina mi Gusa.

– Dziękuję, Katie. Jesteś niesamowitą kobietą... mającą na mnie zły wpływ, ale jednak niesamowitą. – Kołysze mnie przez chwilę w ramionach.

– To prawdopodobnie najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. – Trafiła prosto do mojego serca. – Sam też nie jesteś najgorszy.

Śmieje się.

– Jestem kretynem, ale dzięki.

Puszczam go, wzdychając.

– Lepiej odpocznij, kretynie. I zostań jutro w łóżku, nadal kiepsko wyglądasz.

Kręci głową.

– Dziękuję za komplement.

Uśmiecham się.

– Przykro mi, Keller, ale taka jest prawda. Zdaję sobie sprawę, że żadna kobieta nigdy ci tego nie mówiła, biorąc pod uwagę twój wygląd, ale choroba trochę ci sponiewierała. Musisz się wykapać, zjeść zupę i porządnie się wyspać.

Kręci głową i uśmiecha się do mnie. Jego oczy nagle robią się senne.

– Uwielbiam, kiedy tak do mnie mówisz.

Przewracam oczami, ale w duchu cieszę się, kiedy mogę być przy kimś tak swobodna.

Jak przy Gusie. Po zjedzonej zupie i prysznicu Kellera, w czasie gdy zmywałam naczynia, udaje mi się położyć go z powrotem do łóżka. Jest piąta rano, gdy całuję go w czoło.

– Boże, pachniesz o wiele lepiej. Przez gorączkę twój zapach nie był przyjemny.

Chłopak się uśmiecha.

– Z natury jesteś takim pochlebcą? Niszczysz moje ego.

– Dobranoc, Keller. Zadzwoń do mnie później i powiedz, jak się trzymasz, dobrze?

Uśmiecha się.

– Dobrze, doktor Sedgwick.

Zatrzymuje mnie, gdy łapię za klamkę.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Dawaj.

– Dlaczego nie powiedziałaś nikomu, że jesteś gwiazdą rocka?

Śmieję się z powodu tego szczególnego określenia.

– Bo nie jestem. To Gus nią jest, nie ja.

– Byłaś niewiarygodna na scenie. Masz przepiękny głos. Nie wierzę, że nikt nie wiedział.

Wzruszam ramionami. Przez cały tydzień zaczepiali mnie ludzie na kampusie, zadając dziwaczne pytania. Odpowiadałam, że musieli mnie z kimś pomylić.

– Pamiętasz, jak mówiłeś, że rozdzielasz życie w Grant od życia w Chicago?

Przytakuje.

– Ja też to robię. – To naprawdę jest takie proste.

– Dziękuję za troskę, Katie.

Uśmiecham się i kiwam głową, po czym otwieram drzwi. Droga powrotna do akademika wydaje się znacznie dłuższa. Muszę się dwukrotnie zatrzymać i odpocząć. Boli mnie całe ciało. Jestem wykończona. Docieram do pokoju i kompletnie ubrana padam na łóżko. Zapadam w śpiączkę, z której budzę się dopiero w okolicach lunchu. To tyle, jeśli chodzi o dzisiejsze wykłady.

Keller dzwoni za piętnaście trzecia, kiedy idę do pracy do kwaciarni. Mówi, że czuje się o wiele lepiej i prosi o mój adres e-mail. Dostaję od niego wytyczne, że mam sprawdzić pocztę, kiedy tylko wrócę do akademika.

Po obiedzie sprawdzam pocztę i znajduję wiadomość z potwierdzeniem lotu do Chicago w piątek wieczorem oraz powrotu do Minneapolis w niedzielę. *Co?!* Myślałam, że pojedziemy samochodem. Keller mnie spławia, gdy dzwonię do niego, by to wyjaśnić. Nie stać mnie na wydanie pięciuset dwudziestu siedmiu dolarów w ten weekend. Keller twierdzi, że to wynagrodzenie za prywatną opiekę pielęgniarską podczas choroby.

4 LISTOPADA, PIĄTEK KATE

Przyjeżdżam po Kellera o szesnastej czterdzieści pięć, byśmy mogli ruszyć na lotnisko. Chciał, bym była u niego punkt czwarta, więc teraz dąsa się i gryzie się w język. Nasz samolot odlatuje o wpół do siódmej, ale Keller najwyraźniej lubi być na terminalu pełne dwie godziny przed odlotem. Nie jestem zaskoczona, ale ja wolę przyjechać w ostatniej chwili i wskoczyć do samolotu na dwie minuty przed startem.

Nie musimy odprawiać bagażu, przechodzimy więc przez bramki i siadamy przed wyjściem już piętnaście po piątej. Mogłabym się z nim droczyć, ale tego nie robię. Jest bardzo punktualny, co doceniam, ponieważ samej nieczęsto mi się to zdarza. Powinnam go chwalić.

Keller twierdzi, że zjemy z jego matką późny obiad, kupujemy zatem jedynie przekąski. Z jakiegoś powodu jestem zdenerwowana, nie dlatego, że jest prawniczką i to prawdopodobnie bardzo zamożną. Mogę spędzać czas prawie z każdym... a prawników poznałam sporo. I wiecie co? Są ludźmi... takimi jak ja. Nie robią na mnie wrażenia. Zaniepokoił mnie raczej ton Kellera, którym ostatniej nocy opisywał rodziców. Ton, w którym obecny był strach i niechęć. Zawsze czuję się niezręcznie w takich sytuacjach. Dobrze, że potrafię to od siebie odsunąć.

Kończąc jedzenie, postanawiam zadzwonić do Gusa, by dać mu znać, gdzie się wybieram. Wymienialiśmy wcześniej SMS-y, ale nie powiedziałam mu, że planuję podróż do Chicago. Nie wiem, czy będę mogła porozmawiać z nim w weekend, a nie chcę, by myślał, że go ignoruję. Nie chcę być również niegrzeczna, więc pytam:

– Hej, nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zamienię trzy słowa przez telefon?

– Oczywiście, że nie. Nie krępuj się – mówi Keller.

Gus odbiera po drugim dzwonku.

– Zakład pogrzebowy Gusa, zakopię, cokolwiek zabijesz.

Nie słyszałam tego wcześniej, więc jestem zaskoczona. Mimowolnie parskam śmiechem.

– Cześć, Gus.

– Promyczku, co tam w krainie tysiąca jezior?

– Myślę, że coś z tą nazwą jest nie tak, bo przez trzy miesiące nie widziałam tu żadnego jeziora. Jestem na lotnisku, lecę na weekend do Chicago. A co tam u ciebie, *amigo*?

– Za pół godziny mam próbę. Właśnie miałem okazję zakosztować najbardziej niechińskiej chińszczyzny na świecie. Była kukurydza, słodkie ziemniaki, groszek, a to wszystko w zupie z jajkiem.

– Tak, to dziwne. Wszystko to pewnie na bazie rosółu z kurczaka. Mam nadzieję, że na scenie nie złapie cię sraczka po mięsie.

Keller stara się nie podsłuchiwać, ale i tak uśmiecha się po moim komentarzu. Powinien czytać podręcznik, który leży otwarty na jego kolanach.

– Kelnerka przysięgała na swoje pierworodne dziecko, że rosół był warzywny.

– Młody, a jeśli nie ma dzieci albo jest ateistką?

– Ha, o tym nie pomyślałem. Mogła mnie wkręcić. Po co lecisz do Chicago?

– Keller mnie zaprosił. Pochodzi stamtąd.

– A to dobry pomysł? – W jego głosie słyszę naganę.

Rzucam krótko:

– Tak. – Zerkam na Kellera, który, wyraźnie spięty, wierci się na krześle.

Gus prycha.

– Słuchaj, jesteś już duża, ale jesteś też moją dziewczynką i martwię się o ciebie. Pamiętam, jak mówiłaś, że to dobry gość i że w sobotę po prostu się upił, ale to nie usprawiedliwia tego, że facet przegiął i to na całej linii – podnosi głos.

– Młody, dokładnie, jestem już duża. Nic mi nie będzie. – Keller klepie mnie w ramię i pokazuje, bym podała mu telefon. Wytrzeszczam oczy i kręcę głową. Wzdycha i ponawia gest. – To twój pogrzeb – mamroczę i podaję mu komórkę.

Keller chrząka i przykłada ją sobie do ucha.

– Gus? Tu Keller.

Słyszę głos Gusa, ale nie rozróżniam słów. Mówi dość głośno. Mimo swojej postawnej sylwetki nie jest porywczy. Wiele trzeba, by zaczął kogoś obrażać, ale kiedy już to robi... działa na całego. I się nie cofa.

– Gus? Gus... – mówi Keller, starając się wtrącić słowo. – Proszę, mogę coś powiedzieć? Będę się streszczał. Przepraszam. Przepraszam, że byłem w stosunku do ciebie niemiły. Przepraszam, że w taki sposób potraktowałem Katie. – Spogląda na mnie. – Przykro mi. Gdybym mógł to cofnąć, natychmiast bym to zrobił. Czuję się podle...

Gus mu przerywa.

– Wiem, że powinienem i to zrobię. To się już więcej nie powtórzy...

Gus znowu nie daje mu dokończyć.

– Masz rację. Zasługuje na więcej niż...

Znów mówi Gus. Chociaż teraz ciszej.

Keller przytakuje parę razy głową, choć Gus tego nie widzi.

– Tak, zatroszczę się o nią. Zatrzymamy się w domu moich rodziców.

Ponownie odzywa się Gus, po czym Kellerrzuca:

– Dzięki. Trzymaj się, Gus. – Oddaje mi komórkę.

Dlaczego czuję się jak czternastolatka tuż przed pierwszą randką? Przykładam telefon do ucha.

– Młody, a może powinnam powiedzieć: „tato”, taka reprimenda? Serio?

Prycha zirytowany, choć wie, że nie powinien.

– Promyczku... – urywa, ale słyszę kliknięcie zapalniczki i pierwszy głęboki wdech spokoju.

– Powinieneś rzucić. – Nie mogę ukryć uśmiechu, a on to słyszy i prawie mu przechodzi. Czuję to. On też nie potrafi długo się złościć. Jesteśmy w tym podobni.

– Czasami doprowadzasz mnie do szału, wiesz o tym? – Uśmiecha się. Nie chce, ale nie potrafi się powstrzymać.

– Wiem, młody. Niestety to skutek uboczny życia w moim małym świecie pełnym promieni słońca i tęczy.

Śmieje się głośno.

– Zapomniałaś o jednoroźcach.

Również się śmieję.

– Zapomniałam o jednoroźcach. Dzięki za przypomnienie. Wspaniałego koncertu, młody.

– Dzięki, Promyczku. Przyjemnej podróży. Zadzwoń, gdybyś czegokolwiek potrzebowała.

Wiesz, jak mnie znaleźć.

– Ty też. Kocham cię, Gus.

– Też cię kocham.

– Na razie.

– Na razie.

Keller zerka na mnie i kręci głową.

– To najdziwniejsza rozmowa, jakiej byłem świadkiem i w jakiej uczestniczyłem.

Wzruszam ramionami i powtarzam:

– Niestety to skutek uboczny życia w moim małym świecie pełnym promieni słońca i tęczy.

– I jednoroźców.

Uśmiecham się.

– Dlaczego wciąż zapominam o tych cholernych jednoroźcach?

Keller przygląda mi się, a jego wesołość powoli się ulatnia.

– Gus wydaje się być dobrym facetem.

Kiwam głową z powagą.

– Jest dobry. Jest moim najlepszym przyjacielem. Bycie dobrym jest numerem jeden na mojej liście cech najlepszego przyjaciela. Zawsze tak było.

Unosi jeden kącik ust.

– Jest trochę nadopiekuńczy.

Krzywię się.

– Przepraszam. Z tego, co słyszałam, trochę się zagalopował. Nie chciałbyś go słyszeć, gdy naprawdę mu odbije. Mojego ojca nigdy nie było przy mnie, więc myślę, że Gus czasami stara się zastępować go w tej roli.

Unosi brwi.

– Tak sądzisz?

– Przepraszam.

Kładzie dłoń na moim kolanie.

– To ja przepraszam, Katie.

Spoglądam na jego dłoń, po czym unoszę głowę.

– Dziękuję. – Biorę go za rękę i wstaję. – Chodź. – Muszę zmienić temat.

Wstaje, więc puszczam jego dłoń.

– Gdzie idziemy? – pyta.

– Obejrzeć zachód słońca. – Nie widziałam go od paru dni. Jestem od niego uzależniona.

Mogę zobaczyć go przez okno po drugiej stronie hali.

Przyglądamy się w ciszy, co jest dobre. Chwilę później, nadal milcząc, wracamy na swoje miejsca.

Samolot odlatuje punktualnie i nim się orientuję, Keller budzi mnie, ponieważ jesteśmy na miejscu. Nie wiedziałam, że byłam aż tak zmęczona. Zasnęłam z głową na jego ramieniu, co wydaje się dosyć dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że za jakąś godzinę mam poznać jego dziewczynę, Stellę.

Taksówka wysadza nas przed wysokim, luksusowym budynkiem. Nie ma tutaj mieszkań klasy średniej. To raczej wielkie, drogie apartamenty. Prawdopodobnie mieszka tu Oprah. Konsjerż wita Kellera:

– Dobry wieczór, panie Banks.

Keller odpowiada zdawkowo. Czuję się jak w alternatywnym świecie. Wszyscy mijani przez nas ludzie wyglądają elegancko, choć spieszą się i są spięci. Ubrani w garnitury, trzymający aktówki, wyglądają dobrze, lecz nikt się nie uśmiecha. To smutne. Jest tu tak wiele osób... a tak mało życia. Czuję to w swoim wnętrzu.

Wjeżdżamy windą na trzydzieste drugie piętro. Jesteśmy blisko szczytu. Winda ma czterdzieści przycisków.

– Twoi rodzice zawsze tu mieszkali?

Wygląda na zdenerwowanego.

– Tak. Od trzydziestu lat. Wychowałem się tutaj.

Mam ochotę powiedzieć, że mi przykro, ponieważ nie jest to przyjazne dzieciom środowisko, ale muszę się pohamować i przestać osądzać. W ten weekend muszę mieć całkowicie otwarty umysł.

– I jak było?

Wychodzimy z windy na korytarz z jasną, marmurową podłogą i ciemnymi, kosztownymi, mahoniowymi ścianami. Obok drzwi na antycznym, ozdobnym stoliku stoi wazon z bukietem kwiatów. Keller wyciąga klucz z kieszeni i rozgląda się, zanim wsuwa go w zamek.

– Zaraz zobaczysz.

Otwiera drzwi i wchodzi przede mną. Ponownie się rozgląda, po czym macha ręką, bym weszła. Zdejmujemy buty i ustawiamy je pod drzwiami. Keller odbiera ode mnie płaszcz i plecak, po czym prowadzi mnie korytarzem obok salonu. Zatrzymuje się przed drzwiami, przez które zagląda do środka.

– Stella, kochanie, jesteś tutaj? – mówi słodkim i miękkim tonem, jakiego nigdy u niego nie słyszałam. Pasuje do niego. Zamyka drzwi. – Musi być z Melanie. Chodź, zaniemiemy twoje rzeczy do pokoju gościnnego.

– Dobrze.

Pokój gościnny jest urządony z przepychem. Dominuje w nim wielkie łóżko z baldachimem, rodem z zamku. Ma burgundowe zdobienia. Jestem pewna, że pościel na nim jest droższa niż mój samochód. Keller kładzie mój płaszcz i plecak na obitej pluszem, stojącej naprzeciw łóżka sofie.

– Chodź, zobaczymy, kto jest w domu. – Podaje mi rękę. Chwytam ją. Wiem, że jesteśmy przyjaciółmi i nie mam problemu z trzymaniem przyjaciela za rękę, jednak czuję, że to nieodpowiednie.

Jego dłoń jest spocona.

Zwalniam, gdy zbliżamy się do drzwi, bo coś tu jest nie tak. Keller jest zdenerwowany, ale jest w tym coś więcej... strach. Zatrzymuje się, więc czekam, by się odwrócił, abym mówiąc, mogła patrzeć mu w twarz.

– Młody, dobrze się czujesz? – Jest spięty, jego oczy są szeroko otwarte, czujne, jakby zarówno fizycznie, jak i psychicznie przygotowywał się na coś okropnego.

Pospiesznie kiwa głową.

– Chodźmy, miejmy najgorsze za sobą.

Ściskam jego rękę i przechodzę z nim przez apartament. Keller puka do zamkniętych drzwi. Słyszę, że ktoś wewnątrz rozmawia. Chłopak uchyla drzwi, po czym wolno je otwiera. W środku, przed ogromnym, rzeźbionym biurkiem z drzewa różanego, ubrana

w czerwoną jedwabną bluzkę, czarną, ołówkową spódnicę i czarne szpilki, spaceruje ciemnowłosa kobieta w średnim wieku. Jej telefon ustawiony jest w trybie głośnomówiącym, przez który zadaje osobie po drugiej stronie linii serię szybkich, ostrych pytań. Oczyma wyobraźni widzę, jak tamta osoba kuli się pod ich ostrzałem. Kobieta wie, że jest szefową, a rozmówca jest na jej łasce. Jej mina podpowiada mi, że jej się to podoba. Z irytacją wciska guzik, kończąc rozmowę. Postawa kobiety nie zmienia się, gdy zauważa Kellera.

– Keller.

Odpowiada krótkim skinieniem.

– Matko.

– Kolacja jest o ósmej. Zakładam, że do tego czasu ubierzesz się odpowiednio. – W jej głosie słychać wręcz pogardę i obelgę. Jakby mówiła do niegrzecznego, zupełnie obcego ośmiolatka.

Keller ma na sobie ciemne jeansy i czarną, zapinaną koszulę z długim rękawem. Jak dla mnie wygląda cholernie dobrze.

Ignoruje przytyk matki.

– Gdzie jest Stella?

– Z Melanie w muzeum sztuki. Zapewne utknęły w korku. – W tej właśnie chwili zauważa mnie stojącą za Kellerem. – Och. – Tylko tyle mówi.

Nigdy nie chciałam się skurczyć i zniknąć, ale w tej chwili mam na to ochotę. Biorę jednak głęboki oddech i zmuszam się do swojego najmielszego uśmiechu, tego samego, którego używałam przy „chłopakach” mamy, którymi chciała mi zaimponować. Wychodzę zza Kellera i wyciągam rękę.

– Pani Banks, miło mi panią poznać. Jestem Kate Sedgwick. Studiuję z Kellerem w Grant.

Kobieta mocno ściska moją dłoń. Gest ten ma mnie przestraszyć. Jednak orientuję się w tej grze.

– Kate? Zabawne, że Keller nigdy o tobie nie wspominał. – To ma mnie zranić. Taksuje mnie wzrokiem, po czym marszczy nos, jakby wyczuła brzydki zapach.

Wzruszam ramionami.

– Nie dziwi mnie to. Przyjaźnimy się zaledwie od kilku miesięcy. Zaprosił mnie w ostatniej chwili. Mam nadzieję, że to nie kłopot. – Czuję się, jakbym musiała stanąć w jego obronie.

Kobieta odwraca się, po czym siada za biurkiem i zakłada okulary do czytania. Skupia się na dokumentach, dopiero po chwili mi odpowiada:

– Cóż, jest już za późno, by cokolwiek z tym zrobić, nie uważasz, moja droga? – „Moja droga” najwyraźniej miało mnie obrazić. Czyta dalej, skutecznie nas ignorując.

Stawiam krok w przód i podnoszę głos, by zwrócić jej uwagę. Mam zamiar dopasować się do jej chłodu.

– Naprawdę, pani Banks? Za późno? Jeśli pani sobie życzy, z przyjemnością przeniosę się do hotelu.

Kobieta zaczyna coś pisać, nadal mnie ignorując.

– Z całym szacunkiem, proszę pani, ale o coś zapytałam. Mogłaby pani przynajmniej na mnie spojrzeć?

Odkłada długopis i mruży oczy.

– Możesz zostać w pokoju gościnnym. Pod moim dachem nie będziesz spała z moim synem. – Chwyta długopis i znów coś pisze.

Mrugam, nie dowierzając.

– Przepraszam, ale...

Keller gapi się pod nogi. Jest wściekły, przerywa mi, nawet na nas nie patrząc:

– Kiedy Stella powinna wrócić?

Matka macha ręką, jakby odganiała muchę. Jest wyraźnie poirytowana.

– Nie wiem. Zadzwoń do Melanie.

Keller jedną ręką wyciąga z kieszeni komórkę, drugą ciągnie mnie za koszulkę, wychodząc z pokoju do holu. Zamykam drzwi, wdzięczna za barierę odgradzającą mnie od tej złośliwej, aroganckiej kobiety. Kiedy Keller przeszukuje listę kontaktów, słyszę dźwięk otwieranych drzwi wejściowych, a tuż po nim kobiecy głos:

– Daj mi kurteczkę, skarbie.

Chichocze dziewczęcy głosik. Śmiech dziecka jest najczystszy dźwiękiem na świecie.

Mogłabym słuchać go cały dzień i nigdy nie miałabym dość.

Uśmiech Kellera zamienia się w coś, czego jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Promienieje miłością i dumą.

– Stella wróciła. Chodź. – Kładzie palec wskazujący na ustach, prosząc o ciszę i na paluszkach przechodzi korytarzem.

Widzę, jak elegancka blondynka wiesza kurtkę w szafie. Wygląda, jakby była w wieku Kellera. Zatem to jest Stella. Widzę jej urok. Jest oszałamiająca. Mała, chichocząca dziewczynka obok niej ma długie, rude, kręcone włosy, które opadają zmierzwionymi falami na jej plecy. Z rozłożonymi na boki rękami kręci się w kółko, aż traci równowagę i upada. Śmiech wzmacnia się, gdy tylko ląduje na podłodze. Nie wiem, kim jest, ale mam ochotę porwać ją na ręce i przytulić. Jest taka szczęśliwa. Mogłabym pożyczyć w tej chwili trochę tego szczęścia.

Blondynka odwraca się, dostrzega Kellera i natychmiast szeroko się uśmiecha. To właśnie bajka Kellera. Cieszę się wraz z nimi. Jednak przez jedną krótką, egoistyczną chwilę chciałabym, by ta bajka była moja.

Wtedy, w okamgnieniu, wszystko się zmienia.

Dziewczynka unosi głowę i zauważa, że kobieta przygląda się czemuś po drugiej stronie pokoju. Obraca się i spogląda dokładnie na Kellera, a jej oczy rozjaśniają się niczym fajerwerki w Święto Niepodległości. Jakby na świecie nie było nic cenniejszego i wspanialszego. Gramoli się, by wstać, po czym biegnie do niego, piszcząc:

– Tatuś!

„Tatuś”?

Keller klęka i mocno ją ściska.

– Cześć, Stella. Tak bardzo za tobą tęskniłem, córeńko.

Dziewczynka odsuwa się i całuje go w usta.

– Ja też za tobą tęskniłam, tatku.

Jasna dupa! Keller ma córkę!

Mała jest urocza. I ciekawska. Przygląda mi się niebieskimi oczami Kellera i macha maleńką rączką.

– Cześć. Kto ty jesteś?

Uśmiecham się do niej, macham w odpowiedzi i klękam obok Kellera, by być z nią na

równi.

– Cześć, Stello. Jestem Kate. Przyjaźnię się z twoim tatą.

Odsuwa się i szuka potwierdzenia w twarzy Kellera.

– Masz przyjaciół, tatku?

Keller śmieje się i przytakuje.

– Mam.

– A bawisz się w randki? Jak ja z Abby?

Ponownie się śmieje.

– Nie za bardzo.

Jej uśmiech nieco blednie.

– Szkoda, bo zabawa w randki jest fajna. – Wyrywa mu się z rąk i podchodzi do mnie.

Nadal klęczę. – Chcesz zobaczyć mojego żółwia? Nazywa się Pani Higgins.

Przytakuje.

– Oczywiście.

Stella bierze mnie za rękę i ciągnie do pokoju, do którego zaglądał Keller, gdy tylko przyjechaliśmy. Keller idzie w nasze ślady. Witam się z Panią Higgins, po czym z Melanie, piękną blondynką. Jest nianią Stelli. Jest cicha, miła i najwyraźniej uwielbia małą. Już ją lubię.

Jakoś znosimy nieprzyjemną kolację z panią Banks, po czym Keller, Stella i ja wracamy do pokoju dziewczynki, by mogła przygotować się do spania. Siadam w dużym, wygodnym fotelu, gdy Keller znika z córką w łazience. Nie domyka drzwi, więc ich słyszę i widzę. Keller przygotowuje jej kąpiel z pianą, po czym ubiera w puchatą, różową piżamkę. Pomaga jej umyć zęby. Mała jest dumna, gdy chwali ją, mówiąc:

– Brawo, córeńko!

Stella układa się w wielkim łóżku, po czym klepie je z obu stron, zachęcając, byśmy do niej dołączyli.

– Co chcesz, bym ci dzisiaj przeczytał, panienko Stello? – pyta Keller i całuje ją w czubek głowy.

– Hmm. – Naprawdę się nad tym zastanawia. Robi to w podobny sposób, jak jej tata. – O kucykach. Ale chcę, żeby Kate czytała, tatku. Może być? – Jest bardzo dyplomatyczna i grzeczna.

– Jasne. Ja też chcę, by Katie czytała. – Ponad głową córki puszcza do mnie oko.

Czytam książeczkę o kucykach. Okazuje się, że była to też ulubiona historia Grace. Pewnie czytałam ją na głos już jakieś dwieście razy. Jestem mistrzynią w oddawaniu odgłosów końskiego rżenia i stukotu kopyt, przez co mogę to robić bardzo dramatycznie. Stella śmieje się, gdy kończę.

– Jesteś śmieszna, Kate.

– Wiem. – Łaskoczę ją, przez co śmieje się jeszcze bardziej. – Tak jest fajniej.

Wkrótce zamykają jej się oczy. Wygląda jak Keller, gdy jest zaspany. Patrząc na niego, mówi:

– Zagrasz mi piosenkę na dobranoc?

– Oczywiście. – Keller całuje ją w czoło i wstaje. Bierze stojącą w kącie gitarę akustyczną i siada na skraju łóżka. Obraca się przodem do nas obu.

Nie potrafię się nie uśmiechać.

– Wiesz, że czekałam na to, odkąd zobaczyłam w twoim pokoju gitarę?

Przymyka oczy i szarpie za kilka strun. Niby stroi instrument, ale lekko się przy tym uśmiecha.

– Nie nakręcaj się. Gram tylko dla zabawy.

Obejmuję Stellę, która się do mnie przytula, gdy Keller zaczyna grać. Rozpoznaję piosenkę po trzech nutach.

Podobnie jak mała, która klaszcze.

– Uwielbiam ją, tatku.

Jest dobry, gra poprawnie, jakby dobrze czuł się z gitarą w dłoniach. Gdyby poćwiczył, byłby świetny. To jeszcze jedna cecha, dzięki której ciężko mu się oprzeć.

Kiedy kończy, unoszę brwi.

On unosi swoje w odpowiedzi.

– No co? – pyta cicho, jakby próbował prowadzić rozmowę tylko ze mną, by nie słyszała go córka.

– The Cure jest raczej przeciętne. – Cytuję słowa, które nie tak dawno padły z jego ust. Mrużę oczy, ale nie potrafię się nie uśmiechać. *Lullaby* zawsze była moją ulubioną piosenką, a on zagrał ją przepięknie, nawet jeśli nie śpiewał. Gitara była wystarczająca.

Próbuje się nie śmiać, ale się poddaje.

– Kłamałem. Kocham The Cure... i tak, Robert Smith jest bogiem. Zadowolona?

– Mhmmm. – Jestem zadowolona.

– Tatku, zagrasz coś jeszcze? – Stella składa przed nim rączki, jakby się modliła. – Proszę.

Śmieje się.

– Mam pewien pomysł. – Spogląda na mnie. – Posłuchajmy, jak śpiewa Kate.

Stella obraca głowę, by na mnie spojrzeć. Jej niebieskie oczy rozszerzają się z powodu ekscytacji. Jeszcze się nie zgodziłam, a już myślę, jaką wybrać piosenkę.

W milczeniu obserwuję, jak przyglądają mi się w oczekiwaniu. Te same oczy w dwóch różnych twarzach. Nie potrafię odmówić tym spojrzeniom. Wskazuję na gitarę i kiwam ręką, by Keller mi ją podał.

– Chcesz moją gitarę?

Ponownie na nią wskazuję i przytakuję.

– Grasz? – pyta, niedowierzając.

– Niezbyt dobrze – mamrocze, gdy mi ją podaje. Mrugam jednym okiem. – Ale jak mawiają, praktyka czyni mistrza, prawda?

Stella przysuwa się do Kellera, a ja siadam na skraju łóżka, twarzą do nich. Gram kilka nut, by przyzwyczaić się do instrumentu. Minęło wiele miesięcy od czasu, gdy ostatnio trzymałam w rękach gitarę.

Widzę, że Stella wspina się na Kellera. Siedzi ze zgiętymi kolanami, które obejmuje i przyciąga do siebie. Keller trzyma ją niczym puchatą, różową kuleczkę.

– Stella, ta piosenka ma tytuł *Angels*.

Gram i śpiewam. Grałam ją dla Grace, która ją uwielbiała.

Kończąc, uświadamiam sobie, że przez cały czas miałam zamknięte oczy. Unoszę powiekę i zerkam jednym okiem na moją niewielką publikę.

Stella klaszcze i cieszy się, choć tak naprawdę jest bardzo śpiąca.

– Jejku, Kate, jak ty ładnie śpiewasz – wyznaje radośnie.

Keller wygląda na zaskoczonego, przez co czuję dumę.

– Tak, naprawdę ładnie śpiewa. Nie wiedziałem, że grasz na gitarze.

Wzruszam ramionami, wstaję i odstawiam gitarę na swoje miejsce.

– Gus mnie nauczył. Miał dość tego, że brzdąkałam na jego instrumencie, więc gdy miałam jakieś trzynaście lat, zaczął uczyć mnie grać. To nic wielkiego, ale potrafię odtworzyć kilka piosenek.

Kręci głową.

– To nie było zwykle brzmienie – mówi z podziwem w oczach. – Zagrałaś pięknie.

Kiwam głową, dziękując za komplement.

– The xx robią to znacznie lepiej, ale dzięki. Sam też grasz nie najgorzej.

Wtrąca się zaspana Stella:

– Tatku, Kate może zagrać też jutro?

Keller ją ściska.

– Byłoby świetnie.

Mała tuli nas dwukrotnie, po czym wślizguje się pod kołdrę. Przed zgaszeniem górnego światła Keller zapala małą lampkę.

– Dobranoc, córeńko. Kocham cię.

– Też cię kocham, tatku.

Gdy tylko zamyka za nami drzwi, jego głos rozbrzmiewa w ciemnym korytarzu:

– Dziękuję, Katie. – Porywa mnie w ramiona. Wzdycha i czuję, jak znika jego napięcie. –

Byłaś wspaniała. Nie wiedziałaś, co tu dzisiaj zastaniesz. Wiem, że zaskoczyłem cię Stellą i przepraszam. Pomyślałem, że jeśli ci powiem, zaczniesz świrować. Powiniennem być mądrzejszy. Nawet się nie zająknęłaś. Pokochała cię.

– Nie będę kłamać, zszokowałaś mnie, ale zdziwienie minęło w chwili, gdy na mnie spojrzała i się przywitała. Zostałaś pobłogosławiona bystrym, zabawnym, uroczym darem. W ciągu dwóch sekund się w niej zakochałam. Myślisz, że zmieści się w moim plecaku? Mogę ci ją ukraść.

Jego ramiona trzęsą się od cichego, tłumionego śmiechu.

– Pewnie by jej się to spodobało.

Klepię go po plecach i puszczam.

– Muszę się położyć, młody. Jestem jutro umówiona, by grać, więc muszę wypocząć.

Ponownie się śmieje i odprowadza mnie do pokoju gościnnego.

– Dziękuję, że się nią ze mną podzieliłaś, Keller.

– Dobranoc, Katie. – Całuje mnie w policzek. – Dziękuję, że pozwoliłaś mi podzielić się sobą z nią.

6 LISTOPADA, NIEDZIELA KELLER

Sobota i niedziela minęły tak szybko, że nim się spostrzegłem, musiałem się zegnać, choć wcale tego nie chciałem. Nasz weekend był typowy, chodziliśmy po mieście, bawiliśmy się w parku, jedliśmy hot-dogi z wózka na rogu, jednak przy Katie było tak, jakbym znów widział kolory, a nie jedynie czerń i biel. Zabawa rozwinęła się w czystą radość. Stella świetnie się bawiła. Przeważnie śmiała się z tego, co robiła lub powiedziała Katie, a Katie śmiała się bardziej niż ktokolwiek, kogo znam. Doskonaliła sztukę cieszenia się życiem i chwilą obecną. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Zapierało mi dech. Ja tak nie potrafię. Próbowałem, ale zbyt mocno skupiam się na przyszłości, na przyszłości Stelli. W ten weekend się zatraciłem i czułem się cudownie. Przyglądałem się im i nietrudno było mi wyobrazić sobie naszą trójkę jako rodzinę. Na samą myśl ogarniał mnie wszechobecny spokój. Jeśli chciałbym, by moja córka brała z kogoś przykład, na pewno byłaby to Katie.

Rano spędziliśmy nawet nieco czasu z ojcem. Zazwyczaj, gdy przyjeżdżam do domu, jest na dyżurze. Nie widuję go zbyt często.

Stella obejmuje mnie jak małpka. Płacze jak za każdym razem, gdy wyjeżdżam. Łamie mi tym serce. Kołyszę ją, starając się pocieszyć. To mnie zabija. Głaszczę ją po rudych lokach, które odziedziczyła po matce.

– Ciii, córeńko. Niedługo wrócę.

Pociąga noskiem i szepcze mi do ucha:

– Wiem, ale tęsknię za tobą, gdy cię nie ma.

Odpowiadam również szepcem:

– Też za tobą tęsknię, Stello. Bardzo, bardzo, ale będę z tobą rozmawiał przez telefon albo przez komputer każdego ranka i wieczora, dopóki się znów nie spotkamy, dobrze?

Kiwa główką i ociera mokre policzki o moje ramię.

– Chcę się pożegnać z Kate – mówi, dając znać, że chce się wydostać z moich ramion.

Moja wspaniała córeczka podchodzi do mojej pięknej przyjaciółki, po czym wyciąga ręce, sygnalizując, że chce się przytulić. Katie się nie waha. Stella obejmuje ją rękami i nogami, opiera głowę na ramieniu Katie i ściska ją za szyję. Niewiele rzeczy na tym świecie wydaje się dobrych, jednak ten obrazek z pewnością taki jest. Katie trzyma ją mocno, lecz delikatnie. Właśnie tak się czuję, gdy tuli i mnie, więc wyobrażam sobie spokój, który musi odczuwać teraz Stella. Katie całuje małą w czoło.

– Tak się cieszę, że cię poznałam, Stello.

Córka unosi głowę i patrzy Katie w oczy.

– Wrócisz tu kiedyś z tatą, żeby dla mnie zagrać?

Katie zerka na mnie i przez chwilę ból i smutek malują się na jej twarzy, ale tak szybko zastępuje je uśmiech, że wydaje mi się, iż coś mi się przywidziało. Spogląda na Stellę i szepcze:

– Bardzo chciałabym cię jeszcze zobaczyć. – Całuje ją ponownie w czoło, po czym stawia na podłodze. – Opiekuj się Panią Higgins.

Stella się uśmiecha.

– Dobrze.

Po drugiej rundzie tulenia, buziaków i wyznań, że się kochamy, wychodzimy z Katie przed budynek i wsiadamy do czekającej na nas taksówki. Podróż na lotnisko przebiega w ciszy. Nienawidzę takich chwil. Nienawidzę opuszczać Stellę.

Dopiero w samolocie wraca mi ochota na rozmowę. Katie jest spostrzegawcza, daje mi spokój i pozwala uporać się z myślami. Przez cały czas trzyma mnie za rękę. To niewielki, lecz naprawdę kojący gest. Odzywam się, nie patrząc na nią:

– Wiesz co? Nigdy nie widziałem, by mój ojciec się śmiał.

Nie dziwi się i nie nalega, bym wyjaśnił. Nie stawia pytań. Katie pozwala mi mówić.

– Nigdy się ze mną nie bawił, pewnie sam tego nie robił, gdy był dzieckiem, a ty sprawiłaś, że zagrał z nami w „Go Fish” tylko dlatego, że go poprosiłaś. Droczyłaś się z nim, że nie bawimy się w operację, bo skopałby nam tyłki... I on się śmiał. A on się nie śmieje. – Wreszcie na nią spoglądam. Jej twarz jest bez wyrazu, choć jest przyjaźnie otwarta. Kręcę głową i powtarzam: – A on się nie śmieje.

Katie uśmiecha się zakłopotana.

– To było zabawne. No bo przecież jest chirurgiem.

Mimowolnie również się uśmiecham.

– Wiem. Rozumiem żart. Ale to, co stało się w ten weekend... wszystko, co zaszło przez te kilka dni... było nierealne. Moja córka natychmiast i całkowicie cię pokochała. Matka zaczęła zwracać się do ciebie po imieniu. Dopiero w ubiegłym roku zaczęła nazywać Dunca „Duncan”, a przecież zna go od sześciu lat. Mieszkał z nami przez niemal rok, ale nie rozmawiała z nim. Mój ojciec powiedział ci: „wpadaj, kiedy chcesz, młoda”.

Śmieje się głośno.

– To śmieszne, kiedy mówiła tak Stella, ale twój tata to zupełnie co innego. – Zabawnie porusza brwiami. – Przepraszam, mogłam wywrzeć na nich zły wpływ przy tej grze. Chociaż mam przeczucie, że dobrze się bawili, więc może nic się nie stało.

Kręcę głową.

– Myślałem, że potrafię odczytywać ludzi, ale ty wnosisz to na całkiem nowy poziom. Jesteś po prostu... czarująca. Ludzie nie potrafią ci się oprzeć.

Prycha z drwiną i zmienia temat. Jest dobra w odciąganiu od siebie uwagi.

– Lily była siostrą Duncana. – To nie pytanie, to stwierdzenie.

– Tak, była. Jak się domyśliłaś?

Wzrusza ramionami, jakby to było oczywiste.

– Przez włosy.

Śmieję się.

– Rude włosy Stella odziedziczyła po matce. To dobre.

Katie się uśmiecha.

– Jestem pewna, że Lily była śliczna, ale Stella jest bardzo podobna do ciebie. Macie te same oczy i ten sam uśmiech. – Puszczą do mnie oko. – To zdecydowanie dobra rzecz.

– Oczy ma po mnie. Lily miała brązowe jak Dunc. – Chyba mogę opowiedzieć jej tę historię. – W szkole średniej, w trzeciej i czwartej klasie, pracowałem w pizzerii, chciałem posmakować nieco normalności. Własnoręcznie zarobić na samochód. Rodzice nie byli zadowoleni, ale nie walczyli o to ze mną. Poznałem tam Dunca, a przez niego Lily. Dunc i Lily mieszkali sami. Ich matka była ćpunką, a ojca nie znali, więc od lat zdani byli

wyłącznie na siebie. Dunc jest starszy ode mnie o dwa lata, a Lily o trzy. Kiedy się poznaliśmy, chodziła do szkoły pielęgniarskiej. Była cicha, wycofana, ale mądra. Nigdy się nie dowiedziałem, co zobaczyła w dzieciaku takim jak ja. Spotykaliśmy się niemal od roku, gdy odkryła, że jest w ciąży. Kończyłem wtedy liceum i nie wiedziałem, co robić. Wiedziałem, że ją kocham, ale przyszłość miałem już określoną przez rodziców. Za bardzo brzydziłem się krwi, by zostać lekarzem jak ojciec, zostałem więc zapisany na kurs przygotowujący na prawo, by iść w ślady matki. Dziecko nie pasowało do tych planów. Rodzice wpadli w szal. Zażądali aborcji. Odmówiliśmy, po czym oświadczyłem się Lily. Kochałem ją, więc wydawało się to logiczne. – Katie uśmiecha się i przytakuje. Muszę wziąć głęboki wdech, bym mógł mówić dalej: – Dziecko miało przyjść na świat tuż po zakończeniu przez nas szkół. Mojego liceum i szkoły pielęgniarskiej Lily. Planowaliśmy wziąć ślub w lecie i przeprowadzić się do Grant, gdzie na jesień miałem przyznane stypendium, częściowo dzięki moim ocenom, ale również dzięki hojnym datkom na szkołę mojej matki. Wszystko zmieniło się jednak, gdy Lily zmarła przy porodzie.

Katie lekko rozchyła usta. To szczery wyraz współczucia. Jest dobrym słuchaczem.

Nigdy z nikim nie dzieliłem się tą historią, nie opowiadałem jej nikomu do końca. Jednak teraz chcę to zrobić.

– Lekarze orzekli, że komplikacje były bardzo niecodzienne. Mówili, że występują raz na milion. Jednak to właśnie nas spotkały. Strata Lily była miażdżąca, ale byłem też przerażony wizją samotnego ojcostwa w wieku osiemnastu lat. Nie miałem zielonego pojęcia, jak zająć się dzieckiem. Rodzice natychmiast zatrudnili nianię, ponieważ w ich domu jedynie w ten sposób wychowywało się dzieci. Mnie właśnie tak wychowano. Robiłem, co mogłem, ale nie wiem, co bym począł bez pomocy Melanie. Opuściłem pierwszy semestr w Grant, by być ze Stellą. Rodzice ponownie wpadli w szal, ponieważ niweczyłem ich plany. Nie zrozum mnie źle, pokochali Stellę, ale ja byłem dla nich wielkim rozczarowaniem. W końcu przekonali mnie, bym poszedł na studia, więc wziąłem ze sobą Dunca. Zawsze chciał się uczyć i wkręcić się w politykę. Rodzice stwierdzili, że Stelli najlepiej będzie z nimi i nianią, a ja będę mógł skupić się na nauce, a następnie na karierze, by któregoś dnia samodzielnie zatroszczyć się o córkę.

Katie przygląda mi się tymi przepięknymi jadeitowymi oczami, po czym pyta:

– A według ciebie co byłoby najlepsze dla Stelli?

To pytanie prześlada mnie niemal codziennie.

– Nie wiedziałem. Nie wiem.

– Keller, dlaczego nikt w Grant nie wie o Stelli?

Przeczesałem włosy palcami.

– Boże, musisz myśleć, że jestem okropny.

Kręci głową.

– Nie, wcale tak nie uważam – mówi poważnie. – Nie siedziałabym obok ciebie, gdybym tak uważała. Mam alergię na okropnych ludzi.

Śmieję się, ponieważ Katie wie, jak dodać humor, kiedy jest potrzebny.

– Nie mówię o niej chyba z miliona powodów. Jest moja, częściowo czuję, że nie chcę się nią dzielić. Obawiam się też ludzi osądzających mnie za to, że miałem ją w tak młodym wieku, za to, że nie jestem ojcem, jakim być powinienem, bo nie ma jej przy mnie. Bardzo ją kocham, Katie i chcę dla niej jak najlepiej. Tylko tego zawsze pragnąłem.

Mocniej ściska moją dłoń.

– Keller, jesteś niesamowicie cierpliwym, troskliwym, odpowiedzialnym, kochającym rodzicem. Dlatego właśnie Stella wpatrzona jest w ciebie jak w obrazek. Jak myślisz, dlaczego patrzy na ciebie, jakbyś był wschodzącym słońcem? Dlaczego jest tak bardzo smutna, kiedy wyjeżdżasz? Jesteś całym jej światem. Kocha cię najmocniej, jak potrafi.

Czuję w gardle ucisk. Opisała właśnie wszystkie moje pragnienia.

Wyczuwa szalejące we mnie emocje, kciukiem kreśli kółka na mojej dłoni.

– Młody, masz tylko jedno życie. Wyobraź sobie przez chwilę, że jesteś wolny od tych wszystkich wymagań. Co byś zrobił? Jak byś żył, gdyby nikt nie patrzył ci na ręce? Jak wyglądałaby twoja przyszłość?

Odpowiadam bez wahania:

– Stella byłaby ze mną w Grant. Zmieniłbym kierunek i studiował filologię. Za kilka lat uczyłbym języka w szkole średniej w mieście, gdzie Stella mogłaby bezpiecznie i szczęśliwie dorastać. – Łzy napływają mi do oczu. Powinienem być zażenowany, ponieważ zawsze sądziłem, że chłopcy nie płaczą. Mężczyźni nie płaczą. Przy Katie jestem jednak wolny.

Opiera palce na moim podbródku i obraca moją głowę, aż nasze spojrzenia się krzyżują. Przez kilka chwil wpatruje się we mnie, nie mrugając. Skupiam się na niej.

– Zrób to. – To polecenie. – Nic, naprawdę nic nie powinno stać ci na drodze, ponieważ właśnie w taki sposób powinno wyglądać twoje życie, Keller. Ta mała dziewczynka powinna codziennie być ze swoim tatkiem, a ty masz wrodzony talent do nauczania.

Nie zabiera palców. Czeka na odpowiedź. Zamykam oczy, ponieważ nie potrafię na nią patrzeć i powiedzieć:

– To nie takie proste.

– Spójrz na mnie – nalega. Nie ma w jej głosie gniewu, jest jedynie niepokojąca desperacja. Troszczy się. Zależy jej na mnie i moich marzeniach. Zapomniałem już, jak to jest. Nikt nie traktował mnie tak oprócz Lily, a nawet ona nie naciskała aż tak bardzo. – Proszę – mówi.

Otwieram oczy.

– Samotne wychowywanie Stelli będzie najtrudniejszą rzeczą, jaka cię czeka. Świadomość, że drugi człowiek jest zdany wyłącznie na ciebie? To trudne, męczące, niepokojące, wręcz przerażające, ale wiesz co? To też pełne radości, cenne i wartościowe jak nic innego na świecie – mówi z przekonaniem. To dla niej zbyt prawdziwe. Opuszcza dłoń na kolano.

– Sama zajmowałaś się siostrą, prawda? – domyślam się.

Przytakuje. Czeka, aż zacznę mówić, ponieważ ten temat jest dla niej wyjątkowo trudny.

– Grace miała zespół Downa. Psychiczenie nigdy nie rozwinęła się ponad wiek, w którym jest teraz Stella. Nasza matka miała własne problemy, przez które macierzyństwo... było dla niej trudne. Zatem moją rolą była troska o Grace. Kapałam ją, przebierałam, karmiłam, czytałam jej, bawiłam się z nią, zabierałam do szkoły. Kiedy ona miała szesnaście lat, a ja piętnaście, zdarzył się wypadek, przez który nie mogła chodzić. Została przykuta do wózka...

Przerywam, bo przypominam sobie coś, co powiedziała mi wcześniej:

– Właśnie dlatego miałaś minivana...

Kiwa głową i uśmiecha się, że to zapamiętałem.

– Tak, do Błękitki można było włożyć wózek. – Bierze głęboki wdech i kontynuuje: – Kiedy miałam osiemnaście lat, kilka tygodni przed ukończeniem szkoły średniej, zmarła nasza matka.

Serce mi pęka na myśl, że ta biedna dziewczyna miała takie trudne życie.

– Przykro mi – mówię jedynie.

– Dziękuję. – Wydaje się zamyślona. – Życie Janice Sedgwick nie należało do najłatwiejszych. Lubię myśleć, że jest teraz w lepszym miejscu, że w końcu jest szczęśliwa.

– Kiwa głową. – Więc jest dobrze.

– Gdzie mieszkaliście po śmierci matki? Mówiłaś, że nie miałyście ojca.

– Miesiące po jej śmierci były straszne. Kiedy opadł kurz, sprzedałam wszystko, co mogłam i wynajęłyśmy mieszkanie od jej byłego ogrodnika. Nie było luksusowe, ale było nasze. Grace je uwielbiała. To był najlepszy czas w moim życiu. Mieszkaliśmy tam do jej śmierci.

Przesuwam się na fotelu i patrzę na nią. Wiecie, jak to jest, kiedy wydaje się, że się kogoś zna? Kiedy przebywa się w jego towarzystwie i zakłada się, że wie się o nim wszystko? Że zna się jego duszę? Po tym, co właśnie usłyszałem, czuję się, jakbym dostał obuchem w łeb. Kobieta siedząca obok mnie w samolocie jest najbardziej niezwykłą osobą, jaką w życiu poznałem.

– Jak sobie radziłaś przez te wszystkie lata?

– Tak, jak mogłam. Była moją siostrą i kochałam ją. Na dobre i złe miałam tylko ją.

To wypowiedź dokładnie w jej stylu.

– A kto opiekował się tobą?

Uśmiecha się i oczy jej błyszczą.

– Gus. Zawsze był moim najlepszym przyjacielem. Był moim sąsiadem. Jego mama Audrey też jest niesamowita. Była mamą dla mnie i Grace. Nadal jest.

– On cię kocha. W piątek myślałem, że wykastruje mnie przez telefon. Był brutalny. Nie spotkałem nikogo, kto miałby taką relację, jak ty i Gus. Jesteście bardzo blisko, a jednak nie tworzycie związku. Trudno mi topojąć.

Wzrusza ramionami.

– Nie staraj się za bardzo. Jesteśmy lekko pokręceni. Mama Gusa zarzeka się, że jesteśmy bliźniętami rozdzielonymi po porodzie, nawet jeśli on jest kilka lat starszy. Twierdzi, że jedno dziecko wzięła ze sobą ze szpitala, a drugie kilka lat później zamieszkało u sąsiadów.

– Właśnie widzę. – Bardzo staram się zrozumieć tę ich przyjaźń, ale ciężko nie być zazdrosnym o Gusa. Chciałbym być na jego miejscu. Chciałbym wszystkiego się o niej dowiedzieć. Chciałbym, by to mnie o wszystkim mówiła. Chciałbym się o nią troszczyć. Pragnę jej całej.

Kiedy Katie odwozi mnie do mieszkania, nie chcę się z nią żegnać.

– Dziękuję, że ze mną pojechałaś, Katie.

Odpina pas i przysuwa się w niewielkiej przestrzeni samochodu, by mnie przytulić.

– Dziękuję, że mnie zabrałaś, Keller. Wiem, że wiele cię kosztowało podzielenie się ze mną tą częścią swojego życia.

– Z tobą wcale nie. Odkrywasz we mnie odwagę, o której istnieniu nie wiedziałem.

Poprawia mnie szeptem:

– Nic nie zrobiłam. To wszystko twoja zasługa, ty ją w sobie odnalazłeś.

Odsuwam się nieznacznie, wiedząc, że nie mogę pozwolić jej odejść bez czegoś, czego pragnę, odkąd pierwszy raz ją zobaczyłem. Patrząc jej w oczy, obejmuję jej policzek. Jest taka delikatna i tak pięknie pachnie. Jej falowane włosy są potargane, wygląda diabelnie seksownie. Nie opiera się, więc powoli się przysuwam i wstrzymuję oddech. Kiedy dotykam wargami jej ust, każda myśl i zmartwienie ulatują z mojego umysłu. Wszystko inne znika, pozostaje tylko ona. Tylko ją czuję, słyszę, widzę i smakuję. Jej wargi są miękkie, poruszają się wraz z moimi, a kiedy lekko się rozchylają, swoim językiem smakuję jej język, co wysyła dreszcz przyjemności przez moje ciało. Dziewczyna przesuwa rękę po moim ramieniu i obejmuje mnie za szyję. Jej dotyk sprawia, że wymyka mi się cichy jęk. To dźwięk z głębi gardła, nad którym nie potrafię zapanować. Jej dotyk, jej smak... to niemal zbyt wiele. Ona również musi to czuć, ponieważ się odsuwa. Otwieram oczy i dostrzegam, że jej spojrzenie pociemniało, jakby źrenice wchłonęły całą zielen.

Mówię:

– Chodźmy do mojego mieszkania.

Jednocześnie Katie mówi:

– Muszę już jechać.

Oddycha płytko i szybko. Czuje to. Chce tego.

– Dlaczego musisz?

Odwraca wzrok.

– Bo muszę.

– Co się stało z dziewczyną wyznającą zasadę życia chwilą? Bo muszę ci powiedzieć, Katie, że nigdy wcześniej nie żyłem chwilą tak bardzo, jak w tym momencie. – Nigdy nie byłem bardziej impulsywny...

Trzyma obie ręce na kierownicy. Wciąż na mnie nie patrzy. Przełyka ślinę, boję się, że nie odpowie, ale szepcze:

– To co innego.

– Dlaczego? Proszę. Zostań – nalegam.

Mruga kilkakrotnie.

– Są rzeczy, których o mnie nie wiesz. W efekcie skrzywdzę cię, a za bardzo mi na tobie zależy, by tak się stało.

Jestem zdezorientowany, sfrustrowany i zagubiony.

– Co? Spójrz mi w oczy i powiedz, że nic do mnie nie czujesz. Ten pocałunek? Ten pocałunek był najbardziej niesamowitą rzeczą, jakiej doświadczyłem w całym moim popieprzonym życiu. Wiem, że też to poczułaś. Cholera, wiem, że to poczułaś.

Przygląda mi się błyszczącymi oczami.

– Poczułam. Właśnie dlatego muszę już jechać.

Wyrzucam ręce w górę.

– To nie ma żadnego pieprzonego sensu.

– Wiem, Keller. Muszę jechać.

Otwieram gwałtownie drzwi, wysiadam i trzaskam nimi, nim otwieram ponownie, by wyjąć plecak. Powinienem odejść w spokoju, ale jestem zbyt wkurzony, by tak to zostawić.

– To bzdura i dobrze o tym wiesz. Nie wiem, o co ci chodzi, ale nic, co powiesz, nie zmieni moich uczuć. Przez bardzo długi czas nie otworzyłem przed nikim serca, ale jeśli powiesz, że nie jesteś zainteresowana, to odejdę. Będzie do dupy, ale odejdę, wyliżę się z ran i będę

żył dalej. Jednak fakt, że celowo nie pozwalasz sobie doświadczyć tego, w co ta sytuacja może się przerodzić, niesamowicie mnie wkurza. – Nie wiem, czy ma problem z zaufaniem, czy boi się zaangażować, ale nie podoba mi się, że tak się ogranicza. Dokładnie to robi, ogranicza samą siebie. – Nie znam cię za dobrze, ale to połączenie, to przyciąganie, jakie jest między nami, nie zdarza się zbyt często. Minęły lata... lata... odkąd tak się czułem. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że jeszcze mnie to spotka. Czy to mnie przeraża? Diabelnie. Czy potrafię przewidzieć przyszłość? Oczywiście, że nie. Jednak wiem jedno, nigdy, przenigdy bym cię nie skrzywdził. Jestem tego stuprocentowo pewny. Teraz decyzja należy do ciebie. W którymś momencie swojego życia będziesz musiała komuś zaufać.

Nie czekam na odpowiedź. Wiem, że żadnej nie dostanę, więc zamykam drzwi jej samochodu i idę do mieszkania, nie oglądając się za siebie.

8 LISTOPADA, WTOREK KATE

Na drzwiach sali, gdzie miał odbyć się wykład z psychologii, wisi kartka, że zajęcia zostają odwołane, ponieważ profesora dopadła grypa żołądkowa. Najpierw myślę: *Tak!*, szybko jednak dopadają mnie wyrzuty sumienia z powodu radości z czyjegoś cierpienia.

Natychmiast za to przepraszam: *Boże, dziękuję ci za to małe, choć potrzebne błogosławieństwo. Przykro mi, że profesor Garrick cierpi na biegunkę, ale odwołane zajęcia oznaczają dla mnie drzemkę. Jestem twoją dłużniczką.*

Nigdy o tej porze dnia nie przechodziłam przez kampus. Jest ciszej niż zazwyczaj. Spokojniej. Jednak tuż przy akademiku dostrzegam, że ktoś stoi przy samochodzie Claya. I nie jest to Clay. Idę naokoło, by zbliżyć się niezauważona.

Kiedy podchodzę, natychmiast tego żałuję. Nie dlatego, że nie chcę tu teraz być, ale dlatego, że ten dupek naprawdę mocno mnie wkurza.

Clayton stoi przyciśnięty plecami do drzwi samochodu, kurczowo trzymając przy piersi swoją torbę. Pochyla się nad nim dobrze zbudowany gość w szarej bluzie, obracając głowę z boku na bok. Stoi zbyt blisko jak na przyjacielską rozmowę. Ma zaciśnięte pięści i napięte mięśnie. To nie wróży nic dobrego.

Zamieram tylko na ułamek sekundy. Nie ma mowy, bym pozwoliła, aby skrzywdził Claytona, ale nie chcę też pomylić się w ocenie sytuacji. Zaczynam od głośnego powitania, podchodząc powoli od tyłu:

– Co słyhać? – mówię donośnie.

Dupek odwraca się na dźwięk mojego głosu. Zyskałam jego uwagę. Ramiona Claytona opadają o jakieś dwa centymetry z powodu ulgi.

Dupek mierzy mnie wzrokiem. To obleśne. Czuję się zgwałcona. Oblizuje wargi.

– Co słyhać? – Sugestywnie łapie się za krocze. – Na twój widok, ślicznotko, mój fiut pyta: „co słyhać?”. – Jest zbokiem. I właśnie puścił do mnie oko.

– Chciałeś mnie tym tekstem poderwać? – pytam, bo nie mogę pojąć, jak facet może uznać taki tekst za atrakcyjny.

Ponownie do mnie mruga.

Tak, naprawdę mu się wydaje, że na niego polecę. Kręcę głową.

– Wstrzymaj konie, kowboju. Nawet nie znam twojego imienia.

Uśmiecha się chytrze.

– Ben.

– Ben i co? – wypytuję. Jeśli już coś zrobił Claytonowi, chcę poznać jego nazwisko, bym mogła zgłosić to, komu trzeba.

– Ben Thompson. – Uśmiech zadowolenia wciąż maluje się na jego twarzy. – Chcesz stąd iść? Pójść do mojego pokoju? – Zerka na zegarek. – Mam godzinkę do zajęć. Uwiniemy się.

Gdybym mogła przyznać nagrodę za najgłupsze zdanie zasłyszane w tym tygodniu – ba, roku – ten gość byłby zwycięzcą. Poraża mnie jego mądrość.

– Młody? Benie Thompsonie? Znam cię od trzydziestu sekund, ale muszę ci oddać, że całkowicie mnie odpychasz. Niedobrze mi, jak cię słucham. Kiedy zapytałam „Co słyhać?”, nie mówiłam do twojego fiuta, kretynie. Mówiłam do mojego przyjaciela.

Clayton wytrzeszcza oczy i kręci głową za plecami tego dupka. Może powinnam się bać, ale miałam kiepski tydzień i czuję się, jakbym nie miała nic do stracenia.

Uśmiech dupka przyprawia mnie o ciarki.

– Jesteś pyskata. Świetnie, pyskate sprawiają, że mi staje, księżniczko.

– Słuchaj, gnojku, to nie jest gra wstępna. – Chwytam Claya za rękę. – Jesteś odrażający. Zostaw nas w spokoju.

W końcu to do niego dociera. W jego oczach tli się gniew.

– Pieprzona zdzira. – Wskazuje na Claytona i zaczyna grozić: – A z tobą, pedałku, jeszcze nie skończyłem. Lepiej się pilnuj.

Bardzo bym chciała, żeby Clayton coś powiedział, cokolwiek, ale chłopak tylko patrzy pod nogi i odchodzi w stronę akademika, a ponieważ trzymam go za rękę, jestem zmuszona iść za nim. Oczywiście nie mogę odejść bez ostatniego słowa:

– Pieprz się, dupku.

Napastnik odchodzi w przeciwnym kierunku, uprzednio kopiąc samochód Claytona.

Zatrzymuję się przed drzwiami frontowymi akademika i odwracam się twarzą do Claya. W jego oczach błyszczą łzy. Czuję smutek, wyrzuty sumienia i gotujący się we mnie gniew. Nadal ma spuszczoną głowę i pospiesznie ociera mokre policzki.

Zaczynam łagodnym tonem, ponieważ mój przyjaciel wygląda na zażenowanego, a nie chcę, by tak się przy mnie czuł:

– Hej, Clay, to ja, Kate.

Unosi lekko głowę i w końcu patrzy mi w oczy. Próbuje powstrzymać płacz, ale dolna warga mu się trzęsie.

– Groził ci?

Przytakuje.

Nie chcę zadawać kolejnego pytania, ponieważ boję się, że już znam odpowiedź.

– Groził ci już wcześniej?

Ponownie przytakuje.

– Jak długo to już trwa, Clay?

Jego broda znów drży:

– Jakiś miesiąc.

Ściska mi się żołądek.

– Jak często?

Ponownie po jego policzkach spływają łzy.

– Każdego dnia.

Niedobrze mi. Jestem dumna z bycia dobrą przyjaciółką. Ponieważ w życiu najbardziej liczą się... ludzie. Ich dobre traktowanie, pomaganie im, to właśnie stanowi o byciu dobrym przyjacielem.

A teraz jestem okropną przyjaciółką. Jak mogłam o tym nie wiedzieć?

Porywam go w objęcia, a on łka w moje ramię. Pocieram jego barki, chcąc zdjąć z nich nieco ciężaru.

Kiedy pociąga nosem, uwalniam go z objęć.

– Młody, mówiłeś komuś o tym?

Kręci głową.

– Powinieneś to zgłosić ochronie. Idź do gabinetu dziekana. Porozmawiaj choćby z Johnem. Tak nie może być. Powinieneś móc swobodnie poruszać się po kampusie, do

cholery, powinieneś móc pójść, gdzie ci się żywnie podoba i nie bać się jakiegoś kretyna.

Wzdycha pokonany.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo z tego nigdy nie wynika nic dobrego.

To mnie smuci. Mniej więcej to samo powiedział po incydencie przed Spectacle.

– Wiesz, ile razy przez te wszystkie lata zgłaszałem pedagogom, nauczycielom czy dyrektorom, że jestem ofiarą przemocy czy prześladowania?

Boże, moje serce nie chce wiedzieć.

– Zbyt wiele razy, Katherine. I nigdy nikt na to nie zareagował. Twierdzono, że przesadzam, że czegoś nie zrozumiałem, a nawet, że sam się o to prosiłem. Możesz uwierzyć? Ludzie, patrząc mi w oczy, twierdzili, że jestem gejem, więc mi się należy. I powiedziano mi to tak wiele razy, że nie jest to odosobniona opinia jednego ignoranta.

– Nie możesz pozwolić, by ten dupek wygrał, Clay.

Prycha.

– To nie jest żadna gra. To moje życie. I jestem zmęczony, Katherine. Miałem nadzieję, że na studiach będzie inaczej, że ludzie będą tu bardziej tolerancyjni...

Przerywam mu:

– Tolerancja to bzdura. Tu nie ma czego tolerować. Nie tolerujemy wspaniałych ludzi, po prostu cieszymy się ich towarzystwem. Nienawidzę słowa „tolerancja”.

Pociąga nosem.

– Ja też. – Ponownie pociąga nosem. – Przekonałem się, że na studiach nie jest inaczej. Inne miejsce, ci sami neandertalczyki. Staram się jedynie przetrwać semestr, bo czuję, że jeśli tego nie zrobię, zmarnuję pieniądze rodziców. – Wzdycha. – Ale nie mogę tu wrócić.

Nie może dać temu gnojowi wygrać! Odprowadzam Claytona do pokoju, zostawiam mu Twixa, ponieważ mnie zawsze poprawia humor w gówniany dzień.

Wychodzę z akademika i natychmiast udaję się do ochrony. Wita mnie mężczyzna w średnim wieku ubrany w granatową kurtkę, od razu więc przechodzę do rzeczy.

– Chciałabym napisać dwa doniesienia.

– Dwa? – pyta.

Przytakuję.

– Dokładnie tak. – Ten dupek, Ben Thompson, się z tego nie wywinie.

W raporcie opisuję, że byłem świadkiem napaści na Claytona, dopisuję również informację, że trwa to już od miesiąca i powtarza się każdego dnia. W drugim dokumencie zgłaszam molestowanie seksualne. Samo jego spojrzenie mówiło mi, że jest jednym z tych facetów, którzy „nie” biorą za „tak”.

Bezwiednie przez cały czas myślę o matce Kellera. To znaczy jest wymagająca i szorstka, ale zapewne jest świetnym prawnikiem. Próbuję naśladować jej arogancję. Kopiuję nawet jej uśmiech, by podkreślić swoje argumenty – i to działa.

Za drzwiami biorę kilka głębszych oddechów, ponieważ nadal wszystko przeżywam. Nie wiem, czy to, co właśnie zrobiłam, przyniesie jakikolwiek skutek, ale musiałam spróbować. Kiedy napięcie powoli mija, uświadamiam sobie, jak bardzo dzisiaj wszystko mnie boli i jak mocno jestem zmęczona. Stres mi nie służy. Muszę się zdrzemnąć. Jak najszybciej.

10 LISTOPADA, CZWARTEK

KATE

Przez niemal tydzień unikałam Grounds, wiedząc, że widok Kellera mnie zniszczy. Zdecydowałam, że dystans między nami powinien być dobrym rozwiązaniem. Po podróży do Chicago i pocałunku nie potrafię dłużej upierać się, że nic do niego nie czuję. Ale prawdopodobieństwo, że on może czuć to samo? To martwi mnie na tak wielu płaszczyznach...

Po pierwsze: nie jestem egoistką. Nigdy nią nie byłam i nie chcę zaczynać nią być w tej chwili. Zbliżenie się do niego byłoby całkowicie samolubne.

Po drugie: wyrzuty sumienia. Poczucie winy może być bezpośrednim skutkiem punktu pierwszego. A wina leży zbyt blisko żalu. Nie chcę niczego żałować.

To prowadzi do trzeciego zagadnienia: zaufania. Keller poruszył ten problem. Ma rację. Zaufanie i moje serce są połączone. Jeśli wam zaufam, wpuszcę was do swojego serca. Uwierzę, że mnie nie skrzywdzicie. Szczytem zaufania, którym nigdy nikogo nie obdarzyłam, jest przerażająca, prawdziwa miłość. Co sprowadza nas do tej bajkowej części. A ilekroć pozwalam sobie wyobrażać własną baśń, zawsze wiąże się ona z zaufaniem Kellerowi. Ostatnio czuję się z tym dobrze i jest to kojące. Co natychmiast sprowadza mój umysł do punktu pierwszego. Nie jestem egoistką.

Cykl ten powstrzymuje mnie przed czymkolwiek więcej niż przyjaźń z Kellerem. Przyjaźń zaś jest powodem, dla którego nie mogę całkowicie wykluczyć go z mojego życia. Pragnę jego przyjaźni. Sprawia, że jestem szczęśliwa, przyprawia mnie nawet o zawrót głowy. Jest jak narkotyk. Funkcjonuję dużo lepiej, gdy mnie nakreca. Właśnie dlatego postanawiam iść do Grounds. Ponadto: umieram, by napić się dobrej kawy. Bez niej moje ciało odmawia współpracy.

A moje ciało to zupełnie inna sprawa. Ostatnio jest nieszczęśliwe. Normalna, codzienna aktywność staje się walką. Ból bywa tak wielki, że ibuprofen już go nie rusza. Jest bezlitosny i stały. Nasila się, jakby pochłaniając mnie od środka. Nie pozwala mi spać. Powoli zmienia się mój wygląd. Schudłam. Wiem, bo moje spodnie są luźniejsze. Widać to również na mojej twarzy. Jestem blada i mam ciemne kręgi pod oczami. Wiedziałam, że do tego dojdzie, więc niechętnie umówiłam się na wizytę u doktora Connella na jutro po południu. Nie byłam u niego od mojej pierwszej wizyty w sierpniu. Z pewnością nie jest szczęśliwy, chciał, bym pojawiała się u niego co miesiąc. Dzwonią z jego gabinetu co tydzień. Ignorowałam te telefony. Wiem, że to dziecinne, ale tak właśnie sobie radzę, a radzę sobie całkiem dobrze, kiedy połykam garść ibuprofenu i mogę się chwilę zdrzemnąć.

Wchodzę do Grounds i widzę, że za ladą stoi Keller. Jego powitanie nie jest tak radosne jak zwykle.

– Hej. – Tylko tyle dostaję.

Rozumiem. Całkowicie to rozumiem.

Staram się uśmiechnąć, ale to trudne. Nie potrafię za dobrze udawać. Przynajmniej tak twierdzi Gus. I nie umiem kłamać. W niemówieniu prawdy jestem dobra, ale gdy mam skłamać? Wychodzi okropnie.

– Hej – odpowiadam.

Nalewa dużą kawę i stawia ją przede mną w milczeniu. Jako zapłatę podaję mu kartę podarunkową. Bez słowa wypełnia rubryczkę. Wciąż nie patrzy mi w oczy.

Nie ma za mną nikogo, ale i tak szepczę:

– Słuchaj, przepraszam. Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić.

– Za późno. – Jego ton jest szorstki. Chwilę później kręci zwieszoną głową. – To było niegrzeczne. Przepraszam. – W końcu spogląda mi w twarz. Ból w jego oczach zastępuje troska. – Co się stało? Jesteś chora, Katie?

Keller nie widział mnie przez tydzień, więc mój wygląd bardziej rzuca mu się w oczy niż komuś, kto widzi mnie codziennie.

– Tak. – Częściowo chciałabym wyłożyć karty na stół. – Jutro mam wizytę u lekarza.

Spina się. Wygląda, jakby nie wiedział, co zrobić. Mogłabym go uściskać, ale nie mam w zwyczaju prosić o pocieszenie, więc unoszę kubek.

– Dobrego czwartku, młody. Przekaż wieczorem pozdrowienia dla Stelli i Pani Higgins.

Kiwa głową.

– Przekażę. – Nadal jest zmartwiony. – Daj znać, co powiedział lekarz.

11 STOPADA, PIĄTEK

KATE

Wizyta u doktora Connella jest przygnębiająca i depresyjna. Spodziewałam się tego, choć miałam jeszcze nadzieję, że będzie inaczej. Te same badania, gorsze wyniki – więcej informacji. W tej chwili nie potrafię nazwać ich złymi wieściami – to po prostu informacje. Kiedy wszystko się zaczęło, zarzekałam się, że nie będę się nad sobą użalać, ale w drodze powrotnej z Minneapolis do Grant postanawiam dać sobie czas do północy, by się w tym nurzać.

Nurzać i topić.

Dostałam receptę na silniejsze środki przeciwbólowe, które kupuję w drodze powrotnej do domu, jednak gdy docieram do akademika, postanawiam połączyć je dziś z alkoholem. Będę piła, aż przestanę czuć cokolwiek. Aż nie będę czuć bólu. Aż nie będę pamiętać o tym, o czym staram się zapomnieć. Jutro wymyślę, jak na nowo sobie z tym radzić. Dzisiaj chciałabym zapomnieć.

Zapomnieć w cholerę.

Idąc korytarzem akademika, wyłączam komórkę i wrzucam ją na dno plecaka. Oczywiście przy moim szczęściu zastaję w pokoju Sugar. Mój plan zyskuje nowy punkt.

– Hej, młoda, ile masz tu alkoholu? – Nie wiem, kto jej go kupuje, ale zawsze ma jakiś w szafie. Myślę, że potrzebny jest jej, gdy przychodzą chłopaki, by się zabawić.

Wydaje się zszokowana. Zazwyczaj nie rozmawiamy, nie wpadam też nagle do pokoju, zadając pytania, czy wysuwając żądania, zwłaszcza w takiej kwestii.

– Ee, nie wiem. A co byś chciała?

– Tylko nie piwo, reszta jest bezznaczenia.

Najwyraźniej trafiam w jej temat, bo jest zbyt zaskoczona, by rzucić jakąś zwyczajową ripostę.

– Dobra, zobaczmy. – Przegrzebuje szafę, wyciąga butelkę taniego wina, whiskey, która jest prawie pusta i ćwiartkę wódki, w której jest trzy czwarte alkoholu. Jest niepokojąco podekscytowana, pokazując swoje zapasy. W świecie nielegalnych używek to dziecinada, mimo to szczerzy zęby niczym mafijny boss. Odsuwam na bok tę myśl i zapisuję w pamięci, by później porozmawiać z Sugar o tym, że nieuchronnie się stoczy. Później, gdy już nie będę się nad sobą użalać. Może jutro.

Wyciągam z kieszeni dwadzieścia dolarów. Rzucam je na podłogę i biorę wódkę.

– Dzięki. – Sprawdzam drugą kieszeń w poszukiwaniu klucza do pokoju, rozpinam płaszcz, wsadzam pod niego butelkę, zapinam i bez słowa wychodzę.

To czas kolacji, ale daruję ją sobie na rzecz tego, co mam pod płaszczem. Jest zimno, więc udaję się do najbliższego budynku, który najprawdopodobniej nie będzie zatłoczony w piątkowy wieczór, czyli biblioteki. Wiem o tym, ponieważ spędziłam tu wiele piątkowych wieczorów. Przy biurku zastaję tego samego gościa, co zwykle, zapewne znów zaśnie około dziewiątej. Mogę tu tkwić, pijąc i nie ujrzeć tu już dzisiaj żywej duszy.

I to właśnie robię. Zajmuję kąt w części biograficznej, siadam na wykładzinie i wyciągam butelkę. Nie piję duszkiem, ponieważ chcę się tylko znieczulić, nie zabić. Wódka pali w gardło. Nigdy nie lubiłam smaku czystego alkoholu. Na miłość boską, przecież jest

łatwopalny i tak też smakuje. Ciepło zaczyna rozchodzić się od mojego brzucha, wkrótce palą mnie uszy, nie czuję też nosa i palców. Tytuły książek na półce przede mną zaczynają się rozmazywać. Biorę kolejny łyk. Następnym razem, gdy spoglądam na półkę, książki są jedynie niewyraźnymi, ułożonymi obok siebie kolorowymi paskami. Mam kłopot z odczytaniem godziny z zegara na ścianie za mną, ponieważ za każdym razem, gdy obracam głowę, pomieszczenie zaczyna wirować. Jest jedenasta czterdzieści pięć. Niemal północ. Mój czas prawie się skończył.

Dobrze, że butelka jest już w miarę pusta. Wlewam do gardła ostatnie krople. Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że powinnam wyjść. Wlokę się w zimną noc w kierunku akademika, ale w połowie drogi moje nogi postanawiają samoczynnie zmienić kurs. Idę w kierunku Main Street.

KELLER

Budzi mnie walenie w drzwi. Zerkam na zegarek. Bez okularów ciężko mi odczytać godzinę. Chyba jest dwunasta czterdzieści siedem. Ponownie rozlega się łomot. Dunc musiał zapomnieć kluczy. Sądziłem, że miał zostać dzisiaj u Shel. Odsuwam kołdrę i przeciągam się, zanim wstaję. Mam na sobie tylko bokserki, więc drzę z zimna, kiedy otwieram drzwi.

– Co u diabła, Dunc? Streszczaj się.

Ale nie słyszę kroków.

Zerkam na zewnątrz i widzę, że to nie Dunc... tylko Katie. Katie, której nie poznaję. Jeśli wczoraj wyglądała niezdrowo, to nic w porównaniu z tym, jak wygląda dzisiaj. Jest trupio blada i słaba. Pokonana. Przemoknięta. Pada śnieg, więc zastanawiam się, jak długo była na zewnątrz. Szczeka zębami, a jej wargi są sine. Ma na sobie wełniany płaszczyk, ale żadnych rękawiczek. A temperatura jest na minusie.

Wciąż nie wchodzi. Czeka. Chwytam ją za rękę i wciągam.

– Właż. – Zatacza się, więc łapię ją za ramię. Mruga powoli. – Jesteś pijana?

– Zawsze byłeś bystry – mówi wolno i bełkotliwie.

Prawie niosę ją w kierunku kanapy, na której ją sadzam. Zdejmuję jej buty, rozpinam mokry płaszcz, spod którego wypada butelka po wódce.

Podnoszę ją.

– Sama to wszystko wypijaś?

Mruży oczy, zerkając na butelkę i kiwa głową.

– Tak. – Butelka nie jest duża, ale Katie jest tak mała, że prawdopodobnie czuje się jak ja po pół litra, co, z doświadczenia wiem, nie jest najlepszym pomysłem.

Ma lodowate ręce i twarz.

– Jak długo byłaś na zewnątrz? – Jest cała przemoknięta.

Ze smutkiem wzrusza tylko ramionami.

Zastanawiam się, jak ją rozgrzać i sprawić, by wytrzeźwiała. Biorę ją za rękę, a kiedy wstaje, wolno prowadzę do łazienki. Wprowadzam ją pod prysznic, zdejmuję jej koszulkę przez głowę. Ma plastry na obu przegubach łokci. Mówiła, że ma dzisiaj wizytę u lekarza. Musieli pobierać jej krew. Na samą myśl czuję ucisk w gardle. Czy cierpi z powodu bólu? Wszystko w porządku? Jej widok mnie dobija. Rozpinam jej jeansy, a ona nie protestuje.

Nie sędzę, by wiedziała, co się w ogóle dzieje. Ściągam materiał w dół, mimowolnie przypominam sobie, ile razy fantazjowałem o tej chwili. Myślę również, jak bardzo jest to teraz złe. Klęczę przed nią.

– Złap mnie za ramiona – mówię. Wzdrygam się, gdy czuję na sobie jej zimne palce. Rozbieram ją i odwracam do siebie plecami. Nie chcę jej oglądać w ten sposób. Ścisza mi się żołądek na myśl, że mogę naruszać jej intymność. Zamykam więc oczy i rozpinam biustonosz. Kiedy wyciąga ręce z ramiączek, upuszczam go na podłogę. Następnie ściągam jej majtki. Nadal zaciskając powieki dotykam ściany i szukam kurków, by odkręcić wodę. Ostrzegam ją, tak jak Stellę:

– Odkręcam wodę, Katie. Chcę, byś została pod prysznicem, aż się rozgrzejesz, dobrze?

– Dobrze. – Brzmi na wyczerpaną.

Jej mokre rzeczy wkładam do suszarki, po czym zakładam podkoszulek. Wyciągam też dodatkową koszulkę i bokserki, by miała się w co ubrać. Nie mam nic, co pasowałoby na nią, więc będziemy musieli improwizować, aż jej ubrania będą suche.

Zanim ponownie otwieram łazienkę, pukam do drzwi, ponieważ wciąż czuję, jakbym naruszał prywatność Katie. Cholera, chociaż pukając, już czuję się jak zboczeniec.

– Wszystko w porządku, Katie?

– Tak, już mi cieplej. – Jej głos dobiega spod prysznica.

– Posiedź tam jeszcze chwilkę. Byłaś cała lodowata. Na podłodze zostawiam ci ręcznik i suche rzeczy. Nie spiesz się.

Pięć minut później słyszę, że woda zostaje zakręcona. Podchodzę do drzwi i nasłuchuję, czy nie upadła i czy nie potrzebuje pomocy. Słyszę hałas, ale wygląda na to, że sobie radzi, więc siadam w fotelu i czekam.

Kiedy wychodzi, wciąż wygląda na pijaną, ale nie jest już obrazem nędzy i rozpacz. Koszulka jest tak długa, że nie widać pod nią bokserki, co jest niesłychanie seksowne. Włosy zawięła ręcznikiem tak, jak to tylko dziewczyny potrafią zrobić. Jest bardziej rześka.

– Dziękuję, Keller.

– Głodna?

Przystaje i się zastanawia. Zajmuje jej to więcej czasu niż powinno.

– Troszkę. Nie jadłam obiadu i kolacji. To wieczór płynów.

– Więc musimy cię nakarmić – mówię. Podgrzewam resztki makaronu z sosem alfredo, który zrobiłem sobie na obiad. Nie dodałem kurczaka, choć zwykle to robię. Najwyraźniej myślałem o Katie.

Zajmuje to wieki, ale zjada do ostatniego kęsa. Nie przeszkadza mi to, ponieważ to świetna wymówka, bym mógł patrzeć na jej usta. Myślę, jak muszą smakować, jak miękkie były, gdy pocałowałem ją niecały tydzień temu.

Dźwięk odkładanego na pusty talerz widelca wyrywa mnie z zamyślenia.

– Było naprawdę dobre, Keller.

Uśmiecham się, bo brzmi, jakby już w pełni doszła do siebie.

– Dzięki. Jak się czujesz? – Wygląda znacznie lepiej. Zdjęła ręcznik z głowy, jej włosy są już suche, ale poplątane. Ponownie wydaje się być moją Katie.

– Właściwie całkiem dobrze. Mój plan zadziałał. Choć pewnie rano powiem co innego.

Nie mówię jej, że jest wpół do trzeciej.

– Pewnie rano powiesz co innego – zgadzam się. – Co masz na myśli, mówiąc, że twój

plan zadziałał?

Kręci głową, dając znać, że nie chce o tym rozmawiać. Zniknęły plastry z rąk. W ich miejscu widać sińce i strupy po igłach. Wskazują na nie, ale natychmiast zgina ręce i przyciska je do piersi.

– Byłaś dzisiaj u lekarza?

Przytakuje.

– Postawili diagnozę?

Prycha z goryczą:

– Już wcześniej ją znali. – Wyciąga ręce przed siebie. Wyglądają źle, jeśli się im dokładnie przejrzeć. Znów kurczy mi się żołądek. – Robią to, by poprawić sobie nastrój. Aby było widać, że coś działają. – Ponownie prycha. – Jednak to gra, która niczego nie zmienia. – Przeciąga słowo „niczego”, jakby składało się z trzech odrębnych wyrazów.

Coś jest bardzo nie w porządku. Robi mi się niedobrze.

– Czego nie zmienia, Katie?

Spogląda na mnie i się uśmiecha, ale jest to najsmutniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem, ponieważ jest to jej szczerzy uśmiech w połączeniu z beznadzieją w oczach.

– Końca.

Niepokój niebezpiecznie wzrasta. Moje serce pędzi jak szalone.

– Co się dzieje?

Nie odpowiada, a pomiędzy nami zapada ogłuszająca cisza.

Drzę, próbując się domyślić. Jestem zdenerwowany, przerażony i sfrustrowany. Z rozpaczą krzyczę:

– Powiedz mi, co się, u diabła, dzieje!

Milczy. Siedzi i zaczyna się trząść.

Ponownie krzyczę:

– Kocham cię, Katie! – To wyznanie, jak i obietnica. To również wyjaśnienie, bo nie wiem, co chodzi jej po głowie, ale musi wiedzieć, jak bardzo mi na niej zależy. Jak silne są moje uczucia.

Jej dolna warga zaczyna drżeć, oczy wypełniają się łzami.

– Proszę, nie mów tak.

Ciągnę się za włosy, bo nie wiem, co zrobić z rękami.

– Cholera, kocham cię. Dlaczego to coś złego? Wiem, że ty też mnie kochasz. Po prostu dopuść mnie do siebie. Powiedz to. – Moja cierpliwość się kurczy.

Pojedyncze łzy spływają jej po policzkach, pociąga nosem.

– Tak. Kocham cię – mówi cicho, pokonana.

Nikt nie chce usłyszeć takiego wyznania w ten sposób. Boli mnie to. Wzdycham, spoglądam w sufit, po czym znów na nią, nie wiem, dlaczego znowu krzyczę. Nie potrafię przestać się wydzierać.

– Więc w czym problem?! Kochasz mnie! A ja kocham ciebie!

Najwyraźniej również sięga swoich granic, bo odpowiada krzykiem:

– Właśnie w tym ten pieprzony problem! Ty też mnie kochasz! A nigdy nie powinienes!

– Cholera jasna, Katie. – Wzdycham. – To nie jest twój wybór, tylko mój. Zakochałem się w tobie. Stałoby się tak bez względu na to, czy byś to odwzajemniła. Jesteś najbardziej niesamowitą kobietą, jaką w życiu spotkałem. Dlaczego nie mogę cię kochać? Dlaczego?

Wstaje, wyrzuca ręce w górę i krzyczy, jak jeszcze nigdy dotąd nie słyszałem. To krzyk

bólu i samotności. Strachu i wściekłości. Irytacji.

– Ponieważ umieram, właśnie dlatego! Mam raka! – Opada na kanapę, jakby te słowa wyssały z niej całą energię. – Umieram – powtarza znacznie ciszej, a jej słowa zmieniają się w szloch.

Czuję się, jakby ktoś dźgnął mnie nożem w serce. Ból po śmierci Lily był najgorszym, jakiego w życiu doświadczyłem... aż do tej chwili. Czuję, jakby ktoś obracał tym nożem, wyciągał go i ponownie tam wbijał, nieustannie powtarzając tę czynność. Czuję, że serce pęka mi po raz drugi. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę mówić. Nie mogę nawet oddychać.

Katie w końcu ociera przedramieniem łzy z twarzy. Sekundy dzielą mnie od wpadnięcia w panikę. Właśnie wtedy uświadamiam sobie, że mi się przygląda. A kiedy Katie na kogoś patrzy... więzi go spojrzeniem. To fizyczne, jakbym został przykuty na miejscu, nie mogąc się ruszyć ani zaczerpnąć oddechu. Podchodzi do mnie, zatrzymuje się dopiero, gdy jej kolana opierają się o moje. Jestem na jej łasce i pomimo tego, co właśnie się wydarzyło, nie chciałbym być nigdzie indziej. Patrzy na mnie, siedzącego przed nią, tymi swoimi niezgłębionymi, jadeitowymi oczami, jednocześnie biorąc kilka głębszych wdechów. Nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Keller, gdybym cię o coś poprosiła, zrobiłbyś to?

Sposób, w jaki na mnie patrzy, sprawia, że wiem, iż spełnię każde jej żądanie. Zechce, bym skoczył z mostu? Dobra. Wszedł pod pędzący autobus? Jasne, dlaczego nie?

– Chciałabym spędzić z tobą noc. Tylko jedną. Wiem, że to egoistyczne i że nie powinnam cię o to prosić, ale...

Moje usta znajdują się na jej, zanim ma szansę dokończyć zdanie. Potwierdzam, że się zgadzam, nim się rozmyśli. Nie przerywając pocałunku, chwytam ją za uda i podnoszę, aż oplata mnie nogami w pasie. Niosę ją do łóżka. Wiem, że powinienem postępować powoli, ale w moim ciele jest tyle adrenaliny, że nie daję rady. Zbyt mocno jej pragnę.

Katie również się nie powstrzymuje. Jej pocałunki są zdecydowane, wymagające. Kiedy ją kładę, chwytam za brzeg mojego podkoszulka, więc go zdejmuję. Klęczę w rozkroku, obejmując ją w pasie kolanami, po chwili pochylam się nad nią. Gładzi mnie po piersi, palcami wyznacza ścieżkę w dół mojego brzucha. Drzę i nie potrafię powstrzymać jęku. Przenosi dłonie na zbyt obszerne bokserki, które ma na sobie. Wkłada kciuki za gumkę, zsuwa je w dół swoich bioder, a ja pomagam je ściągnąć. Chwytam za brzeg koszulki i zdejmuję ją przez jej głowę. Oddech więźnie mi w gardle, gdy łapczywie przyglądam się jej nagiemu ciału pod sobą. W świetle mojej lampki nocnej aż promienieje. Jest pełna wdzięku, nawet gdy leży spokojnie. Smukła, choć bardzo szczupła sylwetka nosi ślady sportowego trybu życia. Okrywa ją jedwabna i miękka skóra, ukazująca również bardzo kobiece krągłości. Jest wspaniała.

Muszę zwolnić. Pouczam się w duchu: *Zwolnij, stary. Zwolnij... Cholera, zwolnij.*

Z Lily byłem w sypialni powściągliwy. Powstrzymywały mnie niepewność, młodzieńczy brak doświadczenia, a także partnerka, która była równie niedoświadczona, jak ja. Nie żebym narzekał. Po prostu było inaczej.

Jednak teraz, w tej właśnie chwili, Katie wypełnia mnie pewnością, o której istnieniu nie wiedziałem. Pozbywa się mojego strachu. Wyrzuca moje wahanie przez okno. Nie spieszę się. Badam ustami, całuję, liżę, skubię. Dotykam każdego skrawka jej ciała. Jestem metodyczny, dokładny, zapamiętuję każdy szczegół: piękną krzywiznę jej szyi przechodzącą w ostry obojczyk, jej drobne, acz krągłe piersi, miękkie i jędrne – idealne.

Dziurkę jej pępka, która błaga o uwagę i wewnątrz jej nadgarstków, które w dotyku przypominają jedwab. Nagradza mnie jękami i westchnieniami w odpowiednich chwilach, jak również w tych, których bym się nie spodziewał. Katie głośno wyraża swoje potrzeby i uznanie. Mógłbym się wzbić do nieba wyłącznie dzięki tym dźwiękom. Kiedy moje usta ponownie odnajdują jej wargi, napiera na mnie i obraca nas tak, że mam teraz całkiem nowe pole do eksploracji. Zsuwa ze mnie bokserki, po czym palcami i językiem zwiedza całe moje ciało: całuje, ssie, pociera, dotyka. Dyszę, wymawiając jej imię, błagając, by nie przestawała. To moje najlepsze doznanie erotyczne. Fantazjowałem o niej, ale to jest o wiele lepsze. O wiele, wiele lepsze. Każdy nerw w moim ciele płonie, zaciska się, wykręca i kurczy.

Kiedy nadchodzi czas, mówię, że nie mam gumek, ale nalega:

– Proszę, Keller. Potrzebuję tego. Potrzebuję ciebie. – W jej głosie słyhać ból. Wiem, że powinienem to przerwać... Wiem... ale nie przerywam. Nie mogę. Nigdy niczego nie chciałem bardziej niż w tej chwili znaleźć się w niej. Delikatnie obracam ją na plecy, więc układa nogi po bokach. Ma zamknięte oczy, oddycha ciężko.

– Spójrz na mnie, Katie. – Unosi powieki, jej spojrzenie jest ciemne z pożądania. Nie mruga. – Chcę patrzeć w twoje piękne oczy, kiedy będę się z tobą kochał.

Jęczy, kiedy wchodzę w nią powoli i jednak opuszcza powieki. Cholera.

– Katie, patrz na mnie – nalegam.

Ponownie je otwiera. Całuję ją i wycofuję się, wciąż na nią patrząc.

Szybko odnajdujemy wspólny rytm, potrafię się skupić jedynie na odczuwaniu jej ciała na moim.

– Jesteś cudowna, kochanie – mówię bez tchu.

Poruszamy się jednocześnie, po chwili Katie przyspiesza. Nie zamyka już oczu. Do końca życia tego nie zapomnę. Kiedy wymawia moje imię i zaczyna drżeć pode mną, wiem, że zaraz skończę.

– Katie. Katie. Katie. – Nie potrafię przestać powtarzać jej imienia.

Nasze ciała sztywnieją, więc przesuwam ją nieco, uświadamiając sobie nagle, jak jest małutka. Czuję, że mógłbym ją zgnieść.

Jej spojrzenie jest rozmarzone, a ona całkowicie spełniona. Rysy twarzy się wygładziły. Nawet nie potrafię opisać, jak bardzo mi się teraz podoba.

– Boże, Keller, to było niesamowite. To już postanowione, pójdę do piekła.

Odruchowo się uśmiecham. Nikt nie może mi tego odebrać.

– Pójdę tam z tobą.

– Nie musisz się spieszyć. Poczekam na ciebie. – Całuje mnie czule.

Odwzajemniam pocałunek, pogłębiam go. Odpowiada na niego. Między pocałunkami zapewniam, jak bardzo ją kocham i jaka jest piękna. Choć stara się za mną nadażyć, wiem, jak bardzo jest zmęczona. Uderza we mnie rzeczywistość.

Katie jest chora.

Całuję ją, jednocześnie w duchu przyrzekając sobie, że od tej pory wykorzystam każdą pozostałą mi z nią sekundę i będę żył dokładnie tak, jak tego pragnę.

Zerkam na zegarek. Jest niemal piąta nadranem.

– Powinniśmy się przespać. Wiesz, że i tak nie wypuszczę cię dzisiaj z łóżka, prawda?

Uśmiecha się, tuląc się do mnie.

– Mam nadzieję.

12 STOPADA, SOBOTA

KELLER

Oprócz wycieczki do jej akademika po lekarstwa i do sklepu po prezerwatywy, poza sporadycznymi wizytami w kuchni i porannym telefonem do Stelli, nie wychodzimy z łóżka.

Jest jak w niebie.

13 STOPADA, NIEDZIELA

KATE

Nie sądziłam, że bycie z kimś może być takie dobre. Jednak tak właśnie jest. To moja bajka, nawet jeśli będzie krótka i z okropnym zakończeniem, wciąż jest moja. Wyznanie Kellerowi, że mam raka, było dla mnie najtrudniejsze, ale w efekcie okazało się, że było warto. Nie chciałam, by dzielił ze mną ten ciężar, ale muszę przyznać, że teraz, kiedy o tym wie, jest mi nieco lżej. Wspiera mnie i pomaga. I możecie wierzyć, wiem, że to złe.

Wciąż śpi, leżąc na plecach. Zwinięta przy jego boku, opieram głowę na poduszce. Przyglądam mu się. Wygląda bardzo spokojnie, jakby nie miał żadnych trosk. Wiem jednak, że to nieprawda. Wszystkim się martwi.

Nie otwierając oczu, mówi:

– Dzień dobry, Katie.

– Skąd wiedziałaś, że nie śpię? – pytam szeptem.

– Zaczęłaś szybciej oddychać. – Obraca głowę, więc leżymy nos w nos. Otwiera oczy i się uśmiecha. – Czuję, jak twoja pierś unosi się i opada.

– Keller, chyba powinnam już wrócić do siebie.

Obejmuje mnie ciasno.

– To kiepski pomysł. Wolę cię tutaj.

– Ale nie mogę tu mieszkać.

Nie waha się.

– Dlaczego?

Naprawdę nie wiem, co odpowiedzieć. Może z wyjątkiem tego, że to zbyt szybkie i zachłanne.

Mruży oczy.

– Zawsze odmawiałaś sobie wszystkiego, czego pragnęłaś, czy może to coś nowego, co dotyczy jedynie mnie?

Zaskakuje mnie tym.

– Co?

– Uważam, że przez dwadzieścia lat troszczyłaś się o wszystkich i przedkładałaś ich potrzeby nad swoje własne. Błagam, byś w tej chwili była szczerą sama ze sobą, Katie. Zrób to, na co masz ochotę. – Całuje mnie w czoło i się uśmiecha. – Pamiętasz, jak świetnie się to sprawdzało w nocy?

Nie mogę powstrzymać uśmiechu, nawet jeśli ze mnie drwi. Poza tym ma rację.

– Nie podoba ci się tutaj ze mną? – nalega.

– Oczywiście, że mi się podoba, ale jestem tu intruzem.

Muska moje usta, zanim mnie całuje.

– Nie jesteś intruzem. Nie wiem, co bym zrobił, gdybyś teraz wyszła.

– Ale kiedyś będę musiała odejść. Nie chcę, by było to dla ciebie trudniejsze, niż być musi. Nie mogę być aż tak samolubna.

Obejmuje moją twarz.

– Nie martw się o mnie. To ja decyduję, w kim się zakocham, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Katie, wiem, że nie chcesz o tym rozmawiać, ale naprawdę nie można nic zrobić?

Zastosować chemioterapii, radioterapii, wykonać operacji?

Kręcę głową.

– Nowotwór jest nieoperacyjny. Można zastosować chemię, ale prawdopodobnie kupi mi to tylko kilka miesięcy. I jest do bani, nie chcę być chora z powodu raka i czuć się źle przez chemioterapię tylko po to, by odwlekać nieuniknione. To i tak się stanie, niezależnie od wszystkiego. Chcę cieszyć się czasem, który mi pozostał, a nie rzygać i tracić włosy.

Keller wygląda, jakby miał się rozplakać.

– Ile zostało ci czasu?

– Doktor Connell twierdzi, że bez leczenia jakieś trzy miesiące. – Uśmiecham się, ponieważ już nie potrafię inaczej. Muszę żyć chwilą obecną, a przy lekarstwach, które mam w tej chwili, ból jest nawet znośny.

Łzy spływają po jego policzkach.

– Musi być coś, co można jeszcze zrobić. Może mój ojciec zna jakichś onkologów. Gdzie go masz? Ten nowotwór?

Kciukami ocieram mu policzki.

– Nie płacz.

– Gdzie, Katie? – Nie odpuszcza.

– W obu płucach i w wątrobie.

Wykrzywia usta, a łzy nadal płyną.

– Proszę, nie płacz. Nie chcę tracić czasu na płacz.

– Nie chcę cię stracić, Katie. To nie powinno spotkać takiej osoby jak ty. To niesprawiedliwe.

– Ja też nie chcę cię zostawiać, Keller, ale tak właśnie kończy się moja bajka. Czuję się teraz najszcześniejszą dziewczyną na ziemi. Ostatnie miesiące mogę spędzić z tobą, kochać cię i być przez ciebie kochaną. Nigdy nie myślałam, że to możliwe. Jesteś dla mnie największym błogosławieństwem.

– A może nigdy więcej nie będziemy rozmawiać o raku? Nienawidzę go. – Jakby czytał mi w myślach.

Przytakuję z uśmiechem.

– Zgoda.

Proszę, by nic nikomu nie mówił. Nie chcę, by ktokolwiek wiedział, dopóki nie będę już w stanie dłużej ukrywać choroby.

14 STOPADA, PONIEDZIAŁEK

KELLER

Zimno dzisiaj. Powietrze wydostaje się z moich ust w postaci pary, kiedy zmierzam w stronę kwaciarni. Wiem, że nie powinienem przeszkadzać Katie w pracy, ale zapisałem się dzisiaj na dodatkową zmianę w pizzerii, a nie mam tyle cierpliwości, by czekać z dobrymi nowinami do wieczora. Całe moje ciało wciąż rozpira ekscytacja z powodu buntu i dążenia do spełnienia własnych pragnień. To takie cudowne uczucie. Na tym właśnie polega kontrolowanie swojego losu? Czuję się silny. Nie jak jakiś dupek z przerośniętym ego, ale jakbym miał na tyle siły, by się w końcu pozbierać.

Dzwonek oznajmia moje wejście. Do dnia, w którym poznałem Katie, nigdy nie zauważałem tych dzwonek. Teraz każdorazowy dźwięk jakiegoś dzwonka przypomina mi, jak uroczko Katie krzywi się na ten w Grounds.

Shel spogląda na mnie ponad bukietem kwiatów, który właśnie układa. Posyła mi przebiegły uśmiezek, więc wiem, że nie mam szans.

– Cześć, Romeo.

Postanawiam zignorować jej próbę zawstydzenia mnie w najlepszy ze znanych mi sposobów.

– Hej, Shel. – Zdradza mnie rumieniec, więc jej uśmiech się poszerza.

Katie obraca się na dźwięk mojego głosu. Ta reakcja? Pociągająca. Prosty gest, przez który jestem tak cholernie szczęśliwy. Nie byłem z nią jedynie dziś rano, kiedy wyszła na zajęcia, ale po wspólnie spędzonym weekendzie te kilka godzin wydaje się być wiecznością.

– Witaj, piękna.

Uśmiecha się sugestywnie.

– Cześć, przystojniaku. Nie mogłeś beze mnie wytrzymać, co?

Kręcę głową, wchodzę za ladę i porywam ją w ramiona. Nie mogę trzymać się z dala od niej. Jej skóra pachnie mydłem. Uwielbiam to, bo wiem, że to moje mydło. Pod moim prysznicem. W moim mieszkaniu. Tego ranka. A teraz, gdy trzymam ją w objęciach, nie mogę się oprzeć, by jej nie pocałować.

Shel odchrząkuje.

– Keller, ja tu prowadzę interes. Trzymaj łapy przy sobie.

Uśmiecham się, wzruszam ramionami i trzepoczę rzesami, patrząc na nią niewinnym spojrzeniem.

– No co? – Wiem, że tylko się droczy. Przeżyła szok w sobotę, gdy zobaczyła mnie z Katie, ale dała nam swoje błogosławieństwo. Oczywiście po surowym ostrzeżeniu, że „obetnie mi jaja”, jeśli skrzywdzę Katie.

Przysiągłem na własne klejnoty, że tego nie zrobię.

Shel mierzy mnie ostrym spojrzeniem, ale wymyka się jej dziewczęcy chichot.

– Nienawidzę tego mówić, bo od takiego uroczego gówna robi mi się niedobrze, ale razem jesteście naprawdę słodcy. Nie potrafię wymyślić innego słowa, by to opisać. Jesteście zajebiście słodcy.

Katie wtrąca:

– Ooo, Shelly, nie chcę być słodka. Dlaczego nie mogę być taka ostra jak ty? Nigdy nie

powiedziałaś, że jestem ostra. Właśnie wypaczyłaś moją wizję siebie. – Śmieje się, a Shelly przewraca oczami, niewzruszona tym komentarzem.

Całuję Katie w czubek głowy.

– Och, jesteś ostra... i słodka... i seksowna...

Shel natychmiast się wtrąca:

– Dobra, kochasiu, wystarczy. Lepiej, żebyś miał dobry powód swojej wizyty, inny niż zaliczenie mojej współpracownicy.

W odpowiedzi uśmiecham się do Katie.

– Mam powód. Mogę ją ukraść na sekundkę?

Shel przytakuje.

– Tylko szybko ją oddaj. A jeśli usłyszę jakieś świńskie odgłosy, ostrzegam, że wejdę bez pukania, więc nawet o tym nie myśl.

Katie salutuje.

– *Aye, aye*, kapitanie.

– Dzięki. – Prowadzę Katie na zaplecze, po czym zamykam drzwi, by zapewnić nam nieco prywatności.

Uśmiecha się do mnie, ale w jej oczach widać zmartwienie.

– Co się stało?

– Spotkałem się dzisiaj z doradcą zawodowym.

Wytrzeszcza oczy, więc wiem, że jest podekscytowana i niecierpliwi się, co usłyszy dalej. Moja odwaga rośnie.

– Zmieniłem kierunek studiów.

Uśmiecha się triumfalnie i rzuca mi się na szyję.

– O Boże! Jestem taka dumna. Keller, zrobiłeś to. Zrobiłeś. – Nagle przestaje skakać z radości, odsuwa się ode mnie i patrzy mi w oczy. Jej twarz staje się poważna. – Dobrze się z tym czujesz? To wielka sprawa.

Teraz, kiedy wypowiedziałem te słowa na głos, moje zdenerwowanie maleje i ogarnia mnie prawdziwy spokój.

Przytakuję.

– Powiedziałaś rodzicom?

– Nie. Zrobię to w weekend. Chcę im to przekazać osobiście. – Odchrząkuję. – Mogę cię o coś prosić?

Nie waha się.

– Oczywiście. Co tylko zechcesz. – Jej bezwarunkowe wsparcie jest nieocenione. Przy niej czuję się jak Superman.

– Polecisz ze mną w weekend do Chicago? – Nie wiem, co zrobię, jeśli odmówi.

Opiera niewielką dłoń na moim policzku.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – Nie odrzuca mnie, może tylko chce się upewnić, że dokładnie to przemyślałem.

– Tak. Sam przekażę im tę informację, ale czułbym się lepiej, wiedząc, że jesteś w pobliżu.

Kiwa głową.

– Dobrze, oczywiście. Polecę z tobą.

Jej wsparcie sprawia, że czuję się wszechmocny. Jakbym był w stanie zrobić dosłownie wszystko. Już jestem silniejszy.

– Dzięki.

– Podjąłeś decyzję i co dalej?

Znów wygląda na zmartwioną. Opieram rękę na jej ramieniu, by dodać jej otuchy.

– Zmiana kierunku będzie mnie kosztowała dodatkowe półtora roku nauki. Na szczęście chodziłem na wykłady z literatury, więc to mi zdecydowanie pomoże. Zrezygnowałem ze wszystkich dotychczasowych przedmiotów, bo na nowym kierunku nie będą mi już potrzebne.

Jej twarz wykrzywia grymas.

– Ciężko było? Wiem, że nie lubisz porzucać niedokończonych spraw.

Dobrze mnie zna.

– Tak, to było najtrudniejsze. Nie znoszę czegoś rozpoczynać i tego nie kończyć. Czuję się wtedy, jakbym poniósł porażkę.

Kładzie mi palec na ustach, by mnie uciszyć.

– To nie żadna porażka. Zmieniłeś plany, a to wielka różnica.

Kiedy się uśmiecham, zabiera palec.

– Dzięki.

– A co ze stypendium?

– Jeszcze nie wiem. Doradca będzie rozmawiał z doktorem Watkinsem, kierownikiem wydziału filologicznego i zobaczy, co się da zrobić. Nie zdziwię się, jeśli je stracę. Jeśli tak się jednak stanie, zawsze są kredyty studenckie, prawda?

Przytakuje.

– Prawda. – Milknie na chwilę, po czym znów pyta: – Na pewno dobrze się z tym czujesz?

– Szczerze mówiąc, nie sędzę, bym kiedykolwiek czuł się lepiej.

Przygląda mi się. Zazwyczaj nie cierpię tego rodzaju intensywnej uwagi, jednak kiedy ona tak patrzy, czuję, że żyję. Jakby w końcu znalazł się ktoś, kto mnie dostrzega. Prawdziwego mnie. Moje dobre, jak i złe strony, których w końcu nie muszę ukrywać. Których nie muszę się wstydić. I nie muszę udawać. Mogę być sobą, Kellerem Banksem.

Uśmiecha się czule i bierze mnie za rękę.

– Cholera. Jestem pod wrażeniem, młody. Poważnie. Robisz to. Naprawdę postawiłeś na ogromną zmianę. Jak to jest być takim twardzielem?

Wzruszam ramionami.

– Zarąbicie. – Moja odpowiedź jest zdawkowa, jednak wciąż czuję krążącą w żyłach adrenalinę. Serce przepelnia mi duma i miłość.

Katie się śmieje, ponownie mnie tuli i przysuwa usta do mojego ucha.

– Jesteś seksowny, kiedy jesteś taki stanowczy. – Ten głęboki szept bardzo mnie podnieca.

Przesuwam dłonie coraz niżej jej pleców, jednocześnie całując po szyi, zbliżając usta do jej ucha.

– Nie masz pojęcia, jak mnie to kręci. Mam nadzieję, że po pracy się zdrzemniesz, bo kiedy wieczorem wrócę do domu...

Skubie mnie lekko w płatek ucha, nim odpowiada:

– Obiecujesz?

– Z ręką na sercu.

15 STOPADA, WTOREK

KATE

Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz rozmawiałam z Maddie i choć jestem informowana na bieżąco przez Clayтона, który wiele czasu spędza w mieszkaniu mojej ciotki i Morrisa, wciąż wolę osobisty kontakt. Pomimo tej jednej rozmowy, prowadzącej do wynajęcia pokoju Morrisowi, która wydawała się dość szczerą, nasz kontakt jakby się urwał. Maddie ponownie postawiła swoje mury.

Nie oczekując zbyt wiele, piszę SMS-a: HEJ, ZJESZ ZE MNĄ W PIĄTEK KOLACJĘ?

16 STOPADA, ŚRODA
KATE

Maddie odpowiada: MOŻE.

Wymijająca odpowiedź. Czego ja się w ogóle spodziewałam?

18 STOPADA, PIĄTEK KATE

Maddie pisze, że ma dla mnie czas o dziewiętnastej piętnaście. Jest osiemnasta trzydzieści siedem. Wydaje się, że nie tyle przyjęła zaproszenie, co została do tego zmuszona. Ale ja jej nie zmuszałam. Można by pomyśleć, że wykręciłam jej rękę, by ze mną poszła. W tej chwili żałuję, że w ogóle zapytałam. Jestem wyjątkowo zmęczona, staram się jednak pozostać w optymistycznym nastroju, ale nie bardzo mi wychodzi. A ona mi nie pomaga.

Czuję się winna, wprowadzając Kellera w świat Maddie Spiegelman, ale nie dam rady zrobić tego sama.

– Keller, znasz to powiedzenie: „przysługa za przysługę”?

Zerka na mnie znad czytanej książki i uśmiecha się tym krzywym uśmiechem, który tak uwielbiam.

– Tak – odpowiada sugestywnie. Teraz czuję się jeszcze gorzej, bo w tym momencie on pewnie myśli, że szykuje się coś dobrego.

– Jutro lecę z tobą do Chicago, a czy ty poszedłbyś dzisiaj na kolację ze mną i moją ciocią?

Wkłada zakładkę i odkłada książkę.

– Jasne. Spotkamy się z nią w Minneapolis czy przyjedzie do Grant? – Wspominałam Kellerowi, że mam ciotkę w Minneapolis, ale nic więcej na jej temat nie mówiłam. To ta sytuacja, w której, jeśli nie macie nic miłego do powiedzenia, po prostu milczycie.

– W Minneapolis. Możesz być gotowy do wyjścia za kwadrans?

Już jest w drodze do łazienki.

– Znajdziesz mi czyste jeansy i koszulę? Wskoczę na chwilę pod prysznic. Chyba że chcesz dołączyć.

Uśmiech maluje się na mojej twarzy, ponieważ część napięcia znika pod wpływem jego flirtu.

– Z chęcią, ale potrwałoby to nieco dłużej niż kwadrans, więc przegapilibyśmy kolację.

Wzrusza ramionami.

– No trudno.

Z dnia na dzień jest coraz bardziej uroczy.

Parkujemy przed domem Maddie dokładnie piętnaście po siódmej. Mówiła, że będzie gotowa. Kiedy otwiera drzwi, a jej wzrok pada na Kellera, widzę drapieżny głód w jej oczach. Jakby jej umysł wahał się między pochłonięciem Kellera w całości a niespiesznym delektowaniem się każdym jego kęsem. Keller również to zauważa. Cholera, niewidomy po drugiej stronie ulicy by zauważył. Kiedy ich sobie przedstawiam, Keller ściska dłoń Maddie, ale drugą wciąż trzyma mnie za rękę.

Sugeruję, byśmy poszli do lokalu na tej samej ulicy, gdzie jadłyśmy kiedyś z Maddie śniadanie. Jest tani, dobry i co najważniejsze, nie ma w nim sushi. Keller popiera mój wybór, Maddie zaś nie protestuje, chociaż wiem, że wolałaby spędzić piątkowy wieczór w innym miejscu. Ubrana jest niczym wysokiej klasy kobieta do towarzystwa.

Idziemy chodnikiem we troje, ramię przy ramieniu, Keller idący między nami trzymając moją dłoń w obu swoich. Może się boi, że gdyby pozostawił rękę wolną, Maddie by ją zaanektowała. Pewnie ma rację. Na razie kobieta gada jak nakręcona, nie poświęca mi ani chwili uwagi czy choćby jednego pytania. Całą swoją energię skupia na Kellerze. Zaczynam myśleć, że zupełnie zapomniała o moim istnieniu. Jestem zmęczona, więc czuję ulgę, że nie muszę brać udziału w dyskusji ani zbytnio się na niej koncentrować. Poza tym to zabawne, bo Maddie bardzo się stara zaimponować Kellerowi.

Ale Keller nie jest pod wrażeniem.

Wcale.

W duchu bardzo się z tego cieszę.

Podczas kolacji przysłuchuję się Maddie, której życie okazuje się być na tym samym etapie, co kilka miesięcy temu. Miałam nadzieję, że zamieszkanie z Morrisem złagodzi jej obciążenie finansowe, pozwoli spojrzeć na życie z szerszej perspektywy i poszukać znaczenia innych rzeczy. Nie wydaje mi się jednak, by cokolwiek się zmieniło.

Może dlatego, że jestem zmęczona, a może to wina leków, a może jednak w głębi ducha jestem złośliwą zdzirą, ale nie jestem w stanie dłużej tego słuchać. Planowałam dziś zjeść z nią kolację, bo szczerze mówiąc, nie wierzę, by dane mi było jeszcze ją zobaczyć, a chciałam mieć pewność, że zrobiłam wszystko, co tylko mogłam, by do niej dotrzeć.

– Maddie. – Wzdryga się na dźwięk mojego głosu. Tak, zapomniała o moim istnieniu. – Nie widziałam cię od jakiegoś czasu. Jak ci się układa z nowym współlokatorem? – Zaczynam od najłatwiejszego pytania.

– Morris jest słodki. Mam szczęście, że go znalazłam. – Znów mówi do Kellera, który kiwa tylko głową, podobnie jak ja, kiedy słucham jej zbyt długo lub nie potrafię pojąć bzdur, które wygaduje. Niemal doprowadza mnie to do śmiechu. – Wiesz, Keller, to było szalone. Morris przeprowadził się niedawno z Londynu.

– Z Manchesteru – mruczę pod nosem, ale mnie nie słyszy i nawija dalej.

– Nie znał tu nikogo i szukał miejsca dla siebie, a ja, choć naprawdę lubiłam mieszkać sama, nie potrafiłam odmówić temu biedakowi, który praktycznie błagał o to, by się do mnie wprowadzić.

Wow. To nieco inna wersja od tej, którą zapamiętałam. Czuję się, jakbyśmy bawili się w „głuchy telefon”... a ja jestem ostatnią osobą w naprawdę długiej kolejce.

Keller nie jest głupi. Potrafi czytać między wierszami.

– Miałaś szczęście. Jak go poznałaś?

Unika odpowiedzi na to pytanie, bo najwyraźniej miała być wybawcą w tej historii, a więc to jakiś nieistotny szczegół.

– Właściwie to nie pamiętam.

Parskam śmiechem, ponieważ: albo naprawdę nie pamięta, albo udaje, że nie pamięta; co jest w takim samym stopniu beznadziejne. Zazwyczaj odpuszczam takie rzeczy, ale dzisiaj nie mogę tego zrobić.

– Nie pamiętasz, kto cię poznał z Morrisem?

Odrywa wzrok od Kellera i spogląda na mnie karcąco jak na dziecko, które może siedzieć przy stole, ale nie powinno się odzywać.

– To nie jest istotne, Kate.

Posyłam jej nieszczerzy uśmiech.

– No chyba nie – mówię, po czym kaszląc, rzucam pod nosem: – Proszę.

Keller śmieje się cicho. Słyszał. Wie, co się dzieje.

– Co cię tak śmieszy, Keller, mój drogi? – mruczy do niego. Naprawdę mruczy. Zaczyna mi działać na nerwy.

Keller odchrząkuje.

– Nic. Przepraszam, myślałem o czymś, co Katie powiedziała wcześniej.

Jej nastrój się psuje, ale skoro już nastąpiła między nimi jakaś wymiana zdań, nie chce się poddać.

– Mała Kate nigdy nie wspominała, że się z kimś spotyka. Od jak dawna trzyma cię w tajemnicy?

Keller zerka na mnie i puszcza do mnie oko, nim odpowiada. Ten gest mówi mi, że zaraz rozpocznie się dobra zabawa.

– Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, wiele miesięcy temu, ale dopiero ostatnio zaczęliśmy się spotykać. Nigdy nie znałem nikogo takiego, kogoś tak kompletnego na każdym z możliwych poziomów: emocjonalnym, intelektualnym i seksualnym. Nie sądzę, by ktokolwiek mógł jej dorównać.

Prawie się rumienię, bo wiem, że mówi poważnie, ale mina Maddie jest bezcenna. Czuję, że wygrałam. Triumf pokonuje zażenowanie.

Keller całuje mnie w policzek, jednocześnie dając znać, że muszę wypuścić go z boksu, w którym siedzimy.

– Muszę iść do łazienki, nim wyjdziemy, kochanie. Chciałbym niedługo pojechać do domu, jeśli nie masz nic przeciwko. – Ponownie puszcza do mnie oko.

Boże, wie, jak się od czegoś wymigać. Ta nowo odkryta pewność siebie mnie kręci. Teraz i ja jestem gotowa wracać do domu, jednak z innego powodu niż chęć ucieczki z tego miejsca.

Wstaję, a kiedy Keller mnie mija, szepcze mi do ucha:

– To wszystko prawda.

Maddie ze wzrokiem przyklejonym do jego tyłka niemal się ślini, przyglądając się, jak odchodzi. W ogóle nie ma wstydu.

Odchrząkuję, ściągając jej uwagę, ponieważ mam z nią niedokończoną sprawę.

– Maddie, chciałam zapytać: jak tam u ciebie? No wiesz, byłaś u lekarza? – Skończyłam z łatwymi pytaniami.

Przewraca oczami.

– Chyba nie będziemy znów o tym rozmawiać, co?

Przytakuję.

– Będziemy. – Właśnie po to tu przyjechałam. Zawiodłabym ją jako rodzina, gdybym nie wyciągnęła tego tematu.

– Już ci wcześniej mówiłam, Kate, że nie mam żadnego problemu.

Muszę się streszczać, nim wróci Keller. Nie chcę się jednak spieszyć, bo cały wysiłek pójdzie na marne, a mam tylko tę jedną chwilę.

– Maddie, posłuchaj, martwię się o ciebie. Sądzę, że masz wiele na głowie, a chciałabym, byś była zdrowa i szczęśliwa. Styl życia, jaki wybrałaś, dieta, jaką stosujesz... nie są zdrowe. – Czuję się sfrustrowana, bo wiem, że nie idzie mi za dobrze. Nie chcę jej zawstydząć, chcę jej coś uświadomić.

Jednak ona nie lubi być pouczana.

– Kate, jestem szczęśliwa. I z tego, co wiem, nie mam żadnych problemów zdrowotnych.

Poza tym szczupłe kobiety są bardziej atrakcyjne dla mężczyzn. – Wzrusza ramionami, jakby to była wiedza powszechna. – Tak już po prostu jest. – Przygląda mi się. – Sama chyba doszłaś do tego wniosku. Wyglądasz, jakbyś pozbyła się nieco dziecięcego tłuszczu, odkąd cię ostatni raz widziałam, no i spotykasz się z tym niebieskookim ciachem. – Szepcze konspiracyjnie, jakbyśmy się razem odchudzały, jakby moja waga była wyborem, a nie skutkiem śmiertelnej choroby. – To nie przypadek. – Puszczą do mnie oko. – Zaufaj mi.

Zerkam w górę, widzę stojącego za nią Kellera. Wszystko słyszał i ma morderczy wyraz twarzy. Kręcę lekko głową. Nie warto tracić energii.

Keller staje przy mnie, wyciąga z kieszeni dwudziestkę, rzuca ją na stół, by pokryć naszą część rachunku i rozkłada ręce.

– Mam tylko tyle.

Maddie natychmiast pyta:

– A kto zapłaci za resztę?

Już mam się poddać, kiedy Keller się wtrąca:

– Musimy już jechać. Czeka nas emocjonujący weekend, a Katie musi odpocząć.

Błagam go spojrzeniem, by nic więcej nie mówił. *Proszę, nie zdradzaj jej, że jestem chora.*

Maddie się śmieje, ale to ten rodzaj śmiechu, kiedy dzielicie z kimś prywatne chwile, szydząc z kogoś innego.

– Tak, Kate wygląda, jakby musiała odpocząć. Sen dla urody czyni cuda. – Odrzuca włosy na ramię. – Nie wszyscy mogą dobrze wyglądać, śpiąc zaledwie po kilka godzin.

Wow. Naprawdę to powiedziała?

Keller kręci głową. Też nie może uwierzyć w to, co usłyszał.

– Wiesz, co tak bardzo podoba mi się w Katie?

Maddie znowu wygląda na smutną, jak za każdym razem, gdy Keller wypowiadał moje imię, jakby mówił, że nie ma u niego żadnych szans.

– Nie, co?

Ciągnie mnie delikatnie, bym stanęła obok niego. Drży. Jest wkurzony. Nie wiem, czy pozwolić mu mówić, czy wyciągnąć go z lokalu. Ostatecznie jednak postanawiam wysłuchać tego, co ma do powiedzenia, ponieważ ostatnio testuje swoją odwagę, a w ten weekend potrzebuje jej bardziej niż kiedykolwiek.

– W Katie najbardziej podoba mi się to, że nigdy, przenigdy, nawet za milion lat nie potraktowałyby kogoś tak okropnie, jak ty potraktowałaś ją dzisiaj. Powinnaś się wstydzić, że jesteś tak zapatrzona w siebie, iż nie potrafisz zbliżyć się do niej, ponieważ, możesz mi wierzyć, gdybyś to zrobiła, stałabyś się lepszą osobą.

Ściskam jego dłoń. Żal mi Maddie, ale dobrze się czuję ze świadomością, że ktoś stanął w mojej obronie.

Keller spogląda na mnie i się uśmiecha. Uśmiech znika jednak z jego ust, kiedy spojrzeniem wraca do oszołomionej twarzy Maddie.

– Chciałbym powiedzieć, że miło było cię poznać, ale cóż, nie było.

Wychodzimy. Nie oglądam się za siebie. Podświadomie wiem, że to ostatni raz, gdy rozmawiałam z Maddie. Nie ma mowy, by po dzisiejszym wieczorze jeszcze się do mnie odezwała.

Z ciężkim sercem idę do samochodu, ale nim wsiadamy, obejmuję Kellera i ściskam go mocno. Potrzebuję, by mnie przytulił.

Wciąż drży i wiem, że nie z zimna.

– To jedna z najbardziej narcystycznych, bezczelnych i niewrażliwych osób, jakie w życiu spotkałem...

Zamykam mu usta pocałunkiem.

– Dziękuję. Normalnie nie oczekuję ratunku, ale ty, Kellerze Banksie, byłeś cudownym rycerzem w lśniącej zbroi.

Chciałby się uśmiechnąć, ale nie może. Głaszcze mnie po włosach, patrząc mi w oczy. To go uspokaja, więc mu pozwalam.

– Ciebie nie wkurzyła? Dlaczego jesteś taka spokojna? Ona jest toksyczna.

Wzruszam ramionami.

– Nie jest najmilsza, ale ma swoje problemy. Chciałam dziś spróbować z nią o nich porozmawiać.

– Śmiem wątpić, czy ma inne problemy niż bycie największą suką na świecie.

Śmieję się, bo w tej chwili brzmi jak Gus. Ciężko mi uwierzyć, że mam w swoim życiu dwóch facetów, którzy mają fioła na punkcie mojego bezpieczeństwa. Uśmiecham się, ale szybko poważnieję, gdy wraca do mnie rzeczywistość Maddie.

– Ona jest bulimiczką, Keller.

Kręci głową.

– To śmieszne. To znaczy, wiem, że brzmię jak nieczuły dupek, ale Katie, w porównaniu z nią masz... no wiesz. – Nie potrafi tego powiedzieć. – To ona powinna martwić się o ciebie.

– W życiu nie chodzi o wygraną w konkursie nieszczęść. – Patrzą pod nogi. – Poza tym nie chcę, by wiedziała o mojej chorobie.

Unosi mój podbródek i szepcze:

– Dlaczego nie?

Milknę i z trudem przelękam ślinę przez zaciśnięte gardło.

– Dlatego, że ma własne problemy? Nie chcesz, by dodatkowo martwiła się o ciebie? Szczerze mówiąc, tej kobiecie dla odmiany przydałaby się troska o kogoś innego niż tylko o siebie.

Kręcę głową. To właśnie powód, dla którego nic nikomu nie mówię, ale nie o to chodzi z Maddie. Z Maddie jest inaczej. To strach, o którym nie chcę mówić. Jeśli zacznę, stanie się realny. Dlaczego relacje rodzinne muszą być tak trudne? Tak bolesne?

Keller przytula mnie mocniej i pociera moje plecy. Wie, że mnie uspokaja.

– O co chodzi, kochanie? Czego się boisz?

– Wiem, że to głupie, ale jeśli by się nie przejęła? Moja matka się o mnie nie troszczyła. Pogodziłam się z tym. Mojemu tacie nigdy na mnie nie zależało. Nie istniał. Taki był jego wybór. Zaakceptowałam to. A jeśli ciotka dowie się, że umieram i też będzie miała to gdzieś, Keller? Jest jedynym członkiem rodziny, który mi pozostał. Nie szukam jej współczucia czy miłości, ale nie sądzę, bym poradziła sobie z kolejnym brakiem zainteresowania. Ten scenariusz jest wariacją w popieprzonej rodzinnej grze psychologicznej, w którą gram przez całe życie. Nie chcę ponownie dać się w to wciągnąć. To wyczerpujące. Chcę być ponad tym, nie zniosę więcej gówna.

Całuje mnie w czubek głowy.

– Amen. Znam tę grę aż za dobrze. Moje życie również jest pełne gówna.

Staję na palcach i całuję go, bo od biedy przynajmniej to nas łączy.

– Ach, empatia, kuzynka współczucia. Fajnie wiedzieć, że czujesz to samo w tym głównianym temacie.

Całuje mnie, po czym rzuca:

– Zawsze, kochanie.

Jego usta są tak dobre, że zamykam oczy i ponownie go całuję.

– Wolę skupić się na pocałunkach.

– Jeszcze lepiej. – Poglębia pocałunek i chwilę później uświadamiam sobie, że molestuję go w miejscu publicznym, na parkingu. Choć jest ciemny i odludny. Zerkam na swój samochód. Szyby są przyciemniane. Wpadam na pewien pomysł.

– Robiłeś to kiedyś w aucie, przystojniaku?

Kręci głową i posyła mi ten swój cholerny krzywy uśmiezek.

– Wszystkiego trzeba w życiu spróbować.

Otwiera tylne drzwi, siada, przyciąga mnie tak, bym zwrócona twarzą do niego usiadła na jego kolanach. Zamykam drzwi, moje usta ponownie odnajdują jego wargi, nie mam ochoty skupiać się na niczym innym.

W ciasnej przestrzeni ciężko nam rozpiąć nasze płaszcze, jednak jakoś się udaje. Rzucam w duchu bezosobowe: *Dziękuję* (trochę dziwnie dziękować Bogu za grę wstępną), kiedy przypominam sobie, że mam dziś na sobie koszulkę zapinaną na guziki. Keller natychmiast się na nich skupia i już wkrótce ujawnia mój koronkowy biustonosz. To jedyna ładna bielizna, jaką posiadam.

Jęczy przy moich ustach, dźwięk ten rozchodzi się w moim ciele, odbijając się od każdej komórki, od czubka głowy aż po koniuszki palców. Czuję jego podniecenie, gdy biodrami ociera się uwodzicielsko o moje. Odsuwam się, jego wygłodniałe spojrzenie ląduje na moich piersiach.

– Boże, Katie, jesteś taka piękna. – Obejmuje moje okryte koronką piersi. Podobają mi się jego pieszczoty, a kiedy muska kciukami moje sutki, wyginam plecy, wypychając piersi, by znalazły się bliżej jego utalentowanych ust.

Odpowiadając na to fizyczne wyzwanie, zajmuje się moim ciałem. Z idealną siłą skubie to wrażliwe miejsce zębami, przez co krótkie ukłucie bólu zamienia się w promieniującą przyjemność. Istnieje cienka granica pomiędzy rozkoszą a bólem, a Keller jest w tym mistrzem. Zaczynam dyszeć. Kiedy pieści językiem czubek mojego sutka, nie potrafię się powstrzymać

– Tak, kochanie, nie przestawaj.

Sięgam w dół, między nas, rozpinam jego jeansy i wsuwam dłoń w bokserki. Jego męskość rozpoznaje dotyk mojej dłoni i drga. Pieszczę go powoli, niespiesznie przesuwając palcami po całej jego długości.

Keller jęczy głośno.

– O rany, Katie. – Uprawiając seks, staje się coraz głośniejszy.

Cholera. Mogłabym dojść na dźwięk jego głosu, jego potrzeby. Przysuwam się, językiem śledzę płatek jego ucha. Keller drży.

– Powiedz, czego chcesz – szepczę. Uwielbia, gdy tak mówię.

– Chcę ciebie. Pragnę każdego pięknego skrawka ciebie. – Bierze we władanie moje usta.

Zwalnia tempo. Kontroluje sytuację, jest w nim niesamowicie seksowna pewność siebie.

Rozpina moje spodnie. Jego dłonie wślizgują się w moje majtki. Chwyta mnie za pośladki i przyciąga do siebie.

Niemal brak mi tchu.

– Musisz powiedzieć dokładnie, kochanie, co chcesz, bym zrobiła?

Ociera się o mnie biodrami w kuszącym rytmie, jednocześnie ustami pieści moją szyję.

Językiem podąża na południe i mówi:

– Chcę, byś pozbyła się spodni. Majteczek też.

To niemal rozkaz. Podoba mi się. Bardzo. Nagle nie potrafię działać odpowiednio szybko. Szybkość jest niemożliwa z powodu niewielkiej przestrzeni tylnej kanapy, więc stawiam na uwodzenie. Keller uwielbia, jak go kuszę.

– Moje spodnie i bokserki zsuń do kolan – wydaje kolejne polecenie.

Znów je spełniam, a kiedy nie krępują go już ubrania, chcę wziąć go w dłoń. Naprawdę tego pragnę. Ale czekam.

– Usiądź na mnie okrakiem.

Z zadowoleniem robię, co każe, jego penis przywiera do mojego brzucha.

– Dotknij mnie, Katie. – Ma zamknięte oczy. Głowę opiera na siedzeniu.

Obejmuję go delikatnie, lecz stanowczo. Dotyk jest moim ulubionym zmysłem: pocieram jego penisa aż po żołądź, jednocześnie czuję w podbrzuszu przepyszne mrowienie. To oszałamiające.

Keller mi się przygląda. Jego wzrok jest ciężki, przenikliwy. Czuję go. Sprawia, że mam poczucie władzy w najbardziej pierwotnym, intymnym znaczeniu, wiedząc, jak bardzo mnie teraz pragnie. Jednak ta siła blednie w porównaniu z kontrolą, jaką on w tej chwili posiada. Muszę się jej poddać, ale nie dlatego, że się boję, tylko dlatego, że wymaga dokładnie tego samego, czego pragnę ja.

– Gotowa?

Kiwam głową, bo jeśli się odezwę, zacznę stawiać własne żądania, a chcę, by dokończył to, co rozpoczął. Poddaję się jego dowództwu.

– Jak bardzo jesteś gotowa?

Jęcę, gdy leniwie przesuwają dłoń między moimi nogami. To niemal bolesne. I się nasila.

– Cholera, Katie, uwielbiam cię dotykać. – Czuję ciepło jego oddechu przy uchu, gdy niskim, seksownym głosem oznajmia: – Naprawdę jesteś gotowa.

Przygryzam wargę, czuję ukłucie bólu. Keller doprowadza mnie do szału. Kiedy wsadza we mnie palce, nie potrafię się powstrzymać:

– O Boże. – Poruszam biodrami w rytm jego palców, rozkoszując się tym doznaniem.

Pragnienie pochłania światło z jego oczu.

– Kocham ci się przyglądać. Jesteś tak piekielnie seksowna. Pragnę cię, kochanie. Muszę usłyszeć, jak to mówisz. Powiedz to. Wyrzuc z siebie te świństwa. Powiedz mi, czego chcesz.

Cholera, poprosił, bym zaczęła świntuszyć? Kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, bez mrugnięcia okiem opowiadam, czego chcę, głosem, który doprowadza go na krawędź:

– Chcę, byś we mnie wszedł, kochanie, głęboko. Chcę, byś poczuł wszystko, co we mnie w tej chwili szaleje. Chcę, byś mnie pieprzył, jakbyś chciał udowodnić, że jesteś najlepszy i sprawić, bym nigdy, przenigdy tego nie zapomniała.

Warczenie wydobywa się z jego piersi. Keller unosi moje biodra, po czym wypełnia mnie jednym wprawnym ruchem. Dyszę.

Zaczynamy się poruszać, oboje wiemy, że nie potrwa to długo. Wcześniejsza kontrola?

Tak... oboje ją straciliśmy. Słowa wydostają się z moich ust, ponieważ w tym momencie działają niezależnie od mojego umysłu:

– Mocniej... tak, właśnie tak... Więcej... – Daje mi wszystko, czego potrzebuję.

Keller, odnajdując spełnienie, jęczy i mruczy. To zwierzęce, pierwotne odgłosy, które są najbardziej erotyczną rzeczą, jaką słyszałam. Wysyłają mnie na krawędź tuż po nim.

Tulimy się, nasze ciała zamierają w ciszy. Przyciskam twarz do zagłębienia jego szyi. Pomimo chłodu panującego w samochodzie, jest odrobinę spocony. Pachnie bardzo męsko. To moja nowa ulubiona woń.

– Katie?

– Tak?

– Kocham cię.

– Też cię kocham, kochanie.

– Uwielbiam, gdy tak mnie nazywasz. Powtórz.

Odsuwam się do tyłu, patrzę mu prosto w oczy, ponieważ musi wiedzieć, że jestem poważna.

– Kocham cię, kochanie.

Uśmiecha się. Nie jest to wesoły, smutny czy zalotny uśmiech. Jest pełen uwielbienia. I zadowolenia.

19 STOPADA, SOBOTA

KELLER

Pod ostrzałem ich spojrzeń czuję się mały i głupi. Jakby ich rozczarowanie sięgnęło zenitu, a jeszcze nawet nie otworzyłem ust. Ostatnim razem, gdy poprosiłem o rozmowę, oznajmiłem, że Lily jest w ciąży, czym chyba ustanowiłem precedens w przekazywaniu złych wieści, więc niczego innego się w tej chwili nie spodziewają.

Zerkam na swoją dłoń, na której Katie napisała: „Bądź dzielny”. Zapisała mi to markerem dziś rano, nim wzięła Stellę do parku. Powtarzam to sobie jak mantrę. *Jestem dzielny*. Odchrząkuję.

– Postanowiłem zmienić kierunek studiów.

Matka podrywa się na nogi. Błyskawicznie. Jedno zdanie, a ona zachowuje się jak na sali sądowej. Mój proces właśnie się rozpoczął.

– Nie zrobisz czegoś takiego. Nie wyrzucisz na śmietnik tylu lat nauki.

Ojciec chwyta ją za przedramię. Nakazuje zajęcie miejsca, nie wypowiadając ani słowa. Zawsze był stoickim *jin* dla jej agresywnego *jang*. Po raz kolejny siedzą naprzeciwko mnie przy stole, tworząc wspólny front. Emocjonalnie zdystansowani, nawet wobec siebie nawzajem, ale zjednoczeni we wspólnej sprawie. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Ciszę przerywa ojciec:

– Co planujesz, Keller?

Nie chcę widzieć rozczarowania, ale i tak patrzę mu w twarz.

– Chcę być nauczycielem literatury w szkole średniej.

Matka ponownie wstaje, chodzi za stołem. Jej szpilki stukają o podłogę, co jest odpowiednikiem drapania paznokciami po tablicy.

– Na miłość boską, Keller, jak zamierzać wychowywać Stellę z nauczycielskiej pensji? – syczy przez zęby.

– Inni jakoś sobie radzą. Moim życiowym celem nie jest osiągnięcie bogactwa. Poradzimy sobie ze Stellą.

Macha na mnie zirytowana i odwraca się, nim rzuca:

– To nie jest żadna gra, Keller. Masz córkę. Myślałam, że chcesz studiować prawo...

Przerywam jej:

– To ty chciałaś, żebym studiował prawo, żebym poszedł w twoje ślady. Nigdy nie chodziło o mnie ani o to, czego ja chcę.

Kręci głową.

– Po wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy, tak nam się odpłacasz?

Niewiarygodne.

– A co ze mną, matko? Chcę robić coś, co kocham, coś, co mnie pasjonuje. Chcę przychodzić codziennie z pracy ze świadomością, że wywarłem wpływ na czyjeś życie.

Wskazuje na mnie oskarżycielsko.

– Myślisz, że moja praca nie jest ważna, Keller?

Nigdy nie wygram z tą kobietą.

– Jezu, to nie zawody. – Wzdycham. – Twoja praca jest ważniejsza niż moja, nawet niż jego. – Wskazuję na ojca, który się nie odzywa. – Tu chodzi o moje szczęście. Moje, twojego

syna.

– Stracisz stypendium. – Wydaje się być tego pewna, więc zastanawiam się, za ile sznurków musiała pociągnąć, bym je dostał.

Nawet nie mrugam. Nie mogę okazać strachu. Zerkam na dłoń. *Jestem dzielny.*

– Istnieje taka możliwość.

Prycha wyniośle.

– Możliwość? Możliwość? To pewne, Keller.

– Złożyłem wnioski o kredyt studencki.

Parska śmiechem, jakby kredyt był poniżej godności rodziny Banksów.

W końcu odzywa się ojciec:

– A co ze Stellą, Keller? Zastanawiałeś się, jak ta decyzja wpłynie na jej przyszłość?

Dzielny, bądź dzielny.

– Zabieram Stellę do Grant. Kiedy tylko zdam...

Matka wręcz rzuca się na stół.

– Co?! Stella nie opuści tego domu, dopóki nie ukończysz edukacji.

Odpowiadam, również się przysuwając. Stoimy po przeciwnych stronach stołu, nos w nos.

– To moja córka.

– Nie zapłacę Melanie za przeprowadzkę do Grant, by tam opiekowała się Stellą. – Myśli, że mnie ma.

– Porozmawiam z Melanie i poinformuję ją, że od dziewiętnastego grudnia jej usługi nie będą konieczne. Po egzaminach semestralnych zamierzam spakować rzeczy Stelli. Wtedy wyprowadzi się ode mnie Duncan, bo planuje zamieszkać ze swoją dziewczyną.

Matka zaczyna wrzeć.

– A skąd będziesz wiedział, jak zatroszczyć się o dziecko? Weekendowe odwiedziny zdecydowanie różnią się od całodobowej opieki.

– Jakoś sobie poradzę.

Matka spogląda na ojca, kręcąc głową.

– Słyszałeś? Jakoś sobie poradzi. – Wyrzuca ręce w górę. – Cudownie. Jakoś sobie poradzi.

Ojciec patrzy na mnie i po raz pierwszy widzę w jego oczach współczucie. Przez chwilę wydaje mi się, że stanie po mojej stronie. Po raz pierwszy sprzeciwi się swojej żonie. Jednak gdy cisza się przeciąga, moje nadzieje topnieją.

Nie mogę tu przebywać. Czuję się jak w klatce, jakbym nie mógł oddychać. Wiem, że matka potraktuje moją ucieczkę jako porażkę. Uzna ją za swoje zwycięstwo.

Jednak tym razem jest inaczej. Tym razem to ja wygrywam.

21 LISTOPADA, PONIEDZIAŁEK KATE

Ja: KOLACJA. STOŁÓWKA. 19:00. NIE CHCĘ SŁYSZEĆ ODMOWY.

Clayton: TO NIE JEST DOBRE ZAPROSZENIE, KATHERINE.

Ja: DOBRA. PROOOOOOSZE. TĘSKNIĘ ZA TOBĄ.

Clayton: TEŻ ZA TOBĄ TĘSKNIĘ. DO ZOBACZENIA WIECZOREM.

Clay czeka na mnie na stołówce przy stoliku. Docieram tam o siódmej siedem.

Kładę tacę i ściskam chłopaka, po czym siadam.

– Boże, ile to czasu minęło od naszego ostatniego spotkania? – Mierzę go wzrokiem. –

Dobrze wyglądasz, mój przyjacielu. Jak zawsze jesteś elegancki. – Naprawdę tak wygląda. Ma na sobie jasnoróżowy sweter i zielone, wyjściowe spodnie, które są urocze, poza tym wydaje się być szczęśliwszy, niż kiedy go ostatnio widziałam.

Rumieni się i trzepocze rzęsami.

– Dziękuję, Katherine. – I nagle spogląda na mnie z niepokojem. Na jego twarzy maluje się troska, kiedy mi się przygląda. – Katherine, dobrze się czujesz? Jesteś blada. Wydaje mi się też, że schudłaś. Nie zrozum mnie źle, nadal jesteś porażająca, ale coś jest nie tak.

Nie przyszedłam tu rozmawiać o sobie, więc zamiatam sprawę pod dywan.

– Nic mi nie jest. W zeszłym tygodniu chorowałam. Nie musisz się martwić.

Nie wygląda, jakbym go przekonała.

Zmieniam temat.

– Jak tam sprawy w Minneapolis? Jak Morris? – Clay każdej nocy zostaje w mieście, do Grant przyjeżdża jedynie na wykłady. Dzieje się tak, odkąd dowiedziałam się o tym dupku, Benie Thompsonie. Staram się nie myśleć źle o ludziach, ale pieprzyć tego gościa.

Clayton wygląda jak postać z kreskówki, której w oczach rozpały się serduszka.

– Morris jest cudowny. Nigdy nie sądziłem, że się zakocham, Katherine, ale go kocham. Wszystko w nim kocham. – Rozgląda się konspiracyjnie i szepcze: – W nowym roku przeprowadzam się z nim do Los Angeles. Jego wuj otwiera tam klub i chce, by go poprowadził, ponieważ tutaj tak dobrze się spisał.

– Cholera, Clay! Los Angeles? To wielka decyzja. – Jestem zszokowana.

Uśmiecha się niczym podekscytowane dziecko.

– Wiem. Czyż to nie wspaniałe?

Przytakuję, ponieważ tak, to wspaniałe.

– Świetnie, młody. – Naprawdę tak sądzę. – Świetnie.

Wie, że mówię poważnie.

– Dziękuję, Katherine.

– Nie chcę zabrzmieć jak apodyktyczna zdzira, która wszystko osądza, ale muszę zapytać: wyjeżdżasz dlatego, że to dla ciebie dobre i właśnie tak chcesz pokierować swoim życiem, prawda? Nie uciekasz przed złymi rzeczami dziejącymi się tutaj, co? Jeśli to drugie, to wiedz, że byłabym smutna, tracąc przyjaciela przez jakiegoś palanta.

Śmieje się.

– Nie. Myślę, że muszę wyjść z basenu i zacząć pływać w oceanie. Nigdy wcześniej nie

mieszkałem w wielkim mieście.

Rozumiem, więc powtarzam:

– Świetnie. – Odzywa się moja troska: – Ale obiecaj, że nie rzucisz studiów. Zdobędziesz dyplom, młody. Świat jest gotowy na takiego dobrze ubranego księgowego. – Nie wiem, dlaczego, ale myśl o Claytonie siedzącym za biurkiem i wykonującym tak przyziemne zadanie jak liczenie cyferek zawsze wydawała mi się zabawna. Jego charakter jest zbyt żywiołowy, by mu na to pozwolić.

Przewraca oczami i podnosi prawą rękę, jakby składał przysięgę.

– Tak, mam, obiecuję nie rzucać studiów. Poza tym kto inny obliczy ci podatki i zaplanuje emeryturę?

Aua. Bolało. Prosto w serce. Nie chcę, by Clayton wiedział, że prawdopodobnie nigdy nie będę musiała składać zeznania podatkowego. Posyłam mu wymuszony uśmiech.

Zaciera ręce i uśmiecha się diabelsko.

– Słyszałem od Pete’a soczystą plotkę – mówi, wskazując na mnie z błyskiem w oku. – Podobno oficjalnie spotykacie się z Kellerem. – Porusza brwiami. – To prawda? – Ponownie się uśmiecha. – I nie zachowuj dla siebie żadnych pikantnych szczegółów.

Mam kamienny wyraz twarzy.

– Pete rozpowszechnia te plotki? Będę musiała z nim porozmawiać.

Zszokowany Clay wytrzeszcza oczy.

– Katherine? – Wyciąga ręce nad głową i teatralnym gestem wskazuje w dół, na siebie. – Ja tu umieram.

Śmieję się i kiwam głową.

– Być w może w tej plotce tkwi ziarenko prawdy.

Clay klaszcze w dłonie tak szybko, że jego ręce poruszają się jak skrzydła kolibra. Zawsze tak robi, gdy jest podekscytowany.

– O Boże, Katherine. Tak się cieszę. – W końcu zamiera i szepcze: – Katherine, wiem, że nie jesteś powierzchowna, ja też taki nie jestem, chociaż kogo ja chcę oszukać, pewnie, że jestem, *c'est la vie*, ale ten chłopak jest seksowniejszy niż przeciętny model.

Clayton mnie podpuszcza, ale zgadzam się z nim z całego serca.

– Tak... jest.

Mój przyjaciel wydaje z siebie pisk:

– Nie żebym próbował coś między wami przyspieszyć, bo oboje najpierw musicie skończyć studia i może trochę podróżować... Naprawdę uważam, że powinniście odwiedzić kiedyś Europę, przynajmniej Francję... och, i greckie wyspy – papele – ale mam wielką nadzieję, że sprawy pomiędzy wami nigdy się nie popsują, bo... O mój Boże, bo razem będziecie mieli najpiękniejsze dzieci, jakie są tylko genetycznie możliwe – mówi, promieniejąc.

Jego słodki uśmiech zmniejsza cios, który nadchodzi wraz z tymi słowami. Nigdy nie będę miała dzieci. Nigdy. To boli.

Kończymy jeść, obiecujemy sobie być częściej w kontakcie. Kocham Claytona i chcę się upewnić, że wszystko będzie z nim dobrze, nim wyjedzie i rozpocznie nowy rozdział swojego życia... a ja zakończę swój.

Ściskam go na parkingu przy samochodzie, tak strasznie ciężko mi go puścić.

Próbuję nie myśleć o umieraniu, ale ostatnio nie mam na to wpływu. Robię się przez to smutna. Nie chcę się smucić, ponieważ tak naprawdę... mam całkiem fajne życie.

Dzisiaj moje życie jest cudowne.

Nie chcę myśleć o jutrze.

Ani o kolejnym dniu.

Powtarzam więc sobie: *Dzisiaj moje życie jest cudowne.*

24 LISTOPADA, CZWARTEK KATE

Z samego ranka w mieszkaniu Kellera pojawiła się Shelly, trzymając w ręce zakupy: indyka, wegetariański zamiennik dla mnie i inne potrzebne rzeczy. Nie zdawałam sobie sprawy, że uwielbia gotować.

Po włożeniu indyka do piekarnika i przygotowaniu pozostałych produktów Shelly, Duncan i ja idziemy do Grounds na kawę. Dzisiaj jest zamknięte dla klientów, więc mamy cały lokal dla siebie. Plusy przyjaźni z załogą. Zebrani przy kominku rozmawiamy o tym, jak Keller poradził sobie w weekend. Jest teraz na lotnisku, odbiera Stellę. Melanie leci do Seattle odwiedzić rodzinę, uzgodnili więc, że w obydwie strony będzie miała przesiadkę w Minneapolis, by mogła zająć się małą. To wielki krok dla Kellera. Stella nigdy go tutaj nie odwiedzała.

Shelly nadal nie może wyjść z szoku. Duncan, na prośbę Kellera, dopiero wczoraj powiedział jej o Stelli. Staram się złagodzić ten wstrząs:

– Też nie mogłam w to uwierzyć – mówię. – To coś, co musisz zobaczyć, by uwierzyć. – Stella jest jak cały świat. Świat, który chciałabym, by trwał wiecznie.

Keller dwukrotnie wysłał wiadomość, że nastąpiły opóźnienia w lotach i że przyjadą później. Wreszcie o wpół do jedenastej drzwi jego mieszkania otwierają się i staje w nich ona: słodka, mała Stella z burzą rudych loków. Shelly i ja jesteśmy w kuchni, pieczemy ciasto dyniowe. Stella podbiega do siedzącego na kanapie Duncana.

– Wujek Duncan! – piszczy zachwycona.

Chłopak sadza ją sobie na kolanach i obejmuje.

– Jak tam się ma moja kochana ulubienica, Stella? – Łaskocz ją.

Wzmaga się jej chichot.

– Nie łaskocz, wujku.

Całuje ją w policzek i rozluźnia uścisk.

– Gdzie jest Kate? – pyta. – Tato mówił, że tu będzie.

Duncan wskazuje mnie kciukiem przezramię.

– Tam ją widzę, młoda – mruczy.

Stella piszczy na mój widok.

Macham.

– Cześć, cukiereczku.

Biegnie do mnie z rączkami uniesionymi nad głową. Biorę ją na ręce i mocno ściskam. Wtulam nos w jej rude loczki. Pachnie świeżo, jak powietrze po burzy. Po chwili odsuwa się, by na mnie spojrzeć.

– Mamy dla ciebie niespodziankę.

– Tak?

Keller przynosi rzeczy z suburba. Stawia je w drzwiach i drapie się po głowie.

– Wiecie co? To zabawne, ale wpadliśmy na kogoś na lotnisku...

I wtedy właśnie w drzwiach staje Gus.

Stella klaszcze.

– Niespodzianka!

– Chole... – Uświadamiam sobie, że trzymam Stellę, więc zmieniam słownictwo: –

O Boże, co tu robisz?

Uśmiecha się leniwie i wzrusza ramionami.

– Uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że byłem w okolicy?

Stawiam Stellę i biegnę do niego. Porywa mnie w jeden z tych swoich wielkich uścisków, których tak bardzo mi brakowało.

– Nie.

Całuje mnie w czubek głowy i wyciąga rękę, by poklepać Kellera po ramieniu.

– To jego pomysł.

– Zaplanowałaś to? – Nie mogę wyjść z szoku.

Na twarzy Kellera maluje się czułość i miłość. Wzrusza ramionami.

Spoglądam z powrotem na Gusa.

– Jak to?

Uśmiecha się.

– Twój chłopak zadzwonił do mnie w zeszłym tygodniu. Spałaś wtedy. – Puszczą oko do Kellera. – Od tamtej pory często rozmawialiśmy. Na twoim miejscu bym się martwił, bo kwitnie między nami romans. Wiesz, że ten gościu wozi z tyłu samochodu pufy? Wielkie pufy. To najfajniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. Być może sam się w nim zakocham, Promyczku.

Stella obejmuje nogę Kellera.

– Co to jest romans, tatku?

Gus zaczyna się śmiać, puszcza mnie i podaje wielką rękę Stelli. Mała ściska ją bez wahania. Dzieci uwielbiają Gusa.

– Opowiedz mi coś więcej o swoim żółwiu, Stello. Ciekawi mnie, co je Pani Higgins. – Odchodzą razem w kierunku kanapy, by dokończyć rozmowę, którą z pewnością rozpoczęli w drodze z lotniska. Znam Gusa. Daje mi czas, bym mogła porozmawiać z Kellerem.

Chwytam Kellera za szyję i szepczę mu do ucha:

– Dziękuję, kochanie.

– Uwielbiam, gdy mnie tak nazywasz. – Całuje mnie w szyję. – Proszę. On również potrzebował czasu z tobą.

Rozglądam się po pokoju.

– To takie idealne. – I wtedy dostrzegam, że stojąca w kuchni Shelly wygląda, jakby miała zawał. Wytrzeszcza oczy. Szok sparaliżował wszystkie funkcje jej twarzy. Najwyraźniej nasi goście wywierają na nią taki wpływ.

Odchrząkuję i wołam:

– Hej, Gus?

Unosi głowę, odrywając się od rozmowy ze Stellą, która siedzi na kanapie między nim a Duncanem. Szkoda, że nie mam w tej chwili kamery.

– Tak, Promyczku? Co jest? Właśnie uczę się ważnych pier... – Uśmiecha się i nie kończy brzydkiego słowa. – Ważnych rzeczy o żółwiach.

Stella się śmieje.

Wskazuję na kuchnię.

– Pamiętasz moją przyjaciółkę, Shelly?

Zerka przez ramię.

– Co tam, Shelly? Dobrze cię znów widzieć.

Jej twarz jest cała czerwona. Nigdy nie widziałam jej tak zażenowanej. Podnosi rękę i macha nieśmiało.

– Cześć, Gus. Ciebie również fajnie widzieć.

Obraca się do niej na kanapie.

– Muszę przyznać, że nigdy nie widziałem, by ktokolwiek z takim zaangażowaniem i precyzją wyrzucał z siebie pizzę na chodnik. Ostatnim razem, gdy się widzieliśmy, nie pochwaliłem cię za to.

Shelly ukrywa twarz w dłoniach.

– Oczywiście, musiałeś to zapamiętać. – Jest jeszcze bardziej zażenowana.

Jednak Gus nie jest złośliwy. Żartowniś z niego. Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Nie, serio. Niezła odległość. Byłem pod wrażeniem. Dajesz radę, koleżanko. – Wyciąga rękę i klepie Duncana po plecach. – Jesteś szczęściarzem, młody.

Shelly mamrocze:

– Boże, chcę umrzeć.

Podchodzę do niej i obejmuję ją w talii.

– Nie droczyłby się z tobą, gdyby cię nie lubił. I choć pewnie zabrzmiałoby obrzydliwie, był pod wrażeniem. Jest facetem.

Ponieważ Grounds jest zamknięte dla klientów, idziemy tam i zbieramy się przed kominkiem, czekając, aż jedzenie będzie gotowe. Gus i Keller siedzą po jednej stronie kanapy, ja po drugiej. Keller trzyma Stellę na kolanach, a Shelly siedzi na kolanach Duncana na fotelu przed nami.

Gus jak zwykle jest ciekawski. Zadaje wiele pytań. Oczywiście wszyscy są też ciekawi jego, więc odpowiada równie często, co pyta.

– Dlaczego mówisz do Kate „Promyczku”? – docieka Shelly.

Gus spogląda na mnie, po czym znów na nią. Następnie znów na mnie. I na nią. Wskazuje na mnie.

– Rozmawiałaś z nią kiedyś?

Każdy patrzy na mnie z ujmującym uśmiechem. Czuję się z tym bardzo dobrze.

Gus kontynuuje:

– Jest modelowym przykładem optymizmu. Jest niespotykanym promykiem słońca. Nie tylko szuka jasnych stron... ale nimi żyje.

– Ha, zawsze myślałam, że żyję w świecie pełnym promieni słońca i tęczy – droczę się.

Wzrusza ramionami.

– Co za różnica? „Świat pełen promieni słońca i tęczy” jest kiepskim przezwiskiem, musiałem to skrócić.

Wszyscy się śmieją.

– Chociaż Promyczek ma też ciemną stronę – ostrzega Gus. – Nawet nie wspominajcie o naklejkach przedstawiających rodziny na samochodach, bo ich nienawidzi. Irytuje się...

Przerywam, bo naprawdę tego nie znoszę:

– Bo to głupota. Naprawdę nie potrzebuję obrazka jakiejś rodzinki, gdy stoję za nimi w korku. Przez te naklejki mimowolnie zastanawiam się, ile problemów ma ta rodzina, że czuje potrzebę naklejenia swojego wizerunku na tylną szybę samochodu, by świat mógł ją podziwiać. Zawsze podejrzewam wtedy, że ukrywają w ten sposób swoją dysfunkcję. Hipokryci.

Gus śmieje się, jakby właśnie udowodnił swoją rację.

– Widzicie? I gardzi Facebookiem.

– Facebook jest upadkiem cywilizacji, jaką znamy. Tworzy zniekształcony obraz rzeczywistości. Co się stało z prawdziwym międzyludzkim kontaktem? Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak bardzo jest ważny. Chodzi już tylko o liczbę polubień i wystawianie na widok publiczny zbyt wielu informacji. Czy obchodzi mnie, że kiedy wieczorem oglądaliście powtórkę *Agentów CSI*, piliście dietetyczną colę i jedliście chipsy? Nie, mam to w d... Nie obchodzi mnie to. Dajcie jakąś ważną informację. No i ci wszyscy tak zwani przyjaciele, którzy nie muszą być wtajemniczani we wszystkie aspekty waszego przyziemnego życia... waszego smutnego, zespolonego z Internetem życia. Chcę rozmawiać na żywo i tylko z wybranymi osobami. Nie chcę się wszystkim dzielić z całym światem. Facebook hamuje rozwój społeczny. Zabija umiejętność komun...

Gus wybucha gromkim śmiechem.

– Dobra, rozumiemy, Promyczku – mówi, przytakując. Chce przez to powiedzieć: *Święta prawda. Amen.* Zgadza się ze mną. Nienawidzi portali społecznościowych równie mocno jak ja.

Na dokładkę rzuca:

– I nigdy nie grajcie z nią w karty. Oszukuje.

Zirytowana, gwałtownie wciąga powietrze.

– Nie oszukuję. – Chichoczę jednak przy mojej nieudolnej próbie obrony i każdy już wie, że właśnie przyznałam się do winy.

Gus kiwa głową z uśmiechem.

– Oszukuje. Możecie mi wierzyć.

Po obiedzie wychodzę z Gusem na ulicę, by mógł zapalić i byśmy mogli obejrzeć zachód słońca. Gus bierze mnie za rękę i się uśmiecha.

– Czas na show.

Tak zawsze mówiła Grace. Uśmiecham się i szepczę:

– Czas na show.

Słońce robi się pomarańczowe. Jest jaśniejsze, niż widywałam ostatnio, niemal jakby chciało zapewnić nam dobre przedstawienie. Udowodnić, że w Minnesocie zachód może być równie piękny.

Wracamy z powrotem do Grounds.

Shelly pyta:

– Może coś dla nas zaśpiewacie? Widziałam, że Gus przywiózł gitarę.

Gus nigdzie się bez niej nie rusza. Ma ją od lat, grał na niej przez milion godzin. Jest jego nieodłączną towarzyszką.

Gus zerka na mnie.

– Co ty na to, Promyczku?

Stella klaszcze.

– Chcę posłuchać, jak śpiewa Kate.

Keller do niej dołącza.

– Ja też.

Uśmiecham się.

Gus wychodzi, po czym wraca ze swoją gitarą w jednej ręce i czymś, czego nie widziałam

przez wiele miesięcy w drugiej.

Shelly zerka na futerał i pyta:

– Grasz również na skrzypcach?

Gus kręci głową i kładzie instrument na stoliku.

– Nie. – Patrzy bezpośrednio na mnie.

Wzdycham.

– Gus...

– Mama mi je wysłała, bym ci przywiózł. Powinny być przy tobie. Powinnaś ich używać.

– To wyzwanie.

Wszyscy mi się przyglądają.

– Grasz na skrzypcach? – pyta Keller.

Gus kręci głową.

– O nie, ona na nich nie gra. Ona nimi włada. Nie widziałem nikogo tak utalentowanego, jak Promyczek. Poważnie. Robi z nimi, co chce. – W jego spojrzeniu błyszczy duma.

Shelly mruży oczy, patrząc na mnie.

– Co jeszcze przed nami ukrywasz? – W tym momencie żarówka rozpała się nad jej głową. – O Boże, to ty! – piszczy.

Keller i Duncan nie rozumieją.

– Co ona? – pyta Duncan.

Jednym palcem wskazuje na mnie, drugą ręką macha jak szalona.

– To ty! To ty grasz na skrzypcach w *Missing You*.

Gus się uśmiecha.

– Nikt inny.

Keller i Duncan nadal nie rozumieją.

– Co to jest *Missing You*? – pyta Keller.

– To najbardziej niesamowita piosenka, jaką grają teraz w radiu. To ten kawałek, który na koncercie Gus grał na gitarze akustycznej. – Odpowiada wzniośle, jakby wszyscy powinni o tym wiedzieć. W zeszłym tygodniu piosenka często gościła na falach uczelnianej rozgłośni. Jest promowana jako drugi singiel z płyty Rooka. – Musisz ją zagrać – nalega.

– No i co ty na to? Tylko raz, w imię starych, dobrych czasów? – pyta Gus, unosząc brwi.

Stella znów klaszcze.

– Zagraj, Kate, zagraj! – woła.

Nie mogę im odmówić.

Skrzypce wydają się chłodne, gdy biorę je do ręki. Minęło wiele miesięcy, odkąd na nich grałam, ale kiedy układam je pod brodą, stają się częścią mnie, jakby były tam dopiero wczoraj. To kojące i zniewalające. Unoszę smyczek, po czym opuszczam go miękko na struny. Przywraca mnie do życia. Kiwam głową, zerkając na Gusa.

– Gotowa.

Na jego twarzy maluje się troska.

– Na pewno?

– Tak. Może Grace właśnie słucha?

Wszyscy pozwalają nam na tę chwilę prywatności.

Uśmiecha się.

– Pewnie, że słucha. – Spogląda w górę. – Grace, ta piosenka jest dla ciebie.

Wstaję i opieram się o kanapę. Gus zajmuje miejsce dokładnie naprzeciwko mnie, na

skraju stolika. Wszyscy siedzą nieruchomo. Jest tak cicho, że można by usłyszeć przelatującą muchę. Nawet Stella milczy. Opiera się o pierś Kellera, który ją obejmuje.

Kiedy Gus i ja gramy, tworzymy nowy język. Zawsze tak było. Słyszymy i czujemy muzykę w ten sam sposób. Komunikacja odbywa się poprzez nuty, reagujemy na siebie melodią. Przekazujemy informacje jedynie oczami i subtelnymi ruchami głowy.

Gus szarpie struny dwukrotnie, dając znać, że i on jest gotów. Przytakuję i poruszam smyczkiem, grając melancholijne intro. Zamykam oczy, pozwalając, by przepływały przeze mnie nuty, a skrzypce w naturalny sposób oddawały moje emocje.

Dołącza Gus, dźwięk jego gitary jest miękki i łagodny. Jego głos niesie ukojenie. Zawsze tak było. Słuchając Gusa, człowiek wierzy, że nigdy nic złego go nie spotka. Uwalnia mnie od codziennych trosk. Uwielbiam to.

Kiedy ostatnie słowa opuszczają usta Gusa, a struny wygrywają finalne akordy, gram przez chwilę sama. Przeciągam smyczkiem po strunach po raz ostatni i otwieram oczy. Na twarzy Gusa maluje się duma i podziw.

– Moja dziewczynka.

Uśmiecham się.

Stella klaszcze dziko.

– Zagraj jeszcze raz, Kate. Zagraj jeszcze raz.

Jej niebieskie oczy dosłownie promienieją. Podobnie jak identyczne oczy Kellera błyszczą kilka centymetrów wyżej.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, Katie.

Boże, kocham go.

Spoglądam na Shelly i Duncana. Shelly ma rozdziawione usta.

– Co u licha, Kate? Dlaczego nie mówiłaś, że grasz? Jesteś fenomenalna. – Nie może wyjść z szoku.

Wzruszam ramionami.

– Bo już nie gram. Moja siostra uwielbiała słuchać... – urywam. Reszta jest milczeniem.

W noc po koncercie opowiedziałam Duncanowi o siostrze. Jestem pewna, że przekazał to Shelly.

Teraz dziewczyna kiwa znacząco głową.

Gus klaszcze.

– Ale nie możemy przerywać. Stella chce bisu. Co gramy następne, Promyczku?

Chociaż ból w plecach wzmaga się do głębokiego, intensywnego pulsowania, muszę przyznać, że dobrze się bawię. Nawet jeśli nie będzie mi dane ponownie trzymać skrzypiec, w tej chwili pragnę grać. Szepczę mu tytuł do ucha.

– Dobra, ale przez dłuższy czas nie graliśmy tego razem, jesteś pewna, że dotrzymasz mi kroku? – droczy się.

Puszczam do niego oko.

– Spróbuję. Shelly będzie знаła tę piosenkę.

Gus zwraca się do Shelly:

– Chodziliśmy razem do szkoły muzycznej. Była dwa lata niżej, ale zawsze potrafiła skopać mi... – Spogląda na Stellę i mówi: – ...pośladki.

Shelly się wtrąca:

– Czekaście. Nie mówcie, że była to Akademia w San Diego?

– Była – odpowiada Gus.

– Co jest z tą Akademią? – pyta Duncan.

– To jedna z najbardziej prestiżowych prywatnych szkół muzycznych w kraju. Praktycznie niemożliwe jest się tam dostać, przyjmują jedynie najzdolniejszych kandydatów. – Kręci głową, patrząc na mnie. Uśmiecha się przy tym. – Dlaczego o tym nie wiedziałam?

Wzruszam ramionami.

Gus mówi:

– Na ostatnim roku projektem zaliczeniowym był cover piosenki, która była wtedy na listach przebojów. Mieliśmy zagrać coś popularnego, ale miała to być własna aranżacja. Wywrócić utwór do góry nogami, przemodelować na własny sposób, by nie dało się go rozpoznać. Ja, oczywiście, poprosiłem o pomoc moją utalentowaną przyjaciółkę. – Wskazuje na mnie, więc przewracam oczami. – Piosenka była z gatunku szybkiego, ciężkiego rocka, ale Promyczek, ponieważ jest muzycznym geniuszem, zmieniła ją w powolną, melodyjną balladę, dodając do niej nieziemską aranżację skrzypiec.

– Nie dajcie mu się zwieść – rzucam. – Gus przekomponował ją całą na gitarę akustyczną, ja tylko dodałam partię skrzypiec. To wszystko było jego pomysłem.

– Grajmy. Nich sami oceniają.

Zatem uderzamy w struny. Dopiero przy refrenie rozpoznaję znajomy błysk w oczach Shelly, poprzedzony promiennym uśmiechem. Już wie, co to za piosenka.

Keller nuci cicho do ucha Stelli, kołysząc ją przy tym. Małej zaczynają opadać powieki.

Przy końcu utworu zasypia.

Shelly wciąż się uśmiecha.

– To porażające. Brak mi słów. Po prostu wspaniałe.

Gus wstaje i teatralnie się kłania.

– *Gracias*.

Kiwam głową.

– Dziękuję, wielmożna pani.

Duncan klepie Shelly w nogę.

– Lepiej już chodźmy, inaczej twoja mama nas udusi. Już jesteśmy spóźnieni.

Shelly wzdycha.

– Tak, musimy iść. – Marszczy brwi. – Ale tutaj jest zabawniej niż przy wypełnianiu rodzinnych obowiązków.

Duncan całuje ją w policzek i lekko zsuwa z kolan.

– Masz rację, ale twoi rodzice czekają. Chodźmy.

Shelly opornie kieruje się do wyjścia. Do czasu aż znikają za drzwiami, ból jest niemal nie do zniesienia. Wzmagał się przez ostatnią godzinę, ale w ciągu tych pięciu minut osiągnął niecodzienny poziom. Mam mdłości i obraz mi się rozmazuje. Keller kładzie Stellę spać, więc przepraszam Gusa i idę do łazienki, by wziąć środek przeciwbólowy. Próbując odkręcić buteleczkę z tabletkami, siedzę na podłodze, bo nie mam już siły stać. Moje pole widzenia staje się coraz węższe, a kiedy czuję, że moja głowa spotyka się z płytkami na podłodze w oślepiającym szarpnięciu bólu, wszystko spowija czerń.

KELLER

Zaczynam się martwić. Kate siedzi w łazience od dziesięciu minut, a nie słyhać, by cokolwiek tam się działo.

Gus wychyla resztę piwa.

– Gdzie masz kibel, młody? Muszę spuścić nieco płynów.

Wskazuję na drzwi.

– Katie tam jest.

Gus puka cicho.

– Promyczku, streszczaj się, muszę się odlać. Długo tam siedzisz, czyżbyś robiła dwójeczkę?

Zaśmiałybym się, gdybym się tak nie martwił, ale wciąż nie ma odpowiedzi. Moje serce przyspiesza. Nie chcę niepotrzebnie stresować Gusa, ale nie mogę się pozbyć przeczucia, że stało się coś bardzo złego. Pukam.

– Katie, kochanie, wszystko w porządku?

Cisza.

Próbuję otworzyć drzwi, ale napotykam opór. Staram się otworzyć je nieco szerzej, po czym przez szczelinę przeciskam się do środka.

– O cholera.

Gus pyta po drugiej stronie:

– Co się stało? Promyczku?

Katie leży na podłodze, tuż pod drzwiami. Wszędzie leżą rozsypane tabletki. Na płytkach znajdują się wymiociny. Jest w nich krew. Wciągam sobie Katie na kolana, by Gus mógł wejść. Jest nieprzytomna, ale oddycha stabilnie.

– Dzwon po karetkę.

Gdy wchodzi i ją dostrzega, w jego oczach maluje się przerażenie.

– O kurwa. – Natychmiast wyjmuje komórkę i wybiera numer alarmowy.

Kołyszę ją w ramionach, odgarniając włosy z twarzy. Są pokryte czerwono-brązowym płynem. Zaczynam szeptać jej do ucha i nie potrafię przestać:

– Wszystko będzie dobrze, Katie. Będzie dobrze. To nic. Nie zostawiaj mnie. Nie dzisiaj.

Nie możesz dzisiaj odejść. Kocham cię. Kocham cię.

Z transu wyrywa mnie Gus:

– Jaki masz adres? – Odpowiadam, a on przekazuje dane przez telefon. Po chwili wrzuca komórkę do kieszeni, zdejmuje ręcznik z wieszaka, moczy go i delikatnie ociera nim jej twarz i włosy. Patrzy mi prosto w oczy i czeka. Szuka odpowiedzi.

Mówię, co wiem:

– Katie maraka.

Całe powietrze ucieka mu z płuc, chłopak opada na podłogę i opiera się o ścianę za sobą. Łzy płyną mu strumieniem po twarzy.

– Nie, nie, nie – próbuje zaprzeczać. – Nieznowu.

– Znowu? – pytam, ale w tej samej chwili rozlega się pukanie do drzwi wejściowych i Gus podrywa się, by otworzyć.

Wchodzą sanitariusze, więc niechętnie oddaję im Katie, by mogli się nią zająć. Nie chcę jej puszczać, boję się, że już jej nie odzyskam. Przekazuję wszystko, co wiem i podaję buteleczkę z lekarstwem. Podłączają Katie kroplówkę i w ciągu kilku minut zabierają ją na noszach do karetki. Gus jedzie z nią.

Budzę Stellę, wkładam ją do Zielonej Strzały i pędzę tak szybko, jak jeszcze nigdy

w życiu. Szpital znajduje się w Minneapolis. Stella natychmiast zasypia na siedzeniu pasażera. Nie jestem wierzący, nigdy w życiu się nie modliłem, ale podczas całej drogi błagam na głos:

– Proszę, dobry Boże, proszę, daj jej trochę więcej czasu... Proszę, nie zabieraj jej jeszcze... Potrzebuję jej... Gus jej potrzebuje... Stella jej potrzebuje... Shelly jej potrzebuje... Clayton jej potrzebuje... Tak bardzo ją kocham... Proszę, proszę, proszę.

Po przyjeździe do szpitala porywam śpiącą Stellę na ręce i odnajduję Gusa w poczekalni. Wypełnia dokumenty. Siadam obok niego.

– Co z nią?

Ma zaczerwienione i napuchnięte oczy.

– Jest stabilna. Przechodzi badania. Mówili, że zadzwonią do jej lekarza prowadzącego, tego, który przepisał lekarstwa.

Wzdycham i mocniej tulę Stellę, która śpi głęboko z opartą na moim ramieniu głową. Jej ciało jest zupełnie bezwładne. Kładę na krześle torebkę Katie, jedną ręką szukam portfela. W końcu go znajduję, wyciągam jej dokumenty i kartę ubezpieczenia, wszystko podaję Gusowi.

Ten zanoszą kwestionariusz do recepcji, po czym wraca i mówi:

– Nic jeszcze nie wiadomo. Wyjdę na chwilę, muszę zapalić. Daj znać, jeśli coś się zmieni.

Kiwam głową. Gus wygląda dokładnie tak, jak ja się czuję. Widać w nim beznadzieję, bezradność i napięcie.

Wraca dziesięć minut później. Czekamy razem przez cały czas, który wydaje się być wiecznością, aż w końcu wychodzi lekarz.

– Ktoś z rodziny pani Sedgwick?

Gus natychmiast się podrywa.

– Tak?

– Stan Kate jest stabilny. Przenieśliśmy ją na szpitalny oddział ratunkowy do sali 313. Będzie musiała zostać u nas na obserwacji. Uraz głowy wywołał niewielki wstrząs mózgu. Rozmawialiśmy z jej onkologiem, doktorem Connellem, jak zapewne panowie już wiedzą, Kate ma nawrót choroby nowotworowej jajnika, dodatkowo przerzuty...

– Co? – pytam lekarza, ale Gus wyciąga rękę, nakazując mi milczenie. Zamykam się. Najwyraźniej wiedział o tym, ja nie.

Lekarz ciągnie dalej:

– ...do obu płuc i wątroby. Choroba Kate jest zaawansowana, to odpowiednik czwartego stadium, postać nieoperacyjna i słabo reagująca na leczenie. Kate zdecydowała się zrezygnować z terapii na rzecz środków hamujących ból i inne objawy choroby. Prosiła jedynie o ulgę w cierpieniu, co my, jak i doktor Connell, staramy się jej zapewnić.

Gus odzywa się pierwszy:

– Ile czasu jej zostało?

– Nie jesteśmy w stanie dokładnie przewidzieć, choć doktor Connell przekazał nam, że być może dwa lub trzy miesiące. Nowotwór jest agresywny. Jego postęp w ciągu kilku tygodni będzie znaczący.

Obserwuję, jak Gus przelżyka ślinę przez ściśnięte gardło i tylko kiwa głową.

– Możemy ją teraz zobaczyć? Pokój 313, prawda?

Doktor przytakuje.

– Tak. Bardzo mi przykro.

Idę za Gusem, bo nie potrafię skoncentrować się na windach i kierunku. Ściskam mocno Stellę. Tylko ona trzyma mnie w rzeczywistości. Gdyby nie ona, zostałbym wessany w czarną dziurę rozpaczy.

Katie wygląda na taką drobniutką na wielkim szpitalnym łóżku. Nadal ma podłączoną kroplówkę. Zakładam, że dostaje jakiś silny środek przeciwbólowy. Ma otwarte oczy, ale zamglone spojrzenie. Na jej lewym policzku, w miejscu, w którym musiała uderzyć o podłogę, maluje się siniec, powyżej znajduje się kilka szwów. Na nasz widok unosi dłoń kilka centymetrów ponad materac i macha.

– Hej, oto moje ulubione trio. – Jej głos jest ochrypły.

Gus próbuje się uśmiechnąć.

– Jak się czujesz, Promyczku? – Siada na skraju łóżka i chwyta jej dłoń, do której podłączona jest kroplówka.

– Teraz lepiej. – Uśmiecha się.

Siadam na krześle po drugiej stronie łóżka, Stella nadal śpi w moich ramionach.

Katie spogląda na małą i marszczy czoło.

– Przepraszam, że przeze mnie musiałeś wyrywać ją z łóżka, Keller.

Głaszczę córkę po plecach.

– Nie musisz się martwić. Śpi jak suseł. Nie obudziłby jej przejeżdżający tędy pociąg.

Kate nadal się krzywi, ale kąci jej ust lekko się unoszą.

– Jest taka cenna, Keller. Masz szczęście, że zostałeś nią pobłogosławiony.

Ma zboląłą minę. Nigdy nie będzie miała dzieci. Nigdy nie będzie miała tego, co mam ja.

To takie niesprawiedliwe.

– Kiedy się dowiedziałeś? – pyta szeptem Gus. Nie chce jej denerwować, ale musi o to zapytać.

– Tuż przed przyjazdem do Grant.

– Ale mówiłaś, że badania wyszły dobrze?

Kiwa głową.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy? – Próbuje się trzymać i nie płakać.

Ściska jego dłoń.

– Ponieważ musiałam przyjechać tutaj, a ty musiałeś jechać w trasę koncertową.

Gdybym ci powiedziała, co by się stało?

Odpowiada bez wahania:

– Odwołałbym trasę albo przeniósł ją na inny termin.

– Dokładnie. Odwiesiłbyś marzenia na kołek albo w ogóle je porzucił, by siedzieć w domu i patrzeć, jak umieram. Chciałam, byś miał coś więcej. Tak ciężko pracowałeś, Gus. Zasługujesz, by co noc występować na scenie, swoją muzyką dawać ludziom radość. Wiesz, jak bardzo jestem szczęśliwa, wiedząc, że spełniasz swoje marzenia?

Gus kiwa głową.

– Wiem, ale ty jesteś ważniejsza.

Kręci głową.

– Nie, nie jestem. Nasza przyjaźń znaczy dla mnie więcej, niż jesteś w stanie pojąć, jednak w życiu na nic nie ma gwarancji, Gus. Mamy dwadzieścia wspólnych lat. Dwadzieścia. To niesamowite, jeśli o tym pomyśleć. – Uśmiecha się z błyskiem w oczach. – Ta przyjaźń nie umrze wraz ze mną, wiem o tym. Jeszcze długo będzie żyła w tobie. Jakbyś miał w sobie cząstkę mnie. A chcę, byś zabrał mnie na piekielną przejażdżkę. Masz

wiele rzeczy do zrobienia, ludzi do poznania, musisz się zakochać i założyć rodzinę. Twoje życie będzie piękne. Nie chcę, byś je wstrzymywał tylko dlatego, że jestem chora. Jednak obiecuję nękać cię, ile tylko zdołam. Nic się nie zmienia. Nadal cię Kocham, a ty Kochasz mnie, wiem o tym. Nieważne, czy siedzisz tuż obok, czy jesteś tysiące kilometrów dalej.

Łzy płyną po policzkach Gusa.

– Dlaczego? Dlaczego ty? Dlaczego teraz?

Kręci głową.

– Nie wiem, młody. Najwyraźniej to mój czas. Może Grace tęskni za mną tak bardzo, jak ja za nią i poprosiła o mnie Szefa. – Ziewa i spogląda na mnie. – Keller, może położysz Stellę obok? Jest miejsce, będzie jej wygodniej.

Nawet jeśli nie chcę puszczać córki, Katie przesuwa się, więc układam małą przy niej. Stella nie budzi się, ale wtula się w Katie, szukając ciepła i bezpieczeństwa. Katie się uśmiecha.

– Dzięki. Chyba tego właśnie potrzebowałam. – Całuje Stellę w czołko, ziewa ponownie i patrzy na mnie. – Nie sądzę, bym dłużej mogła utrzymać powieki w górze. Dali mi kroplówkę z naprawdę wybuchowym koktajlem. Chodź tutaj i mnie pocałuj.

Spełniam prośbę, choć czuję, jakbym rozpadał się na kawałki. Jak ta promienna kobieta może zniknąć na moich oczach?

– Kocham cię, Kochanie.

– Też cię Kocham, Kochanie. – Spogląda na Gusa i macha na niego. – Ty też tu chodź.

Gus całuje ją w czoło.

– Dobranoc, Promyczku. Kocham cię.

Katie mruczy sennie:

– Też cię Kocham.

Zasypia chwilę później.

Zbieram się na odwagę i klepię Gusa w plecy.

– Chodź, postawię ci kawę.

Bierzemy dwa kubki z automatu na drugim piętrze i wracamy do sali. Katie jedną ręką obejmuje Stellę, która opiera głowę na jej piersi. Mimowolnie uśmiecham się na ich widok. Zapisuję w pamięci ten obrazek, wymazując kroplówki i inne szpitalne urządzenia oraz siniec na policzku Katie: dwie słodkie, śpiące twarze uchwycone w kadrze.

Gus również się uśmiecha, patrząc na nie, gdy opada na krzesło po drugiej stronie łóżka.

– Byłaby cudowną matką.

Przysuwam sobie drugie krzesło, by usiąść obok niego jak najbliżej.

– Dokładnie.

Jego uśmiech się poszerza.

– Powinieneś widzieć ją z Grace. Była wspaniała. Nie wiem, jak to robiła. Każdego dnia zajmowała się siostrą. Nie zrozum mnie źle, Grace łatwo było Kochać. Ale nieustanna opieka nad drugim człowiekiem wymaga wiele pracy, a Promyczek nigdy się nie skarżyła. Ich matka nie interesowała się nimi. Wolała towarzystwo obcych facetów niż własnych dzieci. – W każdym jego słowie słychać pogardę. – A nawet jeśli była w domu, nigdy się nimi nie zajmowała. Miała problemy psychiczne, które wymagały leczenia, choć nie wiem, co było gorsze: Janice biorąca tabletki czy Janice bez nich. Do tego piła... sporo. Była też fanką koksu – urywa, kręci głową i chichocze sardonicznie. – Życie Promyczka było jakimś

pieprzonym koszmarem. Troszczyła się o Grace, bo jej matka nie mogła lub nie chciała tego robić. Wiele czasu spędziły w naszym domu. Mama i ja zawsze uważaliśmy je za rodzinę. A kiedy Janice popełniła samobójstwo...

Przerywam mu natychmiast:

– Czekał. Mama Katie się zabiła?

– Tak. Pewnej nocy powiesiła się na belce pod sufitem w sypialni. Promyczek znalazła ją rano.

Pocieram oczy. Zaczyna boleć mnie głowa.

– Cholera.

– Tak, to popieprzone. Janice piła nieprzerwanie przez kilka miesięcy, do tego odstawiła leki. Zgaduję, że wszystko ją przerosło i nie potrafiła inaczej sobie poradzić. Jakkolwiek źle by to nie brzmiało, poczułem ulgę. Dla Promyczka i Grace było to jak wyjście z więzienia. Nagle stały się wolne.

– Musiało być jej ciężko.

Kręci głową.

– Nawet nie masz pojęcia. Oczywiście mama i ja nie wiedzieliśmy o większości spraw, przynajmniej póki Janice nie umarła. Promyczek tuż po śmierci matki mocno się upiła i wszystko mi opowiedziała... o narkotykach... o biciu. – Wzdycha, zaciskając oparte na udach dłonie w pięści. – Gdybyśmy wiedzieli, nie pozwolilibyśmy im z nią mieszkać. Kiedy Janice jeszcze żyła, Promyczek nigdy nie pisnęła ani słówka, ponieważ bała się, że opieka społeczna oddzieli ją od siostry. Pewnie miała rację, ponieważ to była mocno porąbana sytuacja. Promyczek brała cały ciężar na siebie, zwłaszcza przemoc fizyczną, by chronić Grace. Boże, nawet nie chcę o tym myśleć. Wciąż robi mi się niedobrze. – Ponownie kręci głową. – Nie wiedzieliśmy o tym. – Bierze głęboki wdech, po czym ciągnie dalej: – Promyczek przygotowywała się, by ukończyć szkołę średnią, gdy zmarła jej matka. Dostała stypendium w Grant na kierunku muzycznym, w klasie skrzypiec, ale odmówiła, by zostać w San Diego i opiekować się Grace. Tydzień po pogrzebie matki poszła na rutynowe badania i dowiedziała się, że ma nowotwór jajnika, nazwali to „rakiem surowicznym”. Następne dwa miesiące były okropne. Operowali ją i wszystko wycięli. Przeszła chemioterapię. Mieszkały wtedy z Grace u nas, woziliśmy ją na wizyty. Nie wiesz, jak to jest, póki na własne oczy nie widzisz, co przechodzi chora osoba. Straciła włosy i nieustannie wymiotowała. Nie mogła jeść. Wszystko zwracała. Schudła tak bardzo, że musieli karmić ją płynami przez rurkę. Przeszła przez piekło i nigdy się nie skarżyła. – Wskazuje na Katie. – Ta mała kobieta jest wielkim wojownikiem. Wierzyła, że wyzdrowieje i rozumiała, że warto walczyć. Oczywiście martwiła się wtedy o Grace. Jednak w końcu dała radę. Wyzdrowiała, wróciła do pracy i wynajęła własny kąt. Mama chciała, by zostały z nami, ale Promyczek stwierdziła, że muszą być na swoim. – Śmieje się. – Szkoda, że nie widziałeś tego ich miejsca.

– Mówiła, że wynajmowała mieszkanie.

Ponownie się śmieje.

– Trochę to naciągane. To był garaż. Spały na jednym łóżku, ubrania trzymały w pudłach, jadły przy małym stoliku. Nie miały nic więcej, ale kochały to swoje mieszkanko. – Znow się śmieje. – Tylko Promyczek i Grace mogły mieszkać w pieprzonym garażu, myśląc, że są w raju.

– Matka zostawiła im jakieś pieniądze? – To się robi coraz gorsze.

– Oczywiście, że nie, ale tego dowiedzieliśmy się dopiero po śmierci Grace. Najwyraźniej przez wszystkie te lata Janice żyła z zasiłku na dzieci. Nigdy nie pracowała. Ich stary zostawił je, kiedy Promyczek była w kołysce i wrócił do Anglii, skąd pochodził. Najwyraźniej poznał tam kogoś, założył nową rodzinę i zapomniał o tej w Kalifornii. Nigdy nie odzywał się do córek, ale płacił Janice dość dobrze za ich wychowanie. Janice oczywiście wszystko wydawała na siebie. Facet był dziany, więc te sumy nie robiły na nim wrażenia. Jednak pieniądze przestały płynąć, gdy Katie i Grace skończyły osiemnaście lat, a Janice coraz bardziej pogrążała się w długach. Kiedy Promyczek sprzedała dom i samochód matki, ledwo wystarczyło na pokrycie zadłużenia. Promyczek została z minivanem i ubraniami w bagażniku. Żyły z tego, co zarabiała przy obsłudze korespondencji w agencji reklamowej mojej mamy. Nie było tego wiele, ale jakoś wiązały koniec z końcem.

Przy tej dziewczynie na każdym kroku czeka niespodzianka.

– Nie wiedziałem, że miała aż tak ciężko.

Prycha.

– Ponieważ mówimy tutaj o Promyczku. Ona nigdy nie narzeka. Nienawidzi, gdy ludzie się nad nią litują. Mogę się założyć, że gdybyś ją teraz obudził i zapytał, czy rak ją wykańcza, stwierdziłaby, że jest gdzieś na świecie ktoś, kto ma gorzej. Taka właśnie jest.

27 LISTOPADA, NIEDZIELA

KATE

Mój telefon wibruje na szafce nocnej Kellera. Mrugam zaspana i spoglądam na zegarek. Jest pierwsza trzydzieści siedem w nocy. Połączenie zostaje przerwane, nim zdążę odebrać, ale kiedy tylko mam zamiar odłożyć komórkę, wibracje rozpoczynają się na nowo. Dzwoni Franco.

– Hej, Franco. – Czuję, jakby mój język był zbyt duży i nie mieścił mi się w ustach, sprawiając, że lekko bełkoczę. Te nowe leki przeciwbólowe znacznie mnie spowalniają. Jakby moje ciało nie słuchało umysłu. To musi być mocne gówno.

– Kate. Przepraszam, że cię budzę, ale co, u diabła, dzieje się z Gusem?

Siadam na łóżku i pytam:

– Co? O co chodzi, Franco? – Zerkam na śpiącego obok Kellera.

– Ten dupek przywłókł się wczoraj na próbę spóźniony o piętnaście minut, w dodatku był zalany w trupa. Po próbie przepadł. Znaleźliśmy go w pobliskim barze i praktycznie musieliśmy przynieść na koncert, co z perspektywy czasu było kolosalnym błędem. Koncert był beznadziejny. Gus zapomniał połowy słów, odmówił gry na gitarze, przeklinał do publiczności, dwa razy spadł też ze sceny. To było wręcz genialne. – Ostatnie zdanie ocieka sarkazmem. – Jasne, potrafi występować, jak wypije, robił to już milion razy, ale to... To przekracza wszelkie granice. Zamknął się teraz w autobusie i nikogo nie wpuszcza. Nie rozmawia z nami. Na jego komórce zgłasza się od razu poczta głosowa. Co się, do diabła, stało w Minnesocie? Nigdy nie widziałem go w takim stanie.

Cholera. Niedobrze. Wiem, że Gus zamyka się, gdy cierpi. Kiedy jest w takim stanie, tylko ja i jego mama możemy do niego dotrzeć. Zawsze tak było. Nie potrafię powstrzymać westchnienia.

– Co się dzieje, Kate? Co się spieprzyło? Jest źle, prawda? – Gniew w jego głosie topnieje.

Szeptem:

– Poczekaj. – Wychodzę z łóżka.

Keller obraca się i pyta:

– Kochanie, źle się czujesz?

Trzymam telefon przy twarzy.

– Nie, skarbie. Zaraz wrócę. Muszę porozmawiać. – Zakładam buty i płaszcz, otwieram drzwi tak szybko i cicho, jak tylko potrafię. Na zewnątrz jest lodowato. – Przepraszam, Franco, musiałam wyjść, by porozmawiać.

– Nie szkodzi. To ja przepraszam, że cię obudziłem, Kate, ale nie wiedziałem, co robić. To nie jest Gus. Martwię się.

– Tak, ja też. – Biorę kilka głębszych oddechów, nim mówię: – Jestem chora, Franco.

– O kurwa. – Powtarza ciszej: – Kurwa. – Po chwili dodaje głośniejszym głosem: – Proszę, tylko mi nie mów, że masz nawrót.

– Niestety. – Czuję się okropnie, mówiąc mu o tym, jakbym go zawiodła, dając odpowiedź, której nie chciał poznać.

Słyszę hałas, chyba w coś kopnął albo uderzył.

Kontynuuję:

– Gus dowiedział się o tym w czwartek wieczorem. Spędziliśmy noc w szpitalu. Trzymał się całkiem dobrze, aż dziś rano odwieźliśmy go na lotnisko.

– Wczoraj rano – poprawia.

– Tak, chyba jest już niedziela, prawda?

– Jakie są rokowania? – pyta ze strachem.

– Niezbyt dobre.

– Och, Kate. – W jego głosie słychać już smutek. – Tak mi przykro.

W mroku odzywa się Keller:

– Katie, zmarzniesz. Wejź do środka. Nie obudzisz Stelli. Śpi na kanapie.

Słyszysz chrzęst śniegu pod stopami, gdy drżąc z zimna, idę do drzwi.

– Słuchaj, Kate, muszę lecieć. Pewnie będę musiał wyważyć drzwi do tego cholernego autobusu.

Odpowiadam szeptem, wchodząc do mieszkania i czując wokół siebie ramiona Kellera:

– Żałuję, że nie mogę ci pomóc. Pomóc Gusowi.

Franco się śmieje, ale nie ma w tym wesołości.

– Oto ukochany Promyczek Gusa. Zajmiemy się nim, Kate. Ty zatroszcz się o siebie. Walcz. Słyszysz? Do cholery, masz walczyć.

Kiwam głową, nawet jeśli mnie nie widzi.

– Dobrze – mówię, choć wiem, że nie mam już jak walczyć.

– Na razie.

– Pa, Franco.

Właśnie dlatego nie chciałam, by Gus o tym wiedział. Stałam się jego upadkiem.

Natychmiast piszę do Gusa: ZADZWOŃ. TO ROZKAZ.

Telefon dzwoni dopiero o czternastej dwadzieścia pięć. Czekałam całe dwanaście godzin na to połączenie.

– Hej, Gus, wszystko dobrze?

– Czuję się, jakby Bruce Lee prowadził walkę z Mikiem Tysonem w mojej czaszce. – Brzmi, jakby naprawdę tak było.

– I kto wygrywa? – Muszę spróbować go rozweselić.

Kaszle. Chyba miał to być chichot.

– Bruce jest szybki, a Mike silny. To może trochę potrwać, młoda.

– Ciężka noc, co? – Nie chcę go o nic oskarżać. Jestem pewna, że już się nasłuchał.

Wzdycha.

– Tak mówią, chociaż ja bym się nie zgodził. Wolę noc, której nie pamiętam niż ten piekielny poranek.

– Gus, nie mam zamiaru cię ganić, ponieważ byłabym największą hipokrytką na świecie, ale może jest jakiś lepszy sposób, by sobie z tym poradzić? Może na przykład taki, dzięki któremu zespół się nie rozleci, a trasa koncertowa będzie mogła nadal trwać. Musisz normalnie funkcjonować, młody. To twoje marzenie, pamiętasz? Nie spiernicz go. – Współczuję mu, ale nie mogę go niańczyć. Rozpieszczanie nigdy nikomu nie wyszło na dobre.

Słyszysz kliknięcie zapalniczki, po czym głęboki wdech i jeszcze głębszy wydech. Po raz pierwszy w życiu nie mam serca, by go za to karcić.

– Wiem, ale to takie popieprzone. Przepraszam, Promyczku. Nie wiem, jak sobie z tym

poradzić. Nawet nie wiem, jak zacząć.

Jego smutek łamie mi serce.

– Chciałabym, byś nie musiał. Przepraszam.

– Przestań. Nie przepraszaj mnie. Jesteś chora i nie możesz przepraszać za to, że się martwię – mówi z irytacją przeplataną bólem.

Milczymy przez dłuższą chwilę.

– Powinieneś pisać, Gus. Wyrzucić to z siebie.

Prycha i wiem, że uważa to za kiepski pomysł.

– Nikt nie chciałby słuchać takiego gniewu.

– A kto mówi, że musisz mieć publiczność? Po prostu pisz dla siebie. Jeśli chcesz, możesz podzielić się tym ze mną. Możemy współpracować. To jakby ostatnia szansa. Co ty na to?

– To wyzwanie? – Zastanawia się. Nie słyszę zapału, ale się zastanawia.

Wiem, że nie odpuści, jeśli go ktoś nie wyzwie, więc potwierdzam:

– Tak, właśnie tak.

– A niech cię cholera, kobieto. Jesteś diabłem wcielonym, wiesz o tym? – Słyszę już jego uśmiech.

Nieco ciężaru spada nam obojgu z ramion.

– Tak słyszałam.

– Szlag. Nie mam nic do stracenia, co? Może napiszę. Poza tym mojej wątrobie przydałby się odpoczynek. Niedobrze mi na samą myśl o whisky.

– To ci pomoże, przyrzekam. Po śmierci Grace wiele pisałam.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Nikomu nie mówiłam. Po prostu pisałam. Większość piosenek stworzyłam na gitarę, bo nie mogłam patrzeć na skrzypce. Pewnie są do dupy, ale wtedy to nie miało dla mnie znaczenia. Zapewniłam sobie w ten sposób tanią terapię, a tego właśnie potrzebowałam.

– Ha. Chciałbym posłuchać tego, co napisałaś.

– Jasne. Pewnego dnia. A teraz odpocznij przed dzisiejszym koncertem i obiecaj, że jutro zaczniesz pisać.

– Tak, psze pani. – Brzmi, jakby wrócił do siebie.

– Stwórz legendę.

– Stwórz legendę – powtarza cicho.

– Kocham cię, Gus.

– Też cię kocham, Promyczku.

– Pa.

– Pa.

30 LISTOPADA, ŚRODA KATE

Rozmawiamy z Gusem przez Skype'a. Prezentuje mi, co napisał. Akustyka w autobusie nie jest najlepsza, ale nie potrafię powstrzymać emocji, przyglądając się, jak obnaża duszę. Miał rację – tkwi w nim wiele złości. Jednak to także piękne, bo wiem, że właśnie to jest w Gusie najbardziej prawdziwe. Niczego nie ukrywa. Tylko gitara i nieocenzurowane słowa. Tego rodzaju szczerłość rozdziera mi serce.

Kiedy kończy, w jego oczach również błyszczą łzy. Pozwalam mu się uspokoić, po czym żartuję:

– Wydaje mi się, że masz problemy z zapanowaniem nad gniewem, młody.

Z trudem przełyka ślinę.

– Myślisz?

Kręcę głową.

– Nie. Gram na zwłokę. Potrzebowałam chwili. – Naprawdę. Wciąż jej potrzebuję.

Z trudem przełykam ślinę. – Młody, to było dobre. A może dodać do tego skrzypce, by złagodzić nieco tę agresję?

Kaszele, po czym bierze łyk wody z butelki stojącej na stole.

– Skrzypce mogłyby pomóc trochę to uspokoić. No wiesz, stłumić histerię.

Nie chcę się śmiać, ale Gus potrzebuje zachęty.

– Jestem za stłumieniem histerii. Możesz to nagrać tym swoim nedorzecznym smartfonem i przesłać mi na skrzynkę? Już jakiś pomysł płacze mi się po głowie, ale muszę ponownie tego wysłuchać.

– Jasne.

– Super. Odezwę się jutro. Nie przerywaj pisania.

– Dzięki, Promyczku. Za wszystko. Jak zawsze pomagasz.

– Ja też dziękuję, młody. Kocham cię, Gus.

– Też cię kocham.

– Pa.

– Nie będę się więcej żegnał. Kocham cię.

Skype zostaje rozłączony i zdjęcie Gusa znika z ekranu.

2 GRUDNIA, PIĄTEK KATE

Od kilku dni nie byłam w akademiku. Muszę wziąć proszek i zrobić jakieś pranie.

Wkładam klucz do zamka, ale drzwi są otwarte. Dziwne. *Poradnik mieszkania w akademiku – zasada 1: „Zawsze zamykaj drzwi”*.

Sugar leży na łóżku, ale nie śpi. Witam się z nią radośnie i pytam:

– Co się stało, Sugar? – Wątpię, by odpowiedziała. Wrogie lub lekceważące odpowiedzi się nie liczą.

Cisza. Sugar milczy. Dobra. Jak chce. Nie żebyśmy się przyjaźniły. Do diabła, nawet nie jesteśmy koleżankami, więc szybko biorę się za swoją robotę.

Przekładając ubrania ze stosu brudów do torby na pranie, słyszę, że po drugiej stronie pokoju Sugar pociąga nosem. Właśnie znalazłam się w sytuacji, w której mam sekundę na decyzję – ujawnić, że zauważyłam jej płacz, czy nie? Chciałabym ją zignorować, ale nie potrafię. Obracam się i widzę, że leży na łóżku zwinięta w kulkę, a łzy płyną jej po policzkach i wsiąkają w poduszkę. Jej twarz pozbawiona jest emocji, co oznacza najgorszy rodzaj załamania. To maska szoku. Maskę, którą przywdziewa wasze ciało, kiedy przeżywasz coś tak poważnego, że woli się odciąć, niż się z tym zmagać.

Cholera, wygląda na to, że tego popołudnia pranie nie będzie mi dane.

Ponieważ się nie przyjaźnimy, nie mam zamiaru wypytywać o szczegóły, co nie zmienia faktu, że się martwię. Nie znoszę widoku łez.

– Młoda, chcesz o tym pogadać?

Brak odpowiedzi. Nawet nie mruga.

Próbuję raz jeszcze, ponieważ nie mogę tak po prostu odejść.

– Słuchaj, wiem, że prawdopodobnie jestem ostatnią osobą, z którą chcesz rozmawiać, ale potrafię słuchać.

Mruga i przygląda mi się, jakby zauważyła mnie po raz pierwszy. Łzy nie przestają płynąć.

– Co się dzieje, Sugar?

Pociąga nosem, więc podaję jej chusteczkę ze stojącego na biurku pudełka. Wydmuchuje nos, na jej twarzy maluje się coś pomiędzy smutkiem a wstydem. Ponownie pociąga nosem.

– Jestem w ciąży.

Przez chwilę myślę: *I to cię dziwi, nimfomanko?*, ale odsuwam pospiesznie oskarżenia, bo w tym temacie sama nie jestem święta. Tylko dziewica mogłaby ją teraz osądzać. A ja nią z pewnością nie jestem.

– Jak długo?

Wierzchem dłoni ociera mokre policzki.

– Nie wiem. W zeszłym tygodniu miałam mieć okres. Wczoraj zrobiłam trzy testy.

Wszystkie wyszły pozytywnie.

Mój umysł przyspiesza. Mimowolnie wyobrażam sobie siebie w podobnej sytuacji. To jakby upiorna wizja alternatywnego życia. Boże, co bym zrobiła, gdybym była na miejscu Sugar? Staram się ją wesprzeć, jednocześnie nie udając.

– Rozmawiałaś z chłopakiem?

Kręci głową, po czym się śmieje, ale słyhać w tym niesmak, a nawet wstręt do samej siebie.

– Nawet nie wiem kto jest ojcem.

– Potrafisz to jakoś sprawdzić? Może jeśli się dowiesz, jak długo jesteś w ciąży, to jakoś pomoże.

Przewraca oczami, a jej wzrok spoczywa na chusteczce, którą podarła na małe paski.

– Dobrze wiesz, ilu różnych chłopaków tu się pojawiało. – Łzy ponownie spływają jej po policzkach. – Jestem cholernie głupia, Kate.

Odczuwam nagłą potrzebę pocieszenia jej, ponieważ każdemu zdarza się nawalić. Każdemu. Siadam na jej łóżku i podaję kolejną chusteczkę.

– Nie jesteś głupia, Sugar. Może niewyżyta, ale nie głupia.

Głośno wydmuchuje nos i spogląda na mnie.

Uśmiecham się. Po raz pierwszy prowadzę z Sugar prawdziwą rozmowę.

– Co zamierzasz?

– Nie mogę mieć dziecka – mówi bez wahania. – Po prostu nie mogę.

Serce mnie boli. Chociaż jestem absolutnie pewna, że to decyzja, którą każda kobieta powinna podjąć zgodnie z własnym sumieniem, wciąż stawiam się na miejscu Sugar. W głębi duszy wiem, że urodziłabym to dziecko. Przelykam ślinę, przypominając sobie, że nie chodzi o mnie, ale o Sugar. A tylko Sugar wie, co jest dla niej najlepsze.

Wciąż jednak muszę grać adwokata diabła, ponieważ to właśnie zrobiłabym dla przyjaciółki.

– Będiesz potrafiła żyć z tą decyzją? Za rok, dwa, może trzy? Pogodzisz się z tym?

W jej oczach pojawia się nowy strach, gdy odpowiada:

– Nie mogę mieć teraz dziecka.

Przytakuję. Myślała o tym.

– Byłaś w uczelnianej przychodni? Może oni ci pomogą?

Kręci głową.

– Nie. Bo... boję się.

Nie wierzę, że to mówię:

– Idź do łazienki, umyj twarz i ubierz się. Czeka nas wycieczka, Sugar.

W uczelnianej przychodni Sugar robi kolejny test. Potwierdza nim tylko to, co już wiedziała. Ze mną u boku rozmawia z będącą na dyżurze stażystką, bierze standardowe ulotki na temat przebiegu ciąży, adopcji i aborcji.

Kiedy wracamy do pokoju, jest zdecydowana. Ma plan. Mimo to ręce drżą jej tak bardzo, że nie potrafi wybrać numeru, by umówić się na wizytę.

Robię to za nią, wpisując numer z ulotki. Kiedy po drugiej stronie odzywa się jakaś kobieta, mówię:

– Chciałabym umówić koleżankę na wizytę u państwa.

Zapisuję Sugar na czwartkowy poranek.

8 GRUDNIA, CZWARTEK KATE

Sugar miała aborcję. Zawiozłam ją do kliniki. Już po wszystkim. Koniec.

Odprowadzam ją później do pokoju, pilnuję, by miała co jeść i pić. Dziękuję mi, a ja wychodzę. Nie chcę wykorzystywać tego przeciwko niej. Nie osądzam jej. Naprawdę. Jednak boli mnie serce i odruchowo myślę o Stelli. Co by było, gdyby Lily i Keller podjęli tę samą decyzję? Nie byłoby malej. Na samą myśl o tym łzy napływają mi do oczu.

Biegnę do auta i wyjeżdżam na ulicę. Docieram do Kellera, nadal bez tchu. Nie wiem, jak odczuwa się atak paniki, ale zdaję sobie sprawę, że jestem blisko. Cholerne serce mało nie wyskoczy mi z piersi. Czuję, jakbym traciła kontrolę. To przerażające. Nigdy nie byłam w takim stanie. Wpadam do mieszkania Kellera, pochylam się, opieram ręce na kolanach, starając się nabrać powietrza do płuc i wyciszyć umysł, ale jedyne, o czym mogę myśleć, to niebyt. Niebyt, który podświadomie równam ze śmiercią.

Keller natychmiast jest przy mnie.

– Katie, co się stało?

Patrzę w górę.

– Stella. Muszę porozmawiać ze Stellą. – Biorę urywane oddechy. – Proszę, możesz do niej zadzwonić? Teraz?

Wygląda na zdezorientowanego, ale szybko wyciąga komórkę z kieszeni. Prowadzi mnie do kanapy i sadza na niej, jednocześnie wybierając numer.

– Hej, Melanie. Możesz dać do telefonu Stellę? – Czeka w milczeniu. Uśmiecha się do mnie, ale to uśmiech pełen napięcia. Brwi Kellera są ściągnięte. Wystraszyłam go. – Cześć, córeńko. Jak tam moja Stella?

Słyszę cieniutki głosik dziewczynki. Moje serce natychmiast zwalnia.

– Stella, Katie chce się przywitać. Dam jej teraz telefon, żebyście mogły porozmawiać.

Wyciągam rękę, rozpaczliwie pragnąc usłyszeć to dziecko.

– Cześć, cukiereczku.

– Cześć, Kate. Co u ciebie? – Brzmi jak dorosła.

– Myślałam o tobie i uświadomiłam sobie, że nie rozmawiałyśmy przez kilka dni. Co u Pani Higgins? – To dobre. Właśnie tego potrzebowałam.

– W porządku. Rano zjadła jabłko. Uwielbia jabłka. – Przeciąga wyrazy, co mnie rozbawia.

– To dobrze. Cieszę się. Co dzisiaj porabiasz? – Mogę już normalnie oddychać, potrzebuję jednak kolejnej minuty z nią.

– Byłyśmy z Melanie na łyżwach i czytała mi książkę o kucykach, ale nie tak dobrze jak ty. Nie robi takich fajnych dźwięków. Nuda.

– Przeczytam ci ją, kiedy się następnym razem zobaczymy, dobrze? – Wiem, że nie powinnam składać takich obietnic, ponieważ mogę ich nie dotrzymać, ale robię to odruchowo.

– Dobrze.

– Oddam ci teraz tatę. Dobrej nocy, Stello.

– Paaa.

Po zakończeniu rozmowy Keller obejmuje delikatnie moją twarz i patrzy mi prosto w oczy. Na jego twarzy wciąż widać zmartwienie.

– Co się stało, kochanie?

– Nie wiem. Spanikowałam. Przepraszam. Po prostu... Wcześniej musiałam komuś w czymś pomóc... i to było trudne... poczułam się przez to... – Wiem, że bełkoczę bez sensu, więc milknę. Spoglądam w jego piękną twarz. – Chyba po raz pierwszy wystraszyłam się śmierci. Przepraszam.

10 GRUDNIA, SOBOTA

KATE

Przez półtora tygodnia pracowaliśmy z Gusem nad jego piosenką, wczoraj zagraliśmy ją dla reszty zespołu. Gus postanowił (a mówiąc „postanowił”, mam na myśli, że uparł się i nic go nie powstrzymało), że chce ją nagrać.

Jest ósma rano i już do mnie dzwoni, zapewne nie ostatni raz tego dnia.

– Cześć, Gus, co tam w Portland?

– Pada. Jak w Grant?

– Nie byłam jeszcze na zewnątrz, ale mówili, że na pewno będzie lodowato.

Śmieje się.

– Hej, nie zajmę ci dużo czasu, chciałem się upewnić, że będziesz wolna w następny weekend? – mówi, jakby zadawał pytanie.

– Jasne. Egzaminy mam w tym tygodniu. Ostatni chyba w czwartek rano. Potem jestem wolna. A co wymyśliłeś, młody?

– Rozmawiałem z ZGKB o nagraniu piosenki i załatwił nam studio w Minneapolis w następny weekend.

– A co z koncertami?

– Przełożone. Przylecimy w piątek rano i zostaniemy aż do niedzielnego wieczora.

Nie traci czasu. To dobrze, bo mimo nowych leków mój ból coraz bardziej się nasila. Zauważyłam, że czasami boli nawet, gdy oddycham. Moje płuca nie pracują już tak, jak powinny. Nie wiem, jak długo będę w stanie grać czy śpiewać.

– Okej. Zespół będzie gotowy?

Gus jest profesjonalistą.

– Tak, będą gotowi.

– Wow, bez ciśnienia, młody.

– Przykro mi, Promyczku. Wiem, że to dla ciebie spory wysiłek. Dasz radę? Jak się czujesz? – Nie pyta wprost, bo nie chce palnąć czegoś nieodpowiedniego.

Muszę go uspokoić.

– Nic mi nie jest, Gus. W następny weekend też nic mi nie będzie. Nie mogę się doczekać, by was zobaczyć.

– Ja też nie mogę się doczekać. Zadzwoń później ze szczegółami.

– Fajnie. Kocham cię, Gus.

– Też cię kocham, Promyczku.

Rozłączamy się. Najwyraźniej ja też już nie potrafię się z nim zegnać.

11 GRUDNIA, NIEDZIELA

KELLER

Całą noc uczymy się do egzaminów, popijając przy tym kawę. Katie wygląda na wyczerpaną, ale się nie poddaje.

– Keller?

– Tak, kochanie?

– Możemy na kilka minut zrobić przerwę?

To pytanie sprowadza mi na myśl tak wiele rzeczy, które mógłbym teraz robić.

Oczywiście z Katie.

Odkładam książkę na podłogę obok kanapy, wstaję i podaję jej rękę.

Patrzy z ciekawością i unosi brwi.

Pytam:

– Zatańczysz ze mną, ślicznotko?

Uśmiecha się. To uśmiech, który sięga w głąb mojego serca. Kojąc, zaprasza do jej świata. To moje ulubione miejsce. Podaje mi rękę i wstaje powoli.

– Poważnie?

Wyciągam komórkę z kieszeni i puszczam muzykę. Wybieram *Pictures of You* The Cure, zwiększam głośność, odkładam telefon na ławę i prowadzę Katie na otwartą przestrzeń obok kanapy.

– Nigdy nie żartuję z romansu.

Katie patrzy pod nogi, następnie unosi te swoje przepiękne oczy i już wiem, ile to dla niej znaczy. Jednym spojrzeniem potrafi przekazać połowę historii, nim w ogóle otworzy usta.

– Nigdy wcześniej nie tańczyłam wolnego tańca.

Kładę rękę na jej plecach, przyciągam do siebie, chwytam jej prawą dłoń i układam sobie nasze splecione palce na piersi.

– Uwielbiasz tańczyć. Dlaczego twierdzisz, że nigdy nie tańczyłaś wolnego tańca?

– Nie w parze z chłopakiem – mówi, szturchając mnie nosem w pierś i całując wierzch mojej dłoni. – Nikt nigdy nie poprosił mnie do tańca. To staromodne. Ale miłe.

Jest miłe. Piosenka jest melancholijna, emocjonalna, a przez to absolutnie piękna. Trwa niemal osiem minut. Każdy powolny taniec powinien trwać przynajmniej osiem minut. Kołyszymy się, wtapiając się w siebie. Mógłbym ją tak tulić przez całą noc. Piosenka się kończy, Katie odsuwa się lekko i spogląda mi w twarz.

Znam to spojrzenie.

Kocham to spojrzenie.

Jest takie wymowne.

Chwyta za brzeg mojej koszulki. Pochyliłam głowę i całuję ją w usta.

– Nadal mamy przerwę?

Przytakuje i rozwiązuje sznurek moich dresowych spodni.

– Mhm.

Zdejmuję koszulkę przez głowę i ściągam spodnie. Pochyliłam się, dotykam jej uda i przesuwam dłonią po jej nagiej skórze, aż docieram do skraju spodenek od piżamy.

– Co ci chodzi po głowie?

Wstrzymuje oddech, gdy wkładam palce pod materiał jej majtek.

– Sam wybierz. Zawsze masz... – urywa, gdy z jej gardła wymyka się jęk. Cholera, co to za dźwięk. Sprawia, że chcę ją jednocześnie wielbić i posiadać. Odchyła głowę, zamyka oczy i ciągnie: – ...najlepsze pomysły.

Odsuwam jej zmierzwione włosy z szyi. Widok odsłoniętego obojczyka sprawia, że muszę jej skosztować. Jest tak dobra, że muszę kontynuować.

Katie mi na to pozwala.

Nasz akt jest delikatniejszy i wolniejszy niż wszystkie poprzednie, nie potrzebujemy jednak wiele czasu, by osiągnąć spełnienie.

Żadne z nas nie chce wracać do nauki. Katie sugeruje, że powinniśmy się ubrać i odwiedzić jej akademik.

Jest za piętnaście dwunasta w nocy, ale podczas sesji nikt nie śpi.

Prowadzę samochód Katie, ponieważ Dunc pojechał Zieloną Strzałą do Shel.

W akademiku jest gwarno. Drzwi do większości pokoi są otwarte, muzyka wypełnia korytarz. Ludzie płaczą się tam i z powrotem, człapiąc niespiesznie z kubkami kawy w rękach. Z tego, co widać, wiele z nich ma już dość nauki i podobnie jak my, robi sobie przerwę.

Najpierw idziemy do Claytona i Petera. Clayton jest fajnym gościem. Jest przyjacielski i zawsze żartuje. Dobrze dogadują się z Katie. Peter jest poważny jak atak serca, ale też w porządku. Katie naprawdę go lubi. Co więcej, Pete jest w stu procentach troskliwy i całkowicie ją szanuje. Cenię go za to. Potrafi rozpoznać dobrą duszę, gdy taką spotyka.

Później idziemy do pokoju Katie. Kilka razy, gdy tu z nią byłem, Sugar zachowywała się jak rozpieszczony bachor, jakby była za dobra dla Katie. Próbowwała ją zrównać z ziemią, ale moja dziewczyna jest zadziorna, więc ustawiła Sugar na miejscu. Nie pozwala sobą pogrywać. To niesamowicie seksowne. Na samą myśl o tym jestem gotowy na drugą rundę „przerwy w nauce”. Musimy stąd wyjść. Szybko.

– Gotowa, kochanie? Bo ja tak. – Kiedy spogląda na mnie, puszczam do niej oko.

Uśmiecha się.

– Och, będę gotowa, jeśli dasz mi kilka minut na rozmowę z Sugar.

Cholera. Teraz definitywnie jestem gotowy.

Katie mówi coś cicho do Sugar. Nie słyszę, o czym rozmawiają, ale w głosie Katie słychać troskę. Myślę, że lepiej będzie, jeśli poczekam na korytarzu, dając im odrobinę prywatności.

Wracam z łazienki, kiedy słyszę zamykające się na korytarzu drzwi. Odwracam się i widzę Katie, która idzie z Claytonem w przeciwnym kierunku, zmierzając w stronę schodów. Już mam ją zawołać, gdy nagle ten drań, Ben Thompson, wytacza się z innego pokoju na tym samym piętrze. Co on tu, u diabła, robi? Jest na trzecim roku, mieszka w domu bractwa po drugiej stronie kampusu. Nigdy nie lubiłem tego fiuta. Jest aroganckim kretyńcem, głupszym niż paczka gwoździ. Tak naprawdę nie znoszę go od zajścia na pierwszym roku. Obaj mieszkaliśmy wtedy w akademiku, a Gina, dziewczyna, której pokój znajdował się naprzeciw mojego, oskarżyła go o gwałt. Następnego dnia odwołała jednak zarzuty, spakowała swoje rzeczy, a kiedy przyjechali po nią rodzice, zniknęła stąd na zawsze. Wiem, że ten fiut to zrobił. Powinien siedzieć w pace, zamiast

tego jest tutaj. Plotka głosi, że Gina nie była jedyna, że były też inne. Gość jest kutasem.

Jest pijany, idzie korytarzem za Katie. Nie spuszczam jej z oczu, przysięgam, że jeśli tylko pomyśli, by ją dotknąć, wyrwę mu całe ramię.

Katie zatrzymuje się i obraca twarzą do niego. Musiał coś do niej powiedzieć. Potrafię zrozumieć jej morderczą minę.

W tej samej chwili Ben chwyta Clayтона za koszulę i popycha go na ścianę.

– Spierdalaj, próbuję zaruchać. Zaraz skopię ci dupę, pedale.

Clayton podnosi głos:

– Nie możesz mi już grozić.

Puszczam się biegiem korytarzem, przepychając się między ludźmi.

Jestem jakieś sześć kroków od nich, gdy słyszę głos Katie:

– Odwal się od nas, dupku. – To głośny, stanowczy przekaz. Nie brzmi na przestraszona.

Jakby już wiedziała, do czego zdolny jest ten gość.

Dziela mnie od nich cztery kroki. Widzę, że chwyta Katie za tyłek, gdy ta odwraca się, by odejść. Dość tego. Sukinsyn już jest martwy.

Dwa kroki. Rzucam się na niego od tyłu. Katie krzyczy i odskakuje z drogi. Mijamy ją o centymetry, kiedy Ben ze mną na plecach upada na podłogę. Bez namysłu zaczynam bić go po głowie. Nie przerywam. Moje knykcie są czerwone od krwi, nie wiem, czy mojej czy jego. Mam to gdzieś. Nagle ktoś mnie odciąga.

Ben zaczyna się podnosić. Krew kapie mu z nosa na koszulkę.

– Co jest, do chuja? – Pluje mi krwią pod nogi.

Ponownie próbuję się na niego rzucić, ale nie potrafię wyrwać się trzem trzymającym mnie facetom.

– Ty gnoju. Nigdy więcej jej nie dotkniesz, słyszysz? Nawet jeśli tylko na nią spojrzysz, przysięgam, że wydlubię ci oczy.

Unosi ręce, jakby był całkowicie niewinny.

– Sorry, stary. Bez urazy. – Odwraca się, by wyjść, jakby nie dostał żadnego łomotu.

Zatrzymuje się jednak przy Katie i cmoka na nią. Kpi z niej na moich oczach.

Już mam się wyrwać, by zrobić z tego gnoja miazgę, ale Katie chwyta Bena za ramię i kopie go kolanem centralnie w jaja. Chłopak opada na podłogę. To było tak niesamowite, że wybucha śmiechem.

Następnie pochyla się nad nim i mówi mu do ucha:

– Karma to zdzira, młody. Mam nadzieję, że było warto. Ponieważ jesteś żalonym gnojem, twoja przyszłość będzie piekłem. Ciesz się, skurwielu, ale pamiętaj, że zasługujesz na każdą sekundę cierpienia.

Jezu, moja mała, drobna dziewczyna jest najodważniejszą, najbardziej niezłomną osobą, jaką znam.

Ben wstaje, kuśtyka korytarzem, trzymając się za pachwinę.

Kate delikatnymi dłońmi obejmuje moją twarz, gorączkowym spojrzeniem patrząc mi oczy.

– Zrobił ci coś?

Kręcę głową, nie potrafiąc się nie uśmiechać. Niemal kręci mi się w głowie, co jest absurdalne, biorąc pod uwagę fakt, że właśnie kogoś pobiłem... a nigdy nikogo nie uderzyłem. Może to wina adrenaliny.

A może to przez Katie.

Uśmiecha się tym swoim cudownym uśmiechem.

– Masz całkiem dobry prawy sierpowy, kochanie. Chodźmy do domu, umyjemy cię i obejrzymy obrażenia.

Unoszę brwi.

– My? Pomożesz?

Przygryza dolną wargę. Boże, uwielbiam, kiedy to robi. Wzrusza ramionami.

– Lubię pomagać. Cóż mogę rzec?

Ktoś klepie mnie w ramię i pyta:

– Przepraszam, nic ci nie jest?

Obracam się i widzę opiekuna piętra, Johna, stojącego przede mną w spodniach od piżamy i spranym podkoszulku z logo Grant. Kiedy byłem na pierwszym roku, też był opiekunem piętra. Wiem, że mnie nie pamięta, za to ja pamiętam, że on zawsze jest zręczliwy. Nigdy nie widziałem u niego uśmiechu.

Powtarza:

– Nic ci nie jest?

Kręcę głową pomimo pulsującego w rękach bólu.

Wskazuje kciukiem ponad swoim ramieniem.

– Dobrze. Teraz idź do łazienki, a potem spadaj. Nie chcę cię tu więcej widzieć. – Robi z tego wielkie show. Zapomniałem już, jak lubi pokazywać swój autorytet.

Biorę Katie za rękę.

– Chodźmy.

John kręci głową.

– Najpierw muszę porozmawiać z Kate i Claytonem. Spotkacie się na zewnątrz.

Katie unosi brwi i patrzy na Clayтона, który stoi przyciśnięty do ściany, cały czas próbując nie uczestniczyć w tej sprawie. Po chwili przystaje na propozycję:

– Dobrze, poczekam na ciebie przy wyjściu, Keller.

Zmywam krew z rąk, znów się wściekając. Jak John śmiał mnie wyrzucić? Benowi nie powiedział słowa, a jestem pewien, że wszystko widział. Zbiegam schodami i wychodzę z budynku. Katie stoi na chodniku wraz z Claytonem i Johnem.

Wskazuję oskarżycielsko na Johna.

– Ty...

Katie szturcha mnie obydwoma rękami w pierś.

– Hej, jedna walka na dziś wystarczy, tygrysie.

Wtedy zauważam coś dziwnego na twarzy Johna, coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem: uśmiech. Cóż, nie jest to szeroki uśmiech, lecz jego mały, zniekształcony załazek. W przypadku Johna jednak to odpowiednik szczyrzenia zębów od ucha do ucha. Przygląda się teraz Katie, która stoi zwrócona do niego plecami. Po chwili zerka na mnie i jego uśmiech znika. Odchrząkuje.

– Przepraszam za tamtą scenę, ale mam swoją robotę. – Patrzy mi prosto w oczy. – Z tego, co wiem, to zdarzenie nigdy nie miało miejsca.

Jestem skołowany, adrenalina w moich żyłach nie pomaga.

– Jakie zdarzenie?

– Dokładnie. Nie było cię tutaj. – Pozwala mi odejść.

– Nie zgłosisz tego ochronie?

– Nie. Czekam na okazję, by pozbyć się z Grant Bena Thompsona, który napadł fizycznie, jak i werbalnie, na dwóch moich podopiecznych oraz wdał się w bójkę z nieznanym studentem.

– Nieznanym? – dociekam.

Wzrusza ramionami.

– To działo się tak szybko, że nie zdołałem się mu przyjrzeć. Chociaż, jak o tym pomyśleć, Ben był tak pijany, że równie dobrze mógł się wdać w bójkę w drodze do domu, kiedy już stąd wyszedł.

Katie kiwa głową.

– Dziwne – mruczy.

– Dziwne – dodaje Clayton. Ma na twarzy dziwaczny uśmiezek.

– Dziwne – zgadza się John. – Poza tym oskarżenie Kate i Clayтона powinno wystarczyć do usunięcia go z uczelni. Wszystko widziałem i słyszałem. Był napastnikiem. Nawet nie muszę wspominać bójki. Lista jego przewinień jest długa jak moja ręka, a to tylko gwóźdź do jego trumny. I niezmiernie mnie to cieszy. Trzy lata czekałem, by zapłacił za wszelkie krzywdy, które wyrządził.

Zgadzam się z nim. Może John wcale nie jest taki zły?

– Chodzi o Ginę?

Kiwa głową, na jego twarzy maluje się smutek.

– Tak.

Katie dodaje:

– Clayton też zgodził się wnieść skargę. – Uśmiecha się do niego z dumą. – Musimy iść z Johnem do biura ochrony.

Odpowiadam bez wahania:

– Zawiozę was.

Katie spogląda na moje czerwone dłonie i krew na koszuli.

Sam również zerkam po sobie.

– Ee... poczekam w samochodzie, gdy tam będziecie.

Katie uśmiecha się do mnie.

– Dobry pomysł.

John wskazuje na parking. Wrócił do swojej zwyczajnej, apodyktycznej postawy.

– Ben Thompson wyleci stąd przed wschodem słońca. Stawiam na to swój dyplom.

12 GRUDNIA, PONIEDZIAŁEK

KATE

John miał rację. Szum i plotki na kampusie tego ranka były nieuniknione. Wieść niosła, że przed zajęciami Ben Thompson został wyprowadzony siłą z domu bractwa. Jego rzeczy spakowano do pudeł. Wygląda na to, że Clayton odniósł zwycięstwo nad tym dupkiem.

Karma to dzizra, Benie Thompsonie.

Mam dziś tylko jeden egzamin, więc idę do akademika sprawdzić, co z Sugar, zanim wrócę do Kellera. Martwię się o nią. Cięża i wszystko, co stało się później, namieszało jej w głowie. Wydaje się, że naprawdę chce zmienić swoje życie, ale brakuje jej kilku kluczowych elementów, by do tego doszło. Po pierwsze, zdecydowania. Presja otoczenia jest przyczyną jej upadku. Po drugie, aktywności. Do tej pory była bierna. Wszystko robiono za nią. Ta dziewczyna nie ma pojęcia, jak ułożyć plan, a co dopiero działać według niego. Wreszcie wiary w siebie. Dziewczyny takie jak Sugar wszystko robią pod publikę. Pragną społecznej akceptacji. A to powoduje wstręt do samej siebie. To błędne koło.

W głębi duszy nigdy nie sądziłam, by była złą osobą. Myślę, że brak jej wsparcia i silnych wzorców. Muszę jednak przyznać, że ma jaja. Nieustannie to udowadniała, wyzywając się na mnie. Gdyby tę energię potrafiła wykorzystać do zmiany samej siebie, byłaby pieprzoną gwiazdąrocka.

Zatem zostałyśmy z Sugar przyjaciółkami. To dziwne, ale pozytywne. Sama jestem dziwna, więc cóż mogę rzec?

15 GRUDNIA, CZWARTEK

KATE

Dzisiaj był ostatni dzień sesji, postanowiliśmy więc z Kellerem urządzić ucztę dla naszych przyjaciół. Zaprosiliśmy Shelly, Duncana, Claya i Pete'a. Przygotowaliśmy wielki talerz wegetariańskiej lasagne, miskę ostrej sałatki plus pieczywo czosnkowe. Jedzenie było wyśmienite, a rozmowa jeszcze lepsza. Kiedy przy jednym stole zbiera się sześcioro różnych ludzi, dzieją się zabawne rzeczy.

Oczywiście wszystko, co dobre, szybko się kończy. Przynajmniej tak mawiają. Zaczynam w to coraz bardziej wierzyć. Po posiłku wyjawiam prawdę. Nie chcę tego robić, ale muszę. Czuję, jakbym rywalizowała o uwagę, choć chcę tylko poinformować przyjaciół o mojej chorobie. Keller już dawno sugerował, bym to zrobiła, ale nie chciałam ich martwić, zwłaszcza kiedy mieli na głowie egzaminy. Przekazując wiadomość, staram się zachować optymizm, ale widząc ich załamanie, nie daję rady. Patrząc na smutek ludzi, na których mi zależy i być jego przyczyną? Naprawdę to niefajne.

Shelly cała drży, jakby jej ciało wpadło w konwulsje, starając się odrzucić tę informację. Kręci głową, przygryza dolną wargę, jakby próbowała się nie rozplakać. Kiedy tylko Duncan ją obejmuje, zaczyna niekontrolowanie głośno szlochać w jego ramię.

Pete tak szeroko wytrzeszcza oczy, że widzę niemal całe białka. Nie sędzę, by od dziesięciu minut choć raz mrugnął. Nie odezwał się również ani słowem.

A Clayton? Jego szlachetną, drobną twarz wykrzywia grymas ogromnej rozpacz, gdy tylko słowo „rak” opuszcza moje usta. Transformacja zachodzi w nim natychmiastowo, równie szybko pojawiają się łzy. Powtarza:

– To nie może się zdarzyć, Katherine. Nie tobie. Po prostu nie może.

Gdy mija szok, wymieniamy wiele czułości, co ogromnie mi pomaga. Mam nadzieję, że te uściski pomogą również im.

Po wszystkim jestem zadowolona, że wyznałam im prawdę, byśmy znów mogli być po prostu przyjaciółmi.

18 GRUDNIA, NIEDZIELA

KELLER

Wcześniej rano przyjeżdżamy do studia. Zabieram Dunca, Shel i Claytona. Ostatniej nocy Katie została z Gusem w hotelu, w apartamencie, który wynajął zespół. Nie spałem. Nie mogłem. Za każdym razem, gdy zamykałem oczy bez niej u mego boku, wpadałem w panikę. Czułem się, jakby już odeszła.

Jestem zmęczony. Katie również wydaje się być wyczerpana, ale tak to właśnie ostatnio wygląda. Mimo to w jej znużonych oczach widać szczęście. Jak niemal zawsze. Nie wiem, jak to robi. Jej oczy błyszczą, jest rozbawiona, kiedy przekomarza się z zespołem. Przekonałem się, że to fajne chłopaki. Zachowują się swobodnie w swoim towarzystwie. Są profesjonalistami, wliczając w to Katie, ale potrafią się też bawić podczas pracy. Prawdopodobnie przez ostatnie dwa dni usłyszałem w tej grupie więcej śmiechu, niż niektórzy słyszą przez całe życie. I wszyscy uwielbiają Katie. Zwłaszcza Franco, który bezlitośnie się z nią droczy. Chociaż wcale nie jest mi jej szkoda, bo świetnie sobie radzi, odpowiadając. To moja Katie. Tak cholernie zadziorna.

Wchodzi Tom z wielkim kubkiem kawy w dłoni i kiwa głową w stronę grupy. Nie jest rannym ptaszkiem, więc wszyscy potakują w odpowiedzi, unikając werbalnego powitania. Zespół, jak i Katie, nazywają go ZGKB. Nie jestem pewien, od czego to skrót. Muszę ją zapytać. Tom zajmuje miejsce za konsolą obok dźwiękowca i odchrząkuje.

– Lepiej, żebyście wszyscy byli gotowi stworzyć dziś kawałek historii, bo nie na darmo przyleciałem aż do Minneapolis. Wczoraj byliście fenomenalni, ale dzisiaj – patrzy bezpośrednio na Gusa – będziecie musieli podwoić wysiłki, by konkurować z tym, co zrobiliście wczoraj. Musicie ścisnąć poślady. – Tom lubi Gusa. Po prostu daje im motywację na kolejny dzień.

Gus odchrząkuje.

– Jasne. – Życie gwiazdy rocka wydaje się być stresujące.

Tom przytakuje, po czym wyraz jego twarzy nieznacznie łagodnieje.

– Więc zabierajcie się do pracy i zróbcie to dobrze.

– Chcę, by Promyczek była w drugiej kabinie. Musicie nagrywać nas w tym samym czasie. W tym kawałku jest zbyt wiele synchronów, a nie mogę tego zrobić idealnie, kiedy jej nie słyszę. – W tej piosence Katie i Gus śpiewają równocześnie niemal każdą linię, razem wykonują też refreny.

– Myślałem, że ustaliliśmy, że każdego nagrywamy oddzielnie, po czym nakładamy to na siebie przy miksowaniu.

Gus wzrusza ramionami, ale widzę, że nieznacznie unosi brwi. Zwilża językiem dolną wargę. Nagle znika niefrasobliwy facet, którego obserwowałem od dwóch dni. Wygląda, jakby miał się zaraz rozpaść, zgaduję, że nie ma to nic wspólnego z nagraniem. Chodzi o Katie i fakt, że to wszystko staje się dla niego zbyt realne.

– Potrzebuję jej – wyznaje cicho.

Tom wzdycha, ale jego mina łagodnieje. Wie o chorobie i nie chce walczyć z Gusem. Ma zamiar dać mu wszystko, czego ten potrzebuje.

– Dobra. – Chyba nikt nie jest teraz w stanie odmówić Gusowi. Nawet ja.

Tom rozmawia przez moment z dźwiękowcem, po czym w kabinie naprzeciwko Gusa zostaje podłączony mikrofon.

Zapada cisza, co jest trochę dziwne, ponieważ przez ostatnie czterdzieści osiem godzin nie było tu ani chwili spokoju. Shel siedzi na kolanach Dunca na dużym krześle ustawionym w kącie. Clayton, Jamie i Robbie rozsiadają się na kanapie za konsolą dźwiękowca. Franco i ja stoimy po obu jej stronach, przyglądając się przez szybę przygotowaniom w kabinach.

Katie i Gus znajdują się dokładnie po drugiej stronie szyby. Rozmawiają cicho, oczekując pozwolenia na wejście do oddzielnych kabin. Katie wygląda na odprężoną i szczęśliwą, jakby robiła to już milion razy. Próbuje uspokoić Gusa, który wydaje się spięty. Nie potrafię sobie wyobrazić, co chodzi mu po głowie. Słyszałem słowa tej piosenki. W piątkowy wieczór odtwarzali ją wielokrotnie. Jest pełna emocji. Opowiada o bólu, walce, stracie bliskiej osoby, o bezowocnych próbach uporania się z tym i w końcu o rezygnacji. Wiem, że to jego punkt widzenia, ale piosenkę równie dobrze mogłaby napisać Katie. Jakkolwiek na to nie spojrzeć, tekst jest smutny. Nie znając stojącej za nim historii, można interpretować go na różne sposoby, można pomyśleć, że mówi o śmierci, rozstaniu, stracie w ogólnym znaczeniu. Surowe słowa są mieszaniną gniewu i głębokiej rozpacz. To poetyckie, burzliwe, osobiste, trzyminutowe szaleństwo. Nagranie będzie trudne. Jednak Katie podjęła się tego zadania. Radzi sobie, ponieważ nie bierze go do siebie. Nienawidzi żalu, więc dla niej to nie jest smutne. Cieszy się, jakby dostała możliwość przekazania swojej historii. A jej historia, oczywiście w jej własnych oczach, nie jest smutna. Nawet jeśli piosenka opowiada o rezygnacji, w jej pozytywnie zakreślonym umyśle poddanie się jest w porządku. Umieranie jest okej. Wszystko będzie dobrze.

Tom mówi do mikrofonu:

– Jesteśmy gotowi, a wy?

Gus i Katie wymieniają spojrzenia. Katie mówi coś, po czym wyciąga niewielką piastkę w stronę Gusa. Ten uśmiecha się i przybija swoją pięścią zółwika.

Wszyscy w pomieszczeniu się koncentrują, wydaje się, że każdy wstrzymuje oddech. Jamie i Robbie wstają, jakby nie mogli już usiedzieć, i podchodzą do szyby. Franco kołysze się na piętach i mruczy pod nosem:

– No dalej, Gus. Dasz radę.

Katie i Gus zakładają słuchawki, poprawiają je i zajmują miejsca za mikrofonem. Katie nadal wydaje się spokojna, ale w jej oczach widać zmianę. Wczuwa się. Gus z zamkniętymi powiekami porusza głową w lewą i prawą stronę, rozciągając mięśnie karku i starając się je rozluźnić.

Dźwiękowiec ustawia parę przełączników i możemy usłyszeć w głośnikach oddechy Katie i Gusa. Tom przyciska guzik i mówi:

– Gotowi? – Katie bierze głęboki wdech i przytakuje. Gus milczy. Tom ponownie pyta: – Gustov, jesteś gotów?

Wzdycha, po chwili zaplata ręce na karku. Jego ramiona mocno się napinają. Nadal ma zamknięte oczy.

– Muszę zapalić. – Nie wiem, czy mówi do siebie czy do Toma.

– To będzie długi dzień – mruczy Tom pod nosem, nim ponownie wciska przycisk i mówi do Gusa: – Potrzebujesz jeszcze chwili?

Katie zdejmuje słuchawki i idzie do przeciwległej kabiny. Słyszymy przez mikrofon ich

rozmowę.

– Młody, dobrze się czujesz?

Kręci głową.

– Słuchaj, zrobmy to. Ta piosenka jest zarabista. Chcę usłyszeć, jak ją śpiewasz, jak wyciągasz ją z głębi duszy. Nie powstrzymuj się. Ja się cieszę. Jestem gotowa. No dalej, zrób to ze mną.

Jego mina nieco się rozpogadza.

– Myślisz, że będzie dobra?

– Myślisz, że byłabym tutaj, gdybym uważała inaczej? – droczy się.

Kiwa głową.

– Dla mnie? Tak, byłabyś tutaj.

Katie się zgadza, wzdycha, po czym na jej twarzy pojawia się uśmiech.

– Tak, pewnie masz rację. Ale zrobmy to, będzie niesamowicie. Dalej, Gustov, bądź dorosłym facetem i bierz się do roboty.

Uśmiecha się i kręci głową. Bawi go jej władczy ton.

Katie puszcza do niego oko i wychodząc z kabiny, rzuca przez ramię:

– Poważnie, lepiej się pozbieraj, bo ja jestem gotowa.

– Jest cholernie seksowna – mówi stojący tuż za nią Jamie. Nie jest niegrzeczny. Po prostu mówi, co widzi. – Czy jeszcze kogoś to kręci?

Wszyscy – łącznie z Claytonem i Shelly – odpowiadają równocześnie:

– Tak.

Franco szturcha mnie łokciem.

– Pieprzony szczęściarz z ciebie, Keller.

Dokładnie.

Katie zakłada słuchawki. Tom mówi przez mikrofon:

– Już w porządku? Gustov, jesteś gotów?

Gus bierze głęboki wdech i spogląda przez szybę na Toma.

– Tak, młody. – Wkłada palce w szlufki jeansów. – Jestem dorosłym facetem i biorę się do roboty. – Zerka z uśmiechem na Katie, która klaszcze w dłonie i się śmieje.

Tom patrzy na dziewczynę i mówi:

– Kate, w porządku?

Unosi oba kciuki w górę, by Tom mógł je zobaczyć, dodając do tego głupawy uśmieszek i spojrzenie szeroko otwartych oczu. Wszyscy w pomieszczeniu, łącznie z Tomem, wybuchają śmiechem.

– W co ja się dałem wpakować? – Kręci głową. – Skąd się wzięła ta kobieta? – Mówi to jako komplement. Przez cały weekend było oczywiste, że Tom szanuje talent Katie. Jest nią zafascynowany, podobnie jak wszyscy inni.

Robbie mówi:

– Z kosmosu. Nie ma drugiej takiej jak ona. Właściwie drugiego takiego jak Gus też nie uświadczysz.

Franco się śmieje.

– Możesz powtórzyć?

Dźwiękowiec coś przełącza, pomieszczenie zalewa muzyka. Nagrane wcześniej skrzypce Katie są ciche i melodyjne. Intro jest długie, a to dobrze, bo do końca życia mógłbym słuchać jej gry. Po chwili dołącza gitara akustyczna, a jeszcze później perkusja, bas

i gitara elektryczna.

Kate i Gus patrzą sobie w oczy. Wszyscy się w nich wpatrujemy, ale myślę, że zapomnieli o istnieniu otaczającego ich świata, z wyjątkiem bliskiej osoby stojącej po drugiej stronie szyby. Pozwalają, by porwała ich przepływająca przez słuchawki muzyka. Gus z każdym dźwiękiem strun gitary kiwa głową. Cała górna partia ciała Katie jest w ruchu: to powolny, zmysłowy taniec do melodii skrzypiec. Mimowolnie porusza prawą ręką, jakby trzymała smyczek. Zerkam na stojącego niedaleko Franco, który palcami wystukuje na udzie rytm perkusji. Nie sądzę, by którekolwiek z nich zdawało sobie sprawę, że grają teraz razem.

Tom wskazuje na Gusa w momencie, gdy ten zaczyna śpiewać pierwsze wersy tekstu. Dwie pierwsze linijki należą wyłącznie do niego. Jego głos jest cichy i ochrypliwy. Jest w nim niezaprzeczalny smutek. Katie dołącza harmonijnie, powtarzając wersy zaśpiewane przez przyjaciela. Jej głos jest jakby cichym echem silnych emocji Gusa.

Gus prowadzi pierwszy refren. Jego głos wzmacnia się, Katie dodaje mu głębi.

Emocje budują się w drugiej zwrotce. Mimo że Katie wciąż śpiewa synchronicznie, jej głos staje się równie mocny, co Gusa. U niego słychać cierpienie, u niej pewność. To dziwna kombinacja, ale działa. W duszach obojga można wyczuć walkę, która prowadzi do drugiego refrenu. Oboje śpiewają z głębi serca. Wiem, że kolejne wersy Gus ma śpiewać solo. To punkt kulminacyjny tej piosenki. Nie mam pojęcia, jak ten facet wykrzesze z siebie jeszcze więcej niż dotychczas.

Wkrótce dostaję odpowiedź. Gus zamyka w tym momencie oczy. Dłonie opiera na słuchawkach, wygina plecy, jakby był to dla niego nadludzki wysiłek. Jest w swoim świecie. Katie porusza się do rytmu perkusji, która wiezie prym w tej części utworu. Wydaje się, że muzyka przepływa bezpośrednio przez nią, a ona poddaje się tej fali. Chciałbym się kiedyś zatracić tak kompletnie. Kiedy słowa Gusa przechodzą w przepelniony bólem krzyk, Katie uśmiecha się od ucha do ucha i macha pięścią w powietrzu, wspierając go. W naszym pomieszczeniu wybuchają oklaski i gwizdy. Każdy jest pod ogromnym wrażeniem tego, co słyszy i widzi.

Katie zamyka oczy, dołącza w śpiewie, jej ton pasuje intensywnością do głosu Gusa. Ostatni refren śpiewa sama, Gus jedynie powtarza wołanie z poprzedniej zwrotki. Energia i napięcie dźwięku są w tej chwili namacalne. Jeśli ja jestem porażony, to co muszą czuć Katie i Gus?

Katie wyśpiewuje ostatni wers. Gus podąża za nią ze swoim wojowniczym okrzykiem:

– *Zrezygnowałem z życia albo ono ze mnie. Tak czy owak, mam dosyć.* – Jego głos uspokaja się i cichnie: – *To mój koniec.*

Katie wciąż się kołysze, z zamkniętymi oczyma, szerokim uśmiechem i zaciśniętymi w pięści dłońmi. Jej pierś z wysiłku gwałtownie unosi się i opada, kiedy dziewczyna słucha instrumentalnego końca piosenki. To odwrócony początek utworu. Elektryczna gitara i bas cichną, tuż po nich milknie perkusja. Otaczają nas wyłącznie dźwięki gitary akustycznej i skrzypiec. W końcu gitara wygrywa ostatnie akordy i pozostają jedynie skrzypce.

Kiedy wybrzmiewa ostatnia nuta, Katie i Gus otwierają oczy. Gus się uśmiecha, wygląda, jakby mu ulżyło i jednocześnie, jakby bardzo się zmęczył.

– Kocham cię, Promyczku – szepcze.

Katie uśmiecha się do niego.

– Też cię kocham, Gus – odpowiada równie miękko.

To nie było częścią piosenki, ale zostało nagrane i cieszy mnie to. Słuchanie, jak inny facet mówi, że kocha moją dziewczynę, powinno mnie niepokoić, ale tak nie jest. Chcę, by Katie była otoczona ludźmi, którzy ją kochają.

W pomieszczeniu ponownie wybucha wrzawa. Tom wyrzuca trzymane papiery w powietrze, odchyła się w fotelu i kręci głową. Spogląda po kolei na Jamiego, Robbiego i Franco.

– Co to, u licha, było? – Gość jest w szoku. – Skąd się wzięło? Nie wiedziałem, że Gustavo tak potrafi. Rozwalili system! – Mruga, niedowierzając.

Odzywa się Franco:

– To Kate, stary. Jest jego muza. Zawsze była. Widziałeś, co razem potrafią. Nikt inny nie umie tego z niego wycisnąć. Karmią się nawzajem. Nigdy niczego takiego nie widziałem. Muzycynie są tak dostrojeni, jakby czytali sobie w myślach. Ale masz rację. Właśnie byliśmy świadkami czegoś, kurwa, niewiarygodnego... nawet jak na nich. – Uśmiecha się. – Zgaduję, że nie każesz im tego powtarzać?

Tom odchrząkuje, kręci głową i wciska guzik, by Gus i Katie mogli go słyszeć.

– Myślę, że jest dobrze. Chcecie tu przyjść i posłuchać?

Chwilę później Gus staje za Jamie i Robbiem, opiera ręce na ich ramionach, jakby musiał się czegoś przytrzymać. Katie staje przede mną i opiera się o moją pierś. Obejmuję ją mocno i całuję w czubek głowy. Czuję, że walczy z każdym oddechem. Szepczę jej do ucha:

– Jesteś gwiazdą rocka. Widziałem na własne oczy. Byłaś wspaniała.

Małymi, miękkimi dłońmi pociera moje przedramiona.

– Dziękuję, kochanie.

Uwielbiam, gdy tak mnie nazywa.

Gus w końcu odzyskuje dech.

– Cholera jasna, Promyczku, myślę, że twoje rady zadziałały.

Jej śmiech wibruje we mnie.

Nagranie jest równie fenomenalne, jak dźwięk na żywo. Czuję, że Katie, słuchając piosenki, ma gęsią skórę.

Tom spogląda na Gusa, gdy wybrzmiewają słowa: „Kocham cię”.

– Co myślisz? Jesteś z tego zadowolony?

Nim Gus odpowiada, szuka w Katie akceptacji. Dziewczyna kiwa głową. Gus się uśmiecha.

– Tak, podoba nam się.

Tom wypuszcza powietrze.

– To dobrze, bo nie ma mowy, bym pozwolił wam to powtórzyć. – Wskazuje na konsolę.

– To było genialne.

Następnie wokół mikrofonów zbierają się Robbie, Jamie i Franco, by nagrać chórki. Muszą kilkakrotnie powtarzać, kończą godzinę później. Ich partie są niewielkie, ale konieczne, by piosenka była idealna. Są niczym wisienka na torcie.

Po powrocie z lunchu słuchamy ostatecznej wersji utworu. Franco i Katie przekomarzają się, jacy byli okropni. Pomaga to nieco złagodzić stres torturujący Gusa. Chłopak nalega, by jeszcze pięć czy sześć razy odtworzyć piosenkę. Tom popiera każdą sugestią zmiany. Kiedy i Katie się zgadza, Gus wszystko zatwierdza.

Niedługo potem przyjeżdża taksówka, by zabrać Toma i zespół na lotnisko. Dla Katie oznacza to pożegnanie. Chłopaki nie wiedzą, czy jeszcze ją zobaczą.

Tom ściska ją i mówi, że jest cholernie zaszczycony, mogąc ponownie z nią pracować.

Przytulając ją, Jamie otwarcie płacze. Nie może mówić, więc odwraca się i wskazuje do taksówki.

Robbie tuli ją delikatnie, jakby bał się, że ją połamie. Szklą mu się oczy, gdy mówi:

– Trzymaj się, Kate. – Po chwili wskazuje na tylne siedzenie tuż obok Jamiego.

Franco spogląda w niebo i gwałtownie mruga.

– Wmawiałem sobie, że tego nie zrobię. – Łzy jednak spływają po jego policzkach. Chłopak chwytając Katie za ramiona i porywa w niedźwiedzi uścisk. – Będę za tobą bardzo tęsknił, Kate. Nie potrafię się pożegnać. To tak kurewsko popieprzone.

Katie próbuje posłać mu uśmiech, ale jej usta zaczynają drżeć.

– Ja też będę za tobą tęskniła.

Franco całuje ją w czoło i ściska jej dłoń, po czym odchodzi do samochodu.

Katie zatrzymuje go, nim wsiada.

– Franco?

Obraca się.

– Tak?

– Przepraszam, że zawsze się z tobą droczyłam. Mam nadzieję, że wiesz, iż nigdy nie mówiłam poważnie. Jesteś jednym z najwspanialszych ludzi, jakich znam.

Franco uśmiecha się przez łzy.

– Wzajemnie, Kate.

Pęka mi serce, gdy na to patrzę.

Gus stoi nieopodal, paląc papierosa. Zaciąga się po raz ostatni, po czym pstryka petem na ulicę i obraca się do Katie, która bierze jego wielkie dłonie w swoje małe. To zabawne, jak tych dwoje pasuje do siebie, nawet pomimo różnicy w posturach.

– Powinieneś rzucić, wiesz o tym.

Gus przytakuje.

– Wiem. Wierz mi, wiem.

Chłopak kołysze ich rękami. Żadne nie chce się zegnać, jakby wypowiedzenie tego na głos oznaczało koniec. Stoją w ciszy, patrząc sobie w oczy. Powoli spod powiek Gusa zaczynają wypływać łzy, a kiedy zamieniają się w strumień, chłopak porywa Katie w ramiona i mocno ją do siebie tuli.

Jego głos jest spokojny mimo łez:

– To nie jest pożegnanie. Zobaczymy się po świętach. – Ich trasa koncertowa kończy się kilka dni przed Bożym Narodzeniem.

Katie kiwa głową przy jego ramieniu.

– To nie jest pożegnanie. Zobaczymy się za kilka tygodni.

Ściska ją mocniej, głos mu się łamie.

– Obiecujesz?

Jej głos jest ochrypły i przytłumiony.

– Obiecuję, Gus.

Stawia ją ostrożnie na ziemi, tuli jej twarz do swojej piersi i głaszcze kilkakrotnie po włosach, nim w końcu się odsuwa. Katie trzyma go za koszulkę, jakby nie chciała pozwolić mu odejść. Gus obejmuje jej twarz i pochyla się, aż ich spojrzenia znajdują się na równym

poziomie.

– Kocham cię, Promyczku. – Całuje ją lekko w usta.

Katie szepcze:

– Też cię kocham.

Gus odchodzi chwiejnie w stronę taksówki, siada z przodu. Nie ma pożegnania.

Katie posyła w powietrzu buziaka i macha, gdy taksówka odjeżdża. Kiedy odwraca się do mnie twarzą, widzę, że policzki ma mokre od łez. W końcu pozwala im płynąć.

Kiedy mnie tuli, czuję, jakby się we mnie wtapiała. Pocieram jej plecy.

– Masz wspaniałych przyjaciół, Katie.

– Wiem. Jestem cholerną szczęściarą – mówi i naprawdę tak sądzi.

Całuję ją w czubek głowy.

– Oboje jesteśmy szczęściarzami.

19 GRUDNIA, PONIEDZIAŁEK

KELLER

Matka nie odzywa się do mnie od miesiąca. Zgaduję, że nadal wścieka się za zmianę kierunku studiów... za zmianę mojego życia. Wiem, że nie powinienem się tym przejmować, bo tak po prostu jest, zawsze tak było, i to odkąd pamiętam. To standard: staram się, jak tylko mogę, ale nie jestem wystarczająco dobry, więc jest rozczarowana, a ja czuję, że zawiodłem. To się powtarza... i powtarza... i powtarza.

Teraz przeszkadza mi to chyba dlatego, że po raz pierwszy jestem z siebie dumny. Czuję się silny. Pewny siebie. Odważny. Czuję to wszystko dzięki Katie. Znajomość z nią mnie zmieniła. Dzięki niej jestem lepszym człowiekiem.

Dlaczego matka tego nie widzi?

Katie i ja przyjechaliśmy rano do Chicago. W mieszkaniu rodziców jemy obiad ze Stellą i Melanie. Ojciec ma dyżur, matka nie chce do nas dołączyć.

Atmosfera pełna jest melancholii, ponieważ po raz ostatni widzimy Melanie. Wracą do Seattle. Obiecujemy utrzymywać kontakt, ale wszyscy wiemy, jak to się skończy. Obietnice łatwo się składa. Dziewczyna planuje zamieszkać z rodzicami i dokończyć studia. Cieszę się. Jest dobra. Nie wiem, co bym bez niej zrobił. Przez niemal cztery lata była aniołem dla mojej Stelli. Nie potrafię jej wystarczająco podziękować.

Stella płacze po wyjściu Melanie. To rozdziera mi serce. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy na pewno dobrze robię.

Jest już po dwudziestej trzeciej. Stella śpi od ponad dwóch godzin, matka spędza czas w swoim gabinecie, z którego nie wyszła od południa.

Katie jakąś godzinę temu zasnęła w pokoju gościnnym. Ostatni tydzień był szalony. Nie spała tyle, ile powinna. Wiem, że walczy. Jest bardzo silna, jest najsilniejszą osobą, jaką w życiu spotkałem, próbuje być dzielna, jednak kiedy jest sama, pozwala, by ból przejął nad nią kontrolę. Ten widok łamie mi serce. Z każdym dniem prawda o tym, że ją stracę, staje się coraz bardziej realna.

Nie chcę jej stracić.

Gdybym mógł, zająłbym jej miejsce. Jest jedyną osobą, prócz Stelli, za którą naprawdę oddałbym życie. Zrobiłbym to bez wahania. Za obie moje dziewczynki nadstawiłbym karku.

Odrzucam kołdrę, bo nie wytrzymam dłużej tego leżenia. Chodzę po pokoju, obgryzając paznokcie. Nic już z nich nie zostało. Jestem rozdrażniony, mam niespokojne myśli. Nie mogę uciszyć chaosu na tyle, by zasnąć.

Zakładam spodnie od piżamy na bokserki i idę sprawdzić, co ze Stellą. Śpi głęboko. Wygląda tak spokojnie, że serce wypełnia mi czysta miłość. Katie miała rację. Zostałem pobłogosławiony.

Następnie idę do pokoju Katie. Śpi na lewym boku. Przez ostatni tydzień sypia wyłącznie w tej pozycji. Twierdzi, że tak jej wygodniej, ale znam powód. Ból ją zabija. Jest tak intensywny, że Katie nie potrafi już leżeć na brzuchu ani na plecach.

Cholernie nienawidzę raka.

W tej chwili śpi głęboko, ale wiem, że nie potrwa to długo. Nigdy nie trwa. Budzi się

w nocy kilkanaście razy, a ból tylko to potęguje.

Kiedy zostawała u mnie, uwielbiałem przyglądać się, jak śpi. Jest taka piękna, że czasami leżałem, po prostu się w nią wpatrując. Unoszenie i opadanie jej piersi. Trzepotanie powiek, gdy jej umysł pędził przez sny. Jej absolutny spokój zapierał mi dech. Czasami potrafiłem się rozmarzyć: jakby to było mieć ją na zawsze? Jakby to było ją poślubić? Jak wyglądałaby, nosząc moje dziecko? Jak ono by wyglądało?

W ubiegłym tygodniu przestałem się przyglądać. Ból nie pozwala jej na sen, ciało od niego sztywnieje. Na twarzy maluje się udręka. Czasami płacze. Spokój odszedł w niepamięć. To łamie mi serce.

Zatem nie chcę patrzeć.

Jednak dzisiaj nie potrafię trzymać się z dala od jej pokoju, ponieważ czuję, że zostało mi z nią niewiele czasu. Nie chcę jej przeszkadzać, więc siadam na kanapie naprzeciw łóżka. Ciemność skrywa Katie przed moim wzrokiem, ale wciąż czuję jej obecność. Odchyłam głowę, zamykam oczy i oddycham. Nie wiem, jak długo tak siedzę, godzinę, może dłużej, zanim postanawiam wrócić do łóżka i nieco odpocząć. Naciskam klamkę, ale nie mogę wyjść. Wiem, że nie będę mógł złapać tchu, jeśli opuszczę ten pokój. Podchodzę więc do łóżka i powoli wślizguję się pod kołdrę. To królewskie łoże jest ogromne w porównaniu do tego, które dzielimy u mnie. Jest między nami jeszcze pół metra luzu.

– Chyba nie masz zamiaru spać na skraju łóżka, co? – Jej głos jest senny i ochryply.

Uśmiecham się, a niepokój rosnący w mojej piersi od kilku godzin znika.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Śmieje się.

– Nie wślizgnąłeś się ukradkiem, jak ci się wydawało, Keller. Byłbyś okropnym włamywaczem. Albo ninją. Nie zmieniaj już kierunku studiów.

Przysuwam się do niej, przyciskam pierś do jej pleców i obejmuję ją ramieniem. Jest ciepła. Mógłbym tak zostać na zawsze. Dwukrotnie całuję ją w głowę.

– Dobranoc, Katie.

– Dobranoc.

Przez chwilę panuje cisza, wydaje mi się, że Katie odpłynęła.

– Keller?

– Tak?

– Dziękuję, że przyszedłeś. Nie znoszę spać sama. – Splata palce z moimi, unosi nasze dłonie i całuje wierzch mojej.

– Kocham cię, kochanie. – Muszę to powiedzieć, nim moje gardło ściśnie się jeszcze bardziej.

– Też cię kocham, kochanie... Też cię kocham, kochanie – mówi dwukrotnie, bym nie musiał prosić o powtórzenie.

Naprawdę bardzo ją kocham.

20 GRUDNIA, WTOREK

KELLER

Już prawie skończyliśmy pakowanie rzeczy Stelli do samochodu (Katie wolała, byśmy pojechali jej autem, ponieważ, pomimo że uwielbia puffy w Zielonej Strzale, nie uważa, by przez kilka godzin były wygodne dla tyłka. Jej słowa, nie moje). Nie możemy zabrać wiele, ponieważ w Grant nie ma zbyt dużo miejsca, jednak Stella będzie miała wszystko, czego potrzebuje.

Katie pomaga Stelli nakarmić Panią Higgins. Pakuje terrarium i wszystko, co konieczne do opieki nad żółwiem. Jezu, to jak przeprowadzka całej menażerii zamiast jednego małego gada. Powiedzmy, że Pani Higgins żyje w luksusie. Być może to najdroższy w utrzymaniu żółw w historii.

Robię ostatnią rundę po salonie, sprawdzając, czy Stella nie zostawiła niczego, czego będzie jej później brakowało.

– Keller? – Zaskakuje mnie ojciec, który natychmiast odchrząkuje. To formalne chrząknięcie poprzedza wszystko, co do mnie mówi. – Możemy porozmawiać, zanim wyjedziesz?

Wiem, o co mu chodzi, ale nie mam dziś nastroju do kłótni. Zaraz poprosi, bym poszedł z nim do gabinetu matki, ponieważ tam czuje się najbardziej władcza. A ponieważ on jest tylko chłopcem na posyłki, będzie milczał, gdy przestąpimy próg, za to ona rozpocznie tyradę na temat tego, że wszystko robię źle. Będę próbował się bronić. Matka podniesie głos i będzie chciała mnie na swój sposób zastraszyć. Przechodziłem przez to milion razy.

Jak już mówiłem, nie jestem w nastroju.

– Bez obrazy, ale wiem już, na czym będzie polegała ta rozmowa, jak zwykle z matką, więc dzięki, ale nie. Nie dzisiaj.

Ponownie odchrząkuje.

– Nie chodzi o matkę, synu. Chodzi o Kate.

Do tej pory stałem zwrócony plecami do niego, ale na dźwięk jej imienia natychmiast się odwracam. Nie potrafię inaczej reagować na imię Katie.

– O co chodzi?

Więcej chrząkania.

– Po prostu powiedz szczerze, cokolwiek cię nurtuje, tato.

Patrzy mi prosto w oczy, jednak w jego spojrzeniu widnieje czułość, którą okazuje wyłącznie przy Stelli. Jest mięczakiem, jeśli chodzi o wnuczkę.

– Kate jest bardzo chora, prawda?

Przytakuję. Nie mówiłem rodzicom o chorobie Katie, ale ojciec pracuje na co dzień w szpitalu, więc potrafi rozpoznać chorego człowieka. No i jest dobrym obserwatorem.

Wypuszcza powietrze z płuc.

– Tego się właśnie obawiałem. Jaka jest diagnoza?

– Rak. – Nie potrafię wydusić z siebie dłuższej odpowiedzi, boję się, że się rozkleję.

Nienawidzę tego pieprzonego słowa.

– W jakim jest stadium? – Pytania ojca są profesjonalne, ale łagodność nie znika z jego oczu.

Ponownie jednowyrazowa odpowiedź:

– Terminalnym.

Teraz on przytakuje.

– Rozumiem. Ile ma czasu?

Wiem, dlaczego pyta, ale nie chcę odpowiadać. Zamiast tego wyciągam jeden palec.

– Rok? – zgaduje. Wie, że założył optymistycznie.

Kręcę głową.

Znów wypuszcza powietrze i ponownie przytakuje.

– Miesiąc. – To nie jest pytanie.

Przez chwilę spoglądamy na siebie w ciszy.

I właśnie wtedy wchodzi Katie, trzymając terrarium z Panią Higgins. Uśmiecha się, nie zważając na to, że o niej rozmawiamy.

– Myślę, że Pani Higgins jest gotowa do podróży życia, Keller. Zjadła obfite śniadanie, a Stella mówi, że skończyły jej się tabletki na chorobę lokomocyjną dla zwierząt, więc będziesz musiał ostrożnie jechać do domu, młody. Masz pod opieką delikatny żołądek. Podejmujesz się wyzwania?

To zabawne, ale nie potrafię wykrzesać z siebie wesołości.

Ojciec po prostu na nią patrzy. W jego oczach pojawia się smutek, ale jest jeszcze coś. Podziw, odznaczający się słabiutkim uśmiechem. Obraca się do mnie i ściska moją dłoń.

– Opiekuj się nimi, Keller.

Kiwam głową, przelitykam z trudem ślinę, ponieważ może nie jest to pełna miłości reakcja, ale po raz pierwszy czuję, że ojciec zwrócił się do mnie jak do równego sobie.

– Taki mam zamiar.

Również kiwa mi głową.

– Dzwon, gdybyś czegoś potrzebował.

– Poradzę sobie, ale dzięki, tato.

Wychodzimy, nie żegnając się z matką.

22 GRUDNIA, CZWARTEK KATE

Dzisiaj pożegnałam się z Petem. Był bardzo zmieszany, a pożegnanie trudne, ponieważ nie znoszę, kiedy komuś jest ciężko z mojego powodu, zwłaszcza jeśli to ktoś, na kim mi zależy. Pete wraca do domu, przyjedzie tu dopiero w połowie stycznia, gdy rozpocznie się drugi semestr.

Powiedział, że wtedy się spotkamy.

Nie spotkamy się.

Oboje o tym wiemy. Po prostu nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć. Stwierdziłam, że będę za nim tęsknić.

Uściskaliśmy się.

Później Clayton pomaga mi zanieść pudła z moimi rzeczami do samochodu, ponieważ nie potrafię ich unieść. To pierwszy raz, gdy jestem zażenowana z powodu choroby. Zmienianie się w takiego mięczaka jest upokarzające.

Próbuję się nie smucić z powodu zamknięcia tego rozdziału mojego życia, ale jest ciężko, bo i Clayton wkrótce wyjeżdża. Ma zamiar spędzić miesiąc w domu z rodziną, po czym przeprowadza się z Morrisem do Los Angeles. Będzie mi go brakowało. Wiem, że pomaganie mi jest dla niego trudne, ale nie mam serca prosić Kellera, by to zrobił. Ma teraz na głowie zbyt wiele, więc nie chcę dokładać mu stresu i prosić, byśmy wspólnie odznaczali rzeczy na mojej finalnej liście. Tak szybko przechodzimy w naszym związku od pierwszych do ostatnich razów, że obarczanie go i tym wydaje się niesprawiedliwe.

25 GRUDNIA, NIEDZIELA KATE

– Wesółych Świąt, Kate. – Głos Audrey zawsze brzmiał dla mnie anielsko, nawet przez telefon. Pamiętam, że jako dziecko przychodziłam do domu Gusa i szukałam Audrey, ponieważ zawsze ze mną rozmawiała. I była przy tym miła. Matka nie odzywała się za wiele do Grace czy do mnie, a kiedy już to robiła, zazwyczaj krzyczała. Audrey nigdy nie krzyczała. Żyłam w przekonaniu, że jeśli spotkam kiedyś anioła, będzie miał głos Audrey.

– Wesółych Świąt, Audrey. Jedliście rano z Gusem cynamonowe bułeczki na plaży?

– Tak. – Uśmiecha się, słyszę to. Gus wrócił wczoraj. Tęskniła za nim, kiedy był w trasie.

Zawsze jest dla niej powodem do uśmiechu.

Jedzenie na plaży cynamonowych bułeczek w świąteczny poranek jest tradycją Hawthornów. W każde święta, jeszcze przed wschodem słońca, szłyśmy z Grace w piżamach do sąsiadów. Gus nigdy nie spał, był zbyt podekscytowany świętami. Po prostu kocha Boże Narodzenie. Zatem budziliśmy Audrey, która wkładała blachę z bułeczkami do piekarnika. Kiedy były gotowe, zabierała nas na plażę przed ich domem, gdzie rozkładała koc. Siedzieliśmy, jedliśmy i nie wolno nam było rozpakować prezentów, dopóki blacha nie została opróżniona. Powtarzaliśmy to co roku. To moje ulubione świąteczne wspomnienia. Pamiętam też, że Grace i ja zawsze byłyśmy smutne, wracając do domu. Nasza matka nie wstawiała wcześniej niż w południe, święta nie były wyjątkiem. Zawsze spała, gdy wracałyśmy i nigdy nie robiła cynamonowych bułeczek.

– Żałuję, że nie mogłam być z wami – mówię. – Chociaż rano upiekłam cynamonowe bułeczki dla Kellera i Stelli i nie pozwoliłam otworzyć prezentów, aż wszystkich nie zjedli. Jednak nie wszystko było, jak trzeba: nie wyszliśmy na zewnątrz. Ciężko to zrobić przy dziesięciostopniowym mrozie.

Audrey się śmieje.

– Świętowanie w Minnesocie pewnie lepiej sprawdza się w domu. Cieszę się, że przekazałaś im tę tradycję.

– Ja też. – Chciałabym wszystkim się z nimi podzielić. Małymi rzeczami, które są najważniejsze.

– Rozmawiałaś już dzisiaj z Gusem? Mogę go dać do telefonu. Jest na dole w pokoju telewizyjnym, bo ja przygotowuję obiad.

– Nie trzeba, rozmawiałam z nim wcześniej przez kilka minut. Złapię go też później.

Chciałam porozmawiać z tobą, Audrey.

– Oczywiście, kochana, o co chodzi? – Audrey jest zawsze chętna do pomocy. Ma serce na dłoni, podobnie jak Gus, jednak lepiej potrafi się trzymać. Mogę się założyć, że stara się brzmieć na zaniepokojoną, a nie na wystraszoną.

– Pamiętasz, jak rozmawiałyśmy o moim powrocie do domu, kiedy już nie będę dawała rady?

– Oczywiście, że tak.

– Myślę, że ten czas już nadchodzi. – Próbuję zwalczyć łzy, ponieważ naprawdę nie chcę płakać. To moja rzeczywistość, a w niej kolejny krok.

Audrey bierze głęboki wdech.

– Dobrze, skarbie. Dobrze... Tak... – Musi mieć chaos w głowie, bo to nie jest jej normalna reakcja. Audrey nigdy się nie jąka i nie urywa w pół zdania. Zawsze wie, co powiedzieć.

Zaciskam pięść przy piersi, bo zaczynam się bać, że może nie wie, co ze mną zrobić. Może proszę o zbyt wiele.

Jednak szybko się zbiera.

– Kochana, zamieszkasz w pokoju gościnnym, byś miała własną łazienkę. Prześlij mi mailem namiary na twoich lekarzy. Chcę mieć ich obu pod ręką, jak również kontakt z tym z Minnesoty. Jak najszybciej zrobię z nimi konferencję i wypytam, czego będziemy potrzebować, bym odpowiednio przygotowała dom. Zrób też listę wszystkich leków, które aktualnie zażywasz. Wiem, że masz alergię na penicylinę, ale jeśli masz inne, o których nie wiem, też je zapisz. Inne informacje na temat twojego zdrowia również by się przydały. Masz jeszcze jakieś prośby? Cokolwiek, co mogę wstawić do twojego pokoju? Jeśli tak, daj znać. Przypilnuję, by wszystko było gotowe do twojego przyjazdu.

Nie wiem, dlaczego w nią zwątpiłam. To przecież Audrey. Jest cholerną Superwoman.

– Dziękuję, Audrey. Myślę, że zostanę tu do sylwestra.

– Kate, jesteś moim dzieckiem. Wiesz o tym, skarbie, prawda? Z całego serca chciałabym, byś przyjechała w innych okolicznościach, ale zawsze jesteś mile widziana w moim domu. Poruszę dla ciebie niebo i ziemię. Kocham cię.

– Ja też cię kocham. Bardzo.

– Ściskam cię mocno. Czujesz? – Zawsze lubiła się tulić.

– Czuję.

Nie mam serca powiedzieć Kellerowi, że rozmawiałam z Audrey. Wie, że czas się zbliża, ale kiedy to nastąpi, złamię mu serce. Nie chcę tego. W ogóle. Zostałabym z nim, gdybym mogła, ale nie potrafiłabym tego zrobić ani jemu, ani Stelli. Mam świadomość, że koniec nie będzie przyjemny i będę wymagać opieki. Naprawdę nie chcę nikogo tym obarczać, ale jeśli nie mogę prosić własnej mamy, to kto mi pozostaje? Zawsze uważałam Audrey za mamę. Może Janice była moją matką biologiczną, ale Audrey była mamą. Choć to pierwszy dzień w moim życiu, kiedy żałuję, że tak jest. Ktoś taki jak ona nie powinien przez to przechodzić.

28 GRUDNIA, ŚRODA KATE

Jestem dzisiaj wściekła. Żałuję, że tak jest. Cholera, żałuję... ale tak właśnie jest.

Rano byłam u doktora Connella. Spojrzał w kartę, w wyniki badań i na mnie. Nie miał pokerowej twarzy. Nakrzyczałam na niego, bo na tym etapie chciałabym, by choć jedna pieprzona osoba nie patrzyła na mnie z litością.

Keller tak mocno stara się tego nie robić, ale nawet jemu się czasami nie udaje.

Zatem tak, jestem wściekła.

Naprawdę.

Cholernie.

Wkurzona.

Cały ranek krzyczałam w duchu na Boga: *Dlaczego muszę umierać? Dlaczego nie może być to ktoś inny? Ktoś, kogo nigdy nie poznałam, kto mieszka daleko stąd?*

Wiem, że to straszne, ale tak się dziś czuję. Właśnie dlatego nie mogę wrócić do Kellera. On i Stella nie zasługują na mierzenie się z takim poziomem gniewu.

W sobotę wracam do San Diego. Wczoraj kupiłam bilet i po położeniu Stelli spać powiedziałam o tym Kellerowi. Stwierdzić, że nie przyjął tego zbyt dobrze, byłoby niedopowiedzeniem. Rozpadł się na moich oczach na milion cząstek. Próbował być twardy. Widok jego załamania i świadomość, że jestem przyczyną cierpienia człowieka, którego kocham całym sercem? Tak... znienawidziłam samą siebie.

Siedzę więc teraz w samochodzie, w pierwszym lepszym podziemnym garażu jakiegoś biurowca w centrum Minneapolis i nie wiem, co zrobić.

A kiedy nie wiem, co dalej, rozmawiam z Gusem. Nie powinnam dzwonić do niego tak wściekła, ale skończyły mi się pomysły, a jeśli nie zrobię czegokolwiek w ciągu kolejnych pięciu minut, zwariuję. Zatem dzwonię. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Promyczku, co u ciebie?

– Nie chcę umierać – mówię zdecydowanie.

– Promyczku, co? – Jest zdezorientowany.

Oczywiście, że jest. Nikt nie rozpoczyna rozmowy w ten sposób.

Powtarzam:

– Nie chcę, kurwa, umierać.

– O Boże, Promyczku. – Słyszę, że bierze głęboki wdech, przygotowując się, by rozwinąć rozmowę. – Mów do mnie. Co się dzieje?

– Umieram, Gus. Cholernie nie chcę umierać. To się właśnie dzieje. – Uderzam ręką w kierownicę. – Szlag by to trafił! – krzyczę. Jedyne dwa razy w życiu straciłam nad sobą panowanie przy Gusie: raz, gdy znalazłam matkę wiszącą pod sufitem, a drugi, gdy zmarła Grace. Gus na to nie zasługuje, ale wiem, że poradzi sobie z tym lepiej niż ktokolwiek inny.

– Uspokój się. Gdzie jesteś?

– Nie wiem. Siedzę w samochodzie w jakimś pieprzonym podziemnym garażu w przeklętym Minneapolis w Minnesocie – wyrzucam z siebie.

– Jesteś sama?

– Tak – warczę.

– Nie powinnaś prowadzić na lekach.

Nie chcę, by mnie pouczał.

– Wiem.

– Coś ci się stało? Coś cię boli?

Wybucham śmiechem, zaskoczona, że nawet w nim słychać złość. Pytanie Gusa jest absurdalne. Przecież umieram.

– Promyczku, przestań rechotać i porozmawiaj ze mną. Mam wezwać karetkę? Co się, u diabła, dzieje? – Brzmi na wystraszzonego.

Kręcę głową, jakby mnie widział.

– Nie, nie. Po prostu... jestem kurewsko wściekła, Gus. Tylko o to chodzi. – Milknę, bo mój umysł jest w tej chwili pełen goryczy i urazy. Nie wiem, co jeszcze mogłabym dodać, więc powtarzam: – Naprawdę jestem kurewsko wściekła.

– Cholera, rozumiem, we mnie też jest wiele gniewu. – Czuje się tak samo. Chyba właśnie dlatego do niego zadzwoniłam. – Od miesiąca duszę go w sobie, więc dobrze wiedzieć, że nie tylko ja mam z tym problem. Wyrzuć to z siebie. Dawaj, co masz.

Zatem to robię. Wypływa ze mnie ciągła, wybuchowa wiązanka przekleństw. Przeklinam wszystko, wykrzykuję pytania, walę ręką w kierownicę, ocieram gorące, słone łzy. Gus sporadycznie dołącza, krzykiem zgadzając się ze mną. Czasami czeka, bym mogła dokończyć swój wywód, a niekiedy przerywa, przekrzykując mnie.

Ale nie krzyczy na mnie, krzyczy ze mną.

Po czasie, który wydaje się wieloma godzinami, ale był pewnie minutami, przestaję wrzeszczeć. W swoim wybuchu straciłam poczucie czasu i przestrzeni. Mija chwila, nim moje serce się uspokaja, a umysł oczyszcza. W końcu łzy przestają płynąć, jestem w stanie normalnie oddychać. Mam ściśnięte gardło, głowa odrobinę mnie boli, ale jestem spokojna. Na drugim końcu linii Gus również cichnie. Zapada między nami milczenie.

Wiem, że daje mi niezbędny czas. Cały dzień siedziałby z telefonem przy uchu, gdybym tego potrzebowała.

Mój głos jest ochrypły, gdy ponownie się odzywam:

– Gus?

– Tak, Promyczku? – Znów brzmi jak on. Jest spokojny.

– Dzięki. – Czuję, jakby wielki ciężar spadł z moich ramion. Teraz muszę go tylko przeprosić. – Przepraszam, młody.

Śmieje się.

– Nie ma sprawy. Lepiej ci?

Rzeczywiście, mogę się już uśmiechać.

– Tak, dużo lepiej.

– Dobrze, mnie również. Chyba powinniśmy to zrobić już kilka tygodni temu.

– Ja powinnam to zrobić wiele miesięcy temu. – Poważnie. Dobrze jest to z siebie wyrzucić.

– Promyczku, wiesz, że cię kocham, radosną i cudowną w tym twoim świecie promieni słońca i tęczy, ale muszę przyznać, że jesteś seksowna, kiedy się złościś. Lubię agresywne laski. A to było szalenie agresywne.

Wie, że i tak to powiem, ale nie mogę sobie darować.

– Skoro tak mówisz. – I przewracam oczami.

– Chyba zmienię ci przezwisko na Czarci Pomiot.

– Co? Na chwilę ujawniłam swój mrok i od razu muszę zostać antychrystem? Nie podoba mi się. Nie mogę być Wredną Zołą?

Śmieje się głośno, a moje serce topnieje, ponieważ nie słyszałam jego śmiechu chyba od miesiąca. Uwielbiam ten śmiech.

– Cóż, moja sesja terapeutyczna chyba dobiegła końca, więc lepiej już pojedę. Muszę wrócić do domu.

– Jasne. Jedź ostrożnie i napisz do mnie, gdy tam dotrzesz. I już więcej nie prowadź.

– Tak jest! Kocham cię, Gus.

– Też cię kocham, Wredna Zołzo. – Jego głos jest pełen dramatyzmu. Urywa, wiedząc, że na to nie polecę. – Próbowałam tylko – mówi niewinnie.

– To też chyba mi się nie podoba.

– Ani mnie – mówi rzeczowo. – Ja również cię kocham, Promyczku.

– O wiele lepiej. – Lubię być Promyczkiem. Bardzo.

30 GRUDNIA, PIĄTEK

KATE

– Gus poleci z tobą jutro do domu – mówi Keller, krzyżując ręce na piersi. Spodziewa się, że będę się kłócić.

I ma rację.

– Gus po mnie przyleci? – Normalnie byłabym szczęśliwa, oczekując Gusa, ale to, że zamierza mnie niańczyć, strasznie mnie wkurza.

Keller przytakuje.

– Kiedy się zjawi? – Teraz i ja krzyżuję ręce na piersiach, jakbym chciała się zbuntować. Nawet Stella się tak nie zachowuje. Co się ze mną dzieje?

– Ma przylecieć na dwie godziny przed twoim odlotem. Spotkamy się jutro na terminalu, przejmie cię tam, bo mnie nie wpuszczą za bramki ochrony. – Oto cały Keller. Chce mi to szybko przekazać. Wie, że cały dzień byłam marudna, a to tylko pogarsza sprawę.

Zdaję sobie sprawę, że robią to z troski, ale nie znoszę być traktowana jak inwalidka.

– Nie jestem pieprzonym dzieckiem, Keller.

Pociera skronie.

– Kochanie, wiem o tym. – Moja irytacja testuje jego cierpliwość. – Chcesz coś zjeść? Jest pora obiadu. Jesteś głodna? Mogę coś przygotować, byś mogła wziąć lekarstwo. – Próbuje zmienić temat, starając się mi pomóc, jednak nadal czuję złość.

Odmawiam i ciągnę poprzednią rozmowę:

– Czyj to był pomysł?

– Wspólny. – Jest zdenerwowany. Chciałby mieć to już za sobą.

– Więc ty i Gus zorganizowaliście razem tę misję ratunkową? A ja nie mam nic do powiedzenia? Muszę jedynie wsiąść do samolotu, Keller. Myślę, że sama sobie poradzę. – Nie chcę być złośliwa. Normalnie się tak nie zachowuję, jednak w tej chwili nie potrafię nad sobą zapanować. Dzięki Bogu, Duncan i Shelly przyszli rano po Stellę, zabierając ją na cały dzień i noc. Nie chciałabym, by widziała mnie w takim stanie. Nikt nie zasługuje na taki widok. Zwłaszcza Keller. Ból i skutki choroby zmieniają mnie w kogoś, kim normalnie gardzę.

– Jezus, Katie, a co miałem zrobić? Nie jesteś na tyle chora, by eskortować cię do domu, ale jesteś na tyle chora, by stąd wyjechać? Porzucając mnie dla San Diego i Gusa?

Jego słowa otwierają świeżą ranę wywołaną poczuciem winy.

– Natychmiast przestań i się zamknij. To nie żaden konkurs popularności. – Jestem tak wkurzona, że aż huczy mi w głowie. Nie wybieram jednej osoby ponad drugą, bo bardziej mi na niej zależy. Muszę wybrać kogoś, kto uniesie ten ciężar. To kolosalna różnica.

Keller obraca się do mnie plecami. Kładzie ręce po bokach, po czym ponownie staje do mnie twarzą.

– W głębi serca to wiem. Wiem o tym. Ale jestem zazdrosny. Proszę, powiedziałem to. Jestem cholernie zazdrosny. To największa szczerłość, na jaką mnie stać.

Moja zazwyczaj empatyczna postawa zniknęła.

– To głupie.

Jego irytacja jest krótkotrwała. Nie towarzyszy mi w gniewie. Na jego twarzy pojawia się

grymas smutku.

– Nie mogę się kłócić. To głupie. Głupie i dziecinne. Pracuję nad tym. Twój związek z Gusem oparty jest na dwóch dekadach. Ja miałem jedynie kilka miesięcy. Dlatego jestem zazdrosny. Chciałbym... więcej. Chcę spędzić z tobą więcej czasu.

To bolesne, ale nadal jestem zła. Moje serce desperacko pragnie, bym zamknęła usta, mimo to rzucam:

– A myślisz, że ja tego nie chcę?

Kręci głową, podchodzi do mnie i chwyta za ramiona.

Cofam się, by mnie nie dotykał.

– Kochanie, wiem, że też tego pragniesz. Nie sugerowałem...

Przerywam mu, oddychając ciężko i mrużąc z bólu oczy.

– Dobra. Chcesz, żebym została? Chcesz obserwować, jak moje płuca będą toczyć rozpaczliwy bój o tlen? Chcesz być świadkiem, jak moja niesfunkcjonująca wątroba dokończy dzieła? Chcesz widzieć, jak będą pompowali we mnie tak silne leki przeciwbólowe, że nie będę mogła mówić ani normalnie myśleć? Chcesz się przyglądać, jak moje ciało marnieje, aż zostanie zagłodzone na śmierć, ponieważ nie będę mogła jeść ani pić? To będzie cholernie widowiskowe – krzyczę, ale mi przerywa.

Zakrywa uszy, w jego oczach błyszczą łzy.

– Przestań! Po prostu przestań. Nie chcę się kłócić, kochanie. Chcę ci pomóc. Chcę zabrać twój ból. Chcę cię kochać. Tylko tego pragnę. – Posyła mi pełne desperacji spojrzenie, jakby ponownie chciał mnie dotknąć. Zamiast tego jednak sięga po płaszcz wiszący na oparciu kanapy, zakłada go i wychodzi. – Idę się przewietrzyć. Muszę się uspokoić. Nie możemy się tak nakręcać. Wrócę za kilka chwil.

Nie potrafię patrzeć, jak wychodzi, ale słyszę, że cichutko zamyka za sobą drzwi. Nie jestem w stanie przełknąć łez i zanim uświadamiam sobie, co się dzieje, zaczynam szlochać. To płacz, przez który czuję, jakbym tonęła. Żaden dźwięk nie opuszcza mojego gardła, z trudem chwytam powietrze. Nie mogę oddychać. Drzę gwałtownie, w głowie mi huczy. Moje ciało walczy z fizycznym spustoszeniem wywołanym przez każdy szloch. Moje mięśnie są napięte, potęgując ból. Nigdy nie sądziłam, że można umrzeć z bólu. Nie wierzyłam, że może być coś tak intensywnego, by zatrzymać serce.

Teraz zmieniam zdanie.

Potrzebuję lekarstwa.

Udaje mi się postawić dwa kroki w kierunku łazienki, nim kolejne uderzenie bólu powala mnie na ziemię. Leżąc na podłodze, czuję, że całkowicie straciłam kontrolę nad ciałem i umysłem. Słyszę własny krzyk rozdzierający ciszę, gdy tlen po raz pierwszy od dłuższej chwili w końcu wdziera się do płuc. Mojemu drugiemu czy też trzeciemu wrzaskowi cierpienia towarzyszy żółć, chwilę później opróżniam zawartość żołądka na podłogę. To był pierwszy posiłek, który udało mi się przełknąć od dwóch dni. A teraz wrócił.

Nadal szlocham, lecz gniew zniknął. Teraz jedynym uczuciem, na którym potrafię się skupić, jest strach. Ból jest przytłaczający, ale strach skrada się niczym gotów do ataku drapieznik, pragnący zabić. Nie mogę odwrócić się do niego plecami, bo mnie pokona. Właśnie do tego zostało zredukowane moje życie? Do leżenia w kałuży własnych wymiocin, podczas gdy nie mogę przestać szlochać? Gdy mentalnie nie potrafię się uspokoić, a fizycznie wstać?

Zaczyna mi się robić czarno przed oczami. Przedmioty stają się coraz ciemniejsze, a to przeraża mnie bardziej niż kiedykolwiek. Moje ciało nagle sztywnieje z bólu. Do głowy przychodzi mi ostatnia myśl: *Teraz rozumiem, dlaczego matka skończyła to wszystko.*

Czasami, kiedy działo się coś okropnego, starałam się skoncentrować na najbardziej błahej, zupełnie nieistotnej rzeczy. Szczegół, który nie miał nic wspólnego z sytuacją, w której się znajdowałam. W tej chwili tym detalem może być fakt, że pod kanapą jest obrzydliwie brudno. Leżę na podłodze, zastanawiając się, co się, u licha, stało, jednak do głowy przychodzi mi jedynie, że Duncan i Keller prawdopodobnie nigdy nie zamiatali pod siedziskiem.

Następnie uświadamiam sobie, jak bardzo boli mnie szczeka. Czuję, jakbym zaciskała zęby przez całą długą noc. Moje powieki są ciężkie i lepkie. I coś tu strasznie śmierdzi, jak zgniłe jedzenie i mocz. Mam zamglony umysł. Czuję się jak przy powolnym wybudzaniu z głębokiego snu.

Powtarzam tę myśl: *czuję się jak przy powolnym wybudzaniu z głębokiego snu.*

Dopiero się obudziłam?

Obracam się na plecy, co kosztuje mnie sporo wysiłku. Spoglądam na sufit. Co się, u diabła, stało? Moje kończyny wydają się być z galarety, stawy bołą, jakbym przebiegła maraton. Próbuję usiąść, ale tak bardzo kręci mi się w głowie, że postanawiam poleżeć trochę dłużej.

Zerkam na ubranie i już wiem, skąd ten wstrętny zapach. Zwymiotowałam na siebie i na podłogę. Cholera. To jedna z moich ulubionych koszulek. Cóż, już po niej. Przetrawiony sos do spaghetti pewnie spiera się tak samo ciężko jak świeży. Czuję też wilgoć między nogami. Świetnie. Sikanie pod siebie nie poprawia całej sytuacji.

– Keller? – mój głos jest ochrypły, gardło mnie boli. Nie brzmię jak ja.

Nie ma odpowiedzi.

W końcu dźwigam się na czworaka i pełnę do łazienki wziąć lekarstwo i się umyć. Moja siła zniknęła, ale nie potrafię znieść tego smrodu. Pod wodą jest dobrze, więc zwijam się na dnie brodzika, pozwalając, by moczyła mi ubranie i włosy.

Przez głowę przewijają mi się niespójne wspomnienia. Pamiętam kłótnię z Kellerem, krzyk i jego wyjście. Pamiętam płacz, ból, drgawki i wymioty. A potem nic. Jednak wszystko ma sens.

– Katie? – Głos Kellera jest przytłumiony i odległy, ale słysząc w nim panikę. Drzwi do łazienki natychmiast zostają otwarte na oścież. – Katie? – Łka, jednak jest w tym dziewięćdziesiąt pięć procent strachu, reszta to smutek. Kiedy mnie widzi, proporcje się zmieniają na dziewięćdziesiąt pięć procent smutku i pięć procent strachu. – Kochanie, co się stało? – Zakręca wodę, klęka, pochyla się i obejmując mnie, przyciąga do siebie, jednocześnie szukając w kieszeni komórki. – Cholera, gdzie ten telefon? Muszę wezwać karetkę.

Kręcę głową.

– Nie chcę karetki. – Mam wyrzuty sumienia, ponieważ cały dzień byłam dla niego okropna. Jakiegokolwiek złe miałam w sobie uczucia, teraz już ich nie ma. Patrzą mi w oczy i nie podoba mi się to, co w nich widzę. – Chyba miałam atak paniki, a potem zemdlałam. Nie wrócę do żadnego cholernego szpitala.

Ze smutną miną odgarnia mi włosy z twarzy. W pełni ubrany wchodzi pod prysznic

i wciąga mnie sobie na kolana. Tuli mnie, jednocześnie kołysząc.

Opieram policzek na jego piersi.

– Kochanie?

– Tak?

– Przepraszam. Za wcześniejsze zachowanie. Nie jestem na ciebie zła. Po prostu miałam podły nastrój. – Wskazuję na mokre ubranie. – Najwyraźniej potrzebuję, by ktoś się o mnie troszczył.

Tuli mnie mocniej.

– Tak mi przykro, Katie. Nie powinienem cię tak zostawiać. Powinienem być przy tobie – kaja się.

Unoszę głowę, by widział moją twarz.

– To nie twoja wina.

– Och, Katie, tak bardzo przepraszam. Nienawidzę tego. Nienawidzę tego, że jesteś chora i nie mogę nic zrobić, by ci pomóc. Chciałbym, by to wszystko minęło.

– Pomagasz mi każdego dnia. Być może nie dasz rady uzdrowić mojego ciała, ale leczysz moją duszę. Chyba właśnie dlatego byłam cały dzień taka zła. Nie chcę cię opuszczać. – Łzy płyną po moich policzkach. – Nie chcę. Ale muszę. Nie mogę być dla ciebie ciężarem, zwłaszcza kiedy masz tu Stellę. A koniec nie będzie przyjemny. Pogodziłam się z tym. Wiem, że przeszedłbyś ze mną przez to, gdybym cię poprosiła, ale nie mogę ci tego zrobić. Audrey już poczyniła przygotowania, by pielęgniarka z hospicjum przychodziła mnie doglądać. Chcę, byś pamiętał dobre rzeczy, nie te paskudne. Nie chcę, byś pamiętał mój koniec.

Pomaga mi usiąść, po czym patrzymy na siebie ze łzami w oczach.

– Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Katie. Poszedłbym za tobą do piekła. Musisz jedynie poprosić.

To najcięższa rzecz, jaką kiedykolwiek mówiłam:

– Chyba potrzebuję, byś pozwolił mi odejść, kochanie. – Zaciskam oczy, żeby nie płakać.

Kiedy je otwieram, widzę, że jego twarz wykrzywia czysty ból, a on sam walczy ze szlochem.

– Nadal mamy dzisiejszą noc, prawda?

Uśmiecham się i przytakuję.

– Mamy dzisiejszą noc.

Keller rozbiera mnie z mokrych ubrań i owija ręcznikiem. Po chwili wychodzi z łazienki, po czym wraca z suchymi ubraniami dla nas obojga, a kiedy pomaga mi się ubrać, rozczesuje moje mokre, splątane włosy.

Zamykam oczy.

– Jesteś w tym dobry.

Nie widzę jego twarzy, ale wiem, że się uśmiecha.

– Lata praktyki. Jestem ojcem, pamiętasz?

Myślę o nim, jak musiał troszczyć się o maleńką Stellę. Zastanawiam się też, jak będzie się nią opiekował, gdy będzie nastolatką, kiedy już dorośnie. Ten obraz mnie cieszy. Keller ma w życiu cel, powód, by żyć, kiedy już odejdę. To mnie uspokaja. Muszę mu przypomnieć, jak wspaniałym jest tata.

– To właśnie jedna z moich ulubionych rzeczy w tobie.

Unosi brwi, słysząc mój komentarz.

– Serio?

Przytakuję.

– Zdecydowanie. – Jestem wyczerpana i cała obolała z powodu wcześniejszego epizodu. –

Możemy dokończyć tę rozmowę w łóżku?

Bierze mnie za rękę i pomaga wstać.

– Ale najpierw musimy coś zrobić – mówi i prowadzi mnie do Grounds. Jest już zamknięte dla klientów, więc panuje w nim półmrok i cisza. Zatrzymuje się, gdy dochodzimy do wielkiego okna. Ściska moją dłoń. – Obejrzyjmy zachód słońca.

Uśmiecham się, nakrywam nasze dłonie drugą ręką i wpatruję się w horyzont. Ściskam go mocniej, gdy niebo przybiera olśniewające odcienie różu i fioletu. Dopiero kiedy nastaje ciemność, uświadamiam sobie, jak mocno go trzymam.

W oczach Kellera odbija się jasna i prosta miłość.

– Kocham twoją pasję do ważnych w życiu spraw. Jak zachody słońca. – Uśmiecha się. – I ludzie.

Staję na palcach i całuję go w podbródek.

– Właśnie o to chodzi w życiu, o ludzi i zachody słońca. Zwłaszcza o ludzi. A szczególnie kiedy jeden z nich nazywa się Keller Banks.

Pochyla się i bierze mnie na ręce. Nim mam szansę coś powiedzieć, stoimy przy łóżku. Odsuwa kołdrę, poprawia poduszki i pomaga mi się położyć, po czym wślizguje się za mną. Opieram głowę o ścianę i wpatruję się w niego. Chcę go zapamiętać dokładnie w ten sposób.

– Żałuję, że nie poznałam cię lepiej, Keller. – Naprawdę tak jest.

Obejmuje mnie i przyciąga do siebie. Opieram więc policzek na jego nagiej piersi, wsłuchując się w powolny i równy rytm serca. Keller całuje mnie w czubek głowy.

– Katie, znasz mnie lepiej niż ktokolwiek. Być może nie wiesz o wszystkich trywialnych faktach, ale mnie znasz. Prawdziwego mnie, tego ukrytego głęboko wewnątrz. Wiesz, co myślę, znasz moje lęki i moją miłość. Nikt mnie nigdy nie widział tak, jak ty. Nawet Lily.

Uśmiecham się.

– Zagramy?

Śmieje się.

– A w co?

– W ulubione rzeczy. Jaki jest twój ulubiony kolor? – pytam. – Chcę znać też te trywialne rzeczy.

– Dobra. Umm...

– To nie jest trudne pytanie, kochanie – droczę się.

Ponownie się śmieje.

– Wiem. Chyba czarny. A twój?

Odpowiadam bez wahania:

– Pomarańczowy. Jak zachodzące nad Pacyfikiem słońce. Twoja kolej.

– Mhm. Okej... jaka jest twoja ulubiona potrawa? Tylko nie mów, że kawa.

– Czekolada... albo taco.

– To które? Liczy się tylko jedna odpowiedź. To nie jest trudne pytanie, kochanie. – Również dobrze się bawi.

– Dobra, wegetariańskie taco. A twoja?

– Domowej roboty lasagne mojej babci.

– Matki twojej mamy czy taty?

– Matki mamy. Nie były podobne. Stella nosi imię właśnie po niej. – Uśmiecha się. – Co roku odwiedzała nas w Boże Narodzenie i przygotowywała lasagne. Zmarła, gdy miałem dziesięć lat.

– Przykro mi.

– Była fajna. Brakuje mi jej. Twoje ulubione zwierzę?

– Koty. Zawsze chciałam mieć syjamskiego. Nazwałabym go Pan Miyagi.

– Pan Miyagi?

– No wiesz, jak ten stary gościu z filmu *Karate Kid*.

Kręci głową. Nie rozumie.

– Nigdy nie widziałeś *Karate Kid*? – Jestem w szoku. Praktycznie wychowaliśmy się z Grace na kolekcji filmów z lat osiemdziesiątych naszej matki. *Dziewczynę w różowej sukience* cytowaliśmy słowo w słowo.

– Nie – odpowiada natychmiast. Jest przy tym poważny.

– No to musisz obejrzeć. Masz wyraźne braki w kulturze lat osiemdziesiątych.

Uśmiecha się.

– Najwyraźniej.

– I wszystko jest jasne. A teraz twoje ulubione zwierzęta?

– Biorąc pod uwagę przyjaciela Stelli, chyba powinienem powiedzieć: żółwie. – Śmieje się, a on ciągnie dalej: – Ale pewnie delfiny. Zawsze chciałem z jakimś popływać.

– Uprawiałeś sport w szkole średniej?

– Nie, byłem kujonem. Sporo jeździłem na rowerze, by po prostu wyrwać się z domu, ale teren do jazdy był ograniczony w tak wielkim mieście. A ty surfowałaś. Coś jeszcze?

– Nie, w szkole muzycznej nie przykładano się wielkiej wagi do sportu. Tylko surfowałam.

I tańczyłam.

Kolej Kellera:

– Dobra, następne pytanie: młody Elvis czy starszy Elvis?

– To naprawdę dobre pytanie. Starszy.

– Dlaczego? – pyta.

– Ponieważ młody Elvis był przystojny, ale to starszy potrafił śpiewać. *Suspicious Minds* była najlepszą piosenką, którą nagrał. Nie mogłeś nic wiedzieć o muzyce, dopóki nie wysłuchałeś nagrania tej piosenki z koncertu. Był zabójczy. A ty? Którego wolisz?

– Starszego, ale głównie ze względu na jego stroje.

– Starszy Elvis świetnie wyglądał na scenie – zgadzam się. – Dobra, dalej: gdybyś mógł pojechać gdziekolwiek, gdzie by to było?

– Hmm, zabrałbym Stellę do Egiptu, by zobaczyła piramidy. Jako dziecko zawsze chciałem je zobaczyć. Wydawały się magiczne. Wciąż takie są. Zatem postawiłbym na Egipt. A ty?

– Kiedy byłam w siódmej klasie, oglądałam dokument o Ha Long Bay w Wietnamie i od tamtej pory uważałam, że cudownie byłoby odwiedzić je osobiście. Jakby zdjęcia nie oddawały piękna tego miejsca. Chciałam się przekonać na własne oczy, czy tak cudowne miejsce naprawdę istnieje.

Keller milczy przez chwilę, głaszcząc mnie po włosach. To przyjemne, ale ciekawi mnie ta cisza. Odsuwam się i układam na poduszce. Leżymy nos w nos. Keller wydaje się być

pograżony w myślach.

– O co chodzi, kochanie?

Waha się, ale odpowiada:

– Czy przez kilka następnych pytań moglibyśmy odsunąć od siebie rzeczywistość i pofantazjować? Nie chcę cię zasmucać; chciałbym udawać, że możemy żyć wiecznie. I że wszystko jest możliwe.

Uśmiecham się.

– Chcesz przez chwilę żyć w baśniowym świecie promieni słońca i tęczy?

Odpręża się i również uśmiecha.

– I jednoroźców.

– Oczywiście. I jednoroźców. Zawsze o nich zapominam.

– W mojej bajce mija kolejne półtora roku. Kończę studia z dyplomem nauczyciela literatury i proszę cię o rękę. Co byś odpowiedziała?

Rzucam bez wahania:

– Klęczałbyś przy tym?

– Absolutnie.

Moje serce nieco przyspiesza, jakby to działa się naprawdę.

– Powiedziałabym: „do diabła, tak”.

Uśmiecha się szeroko, po czym całuje mnie w nos.

– Nawet nie wiesz, jak jestem szczęśliwy.

Teraz moja kolej. I jestem podekscytowana.

– Mielibyśmy dzieci? Braciszka czy siostrzyczkę dla Stelli?

– Mielibyśmy parkę. Chłopca i dziewczynkę. Oboje byłiby podobni do ciebie.

– To nie fair. Powinny mieć twoje włosy i oczy. I wzrost. Och, i twoje usta. – Całuję je.

Odwzajemnia pocałunek, przy czym cicho pyta:

– Podobają ci się moje usta?

Potwierdzam to jękiem z głębi gardła.

– Mhmm...

Po chwili muszę się odsunąć, bo brakuje mi tchu i jestem zmęczona. Seks w tej chwili nie jest już możliwy. Cholera, nawet całowanie jest trudne.

Keller to rozumie, głęboko patrzy mi w oczy.

– Twoje dzieci byłyby piękne, mądre i utalentowane, ale to ja uczyłbym je prowadzić samochód.

Ta urocza rozmowa i jego przekomarzanie wywołują uśmiech na mojej twarzy.

– Pozwoliłabym ci na to. Jesteś wspaniałym instruktorem. I mimo iż nasza rodzina byłaby idealna, nie dałabym ci umieścić tej głupiej naklejki z naszym wizerunkiem na tylnej szybie.

Śmieje się.

– Zgoda. Żadnych naklejek z wizerunkiem rodziny.

Czuję nieco mniejszy ciężar na sercu. Keller dał mi wspaniały prezent.

– Kocham cię, kochanie.

– Mmm, powtórz.

– Kocham cię, kochanie.

– Ja też cię kocham, kochanie. Na zawsze.

31 GRUDNIA, SOBOTA

KATE

Doktor Connell dał mi tabliczkę na szybę informującą o niepełnosprawności. Wcześniej z niej nie korzystałam. Leży na desce rozdzielczej, ponieważ zgodziliśmy się z Kellerem nie ustawiać jej w widocznym punkcie aż do ostatniej chwili. Kiedy Keller znajduje wolne miejsce przy terminalu na lotnisku, czeka, aż wysiądę i zamknę drzwi, a potem wiesza ją na lusterku wstecznym.

Otwieram tylne drzwi i wypinam Stellę z fotelika, Keller zajmuje się moją walizką na kółkach, którą wsadziliśmy do bagażnika. Skrzypce i resztę moich rzeczy – których nie mam zbyt wiele – ma wysłać kurierem w poniedziałek.

Spoglądam na wejście do terminalu i choć znajduje się ono dość blisko, zastanawiam się, jak tam dotrę. Na sam widok brak mi tchu. Keller, widząc niepokój na mojej twarzy, obraca się i za czymś rozgląda.

– Katie, może wrócisz do samochodu, a ja poszukam wózka? Jestem pewien, że mają w środku jakiś dyżurny. – Mówiąc to, jest smutny. Jakby bał się mnie urazić.

Wiem, że nie powinnam się wahać, że powinnam pozwolić mu przyprowadzić ten cholerny wózek. Jednak sama myśl o tym wydaje się niemożliwa do zaakceptowania. Stoję więc w cichym proteście. Keller wie, jakie to dla mnie trudne.

Podchodzi i klęka przed Stellą.

– Hej, córeńko, chciałabyś mi pomóc?

Mała przytakuje zentuzjazmem.

Bierze ją za rękę i prowadzi do mojego bagażu.

– Dasz radę pociągnąć ją na lotnisko?

Kiwa głową i zaciska pewnie rączkę na uchwycie. Przechyla walizkę i ta niemal upada, jednak mała szybko ją podnosi i odzyskuje równowagę. Spogląda w górę, promieniejąc.

– Trzymam. Gotowy, tatku?

Uśmiecha się w odpowiedzi.

– Prawie. – Odwraca się do mnie plecami i kuca. – Wskakuj, kochanie.

Mimowolnie wybucham śmiechem.

– Keller, przecież nie będziesz mnie nosił.

Wzrusza ramionami.

– To nie jest noszenie, lecz jazda na barana. To zasadnicza różnica. Zapytaj Stellę.

Stella chichocze. Uważa, że to zabawne.

– Jaka to różnica, Stello?

Chichot ustaje, ale dziewczynka wciąż się uśmiecha.

– Noszenie jest wtedy, kiedy jesteś zbyt zmęczona, żeby chodzić. Jazda na barana jest dla zabawy.

Keller też się uśmiecha.

– Dobrze powiedziane, córeńko. – Zwraca się do mnie: – Widzisz? To wskakuj, kochanie.

Jak mogłabym się spierać z taką logiką?

Nawet jeśli Stella ciągnie walizkę, a Keller niesie mnie na plecach, udaje nam się dotrzeć do bramek ochrony piętnaście minut przed czasem. Siadamy na ławce, Keller

pisze SMS-a do Gusa, dając znać, gdzie jesteśmy.

Gus staje przede mną zbyt szybko. Uwielbiam jego widok, jednak uderza mnie powaga sytuacji. To kolejny z finalnych kroków. Niezbyt dobrze sobie z nimi radzę.

– Hej, Promyczku. – Kuca, by pocałować mnie w czoło.

– Cześć, Gus. – Staram się być silna, ale narasta we mnie przytłaczający smutek.

Gus ściska rękę Kellera, Stella chwyta go za nogę.

– Cześć, Gus.

– Witam panienkę Stellę.

Przygląda mu się wielkimi, niebieskimi oczami.

– Kate będzie mieszkała z tobą i twoją mamą?

Gus przelyka ślinę i przytakuje. Dla niego to również trudne.

– Dokładnie tak.

– Tato mówi, że jest chora.

Gus może jedynie kiwnąć głową.

– Będiesz się nią dobrze opiekował?

Ponownie przelyka ślinę i patrzy Kellerowi prosto w oczy.

– Przyrzekam. Dobrze się nią zaopiekujemy.

Keller kiwa głową, dziękując mu bez słów.

Gus odpowiada skinieniem, jakby mówił „proszę”.

Mój przyjaciel przesuwają się i bierze Stellę na rękę.

– Chodźmy po coś do picia. Umieram z pragnienia, a ty? – Odchodzi z nią korytarzem w kierunku kiosku z gazetami i przekąskami.

Spoglądam na Kellera, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć. Jestem przerażona i smutna, wiem, że i on czuje się podobnie. Chciałabym być dla niego silna, ale ściśnięte gardło skutecznie mi to uniemożliwia.

Bierze moją dłoń w swoją, drugą ręką wyciąga z kieszeni mazak. Zdejmuje zatyczkę i pisze mi na lewej dłoni: „Jesteś dzielna”.

Łzy, jedna po drugiej, spływają mi po policzkach, gdy bezgłośnie mówię:

– Dziękuję.

Delikatnie obejmuje moją twarz. W jego oczach również lśnią łzy.

– Nie, Katie, to ja ci dziękuję. Za wszystko. Jesteś najdzielniejszą osobą, jaką w życiu spotkałem.

Po niedługiej chwili wracają Gus i Stella, która niesie butelkę soku. Gus nie trzyma żadnej, nie chciało mu się pić. Chciał nam jedynie dać trochę czasu na osobności.

Gus zerka na zegarek.

– Lepiej już chodźmy, Promyczku. Kolejka do bramek ochrony jest dość długa.

Kiwam głową. Spoglądam w dół na Stellę, która trzyma się mojego płaszcza.

– Kate. – Wyciąga ręce w górę.

Chciałabym ją podnieść, ale nie mam na tyle siły. Zamiast tego kucam i tulę ją. Jest tak mała i krucha. Dziś jej włoski pachną lawendą.

– Bądź dobra dla taty, Stello.

Przywiera do mnie.

– Będę. Będziesz dzwoniła przez telefon albo komputer?

Ściskam ją mocniej.

– Oczywiście. Każdego dnia. Kocham cię.

Odsuwa się i cmoka mnie w usta.

– Też cię kocham.

Łzy znowu płyną, gdy odwracam się do Kellera, który tuli mnie do piersi, wsuwając dłonie pod poły mojego płaszcza, a później pod koszulkę. Pociera moją nagą skórę. Natychmiast czuję się nieco spokojniejsza. Zamykam oczy i opieram głowę na jego szyi. Przysuwa usta do mojego ucha, łaskocząc je pod włosami.

– Zadzwoń, gdy wylądujesz, kochanie.

– Zadzwonię.

Całuje mnie w ucho i szepcze:

– Kocham cię bardziej, niż potrafisz to sobie wyobrazić.

Odsuwam się i całuję go w usta. Jego wargi są miękkie i ciepłe. Obejmuje mnie za szyję i przyciąga do siebie, całując jeszcze dwukrotnie, nim opiera czoło na moim.

– Moja wyobraźnia jest nieskończona – mówię. Nasze oczy błyszczą od łez. Zaciskam obie dłonie na jego koszulce. Boże, nie chcę go puścić.

– Dobrze. Tak jak moja miłość. – Uśmiecha się i to jednocześnie najszczęśliwszy i najsmutniejszy uśmiech, jaki w życiu widziałam. Możecie myśleć, że nie da się zawrzeć dwóch tak odmiennych emocji w jednym uśmiechu, ale Keller to zrobił. Jest moją terażniejszością. Liczy się wyłącznieta chwila.

– Moja także. Kocham cię, kochanie.

Zamyka oczy.

– Powtórz – prosi szeptem.

– Kocham cię, kochanie – odpowiadam.

Stella ponownie stoi obok Gusa, szarpiąc go za brzeg koszulki.

– Gus, musisz wziąć Kate na barana. Nie dlatego, że jest zmęczona, ale dla zabawy.

Gus czochra jej włosy.

– To dobrze, że też chcę się bawić, mała. – Obraca się plecami i kuca: – Czas wsiadać, Promyczku.

Wskakuję na niego, Keller podaje Gusowi moją walizkę.

– Dzięki, stary.

Gus macha i idzie kilka kroków tyłem w kierunku ochrony.

– Nie ma sprawy, młody. Zawsze.

Kiedy Gus rusza naprzód, jestem zwrócona plecami do Kellera i Stelli, obracam więc głowę i obserwuję, jak stają się coraz mniejsi. Machamy do siebie we troje, aż Gus skręca za róg i już ich nie ma.

13 STYCZNIA, PIĄTEK

KATE

Kontaktuję się z Kellerem i Stellą przez Skype'a każdego ranka i każdego wieczora. Ponieważ jego wykłady zaczynają się dopiero za tydzień, rozmawiamy też kilkakrotnie w ciągu dnia przez telefon, kiedy nie jest w pracy ani nie śpi.

Ja za to często sypiam. Pielęgniarka, którą zatrudniła Audrey, Tammy, mówi, że jej zadaniem jest zapewnienie mi komfortu. Dla mnie komfort oznacza coraz więcej oksykodonu. Ponieważ nie przepadam za rozdzierającym bólem, to działa. Oddychanie, które było prawdziwą walką, teraz jest proste. Okazuje się, że moje ciało uwielbia tlen. Rurka przy nosie stała się moją przyjaciółką.

Gus miał w ubiegłym tygodniu wrócić na trasę koncertową, mieli lecieć do Europy. Odmówił. Manager się wkurzył. Gus zaczął nazywać go „pieprzonym Hitlerem”. Reszta zespołu wstawiła się za Gusem, więc niewiele mógł zrobić prócz przesunięcia koncertów. Mam wyrzuty sumienia, że przeze mnie odkłada życie na później, ale jestem też szczęśliwa, że jest tutaj.

Każdą chwilę dnia i nocy spędza ze mną w moim pokoju. Jest świetnym, troskliwym towarzyszem. Słuchamy muzyki, gramy w karty (tak, oszukuję – pozwala mi na to) albo po prostu rozmawiamy (mamy co wspominać). Niemal każdego dnia wpadają też z wizytą Franco, Robbie i Jamie. Czasami zostają na kilka minut, a czasami na ponad godzinę. Zależy, jak długo nie zasypiam.

Raz dziennie Tammy pozwala Gusowi zabierać mnie na taras, bym pooddychała świeżym powietrzem. Mój przyjaciel niesie mnie wtedy i dźwiga cały ten sprzęt (kroplówkę z lekarami i tlen). Nie potrafię już chodzić. Nie potrafię przejść nawet do łazienki, z czego jestem bardzo niezadowolona. Cewnik jest do bani. Torebki z moczem są ohydne.

Audrey wróciła z pracy jakąś godzinę temu. Pracuje więcej w domu, ale i tak codziennie musi pojechać do firmy przynajmniej na godzinę czy dwie. Prowadzi interes, w dodatku ma mnie na głowie. Nie pojmuję, jak sobie radzi.

Puka do moich drzwi z kubkiem w dłoni, robi tak każdego dnia.

– Cześć, kochana. Co u ciebie?

Uśmiecham się, ponieważ nie potrafię inaczej, gdy patrzę na Audrey. Zawsze wydawało mi się, że jest aniołem, teraz nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Fantastycznie.

Odpowiada uśmiechem i całuje mnie w czoło.

– Cieszę się – mówi, po czym podsuwa mi kubek warzywnego bulionu. – Obiad podano. – Spogląda na syna. – Gus, kochanie, tobie też przygotowałam jedzenie. Jest w kuchni.

Gus klepie mój materac.

– Zaraz wracam. – Nie lubi przy mnie jeść. Ponieważ już nie mogę tego normalnie robić, Gus jada samotnie w kuchni. Przysięgam, że połyka wszystko w całości, bo zajmuje mu to góra pięć minut.

– Nie spiesz się, Gus. Muszę porozmawiać z Kate. – Jej głos jest łagodny, lecz stanowczy.

Przytakuje, ale unosi brwi, patrząc na mnie.

– Młoda, chyba masz przerabane.

Śmieję się. Ostatnie dni znów były dla nas łatwe. Gus wygląda na wyczerpanego. Wiem, że nie sypia zbyt wiele, ale wróciło jego poczucie humoru. Uwielbiam to. Łagodzi nieco jego stres. Jeśli chodzi o mnie, to czuję się teraz bardziej wyciszona. Jest mi tak dobrze, jak tylko może być i jestem zadowolona. Spokojna jak nigdy. Może to xanax, który Tammy dodaje do mojej kroplówki. Mówiłam, że go nie potrzebuję (nie miałam napadów niepokoju od ataku paniki w Grant miesiąc temu) i choć szanuje moje uczucia, stwierdziła, że może mi przynieść trochę więcej ulgi. W tych dniach chodzi wyłącznie o ulgę, więc postanowiłam spróbować. Jest okej, nawet jeśli dzięki prochom. Czuję się dobrze.

Audrey siada na skraju łóżka i pociera moje przedramię jak wtedy, gdy byłam mała i próbowała mnie pocieszyć. Uśmiecha się.

– Wyglądasz dziś lepiej. Masz odrobinę koloru na policzkach.

– Dobrze się dzisiaj czuję, Audrey. Cieszę się, że to widać. A co u ciebie?

– Wszystko dobrze, skarbie. – Ponownie całuje mnie w czoło. – Mną się nie przejmuj.

Jednak się przejmuję. Martwię się o nich wszystkich. To musi być dla nich wyczerpujące.

– Co się stało? Mam przerąbane?

Śmieje się.

– Nie. Musimy tylko omówić kilka rzeczy. Chyba nie możemy tego dłużej odkładać.

Przykro mi, że to ja poruszę ten temat, ale rolą matki jest dopilnowanie wszystkiego.

– Dziękuję. Więc co musimy omówić?

Odkłada kopertę, którą przyniosła na szafkę nocną.

– Pij rosół, ja będę mówić.

– Okej. – Spełniam polecenie, choć tak naprawdę mam dość tych rosółów. Są jedyną rzeczą, którą ostatnio przyjmuję mój żołądek.

– Dałaś mi pełnomocnictwo, więc zajmę się twoimi finansami. Składka na ubezpieczenie zdrowotne jest stosunkowo niska. Zeszłoroczna też taka była i wszystko wpłaciłaś w całości. Tegoroczny rachunek będzie minimalny, więc wszystko w stu procentach zostanie opłacone. Twoje oszczędności są wystarczające, by go pokryć. Masz jeszcze jakieś nieuregulowane rachunki?

Nie chcę dzielić się tym z Audrey, bo wiem, że to ją zrani, ponieważ nie przyszedłam do niej wiele miesięcy temu. Jednak to moja odpowiedzialność.

– Koszt pogrzebu Grace. Spłacam go w ratach. Brakuje jeszcze około dwóch tysięcy. Nie wiem, czy zostanie mi coś po opłaceniu rachunków za leczenie.

Mruga, jakby nie rozumiała.

– Myślałam, że pogrzeb Grace został opłacony. Nie miałaś na to pieniędzy po sprzedaży domu Janice?

Nie mogę spojrzeć jej w oczy.

– Skłamałam.

– Och, Kate, dlaczego nic nie powiedziałaś? Z ochotą bym za to zapłaciła.

Nadal na nią nie patrzę, zamiast tego gapię się na łóżko.

– Właśnie dlatego nie mogłam ci powiedzieć. To ja byłam odpowiedzialna za Grace. Była moją siostrą. To było moje zadanie.

Kręci głową.

– Już nie musisz się tym martwić. Zadbam o to. – Postanowione. – Coś jeszcze?

– Nic prócz abonamentu za komórkę. Ubezpieczenie samochodu ważne jest do kwietnia.

– Dobrze. To prowadzi do następnego punktu na liście: twojego testamentu. – Spogląda

na mnie, a jej oczy wypełniają łzy. – Przykro mi, Kate. To trudne.

Klepię ją w nogę.

– W porządku, Audrey. Chociaż nie wiem, czy testament jest konieczny. Naprawdę mam niewiele. Samochód oddałam Kellerowi, choć wciąż się ze mną o to spiera. A skrzypce i laptop z muzyką, którą napisałam, chcę dać Gusowi. To chyba wszystko.

Odchrząkuje.

– Nie do końca. Jest coś, o czym nie wiesz.

Poprawiam się na łóżku, bo Audrey ma minę zmartwionej mamy niedźwiedzicy.

– W zeszłym miesiącu rozmawiałam z twoim ojcem.

– Co? – Chciałam powiedzieć to głośniej, ale czuję, jakby powietrze zostało wysrane z moich płuc.

– Lata temu wydobyłam od Janice jego nazwisko, adres i numer telefonu na wypadek, gdybym musiała skontaktować się z nim w imieniu twoim czy Grace. Zadzwoiłam do niego jedynie trzykrotnie: raz, kiedy zmarła Janice, drugi raz, kiedy zmarła Grace i w zeszłym miesiącu, kiedy powiadomiłam go o twojej chorobie.

Słyszę słowa wychodzące z moich ust, ale czuję, jakby wypowiadał je ktoś inny:

– I co powiedział?

Przechyla głowę na bok, jej spojrzenie łagodnieje. Domyślam się, że nie wie, jak mi powiedzieć, że mój ojciec jest bezdusznym draniem.

– Przy informacji o Janice wydawał się obojętny. Przyjął tę wiadomość w ciszy, po czym podziękował. Gdy informowałam go o Grace, wydawał się smutny. Przekazałam mu szczegóły pogrzebu. Wysłał kwiaty.

– Nie widziałam ich. Nie było kartki z jego imieniem. – Jestem zszokowana.

Kręci głową, przepaszając.

– Wysłał je bez kartki. Był to ogromny bukiet goździków.

Śmieję się, lecz nie ma w tym wesołości.

– No to dał ciała, Grace nie znosiła goździków. Mówiła, że to śmierdzące, babcine kwiatki. Uwielbiała tulipany. Żółte.

Audrey lekko się uśmiecha.

– Wiem.

Jestem zdenerwowana. Następna rozmowa telefoniczna dotyczyła mnie.

– Co powiedział na mój temat?

– Kate, jesteś wspaniałą osobą. Aprobata czy zaangażowanie ojca nie mają znaczenia...

– Po prostu mi powiedz, Audrey.

Wzdycha.

– Przyjął tę wiadomość z bólem. Mówił, że żałuje, że cię nie poznał. Zaproponowałam, by przyleciał z Anglii, ale odmówił. Przykro mi, kochanie.

Nie pamiętam ojca, więc nigdy za nim nie tęskniłam. Aż do teraz. Teraz czuję się zdradzona. Wkurza mnie, że wybrał tamtą rodzinę zamiast nas. Zaciskam zęby i syczę:

– Jest draniem, prawda, Audrey?

– To chyba dobre określenie. Właściwie mogłabym wymyślić jeszcze kilka, ale myślę, że „drań” wystarczy. – Audrey bardzo rzadko przeklina. A teraz jest zła.

Zaśmiałabym się, gdybym nie była tak wściekła.

Sięga po leżącą na szafce kopertę.

– Wysłał ci to. Otworzyłam. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Chciałam mieć pewność,

że cię to nie zdenerwuje.

Biorę kopertę w drżące dłonie. Złość natychmiast zmienia się w lęk. Otwieram i zaglądam do środka. Nie ma listu, jedynie niewielki kawałek papieru. Chwytam go i powoli wyciągam.

– Czek?

Audrey przytakuje.

Zerkam na kwotę.

– Audrey, to pięćdziesiąt tysięcy dolarów. – Nigdy nie widziałam tylu zer.

Audrey ponownie kiwa głową.

Rzucam kopertę na szafkę.

– Pieprzyć go, Audrey. – Znów jestem wkurzona. Staram się nie używać brzydkich słów przy tej kobiecie, bo wiem, że ich nie lubi, ale nie mogę się powstrzymać. – Pieprzyć ojca i jego kasę. Odeślij to. Powiedz mu, że jej nie chcę.

Wydaje się zrezygnowana.

– Normalnie, Kate, zgodziłabym się z tobą. Pochwaliłabym twoją godność i dumę, i kazała mu się tym wypchać. Ale teraz myślę, że powinnaś przyjąć pieniądze.

Może marację.

– Ty je weź. Przepiszę je na ciebie. Spłacę w ten sposób to, co wydałaś na mnie przez lata. – To nie gniew przeze mnie przemawia. Naprawdę tego chcę i Audrey o tym wie.

– Och, Kate, nie mogłabym tego przyjąć. Nigdy nie cierpieliśmy z Gusem na brak gotówki. Oboje dajemy sobie radę. Ale może znasz kogoś, komu przydałyby się te pieniądze?

Nie potrzebuję wiele czasu, by podjąć decyzję. Podpisuję czek i daję Audrey konkretne dyspozycje, po czym piszę krótki list do ojca.

Thomasie,

Dziękuję Ci za Grace. Szkoda, że jej nie znależ. Była najśłodsza, najbardziej niewinną osobą na świecie.

Choć twoje pieniądze cuchną wyrzutami sumienia i właściwie nie chciałam ich przyjąć, teraz wiem, że zostaną dobrze spożytkowane.

Mam też nadzieję, że jesteś dobry dla żony oraz dzieci i codziennie mówisz im, że ich kochasz. Dzieci tego potrzebują. Audrey Hawthorne nauczyła mnie, jak powinna wyglądać miłość rodzicielska. Jest wspaniałą kobietą. Dzięki niej nigdy nie czułam się niekochana. Mam nadzieję, że weźmiesz to sobie do serca.

Kate

Po napisaniu listu Audrey wychodzi z pokoju, postanawiam więc porozmawiać z Bogiem. Mam niewielkie wyrzuty sumienia, bo długo tego nie robiłam. *Cześć, Staruszk. Wierzę w to, co napisałam do Thomasa. Nie wiem, czy mogę o to prosić, ale spróbuję: proszę, przebacz mu. Naprawdę mam nadzieję, że kocha swoją nową rodzinę, a oni odwzajemniają tę miłość. I dziękuję Ci, że pobłogosławiłeś mnie tyloma osobami do kochania.*

15 STYCZANIA, NIEDZIELA

KATE

Od czasu kiedy zamieszkałam u Audrey, Keller co cztery, pięć dni wysyła mi kwiaty. Gus wkłada je zawsze do wazonu stojącego na szafce nocnej, bym mogła na nie zerkać i czuć ich zapach. Zawsze twierdziłam, że nie lecę na serduszka i kwiatuszki. Ostatnio zmieniłam zdanie. Jestem teraz zawodowcem w tych sprawach.

Wczoraj dostałam od Kellera paczkę. Była podpisana: „Wymarzone wakacje Katie”, w środku znajdowała się płyta DVD z filmem o Ha Long Bay, dwie pary tanich okularów przeciwsłonecznych, dwie parasolki do drinków i odręcznie napisany liścik z instrukcjami. Zgodnie z wytycznymi do oglądania filmu zakładamy z Gusem okulary. Gus siedzi obok mnie na łóżku i pije whiskey z colą, ja mój warzywny bulion, udając, że to piña colada. Nasze szklanki zdobią parasolki. Nie sądzę, by było na świecie cokolwiek śmieszniejszego niż Gus pijący drinka z kolorową parasolką. Jest idealnie. Pomysł Kellera na prezent jest doskonały.

Jak co wieczór rozmawiam dziś z nim i Stellą przez Skype'a. Pokazuje mi bilety na samolot. Kosztowały wiele pieniędzy, których wiem, że nie ma. Stracił stypendium, a ponieważ cały czas ma przy sobie Stellę, jego wydatki znacznie wzrosły. Chce być ze mną w następny weekend. Czuję, że zobaczę go jeszcze tylko ten jeden raz i nie chcę, by nastąpił on zbyt wcześnie, bo będzie to oznaczało koniec i nie będę już miała na co czekać. Dla mnie będzie to kolejny „ostatni raz”. Chcę go odwlekać, jak długo zdołam. Jednak Keller i Stella przylecą do mnie w piątek. Zostaną aż do niedzieli. Cieszę się, że ich zobaczę, dotknę, powącham. Minęły dwa tygodnie. Dwa tygodnie, które wydają się wiecznością. Dzielała nas odległość jest do bani. Tęsknię za nimi. Tęsknię za Kellerem.

16 STYCZNIA, PONIEDZIAŁEK

KATE

Cześć, Boże, to ja, Kate. Chyba nie rozmawiałam z Tobą o tym, co się dzieje, poza moim wybuchem złości w zeszłym miesiącu. Chcę jednak, byś wiedział, że nie jestem zła, no wiesz, o ten cały syf w związku z rakiem. Nie zmienia to sposobu, w jaki patrzę na swoje życie. Było naprawdę dobre. Niczego bym w nim nie zmieniła. Grace, Gus, Audrey, Keller, moi przyjaciele i muzyka były wielkim darem – no wiesz, od Ciebie. Jestem o tym przekonana, także dziękuję. Każde z nich było błogostawieństwem. A jeśli już o tym mowa, mam też prośbę. Proszę, troszcz się o moich ukochanych, gdy mnie już nie będzie, zwłaszcza o Kellera i Gusa. Są moimi ulubieńcami, więc proszę dla nich o szczególne traktowanie. I dla Audrey. Będę wdzięczna za opiekę nad nimi. Z góry za nią dziękuję. I jeszcze jedno. Wiem, że może przeginam, ale domyślam się, że już do tego przywykłeś. Nie myśl, że jestem mięczakiem, ale gdy nadejdzie czas, czy mógłbyś zabrać mnie bezboleśnie, na przykład we śnie czy coś takiego? Jeśli mam być szczerą, trochę się boję całej tej agonii. Poza tym wiem, że Gus i Audrey będą przy mnie, gdy będę umierała, więc nie chciałabym, by mieli po tym traumę. Ach, i możesz dać znać Grace, że niedługo się zjawię? No wiesz, jeśli jeszcze o tym nie wie. Przekaż jej, proszę, że będziemy śpiewać, tańczyć, czytać bajki, jeść Twixy i oglądać zachody słońca. To pewnie ostatni raz, kiedy z Tobą rozmawiam, zanim stanę pod Twoją bramą i będę się dobijać jak jakiś zapomniany, natrętny krewny. Wiem, że w duchu czekasz, by spędzić ze mną trochę czasu. Kiedy już przyjdę, niebo będzie o wiele głośniejszym i fajniejszym miejscem. Żeby nie było, że nie ostrzegałam. Ale nie martw się, spodoba Ci się. Dobra, kończę. Todobranoc.

17 STYCZANIA, WTOREK

KELLER

Budzi mnie telefon. Dzwoni mi w dłoni. Jest pierwsza dziesięć w nocy. Wyświetla się imię Gusa. Właśnie z tego powodu śpię z telefonem w ręku.

Nagle paraliżuje mnie strach i rozpacz. Nie chcę odbierać. Za wcześnie na to. Rozmawiałem z nią kilka godzin temu. Powiedziała wtedy, że mnie kocha i że porozmawiamy rano. Telefon nie powinien dzwonić. Jeszcze nie ma ranka.

Komórka milknie.

Zaczyna jednak dzwonić ponownie.

Impuls w końcu wędruje z mojego mózgu do palców i odbieram, ale z mojego gardła nie wychodzi żaden dźwięk. Czekam, aż Gus zacznie mówić.

Słyszę jego urywany oddech i kurczy mi się żołądek.

W końcu odnajduję słowa:

– Proszę, nie mów, że odeszła.

– Nie. – Nawet nie próbuje się opanować. Otwarcie płacze. – Miała udar. Nie może mówić. Nie może otworzyć oczu. Ma niewładną prawą stronę ciała. Natychmiast musisz wskoczyć w samolot.

O Boże.

– Przylecę pierwszym możliwym.

Udaje mi się znaleźć lot o szóstej pięćdziesiąt. Uwzględniając zmianę czasu, lądujemy w San Diego o wpół do ósmej rano. O ósmej piętnaście taksówka wysadza nas pod domem Gusa.

Gus powiedział, że drzwi nie będą zamknięte, więc Stella i ja wchodzimy do środka. Okazuje się, że są ciężkie i zamykają się za nami z trzaskiem. Przechodzimy przez hol, zatrzymujemy się w salonie. Dom jest spory, więc nie wiem, gdzie mam iść, aż wysoka blondynka w średnim wieku wchodzi do pomieszczenia. Jest bardzo podobna do Gusa.

Ma zaczerwienione i podpuchnięte oczy.

– Ty musisz być Keller, a to pewnie Stella. Jestem Audrey. – Jej głos jest zmęczony, lecz serdeczny.

Witam się, podając rękę, choć czuję się źle, bo chciałbym od razu pobiec do Katie.

– Witaj, Audrey. Nazywam się Keller Banks. To moja córeczka, Stella. Bardzo dziękuję za to, co robisz dla Katie.

Bierze moją dłoń w obie swoje i ściska. To pocieszające.

– Witam. Chodź, pójdziemy do Kate.

Nie jestem przygotowany na ten widok. Codziennie rozmawialiśmy przez Skype'a. Widziałem, że z dnia na dzień robiła się szczuplejsza i bledsza, jednak widok na ekranie, a rzeczywistość to dwie różne rzeczy. Jest wychudzona. Jej kości policzkowe są wystające, a skóra na skroniach zapadnięta. Ma bladą cerę z chorobliwie żółtawym odcieniem. Szczupłe dłonie złożone razem spoczywają na brzuchu. Pod jej przeźroczystą, papierową skórą widoczne są nabrzmiąle, niebieskie żyły. Chwytam delikatnie jej dłoń w swoją. Muskam kciukiem wierzch jej ręki i pochylam się, by pocałować ją w usta.

– Cześć, kochanie. Przyjechaliśmy ze Stellą wcześniej. Gus powiedział, że miałaś ciężką noc.

Porusza się słabo. Jej ręka drga, po czym palce zaciskają się lekko wokół moich. To bardzo słaby uścisk, ale roztopia moje serce. Doceniam to.

Spędzamy z Audrey, Gusem i Stellą resztę dnia w pobliżu Katie. Mówimy do niej na zmianę. Wydawałoby się, że rozmowa z kimś, kto nie odpowiada będzie trudna, ale z Katie tak nie jest. Wiemy, że nas słucha.

18 STYCZNIA, ŚRODA
KELLER

Chciałbym myśleć, że Katie nadal słucha, ale nie mam pojęcia, czy to prawda.

Pielęgniarka twierdzi, że zapadła w śpiączkę. Jej ciało się wyłączyło. Organy przestały funkcjonować. Już nie ściska mojej ręki, kiedy ją trzymam.

Siedzimy obok jej łóżka, ja i Audrey mówimy, że może odejść, kiedy będzie gotowa, że Grace na nią czeka, że ją kochamy.

Gus się nie odzywa.

19 STYCZNIĄ, CZWARTEK KELLER

Jest trzecia nad ranem. Stella śpi na kanapie w salonie, Audrey delikatnie wygania mnie i Gusa z pokoju, mówiąc, byśmy zaczerpnęli świeżego powietrza, ponieważ musi sprawdzić cewnik Katie, który wywołał zakażenie. To potrwa z godzinę, by zapewnić Katie komfort. Zazwyczaj odmawiamy wyjścia, ale teraz obaj najwyraźniej mamy dość. Musimy się przewietrzyć.

Widok oceanu z tarasu zapiera dech w piersiach. Woda wygląda, jakby była nieskończona. Po wydarzeniach ostatniego miesiąca zaczynam się obawiać, czy moja rzeczywistość nie została na zawsze wypaczona. Widok jest piękny, ale nie tak piękny, jak gdybym zobaczył go dwa lub trzy miesiące temu. Wtedy byłby kolorowy, tętniący życiem, zupełnie jak Katie. Mój świat zaczyna wpadać w szarości, biele i czernie. To mnie przeraża.

Gus, opierając przedramiona na barierce, pali papierosa. Ma zamknięte oczy i mocno potargane włosy. Wiem, że bardzo to wszystko przeżywa. Od tygodni nie przespał całej nocy. Ledwie stoi. Wygląda na pokonanego. Nie odzywa się za wiele, chyba że do Katie czy Stelli, jednak Katie od dwóch dni nie odpowiada.

– Jak jest twoje pierwsze wspomnienie Katie?

Nie otwiera nawet oczu i nie patrzy na mnie, gdy mówi:

– Przez ostatni tydzień wiele o tym myślałem, o dorastaniu z Promyczkiem i Grace. Niemal każde moje wspomnienie z dzieciństwa dotyczy właśnie ich. Nie mam pierwszego wspomnienia, dla mnie obie były od zawsze. Nie pamiętam chwil, gdy ich nie było. Pamiętam jednak inne pierwsze rzeczy. Pierwszy raz, gdy Promyczek została poparzona przez meduzę, kiedy miała cztery latka. Pierwszy raz, gdy słyszałem, jak gra na skrzypcach, gdy miała osiem. Pierwszy raz, gdy na mnie nawrzeszczała, w wieku jedenastu lat. Pierwszy raz, gdy uświadomiłem sobie, jaka jest piękna, kiedy miała szesnaście. Przy okazji, jej bikini było białe.

Jego słowa mają słodko-gorzki smak, ale chcę więcej.

– Czy dwudziestoletnia Katie bardzo różniła się od dziesięcioletniej? Wydaje się być starą duszą. Jakby już urodziła się z niesłychaną mądrością i wdziękiem.

Śmieje się, ale nim się odzywa, kończy papierosa i odpala kolejnego:

– Promyczek różniła się od innych dzieci. Była bystrzejsza, miłsza, zabawniejsza – mówi.

W końcu patrzy na mnie i się uśmiecha. – I bardziej pyskata.

– Czy przez tą swoją niewyparzoną buzię miała kiedykolwiek kłopoty? – Rozmowa o niej mnie odpręża.

Kręci głową.

– A czy to nie oczywiste? Jak myślisz? Ludzie zawsze ustępują jej z drogi. Kochają ją i szanują za szczerłość. Ta niewielka kobieta potrafi sprawić, że dorosły mężczyzna położy po sobie uszy. Możesz mi wierzyć, widziałem. Cholera, sam się kulilem. – Śmieje się w głos.

Dołączam do niego.

– Ja również.

Opieram się o barierkę niedaleko niego. Obaj w ciszy przyglądamy się rozbijającym się o brzeg falom. Gus gasi w popielniczce drugiego papierosa i odpala trzeciego.

– Keller, chcę cię o coś zapytać, ale liczę na szczerą odpowiedź. Bez ściemy.

Zerka na mnie kątem oka, więc przytakuje.

– Kochasz ją, prawda? Chodzi mi o to, czy kochasz ją całym sobą, sercem i duszą?

Kiwam głową.

– Kocham. Sercem i duszą.

Przez chwilę zastanawia się nad moją odpowiedzią, po czym znów patrzy na fale.

– To dobrze, bo ta dziewczyna kocha cię całą swoją istotą. Skopałbym ci tyłek, gdybyś nie czuł tego samego. – Nie żartuje, naprawdę tak uważa.

Powinienem trzymać język za zębami, bo czuję, że to, co chcę powiedzieć, w tych okolicznościach jest niewłaściwe, ale muszę to z siebie wyrzucić.

– Ty też ją kochasz. – To nie jest pytanie.

Skupia spojrzenie na odległych falach i głęboko zaciąga się dymem.

– Oczywiście. Jest moją najlepszą przyjaciółką. Kto by nie kochał Promyczka?

Przyglądam się tym samym falom, ponieważ nie mogę na niego patrzeć, gdy naciskam:

– Nie o to pytam. Sercem i duszą, jesteś w niej zakochany?

Jego ramiona opadają.

– Nie chcesz słyszeć mojej odpowiedzi.

– Pewnie nie, ale widzę, jak na nią patrzysz. Cała ta sprawa rozrywa cię na zupełnie innym poziomie. Gdy na ciebie spoglądam, czuję, jakbym przeglądał się w lustrze.

Prycha i przeczesuje palcami włosy, ściągając je w kucyk. Chciałby to z siebie wyrzucić, ale ze względu na mnie się powstrzymuje.

– Gus, musisz z kimś porozmawiać. Przyznaję, że nie jestem do tego najlepszą osobą, ale gwarantuję ci, że wszystko, co teraz powiesz, zostanie tylko między nami.

W końcu patrzy mi w oczy. Przez chwilę po prostu się przygląda, po czym mruga kilkakrotnie i wzdycha.

– A pieprzyć to. Tak, kocham ją. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, żeby było inaczej.

Podejrzywałem to od dłuższego czasu.

– Powiedziałeś jej kiedyś o tym? To znaczy, naprawdę jej powiedziałeś?

Obraca się plecami do wody i siada na barierce, twarzą do domu.

– Nie.

– Dlaczego? – Jest trzecia nad ranem. Stoję na tarasie, rozmawiając z innym facetem o tym, że jest zakochany w mojej dziewczynie i cholernie mu współczuję. Muszę się przespać.

– Ponieważ zawsze uważałem, że zasługuje na kogoś lepszego. Wiedziałem, że kiedyś znajdzie kogoś równie niesamowitego, jak ona sama. Tylko tego dla niej chciałem. – To jedna z najszczerzych rzeczy, jakie w życiu słyszałem.

Przechodzę na drugi koniec tarasu. Nie mogę na niego patrzeć, mówiąc to, co musi zostać powiedziane.

– Wiem, że z nią spałeś. W noc poprzedzającą jej przyjazd do Grant.

Czekam, aż to zakwestionuje lub zapyta, skąd wiem o czymś tak intymnym. Ale tego nie robi.

– To była najlepsza noc w całym moim życiu. Przepraszam, wiem, że to popieprzone, że ci o tym mówię, ale taka jest prawda.

Obracam się twarzą do niego i kiwam głową. To dziwne spoufalenie wynika prawdopodobnie z braku snu i wiszącej nad naszymi głowami śmierci.

Gus kręci głową, jakby znów zastanawiał się, czy ponownie otworzyć usta, jednak i tak to robi:

– Keller, nie musisz odpowiadać, ale czy kiedykolwiek martwiłeś się, że po jej odejściu nie będziesz już taki sam? Myślałeś, że reszta twojego życia będzie niekończącą się czarną dziurą pozbawioną miłości i szczęścia?

Przytakuję.

– Nie lubię o tym myśleć, ale czasami nic nie mogę na to poradzić. Znam ją tak krótko, a tak bardzo mnie zmieniła. Czuję, jakbym dla niej nie mógł tego zmarnować, wiesz? Ale tak, będzie ciężko. Każdego piekielnego dnia, stary.

Podchodzi i klepie mnie po plecach. Jego oczy ponownie wyglądają na bardzo zmęczone.

– Wracajmy do środka. Dzięki za wysłuchanie. Zgadzą się, że tej rozmowy nie było, prawda?

Kiwam głową.

– Prawda.

– I dzięki, że nie podbiłeś mi oka ani nie urwałeś jaj. Nie jestem pewien, czy na twoim miejscu byłbym zdolny się powstrzymać. Jesteś dobrym facetem, Keller. Nie dziwię się, że Promyczek tak bardzo cię kocha.

Spoglądam mu prosto w oczy, by wiedział, że mówię poważnie:

– Ty również nie jesteś najgorszy. Katie też cię kocha, Gus.

Kiwa głową i otwiera drzwi tarasowe.

– Nie lubię, gdy Promyczek musi na mnie czekać. Nigdy nie lubiłem. Chodźmy.

20 STYCZNIA, PIĄTEK KELLER

Katie dzisiaj umarła.

Odeszła spokojnie, cicho. Bez dramatyzmu, co wydawało się właściwe, bo nigdy nie lubiła skupiać na sobie uwagi. Odetchnęła głęboko i tyle. Następny wdech już nie nastąpił.

Była trzynasta trzydzieści siedem, na zewnątrz świeciło słońce. Okno obok jej łóżka było szeroko otwarte, by mogła czuć słony zapach oceanu i wietrzyk na twarzy.

Gus siedział po lewej stronie łóżka, trzymając jej dłoń w obu swoich. Ja siedziałem po prawej, również trzymając ją za rękę. Audrey siedziała na krześle w nogach łóżka, trzymając na kolanach Stellę. Katie otoczona była osobami kochającymi ją nad życie.

Kiedy maszyna monitorująca serce zaczęła piszczeć, przyszła pielęgniarka, by sprawdzić jej puls. Jednak żadnego nie było. Skinęła tylko głową, wyrażając smutek, po czym wyszła, zostawiając nas samych.

W oczach Gusa łzy pokazały się natychmiast. Po raz ostatni ścisnął jej dłoń, pocałował ją w czoło, powiedział, że ją kocha, pożegnał się i wyszedł. Chwilę później słyszeliśmy trzask drzwi, chrzęst żwiru i pisk kół na asfalcie, kiedy odjechał.

Przez moment nie przerywałem głaskania jej po włosach, nie chcąc odejść. Kiedy Stella zeszła z kolan Audrey i wdrapała się na puste miejsce Gusa, pożegnałem się z Katie, ale nie potrafiłem wstrzymać już łez. Przysunąłem się do niej, objąłem jej twarz, po raz ostatni delikatnie pocałowałem w usta i szepnąłem jej do ucha:

– Dziękuję, że mi zaufałaś. Dziękuję, że pozwoliłaś mi się kochać.

Ponad Katie sięgnąłem po Stellę i wziąłem ją na ręce, zastanawiając się, czy jestem okropnym ojcem, pozwalając córce być świadkiem czegoś takiego. Stella wtuliła się we mnie. Była spokojna pomimo wiszącego w powietrzu smutku. Podeszedłem do Audrey i oparłem dłoń na jej ramieniu. Nakryła ją swoją i ścisnęła, zawierając w tym geście jednocześnie podziękowanie, rozpacz i pocieszenie.

Poszliśmy ze Stellą na plażę, gdzie wybudowaliśmy wielki piaskowy zamek. Zajęło nam to wiele godzin. Byliśmy pokryci piaskiem od stóp do głów, dopiero o zmroku stwierdziliśmy, że jest skończony.

Katie bardzo by się podobał.

22 STYCZNIA, NIEDZIELA KELLER

Dziś jest dzień pogrzebu. Ceremonia zaczyna się za chwilę. Od godziny jesteśmy z Audrey w kościele, dokonując ostatnich formalności. Stella jest z moim ojcem, Dunkiem i Shel. Przylecieli w nocy.

Kaplica jest pełna. To dziwne, byłem z Katie tak blisko, a rozpoznaję jedynie kilka twarzy. Siadam obok Dunca, Stella przechodzi na moje kolana.

– Hej, tatku.

– Hej, córeńko. Byłaś dobra rano dla wujka Duncana?

Kiwa główką.

– Chodziliśmy po plaży. Znalazłam dwie muszelki. – Wyciąga je z kieszeni sukienki. – Przyniosłam je dla Kate. Lubi muszelki, prawda, tatku?

Przytakuję.

– Lubi muszelki. To miłe, Stello. – Całuję ją w czubek pełnej kręconych włosów głowy i oddycham słodyczą mojej małej córeczki.

Większość ceremonii jest dla mnie rozmyta. Nie powiem wam, czy była krótka czy długa. Nie mogłem się skupić. Przez moją głowę przelatywały obrazy i wspomnienia, mimo to jednocześnie czułem się pusty. Dopiero kiedy pastor włącza mikrofon dla Audrey, wrywam się z transu.

Kobieta ociera oczy chusteczką, po czym odchrząkuje.

– Jestem Audrey Hawthorne. Kate przez większość życia mieszkała z nami po sąsiedzku. Zawsze uważałam Kate i jej siostrę Grace za moje własne córki. Tak wiele rzeczy kochałam w Kate. Tak wielu rzeczy będzie nam teraz brakowało. Zdecydowaliśmy, że zamiast mów pożegnalnych napiszemy do Kate listy, które teraz odczytam. Chciałabym, byście ich wysłuchali.

Bierze głęboki wdech i rozkłada pierwszą kartkę.

Kochana Kate,

Kiedy o Tobie myślę, nadal widzę sześciolatkę bawiącą się z Gusem i Grace na plaży. Promieniująca z Was radość była namacalna, fizyczna. Wszyscy wokół ją odczuwali.

Ta radość nie opuściła Cię, gdy dorastałaś. Byłaś wspaniała. Jestem dumna z kobiety, którą się stałaś. Byłaś tak silna, inteligentna, utalentowana, wierna, charyzmatyczna i taka piękna.

Naprawdę, Gus i ja zostaliśmy pobłogosławieni Twoją obecnością w naszym życiu i możliwością nazywania Cię rodziną.

Ściskam Cię teraz, czujesz?

Kocham Cię.

Audrey

Najdroższa Katherine,

Jestem całkowicie pewien, że się w Tobie zakochałem (oczywiście w platonicznym znaczeniu tego słowa) już od pierwszego wejrzenia. Na początku sądziłem, że to jedynie

Twój niezwykle gust, ale kiedy zaczęłaś do mnie mówić, naprawdę ze mną rozmawiać, wiedziałem, i to bez wątpienia, że jesteś najwspanialszą duszą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Byłem w bardzo złej kondycji, gdy przysiadłaś się do mnie tamtego dnia i dosłownie pobłogosławiłaś mnie swoją obecnością. Przyjaźń z Tobą otworzyła mi wiele możliwości, których istnienia nawet sobie nie wyobrażałem. Twoja odwaga nieustannie udowadniała mi, że życie dla nikogo nie jest łatwe. Wszyscy musimy walczyć, by wycisnąć dobro z czasu, który nam ofiarowano. Nigdy Cię nie zapomnę. Jesteś najpiękniejszą osobą, wewnątrz i na zewnątrz, którą miałem szansę poznać. Jesteś moim prawdziwym aniołem.

*Z wyrazami miłości,
Clayton*

Kochana Kate,

Tęsknię za naszymi zabawami. Tęsknię za łaskotkami i przytulaniem. Tęsknię za tym, jak mi śpiewałaś. I czytałaś bajki. Pani Higgins też za Tobą tęskni.

*Buziaki,
Stella*

Kate,

Jako zespół chcemy powiedzieć, że brakuje nam Twojego fenomenalnego talentu. Twojego oddania, które czyniło z nas lepszych muzyków i zmuszało, byśmy grali za każdym razem, gdy się pojawiałaś. Miałaś więcej talentu w małym palcu niż my wszyscy razem wzięci. Nie bylibyśmy tu, gdzie teraz, gdyby nie Ty. Dziękujemy.

Jako Twoi przyjaciele chcemy powiedzieć, że tęsknimy. Za wszystkim: Twoim uporem, Twoją nieprzyjmującą odmowy postawą, Twoim wsparciem i Twoją życzliwością. Najbardziej jednak brakuje nam Twojego poczucia humoru. Nikt nas nigdy nie rozśmieszał tak jak Ty. Zwłaszcza jeśli chodziło o dogryzanie Franco.

Bardzo nam Ciebie brak.

Jamie, Robbie i Franco

PS Mamy nadzieję, że w niebie mają tor formuły jeden i Bóg już pierwszego dnia pozwolił Ci wskoczyć za kółko, ponieważ skopiesz tam wszystkim tyłki. Szerokiej drogi, Kate.

Kochana Kate,

Nauczyłaś mnie, że dobrze jest wyjść ze swojej bezpiecznej skorupy i robić rzeczy, które przerażają i sprawiają, że czuję się niezręcznie. Nauczyłaś mnie, że dobrze jest się wygłupiać i popełniać błędy. Nauczyłaś, że dobrze jest śmiać się ze wszystkiego lub z niczego.

Nigdy Ci o tym nie powiedziałam, ale przez całe swoje życie walczyłam z demonami, a dzięki Tobie stawiam im teraz czoła, uczęszczając na terapię. Dziękuję, że pół roku temu przeszłaś przez moje drzwi, młoda. To najlepsza rzecz, jaka mnie kiedykolwiek spotkała. Zmieniłaś moje życie.

*Z wyrazami miłości,
Twoja partnerka do tańca*

PS Jesteś największą twardzielką, jaką widziałam!

Katie,

Ciężko ubrać w słowa to, ile dla mnie znaczyłaś. Podziwiam sposób, w jaki przeżyłaś swoje życie. Zainspirowałaś mnie. Sprawiałaś, że się w Tobie zakochałem. Zmieniłaś mnie jak nikt inny. Pokazałaś mi, czym jest odwaga i waleczność. Twoja szczerość, otwartość, bezwarunkowe wsparcie i miłość sprawiły, że jestem lepszym człowiekiem, lepszym ojcem, lepszym partnerem, lepszym mężczyzną.

Tak bardzo za Tobą tęsknię, że to aż boli.

Na zawsze będę Cię kochał, Kochanie.

Keller

Promyczku,

Nie jestem dobry w tych pierdołach i wiesz o tym, więc będę się streszczał. Mam nadzieję, że siedzicie teraz z Grace na chmurce i zajadacie się Twixami. Mam nadzieję, że w niebie codziennie świeci słońce, fale zawsze są wysokie, a zachody słońca spektakularne. Mam nadzieję, że serwują tam mocną, czarną kawę rano, w południe i wieczorem, a we wtorki podają wegetariańskie taco. I liczę na to, że masz skrzypce zrobione specjalnie dla Ciebie i grasz na nich każdego dnia.

Mówiłaś, bym stworzył legendę. Próbuję. Jednak to Ty byłaś w tym mistrzem. Każdy Twój dzień był legendarny. Brakuje mi tego.

Kocham Cię.

Gus

Słyszę, jak wszyscy w kaplicy pociągają nosami i łkają. Audrey próbuje zachować spokój, ale kiedy wydaje mi się, że dłużej już nie wytrzyma, bierze kilka głębokich wdechów.

– Kate ostatnie swoje dni spędziła w moim domu. Dała mi to – otwiera kopertę – i poprosiła, bym przeczytała na koniec jej uroczystości pogrzebowych. – Ręce drżą jej tak bardzo, że zastanawiam się, czy poradzi sobie z wyciągnięciem kartki. Jednak powoli kończy rozrywać wierzch koperty i wyciąga list. Pospiesznie wodzi wzrokiem po liniijkach, po czym nakrywa usta dłonią i mówi: – Przepraszam, nie mogę.

Chciałbym tam iść i zrobić to za nią, ale wiem, że nie będę w stanie powstrzymać i tak już płynących łez ani przełknąć przez ściśnięte gardło śliny. Pastor stoi przy Audrey, opiera rękę na jej ramieniu, delikatnie dając znać, by przekazała mu list, aby mógł go odczytać do mikrofonu.

Nagle odzywa się ktoś z tyłu kościoła.

– Proszę poczekać. – Chrząka, kiedy wszystkie głowy odwracają się w jego stronę, patrząc, jak przechodzi pod ołtarz. – Ja przeczytam. – To Gus. Zniknął po śmierci Katie i choć pisał SMS-y do Audrey, nie widzieliśmy go przez dwa dni. Nie przyszedł wcześniej do kaplicy, bałem się, że w ogóle się nie pojawi. Ma na sobie garnitur, ale wygląda bardzo źle. Nie wydaje mi się, by od dwóch dni zmrużyłoczy.

Obejmuje Audrey, całuje ją w skroń, po czym bierze kartkę. Przelyka kilkakrotnie ślinę i odczytuje słowa Katie:

Naprawdę bardzo bym chciała, byśmy wszyscy byli dzisiaj gdzie indziej. Abyśmy robili coś zupełnie innego, bo pogrzeby są przygnębiające i całkowicie do bani. Jednak jeśli już

byliście na tyle mili i przyszliście tu dla mnie, pozwólcie, że wykorzystam tę sposobność i ustanowię kilka reguł. Zasad, które wejdą w życie w tej chwili i nie wygasną, dopóki się nie dostosujecie.

Zasada pierwsza: Nie płaczcie nade mną. Miałam cudowne życie. Powtarzam sobie, że warte było świętowania, zatem jeśli o mnie myślicie, uśmiechajcie się, śmieJCie się, bądźcie szczęśliwi. Ale nie płaczcie.

Zasada druga: Przeżywajcie każdy dzień, jakby był Waszym ostatnim. Wiem, że to banal i prawdopodobnie myślicie, że przeczytałam to na jakiejś nalepce na zderzaku (choć, jeśli się zastanowić, to pewnie tak było), ale to prawda. Do dzieła!

Zasada trzecia: Bądźcie spontaniczni. Życie ma zbyt wiele reguł, schematów i wymagań. ZmieńCie plany, by zrobić miejsce na zabawę. Spóźniajcie się czasem (Keller, patrzę teraz na Ciebie) i cieszcie się chwilą, tym, co jest i tym, co może być.

Zasada czwarta: Nie osądzajcie się nawzajem. Każdy ma coś na sumieniu. Pilnujcie tylko swoich spraw i nie wtykajcie nosa w cudze, no chyba że zostaniecie zaproszeni. A kiedy to się stanie, pomagajcie zamiast osądzać.

Zasada piąta: TańCzcie do upadłego (patrzę teraz na Was, Claytonie i Shelly).

Zasada szósta: Stwórzcie legendę (patrzę na Was, Rook). Muzyka sprawia, że świat jest wspaniałym miejscem. Wasza jest legendarna. Podtrzymujcie ją taką. Każdego dnia. Kochamy Was za to.

Zasada siódma: Traktujcie przyjaciół jak rodzinę. To Gus i Audrey pobłogostawili mnie tą lekcją. Przekazuję ją dalej.

Zasada ósma: Pozwólcie sobie kochać. Każdą komórką swojego jestestwa.

Zasada dziewiąta: Poświęćcie czasem trochę czasu na obejrzenie zachodu słońca. Dodatkowo będzie dobrze, jeśli zrobicie to z kimś bliskim.

Zasada dziesiąta: Nie płaczcie za mną.

Pamiętajcie, jestem teraz w niebie i widzę Was. Przestrzegajcie zasad. Będę wiedziała, jeśli nie będziecie tego robić.

Nie wkurzajcie mnie.

Pragnę podziękować każdemu z Was, ponieważ sprawiliście, że moje życie było o wiele lepsze, niż byłoby, gdybym Was niepoznała.

Kocham Was wszystkich. ŻyJCie w spokoju.

Promyczek

Uśmiech błąka się na twarzy Gusa.

– Moja dziewczynka. – Szybko jednak zmienia się w smutek. Gus kiwa głową i odchodzi od mikrofonu. Prowadzi Audrey na miejsce w pierwszej ławce, po czym siada obok.

Pastor kończy uroczystość modlitwą, następnie wszyscy przygotowują się do wyjścia. To część, której bałem się najbardziej. Całuję Stellę w policzek.

– Córeńko, pójdiesz z dziadkiem i wujkiem Duncanem, dobrze? Zobaczymy się przed kaplicą.

Kiwa główką, przy czym podskakują jej rude loczki.

– Dokąd idziemy?

Walcząc ze łzami, odpowiadam:

– Musimy zabrać Katie na cmentarz. Do specjalnego miejsca, gdzie wszyscy będą mogli ją odwiedzać.

– Jak mamusię?

– Tak, jak mamusię.

Dunc zabiera Stellę, gdy widzi, że nie dają rady.

– Chodźmy, mała. Wyjdziemy na zewnątrz poganiać gołębie.

Obserwuję, jak Stella, Dunc i Shel wychodzą na zewnątrz. Czekam na ojca, po czym wstaję. Zatrzymuje się przede mną i kładzie rękę na moim ramieniu.

– Przykro mi, synu. Nikt nie powinien tracić tak wiele, jak ty w swoim krótkim życiu.

Kiwam głową.

Zamykam oczy i próbuję oczyścić umysł, ale pod powiekami widzę jedynie te jadeitowe, uśmiechające się do mnie oczy. Chciałbym w nieskończoność móc w nie patrzeć.

Ale nie mogę.

Gus, Jamie, Robbie, Franco i Clayton czekają na mnie.

Nikt nic nie mówi, gdy niesiemy trumnę. Jest lżejsza, niż to sobie wyobrażałem, przez co myślę, jak bardzo Katie była wychudzona i krucha. Pewnie ważyła jakieś trzydzieści pięć kilo. Pęka mi serce.

Przejście do karawanu jest krótkie.

Droga na cmentarz ciągnie się w nieskończoność.

Reszta jest rozmyta. Czuję kielkującą we mnie panikę.

Pastor nadal modli się nad grobem, gdy przekazuję dłoń Stelli ojcu i wychodzę z tłumu, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Dostrzegam żółte tulipany i Twixa leżącego na znajdującym się obok nagrobku Grace.

Przechodzę nieco dalej, gdzie Gus pali papierosa. Nie patrzy na mnie, ale wyjmuję z kieszeni paczkę i mnie częstuje.

– Chcesz?

Nigdy nie paliłem, ale mam zamiar skorzystać ze wszystkiego, co tylko złagodzi dławiący mnie niepokój. Wyciągam jednego i biorę od Gusa zapalniczkę. Nie mam pojęcia, co robię, ale odpalam papierosa i wdycham całą tę złą energię, która mnie otacza. Płuca mnie palą, więc natychmiast zaczynam głośno kaszleć.

– Pierwszy raz? – pyta Gus.

Wciąż kaszląc, wyduszam z siebie:

– Aż tak to widać?

– Powinieneś rzucić – mówi rzeczowo.

Trzymam zapalonego papierosa z dala od siebie.

– Tak, pewnie masz rację.

Gus zaciąga się swoim po raz ostatni. Przydeptuje peta butem, następnie przygląda się mojemu.

– Powinieneś rzucić – mówię.

– Wiem. Promyczek nieustannie mi to powtarzała. Wiesz, z każdym nowo odpalonym papierosem mam wyrzuty sumienia. Ale nie mogę tego nie robić. Próbowałem. – Zerka na mnie. – Mama dała ci kopertę?

– Tak. – Audrey rano przekazała mi kopertę. Powiedziała, że Katie kazała jej włożyć do kopert dwie płyty. Jedną dla mnie i jedną dla Gusa. Przygotowała je już dawno, ale prosiła, by Audrey przekazała je nam dopiero dziś.

– Słuchałeś swojej?

– Jeszcze nie. A ty? – Planuję zrobić to wieczorem, gdy wrócimy do Minneapolis i położę Stellę spać. Muszę mieć wtedy spokój, wiem, że cokolwiek tam jest, rozedrze mnie na strzępy.

– Jeszcze nie – potwierdzam nerwowo.

Ludzie zaczynają rozchodzić się do samochodów.

Wskazuję na grób.

– Chodźmy, skończmy to.

Gus patrzy pod nogi. Mógłbym przysiąc, że w ogóle nie jest obecny, aż mruga kilkakrotnie i odpowiada:

– Nie mogę. Pożegnałem się z nią dwa dni temu. Muszę stąd uciec. Nie mogę już dłużej...

– Okej. Zobaczymy się w domu. Musimy zabrać rzeczy, nim pojedziemy na lotnisko.

– Nie będzie mnie tam. – Koniec tematu.

– A gdzie będziesz?

– Nie wiem. Muszę zniknąć na jakiś czas. – Ma odległe spojrzenie.

Muszę dać mu się pozbierać. Wszyscy musimy zrobić to po swojemu. Podaję mu rękę, ściska ją.

– Zostańmy w kontakcie, stary. Jakby co, dzwoń do mnie.

Klepie mnie w ramię.

– Dzięki. Ty też.

Przyglądam się, jak przechodzi przez cmentarz i znika w oddali. Nie mam pojęcia, dokąd się wybiera, zwłaszcza na piechotę. Jego furgonetka nadal stoi zaparkowana pod kościołem, a to daleko.

Śmierć Katie uderza we mnie niczym wielka fala rozbijająca się o brzeg. Wszystko się uspokaja, ale moment później nadchodzi kolejna fala. Katie już nie ma. Nigdy więcej jej nie zobaczę. Nigdy nie usłyszę jej głosu. Nigdy jej nie dotknę. Świadomość tego powala mnie na kolana i sprawia, że zaczynam łkać. Szlocham, bo chcę ją odzyskać. Płacę, bo nienawidzę pieprzonego raka. Ronię łzy, ponieważ życie jest niesprawiedliwe.

Nagle czuję na plecach czyjaś dłoń, bardziej podświadomie niż świadomie wiem, do kogo należy.

– Synu?

Mój ojciec. Chciałbym przestać płakać, ale nie mogę. Spoglądam na niego, łapczywie wciągając powietrze.

– Chcę... ją... odzyskać – mówię, krztusząc się. Kiedy milczy, ciągnę: – Dlaczego Katie?

Spodziewam się logicznego wyjaśnienia, wręcz klinicznego uzasadnienia, zamiast tego ojciec bierze mnie za rękę i ciągnie, bym wstał, następnie mnie ściska.

Tuli mnie.

I pozwala mi płakać.

Kiedy łzy przestają płynąć, ojciec odsuwa się i podaje mi chusteczkę. Ocieram twarz i wydmuchuję nos. Bez słowa odprowadza mnie do wypożyczonego samochodu i pomaga zająć miejsce z tyłu, gdzie czekają już Dunc i Stella.

Kiedy myślisz, że kogoś znasz, ten ktoś się zmienia. Albo ty się zmieniasz. A może ta zmiana jest obustronna. I to zmienia wszystko.

25 STYCZNIA, ŚRODA
KELLER

Dostałem dziś list od Audrey. Jej imię otworzyło świeżą ranę. Czekam, aż Stella pójdzie spać, by go przeczytać. Kiedy rozrywam kopertę, na podłogę wypada mały świstek papieru. Zostawiam go tam.

Drogi Kellerze,

Ostatnim życzeniem Kate było, byś to dostał. Przedstawiła mi Twoją sytuację i nie mogłabym się z nią nie zgodzić. Mam nadzieję, że w imię pamięci o Kate ten dar pomoże Ci spełnić marzenia i osiągnąć cele.

Cieszyłam się, mogąc gościć Ciebie i Stellę pod moim dachem, choć wolałabym, by okoliczności były zupełnie inne. Twoja córeczka jest precudowna. Brakuje mi jej głosu i śmiechu. Dom wydaje się bez niej za cichy. Moje drzwi zawsze są dla Was otwarte. Zapraszam, gdybyście chcieli mnie odwiedzić. Proszę, ucałuj małą ode mnie.

Mam nadzieję, że czas uleczy Twoje złamane serce i pozostawi Cię jedynie ze wspaniałymi wspomnieniami o Kate. Była przepiękną duszą.

*Ściskam,
Audrey*

Znów płaczę. Ostatnio robię to tak często, że nie zdaję sobie z tego sprawy, dopóki łzy nie spłyną mi strumieniem po policzkach.

Świstek, który wypadł, ostatnia wola Katie, leży na podłodze pod komodą. Podnoszę go, obracam i widzę, że to złożony na pół czek. Rozkładam go. Jest do niego przyklejona żółta karteczka z jej odręcznym pismem:

Keller,

Ojciec wysłał mi te pieniądze. Dałam część Audrey na opłacenie mojego pogrzebu, ale chcę, byś wziął resztę. Mam nadzieję, że pokryje to część Twojej nauki, na którą nie wystarczy stypendium. Będiesz wspaniałym nauczycielem!

*Kocham Cię, kochanie,
Kate*

Odrywam samoprzylepną karteczkę i dobrze, że stoję przy łóżku, bo moje nogi się poddają. Czek opiewa na czterdzieści tysięcy dolarów. Jest też na nim moje nazwisko.

Mimowolnie przypominam sobie to, co napisał dla Katie Clayton. Naprawdę jest aniołem.

27 STYCZNIA, PIĄTEK KELLER

Od pięciu dni jesteśmy w domu. Wróciłem do pracy i na zajęcia. Stella zaczęła chodzić do przedszkola, więc powoli uczymy się nowej rutyny. Mała już się przyzwyczaiła. Wiem o tym. Jest ciekawska, przyjacielska i otwarta. Wszędzie jej dobrze.

Unikam koperty z płytą od Katie. Leży na komodzie obok naszego zdjęcia, odkąd rozpakowałem się po powrocie. Przynajmniej trzy razy miałem ją w rękach, przygotowany, by ją otworzyć, ale nie mogłem się do tego zmusić.

Teraz znów zaczynam.

Patrzę na nią.

Ona, jakby patrzy na mnie.

Jest już po jedenastej, powinienem spać, ale zasypianie bez Katie jest trudne. W ciągu ostatnich dni drzemałem na fotelu.

Odsuwam kołdrę i wchodzę do łóżka. Zanurzam nos w poduszce i zaciągam się zapachem. Wciąż nią pachnie. Nie było jej w tym mieszkaniu jakiś miesiąc, ale nie jestem w stanie wyprać pościeli. Nadal śpię, trzymając swoją koszulkę, którą kiedyś nosiła. Ona również nią pachnie, choć ta woń zaczyna ulatywać. Czasami wydaje mi się, że już zniknęła, a tylko ją sobie wyobrażam. Obracam się na plecy i gapię w sufit.

– Katie, tęsknię za tobą. Tak cholernie mocno. Myślę o tobie w każdej sekundzie, każdego dnia. Mam zamiar posłuchać twojej płyty. Wiem, że będę płakał, ale pracuję nad tym, by być dzielny. W mojej głowie nadal wiedziesz w tym prym, ale spróbuję. – Drżącymi dłońmi sięgam po kopertę. Przesuwam palcem po swoim imieniu zapisanym charakterystycznym pismem – drobnym, a jednak śmiałym – takim samym jak ona.

Wsuwam palec pod zamknięcie, ale się waham. Nagle ta koperta staje się najstraszniejszą rzeczą, jaką potrafię sobie wyobrazić. Oblewa mnie gorąco, czuję, jakbym miał zwymiotować. Mój oddech przyspiesza, jakbym biegł. Zaciskam oczy, próbując odciąć się od świata.

– Jesteś dzielny – przypominam sobie. Powtarzam to wielokrotnie, nim otwieram oczy. Są mokre i pieką. Ponownie spanikowany, spoglądam na kopertę. – Jesteś dzielny. Jestem dzielny.

Rozrywam zamknięcie i wyciągam płytę. Nie jest podpisana. Nie ma naklejki. Nie ma instrukcji, co mam z nią zrobić.

Wyciągam laptopa ze stojącej przy łóżku torby i go uruchamiam. Otwieram folder ze zdjęciami, ponieważ słuchając jej, muszę widzieć jej twarz. Mam kilkadziesiąt zrobionych przez ostatnie miesiące fotografii. Niektóre przedstawiają nas razem, inne Katie ze Stellą, jeszcze inne samą Katie. Wkładam do uszu słuchawki, ocieram oczy, wkładam płytę do laptopa i wciskam play. Nic nie mogłoby mnie przygotować na to, co słyszę. To jej głos. Katie mówi do mnie. Jeśli zamknę oczy, mogę udawać, że jest tuż obok. Tak właśnie robię. *Cześć, Keller. Wiem, że słuchasz tego, kiedy mnie już nie ma i zapewne to trochę dziwaczne, ale gdybyśmy zamienili się miejscami, chciałabym ponownie usłyszeć twój głos. No to lecimy, kochanie.*

Dorastałam, wierząc, że moim zadaniem jest troska o wszystkich. Siostra mnie

potrzebowała. Matka mnie potrzebowała. Dorastałam, wierząc w miłość, zarówno w moc jej dawania, jak i otrzymywania. Grace, Gus, Audrey, moi przyjaciele... kochałam ich, a oni kochali mnie. Powstrzymywali mnie, bym nie stała się zgorzkniałą, zmęczoną osobą. Osobą, z którą walczyłam. Dorastałam, wierząc, że muszę być silna. Musiałam się trzymać, bo ludzie polegali na mnie, a ja chciałam im służyć.

Czy tego żałuję? Do diabła, nie. Ja niczego nie żałuję. To właśnie dzięki temu jestem, jaka jestem.

Jednak w chwili, w której weszłam do Grounds i poznałam ciebie, porozmawiałam z tobą, poflirtowałam? Coś się we mnie zmieniło. To był jeden z najlepszych dni mojego życia. Naprawdę. Oprócz tego, że czułam fizyczne przyciąganie, ponieważ, powiedzmy sobie szczerze, Keller, jesteś seksowny: masz wspaniałe oczy, włosy, twarz, tyłek... Mmm... Jednak było też w tobie coś prawdziwego, coś bardziej atrakcyjnego niż twój wygląd. Jesteś przyjazny, wrażliwy, nieco nerwowy i bardzo, bardzo prawdziwy. Wiedziałam, że musimy zostać przyjaciółmi.

Walczyłam, by się w tobie nie zakochać. Mocno, bo jestem Kate Sedgwick... osobą, która nie wchodzi w związki, bo umiera.

Mimo to mnie przyciągnąłeś. Z każdym dniem coraz bardziej się w tobie zakochiwałam. Pokochałam twój krzywy uśmiešek. Pokochałam twoje uwielbienie do literatury klasycznej. Pokochałam, kiedy wkurzałeś się na mnie za moje spóźnienia. I pokochałam twoją cierpliwość. Pokochałam to, że słuchałeś mnie, jakbym na świecie liczyła się tylko ja. Pokochałam twoją grę na gitarze. Pokochałam to, że lubisz czarną, mocną kawę (jest najlepsza). Pokochałam to, że nie tylko jesteś ojcem, ale jesteś w tym wspaniały. Twoje oddanie wobec córeczki jest najseksowniejszą rzeczą, co brzmi dziwacznie, ale tak właśnie jest. Pokochałam to, że jesteś rozważny i romantyczny. Pokochałam twój naturalny instynkt do nauczania. Czegokolwiek. Pokochałam twoją wytrwałość i niezdolność do przyjęcia odmowy. Pokochałam to, jak mocno pracujesz i się uczysz. Pokochałam fakt, że wiesz, czego chcesz, choć jednocześnie ciężko ci kontrolować emocje. Potrafiłeś poradzić sobie ze mną. Ludziom nie bardzo to wychodziło. A potrzebowałam tego. I to pokochałam.

Dałeś mi moją własną, prawdziwą bajkę. Zaufałam ci całym sercem. Nigdy wcześniej tego nie zrobiłam, ale przy tobie było to takie łatwe. Twoja miłość, którą czułam aż w kościach? To było niebo. Fizycznie i psychicznie czułam się mocno kochana. A kiedy mówiłeś do mnie? Kiedy na mnie spoglądałeś? Kiedy mnie dotykałeś? Czułam się ceniona. Piękna. Wielbiona. Czułam twoje oddanie i twoją pasję. Było to przytłaczające w najbardziej ekscytujący i satysfakcjonujący sposób. Mam nadzieję, że też tak się czułeś.

Dzięki temu wszystkiemu nauczyłeś mnie, że nie tylko mogę polegać na kimś innym, ale mogę też pozwolić temu komuś dźwigać mój ciężar. Przy tobie pozwoliłam sobie na łzy. A ja nie płaczę. Mogłam być słaba i bezbronna, a ty mnie nie osądzałeś. Byłeś silny za nas oboje. Mogłam mówić o swoich lękach. Mogłam mówić o rodzinie i o przeszłości. Nawet nie wiesz, jak wielka to dla mnie ulga. Twoje wsparcie było... nieocenione.

Przyjechałam do Minnesoty, by wykreślić studia z mojej listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią, jednak nigdy nie wyobrażałam sobie, że znajdę tu ciebie. Dziękuję, Kellerze Banksie.

Teraz muszę porozmawiać z tobą o przyszłości, ważne jest dla mnie, byś to usłyszał. Dokończ studia i zacznij uczyć literatury. Masz dar, którym musisz się dzielić. Będziesz niczym Sidney Poitier w „Nauczycielu z przedmieścia”. Szczęściarze z dzieciaków, które

będziesz uczył. Znajdź dla siebie i Stelli odpowiednie miejsce na ziemi, gdzie mała będzie mogła dorastać i stać się niezwykłą kobietą. A nie mam żadnych wątpliwości, że taka będzie. Zachęcaj ją, wspieraj, kochaj... Wiem, że będziesz to robił. I proszę, błagam, znajdź kogoś, z kim będziesz mógł podzielić się swoim ogromnym sercem, ponieważ kiedy obdarzasz kogoś miłością, kochanie, dzieje się cud. Kochasz ciało, umysł, duszę. Bez wątpliwości. Bez pytań. Bez zahamowań. Znajdź ponownie taką miłość. A kiedy to zrobisz, mam nadzieję, że będziesz tak bardzo szczęśliwy, jak ja byłam dzięki tobie. Stella potrzebuje rodzeństwa, Keller. Pani Higgins jest zarąbistym żółciem, ale jest okropnym substytutem siostry.

Wiem, że jesteś teraz smutny. Przeżyj żałobę, ale nie trzymaj się jej kurczowo. Smutek zabija życie, więc go odpuść. Pamiętaj mnie i bądź szczęśliwy. Masz przed sobą wspaniałe życie. Przeżyj je co do minuty. Zaczynaj już teraz.

Jesteś dzielny. Powtórz ze mną: jestem dzielny.

Kocham cię, kochanie... Kocham cię, kochanie.

Serce mnie boli, moje policzki są mokre od łez. I wtedy uświadamiam sobie, że się uśmiecham... Uśmiecham się, podczas gdy moje złamane serce grozi rozpadem. Uśmiesz jest oznaką tego małego szczęścia, które nigdy mnie nie opuszcza – to Katie. Nim ją poznałem, nie sądziłem, że można w ten sposób odczuwać szczęście. Moje serce było zamknięte od tak dawna, jednak tamtego dnia ona otworzyła je na oścież, przechodząc przez drzwi Grounds. Zajęło to dosłownie chwilę. Była nie tylko urocza z tymi swoimi potarganymi włosami i intensywnym spojrzeniem, ubrana w koszulkę własnej roboty, ale również pewna siebie, zabawna i miła. Była najszczerzą osobą, jaką w życiu spotkałem. Wszystko miała poukładane, wiedziała, jak traktować ludzi, by czuli się wyjątkowi i docenieni. Dałem jej wszystko, co miałem. Pozwoliłem jej widzieć dobre, jak i złe strony. Odśloniłem się przed nią całkowicie. Zmusiła mnie, bym krytycznym okiem spojrział na siebie i na swoje życie. A jej miłość dała mi odwagę, by je zmienić.

Nadal nie mogę uwierzyć, że już jej nie ma. Czarna dziura, o której rozmawialiśmy z Gusem? Czuję ją każdego dnia. Walczę z nią dla Katie... dla siebie... i dla mojej córeczki.

Katie miała niewiarygodny dar do wyciągania najlepszych rzeczy z każdej, dobrej czy złej sytuacji. Brzmi, jakby to było łatwe, lecz osiągnięcie takiej nirwany jest trudne. Katie służyło szczęście i jej niekończący się optymizm. Nie sądzę, by temu zaprzeczyła. Jednak potrzeba wiele odwagi, aby każdego dnia wytrwać w tym stanie. Szczęście, troska i radość były jej częścią, ale był to celowy, świadomy wybór. Wracam pamięcią do słów Gusa: „Jest niespotykanym promykiem słońca. Nie tylko szuka jasnych stron... ale nimi żyje”.

Miał rację.

Dzięki temu była najdzielniejszą znaną mi osobą.

Jesteś dzielna...

PODZIĘKOWANIA

Mawiają, że potrzeba całej wioski, by wychować dziecko.

Potrzeba jej również, aby napisać i wydać książkę.

Podziękowania i wyrazy uwielbienia z głębi serca dla wioski *Promyczka*:

B., Debbie i Robin – które jako pierwsze przeczytały *Promyczka*. Dziękuję za wsparcie podczas całego procesu pisania. Pokochałam Wasze teksty i komentarze, kiedy razem przy tym pracowałyśmy (tzn.: „Lepiej tego nie rób...”, „Niedobrze mi”, „Oczy mi zaraz wypłyną!!!”, „Och, Clayton!”, „Proszę więcej Kellera”, „O mój Boże!”). Podział na obóz Kellera i obóz Gusa uświadomił mi, że jestem na dobrej drodze. Deb, Keller jest Twój. Robin, Twój jest Gus. Przez co dla B. pozostaje Kate, co, jak wiem, nie będzie rozczarowaniem.

Dziękuję Tammy Johnson, R.N., B.S.N. i doktorowi Johnowi Okerbloomowi za wszelkie konsultacje medyczne. Dziękuję mojej szalonej siostrze, która skontrolowała mnie ze swoim szalenie mądrym przyjacielem. Tych dwoje to najmiłsi ludzie na świecie. Ze świętą wręcz cierpliwością odpowiadali na wiele moich pytań. Dziękuję, że dodaliście nieco realizmu i współczucia do historii Kate. Jesteście najlepsi!

Dziękuję Kody’emu Templemanowi – muzycznemu guru tej książki. Dziękuję, że przegryzłeś się przez cały ten techniczny materiał związany z muzyką w mojej historii i dałeś mi zielone światło. Twoje odpowiedzi i wsparcie znaczą dla mnie bardzo wiele, przyjacielu. Tak na marginesie, powinniście posłuchać zespołów Kody’ego: Teenage Bottlerocket i The Lillingtons. Poważnie. Sprawdźcie ich twórczość. Są szalenie niesamowici!

Dziękuję Jess Danowski i Inside the Pages of a Book – za wsparcie i za wiarę. Prowadziłaś mnie przez świat niezależnego wydawania i promocji z precyzją mistrza Jedi. Kłaniam Ci się nisko. Dziękuję, że we mnie uwierzyłaś!

Dziękuję Ericowi Johnsonowi – mojemu łącznikowi z młodszym pokoleniem. Ponieważ studiowałam bardzo dawno temu... musiałam polegać na siostrzeńcu, który trzymał pieczę nad językiem starszej pani. (Myślałeś, że żartuję, mówiąc, że wymienię Cię w podziękowaniach, co, Eric?) Zasłużyłeś. Dzięki, młody!

Dziękuję Monice Parpal – nadzwyczajnej redaktorce. Jesteś nie tylko niesamowita w swojej pracy, ale zawsze też sprawiasz wrażenie, że moje projekty pochłaniają Cię w takim samym stopniu, jak i mnie. Dziękuję, że pokochałaś Kate oraz za Twoje komentarze, przez które ta książka jest o wiele lepsza. Jesteś moją bohaterką, Monica!

Dziękuję Brandonowi Hando – utalentowanemu grafikowi. Okładka amerykańskiego wydania *Promyczka* jest piękna i idealna. Dziękuję, Brandonie! Twój talent nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

Dziękuję mamie i tacie – „Największym Książkowym Naganiaczom na Świecie”. Jak mawiają na meczach, jesteście moimi mistrzami. Jesteście moją drużyną i nie mogłabym prosić o lepszą. Dziękuję! Kocham Was!

Dziękuję B. i P. – parze moich ulubionych ludzi. Jesteście moim światem. Nie mogłabym robić tego, co robię... właściwie to żyć... bez Was. Kocham Was, kocham, kocham!

Dziękuję muzykom z całego świata – nie mogłabym pisać bez stworzonej przez Was magii. Muzyka inspiruje mnie jak nic innego. Dziękuję, że dzielicie się z nami swoją pasją. Dla mnie Kate Sedgwick jest uosobieniem bardzo realnej, silnej kobiety. Jestem szczęśliwa, będąc otoczoną w życiu takimi kobietami. W Kate jest odrobina każdej z nich. Dziękuję: Barb Harken, Debbie Clark, Robin Stonehocker, Barb Konecny, Tammy Johnson, Andi Hando, Erice Sosias i Monice Parpal za to, że są twardzielkami. Kocham, podziwiam i szanuję każdą z Was za inteligencję, postawę, zaufanie, humor i dobroć. Codziennie stwarzacie legendę, moje panie.

Wreszcie dziękuję Tobie, mój cudowny czytelniku lub czytelniczko: schlebiasz mi. Każdego dnia. To, że poświęciliście swój cenny czas, by przeczytać moją książkę znaczy dla mnie niewyobrażalnie wiele. Szczerze mówiąc, w głowie mi się to nie mieści. Napisanie historii i podzielenie się nią z kimś jest odpowiednikiem przemawiania nago przed zatłoczoną salą. To przekazanie światu swojej duszy. Ludzie oceniają dobrze lub źle. Dziękuję za Wasze nieustające wsparcie! Czuję się dzięki niemu mniej naga.

Zamierzam zostawić Wam przesłanie, ponieważ życie czasami jest trudne. To rada dla wszystkich:

Jesteście dzielni...

A teraz idźcie... stwórzcie legendę!

To rozkaz.

Zróbcie to.

Proszę.

PLAYLISTA

Nie potrafię pisać bez muzyki – to fizycznie i emocjonalnie niemożliwe. Zaczęłam pisać tę książkę w 2012 roku, skończyłam wiosną 2014. Oto spis piosenek, które pokochałam po raz pierwszy lub po raz tysięczny podczas pisania *Promyczka*. Zainspirowały klimat historii, bohaterów, w niektórych przypadkach nawet konkretne sytuacje, a nawet całe rozdziały. Pasja Kate do muzyki jest moją własną, choć nie potrafię grać na żadnym instrumencie i słoń nadepnał mi na ucho, jeśli chodzi o śpiew. Podobnie jak Kate, kocham gitarowe brzmienia w niespotykanych miejscach – nadają piosenkom seksapilu. I uwielbiam kalifornijskie zespoły. Jestem szczęśliwa, bo byłam na większości koncertów (na wielu, gdy pisałam tę książkę) – na resztę się wybieram.

Soko – *We Might Be Dead By Tomorrow*

Gdyby *Promyczek* miała motyw przewodni... byłaby to ta piosenka. To jak bycie świadkiem dialogu wewnętrznego, który ma miejsce w głowie Kate. Po prostu Kate mówi do Kate. Jest to dalekie od depresji, raczej realistyczne i zachęcające. I ta gitara... och, gitara. Piosenka jest magiczna.

Lorde – *400 Lux*

To piosenka Kate i Gusa. Opowiada o ich przyjaźni. Solidnej. Swobodnej. Prawdziwej. Prostolinijnej. Komfortowej.

Baroness – *Eula*

Mój mąż mówi, że to piosenka Rooka. Nie zamierzam się z nim spierać. Kiedy ma rację... to ma. To cały Rook.

Royla Thunder – *Sleeping Witch*

Podczas pisania *Promyczka* widziałam ich na żywo. Grali przed Baroness i pierwszy raz ich słyszałam. Ale mnie rozwalili. Głos ich wokalisty to seksowna, agresywna, pierwotna moc – jest porażający. Gdyby Shelly była piosenką, byłaby właśnie tą.

The Wombats – *Jump Into the Fog*

Teksty tego zespołu są inteligentne i mądre. Ten nie jest wyjątkiem. To Gus.

Dredg – *Bug Eyes*

Dredg jest najbardziej niedocenianym zespołem na świecie. *Bug Eyes* jest jedną z moich ulubionych piosenek. Zespół również pochodzi z Kalifornii, więc naturalnie Kate by ich uwielbiała. Na żywo są fenomenalni.

Teenage Bottlerocket – *Done With Love*

Nie da się nie kochać piosenki, która zaczyna się od słów: „I got shit to do”. Teenage Bottlerocket grają najlepszego punk rocka. Wiele razy byłam na ich koncercie. Nigdy mnie nie zawiedli.

Rudimental featuring Ella Eyre – *Waiting All Night*

Widzę Kate, Claytona i Shelly tańczących przy tym kawałku, ponieważ nie da się siedzieć, gdy płynie z głośników. Uwielbiam jego energię – jest radosny, a radość ta jest niesamowita.

Macklemore and Ryan Lewis – *Same Love*

Pierwszy raz usłyszałam tę piosenkę w radiu, jadąc z synem i mężem ulicą Church Ranch Road na lunch w sobotnie popołudnie. Pamiętam to doskonale, ponieważ siedzieliśmy w całkowitej ciszy (co jest trudne dla mnie i P.) i wysłuchaliśmy jej całej. Kiedy się skończyła, spojrzałam na męża, a on na mnie. Zgadaliśmy się bez słów. Spojrzeniem mówiliśmy, że wokalista ma stuprocentową rację. Miałam wtedy ochotę opuścić szybę i wykrzyknąć: „Tak! Ten facet rozumie! On rozumie!”. Ta piosenka jest dla Claytona i Morrisa oraz dla Romero i Dana.

Teenage Bottlerocket – *Mutilate Me*

Kolejna moja ulubiona piosenka, tym razem dla Petera i Evelyn... od Gusa... z pozdrowieniami.

The Cure – *Lullaby*

Uwielbiam The Cure – kocham ich. Pamiętam, że słyszałam ich po raz pierwszy, gdy byłam w ósmej klasie i dosłownie przełączyli coś w moim wnętrzu. To było jak objawienie. W końcu zrozumiałam, dlaczego muzyka jest tak magiczna i inspirująca. Ten zespół napędza moją nieustającą miłość do niej.

The xx– *Angels*

The xx jest jednym z moich ulubionych zespołów, a Romy Madley Croft jest moją ulubioną wokalistką. Mogłabym wymienić tutaj każdą nagraną przez nich piosenkę, ale wybrałam *Angels*, ponieważ idealnie pasuje do kontekstu tej historii. To wspaniała, miłosna ballada. Tak właśnie Kate widzi Kellera. Jeśli będziecie mieli szansę posłuchania The xx na żywo, nie wahajcie się!

Haim – *My Song 5*

Piosenka jest Kate. Wszystko w niej jest hardcorowe. Jest mocna i nie rozmienna się na drobne – zupełnie jak Kate. To może być mój ulubiony utwór wszech czasów, tak bardzo go kocham. To kolejny kalifornijski zespół. Nie ma wiele wymiatających gitarzystek, jednak Danielle Haim taka właśnie jest. Genialna.

The 1975 – *Sex*

Zawarłabym na tej liście każdą piosenkę The 1975, gdybym mogła, ponieważ są jak własne dzieci – trudno wybrać jedno. Kocham ten zespół. Jest cudowny na żywo. To piosenka dla Franco.

Silversun Pickups – *Panic Switch*

Ten utwór to kontrolowany chaos, przez co jest piekielnie genialny. Kocham wszystko, co dotyczy Silversun Pickups, ale szczególnym uwielbieniem darzę Nikki Monninger. Najlepiej na świecie wymiata na basie, świetnie się ubiera i w ogóle. I... tak... jest to zespół z Kalifornii.

The Neighbourhood – *Sweater Weather*

Ta piosenka jest dla Kellera. To jego serce i wszystkie uczucia, które żywił do Kate. Podczas pisania książki nieustannie słuchałam ich płyty. Tak, to kolejny kalifornijski zespół.

Imagine Dragons – *Nothing Left to Say*

To piosenka, którą napisał Gus, kiedy dowiedział się o stanie Kate. To ją wspólnie nagrali. Wysłuchałam jej przynajmniej dwa tysiące razy w dniu pisania tego rozdziału. Za każdym razem, gdy jej słucham, mam przed oczami Gusa, śpiewającego z głębi serca w studiu... i mam gęsią skórkę.

30 Seconds to Mars – *Northern Lights*

Choć uwielbiam wrzeszczącego Leto (mam na myśli *The Kill*), kolejna płyta Marsów została wydana, gdy pisałam tę książkę. Ten utwór jest z niej moim ulubionym. Jest dziwny, ale w pozytywnym znaczeniu tego słowa. No i gitara. Powtórzę... och, gitara. Piosenka jest piękna. Tak piękna, że wydaje mi się, że mogłaby napisać ją Kate (przynajmniej w głowie). I tak, dobrze zgadujecie, zespół jest z Kalifornii.

The Cure – *Pictures of You*

Całkowicie przepiękna piosenka. Zapierająca dech. Robert Smith jest boski.

Passenger – *Let Her Go*

To piosenka dla Gusa i Kellera. Słyszałam ją po raz pierwszy, gdy w myślach układałam ostatnie rozdziały. Spisałam je, słuchając jej w kółko. Być może to najsmutniejszy utwór, jaki w życiu słyszałam, ale go uwielbiam.

Manchester Orchestra – *Everything to Nothing*

Tytuł mówi wszystko. Manchester Orchestra jest moim ulubionym zespołem w dwóch kategoriach: za najlepsze słowa i najlepszy występ na żywo. Są doskonali.

Index Case – *Favor's Keeper*

Ta piosenka jest głęboka, intensywna, pełna pasji. A kiedy uderza w trzeciej minucie czterdziestej drugiej sekundzie to trzyma, bo przez następne trzy minuty jest czystą perfekcją. Ten utwór to Gus na końcu *Promyczka* i na początku drugiej części opowiadającej właśnie o nim. *And I loved you. And I loved you more...* Najlepsze zakończenie piosenki w historii.

O AUTORCE

Oto niektóre z moich ulubionych spraw na świecie: czytanie, pisanie, dwaj najfajniejsi faceci (mąż i syn), rower (mąż mi go poskladał), Facebook (jestem prawie pewna, że jestem uzależniona), mrożona kawa (orzechowa) i muzyka (kocham: Sunset Sons, The 1975, Dredg, The xx, Balance and Composure, Teenage Bottlerocket i 30 Seconds to Mars). Uwielbiam także marzyć, co prowadzi do następnego punktu: mam dla Was radę. Spełniajcie marzenia. Nigdy nie jest za późno. Zaczynajcie już dzisiaj... Cholera, zaczynajcie NATYCHMIAST! Chciałam napisać książkę już jakieś dwadzieścia lat temu. Zamiast tego czekałam. I czekałam. Powinnam pisać. Ale tego nie robiłam. Choć nie żałuję, bo przeszłość... to po prostu przeszłość. Jednak muszę Wam powiedzieć, że nie ma nic lepszego niż zrobienie czegoś, o czym marzyło się od lat. Zatem zaczynajcie. Sprawcie, by ziściły się Wasze marzenia.

Zostańmy też przyjaciółmi.

Pogadajmy.

Będzie fajnie.

Odwiedźcie mnie:

www.kimholdenbooks.com

www.facebook.com/kimholdenauthor

Niedługo zapraszam na *Gusa*.

Oto historia *Gusa*.

Opowiada o zagubieniu.

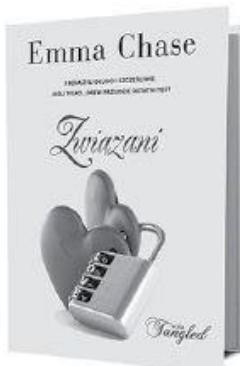
O odnalezieniu.

I o powolnym procesie uzdrawiania.

...ale, szczerze mówiąc, nie wiem już, jak żyć. Promyczek była nie tylko moją najlepszą przyjaciółką; była jakby moją drugą połówką... drugą połową mojego umysłu, mojego sumienia, mojego poczucia humoru, mojej kreatywności... Była drugą połową mojego serca. W jaki sposób człowiek może wrócić do swoich zajęć, jeśli na zawsze stracił połowę siebie?

Emma Chase

seria *Tangled*



**SEKSOWNA, ZABAWNA,
BŁYSKOTLIWA... GENIALNA!**

Zaplątani

Zakręcenii

Zniewolenii

Związani

FILIA

BESTSELLEROWA SERIA

DZIESIĘĆ PŁYTKICH ODDECHÓW

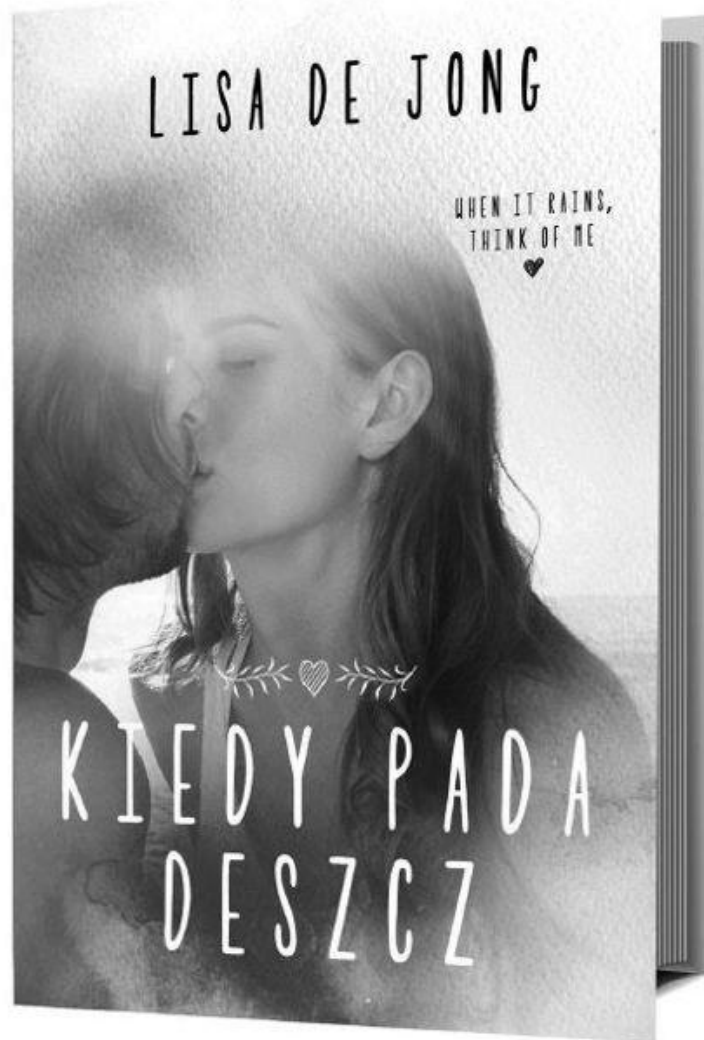
K.A.Tucker



Jak sobie radzisz,
gdy na Twoich oczach świat rozsypuje się na kawałki?
Co robisz, gdy wszystko idzie źle?
Co robisz, gdy ból rozsadza Twoją duszę?
Po prostu oddychasz. Dziesięć płytkich oddechów...



FILIA



—♡—
**KIEDY PADA
DESZCZ**

Tamtej nocy myślałam, że to koniec mojej historii,
jednak teraz wiem, że był to jej nowy początek.

FILIA

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

22 SIERPNIA, PONIEDZIAŁEK

23 SIERPNIA, WTOREK

24 SIERPNIA, ŚRODA

25 SIERPNIA, CZWARTEK

26 SIERPNIA, PIĄTEK

27 SIERPNIA, SOBOTA

28 SIERPNIA, NIEDZIELA

29 SIERPNIA, PONIEDZIAŁEK

30 SIERPNIA, WTOREK

31 SIERPNIA, ŚRODA

1 WRZEŚNIA, CZWARTEK

2 WRZEŚNIA, PIĄTEK

4 WRZEŚNIA, NIEDZIELA

5 WRZEŚNIA, PONIEDZIAŁEK

6 WRZEŚNIA, WTOREK

7 WRZEŚNIA, ŚRODA

8 WRZEŚNIA, CZWARTEK

9 WRZEŚNIA, PIĄTEK

10 WRZEŚNIA, SOBOTA

11 WRZEŚNIA, NIEDZIELA

12 WRZEŚNIA, PONIEDZIAŁEK

13 WRZEŚNIA, WTOREK

14 WRZEŚNIA, ŚRODA

15 WRZEŚNIA, CZWARTEK

16 WRZEŚNIA, PIĄTEK

17 WRZEŚNIA, SOBOTA

18 WRZEŚNIA, NIEDZIELA

19 WRZEŚNIA, PONIEDZIAŁEK

20 WRZEŚNIA, WTOREK
21 WRZEŚNIA, ŚRODA
25 WRZEŚNIA, NIEDZIELA
7 PAŹDZIERNIKA, PIĄTEK
8 PAŹDZIERNIKA, SOBOTA
9 PAŹDZIERNIKA, NIEDZIELA
12 PAŹDZIERNIKA, ŚRODA
13 PAŹDZIERNIKA, CZWARTEK
17 PAŹDZIERNIKA, PONIEDZIAŁEK
18 PAŹDZIERNIKA, WTOREK
21 PAŹDZIERNIKA, PIĄTEK
24 PAŹDZIERNIKA, PONIEDZIAŁEK
28 PAŹDZIERNIKA, PIĄTEK
29 PAŹDZIERNIKA, SOBOTA
30 PAŹDZIERNIKA, NIEDZIELA
31 PAŹDZIERNIKA, PONIEDZIAŁEK
1-2 LISTOPADA, PONIEDZIAŁEK-WTOREK
4 LISTOPADA, PIĄTEK
6 LISTOPADA, NIEDZIELA
8 LISTOPADA, WTOREK
10 LISTOPADA, CZWARTEK
11 LISTOPADA, PIĄTEK
12 LISTOPADA, SOBOTA
13 LISTOPADA, NIEDZIELA
14 LISTOPADA, PONIEDZIAŁEK
15 LISTOPADA, WTOREK
16 LISTOPADA, ŚRODA
18 LISTOPADA, PIĄTEK
19 LISTOPADA, SOBOTA
21 LISTOPADA, PONIEDZIAŁEK
24 LISTOPADA, CZWARTEK
27 LISTOPADA, NIEDZIELA
30 LISTOPADA, ŚRODA
2 GRUDNIA, PIĄTEK
8 GRUDNIA, CZWARTEK
10 GRUDNIA, SOBOTA
11 GRUDNIA, NIEDZIELA
12 GRUDNIA, PONIEDZIAŁEK

[15 GRUDNIA, CZWARTEK](#)
[18 GRUDNIA, NIEDZIELA](#)
[19 GRUDNIA, PONIEDZIAŁEK](#)
[20 GRUDNIA, WTOREK](#)
[22 GRUDNIA, CZWARTEK](#)
[25 GRUDNIA, NIEDZIELA](#)
[28 GRUDNIA, ŚRODA](#)
[30 GRUDNIA, PIĄTEK](#)
[31 GRUDNIA, SOBOTA](#)
[13 STYCZNIA, PIĄTEK](#)
[15 STYCZNIA, NIEDZIELA](#)
[16 STYCZNIA, PONIEDZIAŁEK](#)
[17 STYCZNIA, WTOREK](#)
[18 STYCZNIA, ŚRODA](#)
[19 STYCZNIA, CZWARTEK](#)
[20 STYCZNIA, PIĄTEK](#)
[22 STYCZNIA, NIEDZIELA](#)
[25 STYCZNIA, ŚRODA](#)
[27 STYCZNIA, PIĄTEK](#)
[PODZIĘKOWANIA](#)
[PLAYLISTA](#)
[O AUTORCE](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Reklama 3](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: Bright Side

Bright Side Copyright © 2014 by Kim Holden
Copyright for the Polish edition © 2016 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody
Wydawcy.

Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2016

Projekt okładki: Olga Reszelska
Zdjęcie na okładce: © arthurhidden/fotolia

Przekład: Katarzyna Agnieszka Dyrek
Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-119-4

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Kim Holden

PRO
MY
CZEK

The title 'PRO MY CZEK' is rendered in large, bold, dark purple letters. Each letter is filled with a different part of a photograph of a woman. The 'P' shows her forehead and hair. The 'R' shows her eye and nose. The 'O' shows her smiling mouth. The 'M' shows her shoulder and arm. The 'Y' shows her torso. The 'C' shows her arm. The 'Z' shows her arm. The 'E' shows her arm. The 'K' shows her arm. The background is a soft, warm gradient.

Każdy ma jakieś tajemnice...

FILIA